

T. CORAGHESSAN BOYLE

# Drop City

przełożył Zbigniew Batko

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

*Siostrom,  
Kathy, Lindzie, Janice i Christine*

Pomyślcie o życiu na łonie natury – o codziennym kontakcie z materią – ze skałami, drzewami, wiatrem na twarzy! twardą ziemią! rzeczywistym światem! zdrowym rozsądkiem!  
Kontaktcie! Kontaktcie!  
Kim jesteśmy? Gdzie jesteśmy?

Henry David Thoreau, *Ktaadn*

Opowiem wam o bólu serca i utracie boga, o nieustannej, beznadziejnej wędrówce przez mrok. Tu, na obrzeżach, nie ma gwiazd, tu jesteśmy zaćpani na amen, na amen

Jim Morrison, *Stoned Immaculate*

# Część pierwsza

## Drop City Południe

No chodźcie

Uśmiechnijcie się do swego brata

Zjednoczmy się

Spróbujmy się wzajemnie pokochać.

Chet Powers, *Get Together*

### 1

Poranek był rybą w sieci, połyskliwą i miotającą się w smolistej czerni na krawędzi jej świadomości, ale ona nigdy dotąd nie złowiła ryby ani w sieć, ani na wędkę, a więc nie mogła naprawdę powiedzieć, co, jak ani dlaczego. Poranek był jak ryba w sieci. I to właśnie zdanie powtarzała sobie w nieskończoność jako śpiewną mantrę, ścinając chwasty gilotyną swej motyki, dojąc wąskookie kozy i zabierając się do jedzenia czegoś, co niby miało być owsianką, w wielkiej, wymiatanej przeciągami izbie, w której sześćdziesięciu innych ożywionych współmieszkańców komuny oblizywało łyżki i pracowicie poruszało zuchwami.

Na zewnątrz świeciło kalifornijskie słońce, wypalając w pyłe swe komunikaty i obwieszczając dziesiątą, a może wpół do jedenastej, zabudowaniom i drzewom. Wokół niej rozbrzmiewały głosy, śmiechy, słychać było zwykle poranne żarciki i utyskiwania, ale ona jeszcze płynęła, a na twarzy zakwitł jej promienny uśmiech o mocy miliona kilowatów. Wzięła swoją glinianą miseczkę z orzechami, kielkami i kluchowatą pecyną płatków pływającą w kozim mleku i wyszła niczym w transie na podwórze, aby przycupnąć na pniaku i poczuć, jak gorący piach wciska się jej między palce nóg. Jedzenie nie stanowiło aktu intymnego – w Drop City nic nie mogło być intymne czy prywatne – ale przynajmniej nie było tu wychowawczyń, opiekunów społecznych ani rodziców czy szefów i po raz pierwszy w życiu czuła, że robi to, co chce. I to było fantastyczne. Bo czy nie o to tylko chodziło? Kalifornijskie słońce na twarzy, żadnych gierek i sztuczek, żadnego plastikowego społeczeństwa – tylko wolność i podobnie myślący ludzie, wszyscy ci bracia i siostry.

Star – Paulette Regina Starr, z nazwiskiem zredukowanym teraz do czterech podstawowych liter – była w Drop City od mniej więcej trzech tygodni. Mniej więcej. Tak naprawdę nie potrafiłaby powiedzieć dokładnie, od jakiego czasu spała na konkretnym materacu w konkretnym pomieszczeniu, razem z beztroską, ciepłą gromadą niekonkretnych ludzi, ani też się tym nie przejmowała. Nie liczyła dni, tygodni, miesięcy – nawet lat. Czy epok. Wielki Wybuch. Kto stworzył świat? Bóg stworzył świat. Poranek jest rybą w sieci. Czy nie przyjechali tu w jakiś wtorek? To we wtorek była ta noc wypełniona muzyką, a dziś – dziś był piątek. Tyle mogła wywnioskować z ożywionej krzątaniny wokół kotła z gulaszem w kuchni – przybywali weekendowi hipisi, a także zwykli gapie – ale czas nie był dla niej naprawdę problemem, co zademonstrowała wszem i wobec, dając swojego tissota ze złotą bransoletką małemu Indianinowi w Taos, choć przecież nawet na nią nie patrzył ani nie prosił o jałmużnę, tylko stał na przystanku autobusowym, trzymając matkę za rękę. „Masz, weź sobie – powiedziała, zsuwając zegarek z przegubu. – Chcesz?”. Nigdy wcześniej nie była na Zachodnim Wybrzeżu, nigdy nie widziała czegoś takiego, a tu oto stał sobie mały Indianin z czarnymi warkoczyczkami opadającymi na czarne oczy, i musiała mu coś dać. Wzgórza wręcz krzyczały kolczastymi kaktusami. Autobusowe spaliny uderzyły ją w nozdrza i wywołały łzawienie oczu.

Przybyła na zachód z chłopakiem ze swoich stron, Ronniem Sommersem, który mówił na siebie Pan, i po drodze przeżyli trochę przygód, Star i Pan – jak Lewis i Clark, tylko bardziej beztrasy. Ronnie zagadywał każdego, kto miał długie włosy, i przynosiło to korzyści, bo otwierało przed nimi cały świat, zapewniało darmowe noclegi, jedzenie, prochy. W Arizonie spędzili jedną noc w tipi z poznanym tam chłopakiem. Był opalony, szczupły, miał włosy związane na karku, przepaskę z wężowej skóry. Gotował na ognisku brązowy ryż z kalafiorom i połykał pączki kaktusa, które zbierał na oślepiająco białych zboczach wzgórz. „Myśliwi i zbieracze – powtarzał – oto czym jesteśmy” i za każdym razem, kiedy to mówił, wszyscy troje wybuchali śmiechem, po czym Ronnie puszczał w obieg skręta. Ona zaś czuła się tak dobrze, że zrobiła to z obydwojema.

Wciąż nučila pod nosem, liście na drzewach smażyły się na jej oczach, klucha owsianki gapiła się na nią z żółtawego koziego mleka niczym jakiś stwór, który wyszedł z jej ciała, wykrztuszony, zwymiotowany, nagi i żywy, lśniący od własnych soków, kiedy nagle padł na nią cień: w ramy obrazu, jaki miała przed oczami, wszedł Ronnie i teraz stał jak duch, chwiejąc się lekko na nogach.

– Hej – zagadnął, przykucnąwszy przed nią w swoich plecionych sandałach i dzinsach z obciętymi nogawkami. – Stęskniłem się za tobą, gdzie się podziewałaś?

Podniósł jej zanurzoną w piachu stopę, prawą, tę z bliźną w kształcie haczyka wędki, pamiątką z dzieciństwa, i pocałował ją, odciskając wilgotny ślad warg, lśniący matowo na jasnej skórze.

Wpatrywała się we własną stopę, w jego dłoń i długie pokiereszowane palce, w srebrne i turkusowe pierścienie pochłaniające światło słońca.

– Ringo-Pan – powiedziała.

Roześmiał się. Długie włosy na karku opadały jak postronki z jego walcowatej głowy, niedawno zapuszczona broda zaczynała harmonizować z całością. Ale jego twarz – twarz była drobna i jakaś daleka, jakby zanikała niczym ulatujący w niebo balonik.

– Doiłam kozy – powiedziała Star.

Dwoje małych brzdąców – jasnowłosych, nagich, umorusanych – pojawiło się na obrzeżach jej pola widzenia. Dzieciaki padły na ziemię i zaczęły się mocować w piachu. Ktoś walił w tamburyn, a teraz włączył się flet; piskliwe, zacinające się dźwięki ulatywały w powietrze niczym ptasi śpiew.

– Superkawalek, co nie? – zapytał.

Na jej twarz powrócił uśmiech, błogi, przesycony słońcem. Wszystko wokół tętniło życiem. Czowała, że ziemia kręci się jej pod nogami jak wielka piłka.

– Tak – powiedziała. – Och, tak. Fantastyczny.



Potem nadeszła noc. Star przetrwała popołudnie, które przeciągało się i turlało jak pies na dywaniku, potem popracowała z innymi dziewczynami w kuchni, siekając zioła, cebulę i pomidory na zupę z soczewicy i wtórując piosenkom Jefferson Airplane i Country Joe and the Fish. Ktoś puścił w obieg fajkę, więc pociągnęła dwa razy. Podczas gotowania i zmywania – a także przy posiłku, który przypominał Ostatnią Wieczerną – miała pod ręką słój spanady. Przez cały czas chłopak zwany Sky Dog, a może Junior Sky Dog, przygrywał na gitarze akustycznej i śpiewał wymyślane na poczekaniu piosenki. W izbie była też dwójka jasnowłosych dzieciaków, wciąż nagich, zupa z soczewicy ściekała im po torsach jak indiańskie wojenne barwy, było też niemowlę w wiklinowym nosidełku przytroczonym do pleców wychudłej, wysokiej kobiety z oczami jak dwa głębokie kraterzy. Wokół kręciło się pełno ludzi, ludzi, których nigdy dotąd nie widziała – weekendowych hipisów z miasta – a także jej braci i siostr. W powietrzu snuł się dym z kadzidełek, z trawy i haszu, ze skrętów przekazywanych z namaszczeniem z ręki do ręki, jak gdyby wszyscy szyli zespołowo w powietrzu jakąś wielką kołdrę. Para długonogich żółtych psów obwąchiwała ludziom stopy i węszyła wśród rozrzuconych na podłodze misek.

Star usadowiła się w kącie, na tronie ze starych poduszek, razem z Ronniem i dziewczyną, której imienia nie pamiętała. Nie czuła nic oprócz zmęczenia i chociaż to wszystko, co działo się dookoła, było fantastyczne jak letni obóz bez wychowawców czy impreza, która nigdy się nie kończy, myślała, że ma dosyć, że wolałaby się po prostu wymknąć i znaleźć jakieś miejsce, w którym mogłaby kimnąć, dać się wchłonąć snom jak ciemnej fali nicości. Noga Ronniego spoczywała na jej nodze, czuła też łaskotanie włosów nowej dziewczyny, które osypywały ją jak sól lub cukier. Zamknęła oczy, pozwoliła się nieść muzyce, muzyka zaś cichła i odpływała jak woda wysana przez obmywający jej ciało strumień i dalej... ale wtedy jedno z dzieci zapłakało nagle głośno i wróciła do rzeczywistości. Dzieciak, chłopczyk z gołym tyłkiem i dyndającym ptaszkiem, bez przedniego zęba, co nadawało mu wygląd na wpół ukształtowanego małego wampira, strzepnęła coś ręką z dłoni matki – Reby czy Reny, bo chyba tak miała na imię. Znów wydobył z siebie pisk, wysoki i mechaniczny, ale był to jednocześnie początek i koniec wrzasków, bo Reba przytknęła skręta do jego ust, a potem zapadła się z powrotem w poduszki, jak gdyby nic się nie stało.

Bo też nie stało się nic nadzwyczajnego. Nikt nic nie zauważył ani niczym się nie przejął. Sky Dogowi zawtórował teraz drugi gitarzysta i brnęli razem przez jednostajne meandry wolnego bluesa. Półobnażona kobieta, której nikt do tej pory nie zauważył, wstała i zaczęła kołysać do rytmu biodrami i wielkimi piersiami i wkrótce kilku mniej lub bardziej stałych członków komuny podniosło się, by do niej dołączyć, wijąc się i falując ramionami jak hinduscy mistycy.

– Turystka – powiedział Ronnie i zabrzmiało to jakoś sucho i twardo. – Weekendowa hipiska. – Miał na sobie podkoszulek, który Star ufarbowała mu pierwszego dnia w kosmiczny deseń: pomarańczowe supernowe wybuchały różowo i fioletowo wśród galaktyk. Kiedy odwrócił się do nowej dziewczyny, światło prześwietliło mu brodę. – Ty nie jesteś turystką. Co, Merry? – zapytał.

Merry przechyliła się do tyłu, osuwając się w kolebkę jego ramion.

– Ja już nigdy tam nie wrócę – rzekła. – To ci mogę obiecać.

– Jasne – przytaknął Ronnie. – Jasne, nawet o tym nie myśl. – Otoczył Star ramieniem i ścisnął ją lekko. – Hej – powiedział, najwyraźniej wciągnięty przez obracającą się wolno wirówkę bieżącej chwili. – Może chciałabyś iść nad rzekę, rozłożyć koc pod gwiazdami i... to znaczy w trójkę? Masz ochotę? – Oczy miał utkwione w tańczącej kobiecie, wzrok ślizgał mu się po jej bujnych kształtach. – Byłoby fajnie, nie?

Prawda wyglądała tak, że Star nie miała na to ochoty. Ani też, wbrew temu, co sobie wmawiała, nie miała na to ochoty tamtej nocy w tipi. To Ronnie miał ochotę. To on nakłonił ją, by się rozebrała przed tamtym chłopakiem – albo inaczej: zawstydział ją tak długo, aż się rozebrała. „Nie chcesz chyba być zasznurowaną drobnomieszcząską piczką-zasadniczką jak twoja matka, co? – mówił ochryplym z podniecenia głosem. – Albo jak moja, kurde. No, daj spokój, wszystko jest okej, to tylko ludzkie ciało, coś naturalnego – a cóż to niby innego?”.

Ten drugi, chłopak z tipi – nigdy nie poznała jego imienia – tylko patrzyła na nią jak na film, którego jeszcze nie widział. Siedział w pozycji lotosu, uosobienie awataru pokoju i miłości, ale można było dostrzec, że jego wnętrze to jedna wielka rana. Był napięty. Wyglądał na pomyłonego. Wyczuwała to, wyczuwała emanujące z niego złe wibracje, ale potem powiedziała sobie, że to paranoiczne myślenie wywołane peyotlem. A więc położyła się ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i zapatrzyła się w ogień. Przez dłuższy czas nikt się nie odezwał. A kiedy podniosła w końcu wzrok, oczy chłopaka były tak jasne, że prawie nie było widać tęczy. Ronnie zrobił skręta i pomógł jej zdjąć niebieską dżinsową koszulę ze znakami zodiaku, które wyhaftowała na rękawach i na ramionach. Sam był w szortach, a chłopak z tipi – kot, kot z tipi, poprawiał ją zawsze Ronnie, nie mówi się na takich ludzi chłopak, tylko kot – miał coś w rodzaju przepaski na biodrach i był do pasa nagi. Odblask ogniska padał na ściany namiotu, dym ulatywał przez otwór w szczycie.

„Zupełnie jak w obozie Siuksów na brzegu Little Bighorn, co nie, stary?” – powiedział Ronnie, podając mu dżojnta. A potem miała wrażenie, że czas zaczął się jak gdyby marszczyć i wszystko skrzyło się czerwono, błękitnozielono i złoto, i Ronnie położył się na niej, a chłopak z tipi patrzył, a jej było wszystko jedno, albo i nie było, ale nie miało to większego znaczenia. Zrobili to na indiańskiej macie w piachu, przy tym przyglądającym się kocie, ale to był Ronnie i była oswojona z jego ciałem, rozpoznawała jego ramiona, język i sposób, w jaki się poruszał. Ronnie. Pan. Z rodzinnych stron. Ale potem zsunął się z niej i siedział dłuższą chwilę, powtarzając: „Człowieku, to był odlot”, i dysząc ciężko, z czołem zroszonym potem i z nieskończone maleńką kropelką wiszącą jak klejnocik na czubku nosa. Po chwili zachęcił gestem kota z tipi i powiedział: „Zasuważ, bracie, to fantastyczne”.

Na zewnątrz, przy głównej bramie rancza Drop City, stała tablica z dykty, przybita byle jak do drewnianego stelaża: ŻADNYCH MĘŻCZYZN, ŻADNYCH KOBIET, TYLKO DZIECI. I tak mniej więcej było, pomyślała. Tylko dzieci. Lekcja pogładowa, pokazuj wszystko, pokazuj, pokazuj. Ramię Ronniego było jak martwy przedmiot, jak dwutonowy ciężar, zwalone drzewo, które miażdży ją od karku w dół. Rosła, rozebrana do pasa kobieta tańczyła. *Got to keep movin', śpiewał Junior Sky Dog, movin' on down the line.*

– No więc co ty na to? – nalegał Ronnie.

Jego twarz była tuż-tuż, oddalona o kilka cali, kosmata broda, opadające strąki włosów. Oczy miał jakby spękane, jak małe ceramiczne płytki, rozbite młotkiem na jasne kawałeczki. Nie odpowiedziała, więc zwrócił się do Merry, a tymczasem Star zaczęła się przyglądać twarzy nowo przybyłej.

Merry miała swój własny wariant uśmiechu o mocy miliona kilowatów, szerokiego i uroczego, nogi po samą szyję i bladożółtą spódniczkę mini, która wyglądała tak, jakby nie była prana od miesiąca. Spojrzała najpierw na Ronniego, a potem prosto w oczy Star, po czym jej spojrzenie odpłynęło, jak gdyby była zbyt naćpana, by się czymkolwiek przejmować, ale było widać, że się przejmuje, przejmowała się na pewno – Star mogła to wywnioskować ze sposobu, w jaki Merry z pełną świadomością przechyliła głowę i zaczęła skubać rąbek spódniczki, a także z brudnego śladu w miejscu, w którym skubała spódniczkę już tysiąc razy.

– Nie wiem – powiedziała głosem cichym jak westchnienie. Po czym wzruszając ramionami, dodała: – Może.

Dwoje jasnowłosych dzieci, czteroletni chłopiec o nieobecnym spojrzeniu i jego siostrzyczka, tańczyło teraz, wpatrując się w swoje stopy, bez najmniejszego poczucia rytmu; mały skurczony ptaszek malca kołysał się jak wskazówka metronomu, ale też nie do taktu.

– Super – powiedział Ronnie. A potem, zwracając się znów do niej, do Star, zapytał: – I co ty na to, Star, co powiesz?

– Chyba nie – odparła. – Nie dziś. Czuję się... nie wiem, jak to wyjaśnić... jakoś tak dziwnie.

– Dziwnie? O czym ty, kurwa, mówisz? – Brwi Ronniego powędrowały na czoło, a usta zapadły się, tworząc maleńki dołek.

Znała to spojrzenie. Choć nie poruszył żadnym mięśnieniem, choć był absolutnie najbardziej *hip*, najbardziej wyluzowanym, najmniej spiętym dzieckiem kwiatem w kosmosie, teraz aż gotował się wewnątrz, rozgoryczony, jak to Ronnie. Miał swoje zwyczaje. Zawsze robił wszystko po swojemu, czy to chodziło o decyzję, kogo ma przelecieć, czy jaką wybrać międzystanową drogę, czy gdzie spędzą noc, czy nawet co będą jeść. Nie miało znaczenia, że przejeżdżali akurat przez jakieś zadupie w Teksasie, kiedy przestawał działać dexamil i jajka sadzone były jedyną rzeczą, o jakiej marzyła wręcz obsesyjnie, na granicy halucynacji – on chciał *tacos*, chciał salsy, papryki i piwa *tecate*, i to właśnie zamawiali.

– No nie, dajże spokój, nie bądź taka lewa, Paulette. Wiesz chyba, co piszą ci z komuny Kerista, czarno na białym, w „Speelerze”? No jak? Wiesz?

Wiedziała. Bo cytował jej to za każdym razem, kiedy się napalił. Kimkolwiek byli keristianianie, keristanterzy czy jak tam się nazywali, głosili pochwałę Wolnej Miłości bez uprzedzeń – to znaczy uprawianie seksu z każdym, kto o to poprosił, bez względu na rasę, wyznanie, kolor skóry, na to, czy byli grubi, starzy, czy upośledzeni, czy śmierdzieli jak wnętrze starego buta. Odmówienie komukolwiek, kto chciał sobie pochędożyć, traktowano jako akt wrogości, bez względu na to, czy miało się ochotę, czy nie – jest siódma rano, masz kaca, włosy wyglądają jak przeszczepione, a jakiś gość chce się dymać? No to się z nim dymaj. Albo to robisz, albo znikasz, bo jesteś obciążona wszystkimi swoimi drobnomieszczańskimi zahamowaniami jak twoi pieprzeni starzy i cała reszta świata „normalsów”. To właśnie głosili keristianianie, ale ona myślała sobie, a raczej dopiero zaczynała myśleć w taki najbardziej elementarny, prosty sposób, że cała ta Wolna Miłość została wymyślona przez jakiegoś pryszczatego, łysiejącego i pewnie zezowatego typu, który nie mógł sobie podymać w żaden inny sposób, a ona nie miała na to ochoty, nie dziś, nie z Ronniem i z tą, jak jej tam było.

– Nie, Ronnie – powiedziała, zdejmując jego rękę ze swego ramienia i pozwalając, żeby opadła bezwładnie jak kłoda, którą w istocie była. – N-nie. – Wstała i patrzyła na niego z góry, na maleńki owal jego twarzy, a dziewczyna patrzyła z dołu na nią i uśmiech gasł powoli na jej twarzy jak światła podczas zaciemnienia. – Mam gdzieś keristianian. Idę spać. I nie mów na mnie tak.

Urażony, zmieszany i zaszokowany przywarł do dziewczyny – do Merry, tak właśnie miała na imię, Merry, czyli Wesola – jakby była skrzynką na wzburzonym morzu, a jego statek poszedł przed chwilą na dno.

– Jak mam nie mówić?



Biust podskakiwał, mały penis dyndał, ludzie walili tamburynami o dłonie, a dym z trawki i kadzidełek snuł się nad podłogą jak mgła.

– Nie mów na mnie Paulette – odparła i odeszła; bose stopy kluczyły w gęstwinie bioder i nagich kończyn jej braci i siostr.

Nadszedł kolejny poranek. Napłynął znad wierzchołków drzew, razem z poświatą, zjawiskiem absolutnie naturalnym, bo Star nie była na haju od trzech dni. Ronnie zajął się Merry i kobietą z dużymi cyckami, która miała, jak się okazało, dwadzieścia siedem lat i pracowała dotąd jako sekretarka w jakiejś firmie transportowej. Nazywała się Lydia. Znalazła tu kilka gościnnych materacy, postanowiła więc pieprzyć robotę i plastikowy świat, a także wielkie, krępujące, wrzynające się w ciało staniki, spinki do włosów, makijaż i całą resztę. Star przyjęła to obojętnie. Przecież nie jestem zakochana w Ronniem ani nic takiego, powiedziała sobie. Po prostu pochodził z jej stron rodzinnych i wędrowali razem przez wielką patelnię stanu Iowa, żółtą Nebraskę, Nowy Meksyk zakuty w spękany brunatny pancerz i ceglastą, czerwoną Arizone, wtórując Stonesom i śpiewając *Under My Thumb, Goin' Home, home, home, home*. To też było coś, jasne. Ale kiedy manewrowała wiadrem, ustawiając je pod pierwszą z kóz, uprzytomniła sobie, że czuje się dobrze, jest nienaćpana, spokojna, bez żadnych dręczących myśli, po raz pierwszy odkąd sięgała pamięcią.

Wszystko wokół było naładowane elektrycznością – czuła to podeszwami swoich bosych stóp, chłonęła każdym porem skóry; to było życie z jej wyobrażeń, jakie miała, kiedy opuszczała dom, życie w niezmaconym spokoju, wśród miłości i medytacji, z wiarą w to, co zwyczajne i proste, bez żadnego udawania, bez gierki, bez plastikowych marzeń o wszechpotężnym dolarze. Zakosztowała już wcześniej, w domu, takiego życia: spotykała się z Ronniem i z paroma jego znajomymi, którzy wynajęli kilka kamiennych chat w lesie, nie dalej niż milę od głównej autostrady. Spędzała tam z Ronniem większość nocy, nawet wtedy gdy musiała wstać rano i jechać do pracy, bo wciąż jeszcze mieszkała z rodzicami, a to było miejsce, w którym mogła się odprężyć, porzucić wszelkie udawanie i być po prostu sobą. Ludzie z sąsiednich chat zbierali się w ostatniej w szeregu – zajmowały ją dwie siostry z Florydy, JoJo i Suzie – bo była największa i miała kamienny kominek, do którego chłopak Suzie wciąż dokładał polan.

JoJo była starsza, miała dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat. Przez pewien czas należała do komuny w Vermont – w miejscu zwanym Dal – i jak często wspominała, nocami, kiedy nie byli bardzo naćpani, zapadali się w poduszki rozrzucone na podłodze i w milczeniu pozwalali, by pulsacja aparatury stereo całkowicie nad nimi zapanowała. Przyłączyła się do nich zaraz po liceum, przyszła sarna, z sześcioma dolarami w kieszeni i z egzemplarzem książki *Włóczędzy dharmy* pod pachą, związała się z jakimś „kotem” i została tam trzy lata. Kiedy mówiła, jej oczy patrzyły jakby do wnętrza, a popiół zapomnianego papierosa przybierał białą barwę. Siadała na kuchennym stole i opowiadała Star o tym, jak to jest, kiedy żyje się z ludźmi w stanie ciągłej euforii, prawdziwymi, przybranymi mistycznymi braćmi i siostrami, wybranymi spośród ludzi całego świata tylko dla ciebie. I o prostych przyjemnościach pieczenia chleba, zbierania jajek, gotowania rzadkiego, słodkawego soku klonowego, aż uzyskiwało się syrop, który wyglądał jak płynne złoto i był niepodobny do niczego, co można było kupić w sklepie.

Ronnie siadywał w głównej izbie – był wtedy na etapie heroiny – i kiwając głową, truł grobowym głosem o samochodach, sprzęcie grającym albo zespołach, a JoJo wstawiała garnek czegoś tam na piec, na wypadek gdyby ktoś zgłodniał, i rzeczywiście głodnieli praktycznie co noc. Nie była to komuna, raczej zwykła paczka młodych ludzi, którzy wybrali wspólne życie, ale Star wydawało się, że obcuje z absolutem. Można się było zjawić w którejkolwiek z chat o dowolnej porze dnia czy nocy i zawsze było do kogo zagadać, było z kim posłuchać nowej płyty, podzielić się wierszem, prochami czy jedzeniem. Star miała stałe miejsce na starym chodniku przed kominkiem, u boku Ronniego, i słuchała całą noc muzyki, a fajka lub skręt krążyły dokoła, kiedy zaś chciała poplotkować, pochwalić się nowymi butami albo biżuterią, miała pod bokiem Suzie i JoJo i pół tuzina innych dziewcząt, które traktowała jak siostry, jak koleżanki z jednej sypialni w internacie, tyle że znacznie od tamtych lepsze.

To była tylko próbka, zaledwie posmakowanie. Bo wkrótce namierzyła ich policja i robiła się prawdziwa afera, nawet jeśli ktoś tylko skręcił w mroczną, zarośniętą ścieżkę, która prowadziła do zabudowań. Zaraz błyskały światła latarek, wysiadać z samochodu i dokąd to o tej porze, i czy ja cię przypadkiem nie znam? I za bardzo uzależnili się od prochów, wszyscy natychmiast odlatywali i nie było prawdziwego współdziałania – poza tym wszyscy mieli jakąś pracę w plastikowym świecie. Suzie, a potem jej chłopak Milce zostali aresztowani i wszystko się rozsypało. Ale teraz Star była tu, w Kalifornii, żar lał się z nieba, kozy beczwały dla niej, była po raz pierwszy częścią jakiejś rzeczywistości, ważną częścią. A co dopiero powiedzieć na to, że jeszcze dwa tygodnie temu nigdy nie widziała kozy – a jeśli już, to najwyżej w zoo albo na zagonie dyni, kiedy miała dziesięć lat i zaciskała ściągnięte aparatem zęby, bo kiedy próbowała się uśmiechnąć, ohydny metal błyskał jej w ustach jak żarówka. A oto teraz doi dwie kozy, i to fachowo, jak wieśniaczka z powieści Thomasa Hardy’ego, jakaś Star D’Urberville – i cała komuna jest zależna od niej.

W porządku. Żółtawe mleko strzykało z sykiem do wiadra. Ale wtedy druga koza – Amanda czy Dewlap, nie mogła ich odróżnić, mimo że ciągnęła i miętosila ich wymiona od ilu to już poranków? – wsadziła do wiadra kopyto i mleko, z którego planowali zrobić jogurt, nie mówiąc o dodatku do płatków kukurydzianych i kawy, wylało się na ziemię.

– O! – powiedział głos za jej plecami. – Ofiara dla bogów. To niesamowite, naprawdę!

Przycupnęła w cieniu dębu, do którego przywiązywali kozy na noc, żeby nie ogołociły całkowicie z zieleni i z wszelkich kiełkujących pędów oblicza ziemi. Przywołała na twarz uśmiech i odwróciła energicznie głowę. Była szczęśliwa, czuła uniesienie, gotowa krzyknąć i zaświadczać tę historię z rozlanym mlekiem i w ogóle – bo to było właśnie to, czego zawsze pragnęła, żyć z płodów ziemi ze swoimi braćmi i siostrami i pieprzyć się z Ronniem, naprawdę, po prostu pieprzyć się z nim. Okej. Fajnie. Ale okazało się, że uśmiecha się do pustki: nikogo w pobliżu nie było.

A więc jest już aż tak źle? Obrazy z przeszłości to normalne, ale słuchowe omamy?

– Wyżej – powiedział głos, więc spojrzała w górę, na rozłożyste szare konary drzewa, i zobaczyła podeszwy brudnych, szerniałych stóp, ciemnych jak wnętrze grobowca, i białą ukośną plamę nagich męskich ud i bioder, a potem cały tors, włosy i twarz.

Nieznajomy uśmiechał się do niej z góry. Siedział okrakiem na gałęzi tak grubej jak rury, które doprowadzają wodę do przedmiejskich osiedli typu „dzieci-na-rowerkach, mamusia-w-kuchni”, do miejsc, w których dorastała wśród warkotu kosiarek do trawy i dymów z grilla. Barbecue. Krzewy bzu. Efektywne metody kształcenia.

Cóż miała powiedzieć? Automatycznym ruchem podniosła sztywno wyprostowaną dłoń, żeby osłonić oczy przed blaskiem, ale w górze nie było blasku, były tylko głębokie cienie w koronie drzewa i łagodna słoneczna poświata.

Za nim – trochę w lewo i ponad jego głową, jak mogła tego nie zauważyć? – tkwił na konarze drewniany domek, jakby kopia domku, który zbudował ojciec na wiśni rosnącej na ich podwórku, kiedy Star skończyła osiem lat, bo tylko tego chciała na urodziny i niczego więcej. Głos nieznanego spłynął ku niej z góry.

– Czy to kozy narozrabiwały, czy naprawdę próbujesz przebłagać bogów?

Przebłagać? Kim był ten chłopak?

– Miałam zrobić jogurt – dla wszystkich – ale Dewlap, a może Amanda – są bardzo niesforne.

– Przydałby się prawdziwy pastuch.

– To prawda. A ty nie jesteś przypadkiem pastuchem?

Był po prostu nagim mężczyzną, który siedział na drzewie.

– Zabijaś mi klina – powiedział ze śmiechem. – Ale tak naprawdę moim jedynym zajęciem – moim powołaniem, jedynym powodem, dla którego urodziłem się na tej ziemi, jest budowanie domków na drzewie. A tak nawiasem mówiąc: lubisz takie domki?

Miał na imię Marco; Norm Sender, kot, który odziedziczył te czterdzieści siedem nasłonecznionych akrów nad Russian River i założył przed dwoma laty Drop City, wziął go do samochodu na drodze pod Bolinas. Marco zbudował domek z obrzynków desek w ciągu jednego popołudnia, w czasie gdy ona miała sjęstę, medytowała, pielęła ogródek i szorowała wspólne garnki – i teraz, kiedy wyciągnął do niej nagie ramię, ujęła go za rękę, a on unióśł ją na gałąź obok siebie, jak gdyby nie ważyła więcej niż owiewające ich powietrze. Siedziała mu prawie na kolanach, a on był nagi, ale nie podniecony, bo nie o to chodziło – ich relacja była bratersko-siostrzana, chodziło więc o to, by siedzieć na drzewie o poranku, i o to, by świat pokręcił się trochę bez nich.

– To jest Olimp – powiedział – a my jesteśmy bogami i zsyłamy ludziom światło. Widzisz tę plamę na piachu, na tym skrawku lichej ziemi; na którym dziewczyna od kóz złożyła ofiarę?

Widziała i wydało jej się to zabawne, najzabawniejsze na świecie, to kozie mleko rozlane na ziemi, stojące obok proste blaszane wiadro, kozy beczące i siejące bobkami i jakiś ranny ptaszek – Reba, rozmemłana, tęga, macierzyńska Reba, która wyszła z kuchni w głównym budynku z rondlem pełnym wody, żeby skropić margerytki w ogródku. Star śmiała się tak, aż poczuła ból w piersiach i dwa bliźniacze szpony wbijające się w pozbawiony przez chwilę tlenu mózg. A potem Marco powiódł ją do domku, szerokiego na sześć stóp i długiego na osiem, z chodnikiem, gitarą, zwiniętym jeszcze śpiworem i dachem z wydzielających słodkawą woń cedrowych deszczułek. I co zrobił w pierwszej kolejności? Przygotował skręta, polizał końce i podał go jej.



Pobocze drogi usłane było jedwabistymi paprociami i polnymi kwiatami, porosłe lśniąca, wilgotną trawą, która sterczała w górę, dźgając podbrzusze mgły. Stał wśród tych traw w swoich podartych dżinsach i wystawiał kciuk. Miał na sobie spłowiałą dżinsową kurtkę, nieprany od tygodnia T-shirt i parę ręcznie szytych czerwono-czarnych kowbojskich butów, które kupił w Mexicali za jedną piątą ceny, jaką zapłaciłby w San Francisco, ale które nie spisywały się zbyt dobrze. Po pierwsze, nierówno ścierały się obcasy, a po drugie, buty przemokły tyle razy, że straciły kolor. Wyżej, pod nogawkami, cholewki były wciąż jak nowe, ale to, co było widać, wyglądało jak niewyprawiona skóra, której ścinki sprzedawali z kosza w sklepach zoologicznych. A już jego gitara to był całkiem osobny rozdział. Nigdy nie miał do niej futerału, w każdym razie sobie tego nie przypominał, a więc owinał ją dla ochrony czarnym plastikowym workiem na śmieci. Teraz, kiedy tak stał z wystawionym kciukiem, opierała się o jego nogę niczym jakiś niesamowity grzyb, który wyskoczył zniecka z ziemi, kiedy nikt nie patrzył.

Właściwie nie padało, ale mgła skraplała się na drzewach i musiał związać włosy na karku czerwoną bandaną, żeby mokre kosmyki nie opadały mu na twarz. Miał nóż w sześciocalowej pochwie przytroczonej do pasa, ale służył on tylko do niewinnych celów, do wygładzania gałązek manzanity i patroszenia pstrągów, zanim owinie je folią i upiecze na rozżarzonych węglach. W bukłaku miał wodę, nie wino (tego nauczyło go ciężkie doświadczenie, jakie przeszedł na pustyni Sonora), a w plecaku z demobilu śpiwór, karimatę, kilka podstawowych utensyliów wędrowca i zawilgocony egzemplarz *Myszy i ludzi* Steinbecka. Właśnie tego ranka przeczytał kilka pierwszych stron – o tym, jak George i Lennie siedzą przy ognisku, w świecie, który obiecuje wszystko, a nie daje niczego – przygotowując sobie kawę na swoim własnym ognisku i podgrzewając puszkę fasoli, podczas gdy szare światło brzasku przesączało się leniwie przez listowie. Rozmyślał właśnie o tym wszystkim, o tym, jak Lennie powtarza niby refren słowa: „I będziemy żyli z tego, co da ziemia...wbrew smutnej i przytłaczającej namacalnej rzeczywistości, kiedy z mgły wyłoniły się pierwsze samochody, przemykając z szumem obok niego, zupełnie jakby nie istniał.

Nie przejmował się. Nie było pośpiechu. Nie tyle biegł, ile dryfował, anonimowy jak poranek, i to prawda, wszedł w konflikt z prawem z powodu drobnego wykroczenia, wyleciał z college'u, porzucił pracę, a potem drugą i kolejną, i owszem, otrzymał zimną, twardą, wypisaną czarno na białym kartę powołania, którą wrzucili do szarej blaszanej skrzynki pocztowej przed domem rodziców w Connecticut, ale to było dwa lata temu. W tym czasie – i tu przychodziła mu na myśl jego ulubiona książka Steinbecka, *Tortilla Flat* – próbował jakoś uporządkować swoje sprawy, na różnych poziomach, wiedząc proste życie, poddając się nastrojom chwili. Wszyscy mówili o powrocie do ziemi, jakby już to samo w sobie było jakąś cnotą. On wiedział, czym jest ziemia – sypiał na niej, wędrował autostopem wśród wzgórz i przez oślepiająco białe równiny, a kiedy budził się pod drzewami w ciszy poranka, myślał o niej jak o parze olbrzymich płuc wdychających i wydychających powietrze. To było jak na razie najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić. A co do samochodów, to nie udało mu się zatrzymać żadnego także poprzedniej nocy, znalazł więc to miejsce okolone eukaliptusami o białej korze, które pachniały wilgocią, mentolem i wszystkim, co tylko możliwe – i urządził sobie posłanie nad strumykiem, żeby obudził go szmer wody, a nie odgłosy ruchu na szosie.

Kiedy samochody przejechały, zapadła cisza, która robiła wrażenie czegoś nadprzyrodzonego; nie słychać było żadnego dźwięku prócz nawoływań ptaków i szelestu ociekających drzew. Odczekał chwilę, nasłuchując warkotu samochodów, potem zarzucił gitarę na ramię i ruszył drogą w stronę Olemy i Point Reyes. Wszedł w rytm, który odczuwał w łydkach i udach jako rodzaj energii; krocząc poboczem, miał wrażenie, że mógłby tak iść w nieskończoność, przemierzyć dwukrotnie cały kontynent, a wyraz jego twarzy mówił kierowcom przejeżdżających samochodów, że gwizdże na to, czy się zatrzymają, czy nie. Przejechało pewnie dwadzieścia parę lub trzydzieści aut i słońce wspięło się wysoko, wypalając mgły nad polami, zanim jakiś Volkswagen van w końcu się zatrzymał. Samochód był prawie nowy, biały od góry, pomarańczowy od dołu, ale kiedy Marco podszedł, unosząc ramię, zobaczył toporną pacyfę chlaśniętą białą farbą na drzwiach – i od razu wiedział, że jest w domu.

Za kierownicą siedział nie najmłodszy facet – po trzydziestce, może nawet tuż przed czterdziestką – ze zmierzwioną brodą, która kładła mu się na kombinezonie, a od góry łączyła się z włosami. Miał na nosie okulary w brzydkiej oprawce z czarnego plastiku, a w jego uśmiechu błyskały co najmniej dwa złote zęby.

– Wskakuj, bracie – powiedział do Marca. – Dokąd to idziemy?

Trzaśnięcie drzwiami, grzechotliwy, blaszany warkot silnika, owady kamikadze i kurz, plecak i gitara ciśnięte na tylne siedzenie jak kontrabanda; każda jazda jest rytuałem, każdy rytuał jazdą.

– Na północ – odpowiedział Marco. – Wielkie dzięki, stary – dodał odruchowo.

Potem zapadło milczenie, tylko radio ożywiło się nagle z trzaskiem, atakując uszy elektrycznym rock and rollem.

Widzialny świat przemykał za szybą dobrą minutę, zanim kierowca odwrócił się do niego i zawołał, przekrzykując muzykę:

– Północ? To bardzo ogólny kierunek. A dokąd konkretnie – może do Sitki? Do Nome? A może do parku Santa’s Workshop? Do Santy by mi pasowało.

Marco wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Właściwie to szedłem do Sonomy, na rancho Drop City.

– Drop City? Mówisz o tym rancho hipisów? Gdzie wszyscy chodzą na golasa, dymają się na okrągło i ćpają? Chcesz do nich dołączyć? – Kierowca spojrział mu prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok w stronę drogi.

Marco zastanawiał się, co odpowiedzieć. Facet mógł być wszystkim – ćpunem, faszystą, maklerem giełdowym, a może samym generałem Hersheyem. Ale broda – zdradzała go ta broda.

– Tak – odparł. – Tak właśnie chciałem zrobić.

Było pewnie parę minut po dwunastej, kiedy wtoczyli się przez wrota do bydłowej zagrody i podjechali zrytą, piaszczystą drogą do głównego budynku. Był to kres jazdy, cel, jakim jest weranda i drzwi frontowe; Marco siedział podekscytowany, chłonąc wszystko oczami, a tymczasem Norm Sender zaryczał: „Odpowiedź jest prawidłowa, bracie” – i zaczął wygłaszać półgodzinną mowę na swój ulubiony – a właściwie jedyny – temat, temat Drop City.

Był naćpany – sądząc po wyglądzie i brzmieniu głosu, na amfie, ale to w najmniejszym stopniu nie zaniepokoiło Marca, ponieważ każdy, kogo spotkał w ciągu ostatnich dwóch lat, był albo na haju, albo akurat z tego wychodził, i on sam zaćpał więcej razy, niż chciałby się do tego przyznać. Na początku, kiedy miał dziewiętnaście, dwadzieścia lat, chodziło o przechwałki – „Ach, więc wałnąłeś sobie DMT i paliłeś opium na koncercie? To super, bracie, ale ja uznaję tylko herę i nic więcej – to jest coś dla mnie. I kwas. Oczywiście kwas. I nie po to, żeby sobie poszerzyć świadomość, żadnego takiego mistycznego szajsu – tylko po to, żeby się podrajcować, bracie, rozumiesz?” – ale teraz nie zależało mu na tym. Ile takich rozmów odbył? Wydawało się, że z dziesięć milionów, tyle samo wdechów ile wydechów. A jednak kiedy Norm Sender zapalił dżojnta i podał mu, wziął go i pociągnął. Tak się po prostu robiło. Taki był rytuał.

Siedzieli, gapiąc się przez przednią szybę i paląc. Kiedy skończyli skręta, Norm zapalił papierosa i podał go Marcowi, a Marco zaciągnął się i oddał mu go z powrotem. Droga była taka jak wszystkie: płonąca wstęga jedwabiu, drzewa jak pikujące bombowce. Marco rozparł się wygodnie, samochód kołysał się i zataczał, dym ulatywał przez okno, a Norm co chwilę poprawiał na nosie okulary, które zsuwały mu się, jakby były naoliwione. Pleciony pasek od spodni nie mógł utrzymać jego wydatnego brzuszka, z uszu i nosa sterczały mu szczeciniaste czarne włosy, a ramiona miał bielsze, niżby przystało farmerowi. Mówił, a Marco słuchał jego ochryplego, wysokiego głosu, który brzmiał jak skowyt, tonął w zupie hałasu płynącego z radia i przebijał się przez warkot i wycie silnika.

– Moi rodzice? – (Wyglądało to na preludium, choć Marco nie napomknął słowem o żadnych rodzicach – rozmawiali o niczym, o różnych bzdurach, fajnych rzeczach i tak dalej, przekrzykując radio, które trzeszczało od zakłóceń, gdy Norm manipulował pokrętem pokieroszowanymi, grubymi paluchami).

– Matka, która mnie wykarmiła, i mój stary, cholerny kmiotek i kowboj? Umarli. Stary kupił tę farmę. Zderzył się czołowo z ciężarówką pełną brojlerów, jadącą z Petalomy autostradą sto szesnaście, i może to brzmi śmiesznie i groteskowo, ale wcale śmieszne nie jest, bo ten stary pierdziel był narąbany jak stodoła, a moja matka zasługiwała na lepszy los, ale tak czy inaczej jego syn i spadkobierca – czyli ja, do usług – odziedziczył ranczo na wzgórzach i odczuwa w związku z tym całym posiadaniem ziemi pewien dyskomfort, bo przecież ziemia nie ma właściciela, jak mówi Timothy Leary w *Zmień się, człowieku*, no i w ten sposób powstała idea dobrowolnego prymitywizmu i Wudedezetu, czyli Wolnego Dostępu do Ziemi, którego nie odmawia się nikomu, kapujesz? Chcesz przyjść do Drop City, chcesz dołączyć do nas, odciąć się od społeczeństwa i po prostu żyć tu sobie, robiąc swoje, czy to będzie dojenie kóz, czy praca w ogrodzie i w kuchni, czy naprawy, pieczenie mięsa na rożnie, czy po prostu gapienie się dla przyjemności w niebo – i nie obchodzi mnie, kim jesteś – witaj w naszym gronie, witajcie wszyscy...

Minęły tak dwie godziny. Marco popadł w nastrój, w którym wszelkie oczekiwania ustępują bardziej ponurym i mrocznym myślom, ale kiedy zobaczył trawę nakrapianą musztardowymi plamkami, dęby pijące soki ziemi, kręcące się wokół psy, kozy, kury, kiedy zobaczył długowłosych mężczyzn tak pochłoniętych tym, co robili, że nawet nie podnieśli wzroku, no i kobiety – kobiety! – poczuł, że coś się w nim odradza. Pochylił się do przodu i chłonał wzrokiem przesuwanym za szybą widok: zabudowania, namioty, zagony warzywne, cytrusy, geodezyjną kopułę – a może to była jurta? Potem samochód skręcił i zza parawanu drzew wyskoczył na nich dom. Pojawił się i zniknął. Kiedy znów się wynurzył, Marco stwierdził, że jest to piętrowy szkieletowy budynek z licznymi przybudówkami, nieróżniący się niczym od tego, co widuje się w Kansas, Missouri czy w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie farmerzy uprawiają ziemię. Poza tym że ktoś pomalował ramy okien i futryny fosforyzującą pomarańczową farbą, a ściany w zielono-różową szachownicę, tak że dom przestał być domem, a stał się billboardem reklamującym psychodeliczną rewolucję. Samochód zatoczył się, wzbijając obłok kurzu, który zdławił powietrze, Norm wyszczerzył zęby i podniósł dłoń w geście pokoju, dwa żółte psy biegły obok nich w podskokach, aż w końcu wjechali na zryty koleinami placyk za domem i Norm zawołał:

– To dom idealny na wakacje, słowo daję!

Wakacje? Jakie wakacje? Marco zaczął się zastanawiać, o jakich wakacjach mowa, skoro jest dopiero połowa maja – nie był nawet pewien dokładnej daty; mógł być najwyżej piętnasty albo szesnasty – kiedy Norm zwrócił się do niego z uśmiechem:



– Tak się tylko mówi, bracie, a ja chciałbym być pierwszym, który złoży ci życzenia wesołych świąt Bożego Narodzenia! Ale tak naprawdę w Drop City są nieustające wakacje, bo my odrzucamy świat „normalsów”, zdecydowanie i kategorycznie, dla pana Jonesa nie ma wstępu, kapujesz?

Nie pozostawało nic innego, jak skinąć głową i pomóc swemu dobroczyńcy wyładowywać z samochodu towar – puszki z keczupem, masło orzechowe, miód, worki z preparowaną pszenicą, sezamem, brązowym ryżem, surowymi migdałami, płatki owsiane, narzędzia, przerobioną prądnicę, całą paletę chleba – „Na wymianę, bracie, na wymianę, brokuły za chleb, ogórasy za chleb, bakłażany i, nie uwierzysz, rzepa!” – oraz dwie wielkie papierowe torby, w których było ze trzydzieści płyt gramofonowych. I gdzie to wszystko szło? Do głównego budynku, po czterech stopniach na wytartą setkami stóp werandę na tyłach domu i dalej, do kuchni, całymi naręczami, na prymitywny stół, niezgrabny, ale solidny. A w kuchni ziola w doniczkach na parapecie okna, półki od podłogi do sufitu, wielkie pojemniki na wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, zgromadzone w jednym miejscu, jakby spodziewali się oblężenia. I kobiety, trzy: Merry, Maya i Verbie.

Wszystkie trzy podniosły wzrok, kiedy Marco wszedł za Normem i położył swoje pakunki na stole. I owszem, uśmiechnęły się, ale on widział już podobne uśmiechy – w takich komunach jak Gwiazda Zaranna, Olompali, Magiczna Farma, Gorda Mountain – i były one wyprane z jakichkolwiek śladów braterskich czy siostrzanych uczuć. Te blade, powściągliwe, zatroskane (bo przypaliła się owsianka) bratersko-siostrzane uśmiechy miały niby być serdeczne, ale ilu już przed nim witały w ten sposób? Był nowy. Nowy kot. Jeszcze jedna gęba do wykarmienia, a czy sam coś wniesie, da coś od siebie, czy zostanie i wypieli ogród, naprawi dach, przekopie rów od zatkanych toalet do niedokończonego dołu kloaczego, czy nie szkoda dla niego czasu i atłasu? Czy tylko przeleci wszystkie kobiety, będzie całymi dniami palił trawkę i pił tanie wino i zjawiał się w porze posiłków z talerzem w ręku? Te nieco złośliwe uśmieszki onieśmiały go i odbierały mu poczucie własnej wartości.

Musiał wejść po stopniach sześć czy siedem razy, objuczony zakupami, zanim się w ogóle do niego odezwały. Pierwsza zrobiła to Merry, wysoka, z czarnymi oczami i z gałązką łąszcza wetkniętą za ucho. Podniosła wzrok i mruknęła:

– Długo w drodze?

Nie było Norma, który by za niego odpowiedział – wymaszerował właśnie z krzykiem do sąsiedniej izby, zdzierając folię z jednej z nowych płyt, i pozostawił za sobą próżnię. Maya i Verbie stały w rogu izby przy zlewie, pochylone nad stosami cebuli, papryki, cukinii i marchewki. Kroiły to wszystko, wrzucały do garnka i rozmawiały monotonnymi, przyciszonymi głosami. Merry przemknęła boso przez pokój, żeby powymować zakupy z toreb i znaleźć dla nich miejsce na półkach. Stała teraz o krok od niego, pachnąca czosnkiem i kolendrą, a jej wzrok podążał niepewnie za pytaniem, które zadała. Marco wzruszył ramionami. Prawidłowa odpowiedź brzmiałaby: jakieś dwa lata. Ale nie powiedział tego. Powiedział tylko:

– Nie wiem. Trochę.

I to był koniec rozmowy. Merry odwróciła się do niego plecami, bujne włosy sływały jej swobodnie na ramiona, kłykcie bieleły, kiedy ustawiała puszki na półkach, brzemienne słońce świeciło prosto w okna, zioła w doniczkach rozcapierały swe łodyżki jak palce, a leżący na lodówce kot (to znaczy *feles*), którego Marco wcześniej nie zauważył, podniósł głowę i przeszył go stalowym spojrzeniem żółtych ślepiów. Cisza trwała jeszcze pół taktu, dopóki nie wdarł się w nią potężnie wzmocniony zgrzyt igły opuszczonej na nowiutką winylową płytę i domu nie wypełnił obłąkańczy łomot perkusji i gitar. Jeszcze dwa takty. Z pochyloną głową wyszedł boczkiem z pokoju. Na zewnątrz, za piaszczystym placikiem, gdzie stał samochód, było mniej więcej normalne podwórko z parą drzew cytrynowych, rabatką i basenikiem, w którym woda połyskiwała, gdy samotny pływak – z tej odległości Marco nie mógł odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta – okrążał go z maniacką wytrzymałością, jaką obserwuje się u zwierząt w klatkach. Ciemne, splątane włosy. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Marco odczuł nagłą pokusę, by się rozebrać i wskoczyć do wody, pozbyć się wszelkich smarów i smrodów drogi, a także uporczywego zapaszku śpiwora, ale nikogo tu jeszcze nie znał, był więc ostrożny – najważniejszą rzeczą, jaką musiał zrobić, zanim wejdzie w rytm tego miejsca, było podjęcie decyzji, gdzie prześpi tę noc, a może i kilka następnych. Kiedy skręcali ku zabudowaniom, Norm wskazał mu za jednym z budynków gospodarczych stertę obrzynków desek i przekrzykując radio, zawołał:

– Buduj, śmiało, buduj, co ci się żywnie podoba, nie zamierzam być policjantem ani tobą rządzić, rób sobie, co chcesz.

Teraz Marco pomyślał, że warto by rzucić okiem, co się da z tego zrobić. Nie był mistrzem w dziedzinie stolarki, ale radził sobie z tym całkiem nieźle i poza kilkoma dniami pracy z ekipą budowlaną w San Jose nie wykonywał od wielu tygodni żadnej konkretnej roboty. Czemu by nie spróbować, pomyślał. Nawet jeśli nie miałby tu zostać, był to jakiś sposób na zabicie czasu.

Położył plecak i gitarę pod jednym z wielkich dębów na głównym podwórzu i poszedł bez pośpiechu obejrzeć deski. Nie było tego wiele. Sterta wymytych deszczem, zbiałych kantówek o wymiarach dwa na cztery cale, kilka arkuszy wypaczonej sklejk, trochę ścinków, przeważnie nadpalonych – nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby odgadnąć, że Drop City musiało puścić z dymem co najmniej jedną chałupę. Sortował właśnie materiał, kiedy jakiś chłopak, na oko dwudziestoparoletni, wynurzył się z wysokiej trawy. Szedł sprężystym, tanecznym krokiem, miał nieco za dużą głowę i zbyt małe stopy.

– Co jest grane? – zapytał, zbliżywszy się, i Marco zobaczył, że trzyma w jednej ręce wędkę, a w drugiej nanizany na sznurek pęk małych okonków.

Oczy miał szkliste i nieprzytomne; wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z hali po bardzo długim koncercie. I co jeszcze? Ciemna opalenizna, paciorki, obcięte dzinsy, sportowe buty i najrzadsza na świecie bródka.

Marco kiwnął głową i odpowiedział plemiennym pozdrowieniem:

– A co ma być grane?

Chłopak stał, przyglądając mu się bacznie przez minutę, z lekkim rozbawieniem na twarzy.

– Jestem Pan – powiedział – a właściwie Ronnie, ale wszyscy mówią na mnie Pan... a ty?

– Marco.

– Super. Będziesz coś budował?

– Chyba tak.

Ronnie zmarszczył brwi i wkręcił czubek sandała w piach.

– Z tego szajsu?

– Zaczynam skromnie – odparł Marco z uśmiechem. – Thoreau zapłacił coś około dwudziestu ośmiu dolarów za swoją chatę nad Walden Pond w Nowej Anglii i okazała się na tyle dobra, że przetrwał w niej całą zimę...

– No tak – rzekł Ronnie – ale od tego czasu ceny poszły ostro w górę.

– Zgadza się. Te deski są za darmo. I co tu gadać o deflacji!

Ale Ronnie najwyraźniej nie pojął dowcipu. Stał dłuższą chwilę, przypatrując się Marcowi pochylonemu nad stertą desek, aż jego ryby zaczęły sztywnieć na sznurku. Było gorąco. Z głębi lasu dobiegło szydercze krakanie stada kruków.

– A tak nawiasem mówiąc, co będziesz budował? – zapytał w końcu Ronnie.

Dopiero teraz dotarło do Marca, że sam tego nie wie, i trzeba było dopiero pytania, żeby zastanowił się nad odpowiedzią, bo do tej pory jego zamiśl nie przybrał żadnego konkretnego kształtu. Nagle spojrział na dąb, na jego rozległy głęboki cień, korzenie jak szpony, żółędzie, opadłe liście i na oparty o pień plecak i gitarę. Upuścił trzymaną w ręku deskę.

– Domek na drzewie – odpowiedział.

Pan zrobił sobie wolne. Pan zamierzał po prostu drapać się po owłosionych łydkach, palić fajkę, rozluźnić się, dać sobie spokój z seksem – był już od tego cały otarty – żadnego kotłowania ani z Merry, ani z Lydią, ani ze Star. Nie dziś. Już poranek był jakimś koszmarem, o dziewiątej Ronnie zwlókł się z materaca w ogólnej sypialni z takim uczuciem, jakby utkwiał mu gdzieś głęboko w gardle posmak przegrzanego gówna, wszyscy tłoczyli się do zardzewiałego studebakera 59, w którym on ze Star pruli wcześniej przez cały kraj i którym teraz jeździli do powiatowego urzędu pomocy społecznej w Santa Rosa po bony żywnościowe. Musiało być chyba ze czterdzieści stopni, z nieba lał się żar, zbliżał się weekend w świecie garniturowców, tęgie matrony sunęły do supermarketów w swoich długich na czterdzieści stóp samochodach i nikt nie miał nawet skręta, żeby mu ulżyć w cierpieniu.

Było późne popołudnie, Ronnie leżał wyciągnięty przy basenie, z włosami przylepionymi do czaszki kłajstrem, który osadził się na nich po całej serii nurkowań w zielonkawej wodzie – czy ktoś nie powinien wyspać do niej trochę chloru, przecież tak się chyba robi? – ze słońcem dobijającym swego targu, ptakami hałasującymi w koronach drzew, z dźwiękiem organków snującym się nad trawnikiem razem z ostrzegawczą wonią, obiadu dogotowującego się w wielkich garach w kuchni. Poprzedniego dnia – a może to było przedwczoraj? – dziewczyny zrobiły wegetariańską lazanię z tofu i z marchewką, które zastępowały mięso, i był to jeden z przyjemniejszych wieczorów. Zwykle na kolację jedli rozgotowany ryż przyprawiony ziołami, cebulą i różnościami z własnego ogródka. On się nie skarżył. A właściwie owszem. To, że jego bony szły do wspólnego garnka razem z bonami innych, mógł jeszcze znieść, ale uważał, że Norm jest szalony, kiedy upierał się, żeby karmić każdego, kto się pojawi, nawet włóczęgów i pijaczków czy tych czarnych kotów z Fillmore, którzy zajęli w zeszłym tygodniu cały budynek gospodarczy i najwyraźniej nie zamierzali się wynieść.



Przyjechali podczas weekendu, cała siódemka stłoczona w starym lincolnie Continental z owiewkami jak u kosmicznego pojazdu, który mógłby ich zanieść na Marsa i z powrotem. Byli bardzo *cool*, pokojowo usposobieni, jakby tylko sprawdzali samo miejsce i sytuację. Ronnie siedział właśnie na werandzie z Rebą, Verbie, Sky Dogiem i paroma innymi, przyglądając się grze światła wśród drzew, i starał się wyzebrać jakieś drobne od turystów, którzy robili zawsze wrażenie bardzo onieśmielonych i bardzo wdzięcznych, że mogą zmanifestować poparcie dla tego stylu życia, bo naprawdę głęboko wierzyli we wszystko, co się tu działo, naprawdę święcie wierzyli, tyle że akurat ich matka była chora albo zalegali z komornym, a ortodonta groził, że zdejmie druty z zębów ich dzieci, i czy wobec tego mogą tylko usiąść na chwilę na werandzie i czy to będzie okej? Niektórzy mieli aparaty fotograficzne i Sky Dog wyznaczył opłatę w wysokości ćwierć dolca za zdjęcie z prawdziwym, autentycznym hipisem w pełnym hipisowskim rynsztunku. Co odważniejsi zostawali na kolację i czekali z blaszanymi miskami w kolejce, a czasem też brali sobie jakiś drobiazg czy dwa na pamiątkę, gdy zapłonęło ognisko i gitary zostały wydobyte z futerałów. Śpiewali nawet do wtóru piosenkom Buffalo Springfield, Judy Collins czy Dylana, jeśli ktoś pamiętał słowa. Zupełnie jak na obozie letnim. Potem wsiadali do swoich fordów, chevroletów, volkswagenów garbusów i volvo i odjeżdżali do domów.

Z czarnymi było inaczej. Nie tyle wysiedli z samochodu, ile z niego wypęzli, z całą tą lubieżną, złowrogą i superluzacką energią bambusów – Ronnie nie był rasistą, absolutnie nie, miał może tylko nieco większe doświadczenie niż reszta braci i siostr z Drop City, którzy byli trochę zbyt marzycielscy i nie zorganizowani – a więc wypęzli z samochodu i przeszli przez podwórze w zwartym szyku, jak drużyna piłki nożnej. Przewodził im niejaki Lester. Wyglądał na łagodnego, był mały, miał twarz jak ulepioną z ciasta, czerwoną jedwabną apaszkę i buty na wysokim obcasie.

– Pokój, bracie – powiedział, wystawiając wskazujący i środkowy palec i patrząc Ronniemu w oczy.

Ronnie nie zareagował, ale Sky Dog i reszta mignęli w odpowiedzi znakiem pokoju i wymamrotali jakieś pozdrowienie. W chwilę później Lester siedział na stopniach werandy z podciągniętymi nogawkami czarnych spodni dzwonów, spod których widać było czerwone skarpetki i elastyczne cholewki beatlesówek, i pociągał z puszczonej w obieg fajki, pozostali zaś krążyli po podwórzu, spoglądając tylko pożądliwie.

– A więc to jest to słynne Drop City – powiedział Lester, wydmuchując dym. Głos miał tak cichy, że trzeba było dobrze nadstawiać ucha, żeby go usłyszeć, i nie była to poza, ale raczej sztuczka stosowana po to, by skupiać na sobie uwagę.

– Owszem – odezwała się Verbie, która nie potrafiła milczeć zbyt długo.

– My, to znaczy ja i ci tutaj *amigos*, słyszeliśmy o tym miejscu mnóstwo niestworzonych rzeczy w jadłodajni Diggersów. No wiecie, w Fillmore. – Lester obrzucił szybkim spojrzeniem werandę i podał fajkę jednemu ze swoich *amigos*. Fajka zatoczyła pełny krąg, po czym wróciła na werandę; wyglądało to zupełnie jak spotkanie dwóch plemion na wielkiej równinie, pokój, bracia, i fajka puszczone w obieg. – Tu jest naprawdę tak super, jak mówią? Naprawdę wszyscy bracia są mile widziani?

Hipisi na werandzie zaczęli zapewniać go z zapalem, że tak właśnie jest, i wszyscy myśleli o Hendriksie, Buddym Milesie, Free Hueyu, oprócz Lestera, który wyprostował nogi i rozsiadł się wygodniej.

Teraz jednak – teraz Ronnie podrzemywał nad basenem, wzięwszy sobie wolne od wszystkiego i wszystkich, łagodny jak baranek po mikroskopijnej dawce meskaliny, która przyjemnie zaokrąglala ostre kany rzeczywistości. Po drugiej stronie basenu dzieci Reby – Che i Sunshine – hałasowały niemilosiernie, jeżdżąc tam i z powrotem trójkołowym plastikowym rowerkiem po betonowej płycie, a „komunalny” koń – nazywali go Charley – tupał kopytami i parskał wściekle, bo jakiś ćpun z Daly City, którego imię uciekło Ronniemu, usiłował go zmusić do skoku przez przywiędły, spalony słońcem rząd oleandrów rosnących na krawędzi trawnika, ale to było w porządku, nie przeszkadzało mu. Chłonał to wszystko, czuł się wielkoduszny. Był Panem. Zaćpanym Panem. Na niebie świeciło słońce, a ziemia wydawała mu się fajnym miejscem, supermiejscem, miejscem wyznaczonym przez jakąś wyższą potęgę – wyższą potęgę – do przebudzenia zmysłów i duchowego pokrzepienia wszystkich braci i sióstr.

To znaczy było tak do zapadnięcia zmroku. Noc nadeszła, wyłoniła się, kipiąc i fermentując, z cieni, które zlewały się, tworząc okrągłe plamy u stóp drzew i w zbitym gąszczu zarośli wirujących w nieustannym pędzie wokół zboczy wzgórz. Ronnie czuł się nieco, no, odrobinę, rozdrażniony. W pewnej chwili nastąpiło interludium, podczas którego pozwolił, by wszystko wymknęło się spod kontroli: druga działka meskaliny, butelka czerwonego wina i parę sztuków czegoś, co ktoś zapalił po obiedzie, choć on, Ronnie, chyba nie zjadł obiadu? Obiad. Wielkie gary pełne kaszy, kobiety z wiszącymi swobodnie cyckami, zdrowie i prostota, dobre wiejskie życie. Basen błyszczał oleiście, lśnił jak krew w zanikającym świetle. Ronnie nie był głodny.

Poczuł nagłą potrzebę zobaczenia Star, zapragnął po prostu usiąść z nią w jakimś spokojnym miejscu i pogadać o rodzinnych stronach, o drobnych nawykach i wspomnieniach, które podtrzymywały ich na duchu przez całą drogę, kiedy jechali przez płaską i kosmatą równinę Środkowego Zachodu, a potem przez Góry Skaliste i dalej – o panu Boscovichu i lekcjach biologii w dziesiątej klasie, o tym, jak nazywał wszystko materią, jak mówił, że komórki są zbudowane z materii komórkowej, o tym, jak książki w bibliotece pachniały mydłem i spalonymi liśćmi, o tym popołudniu, kiedy Robert Stellner, „najnormalniejszy” chłopiec w szkole, wsadził głowę do worka z klejem do modeli samolotów i potem wrył sobie scyzorykiem na piersiach tajemnicze słowo *Jahwe*, stojąc przed lustrem w męskiej toalecie, jednym słowem o tym wszystkim – ale Star wciąż przesiadywała na drzewie z tym nowym i to jednak bolało, naprawdę bolało, pomimo tej całej zsranej gadki o wolnej miłości i keristianianach. Próbował wstać, odpychając się rękami od krawędzi basenu, ale nie dał rady, więc usiadł z powrotem. Beton był jeszcze ciepły i to przypomniało mu, że przed dwoma dniami ktoś widział w tym miejscu grzechotnika. „Ciagną do ciepła – wyjaśnił Norm – i albo trzeba do tego przywyknąć, albo je zabijać, obdzierać ze skóry i zjadać, ale wtedy zarabia się na złą węzową karmę w tym życiu i być może w następnym, a tego chyba nie chcecie?”.

Z głównego budynku docierał śmiech, gwar rozmów, dźwięki muzyki i wszystko to stapiało się w jeden pomruk, odgłos jakiegoś podskórnego prądu, jak gdyby to tam było prawdziwe i jedyne życie, a wszystko na zewnątrz, cała natura i wypełniona świergotem cykad ciemność, pozostawało dla przegranych – przegranych i węzów. Tam, w domu, byli Lydia, Merry, Verbie i cała reszta. Pomyślał, że może powinien wstać i wejść, żeby zaznać trochę ludzkiego ciepła i poczucia wspólnoty, bo o to przecież chodziło w Drop City, lub może zagrać w karty albo w monopol – ale wtedy obraz Alfreda, szarpiąc pazurami, przedarł się do jego mózgu i Ronnie zrezygnował.

Alfredo był jednym z członków założycieli komuny, człowiekiem z kręgu zaufanych Norma Sendera, jednym z tych ascetycznych typów o zgorzkniałej twarzy, dwudziestoosmio-dziewięcioletnim przyjacielem Reby. Bez przerwy rozprawiał o naturalnym rodzeniu i o tym, jak Reba ugotowała po porodzie łożysko i oboje zjedli po kawałku oraz jak Che i Sunshine przychodzili na świat na łonie natury, przy świetle księżyca i gwiazd, ale w gruncie rzeczy był ciągle spiętym sztywniakiem i palantem i przed dwoma dniami Ronnie ściał się z nim, bo Alfredo ostro skrytykował jego postawę wobec dobrowolnego mycia naczyń i wnoszenia śmieci, a także sprawy wykopania nowego dołu kloacznego. Stwierdził, że wszyscy zapchali rury w dwóch czynnych toaletach, aż zamieniły się obie w jedno wielkie morze gówna, a jego, Pana, w ogóle to nie obchodzi. Niech to szlag trafi. Owszem, obchodziło go. Ale Chryste, przecież nie po to przejechał taki kawał drogi aż do Kalifornii, żeby kopać doły kloaczne, kurwa.

Nad tym właśnie rozmyślał, siedząc na nagrzanej, tak lubianej przez węże betonowej płycie, wśród wzbierającej dokoła nocy, rozdygotany, ale i wkurwiony, potężnie wkurwiony, gdy nagle pojawili się nie wiadomo skąd Lester i jeszcze jeden z bambusów (Franklin, ten miał na imię Franklin), który niósł dzban wina.

– Witaj, bracie – sapnął Lester, sadowiąc się obok niego.

– Co tu robisz, pływasz?

– Nie wiem. Chyba tak. Pływałem przedtem – wcześniej, nie? – Słowa zdawały się grzęznąć mu w ustach, przylepiać się do nich jak smażenina do patelni. – Teraz chyba trochę za zimno. A co wy porabiacie?

Franklin stał obok z dzbanem wina – czerwonego cribari – który kołysał mu się na czubkach palców jak wielka, szklana bomba. Lester wyszczerzył zęby.

– Wciąż to samo, kurde – powiedział. – Urządziliśmy imprezę w naszej chacie i chcieliśmy cię zaprosić – byłoby nam miło, przynajmniej mnie, a co ty powiesz, Franklin?

Franklin powiedział, że jemu też byłoby miło.

– A przy okazji – dodał Lester, wstając i szykując się do odejścia. – Nie masz przypadkiem paru działek tej meskaliny, która ci podobno została?

Owszem, miał. Po chwili znalazł się w budynku gospodarczym, w którym siedziało w kółku sześciu czy siedmiu czarnych kotów, słuchając Marviną Gaye z przenośnego radia z mocno podbitymi basami: łup, łup, bum, łup, łup, bum. Zastał tu też Sky Doga, który hołubił swoją gitarę, ktoś zapalił kilka aromatycznych świec, bo w budynku gospodarczym nie było światła, i jeszcze nową dziewczynę – cipkę; nie mogła mieć więcej niż czternaście, piętnaście lat. Uciekiniarka. Jak masz na imię? Sally. Skąd jesteś? Z Santa Clara. Jaki jest twój stary? Sukinsyn. Mieli pewnie ze dwadzieścia podobnych tygodniowo, ale każda zostawała ledwie na jedną, dwie noce, jak gdyby to wszystko – Norm Sender, Alfredo, Reba, samo Drop City – nie było niczym więcej niż tylko czymś w rodzaju przedłużonej prywatki w piżamach.



Ronnie przedstawił się jako Pan, uściśnął ją po bratersku i po siostrzanemu, a potem usadowił się na podłodze w głębi izby i wziął na siebie obowiązek dbania o to, by dzban z winem krążył wśród obecnych. Było spokojnie. Szemrały jedwabiste głosy, Marvin Gaye, Sly and the Family Stone, Hendrix, łup, łup, bum, i Pan był właśnie w środku opowiadania zawilej historii o darmowym koncercie w Central Parku oraz o dobrych i złych prochach, jakie wziął tej nocy, a także o tym, jak ktoś zarzygał całą przednią szybę samochodu jego matki, który pożyczyla mu razem z masą ostrzeżeń i zakazów, kiedy Sally, chudonoga czternastoletnia uciekinierka w połatanych dżinsach i elastycznym topie, zaczęła krzyczeć. A konkretnie wołać: „Puszczaj, ty świrze!”. Słysząc było w tym okrzyku piskliwe wibrato nastolatki, które strzeliło w górę skali jak sprzężenie w aparaturze, więc Ronnie, nie przerywając swojej opowieści, spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że Lester przygważdża dziewczynę do ziemi, chwytając ją jednocześnie oburącz za piersi i wywalając na wierzch różowy polec języka, a Sky Dog – Sky D o g, pan Łagodny, uosobienie Pokoju i Miłości – z gołymi, opalonymi pośladkami zdziera z mozołem dżinsy z jej wierzgających patykowatych nóg.

Ronnie był w połowie swej historii; brnął monotonnym, nosowym głosem przez standardowe interludia, gęsto przyozdabiając całość modnymi powiedzonkami, a rozbierało go tak, że ledwie mógł unieść głowę znad podłogi, ale to, co zobaczył – ten krzyk, ta scena rozgrywająca się w kącie – wstrząsnęła nim do głębi. „Puszczaj, no puuszczaj!”, wrzeszczała dziewczyna – miała teraz gołe nogi, pośladki Sky Doga dźgały tak brutalnie, że bolało od samego patrzenia, i było to ohydne, absolutnie podłe, więc Ronnie próbował podnieść się z podłogi i powiedzieć: „Hej, człowieku, co ty wyprawiasz?”, bo to nie było w porządku, nie było na pewno – ale zanim zdołał stanąć na nogi, uprzytomnił sobie, że wszyscy patrzą na niego wzrokiem, w którym nie było bynajmniej braterskich uczuć ani choćby najdrobniejszej isierki człowieczeństwa.

Rankiem, który spadł z nieba jak ruska rakieta wycelowana prosto w jego mózg, Pan otworzył oczy i zobaczył sztywną, wysoką trawę ze złocistymi wiechami zwisającymi nad nim, jakby były obumarłe i przegniłe. Leżał na wznak w zielsku za budynkiem gospodarczym i była to dlań mała, nieprzyjemna niespodzianka, zwłaszcza kiedy pomyślał o węzach – grzechotnikach albo jakichkolwiek innych. Włosy miał sztywne od brudu, pełno w nich było wplątanych gałązek i siewki, a kiedy potarł potylicę, wyczuł tam zgrubienie, jak gdyby jakiś gęsty płyn – czyli krew – wyciekł mu z głowy i zakrzepł, tworząc szczeciniastą grudę. Czuł się koszmarne. Koszmarne pod każdym względem. Ale przede wszystkim męczyło go pragnienie, zanim więc cokolwiek postanowił, podniósł się ze spalonego słońcem zielska i poszedł chwiejnym krokiem do gumowego węża leżącego na trawniku, a potem zanurzył głowę w basenie i zaschnięta krew – a miał też szorstki, ziarnisty strup na kości policzkowej – rozpuściła się i rozplynęła z bulgotem jak mętny brunatny obłok zanikającej materii.

Musiło już być południe lub nawet później, bo ludzie zebrali się na trawniku z blaszanymi miskami kaszy w rękach.

Oczy im błyszcząły, włosy mieli rozwiane, wszystkie kolory ich sarongów, T-shirtów i lśniących ciał jarzyły się, jakby wszyscy zamienili się w żarówki i nieustannie świecili. Kilka osób rzuciło od niechcenia: „Miałeś ciężką noc, co?“, inni się roześmiali, poszturchując go po bratersku i siostrzanemu, on zaś pochylił się nad hydrantem i pozwolił, by srebrzysty strumień wpływał mu do ust i wypływał z powrotem długim, lśniącym łukiem. Nie mógł określić, co go dręczyło, a raczej co nękało go najbardziej – kac, głód narkotykowy czy utrata krwi, nie mógł też sobie przypomnieć, czy nie wdał się przypadkiem w bójkę. Próbował się skoncentrować, przywołać obraz dziewczyny na podłodze w budynku gospodarczym, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to określenie, którego używał tysiące razy, dwa krótkie słowa, które nie oddawały sprawiedliwości nikomu ani niczemu: **W o l n a M i ł o ś ć**.

W pobliżu biegały dzieci Reby, cieszyły się pięknym dniem i drugim śniadaniem wydawanym dziś na powietrzu ze względu na ciasnotę w ogólnej izbie jadalni. Dzieciaki uganiały się niezmordowanie wokół basenu – buzie wypchane kukurydzianą papką i kalafiorem, nagie, brązowe ciała upstrzone skaleczeniami, szramami, śladami kontuzji, uczuleniową wysypką i pokryte brudem. Rzucił wąż i ruszył w stronę wody jak zombie. Po chwili był w basenie, w zielonej otulinie glonów, odcięty od dźwięków, z rękami i nogami sterowanymi przez jakiś autonomiczny system: sprężenie i rozluźnienie, sprężenie i rozluźnienie, aż w końcu uderzył głową w przeciwległą ściankę basenu i ociekając, wynurzył się na powierzchnię.

Teraz był w basenie ktoś jeszcze – Lydia, ale czy na pewno? – i prul z wraskiem jak pocisk, ścigany przez dwa ujadające żółte psy, zielonkawa woda chlusnęła, obmywając mu kolana.

Poczuł, że powinien strząsnąć wodę z włosów i zjeść miskę kukurydzy, po prostu dla obciążenia żołądka, i w tej samej chwili jego wzrok natrafił na spojrzenie Alfreda, który stał po drugiej stronie trawnika. Alfredo przyglądał mu się uważnie małymi chytrymi oczkami, jego usta wyglądały jak kawał gumy do żucia przyklejony pod szkolną ławką. Ronnie nie odwrócił wzroku. Nie zamierzał słuchać żadnych pieprzonych wymówek. Miał takie samo prawo jak wszyscy być tutaj – Wudedezet, tak czy nie? – i nawet mu się nie śniło przeproszać Alfreda, Norma Sendera ani nikogo innego. Nagle poczuł, że ktoś chwytą go za kolano: była to Lydia, jej piersi kołysały się, a włosy przylepiły się do głowy. □ – Gdzie się podziewałeś? – zapytała. – Szukaliśmy cię wszędzie dziś w nocy. – Woda chlupotała, ważki wisiały nieruchomo w powietrzu. – Słyszałeś, co się stało?

Nie, nie słyszał.

Zamrugła zalanymi wodą oczami, powędrowała dłonią w górę po jego nodze i poczuł, że twardnieje pod sztywnym, wilgotnym materiałem szortów.

– Zgwałcili jakąś dziewczynę.

– Zgwałcili? Jak to, zgwałcili?

– Jakąś uciekinierkę – podobno czternastoletnią – i Norm się wściekł z tego powodu, latał po całej kuchni i dziamgał coś o jakimś gościu z miasta, przyjedzie gość, zaraz przyjedzie gość, pochowajcie dragi i tak dalej, uprzątnijcie ten cały szajs, zróbcie to, zróbcie tamto, a Alfredo mu wtórował. Chcą, żeby Lester się wyniósł. I Sky Dog, i cała reszta bambusów.

Ronnie się zasepił; woda obmywała mu kolana, biust Lydii kołysał się przy jego kostkach, ręka peźła w górę po udzie. Normalną odpowiedzią byłoby coś w rodzaju: „Palant” albo „Beton”, ale chwila była doniosła i pełna napięcia, a on miał ciężką głowę, nie mógł jasno myśleć, nie było o tym mowy, więc tylko gapił się na białe widma jej nóg wierzgających rytmicznie pod powierzchnią wody.

– Słyszałam, że najpierw nafaszerowali ją prochami, a potem przelecieli, i to nie był tylko Lester i Sky Dog, ale wszyscy.

Urwała, wciąż poruszając nogami, wolno, płynnie, rytmicznie. Che rzucił pokierszowanym krążkiem frisbee w swoją siostrę – dziewczynka pisnęła przeraźliwie, psy zaczęły szczekać, Reba, siedząca na drugim końcu basenu, zanosła się urywanym śmiechem, cha-cha, cha-cha, cha-cha. Dłoń Lydii była zimna. Uchwyciła go mocniej.

– Ktoś powiedział, że też tam byłeś – wydyszała.

Był tam. Jasne, że był. I dołączył do pozostałych, czyż nie? Jasne, jasne. Musiał. Bo bez względu na to, jak był naćpany czy jak bardzo było to brutalne, nie mógł stać i przyglądać się czemuś takiemu... Wspomnienie tej nędznej, zatrutej kwasem chwili w budynku gospodarczym, ze wszystkimi tymi pozbawionymi wyrazu, pustymi twarzami dokoła, z łomotem radia i dziewczyną z wierzgającymi, patykowatymi nogami, pogrążyło jego duszę w takiej czerni, że nagle pożałował ucieczki z rodzinnego domu. Cóż mógł powiedzieć? Jak się wytłumaczyć?

– Tak – odpowiedział. – Tak, byłem tam.

Lydia zdawała się to rozważać przez chwilę, a jej oczy błyszczały jak planety w nieopisanym na żadnej mapie kosmosie jej twarzy. Była rosłą dziewczyną o szerokich ramionach i biodrach, miała czarne włosy, pełne wargi, drobinki tuszu osiadły jej na rzęsach jak czarny osad wynoszony na brzeg przez fale. Jej nogi poruszały się pod wodą. Ręka zaciskała się na jego udzie. Zamrugła mokrymi rzęsami i posłała mu w górę półuśmiech.

– Mnie też chcesz zgwałcić? – zapytała.

## 4

To Alfredo zwołał zebranie o ósmej wieczorem; naczynia po kolacji były już w większości pozmywane, a w każdym razie zalane wodą, żeby odmokły, i wszystkich ogarnęło uczucie błogiego rozleniwienia. Na kuchennym stole stygło sześć patelni pierniczków, a później miał być jeszcze film (z Chaplinem, taki, którego Star nie widziała – coś o Alasce, czy to możliwe?). Kilka osób przebrało się na tę okazję, szczególnie starannie Verbie, bo zebranie było właściwie wstępem do imprezy, i wszyscy wylegli już ze swoich chat, jurt i sypialni, i ściągnęli z całego lasu. No i w porządku, myślała Star, dlaczego by nie? Niech będzie impreza. Jak się dobrze zastanović, to nawet obieranie ziemniaków do jarskiego gulaszu czy pielenie chwastów w ogrodzie było czymś w rodzaju imprezy. Bo na pewno nie pracą, nie w konwencjonalnym znaczeniu, nie w sytuacji, gdy dookoła pełno braci i siostr i nikt nie stoi nad człowiekiem z zegarkiem w ręku.

O wpół do ósmej Verbie wparadowała w seledynowej opończy narzuconej na różową koronkową bluzkę, z twarzą pomalowaną na kolor płytek ceramicznych, które Norm, nie wiadomo po co, zwałił pewnego ranka pod zachodnią ścianą domu, kiedy wszyscy jeszcze spali. Towarzyszył jej Jiminy w cylindrze i we fraku, pod którym nie miał nic, oprócz szortów w deseń z Kaczorów Donaldów. Jakiś nowy chłopak grał na bongosach, *rat-a-tat-tat*, psy, a nawet kozy były mocno zaniepokojone, Maya zaś wmaszerowała zamasyżycie do świetlicy w ślubnej sukni z Goodwilla, która wyglądała tak, jakby nie zdążyły się z nią uporać mole. A Ronnie? Ronnie jak to Ronnie, hołdował prostocie. Star poprzestała na drobnym makijażu – namalowała sobie po pacyfie na każdym policzku i trzecie oko na środku czoła, uzupełnione sztucznymi rzęsami.

Było chyba wpół do dziewiątej, kiedy weszła Reba, zapaliła kilka świec i postawiła na wielkim stole dwa gary z naparem z rumianku i tacę z grubymi, glinianymi kubkami. Miał to być sygnał, tak to przynajmniej odebrała Star, usiadła więc na podłodze obok Marca, Ronniego, Merry i Lydii i czekała, ale upłynęło jeszcze pół godziny, nim pojawili się Norm Sender i Alfredo, który przyłożył do ust starą cyrkową tubę i przemówił:

– No dobra, proszę o chwilę uwagi, postaramy się, żeby wszystko przebiegło tak bezboleśnie, jak to tylko możliwe, przyrzekam...



Star czuła się dobrze, bardzo dobrze, wręcz cudownie, kiedy zapadła się w poduszki i Marco otoczył ją ramieniem, a jeden z żółtych psów przyczłapał przez pokój, żeby usadowić się koło niej i złożyć wielki żółty łeb na jej kolanie. Wszystko zdawało się ogniskować w tej jednej chwili, zbiegały się wszystkie wątki jej życia, powstawały łączniki między różnymi biegunami, Ronniem, Markiem, chłopakiem z tipi, jej rodzicami, pracą, samochodem i jej pokojem, który zostawiła, bo teraz tu była jej rodzina, tu było jej miejsce. Wyprostowała nogi, zapatrzyła się na falującą pajęczynę, która wisiała pod sufitem jak miniaturowa ławica chmur, i na szamoczące się w niej komamice. Dopóki nie znalazła się w Drop City, nigdy nie miała swojego miejsca.

Kim była w liceum? Małą Panną Nikt. Mogła sobie to wyszyć na podkoszulku, wytatuować na czole. I dodać mniejszymi literkami: JESTEM GÓWNEM, BEZIMIENNYM, ROZDEPCZCIE MNIE, PROSZĘ. Nigdy nie została Najbardziej Zabawną Dziewczyną w dorocznych szkolnych plebiscytach ani Najlepszą Tancerką czy Najlepiej Rokującą Uczennicą, nie grała w orkiestrze, nie należała do Hiszpańskiego Klubu, na zjeździe absolwentów nikt by jej nie rozpoznał ani nie miałby z nią czego wspominać. Choć chłopcy ją dostrzegali. W każdym razie w liceum. Zauważyli ją, kiedy jej uroda rozkwitła, oglądali się za nią na korytarzu, w kafejce i w mieście, w klaustrofobicznym labiryncie sklepu z płytami, i ich oczy błyszczały wtedy jakąś dziką, zwierzęcą żądzą, której nawet nie byli świadomi. Umawiała się z paroma z nich, ale nigdy nie miała prawdziwego chłopaka, chociaż była ładna – wiedziała o tym – i nie mogła dociec, dlaczego tak jest. Najwyraźniej były jakieś zakłócenia w synchronizacji, jakby urodziła się w niewłaściwej epoce i w niewłaściwym miejscu, zwłaszcza w niewłaściwym miejscu, gdzie nic się nigdy nie działo i nikt do niczego nie doszedł. Na tym to polega, stwierdziła, w tym jest rzecz, i to spostrzeżenie pozwalało jej łatwiej znosić wszelkie rozczarowania i trwać w jednostajnym, nudnym ciągu dni, miesięcy i lat, jednakowo sztywnych i niepodatnych na zmiany. Przesiedziała wszystkie drętwe godziny wychowawcze, kurs psychologii, wysłuchiwała w roztargnieniu lekcji o sześciu głównych przyczynach pierwszej wojny światowej, algorytmach i budowie wewnętrznej dżdżownicy, cały czas myśląc o tym, że gdzieś musi istnieć coś więcej.

Zdała maturę i mocno nadrabiając miną, zaczęła uczyć w trzeciej klasie bardzo podstawowej szkoły, do której chodziła dziesięć lat wcześniej. Wciąż mieszkała w swoim dziecięcym pokoiku w domu rodziców, niczym jakiś ciężki przypadek opóźnionej w rozwoju, i była, tak utrzymywali wszyscy, zupełnie jak jej matka, bo matka pracowała w przedszkolu i obie nosiły takie same zgrabniutki kostiumiki ze spodniami i fiołkoworóżowe bluzki z kołnierzami à la Piotruś Pan. Ale ona nie chciała być podobna do matki. Kiedy wracała do domu późno w nocy, ściągała swój kostiumik razem z rajstopami, rzucała go na podłogę i wyciągała się na dywanie, przystawiając sobie do uszu głośniki, gapiąc się na cętki i spirale na trzykrotnie pomalowanym suficie, a Janis Joplin z trzepotem unosiła się nad ogluszającymi pasażami piosenki *Ball and Chain*. Matka bez przerwy tokowała przy obiedzie, koronkowe firanki z Connemary wisiały sztywno w oknach, ojciec pilnował talerza, jakby ktoś zamierzał mu go zabrać. Z wysiłkiem podnosiła widelec do ust – groszek, klops, dorsz w śmietanowym sosie, brukselka. „A jak tam Tommy Nardone, czy zachowuje się przyzwoicie, bo miałam w grupie jego brata, Randy’ego, i wierz mi... – mówiła matka, a ona potakiwała, wracała do siebie na górę i studiowała miny Rolling Stonesów na okładce płyty *Out of Our Heads*. I kiedyś, pewnego jałowego i ponurego październikowego popołudnia, poszła do Caldora kupić kosmetyki i natknęła się w stoisku z płytami na Ronniego. A tak, jasne, odszedł z domu i teraz sprzedawał płyty, żeby zebrać szmal na podróż do Kalifornii, bo tam właśnie coś się działo, tam i nigdzie indziej. O, tak, tylko tam. Minispódniczki. Sklepy z dragami. Haight. *Lucy in the Sky with Diamonds*.

– Pojawiły się pewne problemy – mówił Alfredo – i jestem pewien, że razem się z nimi uporamy, ale my wszyscy – to znaczy ja, Norm, Reba i cała reszta, która pracowała dziś rano w ogrodzie – my wszyscy uważamy, że jest kryzys, że niektórym uderza do głowy...

– Do której głowy? – zapytał Ronnie, podpierając się na łokciach. – Tu jest więcej niż jedna głowa, bracie.

– Koroną strojne głowy spać nie mogą...<sup>1</sup> – wtrąciła Merry.

Ronnie odwrócił się raptownie do wszystkich i dodał komedianckim tonem:

– Głowy wszystkich krajów, łączcie się!

Rozległo się tupanie, oklaski i pojedyncze chichoty, w których wyczuwało się jednak wielkie napięcie. Alfredo siedział w niedbalej pozie na stole i patrzył każdemu po kolei płonącym wzrokiem prosto w oczy. Kiedy hałas ucichł, zaczął mówić dalej:

– Owszem, ale wszyscy wiecie, że dwie toalety to za mało jak na tak dużą komunę, nie wspominając już o fakcie, że zwalają się tu co weekend tłumy gości, a kiedy przyjdzie lato, będzie jeszcze gorzej...

---

<sup>1</sup> Przekład Leona Ulricha.

– Wystawcie tablicę – powiedział Jiminy. Był chudy, miał dziewiętnaście lat, bródkę, która wyglądała jak strzęp wyrzuconych na brzeg wodorostów, i przebywał w komunie nie dłużej niż od tygodnia. Star podobał się jego styl. Siedziała właśnie przed domem na swoim pieńku i obcinała końcówki fasolki szparagowej, rozmawiając z Merry o różnych zespołach, kiedy nadszedł krętą drogą na monocyklu, z czarnym terierem szkockim, który lewitował za nim, gdy rower podskakiwał na wybojach. „Oto przybywam! – obwieścił śpiewnie. – Razem ze Scottiem!”. Dwa dni później ktoś przejechał psa i Jiminy długo siedział wśród zielska, płacząc jak dziecko. – „Wstęp zabroniony! Przejścia nie ma! To dotyczy ciebie!” – zawołał teraz, nieświadom paradoksalności tego zakazu. – Tak właśnie zrobili w pierwszym Drop City w Kolorado. I w Thunder Mountain też.

– No dobrze, ale kto będzie miał prawo decydować, kogo wpuścić, a kogo nie? Cóż to, zamienimy się w zwykłych gliniarzy? – zapytała Verbie. Zieleń i róż zawirowały na niej jak owocowy drink w shakerze. – Co ty sobie wyobrażasz, Norm? Że będziesz naszym policjantem?

Norm Sender siedział ze skrzyżowanymi nogami na stole, krowi dzwonek dyndał mu na szyi. Nawet nie podniósł wzroku.

– Nie ma mowy.

– Nasz problem – ciągnął Alfredo, a w jego głosie słyhać było napięcie, jakby dławił się słowami, które próbował powstrzymać – nasz problem to gówno w lesie. I winni są temu wszyscy tu obecni.

– Włącznie z psami – powiedział ktoś tubalnym głosem.

– Zgadza się, włącznie z psami. A to bardzo niehigieniczne, moi drodzy. Rzecz w tym, że ludzie nie zadają sobie nawet trudu, żeby to zakopać, i to nasi ludzie, mieszkańcy Drop City – bo weekendowi hipisi po prostu rzucają swoje śmieci – i wypróżniają się – gdzie popadnie. A przy okazji: w nocy miał miejsce incydent w budynku gospodarczym, wiecie pewnie wszyscy, o czym mówię.

Rozległ się szmer potakiwań. Verbie wypowiedziała dwa słowa: „Sky Dog”, ktoś inny zawołał:

– To bambusy!

– Naprawdę? – Alfredo wodził spojrzeniem po twarzach obecnych. – No nie wiem, może lepiej zapytamy Pana, on też tam był, prawda, Pan? Może nam o tym opowiesz, co? No, Ronnie, oświetć nas, powiedz nam coś o pokoju i miłości.

Ronnie, który spoczywał bezwładnie wśród poduszek, wyciągnąwszy skrzyżowane w kostkach nogi, teraz zerwał się z podłogi tak raptownie, że aż przestraszył Star – i psy. Stał, drżąc, w swoich obciętych dzinsach i marmurkowej koszuli i Star żałowała, że nie ma teraz działki lub czegośkolwiek, bo oto właśnie w Ronniego celował oskarżycielski palec, Ronnie był ofiarą, ukrzyżowanym świętym.

– Mówiłem ci już raz, człowieku, i powtórzę teraz wszystkim: nie mam z tym nic wspólnego...

– No tak, jasne. To był Sky Dog, prawda? – powiedział jadowicie Alfredo. – I bambusy.

Ronnie wytrzeszczył przekrwione oczy, dzielny, biedny Ronnie, i rozcapierzył szeroko palce w obronnym geście.

– Jestem Pan, przecież wszyscy mnie znacie. Naprawdę uważacie, że mógłbym zrobić coś takiego, nawet naćpany? Czternaście lat, ona miała tylko czternaście lat, tak czy inaczej to gwarantowany kryminał. Nie jestem taki, nie aż taki. Przecież znacie mnie wszyscy, no nie? Znacie czy nie?

W pierwszym rządzie ktoś się podniósł; był to jeden z członków założycieli. Star nie widziała go początkowo, więc uniosła głowę znad poduszki i poczuła, że Marco u jej boku też zmienia pozycję. Tego, który wstał, wszyscy nazywali Mendocino Bill; było to dwieście pięćdziesiąt funtów owłosionego cielska upchniętego w kombinezonie, którym można by przykryć podłogę podczas malowania.

– Słuchajcie, ludzie, nie ma się o co spierać, ja jestem z Panem, on jest moim bratem i ja mu wierzę. A poza tym, co to ma być, jakaś parodia sądu czy co? Nie, posłuchajcie, problemem są nasi czarni bracia. Oni nas zastraszyli, chcą tylko taniego wina, działek i nieustającej balangi – na nasz koszt. Bo michy to oni nigdy nie przegapią, no nie?

– Rasista – powiedziała Verbie. Zebrani zaczęli syczeć.

– Nie o to chodzi, ale to nie jest w porządku – Mendocino Bill podniósł głos o jedną nutę – bo z was wszystkich tylko ja byłem w Selmie i w Birmingham i zastanawiam się, gdzie wtedy byliście wy, bo jestem, cholera, absolutnie pewien, że nie widziałem tam żadnego z was. I mówię wam: bez względu na to, o kogo chodzi, musimy być sami dla siebie policją albo przyjedzie szeryf z Sonomy i nas wyręczy – a nie sądzę, żeby ktoś z was tego chciał.

Teraz wszyscy zaczęli mówić naraz, padały fałszywe oskarżenia, fruwały w powietrzu niewybredne dowcipy, ktoś ciągnął w kółko na organkach jedną smętną nutę, a Ronnie usunął się w cień i zapadł w gniazdo z poduszek jak znikająca w szczelinie jaszczurka. Lydia ujęła go za rękę, a Merry posłała mu uśmiech o mocy miliona kilowatów, ale on wyciągnął rękę do niej, do Star, u niej właśnie szukając zrozumienia. Kręcił przecząco głową, adresując to także do Marca, bo Marco był blisko, siedział z szeroko otwartymi oczami i pilnie przysłuchiwał się dyskusji.

– Przysięgam – powiedział Ronnie. – Przysięgam, że ja nic nie zrobiłem.

– Wypieprzyć ich! – zawołał Jiminy. – Wykopać ich stąd!

– Kogo?

– Bambusów! Wykopać ich, pieprzonych drani! Norm, posłuchaj, Norm...

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Normy, który siedział w pozie Buddy na środku stołu. Przez krótką chwilę wszyscy patrzyli na niego, powściągając emocje. Ale do Normy nic nie docierało – pochylił głowę, skurczył się jakoś, jakby zmalął do połowy.

– Wolny Dostęp do Ziemi, którego nikomu się nie odmawia, Wudedezet – powiedział.

– Ktoś musi coś z tym zrobić, przecież tu jest zupełnie jak we *Władcy much*, człowieku.

– Oczywiście, jasne, czyli jak?

– Pierdol się.

– Nie, to ty się pierdol!



Tego było już za wiele. Star leżała podparta na łokciu i marzyła, żeby się wszyscy zamknęli. Zastanawiała się, gdzie się podziały harmonia i radość i dlaczego oni wszyscy muszą się tak bez przerwy szarpać. Potem popatrzyła na Ronniego, spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich zimny błysk triumfu – widać było, że Ronnie jest impregnowany na wszystko, co było *hip*, braterskie i siostrzane. Zamierzała mu właśnie coś powiedzieć, gdy nagle poczuła chłód, jakby ciepło ogrzewające dotąd jej bok nagle wyparowało, i zobaczyła tuż przed sobą stojącego Marca, jego wystrzępione dżinsy i zbiełałą skórę wysokich butów.

– Hej! – zawołał. – Hej, posłuchajcie.

Przyłożył dwa palce do ust i wydobył z siebie przenikliwy świrdujący w uszach gwizd, taki, jakie słyszy się podczas meczów i koncertów rockowych.

W izbie zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego.

– Słuchajcie – powiedział. – Dlaczego nikt nie pójdzie z nimi porozmawiać?

– Porozmawiać? – Alfredo nie wierzył własnym uszom.

– Gdyby chcieli rozmawiać, byliby tu teraz, nie? Ale nie, siedzą u siebie jak zwykle pijani i czekają na okazję, żeby wydymać kolejną czternastolatkę. – Rozejrzał się po obecnych.

– Kto się tego podejmie? Ty? Pójdiesz tam na ochotnika?

– Owszem – powiedział Marco, kiwając z wolną głową.

– Chyba pójdę.

Pierwszego dnia, wtedy kiedy wciągnął ją na drzewo, poczuła się tak, jakby podmuch wiatru przeniknął ją na wskroś, jak bohaterka baśni, jak Roszpunka – choć nie, to nie było zbyt trafne porównanie. Może raczej jak Leda, Leda, cała zanurzona w morzu piór, *Leda i łabędź*. Podczas lekcji literatury to był jej ulubiony wiersz; czytała go nieustannie, aż stał się jej częścią, fascynował ją cały ten zamęt i fatalne skutki jednej chwili nieuwagi, to z pewnością, ale tym, co sprawiało, że twarz jej płonęła i że czuła mrowienie w palcach, była szokująca niezwykłość samego aktu. Wyobrazenie go sobie. Sny o nim. Łopot skrzydeł, zapach, przemoc. Wszystkie inne wiersze w antologii mówiły o kwiatach, o śmierci lub greckich urnach, ale ten, ten był po prostu o pieprzeniu przez łabędzia. Pamiętała swoje zdumienie, pamiętała, że zastanawiała się, jak to możliwe – czy w ogóle ptaki mają penisy? Jej zdumienie budziła nie tylko strona techniczna, ale scena sama w sobie. Czy naprawdę uniósł ją do nieba, czy ona tak to tylko odczuła? Jaki był duży? I czyje miał nasienie – profesor twierdził, że Zeusa – jakie były tego konsekwencje i czy w związku z tym Helena nie powinna była być półptakiem?

Marco podał jej wtedy skręta i wzięła go z rozmysłem. Wcześniej przez trzy dni przytomniała, przez ten czas w jej żyłach nie płynęło nic mocniejszego od herbaty Red Zinger; Maya obierała w przegrzanej kuchni cebulę i terkotała swoim cienkim, pajęczym głosikiem o rezygnacji z drągów na rzecz naturalnego haju, o jedności wszystkich guru, o błogostanie, ale trzy dni wystarczyły. Potrzebowała kogoś, kto ją od nowa pobudzi, czegoś, co przeobrazą jej świadomość szybciej niż śpiewanie po tysiąc razy *Om Mani Pema Hung*. Bo jej świadomość była zablokowana jak rura kanalizacyjna wszystkimi osadami obcowania z Ronniem i resztkami tego, co pozostawiła w porzuconym domu. Ponadto musiała przyznać, że czuje się nieswojo w obecności tego nowego kota, nagiego, ze złotorudymi włosami opadającymi mu jak zasłona na oczy i na twarz, bo teraz, kiedy znalazła się naprawdę w jego napowietrznej siedzibie, wszystko uległo zmianie. Żadne z nich nie wiedziało, co właściwie powiedzieć, ani on, ani ona. Dżojnt był rodzajem ofiary. Wielkim niwelatorem, świętą komunią, którą można było się odurzyć, a potem po prostu zapatrzeć w przestrzeń; kto wtedy naprawdę odczuwa potrzebę mówienia? Wypalili skręta do ostatniej, rozpadającej się drobiny, ściskając niedopałek palcami, przenosząc go z namaszczeniem z ust do ust – i żadne nie odezwało się słowem.

Powietrze było aż słodkie od wonnego dymu. Ptaki przysiadły na splekanej, drewnianej barierce i patrzyły na nich tak, jakby byli przedłużeniem drzewa, jakimś małym dla nich interesującym owocem lub pozbawionym łupiny orzechem, a może rakowatą naroślą wystającą z pnia. Star leżała, zatopiona we własnych myślach, a odgłosy krzątania – cichy gwar rozmów, plusk wody w basenie, muzyka z radia – zdawały się napływać skądś z daleka.

– Dzień wielkiego prania – powiedział ze stłumionym chichotem, który miał ich oboje rozluźnić, i pewnie spełniłby swe zadanie, gdyby nie to, że uwiązał mu w gardle i rozsypał się w pył.

Za jego plecami kołysały się na gałęziach, zupełnie jakby spadły z nieba, dzinsy, T-shirty, sprana bielizna i niedobre skarpetki. Wyobraziła sobie nagły kataklizm, jakąś trąbę powietrzną, która nie czyniąc ludziom krzywdy, zerwała im te szmatki z grzbietów. Lub zmierzające do Wietnamu bombowce, które zamiast siać śmierć, zrzucają moką bieliznę.

– Aha – odpowiedziała krótko, ale zabrzmiało to tak, jakby to trzyliterowe słowo rozciągnęło się do ośmiu sylab.

– Nie prałem co najmniej tydzień. Zaczynałem już śmierdzieć jak przejechany kot.

– Opowiedz mi coś o tym – rzekła i nagle poczuła, że cała aż płonie wewnątrz. – Bo kiedy my z Ronniem podróżowaliśmy ze wschodu na zachód, było dokładnie tak samo – znasz Ronniego? To znaczy P a n a? W każdym miasteczku, do którego przyjeżdżaliśmy z uciulanymi drobnymi na pralnię, albo traciliśmy pieniądze, albo ludzie nigdy nie słyszeli o samoobsługowych pralniach i suszarkach ani nawet o tych małych porcjowanych wybielaczach Tide and Bleach – wiesz, o czym mówię? Oni to nazywają krótko: chlorek. Żadnej nazwy ani marki, tylko po prostu chlorek. Nie wkurzało cię to?

– Aha – odpowiedział, patrząc gdzieś ponad jej ramieniem i kiwając głową, jakby towarzyszył im na każdym etapie wędrówki, odwiedził z nimi każdą pozbawioną duszy, porażoną poczuciem beznadziei, zabita dechami dziurę Oklateksahomy. – Chyba tak. Ale czy nie to właśnie jest najgorsze w tym całym konsumpcyjnym społeczeństwie – te nazwy firmowe? To ciągle dowodzenie, że moje mydło jest lepsze od twojego? Zwiedź USA w swoim chevroletcie. Kup, kup, kup, zabij, zabij, zabij, jedz, jedz, jedz... Stąd się biorą wojny – produkty, marki napędzają koniunkturę; kto się przejmuje, że kilkaset kobiet i dzieci ginie codziennie od napalmu?

Wyprostowała się i położyła mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie – powiedziała. – Spokojnie. Ja tylko zapytałam, to wszystko.

– Jasne. – Patrzył jej teraz prosto w oczy, już bez zakłopotania. – Ja też tylko pytam.

– W porządku – rzekła. – A skoro tak sobie rozmawiamy, to zastanawiam się, co sądzisz o tym, że siedzisz nagi przed dziewczyną, której w ogóle nie znasz, i do tego zjarany o wpół do dziewiątej rano. Czy to jakaś demonstracja, czy po prostu nie masz ubrania?

Spodziewała się, że chłopak się roześmieje, ale on odwrócił wzrok. Wzruszył wymownie ramionami, aż napięły mu się mięśnie na karku.

– Nie wiem – powiedział. – Krępuje cię to? Znaczy widok ludzkiego ciała?

Liście były nieruchome, potem nagle drgnęły, jakby ktoś wsunął nowy slajd do gigantycznego projektora światła.

– Może – odparła. – Czasami.

Milczeli przez chwilę, docierało do nich z dołu beczenie kóz, jakieś odległe krzyki, warkot samochodu na piaszczystej drodze. Potem on powiedział:

– Dlaczego i ty się nie rozbierzesz i nie zobaczysz, jak to jest?

– Wiem, jak to jest, byłam dziś naga pod prysznicem o szóstej rano. Dlaczego się nie ubierzesz?

– Bo wszystko jest mokre.

Roześmiała się. Zażył ją. Jego ubranie rzeczywiście było mokre, wisiało przecież, przyklepione do gałęzi, jakby było zrobione z papier mache – woda kapiała nierytmicznie na kozy pod drzewem.

– Słuchaj, Star. – Wymówił jej imię po raz pierwszy od chwili, kiedy mu się przedstawiła. – Może byś tak została tu ze mną na pewien czas, żeby się trochę wyluzować...

– I pobzykać się?

Znów wzruszył ramionami, potarł palcem urojoną plamkę na łydce.

– Jasne. Jeśli miałabyś ochotę.

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią, myśląc o Ronniem, nowej dziewczynie Merry, o tej z dużymi cyckami, i o wszystkim, czego mogła zakosztować w Drop City, w sekwojowych lasach i w każdym innym miejscu, do którego miała zawsze ochotę pójść, kiedy opuszczała duszną, ograniczoną przestrzeń „normalnego” świata. Pomyślała też o Marcu, jego uśmiechu, sposobie bycia i punkcie widzenia, a wreszcie rzekła:

– Nie, nie sądzę.

Opuścił głowę i odpowiedział tak swobodnym tonem, że brzmiało to, jakby głos wydobywał się z koszyka i toczył po podłodze:

– Ja tylko zapytałem...

– A ja chciałam ci tylko powiedzieć – Star podparła się na łokciu i ujęła go za rękę tuż nad przegubem – że w tej chwili jestem z kimś innym, rozumiesz? I to wszystko.

Przyglądała mu się, jak podkula nogi i jak mu nabrzmiwiają mięśnie łydek. Nawet kiedy wstawał, uważał, żeby nie odwracać się przodem do niej.

– No nie wiem – odparł i dodał przepaszająco: – Człowiek nic nie wie, dopóki się nie zapyta.

Roześmiała się, ale nie zabrzmiało to tak, jak by chciała, bo skaziła jej śmiech myśl o Ronniem i o chłopaku z tipi.

– To prawda – odrzekła. – Nic człowiek nie wie.

Noc była ciemna, ciemniejsza, niżby miała prawo być jakakolwiek noc – bez księżycy, bez gwiazd, z niebem spowitym mgłami unoszącymi się znad rzeki. Nie widziała Marca ani Ronniego, choć szli dwa kroki przed nią, po omacku klucząc wśród rowerów, narzędzi i płytek ceramicznych, ale czuła zapach kurzu wzbijanego przez jej stopy i rybią, zatęchłą woń unoszącą się nad basenem gdzieś z prawej strony. Słyszała też kozy, pobrzękujące cicho łańcuchami pod dębem. Samotny świerszcz otwierał i zamykał skrzypiące miniaturowe drzwiczki w głębokiej trawie. Poza tym nie było słychać nic.

Verbie postanowiła iść z nimi jako arbiter, a Jiminy, nieugięty Jiminy, szedł sześć kroków za nimi, przeklinając cicho w mroku.

– Kurwa. Pieprzyć to. Nic nie widzę. Hej, Verbie, gdzie jesteś? Verbie? Star?

Usłyszała syknięcie tuż przed sobą i Ronnie odwrócił się gwałtownie, biała kula jego twarzy majaczyła w ciemnościach jak pęknięty klosz ulicznej latarni.

– Trochę ciszej, dobra?

– A dlaczego? – zagrział głos Verbie w mroku. – Co znaczy trochę ciszej? A niby dlaczego? Uważasz, że to jakiś napad czy co? Kim my jesteśmy, komandosami? Przecież mówimy o naszych braciach, a to jest nasz dom, to wszystko tutaj, dom dla każdego. Władza dla ludu; dlaczego mamy być cicho, co? No powiedz mi, dlaczego?

Lydia i Merry zostały w głównym budynku – siedziały, grzejąc się przy ogniu, który rozniecił Norm, żeby odpędzić chłód nocy, skulone, jakby nieobecne, przycupnęły wraz z innymi i patrzyły, jak Charlie Chaplin zjada własny but („No nie, to naprawdę fantastyczny numer, kiedy on gotuje tego buta w garnku i serwuje sznurowadła jak spaghetti”). Ludzie częstowali się ciasteczkami i herbatą, siedzieli grupkami, leżeli wyciągnięci na kołdrach, walili we wzdęte brzuchy psów, jakby to były bębny. Nikt się nie poruszył, kiedy za Markiem (i za Ronniem, który nie miał wyboru i musiał iść, jeśli pragnął zachować resztki wiarygodności w czyichkolwiek oczach) uformował się mały oddział, bo nikt nie chciał kłopotów; lepiej było zgodnie z zasadą *laissez faire* wyluzować się i pozostawić wszystko własnemu biegowi. Star też nie chciała żadnej szarpaniny – nienawidziła konfrontacji, naprawdę tego nie cierpiała – ale było to coś, co musiała zrobić, nie tylko dla „rodziny” czy dlatego, że to Marco wstał i wziął wszystko na siebie, ale dla tej dziewczyny, po prostu dla n i e j . Bo musiało to mieć jakiś finał.



Star nawet jej nie widziała. Piekła wtedy chleb, szorowała podłogi, pielęła ogródek, marzyła. Ludzie przychodzili i odchodzili. W połowie przypadków nie rozpoznawała twarzy tych, którzy zasiadali do obiadu, zwłaszcza podczas weekendów. Nie miało to znaczenia. Mogła nie widzieć tej dziewczyny, ale znała ją na wylot, czyjaś siostrzyczkę o cerze barwy chudego mleka i skorygowanym przez ortodontę uśmiechu, w połatanych dżinsach i w T-shircie z wymalowaną z przodu postacią z komiksu Roberta Crumba, brudnym po tyłu dniami od pyłu drogi, od obleśnych uśmiechów i propozycji, od wielkich spoconych łap tych wszystkich facetów, którzy zatrzymywali się, kiedy wystawiała kciuk. I nie musiała nawet odwracać się do nich przodem, bo stawali dla jej włosów, dla sylwetki i młodości. Jej chłopak był sukinsynem. Matka kłonem. Była molestowana werbalnie, być może fizycznie. Nie mogła się dopasować. Chciała czegoś więcej niż ćwiczeń w gramatycznym rozbiórze zdania i powtarzania: *Mia casa es su casa*, i przysła do nich, do tych *hip* ludzi, ludzi, o których nasłuchiwała się tyle, że stali się legendą odkupienia i nadziei.

I w końcu przekonała się, że jest tylko jeszcze jedną cipką, więc kładź się, kiecka do góry, złotko.

Star wyciągnęła przed siebie ręce, czerwone światło, zielone światło, szła ostrożnie, krok za krokiem. Oba domy dzieliła odległość nie większa niż kilkaset jardów, ale wydawało się, że dzielą je mile; idący szurali nogami w ubitym pyłe i sprasowanych brązowych liściach dębów, które były jak małe pazurki. Wszyscy przycichli w chwili, gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi.

– Człowieku, ale ciemnica – mruknął po chwili Jiminy, tylko po to, żeby przerwać tę ciszę, ale teraz słycać już było gdzieś przed nimi dudnienie muzyki, więc szli w tym kierunku, aż z mroku wypłynęły dwa rozjaśnione nikłym światłem okna. Ronnie potknął się o coś i kopnął to, aż potoczyło się z cichym jak szept szelestem. Światło zatrzymywało cienie w oknach i puszczało je, zatrzymywało i puszczało.

Budynek gospodarczy, o rozmiarach dwóch połączonych przyczep, miał dach z wypalonych słońcem gontów i dobudowaną werandę, przekrzywioną jak statek na wzburzonym morzu. Kiedy na farmie gospodarował jeszcze ojciec Norma, mieszkali tu sezonowi robotnicy, tak przynajmniej twierdził Alfredo, zbieracze, którzy jeździli wzdłuż wybrzeża, handlując owocami – jabłkami w Waszyngtonie, wiśniami w Oregonie, winogronami w Kalifornii. Star w to wierzyła – ten dom, najbardziej niesamowity obiekt na farmie, był kołem ratunkowym wtedy i był nim teraz. Brudne okna prawie nie przepuszczały światła, nie było tu wody ani elektryczności, a na drzwiach ktoś napisał koślawym gotykiem: ODRZUTY Z DROP CITY. Była w środku może z pięć razy w związku z jakimiś imprezami – oczywiście zanim wprowadził się tam Lester i jego paczka.

Marco nie pukał. Pchnął drzwi i weszli szeregiem do środka, raczej jak turyści niż najeźdźcy, Star usiłowała się nawet uśmiechać, ale bez powodzenia. Musiała upłynąć, minuta, nim przyzwyczała się do ciemności, potem nastąpiła cała seria gestów, rutynowych plemiennych pozdrowień, „co jest grane, bracia”, świece migotały, pulsował cicho głos Otisa Reddinga, *sitting on the dock of the bay*. Kogo zastali w środku? Lestera, Franklina, trzech kotów, dwóch czarnych i jednego białego, których nigdy wcześniej nie widziała, nawet podczas posiłków, kiedy wszyscy raczej się pojawiali, i – co było niespodzianką – Sky Doga. A było niespodzianką, bo nie pokazał się w południe podczas drugiego śniadania ani na obiedzie i wszyscy sądzili, że wrócił na Haight lub do Oregonu – no bo czy nie przyjechał z Oregonu? I jak właściwie się nazywał? Patrzyła na niego, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, pochylony nad swą gitarą, i gra do wtóru muzyce z płyty, jakby miał wszystko w nosie, jakby nic się nie stało, jakby gwałt na czternastoletniej uciekinierce był tym samym co umycie zębów lub wypróżnienie. Star poczuła, że narasta w niej uczucie, nad którym nie potrafi zapanować.

– Siemasz, koleś – mówiła tymczasem Verbie. – Jak leci? Wszystko gra? Tak? Bo pomyśleliśmy sobie, że wpadniemy do was, żeby zobaczyć, co tu jest grane, rozumiesz? – Była niska, zaledwie pięć stóp wzrostu, rude włosy szeszywała za uszy, miała drobną, owalną, rumianą twarz, a w miejscu siekacza czarną dziurę. Pomalowane czoło błyszczało w blasku świec, mięła nerwowo swoją opończę i szurała nogami, jakby szykowała się do stepowania. – Znaczy wszystko okej, tak?

Nikt nie pospieszył z zapewnieniem, że jest okej, i bynajmniej nie wyczuwało się, że tak jest. Wyglądało raczej na to, że delegacja przeszkodziła w czymś całemu towarzystwu. Star wsunęła się boczkim głębiej i stanęła tuż za plecami Ronniego.

Nie było tu żadnych mebli, tylko deska leżała na dwóch pustakach, i wszyscy siedzieli na podłodze – no, może nie dosłownie na podłodze, ale na popękanych i wystrzępionych plastikowych poduszkach, ściągniętych z zardzewiałego stelaża nad basenem, i na śpiworach koloru khaki, które wyglądały tak, jakby włóczono je całymi setkami mil za samochodem. Ktoś najwyraźniej usiłował tu trochę ogarnąć, ale bez większego zapału; w kącie piętrzyła się sterta papierowych toreb, pudełek po pączkach, podartych na strzępy gazet i potłuczonego szkła – wyglądało to jak śmieci naniesione przez fale. Jedynym źródłem światła były rzucające chwiejne cienie świece, które topniały na dwóch końcach deski, zamieniając się w woskowe kratery. Na wielkim pudełku zapalek balansowała fajka z haszem, podawany z rąk do rąk dzban taniego czerwonego wina odbijał nikły refleks światła, jakby w jego szklanym brzuchu uwięzło zachodzące słońce.

– I co to niby ma być? – zapytał rozwalony na podłodze Lester, spoglądając z dołu z nikłym uśmiechem na zaciśniętych wargach. – Halloween? – Siedzący obok niego Franklin pochylił głowę i parsknął krótkim zduszonym śmiechem. – „Albo będzie cukierek, albo wytnę numerek”? – dodał Lester. – O to chodzi?

– Pewnie tak – powiedział Franklin i podniósł dzban do ust, ale musiał go postawić z powrotem, bo dowcip Lestera za bardzo go rozśmieszył. – Ale my nie mamy cukierka.

Ronnie znalazł kawałek wolnego miejsca na podłodze i usiadł, jakby był u siebie, bo pewnie i był, ale inni nadal stali, przestępując z nogi na nogę.

– Mieliliśmy zebranie – zaczął Ronnie i wtedy Verbie, która nigdy nie wiedziała, kiedy się zamknąć, zaczęła wyliczać punkt po punkcie, kto powiedział co i komu, referując kwestię gówna w lesie, weekendowych hipisów oraz dołu kloaczego, który należało wykopać, i właśnie zaczęła krążyć wokół sedna całej sprawy, próbując z góry złagodzić potencjalny szok, kiedy odezwał się Marco.

Opierał się o ścianę z założonymi na piersiach rękami. Miał na sobie czysty, biały T-shirt, szelki w paski napinały się na jego torsie.

– Chcemy, żebyście się stąd wynieśli – powiedział. – Wszyscy.

Spojrzał na Sky Doga. – Włącznie z tobą, przyjacielu.

Sky Dog nawet nie podniósł głowy, ale Lester skrzywił się ostentacyjnie.

– Uuuu, posłuchajcie go – rzekł. – A jaki jest twój znak, skarbie – Aries, czyli Baran? Powinien być baran – tryk, no nie? Trzeba ich walnąć głową, co? A może to nie Aries, ale Ares. Ten bóg wojny, no nie? O to tu chodzi? O boga wojny?

Franklin zachichotał, ale pozostali siedzieli w milczeniu. Kręciła się płyta. Dzban przechodził z rąk do rąk.

– Powinieneś jednak coś wiedzieć o wojnie i nie mówię tu o tych gównianych studenckich demonstracjach, paleniu flag na trawniku mamusi za domem, podczas gdy nas, czarnuchów, wysyłają do Wietnamu, żebyśmy wykurzali dla was żółtków. Pogadaj z tym tu Deweyem – wskazał na mężczyznę siedzącego obok – bo Dewey był w Khe Sanh przez jakieś osiem pieprzonych miechów i może cię tak kopnąć w twoją białą dupę, że polecisz do Detroit i z powrotem.

– Tu nie o to chodzi – powiedziała Verbie.

– Nikt tu nie chce używać przemocy – wtrącił się Jiminy, który sterczał nad Verbie jak przedstawiciel całkiem innego gatunku, kościsty i żyłasty, z białymi goleniami, świecącymi spod fraka z przyciętym ogonem, i z niezliczonymi Kaczorami Donaldami uśmiechającymi się z jego dziecińczych spodenek.

– Chodzi o to, że my wszyscy dla dobra komuny...

Szło im ciężko, bardzo ciężko, i Star nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Zgwałciliście tę dziewczynę – powiedziała i podziałało to tak, jakby nagle przecięła kabel od aparatury albo zgasiła świece strzałem z pistoletu.

W izbie zapadła cisza. Star patrzyła na Lestera, a Lester z rękami dyndającymi nad chudymi, spiczastymi kolanami patrzył na nią. Nie było w tym pokoju miłości, nie było bratersko-siostrzanych uczuć. Zrobiło się paskudnie, a jeśli chciała, żeby było paskudnie, mogła równie dobrze zostać w domu, w Peterskill w stanie Nowy Jork.

– Daj spokój, Star – odezwał się w końcu Ronnie, ale Lester przerwał mu brutalnie.

– Nikogo nie zgwałcilem – powiedział – bo jeśli cokolwiek tu się zdarzyło w nocy, to za jej zgodą, rozumiecie? Kurwa, przecież byłeś tutaj, Pan, wiesz, co się tu działo.

– Pieprzyć to – rzekł Marco. – Wynocha stąd, wszyscy.

– Tak jest – poparł go Jiminy. – Słuchajcie, bardzo mi przykro, ale my wszyscy...

– Jacy wszyscy? – warknął Lester. – Zagłądaliście do *I Ching*? Zrobiliście głosowanie i zapadła decyzja: wykopmy stąd tych czarnuchów? Co? – Mówił wolno i z namysłem, a jego głos brzmiał jak warkot wjeżdżającej pod górę ciężarówki. – Chcecie mi, kurwa, powiedzieć coś, co już dawno wiem: pokój i miłość, bracie, rób, co uważasz za słuszne, kochany, ale tylko jeśli twoja drogocenna dupa jest biała.

Kilof wznosił się i opadał, wznosił i opadał. Marco pracował w czterdziestostopniowym upale rozebrany do dzinsów i wysokich butów. Był spocony, bolały go ramiona i barki. Jiminy pracował u jego boku przez cały ranek, zdzierając powłokę ziemi tam, gdzie miały przebiegać nowe wyługowane kanały prowadzące do dołu kloacznego, ale kiedy słońce znalazło się dokładnie nad ich głowami, odłożył łopatę, ostrożnie jakby była to krucha ceramiczna rzeźba, i powlókł się ociężałym krokiem przez podwórze w stronę basenu. Był dobrym towarzyszem pracy, nawijał bez przerwy o książkach, płytach i wszystkich miejscach, które zamierzał odwiedzić Benares, Rio, Nairobi, pewne miasteczko w Wisconsin, w którym znajdował się największy na świecie ser, a gdyby nawet ów ser zdążył spleśnieć, zanim on tam dotrze, to cóż, był pewien, że po prostu zrobią nowy, ale Marco potrafił też pracować sam. Cała komuna, której był, lub przynajmniej próbował być częścią, rozproszyła się pod presją drobnych, ale istotnych konieczności: gotowania, sprzątania czy napraw, i choć przyjemnie było pomyśleć, że wszyscy włączyli się do pracy w tak kryzysowej sytuacji, wiedział, że nie zawsze tak to wyglądało.



A kryzys był rzeczywiście, bez względu na to, czy ludzie sobie to uświadamiali, czy nie – toalety w głównym budynku były przepełnione, ludzkie ekskrementy leżały pod każdym kamieniem, drzewem i w każdej sięgającej kolan kępie zielska na terenie farmy i, owszem, może był to przejaw powrotu do prymitywnych form bytowania, ale akurat tu prymitywizm był niezamierzony i niepożądany. Nikt nie zadawał sobie trudu, żeby to zakopać, nie mówiąc już o wykopaniu nowego szamba. Nie myśleli o tym, bo nie chcieli sobie zawracać głowy szczegółami. Opuścili swoje domy i teraz byli tutaj. To wystarczało i im mniej się o tym mówiło, tym lepiej. Ale Marco wiedział z doświadczenia, że wkrótce wkroczy do akcji inspektor sanitarny i że taka sytuacja nie jest bynajmniej przejawem wyższej świadomości.

Stał w dole, schowany do pasa, i wyrzucał piasek, kiedy nadszedł Alfredo ze słojem lemoniady w jednej ręce i szpadlem w drugiej. Marco widział, jak się zbliża, ale nie przerywał kopania, które stało się przynajmniej chwilowo czymś w rodzaju chorobliwego tik, czynnością pobudzającą krążenie krwi i jednocześnie powodującą otępienie. Coś najprostszego na świecie: kilof się unosi, kilof opada; łopata wchodzi w piasek, piasek frunie na zewnątrz.

– Hej – pozdrowił go Alfredo, ukazując równe spiczaste zęby w uśmiechu, który przeciął poziomą krechę superstrukturę jego zmierzwionej czarnej brody. – Pomyślałem, że pewnie chętnie byś się czegoś napił i skorzystał z pomocy.

Owszem, przydałoby się i coś do picia, i pomoc. Przyjął z wdzięcznością przesłodzoną lemoniadę ze świeżo wyciśniętych owoców, w której pływały trzy bezcenne kostki lodu, ale w Drop City było pewnie ze dwudziestu ludzi, w których towarzystwie wolałyby spędzić popołudnie. Nie miał nic przeciwko temu człowiekowi, oprócz tego, że Alfredo wykazywał się całkowitym brakiem poczucia humoru – sprawiał takie wrażenie, jakby ktoś przewiercił mu głowę rozżarzonym drutem, wypalając wszystkie wyczulone na dowcip komórki w martwej, dymiącej bryle mózgu – a kiedy udawało mu się złapać, o co chodzi, zabijał kawał, powtarzając w nieskończoność puentę i zanosząc się świszczącym śmiechem, który brzmiał tak, jakby Alfredo zachłystywał się własną flegmą. Był też starszy od innych, miał pewnie dwadzieścia dziewięć, może trzydzieści lat, i już samo to było problemem, bo wykorzystywał ów atut starszeństwa jak maczugę, ilekroć występowała jakaś różnica zdań. Do jego ulubionych powiedzonek należały: „Ha, prawdopodobnie byliście jeszcze wtedy w ogólniaku” i „Nie chciałbym wam dyktować, co macie robić, ale...”.

Teraz wlaźł do dołu, ściągnął koszulę, odsłaniając blade kondygnacje żeber, i zaczął kopać, co było godne pochwały. Pracowali w milczeniu parę minut, pulchna, poddająca się łopacie ziemia pod ich stopami wydzielala zapach przypominający woń wyjałowionej skamieniałej kości, nad głowami stało nieruchomo słońce i pot skrapiał zapyłone buty.

W pewnej chwili od strony basenu dobiegł nagle wysoki zawodzący okrzyk, po czym rozległ się plusk, a zaraz po nim drugi.

– Marco. To włoskie imię? – zapytał Alfredo leniwym tonem luźnej konwersacji.

– Tak przypuszczam, pewnie włoskie. – Marco wyprostował się i otarł przedramieniem czoło. Powinien był wcześniej wyjąć bandanę z plecaka, teraz nie miało to już sensu. Mógł się ochłodzić w basenie i zamierzał to zrobić, ale dopiero później. Znacznie później. – Ojciec dał mi to imię na cześć Marca Polo.

– Naprawdę? Ale numer! – Łopata wbiła się ze zgrzytem w ziemię. – A jak ma na imię twój brat? Christopher, na cześć Kolumba?

Marco skwitował tę próbę żartu nikłym uśmiechem – musiał wysłuchiwać tego dowcipu od podstawówki.

– Nie mam brata.

– Mój ojciec jest Włochem – powiedział Alfredo i stęknął, unosząc łopatę. – Matka Meksykanką. To dlatego tak dobrze znoszę upał, nawet taki jak dziś. W ogóle mi nie przeszkadza.

No tak. Marco pomyślał o swoim ojcu, człowieku, którego znał tylko jako głos z międzymiastowych rozmów telefonicznych, jakie odbywał w ciągu ostatnich dwóch lat. „Gdzie teraz jesteś? – krzyczał ojciec do słuchawki. – W Twentynine Palms? O rany, byłem tam podczas wojny na pustynnych ćwiczeniach. Szykowaliśmy się do rozprawy z Rommlem. Raj na ziemi, w każdym razie zimą... Matka chce wiedzieć, kiedy wracasz do domu, prawda, Rosemary? Rosemary?”.

Nie żywił urazy. Nie odczuwał w ogóle tej wściekłości, towarzyszącej dojrzewaniu, która skłaniała jego kolegów z liceum do wystrzeliwania rakiet V-8 w gardziel każdej ulicy na osiedlu i odpowiadania agresją na agresję przez kuchenny stół. Właściwie to tęsknił za ojcem – tęsknił za obojgiem rodziców. Zdarzało się czasem, gdy szedł, dźwigając swój plecak, wystawiał kciuk, budził się w obcym łóżku albo w jakimś bezimiennym miejscu, które wyglądało jak każde inne, że tęsknota wywoływała tępy ból, podobny do ćmiącego bólu zęba, ale teraz ulokował rodziców w podświadomości i stali się kimś niewiele dlań ważniejszym niż obcy ludzie. Wbrew decyzji sądu opuścił miejsce zamieszkania. Wydano nakaz jego aresztowania, drobne wykroczenie z lat chłopięcych sprzęgło się z późniejszą ucieczką do innego stanu i całymi miesiącami i latami ukrywania się, aż wszystko urosło do rozmiarów wielkiego muru oskarżeń – z zarzutem uchylania się od służby wojskowej na szczycie. Dom? Teraz jego dom był tutaj.

„Przykro mi, tato, ale moja odpowiedź brzmi: nigdy”.

Historia Europy – oto co było dla ojca Marca punktem odniesienia w życiu; uczył jej z drobiazgową dokładnością z tego samego, coraz bardziej abstrakcyjnego podręcznika przez trzydzieści, co najmniej przez trzydzieści lat, patrząc w niezliczone, coraz bardziej obojętne twarze. „Ta nowa dziesiąta klasa? – mówił przy obiedzie, wciąż w tej samej brązowej sztruksowej marynarce z naszytymi na łokciach skórzanymi łatami, które wyglądały, jakby je świeżo nasmarował tłuszczem, jedyny ojciec na całym liczącym ponad dwieście pięćdziesiąt domów osiedlu, który miał wąsy. – Oni przypominają bardziej Wizygotów niż Greków. Całkiem inaczej niż w czasach, kiedy ty chodziłeś do szkoły, Marco – co za różnica w ciągu pięciu lat! Wy byliście prawdziwymi uczniami!” – grzmiał, jakby rzeczywiście w to wierzył, a potem wybuchał śmiechem. Niekończącym się śmiechem.

– Jesteśmy przede wszystkim Irlandczykami. Nazywam się Connell. Wszyscy myślą, że z tym imieniem chodziło o nawiązanie do Marka O’Connella, ale to raczej żart mojego ojca. I myślę, że wyobrażał mnie sobie jako podróżnika zwiedzającego dalekie krainy.

– Naprawdę? A byłeś kiedyś za granicą?

Marco odłożył łopatę, żeby podważyć kamień kilofem. Spojrzał w górę, a potem w bok. – Właściwie nie.

I tu Alfredo wyruszył w podróż, zaczął sypać nazwami miast, które dosłownie spływały mu z języka, nie dla niego oglądanie wazących dwa tysiące funtów serów z Wisconsin – on był w Londynie, w Paryżu, Berlinie, Rzymie, Wenecji, Florencji, studiował kiedyś malarstwo, czy Marco o tym wie? A tak, szkicował w muzeach całej Europy, od Luwru przez Rijksmuseum aż po Prado. Miało to sens tylko wtedy, kiedy siedziało się miesiąc w każdym mieście, mieszkało się w jakimś pensjonacie czy schronisku, spotykało z ludźmi w kawiarniach, paliło hasz na ulicy, kupowało *pane* i bagietki prosto z piekarni, kiedy już bary i kawiarnie były pozamykane. Mówił tak przez dobre piętnaście minut, bez zaczerpywania tchu.

Gdzieś pomiędzy Amsterdamem a placem Concorde z drzew zerwały się z wrzaskiem kruki i zaczęły im krążyć nad głowami, wielkie, lśniące ptaszyska, atakując spłoszoną sowę.

– Sowy dobierają się do nich nocą, kiedy kruki są bezradne, wiedziałeś o tym? – zapytał Marco, zadowolony, że może zmienić temat. – I o to właśnie chodzi. O przeżycie. Wyobraź sobie nas, wyobraź sobie, że są na świecie inne gatunki małp, które nam zagrażają, nie goryle i szympany, ale jakieś inne istoty człekokształtne.

Alfredo najwyraźniej nie miał nic do powiedzenia na ten temat – on wierzył w powszechną harmonię, braterstwo, wegetarianizm, pokój, miłość i zrozumienie. Nie chciał słuchać o wojnach pomiędzy krukami i sowami, nie mówiąc już o małpach czy o tym, jak kruki atakują gniazda mniejszych ptaków – wróbli, zięb, junko – żeby rozszarpać i pożreć ich pisklęta. Nie miało to nic wspólnego ze światem, w którym żył.

– Okropność – powiedział więc w końcu. – Okropność.

Pochylili się nad robotą, ciszę przerywał tylko jednostajny zgrzyt łopat i jazgot ptaków znikających gdzieś na skraju nieba. Potem zaczęły się w nią wsączać inne odgłosy: szmer krzątający w Drop City, beczenie kóz domagających się wydojenia lub nakarmienia, pojedyncze, przenikliwe szczeknięcie psa, zaskoczonego przez własny głód, regularne trzaskanie siatkowych drzwi na tyłach domu – a pod tym wszystkim, niczym ścieżka dźwiękowa filmu, matowe tony rock and rolla sączące się z okien kuchni.

– Słuchaj, ja naprawdę jestem ci wdzięczny za to, co tu robisz – powiedział Alfredo, prostując się i zginając ponownie grzbiet, na którym drobne grudki ziemi przywarły do ciała pokrytego gęsto kropelkami potu. – To znaczy za to, że wykazałeś inicjatywę. Wiem, że jesteś tu dopiero dwa tygodnie czy coś koło tego, ale to naprawdę super, tego właśnie potrzebujemy tu więcej.

– Jasne – powiedział Marco, nie przerywając kopania.

– Nie ma problemu.

Czuł się lepiej, robiąc cokolwiek, bo gdy pochłaniała go praca, uwalniał świadomość od nękających go myśli. Takie bezwolne dryfowanie było w porządku. Przynajmniej do pewnego momentu. Leżenie w domku na drzewie z książką w ręku też. I drągi. Kobiety. Muzyka. Ale teraz, w tym dole, pod palącymi promieniami słońca, liczył się tylko wysiłek fizyczny, nic więcej.

– Wiesz, wcześniej byliśmy w komunie Thunder Mountain – ja i Reba, nie mieliśmy jeszcze wtedy dzieci. Choć nie, Che miał już chyba wtedy roczek, a może półtora, nie pamiętam. Ale tam wszyscy głównie chcieli się dymać i ćpać, co oczywiście jest w porządku, nie zrozum mnie źle, ale doszło do tego, że w końcu nie miał kto dbać o ogród i gotować posiłków. Mówię o cipkach. Bo one są kluczem do wszystkiego. Jeśli cipki tracą energię i nie chce im się zmywać naczyń, zamiatać i gotować, to zaczynają się kłopoty, i to poważne. Nie ma nic gorszego od stosów brudnych, zaskorupiałych talerzy, garnków i patelni, od sytuacji, kiedy ludzie kręcą się i dopytują, co z obiadem. To właśnie wtedy wszystko się załamuje, możesz mi wierzyć, bracie.

Marco nie odpowiedział, bo kiedy podniósł wzrok, zobaczył Sky Doga kroczącego w asyście Lestera i Franklina. Choć nie, to nie był Franklin, tylko ten drugi, jak mu tam, Dewey, bohater wojenny. Nie odzywali się słowem, nie machali rękami na powitanie, nie uśmiechali się, po prostu szli przez zarośnięte zielskiem podwórze wolnym, ale pewnym krokiem, wzbijając obcasami obłoczki kurzu. Alfredo również spojrział w górę, akurat w momencie gdy tamci doszli do drugiego końca dołu i stanęli tam, patrząc z wysokości wzrokiem katów. Zdanie: „Kopiesz własny grób”, tłukło się Marcowi po głowie. Sytuacja wyglądała nie najlepiej.

– Ej, Alfredo – odezwał się Sky Dog. – Chciałem z tobą pogadać.

Alfredo położył płasko dłoń na brzegu dołu i wydostał się z niego. Otarł ręce o sprane dzinsy, próbując się uśmiechnąć.

– Hej – powiedział takim tonem, jakby ucieszył go widok Sky Doga.  
– Co tam nowego, stary? – Wyciągnął rękę w geście serdecznego powitania, które jednak nie nastąpiło.



Jak się prezentował Sky Dog? Pięć stóp i dziesięć, może jedenaście cali wzrostu, sto siedemdziesiąt funtów wagi, opalony tak, że jego skóra wyglądała jak złoty pancerz. Na obu bicepsach pojedyncza niebieskawa żyła, oczy jaśniejsze od twarzy. Sumiaste wąsy à la doktor Fu Manchu zwisały dobre trzy cale poniżej zuchwy. Zwykle chodził w dzinsach i wyszywanej dzinsowej kurtce z odprutymi rękawami, skromny hipis-farmer ubrany ze skromnym hipisowskim szykiem, ale dziś wyjątkowo się wystroił, włożył kolorową koszulę, srebrną apaszkę, przewleczoną przez mały złoty pierścień, i spodnie dzwony, spod których nie było widać stóp.

– Muszę ci powiedzieć, że jestem wkurwiony – zwrócił się do Alfreda i jego twarz przybrała barwę wątroby, która ma za chwilę wylądować na patelni. – Bo jeśli ci się zdaje, że możesz mnie stąd wypieprzyć przez jakieś głosowanie czy coś podobnego, to chyba ci odbiło. A już wypychanie tego pojeba – tu wskazał na Marca – jako swojego chłopca na posyłki, dlatego, że sam nie masz jaj...

– Daj spokój, Bruce, dajże spokój, wiesz, że kto jak kto, ale ja nie zrobiłbym nic przeciwko tobie – Alfredo rozłożył szeroko ręce – powinniście jednak wiedzieć, że nie możemy ryzykować i narażać się, że przyjdą tu gliny, a bez względu na to, czy dobrałeś się do tej małej, czy nie, ona mogła i tak iść do szeryfa w Sonomie i powiedzieć, co tylko jej się podobało. Nawet nie wiemy, kim ona jest i gdzie się teraz podziewa...

– Och, pieprzyć to, człowieku. Posłuchaj sam, co ty mówisz, przecież to czysta hipokryzja. Posłuchaj sam siebie: „czy dobrałeś się do tej małej”. Owszem, dobrałem się. I tak samo Lester i Dewey, i jeszcze kilku chłopaków, włącznie z tym gówniarzem Panem czy jak mu tam. Ona się o to prosiła – nie, ona wręcz o to błagała, zaćpajmy się i podymajmy, a potem jeszcze trochę, i macie chłopaki jakąś trawkę? Więc ja nikogo nie będę przeproszał. Nie ma tu na farmie ani jednego gościa, który nie zrobiłby tego samego, zgodzisz się?

Lester potwierdził. Dewey nie powiedział nic, tylko patrzył wyczekująco.

Sky Dog – a raczej Bruce, bo tak właśnie miał na imię, Bruce, i wiedzieć o tym oznaczało mieć sposób na sprowadzenie go do właściwego wymiaru – podniósł nabrzmiąły skargą głos do najwyższego rejestru:

– Jestem tu od ilu? Od ośmiu, dziesięciu miesięcy. A ty wysyłasz tego pojeba – palec znów dźgnął powietrze, wskazując w dół, na Marca – który jest tu od jakiegoś tygodnia, żeby powiedział mi nie, że mam się stąd wynosić? No więc powiem ci, że nigdzie nie pójdę, nawet gdyby przyszedł sam Norm i zapukał do moich drzwi, a jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to zaraz ci powiem...

W tym momencie Marco przestał słuchać. Myślał o psie, którego miał kiedyś jego wuj, o husky z jednym okiem piwnym, drugim niebieskim, najdzikszej bestii, jaką kiedykolwiek udomowiono i jaką Marco kiedykolwiek widział. Ten pies nie chciał uganiać się za piłeczką, pokazywać żadnych sztuczek ani jeździć samochodem, nigdy nie łąsił się, nie lizał pana po rękach ani nie zebrał przy stole o jedzenie, a kiedy próbowano go skłonić, by zbratał się z innymi psami w parku albo na przestronnym pofałdowanym skwerze za szkołą, nie ruszał się z miejsca, co najwyżej leniwie podnosił nogę lub wydawał z siebie usprawiedliwiający pomruk. Kiedy go jednak coś sprowokowało, kiedy jakiś pies podszedł za blisko, warknął lub potrącił go barkiem, następował wybuch, bez ostrzeżenia, i była to erupcja przemocy w stanie czystym, atak tak nagły i gwałtowny, że człowiek nie był pewien, czy coś naprawdę widział. Ten drugi pies, bez względu na to, jak był duży, natychmiast przewracał się na grzbiet, a husky wuja – wabił się Lobo – chwycił go za gardło.

Dwukrotnie w ciągu minuty Marco został nazwany w oczy pojebem – i było to o dwa razy za dużo. Zanim Bruce zdołał do końca wylać swoje żale wysokim, nosowym głosem, dostrojonym idealnie do tonacji rozbrzmiewającego w oddali bluesa – a ten chłopiec bez wątpienia umiał śpiewać! – Marco wyciągnął rękę i schwycił go za lewą stopę, dokładnie za obcas buta, i szarpnął z całej siły. Sky Dog wyrznął o krawędź dołu, w sekundę później parskał i młócił na oślep rękami na jego dnie, Marco zaś z pełną i zimną premedytacją patrzył, jak jego własna prawa pięść unosi się i opada niczym tłok, by przefasonować bużkę faceta w najbardziej niebraterski sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Jeśli sądził, że na tym się skończy, to bardzo się mylił. Powinien być bardziej przewidujący, powinien kalkulować i szukać dla siebie najlepszej szansy, ale teraz nic już nie miało znaczenia. Teraz liczył się Dewey, który złapał go za gardło i szarpnął mu głowę do tyłu, jakby ponownie odbijał piłkę po nieudanym rzucie. Liczył się Lester, pucowałaty Lester, w swoich butach platformach i w kapeluszu alfonsa, okolonym srebrnym łańcuchem połyskującym nad szerokim rondem. Lester, który stojąc na kopcu ziemi, sprężył się i dwukrotnie, z baletową gracją i precyzją, kopnął go w żołądek w chwili, gdy Marco próbował wyswobodzić się z żelaznego uścisku trzymającego go za gardło Deweya, a Sky Dog – Bruce! – wyskoczył z dołu, na oślep wymachując zaciśniętymi pięściami. Po jakichś dwudziestu sekundach cała trójka nacierała na Marca unieruchomionego chwytem Deweya i bezwładnego jak słomiana kukła.– Przestańcie! Przestańcie! – wołał Alfredo. – Przestańcie, mówię!

Marco nie miał złudzeń. To była walka o władzę, konflikt tego, czego chcieli tamci, z tym, czego chciał on. A on chciał ni mniej, ni więcej tylko ocalenia Drop City. Szarpnął się, wierzgnął nogami, kopnął Sky Doga i usiłował oderwać ramię zaplecione wokół jego szyi. Przypominało to do złudzenia taniec. Bezsensowny, z podrygami, skrętami ciała, punktowany odgłosem tępych, soczystych uderzeń. Osłabiony, bliski płaczu Sky Dog nie trafiał; połowa jego ciosów zaledwie muskała skórę Marca, ale Dewey był facetem z kutego żelaza, a Lester doskakiwał i wymierzał miarowo kopniaki, zupełnie jakby wchodził po drabinie.

– Skurwysynu – powtarzał cicho, niemal z czułością, jak gdyby nie bardzo wiedział, co robi i co mówi. – Ty skurwysynu.

Mogło to tak trwać jeszcze dłużej, bez końca, krew za krew, nóż w pochwie, pochwa u pasa, mokre plaśnięcia ciała o ciało, gdyby nie turyści. Dwoje z nich – małżeństwo, w dzinsie i skórze, z pacyfami z brązu dyndającymi na szyi – przyjechało akurat poprzedniego wieczoru, by zobaczyć, jak żyją przedstawiciele kontrkultury, może napisać o tym esej albo książkę, o rozwiązłości i idei pokoju, o müsli, kozim mleku, marihuanie pod gwiazdami. Marco rozmawiał z nimi tego ranka – przyjechali z Berkeley, on był profesorem, a ona poetką, dali po dwa dolary za rozgotowaną owsiankę i gąbczaste placki; i to, i to było warte każdych pieniędzy, bo tworzyło koloryt. Profesor łyślał na ciemieniu, ale obwiązywał sobie głowę bandaną i smarował brylantyną długie, sztywne włosy na karku, więc opadały mu na kołnierz w strąkach, co jego kolegom z wydziału socjologii musiało się wydawać niesamowicie „hip”. Poetka była około czterdziestki, Marco nigdy o niej nie słyszał. Miała duże obwisłe piersi, T-shirt bez rękawów, piórka we włosach, wąskie chytre usta i małe, złe, świdrujące oczka, które przewiercały i sondowały wszystko dokoła, bo wszystko mogło być materiałem na wiersz. I oto tutaj rodził się kolejny, rozwijał się tuż przed jej oczami. Jak mogłaby go zatytułować – „Bitwa o kloaczny dół” czy po prostu: „Dół”? Marco nie miał czasu, by się zastanawiać: robił uniki i starał się przyjmować ciosy tak, aby doznać jak najmniejszej szkody. Ale „Dół” brzmiało najlepiej. Tytuł „Dół” mówił wszystko.

A zatem co się wydarzyło: profesor i poetka wyszli na przechadzkę, rozkoszując się upałem jak jaszczurki nadymające swoje maleńkie gadzie gardziołka, pławiąc się w aurze pokoju, miłości i wspólnotowej synergii, gdy nagle ona – poetka – wrzasnęła przeraźliwie. I nie był to zwykły wrzask – nie był to łagodnie podniecający pisk pro forma, jakiego można by się spodziewać po poetce opiewającej walkę na pięści między hipisami w na pół wykopanym dole na spieczonym słońcem polu nad Russian River; nie, to miało wywołać szok, prawdziwy wstrząs, jak wściekle szarpnięcie liny napiętej pomiędzy dwoma biegunami egzystencji. Krzyk poetki wzbił się ponad upał i duchotę – i wszystko się nagle zatrzymało. Dewey rozluźnił chwyt, Lester cofnął szykującą się do kolejnego kopniaka stopę, Sky Dog i Alfredo odwrócili gwałtownie głowy najpierw w jej stronę, potem ku gęstej ścianie lasu zamykającej podwórze. A Marco, ślaniający się na nogach, napędzany adrenaliną, która zamieniła się w jego żyłach w żywy ogień, Marco odwrócił się, by spojrzeć jako ostatni.

Zobaczył Ronniego – Pana – wynurzającego się chwiejnie z cienia i przyodzianego w szatę z krwi, mokrej krwi, rozplomienionej ostrym, bezlitosnym blaskiem słońca. Niósł coś przewieszzonego przez ramiona powleczone świeżą lśniącą czerwienią. To była jakaś żywa istota – choć nie, jednak martwa, najwyraźniej martwa. Broczyła krwią. To ta dziewczyna, pomyślał Marco, pewnie ta dziewczyna; nie dość, że ją zgwałcili i poniżyli, teraz jeszcze... Ale to nie był ludzki kształt. Marco dostrzegł sierść, ciemnobraunatną sierść. Czyżby Ronnie zabił jednego z psów? Czy to możliwe?

– Hej, ludzie – dobiegł z daleka zniekształcony, łamiący się z podniecenia głos Ronniego. – Mamy mięso!

– Mięso? – powtórzył Alfredo, robiąc krok w jego stronę i wszyscy zrobili to samo. – O czym ty mówisz? Co to jest?

Marco wygramolił się z dołu. Ronnie zbliżał się, był już o sto stóp od nich, może bliżej, ugiął się pod swym brzemieniem z krwi, mięsa, sierści i kości.

A co, kurwa, myślisz! Upolowałem sarnę!

## 6

Sądząc z reakcji cipek, można by pomyśleć, że Ronnie zabił jelonka Bambi albo coś podobnego. Najgorsza była Merry – nie, jednak Verbie, Verbie była jeszcze gorsza, tak jakby nie spędziła ostatnich osiemnastu lat swego życia, łącząc jak wszystkie nastolatki w Ameryce po dziale mięsnym w supermarkecie i pożerając hamburgery po piętnaście centów oraz pizze pepperoni. I Alfredo, z tym swoim „mięso to morderstwo” i „jak można szlachtować swoich braci mniejszych i żyć z taką karmą, bla, bla, bla”. Wszystko to zakrawało na jakiś żart. Wciąż gadali tylko o powrocie do natury, do ziemi, o prostym życiu, o wyłączeniu się, ale gdyby dziesięć mil od farmy nie było supermarketu, umarliby do tej pory z głodu, wszyscy, co do jednego. W rzece były ryby, w lasach zwierzyna łowna, i co z tego, że było po sezonie, co z tego, że załatwił łanię, która po sprawieniu nie mogła ważyć więcej niż dziewięćdziesiąt funtów? To było mięso, darmowe mięso, i można nim było wykarmić wszystkich mieszkańców farmy co najmniej przez tydzień. Czy oni naprawdę zamierzali przejść przez życie, wcinając paszteciki z soi i bakłazany z żytnim chlebem? Falafel? Kebab z tofu, na rany Chrystusa? Powinni mu dać medal, kurwa.

W każdym razie spędził całe popołudnie, obdzierając ze skóry i ćwiartując sarnę, co było bez wątpienia paskudnym zajęciem; jedynym, który mu pomógł, był Marco, bo tylko Marco rozumiał, na czym polega powrót do natury – polował i wędkował od ósmego roku życia, na kuropatwy, króliki, wiewiórki oraz kaczki, stojąc w lodowate poranki po pas w wodzie, która rwała z szybkością pociągu. Czasem za całą zdobycz musiały mu wystarczyć na pół rozwinięte pstrągi hodowlane z siodłowatymi grzbietami, a wtedy marzył, że matka zrobi klops. On już tam był – i teraz wrócił. Tak jak Ronnie. Jak P a n . Che i Sunshine gapili się na nich, dłubiąc w nosie, a pół komuny zaglądało, żeby zobaczyć, co robią. Niektórzy łajali ich, przechodząc, inni im kibicowali, jeszcze inni opowiadali o sarnich stekach skwierczących na ruszcie nad żarem, Ronnie zaś ścigał skórę w chmurze much – planując, że może zrobi sobie kurtkę z frędzlami. Marco, pochylony nad sarną, odcinał wąskim ostrzem lśniącego myśliwskiego noża cienką błonę, która trzymała to wszystko w kupie.

– Co się stało z twoją twarzą? – zapytał w pewnej chwili Ronnie, zanurzając ręce w krwawej masie.

Słońce wibrowało wśród drzew niczym jakiś nowy japoński gadżet. Niedopałek skręta przylepił mu się do dolnej wargi, obok niego stała w sztywnej, pożółkłej trawie przekrzywiona kwaterka piwa śliska od krwawych odcisków dłoni. Było późne popołudnie, z kuchni dochodziły zdecydowanie wegetariańskie zapachy.

Marco podniósł wzrok i wyszczerzył zęby, ale był to krzywy uśmiech à la Floyd Patterson. Lewą powiekę miał spuchniętą jak parówka, zaschnięte skaleczenie ginęło poniżej wśród zarostu.



– Różnica zdań – powiedział i na tym poprzestał, bo Ronnie nie był przygotowany na długą zawiłą opowieść o bambusach, Sky Dogu i o tym, kto przedwczoraj w nocy zrobił co i komu w budynku gospodarczym, i teraz tylko kiwnął głową, nie dopytując się dalej.

Odkrawali cierpliwie skórę, najpierw z jednego boku, potem z drugiego, tak że po krótkim czasie dała się ściągnąć jak mokry dywanik. Czy nie trzeba jej było przypadkiem natrzeć solą, ługiem czy czymś innym? Na pewno należało z niej usunąć sierść i to była męka, prawdziwa katorga... O tym właśnie myślał Ronnie, kiedy tłuste błękitnozielone muchy zaroily się w powietrzu, a głos Tracy Nelson, mocny i czysty, wzbił się wysoko ponad zwykłe hałasy dochodzące z głównego budynku. Pracowali na zewnątrz, za basenem, na martwym, wypalonym skrawku trawnika. Sarnę powiesili na gałęzi, żeby się wykrwawiła, ale tylko na godzinę – obaj obawiali się skutków upału. Bo też kto w ogóle strzelał do saren o tej porze roku? Nikt. Nikt oprócz Pana. Tak czy inaczej była tu, nie dało się zaprzeczyć. Tego ranka przyszła nad rzekę, żeby pogrzebać raciczką w błocie, poskubać delikatne pędy tego i owego, wybrała się tu samotnie, trudno sobie było wyobrazić czy przewidzieć, że wkrótce będzie martwa. No i teraz należała do niego.

Pan czuł działanie trawy, piwa, gwałtowny, nieokiełznany przypływ podniecenia tym, czego dokonał: to była jego sama, jego pierwsza sarna – i zaczął śpiewać do wtóru piosence z płyty: *When it all comes down, you got to go back to Mother Earth*. O, tak. Jechał na całość, nie miał się czego wstydzić, bo wszyscy mówili mu, że ma ładny głos, czuł większe zahamowania, kiedy próbował mówić po francusku, hamował też, gdy zjeżdżał na rowerze w dół wzgórza Portrero z plecakiem pełnym zakupów na grzbiecie, ale nie teraz, gdy śpiewał. *I don't care how rich you are, I don't care what you're worth*. Odrzucił głowę do tyłu, naprawdę się zapamiętał, wpadł w trans, triumfujący Pan, gdy nagle płyta zadławiła się ze zgrzytem i prawie natychmiast ktoś włączył nową, z jakąś żarliwą, popisową ragą, która przypominała akt masturbacji.

– Pieprzyć to – powiedział. – Nienawidzę tego. Naprawdę tego nienawidzę.

Marco wyjął z ust skręta okrwawionymi palcami.

– Czego nienawidzisz? Raviego Shankara?

– Nie... to znaczy tak. Tak, kurwa. To kompletny szajs. Chodzi mi o to, że kiedy naprawdę wejdiesz w piosenkę, no wiesz, i ktoś ci nagle weźmie i... – Machnął ręką, w której trzymał okrwawiony nóż, jakby chciał powiedzieć: no wiesz, o czym mówię, i Marco wiedział, bo skinął głową na znak, że Pan nie musi kończyć.

W milczeniu słuchali rozkwitającego sitaru i tabli, które bębniły gdzieś w tle, jak deszcz o blaszany dach, Marco klęczał obok Ronniego, nabierał powietrza, wstrzymywał oddech, potem pociągał z bulgotem potężny łyk z butelki. Żółte piwo musowało, tak teraz nagrzane, że przypominało gazowane szczyny, ale kiedy podał butelkę Ronniemu, ten przyłożył wargi do szyjki i przechylił głowę do tyłu. Noże chlastały, muchy wzbijały się w powietrze. Odcinali grube płaty mięsa; dla obu była to lekcja.

– Masz dobry głos – zauważył Marco.

– Ach, mówisz o tej piosence? Podobało ci się? To tylko takie sobie śpiewanie, razem z płytą. Powinieneś mnie posłuchać z zespołem, z którym miałem śpiewać, kiedy jeszcze byłem w Nowym Jorku. Znaczący śpiewałem z nimi kilka razy na próbach, gitarzysta i ja byliśmy naprawdę dobrzy, a na bębnach grał koleś, z którym chodziłem do szkoły...

Ciągnął w tym stylu przez jakiś czas, sprawiało mu to przyjemność, myślał o Baracce i Herlihym, i innych chłopakach z zespołu, i o uczuciu, jakby latał bez skrzydeł, którego doznawał za każdym razem, kiedy stawał przed mikrofonem z całym tym rozkołysanym elektrycznym akompaniamentem zespołu za plecami i z głosem Eddiego Herlihy'ego splatającym się z jego głosem niczym dwie żyły w tym samym organizmie. Jak mógł to w ogóle komukolwiek wytłumaczyć? Ach, i do tego hera, w paczuszkach po trzy i pięć dolarów, które kupowało się od bambusów na tyłach wypalonych, zabitych od frontu deskami sklepów w śródmieściu – spróbuj, masz tu szprycę, strzel sobie – żeby ochłonać po obłądnym graniu, i to było braterstwo, braterstwo strzykawki, gwizdniętej przez kogoś żonie pielęgniarce i tak tępej, że trzeba było wbijać igłę w ramię jak gwóźdź...

– No więc jak myślisz? – zapytał Marco. – Czy powinniśmy uwęździć resztę mięsa, robiłeś to kiedy? Albo może zasolić? Słyszałem, że można zasolić.

– No a do lodówki?

– Chyba żartujesz! Lodówka jest zapchana lodami, tofutti i sześcioma innymi rodzajami, ciastami i różnościami. Do tego pięćdziesiąt pojemników z lodem. Jeśli uda nam się tam wcisnąć ze trzy kotlety, to będzie cud. Nie wiem, ilu ludzi będzie chciało zjeść dziś wieczorem befsztyk, ale ja byłbym za tym, żeby upiec ich na grillu jak najwięcej.

– No to już – powiedział Ronnie i od razu wszystko sobie wyobraził, chmura dymu jakby się palił las, przenikający wszystko słodkawy zapach mięsa, jeszcze jeden skręt, żeby poprawić sobie nastrój i dla zaostrenia apetytu, wszyscy – nawet Alfredo – ustawieni w kolejce do grilla ze swoimi blaszanymi talerzami, żalosna kupka wyschniętego ryżu i jarzyn i on, Pan, wspaniały Pan, łowca i zbieracz, najważniejszy trybik w maszynie, człowiek dnia, nakładający mięso na talerze.

Zanim żar ogniska przygasał na tyle, żeby można było usmażyć befsztyki, nie wznecając pożaru, zrobiło się prawie ciemno. Ronnie, który do tego czasu całkiem się rozluźnił, przygotował ich całą górę. Trochę soli, odrobina pieprzu, kleks słynnego sosu barbecue wymyślonego przez Pana (dwie części keczupu, jedna musztardy, sproszkowany czosnek do smaku, na końcu trochę octu winnego, mieszać przez dziesięć sekund, bul, bul, bul) – i gotowe. Zanim dostał pracę w dziale płyt w Caldorze, pracował w barze Surf’N’Turf, przez dwa dni w tygodniu przy grillu i przez trzy za barem, toteż miał pojęcie, co można zrobić z mięsem, jeśli tylko wyglądało jak mięso, przewracał więc befsztyki z wprawą i profesjonalizmem.

Zrobił się też wylewny, obsługując ruszt, gawędził ze wszystkimi, sztachał się to z tej, to z innej fajki, a wreszcie opowiedział Jiminy'emu o autostopowiczu, który pewnej nocy zaprosił Star i jego na imprezę, chyba w Iowa – tak na pewno w Iowa. Było na niej może z dziesięciu albo dwunastu niesamowicie *hip* ludzi, zgromadzonych wokół wielkiego piknikowego stołu ustawionego na środku pola, dokoła grały świerszcze, pyzaty księżyc zawisł nad horyzontem, panował spokój i podniosły nastrój. Wszystkie talerze – blaszane, takie same jak te, dokładnie takie same, czy to nie fantastyczne? – były przybite do stołu, po prostu ukrzyżowane, po jednym gwoździu w sam środek, dwa rzędy po obu stronach. Kiedy impreza się skończyła, kiedy wszyscy ogryzali już tylko kości i kolby kukurydzy, i tak dalej, brat autostopowicza, który był gospodarzem, po prostu wstał i umył stół razem z talerzami, splukując go wodą z węża.

– Naprawdę? I jak to wyglądało po takim myciu?

– Super, fantastycznie.

– A tłuszcz, zarazki i tak dalej?

– Następnego dnia zabrały się za to mrówki, ptaki, muchy i co tylko.

Słońce. Deszcz.

– Niech przyroda sama o to zadba, no nie?

– Jasne, niech przyroda zadba sama.

Większość braci i sióstr jadła już wcześniej – obiad był o szóstej – a mimo to stanęli w kolejce, wszyscy oprócz Merry, Alfreda i kilkorga innych zatwardziałych wegetarian takich jak Verbie. (Zabolała go zwłaszcza odmowa Merry, ale ona była nieugięta, każde stworzenie było dla niej święte, nie zabiłaby malarycznego komara, gdyby usiadł jej na ręce, a czy słyszał o dzainach w Indiach, którzy chodzą z gazą na ustach, żeby nie połknąć przypadkiem jakiegoś owada?). Ale Norm przyszedł, chętny do pomocy i rozmowny po jakichś prochach, i co dwie minuty wołał: „Chleb i ryby! To cud!”. Ktoś wytaszczył wielkie kolumny na werandę i nastawił *Electric Ladyland*, wkrótce ludzie, ogarnięci jakimś „mięsnym amokiem”, zaczęli tańczyć na trawniku i zanim płyta się skończyła, befsztyki zostały zjedzone, a zabawa rozkręciła się na dobre.

W pewnej chwili wyciągnięty na trawie z talerzem w ręku Ronnie, pociągając z przechodniego skręta i dopijając mętne resztki wina ze słoja, którym ciągle kręcił w nadziei, że takie mieszanie zneutralizuje smak nafty, stwierdził, że przysiedli się do niego profesor i jego małżonka. Rozpoznał w niej kobietę, która wydała z siebie ten mrożący krew w żyłach okrzyk, kiedy on, Ronnie, wynurzył się chwiejnie z lasu z sarną na barkach; nawiasem mówiąc, jeśli komuś wydawało się, że to jakaś zabawa, to chyba był niespełna rozumu. Znajdowali się tu również Star, Marco, Lydia, Jiminy, cały mniejszy krąg wyodrębniony z głównego. Wszyscy oni zwykle dyskutowali o tak ważkich sprawach jak to, czy Hendrix jest kosmitą i ile głów mieści się na szpilce anioła. I oto nagle teraz pojawił się tu, u jego boku, ten profesor, z talerzem pełnym przeżutych chrząstek, i zaczął zadawać pytania w rodzaju: „A więc kiedy zdecydowałeś się odejść z domu?”.

Ronnie chciał mu powiedzieć, żeby się odpieprzył i wracał do swojego Berkeley razem z innymi turystami (Nie widzisz, że mamy tu imprezę, człowieku?), ale było w tym facecie coś takiego – może przez tę jego szpakowatą brodę i soczysty, głęboki tenor, który przywodził na pamięć wszystkie te senne popołudnia strawione na nauce angielskiej literatury – że po prostu opuścił głowę i wymamrotał:

– Półtora roku temu.

Przesadził zresztą – gdyby powiedział „pół roku”, byłoby to bliższe prawdy. Ale profesor nie potrzebował żadnych hipisów z półrocznym stażem, chciał prawdziwych, ortodoksyjnych, perypatetycznych i zaprzysięgłych kocmołuchów, których mógłby podziwiać i którzy mogliby wzbudzać dreszczyk u inteligentów. Miał przy sobie notatnik. Miał też – no nie, a jednak tak – magnetofon.

– Pozwolisz, że to nagram? – zapytał.

Hendrix, istota wyższa, astralna, totalnie odlotowa, ujeżdżał noc i Ronnie bąknął: „Jasne”, a żona profesora przysunęła się bliżej; grube nogi pod długą spódnicą, dżojnt ściśnięty w palcach jak wijąca się w agonii południowoamerykańska groźnica z wyrwanymi zębami. Czy się sztachnie? Tak. Pociągnęła i podała skręta dalej.

– Ile masz lat? Tutaj, mów do tego.

– Do tego?

– O właśnie, do tego.

– Mam dwadzieścia dwa lata.

– Problemy rodzinne?

– Nie większe niż inni.

– Czy uciekałeś wcześniej z domu?

– Raczej sobie nie przypominam. Może raz. Albo dwa razy.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Nie wiem... dziewięć. Poszedłem do kręgielni i schowałem się za fliperem.

– Oboje rodzice żyją?

Rodzice żyli, owszem, ale tak samo żył Lon Chaney junior w *Duchu mumii*. Tak samo jak on dreptali, przestępując z nogi na nogę, i wygłaszali ponurymi głosami złowróżbne komunikaty dla świata i dla wykolejonego, znarowionego syna, którego widywali podczas obiadów tylko dlatego, że musiał jeść, aby przeżyć. Równie dobrze można było i ich zawinąć w bandażę jak mumie, bo byli oboje chodzącymi katastrofami, ojciec ze swoim nosem, który wyglądał jak odarte ze skóry zwierzątko przypięte do twarzy lśniącymi, metalicznymi pinezkami oczu, matka jak bezkształtny wór wypełniony wewnętrznymi organami, z wiecznie zawodzącą, wysuszoną czaszką osadzoną na szczycie. Jak się zastanović, to mogła zagrać główną rolę w filmie *Krzycząca czaszka*. I wciąż gderali. Gderali i warczeli. Pan spojrział profesorowi w oczy i szybko odwrócił wzrok.

– Tak – powiedział krótko.

– Jakies nałogi? Palisz marihuanę? Zażywasz twarde narkotyki? Gorzałka? Co sądzisz o wolnej miłości? Jakies choroby weneryczne? Głosowałeś w ostatnich wyborach?



Pana wciągnęło. Rozkręcił się, rozgadał. Opowiedział profesorowi o kupowaniu działek na South Street i podgrzewaniu hery w czymkolwiek względnie czystym i niepalnym, co było pod ręką, zwykle na łyżce albo w specjalnym naczyniu do sadzonych jajek – miał coś takiego i szpanował przez tydzień, dopóki tego nie zgubił. W końcu rozłożył ramiona jak eksponat w prosektorium, żeby pokazać profesorowi, że już od dawna nie ma śladów po nakłuciach; prawda była taka, że potwornie przestraszył się heroiny i nie zamierzał jej więcej brać w życiu, może najwyżej pojedynczego niucha. Drew nie żyła. I Martwy Mike też już nie żył.

– Ale wolna miłość, człowieku, lepiej nie pytaj. O to w tym wszystkim chodzi, o cipki, rozumiesz?

W tym właśnie momencie uświadomił sobie, że Star go obserwuje, z kolanami podciągniętymi pod brodę, opasana ciasno własnymi ramionami. Blask ogniska powlekał jej twarz jak gorący tłuszcz, a uśmiezek na wargach mówił więcej niż najokrutniejsze, druzgocące słowa.

– A co z chorobami wenerycznymi? – pytał profesor, nachylając się z mikrofonem.

Jego twarz kiwała się na żylastej, starczej szyi jak pinata, niżej dyndał kupiony w sklepie z pamiątkami medalion z pacyfą, niczym linka wyzwalająca spadochron, oczy zaś przypominały parę ruchliwych ropuch i Pan – Ronnie – poczuł się tak z a k ł o p o t a n y, tak kurewsko upokorzony i perfidnie wypuszczony, że wyrwał profesorowi mikrofon z ręki i nie wiedząc, co z nim począć, jednym zdecydowanym mchem cisnął go do ognia.

– Coś ty, do cholery, zrobił? – zawołał profesor, a jego małżonka, poetka, dorzuciła: – Amerykański prymityw. – I zaniósła się serdecznym śmiechem, jakiego już dawno u siebie samej nie słyszała.

Ronnie zerwał się na równe nogi i choć kopniak trampkiem nie miał wielkiej dynamiki, wystarczyło jej, by posłać w ogień całą resztę aparatury – duże, srebrnoszare pudło z przyciskami, pokrętłami i obracającymi się wolno szpulami. Profesor rzucił się z krzykiem, by wyciągnąć magnetofon z rozżarzonych węgla i poczerniałych resztek świętej pamięci sarny.

– Ty pieprznięty sukinsynu! – wrzasnął, ale dla Ronniego nie miało to znaczenia; w ogóle go nie słuchał.

Słyszał jednak śmiech Star, twardy, ochryply, żądłący. I ten śmiech tkwił wciąż w jego mózgu, kiedy odchodził w mrok nocy, żeby zapomnieć.

Później, dużo później, siedząc przy ognisku z jakimiś ludźmi, których nie rozpoznawał – choć może i rozpoznawał – zaczął się zastanawiać, czy nie pójść do budynku gospodarczego i nie zobaczyć, co zamierzają Sky Dog i bambusy, ale w końcu stwierdził, że nie pójdzie. Lepiej nie kusić losu. Byli tacy, którzy by chcieli, żeby odszedł – tu zamajaczyła mu twarz Alfreda, wynurzając się z płytkiego grobu w jakimś zakamarku jego świadomości, a zaraz po niej po kolei twarz Reby i Verbie – a to, co się stało tamtej nocy, spowodowało rozłam w Drop City. Przegłosowano wniosek, że Lester, Sky Dog i reszta mają odejść, co oznaczało, że przestaną już przychodzić na posiłki i będą się trzymać osobno, co parę godzin jeżdżąc swoim lincolnem do sklepu po wino, papierosy i kanapki z serem, więc równie dobrze mogli się przenieść gdzie indziej i mieć tam to samo co w Drop City. Musieli czuć zapach mięsa – Ronnie widział ich o zmierzchu na werandzie budynku gospodarczego i niemal żałował, że nie przyszli i nie dołączyli do wszystkich, tak żeby mógł im pokazać, jaki użytek zrobił ze swojej strzelby i dwóch lśniących miedzianych naboii. Ale oni nie byli zainteresowani, bo trwał stan wojny i należało opowiedzieć się po jednej ze stron. A wojna to nie było dla Pana współzawodnictwo. On stał po stronie tych, którzy kontrolowali sytuację, po stronie, która miała wszystkie cipki i żywność, i wielkie kolumny KLH, i całe pięćset, osiemset czy ile tam płyt, które stały na politurowanych sosnowych półkach – a czy była gdzieś radiostacja, która miała lepszą płytotekę?

Mrok gęstniał. Krzyki i śmiechy ściągały go przez trawnik, w głównym budynku pulsowała jednostajnie muzyka. Stał w zaroślach, gdzie przed chwilą rozpiął spodnie, odpowiadając na wezwanie głosu natury, i czuł, że zaczyna go boleć głowa. Ależ to był dzień! Ogólnie biorąc, Pan czuł się naprawdę wspaniale, ale chętnie wypiłby odrobinę tej lepkiej spanady, którą ciągle popijała Star lub Mateus, jeśli tylko ktokolwiek miał to wino. Jasne. Tego było mu potrzeba, żeby pokonać ból głowy i przykryć wieczór kojącą czapą. Zawrócił przez trawnik tam, gdzie cienie tańczyły wokół paleniska.

Star tu nie było. Nie było jej też w domku na drzewie, co sprawdził, wspiąwszy się po drabinie, ani w głównym budynku, gdzie parę osób zaczęło go uciszać, bo oglądali jakiś niemy film, który Norm pożyczył z biblioteki ze względu na jego budującą wymowę. Ronnie stał w ciemnej izbie, obserwując grę świateł w mroźnym pejzażu, do chwili gdy na ekranie pojawił się Eskimos z dwiema szparkami w miejscu oczu. Wiatr targał futrzaną lamówką jego kaptura, kiedy zaczął budować igloo z płyt wycinanych w zlodowaciałym śniegu. Miał nóż wielki jak maczeta i nie tracił czasu; widać było, jak silnie wieje i jak para zamarza mu na podbródku, formując sople. Każdy blok śniegu był idealnie przycięty – budowniczy stawiał jeden na drugim, a kiedy dopasował ostatnią bryłę do otworu w sklepieniu całej konstrukcji, wszyscy zaczęli spontanicznie bić brawo.

– Pieprzony Nanuk – powiedział Norm, który leżał na podłodze z kołdrą podciągniętą pod brodę. – I mówi się o życiu z tego, co daje ziemia...

Rano – nie, to było popołudnie, zdecydowanie popołudnie – Ronnie obudził się z takimi zawrotami głowy, że cały pokój kołysał się jak łódka i to, co mu się przyśniło, rozwiało się, zanim zdążył przywołać sen w pamięci. No i dobrze, bo czuł, że żyły na szyi nabrzmiały mu jak postronki, a serce łomocze gwałtownie i bezładnie – chyba uciekał przed czymś lub przed kimś i teraz ocknął się w świecie jawy, zlany potem. Pot wsiąkał w śpiwór, który z każdym dniem cuchnął coraz bardziej pleśnią, amoniakiem i postępującym rozkładem. Obok niego, oddychając chrapliwie przez otwarte usta, spała Lydia, z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby była rozpięta na krzyżu. Ciemne sutki wyglądały jak udziergane małe kapturki nałożone na białe kopyły jej piersi, piersi zaś przypominały istoty ludzkie, parę rozmemłanych białych tłuszczochów w kapturkach, rozmawiających z sobą przez czteropasmową autostradę jej żeber. Cienka linia lśniących, kruczoczarnych włosów ciągnęła się od jej pępka do łonowego krzaka. Miała włosy pod pachami, włosy na nogach, wąski paseczek włosów ocieniał jej górną wargę. Była spocona. Drgały jej powieki. Leżał, przyglądając się jej uważnie, i czekał, aż serce wróci na miejsce, w którym je zostawił; czuł się tak, jakby ktoś złożył go w nocy ze ścinków. W głowie mu pulsowało, czuł, jak żołądek kurczy mu się do rozmiarów pięści, a potem znów się rozluźnia. Potrzebował papieru toaletowego, natychmiast.

Wysunął się ze śpiwora, rozłożonego na podwójnym materacu w kącie pokoiku na tyłach głównego budynku. Podniósł się powoli i ostrożnie, bo kości ciążyły mu jak belki, i po cichu przestąpił przez plecak i leżące między nimi tekturowe pudło, w którym mieściło się wszystko, co posiadał. Nie chciał obudzić Lydii. Zdecydowanie nie chciał obudzić Lydii. Bo Lydia pragnęła tylko jednej rzeczy i tego akurat w swoim obecnym stanie nie mógł jej dać. Właściwie kiedy tak spoglądał na nią kątem oka, szukając gorączkowo jakiejś ostatniej przeoczonej resztki papieru toaletowego, jakiejś ćwiartki, jednej ósmej czy choćby jednej szesnastej rolki, której jeszcze nie zużyli jego bracia i siostry, uderzyło go to, że jest gruba, za gruba, zupełnie nie w jego typie. Jego typ to była Merry. Jego typ to była Star – gdzie mogła się teraz podziewać?

Nie mógł jej znaleźć poprzedniego wieczoru, choć przeszukał wszystkie możliwe zakamarki, jakie mu przyszły do głowy, z wyjątkiem budynku gospodarczego, w którym Sky Dog i bambusy hołubili swą urażę, popijali kwaśnym czerwonym winem swoje kanapki z serem i wdychali ostatnie wonie pieczonej dziczyzny unoszące się w rozrzedzonym powietrzu. Ale tam jej nie mogło być, wiedział o tym i czarni także wiedzieli, że wszyscy mieszkańcy Drop City o tym wiedzą. Wpadł na Merry – czytali sobie na głos z Jiminym wiersze w sypialni Norma na piętze – ale Merry powiedziała, że nie jest w zbyt radosnym nastroju, bo cała idea barbecue zaprzecza wszystkiemu, w co ona wierzy, po czym nazwała go mięsożercą, a może kanibalem, powiedziała to jednak z uśmiechem w stylu: wybaczam ci wszystko, ale nie przeszkadzaj mi, teraz czytam wiersze. Na głos. Jiminy’emu. Ronnie znalazł więc innych ludzi i dalej zażywał różne legalne i zabronione substancje, aż cały dzień przeobraził się w jedno wielkie ćpanie. Wylądował w końcu tutaj, w wypełnionych cieniami czeluściach tego pokoju z kadzidełkiem i z płonącą faliczną świecą – i z nagą, owłosioną, mokrą Lydią, która trzymała go za kutasa, jakby była jego właścicielką.

A teraz potrzebował papieru toaletowego. Rozpaczliwie. Znalazł swoje dzinsy, włożył je, pał diabli koszulę, pał diabli sandały, powtarzał w duchu, ściśnięty w kleszczach pilnej potrzeby. Pomyślał właśnie: liście. Po prostu podetrę się liśćmi, gdy Lydia otworzyła nagle zaczerwienione oczy Elizabeth Taylor.

– Och – westchnęła. – Co...? Ach, to ty?

Po chwili przeciągała się, stojąc na czworakach, wielkie, jakby napompowane cycki wisiały pod nią jak statki powietrzne, jak sterówce.

– Chodź tu do mnie, Ronnie – powiedziała. -P a n, chodź tu na minutkę, weź mnie obejmij, co? Chyba masz minutkę, nie?

Nie miał minutki. Nie miał nawet piętnastu sekund. Sarna, całe to dzikie białko, twarde chrząstki i tłuszcz leśnego zwierzęcia brały na nim odwet. Znow ścisnął mu się żołądek, w mózgu załagał się zapamiętany z lekcji chemii obraz gazu musującego w zlewce. Rzucił się do drzwi, przebiegł przez dom – wystraszone twarze, ach, to Pan, skąd ten pośpiech? – i pognał przez spalony słońcem trawnik do najbliższej kępy krzaków. Wreszcie mógł ukucnąć; nie myślał o dołach kloacznych, zatkanych rurach ani o żadnych luksusowych przybytkach, wszystko uchodziło z niego z jakimś wściekłym, niepowstrzymanym impetem.



Miał nadzieję, że poczuje się lepiej, ale zawiódł się w rachubach. W głowie mu tętniło, w brzuchu burczało. I chociaż zjadł powoli i ostrożnie talerz rozgotowanego ryżu, ziarenko po ziarenku, także i ryż natychmiast przez niego przeleciał. Wreszcie położył się obok pokrytego grubym zielonym kożuchem basenu i przeleżał tam całe popołudnie aż do wieczora, ignorując wszelkie podejmowane przez braci i siostry próby nawiązania rozmowy, odrzucając zachęty, by coś zjadł (Merry), zaproszenia do dymania (Lydia) czy ćpania (pół tuzina kotów i cipek). Co pewien czas, udręczony przez słońce, płał się leniwie w basenie, ale nawet to wywoływało łupanie w mózgu i skurcz jelit, i nie ożywił się, dopóki jakaś tajemnicza ręka nie zaciągnęła zasłon cienia i zmierzchnie osiadł na gałęziach niczym sęp i nie powlókł wszystkiego szarością. Ronnie pociągnął kilka niepewnych łyków tequili Don Richard *special reposado*, którą trzymał pod siedzeniem w samochodzie, i powlókł się przez trawnik, żeby dokładnie obejrzeć resztki sarny. W pobliżu nie było nikogo, a popiół ogniska, które rozniecili z Markiem – prawdziwego ogniska z dymem, a nie paleniska barbecue, bo należało jakoś zakonserwować mięso – nie był już nawet ciepły. Pozostał szary krąg upstrzony czarnymi węgielkami; można było przyłożyć dłoń i nie czuć się absolutnie nic. Kawałki sarny – odrzucone okrawki, którymi nie chcieli sobie zawracać głowy, śpiesząc się, by zmyć krew z rąk i rozpocząć wreszcie imprezę – zwisały na cienkim drucie jak niedobitki jakiejś drużyny samozwańczej straży obywatelskiej; głowa skrzycona pod nieprawdopodobnym kątem, kręgosłup ogryziony aż do sinawej kości. Kiedy spał, kiedy leżał na brzegu basenu, jakby sam był ustrzelonym zwierzęciem, tu uwijały się muchy, zamieniając padlinę w swój plac zabaw, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Nie podniósł nawet ręki, żeby je odgonić. Zapadał mrok. A mięso sarny, świadectwo jego

triumfu – już zaczynało cuchnąć.

## Część druga

### Nad rzeką Thirtymile

Żona nie rozporządza własnym ciałem, lecz jej mąż;  
podobnie też i mąż nie rozporządza własnym ciałem,  
ale żona.

Pierwszy list św. Pawła do Koryntian 7,4

## 7

Cecil Harder pokrzepiał się w barze Three Pup o pół mili od Boynton; przy szosie Fairbanks Road. Pił właśnie trzecie piwo Olympic i trzecią kolejkę burbona Wild Turkey i za jakieś trzy minuty miał wyjść, trzasnąwszy siatkowymi drzwiami, wsiąść do pick-upa Richarda Schradera i pokonać pozostałe sto pięćdziesiąt dziewięć i pół mili, by dotrzeć do miasta. Potrzebował kilku rzeczy do swego gospodarstwa – nowego trzonka do siekiery, taśmy samoprzylepnej, nafty do lamp, ryżu, naboju kaliber 0.22, fasoli, drożdży, cukru – długą listę dał mu też Richard, ale zakupy nie były głównym celem podróży.

Spojrzał w górę sponad złożonych rąk. Powietrze w zajeździe było gęste od zawiesiny kurzu, przeszytej dwiema smugami słonecznego światła. Komary pojawiały się i znikaly, nieustannie tłukły się też o szyby po obu stronach okien, zupełnie jakby uczestniczyły w zawodach, jakby ich życie zależało tylko od tego szkła. Odstawił burbona i pociągnął spory haust piwa.

Za barem stała nowa kobieta, zatrudniona sezonowo na lato, nietutejsza. Była szczupła, wysoka, twarz miała pospolitą jak strażnik więzienny z filmu z Jamesem Cagneyem. Wyszła zza kotary z paciorków, zakrywającej przed oczami gapiów grill, na którym leżał kawałek bardzo czerstwego chleba z szynką i serem zawinięty w woskowany papier. Miała na imię Lynette, przekroczyła już pięćdziesiątkę i musiałaby upłynąć długa mroźna noc wyjątkowo srogiej zimy, zanim ktokolwiek spojrzałby na nią dwa razy. Przy drugim końcu baru siedział Skid Denton. Sess znał go jako bywalca baru Nugat, jedyne oprócz Three Pup miejsca w Boynton (170 mieszkańców), gdzie można było coś wypić.

– Hej, Lynette! – zawołał Skid. – Sess jedzie do Fairbanks na zakupy, wiedziałaś o tym?

Odłożyła kanapkę, jakby ta ważyła ćwierć tony, posłała mu uśmiech, który ledwie wykrzywił jej wargi, i zaciągnęła się papierosem. Ona tu tylko pracowała. Dopiero zaczynała pracować. Zarabiała zaledwie na komorne, żadnych pieniędzy ekstra, żadnych napiwków – tylko to, co mogła zjeść i wypić pod nieobecność Wetzela Setzlera, właściciela baru. Tak jak w tej chwili.

– Naprawdę? – zapytała, patrząc to na jednego, to na drugiego.

Sess odwrócił wzrok. Niecierpliwił się. Była najwyższa pora, żeby się stąd ruszyć; już widział w wyobraźni znajomą piaszczystą drogę, jak odwija się pod kołami jego samochodu. Potem zobaczy po raz pierwszy od ośmiu czy dziewięciu miesięcy chodnik, długi i gładki jak wstęga czarnego lodu, a potem sklepy, domy i knajpy. Pociągnął łyk piwa i wzruszył ramionami.

– Jedziesz szukać żoneczki, co, Sess?

Przypomniał sobie w tym momencie, dlaczego nie lubi tego człowieka – facet mówił językiem, który turyści brali za język pionierów, choć dorastał w Los Angeles i był dyplomowanym romanistą.

– No wiesz, jedzie kupić trochę mąki, jajek, mleka, nową żonę i takie tam...

Lynette była ubrana w wypłowiałą, zapiętą pod szyję flanelową koszulę, dzinsy i kowbojskie buty. Włosy miała obcięte krótko, po męsku, przyjechała z Seattle nowiutkim pontiakiem i nikt nie wiedział, czy jest mężatką, rozwódką, starą panną czy była zakonnica. Nosila pistolet w zgrabnej skórzanej kaburze przypiętej do paska i w oczach Sessa czyniła ją to szczególnie niebezpiecznym typem dziwadła, z tych, co to przyjeżdżają na wieś, żeby odgrywać tam swoje technicolorowe fantazje z Dzikiego Zachodu. „Po co nosisz ten pistolet?” – zapytał ją wcześniej, kiedy zamawiał drugie piwo. Spojrzała na niego wyzywająco. „Dla obrony” – odrzekła. „Obrony? – powtórzył jak echo. – Przed czym?”. W odpowiedzi kamienne spojrzenie, spojrzenie znane z tysiąca barów i sal tanecznych, i jeszcze z tysiąca samotnych nocy, spędzonych na wpatrywaniu się w czarną dziurę telewizji. „Nie przed niedźwiedziami – odparła. – Ani nie przed łosiami czy wilkami. Ja się boję dwunogich bestii”.

– Nową żonę? – zapytała teraz. – Nie wiedziałam nawet, że miałeś jakąś starą.

Czy warto było zaszczycać to pytanie odpowiedzią? Czy warte to było czasu i zachodu? Czy lepiej zachować się po chamsku, powiedzieć jej, żeby się pierdoliła, a potem może poodbijać trochę głowę Skida Dentona, jakby kozłował piłką, przebijając się przez szczelną obronę? Nie, nie, nie chciał tego robić. Prawda wyglądała tak, że nigdy nie miał żadnej żony, ani nowej, ani starej, bo ostatnia kobieta – Jill – która spędziła upojne lato i ostrą, zakończoną melodramatycznym rozstaniem zimę w jego ciasnej, wyposażonej we wszelkie wygody chacie z okrągłaków, w pewnym sensie go skompromitowała. Ludzie jeszcze o tym mówili. Jeszcze kręcili głowami, jakby uważali to za żart, coś typowego, coś, co zafundował sobie – i przy okazji Jill – ot tak, dla rozrywki. Mydlana opera. Telewizyjny show.

Zgarnął swoje drobne z baru, przy czym pewien kłopot sprawiły mu dziesiątki, bo właśnie dziś rano obciął sobie scyzorykiem paznokcie, usiłując ogólnie poprawić swoją prezencję. Potem wetknął za pasek wyciągniętą koszulę, obrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. W drzwiach przystanął, uchyliwszy je, tak żeby komary z zewnątrz i komary ze środka mogły się zamienić miejscami, na czym wyraźnie najbardziej im zależało w ich krótkim żywocie krwio pijców.

– Znajdę ją, jeśli będę miał szczęście – powiedział. – Prawdziwe szczęście. A więc życz mi szczęścia.

Podczas długiej jazdy pozwolił błędzić swym myślom i odruchowo wypatrywał zwierzyny, opuściwszy szybę, żeby poczuć zapach wsi i chłód ciągnący od rzeki Chatanika. Minęło go kilka jadących w przeciwnym kierunku samochodów, w tym ze dwa, trzy z przyczepami kempingowymi, ale ruch nie był tu nigdy, nawet w najlepszych czasach, zbyt wielki. Zimą, jeśli padał śnieg, drogę zamykano, pokrywały ją zasy, skuwał lód, ziemia pękała i osypywała się, powstawały wyboje i Boynton było wtedy jak statek na pełnym morzu, bez lądu w zasięgu wzroku. Jeśli ktoś chciał się wydostać z miasta, korzystał z samolotu. Specjalnego samolotu, który nie miał na sobie odrobiny farby, bo farba oznaczała niepotrzebne dodatkowe trzynaście funtów obciążenia. Oczywiście leciało się tylko pod warunkiem, że temperatura nie spadła do czterdziestu stopni poniżej zera, bo wtedy przewody paliwowe miały tendencję do zamarzania, a gdy szwankował dopływ paliwa, samolot pikował w dół jak wielki skrzydlaty kamień. Ale tak wyglądało życie w dziczy i jego zdaniem była to wcale niewygórowana cena za to, co otrzymywało się w zamian.

Kiedy dotarł do Fairbanks, zdumiał go ruch: z lewej miał dwa samochody, trzy stały na światłach, pick-upy wjeżdżały na wyźwirowane parkingi i wyjeżdżały z nich, jakby startowały do wyścigu na torze w Indianapolis, pełno było wszędzie kobiet, dzieci, rowerzystów, psów. Musiał pamiętać, żeby zachować ostrożność, bo nie przywykł do prowadzenia samochodu i nie przepadał za tym – prawdę mówiąc, ci, którzy to lubili, wydawali mu się podejrzani.

W dodatku był zawiany lub raczej „po spożyciu alkoholu”, choć to, co wypił w gospodzie, wywietrzało pewnie w czasie jazdy, kiedy długo i powoli przeżuwał kanapkę z serem i z szynką, którą Lynette przygotowała mu z całą pieczołowitością weteranki tanich jadłodajni. Tymczasem miasto chwyciło go w swoje szpony. Światła sygnalizacyjne doprowadzały Sessa do obłądu. Ale wiedział dokładnie, dokąd zmierza, zresztą nic – absolutnie nic – nie zmieniło się od czasu, kiedy był tu we wrześnie zeszłego roku.

Czekała na niego na tarasie restauracji nad brzegiem morza, w najpiękniejszym miejscu w całym mieście. Było przyjemnie móc siedzieć na zewnątrz, rozkoszując się słońcem i widokami. Zobaczył ją, zanim ona dostrzegła jego, i zatrzymał się na chwilę, żeby trochę ochłonać. Z profilu, na tle rzeki i wielkiej plamy słońca na wodzie, wyglądała jak zjawa z marzeń sennych. Jej nagie nogi i ramiona jaśniały, lśniły włosy. Miała na sobie szorty koloru khaki, na nogach ciężkie buty, grube szare skarpety wywinięte na cholewki i o trzy numery za mały, różowy T-shirt, który ciasno opinał jej biust. Widział się z Pamelą, bo tak miała na imię, już dwa razy, ale to wcale nie zmniejszało jego tremy. Poprawił koszulę, przygładził włosy zwilżonymi śliną palcami i wkroczył na drewniany taras.



W tym momencie, dokładnie w chwili, gdy postawił nogę na deskach, ona odwróciła się, żeby zabić komara, który usiadł jej na ramieniu – i zobaczyła go. Wyraz zaskoczenia przemknął jak cień przez jej twarz, tak jakby się go nie spodziewała albo całkiem o nim zapomniała, jakby nawet nie zapamiętała, jak wygląda. Ale po chwili zerwała się, a tymczasem on zdążył podejść i rozpoczął się niezręczny rytuał damsko-męskich powitań, z pełnym rezerwy uściskiem i przyłożeniem policzka do policzka, przy czym musiała wspiąć się na palce i lekko przyciągnąć go do siebie.

– Siadaj – powiedziała, pokazując w uśmiechu idealnie białe zęby, zęby specjalistki od higieny jamy ustnej albo striptizerki, zęby, które mówiły jednocześnie „witaj” i „lepiej uważaj”. – Siadaj, Sess, nie bądź taki wstydlivy. O Boże – dodała ze śmiechem – wyglądasz jak mały chłopczyk, który zgubił się na placu zabaw.

Usadowił się na krześle naprzeciw niej i wymamrotał: „Miło cię widzieć, Pam” – ale natychmiast go poprawiła.

– Pamela – powiedziała z uśmiechem, tak szczerym i tak promiennym, że zaczął się jej mimo woli trochę bać.

Czy coś było nie tak? Czy może czuła się tak samo zdenerwowana jak on? Aż wzdygnął się wewnętrznie. Tak czy inaczej była piękna. Boże, jaka piękna! Która chata w leśnych ostępach nie chciałaby takiej ozdoby, dziewczyny z takimi idealnymi zębami i w ogóle?

Uratowała go kelnerka. Stanęła nad nim, w krótkiej spódniczce, para piersi i twarz pochyliły się ku niemu. Chciała wiedzieć, czy ma podać mu coś do picia. I czy dzisiaj zamierza zjeść lunch.

Pamela piła mrożoną herbatę. Odwrócona karta leżała obok jej talerza.

– Może poproszę piwo – powiedział. – Olympic. – Nie wiadomo dlaczego zamiast na kelnerkę patrzył na Pam, jak gdyby chciał ją prosić o pozwolenie albo próbował przewidzieć jej reakcję. – I... przepraszam, ty już coś zamówiłaś?

– Jeszcze nie – odparła. – Ale śmiało. Wiesz już, na co masz ochotę?

Zamówił cheeseburgera, średniego, ze wszystkimi dodatkami, frytkami i sałatą à la ranczo. Pam spojrzała na kelnerkę, nie sięgając nawet po kartę.

– Dla mnie to samo – powiedziała z uśmiechem. – I może też piwo.

– Też Oly? – zapytała kelnerka.

– Aha – potwierdziła Pam i przeniosła wzrok na Sessa, patrząc mu prosto w oczy. – Oly. – A gdy tylko kelnerka oddaliła się na tyle, że nie mogła jej słyszeć, zapytała: – No więc, czy zdążysz załatwić wszystko i wrócić jeszcze dziś po południu, bo ja jestem spakowana i gotowa i nie ma sensu tracić czasu – no wiesz, spędzać kolejnej nocy w mieście, kiedy można ją spędzić w lesie, to znaczy w twojej chacie. To gdzieś przy ujściu Thirtymile, tak?

Patrzył na nią w milczeniu. Wszystko rozgrywało się zbyt szybko – ale czy nie tak właśnie wyobrażał to sobie w swoich fantazjach, czy nie widział jej nagiej na swoim łóżku pod oknem, z ciałem białym jak kość słoniowa, na stercie futer, z rozłożonymi zapraszająco nogami i rękami?

– Chciałem kupić parę rzeczy w sklepie z narzędziami i w spożywczym i jeszcze... – Umilkł na chwilę i posłał jej nieśmiały uśmiech. – Dla Richarda, Richarda Schradera. No wiesz, pożyczył mi samochód...

Przyszła kelnerka z piwami; przyglądali się w milczeniu rytuałowi napełniania szklanek. Przy sąsiednim stoliku ktoś zaśmiał się szczekliwym, urywanym śmiechem. Para srebrzystych czółen ślizgała się po powierzchni rzeki wzdłuż przeciwległego brzegu.

– Znam Richarda – wtrąciła Pamela, a jemu serce zamarło.

– Chyba nie chcesz powiedzieć... Czy on był jednym z nich?

– Nie – zaprzeczyła tak gwałtownie, jakby pospiesznie odgryzała kęs chleba, i potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie Richard, skądże. Pamiętaj, jestem dziewczyną praktyczną i rzecz w tym, że owszem, chcę mieć kogoś, kto będzie mnie kochał, ale też potrafi z a t r o s z c z y ć się o mnie, chyba rozumiesz? Tam, w lesie. Kogoś takiego jak ty, kto wie, co robić, kto ma umiejętność przetrwania, kto jest prawdziwym człowiekiem lasu, a nie żadnym snobującym się mieszczuchem.

Czy się zarumienił? Komplement zrobił na nim wrażenie. Podniósł szklankę do ust, pociągnął mały łyk i przyglądał się jej oczom, jakby były rybkami pod lodem albo pardwami w kępie wierzb, parą gęsi lub kaczek lodówek, na które polował. Nagle stał się Panem Zaufanym. Zapragnął wstać od stolika i dźwignąć cały drewniany podest na barkach, tylko po to, by jej pokazać, kim jest.

– Czy to będzie w porządku, jeśli zapytam, kto jest moim rywalem? I kim ja jestem w tym turnieju?

Uśmiech spełzył jej z twarzy.

– Richie Oliver i Howard Walpole – rzekła. – Tylko oni. I ty. I wiesz co, Sess?

Jej ręka leżała teraz na stole, odwrócona wnętrzem dłoni do góry, jak pułapka, z której wiatr wymiół do czysta śnieg. I czego on chciał? Chciał wpaść w te sidła, bardzo tego pragnął, modlił się o to w dzień i w nocy. Wyciągnął rękę i splótł palce z jej palcami.

- Nie wiem. Co takiego? – zapytał.
- Nie masz się czym martwić.

Niewiele pamiętał z powrotnej jazdy, tylko uczucie, jakby unosił się nad drogą, jakby był w samolocie, nie w samochodzie, z Pamelą w pozycji lotosu na siedzeniu obok, z gołymi nogami jaśniejącymi w padających przez szybę promieniach słońca. Oboje czuli się świetnie, byli radośni, ożywieni i prawie wszystko, co powiedział, wywoływało jej śmiech, w którym pokazywała swoje piękne zęby. Krajobraz odwijał się przed nimi, szaro-zielono-brązowy jak panterka, w górze krążyły jastrzębie i kosy. W pewnej chwili, tuż przed zjazdem do Boynton Hot Springs, przystanęli, żeby przyjrzeć się polującemu w przydrożnych zaroślach lisowi, i Sess musiał walczyć z pokusą, by zastrzelić zwierzę z flinty, którą Richard trzymał pod siedzeniem na takie okazje jak ta; wprawdzie futro było o tej porze roku bezwartościowe, ale miałyby świeże mięso, a poza tym w końcu zdawał swoisty egzamin.

– Popatrz, jak ten lis podskakuje – zauważyła, wychylając się z samochodu tak bardzo, że o mało nie wypadła. – Zupełnie jak pies, który bawi się piłką.

– On to robi po to – powiedział Sess i przysunął się, by spojrzeć ponad jej ramieniem, tak blisko, że poczuł zapach mydła, jakiego używała – żeby wypłoszyć wszystko, co może się kryć w zaroślach, no wiesz, nornice, pasikoniki, może jakąś tłustą, soczystą żabę leśną...

Odwróciła się do niego i teraz była naprawdę tuż-tuż, jej twarz o centymetry od jego twarzy, aż musiał się cofnąć, po prostu musiał, ona zaś mogła to zapisać pod jego nazwiskiem jako zaciągnięty kredyt. Dobrze, niech ona zrobi pierwszy ruch. Jasne. Niech ona zacznie.

– Zabrzmiało apetycznie – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Poczerwieniał, przesunął się z powrotem na swoje miejsce i zapuścił silnik.

– Jesteś głodna? – zapytał. – Nie mówię o żabich udkach, ale na przykład o befsztyku albo sandwiczu, może o paru piwach, żeby uczcić nasze spotkanie? Bo nie wiem, czy zanim dotrzemy do chaty, rozładujemy samochód, nakarmimy psy i rzucimy okiem na ogródek... – Zamilkł. Teraz, z nią u boku, żywą, oddychającą, przypatrującą mu się oczami, które trafiały z precyzją zdalnie sterowanych rakiet w jego oczy, nie śmiał sobie wyobrazić niczego więcej niż jej wejścia do chaty. Potem ekran gasł.

Ale ona odpowiedziała, że jasne, jasne, jest głodna, i po dwudziestu minutach prowadził ją po wytartych drewnianych stopniach baru Three Pup, tak dumny, jakby sam ulepił ją z gliny i osobiście tchnął w nią życie.

Była ósma wieczorem i słońce ciągle im towarzyszyło, szczerząc w uśmiechu wszystkie zęby. Drzewa stały przywiązane do swoich cieni, gościnne chaty, które nie widziały gości od dziesięciu lat, zapadały się z wolna w podmokłą, grząską ziemię, ptaki śmigały nad rdzewiejącymi pługami śnieżnymi, porzuconymi na podwórzu. Słychać było warkot prądnicy, a spod niego przebijało się brzęczenie komarów – oczywiście były tu, zawsze obecne, wszechobecne, tyle że o tej porze dzienna zmiana udała się do swych siedzib, żeby odespać skutki śniadania, lunchu i obiadu, a pojawiła się zmiana nocna. Rozgniółł ich z sześć naraz na swoim przedramieniu i osłonił przed nimi dłonią czoło Pameli, kiedy przechodzili przez siatkowe drzwi, by zanurzyć się w odwiecznym, panującym we wnętrzu mroku.

Przy barze zebrała się połowa miasteczka, włącznie z Richardem Schraderem i Skidem Dentonem, który musiał chyba tymczasem odwiedzić dom, bo nawet on nie dałby rady pić bez przerwy przez dziewięć i pół godziny. Chociaż... Gdy tylko weszli, podniosła się ogólna wrzawa, bywalcy baru zaczęli się popisywać, wygłaszając uwagi w stylu: „Popatrz, jaką cizię przygruchał”, paru gwizdnęło nawet na widok Pameli, która rozpostarła ramiona i wykonała specjalnie dla nich piruet. Powściągliwość nie należała do cech jej charakteru, to jedno było pewne.

Pili piwo przy barze; Sess rozkoszował się jej słodką bliskością, sycił wzrok bujnymi, jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz i upiętymi w staroświecki kok, krzepkością jej umięśnionych nóg, olśniewającym uśmiechem. Kupił jej orzeszki, paluszki Slim Jim, marynowane jajka i oboje wypili do piwa po jednym głębszym, czekając, aż Lynette, z kaburą dyndającą jej u pasa jak dodatkowy fałd, usmaży im befsztyki. Była to chwila tak... tak wspaniała i czysta, że zapragnął, by trwała wiecznie.

Kiedy jedli befsztyki przy stoliku w rogu sali, opowiedziała mu coś, co już wiedział, czego się domyślał lub o czym gdzieś wcześniej słyszał. Urodziła się i dorastała w Anchorage, ale kiedy była dzieckiem, ojciec zabierał latem całą rodzinę – ją, jej siostrę i matkę – w plener, pod namiot, w góry Endicott w paśmie Brooks Range. Sam penetrował różne bezimienne kaniony i pojawiał się mniej więcej co trzy dni z czymś do jedzenia. Zawarli umowę z pilotem awionetki, że będzie ich podrzucał na miejsce na początku wakacji i zabierał z powrotem pod koniec września – to, że dziewczynki opuszczały cały miesiąc nauki, w ogóle nie miało znaczenia. Pam i jej siostra Priscilla łapały ryby, włóczyły się po górach, płoszyły ptaki, słuchały nocą wycia wilków, spotykały się oko w oko z niemal wszystkimi stworzeniami, jakie zamieszkiwały północne obszary kręgu polarnego. A teraz, teraz, gdy skończyła studia i miała dwadzieścia siedem lat i kiedy zdruzzyła ją śmiertelnie praca od dziewiątej do piątej po południu w mieście z betonu i stali, zapragnęła powrócić do lasów, i to nie tylko na wakacje, nie jako turystka czy letniczka, ale na zawsze. Tak to wyglądało. Taki zawarli układ.

Zaczął odczuwać skutki długiego dnia – jazdy w obie strony, alkoholu, podniecenia, które paliło mu gardło jak haust wódki przełkniętej w mroźną noc – i wtedy, podniósłszy wzrok, zobaczył w głębi sali Joego Bosky’ego.

– Niech to szlag – powiedział. – Musimy stąd iść.

– Już? Nie zaprosisz mnie do tańca? Nawet do jednego jedyne go tańca?

Z grającej szafy rozbrzmiewała piosenka *Mystic Eyes*, jego ulubiona, trudno byłoby jednak przy niej tańczyć.

– Następnym razem – odrzekł.

Roześmiała się.

– Jesteś taki sam jak cała reszta, boisz się własnych nóg. A gdybyśmy poczekali na jakiś wolny kawałek?

– Ale ja nie chcę, żebyś spędziła od razu pierwszą noc w mojej szopie w mieście i ty też byś chyba tego nie chciała, prawda? – powiedział. – Nie zapominaj, że czekają nas jeszcze trzy godziny wiosłowania pod prąd, żeby dotrzeć na miejsce...

Stwierdziła, że jest uroczy. Że uwielbia te dwie równoległe zmarszczki, które robią mu się na czole, kiedy jest zdenerwowany. Po czym z przewrotnym uśmiechem wyciągnęła przed siebie nogi, tak żeby i on, i wszyscy w barze mogli je podziwiać w całej olśniewającej okazałości.

– Masz rację – zgodziła się. – Chcę przede wszystkim zobaczyć chatę, przecież to jest najważniejsze, prawda? W każdym razie bardzo ważne. Ale po prostu mi się tu spodobało.

W tym właśnie momencie do rozmowy włączył się brutalnie Joe Bosky.

Pochylił się nad ich stolikiem jak kelner – śmierdział rybą, wymiotami i potem i szczyrzył zęby jak schwytane w sidła zwierzę. Miał na sobie wojskowy podkoszulek z napisem USMC na kieszonce i zmiętą czapkę koloru khaki. Jego dżinsy wyglądały jak ściągnięte z trupa. I tak też śmierdziały.

– Hej – powiedział, pochylając się nad stolikiem i zupełnie ignorując Sessa. – Słyszałem, że szukasz chłopca, to prawda?

Pamela nie wiedziała, kim jest Joe, i należała do tych kobiet, które mają uśmiech dla każdego, więc również wyszczerzyła zęby i odparła:

– Zgadza się. Ale nie miałam pojęcia, że jestem taka sławna.

Sess wstał.

– Musimy iść – powtórzył.



– Zastanawiałem się, czy nie mógłbym się włączyć do współzawodnictwa – ciągnął Joe Bosky, ignorując go w dalszym ciągu.  
– Wiesz, ja też sobie niezłe daję radę w lesie i właśnie buduję chatę nad strumieniem Woodchopper. I tak sobie pomyślałem, no wiesz, że może mógłbym dostać raz darmo na próbę?

Uśmiech Pameli zgasł.

– Znaczą się, mam tu w samochodzie śpiwór, jeśli miałabyś piętnaście minut...

Sess uderzył go – lub przynajmniej próbował go uderzyć – prosto w szczękę, ale Bosky obserwował go kątem oka, zdążył więc podnieść rękę i sparować cios. W następnej sekundzie rzucili się na siebie i młócąc rękami, upadli na podłogę. Zanim ich rozdzielono, zdążyło się potłuc trochę szkła, połamali też jedno z rozchwierutanych krzeseł. Bosky bluzgał ohydnyimi wyzwiskami – wykrzykiwał je, z wściekłością wrywając się trzem mężczyznom, którzy go trzymali, miotał groźby, oskarżenia i obietnice, a nie było tu żadnych stróżów prawa; szeryf z Fairbanks przylatywał samolotem tylko wtedy, gdy trzeba było obejrzyć jakiegoś denata – a Sess odpowiadał mu tym samym. Nie chciał tego robić, nie chciał pokazywać się Pameli od tej strony – przeklinać i tak dalej – ale ze wszystkich mężczyzn na świecie akurat jeden Joe Bosky był tym, który potrafił doprowadzić go do stanu wrzenia.

Na zewnątrz, gdzie natychmiast zaatakowały ich komary, wsiedli, trzaskając drzwiami, do samochodu, by dostać się do odległej o pół mili szopy nad rzeką, gdzie czekało na nich czółno. Pamela wyglądała na głęboko poruszoną, toteż Sessowi było naprawdę przykro.

– O co mu chodziło? – zapytała. – Ten facet... wiesz, widywałam już w swoim czasie różnych obłąkańców z lasu, ale ten typ był naprawdę koszmarny.

Mknąc samochodem ku nowemu życiu, Sess patrzył się przed siebie w zamyśleniu. Joe Bosky był zakałą świata. Joe Bosky był uosobieniem tego, przed czym ludzie uciekali z miasta. I Joe Bosky, wykuty, oszlifowany i dostarczony światu przez U.S. Marine Corps, znalazł się teraz tutaj, na samym końcu ostatniej drogi kontynentu, gdzie w pojedynkę stawiał temu światu czoło. Sess oddychał ciężko, mimo wysiłków, by zachować spokój, nie mógł się opanować.

– Nie znasz nawet połowy prawdy o nim – powiedział.

W końcu około dziesiątej dotarli na brzeg Jukonu. Wielkie, sześciometrowe kanoe Grumman było załadowane po brzegi zakupami, słoneczne refleksy błyskały wśród falujących czarnych cieni odpadków i wszelkiego śmiecia unoszącego się na wodzie i Sess był znów spokojny i w swoim żywiole, w drodze, daleko od baru, w objęciach natury. Przyglądał się ramionom wiosłującej Pameli, ciężkim splotom jej włosów, pięknej pracy mięśni na grzbiecie i jej zachwycającym poślądkom. W powietrzu roiło się od ptactwa, świerki stały w ordynku po obu brzegach rzeki i wspinały się na zbocza wzgórz niczym cesarskie zastępy, wzdłuż nagich brzegów ciągnęły się długie sznury naniesionych przez nurt gałązek i kawałków drewna, które czekały, aż rzeka postanowi, co z nimi począć. Zerwał się wiatr i wymiół wszystkie komary. Zobaczyli na płyciźnie łosia, czarną niedźwiedzicę z małymi, pędzącą brzegiem, jakby ktoś ją wystrzelił z armaty. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Przeważnie zaś milczeli, bo natura mówiła za nich. Kiedy Pamela odezwała się w pewnej chwili, odpowiedział jej i było to dla niego tak naturalne, jakby mówił sam do siebie.

Północ musiała być blisko – słońce stało wysoko nad horyzontem – kiedy dopłynęli do ujścia rzeki Thirtymile i ich oczom ukazała się chata. Już ujadła piątka psów, wzbijając kurz, a po chwili to wstępne szczekanie przeszło w wilcze powitalne wycie.

– Słyszysz? – zapytał Sess, pracując wiosłem. – To twój komitet powitalny.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Naprawdę? A co takiego mówią?

– Pa-me-la, my cię kochaaaaaamy.

Roześmiała się, para nurów wzbila się z trzepotem w powietrze.

– A jesteś pewien, że nie wołają: „Tu jesteśmy, nakarm naaaaaas wreszcie!”?

– No cóż, Pamelo – powiedział i mrugnął do niej, bo poczuł taką lekkość, że mógłby jak ptak wyfrunąć z czołna i wystarczyłby mu jeden potężny ruch skrzydeł, żeby przeciąć w poprzek rzekę. – Szczerze mówiąc, a chcę być z tobą szczerzy, zawsze, bez względu na to, czy potrwa to jeden weekend, czy do czasu, kiedy będziesz zgarbioną staruszką, a ja zgrzybiałym starcem, a więc szczerze mówiąc, masz chyba rację.

– Puścił na chwilę wiosło i przyłożył zwiniętą dłoń do ucha.

– No tak – powiedział. – Teraz, kiedy się wsłuchałem, wydaje mi się, że wyczuwam nikłą nutkę głodu w tym chórze, ale ten donośny kontrakt to Bobo, a on jest zawsze głodny. Więc nie wiń go, że zepsuł niespodziankę.

Panował półmrok, kanoe zostało wyciągnięte na piaszczystą łąkę, psy szarpały się na swych łańcuchach; Sess i Pamela, trzymając się za ręce, ruszyli ścieżką wydeptaną wśród zielska w stronę chaty. Żałował, że nie może pokazać jej bardziej okazałego gospodarstwa – rozrzuconych hojnie na dużej przestrzeni zabudowań, wędzarni, sauny i zamkniętych wybiegów dla psów – wszystkiego co planował zrobić, jak tylko znajdzie na to czas i pieniądze. Nie mówiąc już o bardziej przestronnej chacie. Był jednak dumny z tego, co już osiągnął, czuł też dumę, kiedy zdejmował zapory przeciw niedźwiedzim i odryglowywał drzwi, żeby wpuścić ją do środka. Drzwi wychodziły oczywiście na południe, podobnie jak okna o podwójnych szybach umieszczone po obu stronach drzwi, ale zanim znaleźli się w głównej izbie, musieli przejść przez małą sionkę, którą ludzie z miasteczka nazwaliby przedpokojem.

– To jest – powiedział, oddychając głęboko w półmroku i chłonąc znajome zapachy nafty, benzyny, wiekowej przynęty, okrwawionych siodeł, pleśni i wszystkiego, co obudziło się teraz wśród brudu – to jest przedpokój.

Stała obok, o dobre osiem lub dziesięć cali niższa od niego, z płowymi włosami i białymi ramionami jaśniejącymi widmowo w półświecie, i nie mówiła nic, tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak mała dziewczynka na szkolnej wycieczce. Poprowadził ją przez wewnętrzne drzwi do środka, wysuwając się przed nią, aby przytknąć zapałkę do knota lampy, wiszącej na haku tuż przy drzwiach.

– I to właśnie – powiedział głosem niemal zdławionym, takie odczuwał w tej chwili napięcie – to nazywam domem.

Stała na środku izby i nie odzywała się słowem. Jej włosy jaśniały w półmroku, ramiona miała wyprostowane. Chciał coś powiedzieć, chciał ją zapytać, czy jej się tu podoba, ale nie mógł wydobyć głosu. Po chwili podeszła do półek na najbliższej ścianie i jakby od niechcenia przeciągnęła palcem po tym, co tam było: po grzbietach kilku zatłuszczonych książek (*Wszystko o tresurze zwierząt, Jak przetrwać w lesie, Arktyczne pustkowia, Domowe warzenie piwa*), buteleczce peptobismolu stojącej obok sznura suszonych papryk, zardzewiałej puszcze z oliwą, grubej jak ręka świecy, którą zrobił z pszczelego wosku sprowadzonego pocztą ostatniego lata. Ale nie odezwała się słowem.

Jak długo tam stała, biorąc po kolei jeden przedmiot po drugim i ostrożnie odstawiając wszystko na miejsce, nie umiałaby powiedzieć – trwało to z pewnością zaledwie kilka minut, ale było to najdłuższe kilka minut w jego życiu. Czyżby przeżyła szok? Przy wszystkich jej zapewnieniach i deklaracjach była kobietą z miasta i mogła mieć całkiem inne wyobrażenie o tym, jak naprawdę wygląda chata w lesie, całą romantyczną wizję wielkiej telewizyjnej chaty à la Ponderosa, z soczycie zielonymi okiennicami, szeroką werandą, kuchnią z ceramicznymi płytkami na podłodze i z ręczną pompą. Serce waliło mu jak młotem. Nie mógł przełknąć śliny. Na zewnątrz skowyczały psy. I nigdy jeszcze dom nie wydawał mu się tak duszny, tak obskurny i ciasny, tak podobny do celi, do pałacu żebraka, bliski najbardziej obłąkańczej wizji nędznej, walącej się szopy. Podłogę pokrywała skorupa zaschniętego błota. Zimno było jak w grobie. Miał ochotę paść na kolana i załkać. Co on sobie wyobrażał? Co on, na Boga, sobie wyobrażał?

– Zamierzam polakierować podłogę – odezwał się. – W pierwszej kolejności. To najpilniejsza sprawa.

Wtedy ona odwróciła się do niego. Miała łyzy w oczach.

– Och, Sess – powiedziała. – Tu jest tak pięknie.

Razem nakarmili psy – poszło kilka garnków kukurydzianej kaszy z kawałkami suszonego łososia i zielonkawymi obrzynkami mięsa łosia upolowanego zeszłej jesieni. Potem Sess rozpałił w piecu i zrobił jej kawę z mlekiem skondensowanym i cukrem, tak słodką, że łyżka stała na sztorc. Opuścił stół i łóżko, które przyczepiał do ściany, gdy ich nie używał, a kiedy było trzeba, odpinał i opierał na świerkowych kołkach.

– Ekonomiczne wykorzystanie przestrzeni – wyjaśnił. – Żeby nic nie przeszkadzało i żeby człowiek się nie potykał.

Przysiadła na łóżku, na którym leżał cienki pojedynczy materac przywieziony dwa lata temu łodzią i śpiwór uszyty z setki wiewiórczych skórek. W ciągu paru minut powietrze w izbie się nagrzało, zniknęła woń wilgoci i pleśni.

Siedział na brzegu łóżka, na jego drugim końcu, trzymając oburącz kubek z kawą.

– Ściany są szczelne – powiedział, żeby podkreślić zalety domu. – Trzymają ciepło nawet przy minus pięćdziesięciu stopniach. Zdziwisz się, naprawdę.

Zdjęła żakiet i oparła się na stercie skór – rysia, lisa, wilka – jakimi ją obłożył. Jej oczy chłoneły wszystko, co było w zasięgu wzroku.

– To fantastycznie – rzekła. – Ale skoro masz te wszystkie futra i ten piękny śpiwór, nawiasem mówiąc, bardzo staranna robota, Sess, moje uznanie, to byłoby ci ciepło nawet bez rozpalania w piecu.

Pomyślał, że byłoby mu znacznie cieplej, gdyby ktoś tu z nim zamieszkał, i bez zastanowienia powiedział to na głos. Powiedział i odwrócił wzrok.

Zareagowała śmiechem, melodyjnym i dźwięcznym, który sprawił, że izba przeobraziła się w salę koncertową. Podniósł kubek z kawą do ust, tak żeby zerknąć na nią ukradkiem. Pamela spoważniała. Przynurła się do niego i wyciągnęła rękę.

– Byłoby miło – odrzekła lekko ochrypłym głosem. – Ale nie chciałabym, żebyś nabrał błędnego przekonania, o co łatwo, biorąc pod uwagę, że szukam kandydata na męża i tak dalej...

Trzymał jej rękę, wyciągając swoją przez całą długość łóżka, dłoń dotykała dłoni, każda cząsteczka jego ciała płonęła. Nie wiedział, co mówić.

– Bo ja nie należę do dziewczyn, o jakich mogłeś słyszeć albo czytać w kolorowych pismach. Jestem staroświecka, Sess, przykro mi, ale tak już jest. Czekałam dwadzieścia siedem lat na właściwego mężczyznę i myślę, że mogę jeszcze poczekać parę tygodni. Do ślubu. Rozumiesz to? Potrafisz to zrozumieć?

Myślał o Jill, o jej włosach obciętych nożycami do strzyżenia owiec tak krótko, że sterczały jak u klauna, o jej muskularnych, krótkich nogach, o ciężkich piersiach, kołyszących się, gdy wślizgiwała się do śpiwora naga, zawsze naga, nawet w najbardziej mroźne noce. Jill. Myślał teraz o Jill.

– Tak – powiedział. – Jasne.

Kiedy w końcu ogarnęła ich senność, kiedy słońce zaczęło się znów piąć po nieboskłonie, a noc zrobiła się tak cicha spokojna jak sen zmarłego, odstał jej swoje łóżko, a sam wyszedł na podwórze zraszane bladą mżawką światła i rozbił namiot wśród psów.

Nazajutrz o wpół do dwunastej siedziała na brzegu łóżka, czesząc włosy i przyglądając się grze jego mięśni na barkach, kiedy pochylał się nad piecem, przygotowując jej śniadanie. Miał na sobie polatane dżinsy i spłowiałą od słońca roboczą koszulę, która mogła być kiedyś niebieska albo zielona. Jego włosy, czarne jak u gwiazdora filmowego i gęste jak wilcze futro, sterczały w górę, jakby przez całą noc wisiał na nich w jakimś schowku. Był bosy, jeden rękaw miał rozdarty pod pachą, a z wystrzępionych mankietów koszuli zwisały frędzle nitek.

– Kielbasa z łosia – powiedział, rzucając jej spojrzenie przez ramię – i ekstrasuperspecjalne placuszki owsiane Sessa Hardera z zeszłoroczną konfiturą jagodową. Co ty na to?

Przez dwa okna wpadało białe łagodne światło, w prostokącie otwartych drzwi widać było słońce i prześwieconą jego promieniami mgiełkę w oddali. Pszczoły, ruchliwe złote plamki, uwijały się wśród brzoź i osik rosnących na podwórzu, docierał tu też orzeźwiający zapach rzeki Thirtymile, która przy ujściu do Jukonu sypała miriadami roziskrzonych kropel, rozpryskując się na kamieniach.

Ułożenie włosów było dla niej zawsze prawdziwą mordęgą, zwłaszcza w tych warunkach, postanowiła więc ich nie rozplatać – ale kiedy się obudziła i zobaczyła go, jak dokłada polan do ognia i uwija się przy piecu, pomyślała, że jednak je rozczesze i pozwoli, by powiewały swobodnie jak flaga wywieszona na znak kapitulacji. Albo jako wabik. Bo ona też zdawała egzamin i chciała się popisać nie tylko intelektem, ale także zaprezentować swoje walory cielesne.



– Trafieś idealnie – rzekła, obdarzając go promiennym uśmiechem.  
– Bo jajka po benedyktyńsku, kawior, trufle i tak dalej mógłby mi zaproponować każdy, ale jeśli czekają mnie na śniadanie trzy godziny wiosłowania, to powinnam zjeść co najmniej superspecjalne placuszki. I z czym to, mówiłeś, z kielbasą z łosia?

Nie odpowiedział, bo wykonywał właśnie skomplikowany manewr patelnią, tak czarną, jakby wydobył ją z jakiegoś grobowca. Słysząc było skwierczenie tłuszczu i nagle powietrze w chacie zgęstniało od zapachu smażeniny i od dymu. Nabił kielbaski na widelec z długim trzonkiem, przestawił z taneczną gracją dzbanek z kawą i podrzucił ciężkie ciemne placki płynnym ruchem nadgarstka.

– Powinnam ci kupić toczek – zauważyła.

– Co to jest toczek? – zapytał.

Jedli na zewnątrz, w słońcu, przy piknikowym stole zrobionym z czarnego świerku i zabójczym na kolor starej skóry. Wykorzystali w trakcie posiłku cały komplet naczyń, jaki posiadał: dwa blaszane talerze i dwa blaszane kubki. Na środku stołu stały w puszcze polne kwiaty, których nabierał, kiedy ona jeszcze spała; bardzo ją to ujęło, i jego starania, i czułość, jakiej manifestacją był ten bukiet. Nalał do kubków kawy i nałożył konfitury na talerze.

– Wiesz, co tu jest najlepsze? – zapytała, wycierając plackiem sos. – To znaczy prócz tego, że jest pięknie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Starł się nie okazywać, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

– Co takiego?

– Poczucie bezpieczeństwa. Na pewno czujesz się tu bezpiecznie, prawda?

– Jasne. Dopóki nie muszę sobie pilnie wyciąć wyrostka robaczkowego. Albo tobie.

– Autochirurgia – powiedziała i oboje parsknęły śmiechem.

– Albo zrobić coś z zębami. Wyobrażasz sobie, jak sami wyrrywamy sobie zęby?

Milczeli przez chwilę, przetrawiając grozę tej wizji.

– Ja wyrwę tobie, jeśli ty wyrwiesz mnie. Ząb za ząb – powiedziała w końcu i znów wybuchnęły śmiechem.

Długo nie mogli się uspokoić. Kiedy wcięż chichocząc, wstał, żeby umyć talerze, kazała mu usiąść i oświadczyła, że pozmywa, bo napatrzyła się już dość. Co on sobie wyobraża, że będzie ją obsługiwał?

– Myślałam o tym rodzaju bezpieczeństwa – wyjaśniła, wkładając naczynia do gorącej wody, którą zagrzała na piecu – jakiego nigdy nie odczuwa się w mieście, w każdym razie ja go nie odczuwam. Doszło do tego, że boję się wychodzić wieczorami, zwłaszcza sama.

Wszedł za nią do chaty i teraz on usiadł na brzegu łóżka. Skręcił papierosa i przypatrywał się, jak ona krząta się wśród należących do niego przedmiotów.

– Okej – powiedział. – Chyba jasne, że akurat to ci gwarantuję. Kobieta musi być szczególnie ostrożna...

– Mężczyzna też. Jest kompletny upadek, zabójstwa, narkotyki w szkołach, hipisi; miałam w pracy kolegę, który wychodził z psem przed pójściem spać... ot tak po prostu, wychodził na spacer z psem. I wiesz, co się stało?

Sess zapalił papierosa.

– Ktoś go napadł?

– Właśnie. Dwa długowłose typki z nożem. I nie zadowolili się zabranie mu portfela – włożyli mu nóż do nosa i przecięli mu nozdrze. Oszpecili go na całe życie, bo to jest nieusuwalne jak tatuaż. No a suczka... to było takie cudowne maleństwo, pudelek, wabiła się Berenice... próbowała go bronić, więc zabrali się do niej i kopali ją tak długo, aż niewiele z niej zostało. O tym mówię. Oto do czego doszło społeczeństwo.

Podniósł się z łóżka i stanął obok niej; reagowała na tę bliskość gęsią skórka – na jego fizyczność, zapach tytoniu, nieśmiały dotyk ręki na ramieniu, na jego głęboki głos.

– Tutaj nie musisz się tego bać. Może tylko niedźwiedzi. Rosomaków. Ale my tu wiemy, jak je odstraszyć, wierz mi.

Zanurzyła ręce w wodzie, tak gorącej, że ledwie mogła wytrzymać. Zmywak poruszał się mechanicznie, ścierając skorupę ze szerniałej patelni.

– O tym właśnie mówię – rzekła. – Człowiek jest tu wolny i nie chodzi tylko o to, że może robić to, co chce, ale uwalnia się od tego całego bagna. Chryste, przecież on tylko wyszedł z psem!

Z jakiegoś nieznanego jej powodu była bliska płaczu. Nie pojmowała, jak mogła dać się tak stłamsić, skoro tu było to, czego pragnęła całe życie, właściwe miejsce i być może właściwy mężczyzna, a cała reszta świata z tymi, którzy kaleczyli nosy i kopali psy, mogła sobie utonąć w oceanie.

– Pamela – rzekł. – Chodź tu do mnie.

Bez zastanowienia wyjęła ręce z pieniającej się wody. Nie stawiała oporu, gdy wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

– Nie będziesz już musiała myśleć o tym wszystkim do końca życia.

Ludzie mówili, że to szaleństwo z jego strony żyć tak na końcu świata, dziesięć albo dwadzieścia mil od najbliższego sklepu, kościoła, baru czy poczty i kolejne sto sześćdziesiąt od wszystkiego, co choćby przypomina cywilizację – o ile można było nazwać Fairbanks miastem cywilizowanym. O niej zaś mówili, że jest jeszcze bardziej szalona, oddając się w ręce jakiegoś zdziwaczałego, wygłodniałego seksualnie trapera z arteriami zablokowanymi łojem, faceta, który zdobi ściany domu strzelbami – tak ujął to dokładnie, niemal słowo w słowo, niejaki Fred Stines, człowiek, którego spotkała w Anchorage – ale ona upierała się, że jest całkiem inaczej. Jednego nie rozumieli – a już Fred nie rozumiał tego absolutnie – nie pojmowali, że wszystko, co tak dobrze znali, całe to rozhuśtane, hołdujące przemocy, krwiożercze i opętane żądzą podbojów społeczeństwo zmierzało ku samounicestwieniu. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Uliczne rozruchy były zaledwie przygrywką do tego, co miało dopiero nadejść, bo jeśli nikt nie pracował, a wszyscy tylko siedzieli, ćpali i uprawiali seks, to kto miał produkować żywność? A jeśli nikt nie wytwarzał żywności, to co mieli jeść? Dla niej odpowiedź była oczywista: złączą jeść to, co produkujesz ty, a gdy i to się skończy, zjedzą ciebie, zupełnie jak w tej książce science fiction, gdzie robili przetwory ze zmarłych i konających. Było to oczywiste. Ale człowiek pracował codziennie w biurze, jeździł na zakupy swoim nowiutkim lśniącym samochodem, a potem wracał do domu, do swojego gazowego grzejnika i pieca opalanego drzewem, i nie zastanawiał się nad tym nawet przez chwilę. I rozmaici Fredowie Stinesowie całego świata nawet się nie obejrzą, jak to wszystko runie z wielkim hukiem. Ale jej, Pameli, to nie dotknie. Ona zamierzała zamieszkać w lesie i zapewnić sobie stuprocentową samowystarczalność. Każde inne, połowiczne rozwiązanie było według

niej formą samobójstwa.

Po południu drugiego dnia, po śniadaniu i uścisku, który stawał się coraz mocniejszy, wreszcie po pocałunku, od którego krew uderzyła jej do głowy, Sess oprowadził ją po obejściu, pokazując z dumą swoje gospodarstwo. Pokazał jej też, jak czysta jest Thirtymile w miejscu, gdzie wpada do mętnego Jukonu, toczącego swe wody ciężkie od masy lodowcowych odpadków, pokazał miejsce, gdzie zamierza postawić saunę i warsztat, zrobił jej wykład o ogrodzie, w którym akurat zaczęło się zielenić pod czarną folią, którą położył dla zatrzymania ciepła. Uprawiał kapustę, kalafiora, rzepę, kalarepę i brukselkę, ziemniaki, cebulę, groch, sałatę, wczesną odmianę pomidorów, bazylię, ogórki, dynie.

– Wszystko musi być zasadzone przed pierwszym czerwca – objaśniał – choć jest ryzyko, że zmarznie. Dlatego właśnie trzymam tu drzewo, na wszelki wypadek, bo sezon wzrostu trwa u nas może ze sto pięć dni, co wiąże się też z tym, że nad rzeką wszystko jest troszkę mniej zmarznięte. Wierz mi, liczy się każdy dzień, a gdzieś około lutego człowiek gotów byłby zabić dla odrobiny kiszzonej kapusty albo pomidorów do sześciotysięcznego kotleta z łosia.

Słuchała pilnie, bo były to informacje, jakich potrzebowała, wiedza, która zabezpieczała człowieka, ale większość z tego, co mówił, natychmiast ulatywała, bo ona wsłuchiwała się w jego głos, nie w słowa. Ten głos hipnotyzował ją tak, jak nie mógłby jej nigdy zahipnotyzować głos Freda Stinesa. Miał szczególną tonację, działał na nią jak prąd elektryczny, raził jak impuls z lampy, którą próbowała kiedyś nieudolnie naprawić w college’u. Sess mówił, znikła gdzieś cała jego nieśmiałość – a ona słuchała.

– No dobrze – powiedział w końcu, kiedy stojąc nad rzeką, patrzyli na łódź. – A może popłyniemy kawałek w górę rzeki i zobaczymy, co się nam uda upolować na obiad? Lubisz kaczkę? Kaczkę z szalotką i z superekstraspecjalnym ostrym sosem barbecue Sessa Hardera?

Łódź mknęła po rzece, jakby unosiła się w powietrzu, żwir, którym usiane było łożysko, przeobraził się w kłębowisko chmur, czarne sylwetki ryb przemykały na ich tle jak ptaki. Płynęła po rzece z Sessem Harderem, była w dziczy z Sessem Harderem, czuła, że kocha to wszystko. Wiosłowali energicznie pod prąd, pod wiatr. Wyczuwała ciężar Sessa za sobą, łódź zamieniła się w huśtawkę na jakimś wodnym placu zabaw, czuła też uderzenia jego wiosła, gdy omijali skały i płynące kłody i przecinali w poprzek wiry w miejscach, gdzie woda wokół czółna aż się gotowała. Pracowali w milczeniu i po raz pierwszy od chwili, gdy stanął na tarasie wczorajszego popołudnia, żadne z nich nie czuło potrzeby mówienia. Dopiero kiedy pokonali zakręt i przestraszyła się widokiem domu stojącego na wysokim brzegu, przerwała milczenie.

– O Boże, Sess – powiedziała, oglądając się na niego. – Co to jest, chata? Tutaj?

Tak, to była chata. Bez wątpienia chata. Ciosane bale, błysk szyb w oknie, refleks słońca na aluminiowej powierzchni odwróconej do góry dnem łodzi leżącej tuż pod ścianą. Chata miała obłożony darnią dach i wyrastały z niego wysokie na osiem, dziesięć stóp drzewa, zupełnie jak na obrazku z książki dla dzieci, przedstawiającym chatynkę trolla. Sess wiosłował w najbardziej jednostajnym rytmie, jaki można sobie wyobrazić.

– Ano tutaj.

– Ale nie mówiłeś mi, że mam zamieszkać na osiedlu. – Usiłowała wprowadzić żartobliwą nutę, ale była zaszokowana, naprawdę zaszokowana, bo jakież to wszystko miało sens, skoro za każdym zakrętem napotykało się kolejną chatę?

– Nie przejmuj się tym, Pamela – powiedział. Chata odpływała tymczasem, znikając z jej pola widzenia. – Tam nikt nie mieszka. Nikogo tam nie ma od ponad roku.

Wiosła pracowały rytmicznie, odczuwała już skutki tego w mięśniach barków, czuła, jak jej twardnieją.

– Ale kto... – zaczęła.

– Pewien starszy jegomość, jeden z tych przedstawicieli starej szkoły, prawdziwy, autentyczny, pomyłony abnegat, samotnik znad rzeki, który cuchnął gęsimi skrzydłami nasączonymi bobrowym tłuszczem, przynętą dla rysiów. Jeden z tych, co to kąpią się tylko wtedy, jak wpadną do rzeki, co zdarza im się dwa razy do roku. – Przerwał, ale wiosło pracowało nieustannie. – Taki typ czy stary bałwan, jakim i ja bym się stał, gdyby... gdyby nie ty.

Pozwoliła, by ta nuta nadziei wybrzmiewała jeszcze przez chwilę, po czym rzekła:

– A gdzie jest teraz? To znaczy, chciałam zapytać, czy on umarł?

– O nie, był za bardzo pokręcony, żeby umrzeć. Wycofał się po prostu. Powiesił na kołku swoje rakiety śnieżne, przepłukał po raz ostatni trochę piasku i wyjechał do Seattle, żeby zamieszkać z bratem w jakimś wynajętym mieszkaniu. No wiesz, centralne ogrzewanie, kolorowy telewizor, zmywarka i suszarka. I wysypany żwirem prostokąt, na którym można zaparkować pick-upa.

– To okropne – powiedziała.

– O, tak – zgodził się. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że szczerzy do niej zęby. – Nie ma nic gorszego.

Wyciągnęli łódź na zwirową łąkę i powędrowali przez ociekający wilgocią, splątany gąszcz brzoź, osik i topól, obleganych przez roje komarów, całe ich pułki i brygady. Pamela miała na sobie koszulę z długimi rękawami i dzinsy, natarła się też płynem przeciw komarom, tak że błyszczała jak jagnięcy udziec w supermarkecie, ale komary i tak dopadły jedyne miejsce, które ominęła – czubka nosa – toteż uśmiercając je, machała ręką jak automat.

– Jeszcze tylko pięć minut – sapnął Sess, który szedł przed nią z obrzytnem w jednej ręce i drugą strzelbą przewieszoną przez ramię. – Prowadzę cię do jeziorzek, gdzie, nie uwierzysz, jest więcej kaczek niż komarów. – Opowiedział jej, że miejscowi nie nazywają tej pory roku późną wiosną ani wczesnym latem, tylko porą kaczek, tyle ich przylatywało z południa, żeby zakładać gniazda i wychowywać potomstwo. Przypominało to targowisko z drobiem na wolnym powietrzu. I nie można było tego przeoczyć.

A jednak on przeoczył, i to trzykrotnie – jezioro nazywane przez miejscowych Wolim Jarzmem, które kiedyś, przed laty, było korytem rzeki i na którym kiedyś trafiało się na istne pandemonium kwakania i łopotu skrzydeł, teraz było równą czarną taflą wody bez jednego ptaka. Sess przyjął porażkę dzielnie. Przeprosił, ale się nie tłumaczył, nie miał takiego zwyczaju.

– Zaczekaj tu – rzekł i wśliznął się między trzciny tak cicho jak powiew wiatru.

Wokół roily się komary, czekała prawie godzinę, nim ciszę przerwał potrójny huk wystrzału. Po chwili Sess wrócił do niej, wciąż zawiedziony i zły. Uśmiechnął się z widocznym przymusem.



– Nie przejmuj się – powiedział. – Musimy... Przykro mi to mówić, ale musimy po prostu być cierpliwi. Rozumiesz to, Pamela? Rozumiesz?

Miała już zapewnić go, że oczywiście tak, że potrafi to zrozumieć i że nie powinien się nią przejmować, bo cokolwiek ugotuje, będzie jej odpowiadało, gdy czarna woda u jej stóp zafalowała nagle, jakby ożyła, i gładką powierzchnię jeziora przecięła jeszcze czarniejsza smuga w kształcie litery V. Sess zdjął z uśmiechem strzelbę z ramienia, a w chwilę później wychodził z mułu z ociekającym czarnym stworzeniem w dłoni.

– Co to jest, bóbr? – zapytała.

– Nie, piźmoszczur – odparł.

Tego dnia na kolację – a była bardzo głodna, wręcz umierała z głodu, każda komórka jej organizmu domagała się głośno paliwa – przyrządził jej potrawkę z piżmaka w duszonych pomidorach z puszki, z ryżem, warzywami i łyżką żółtego, słodkawego tłuszczu, jaki ów gość honorowy nosi pod skórą, kiedy odprawia swoje tajemne, mroczne rytuały w stawach i na trzęsawiskach gdzieś na końcu świata. Popili to dwiema butelkami piwa domowej roboty, tak mocnego jak wódka, którą zdarzało się jej pić w college’u. Była to najlepsza kolacja, jaką jadła w życiu. I powiedziała mu to, gdy siedząc na łóżku, przyglądała się z uśmiechem, jak zmywa po kolacji.

– Ja pozmywam – uparł się – bo ty robiłaś to rano, i tak będzie sprawiedliwie.

Potem wyciągnął organki i grał jej swoje serenady, a w końcu wykonali w zgodnym duecie trzy utwory: *Oh Susannah*, *You Are My Sunshine* i *She Loves You (Yeah, Yeah, Yeah)*.

Było już po północy i obojgu kręciło się w głowie od śpiewania, piwa i podniecenia własnym towarzystwem, gdy Pamela rzekła:

– A więc opowiedz mi o Jill.

Ta prośba natychmiast zwarzyła atmosferę. Podnosił akurat piwo do ust, skończywszy opowieść o pewnej nocy zeszłej zimy, kiedy termometr pokazywał pięćdziesiąt stopni poniżej zera, tak że gdy wyszedł wylać wodę po zmywaniu, zamarzała, zanim dotknęła ziemi, wydając przy tym taki dźwięk jak szklane kulki sypiące się z worka. Odstawił piwo i spojrzał nad jej głową w przestrzeń za oknem.

– Chyba nie chcesz, żebym o tym mówił – rzekł po chwili.

– Owszem, chcę – odparła.

– Nie ma właściwie o czym. Nie powiem ci nic ponadto, co musiałaś słyszeć.

– Nie słyszałam niczego – powiedziała, a potem dodała gwoli prawdy, bo rzeczywiście słyszała co najmniej trzy wersje tej historii, z których najbardziej nieprzychylna wysączyła się jak kwas z ust zawistnego Howarda Walpole’a: – To znaczy, prawie niczego, – Była zupełnie niepodobna do ciebie – rzekł z westchnieniem.

Wstał od stołu, zdjął z haka lampę i zapalił ją. Wszystkie jego mięśnie zdawały się przesuwac ku szyi, stężale i osłabione, jakby oddarte od ciała. Twarz miał pochmurną.

– Mów – zachęciła go. – Chcę to usłyszeć.

Jill była młoda, miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, i on też był młody, zbliżał się do trzydziestki, a było to przed trzema laty. Poznał ją w Fairbanks, kiedy zatrudnił się zimą jako barman, po przepracowaniu całego lata w lesie w charakterze strażaka. Zbyt dużo pił, chodził późno spać, mieszkał w mieście podobnym do innych i rzadko wypuszczał się do Cheny czy Nenany na ryby. Nie wiedział, czego chce. Jill była studentką uniwersytetu na Alasce, w każdym razie była nią, zanim go poznała, potem rzuciła studia i spędzili całą zimą, śpiąc z sobą, rozmawiając o wsi i o porzuceniu wszystkiego, by prowadzić życie ludzi wolnych.

Przyjechała z nim zaraz po zakończeniu roku akademickiego, do tej samej chaty, w której byli teraz, właściwie pomagała mu ją budować. Żadne z nich nie znało się na tej robocie, ale uczyli się na własnych błędach i mieli zapas kupionej w sklepie żywności, która pozwoliła im przeżyć pierwszą zimę i dotrzeć do czasu, gdy będą mogli łowić ryby, uprawiać ogród i polować – były to sześćdziesięciofuntowe worki ryżu, soczewicy i mąki kukurydzianej, masło w wielkich puszkach, wędzone ryby i tym podobne. I przez pewien czas wszystko układało się dobrze. Ale Jill nie była stworzona do takiego życia – to znaczy pod względem psychicznym. Kiedy tylko nadeszła zima i słońce przygasło, zaczęła chodzić po ścianach, można było pomyśleć, że siedzi w więzieniu, osądzona, skazana i trzymana tu wbrew swej woli. „To dożywocie – mawiała głosem martwym i jakby spopielonym. – Jestem skazana na dożywocie. Siedzę tu jak w San Quentin”. Sess był wciąż poza domem, nawet w największy mróz polował w lasach na pardwy, ursony, rysie, cokolwiek, co można było włożyć do garnka, a ona siedziała tylko przy piecu, zapatrzona w ogień, i czytała w kółko te same książki – *Silasa Marnera* przeczytała chyba ze dwadzieścia razy, a coś takiego przyprawiloby chyba każdego o obłęd. Stawiała pasjanse, aż karty wytarły się doszczętnie i w końcu rozsypały w proch. Potem zaczęła odliczać dni, robiąc nacięcia na ścianie: cztery pionowe kreski i poprzeczna, zupełnie tak, jak robią to więźniowie.

Pamela mu nie przerywała. Jak zdążyła się już przekonać, takie zwierzenia miały działanie terapeutyczne, a sytuacja musiała być wyklarowana, bo jeśli rzeczy ułożyłyby się pomyślnie, ona miała zająć miejsce tamtej i nie zniosłaby myśli, że nie wie wszystkiego. Kiedy mówił o nacięciach na ścianie, wstał i pochylił się nad nią, by przeciągnąć palcami wzdłuż bala, o który opierała głowę – i te karby tam były, trwały jak blizny na skórze dzikiej bestii, jak ryty rozpaczy. Najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, było rzucenie mu koła ratunkowego.

– A więc w sensie medycznym miała depresję?

– Gorączkę leśną – powiedział, zapadając się obok niej w futra. – Śmiertelny przypadek. – Wysunęła ku niemu rękę, ale jej nie ujął. – To się przydarza wielu ludziom w lasach. Zwłaszcza kobietom. Kobiety najwyraźniej potrzebują bardziej towarzystwa innych kobiet niż mężczyźni mężczyzn – my jesteśmy większymi samotnikami. Jak pustelnicy czy coś w tym rodzaju. Ale ciebie interesują ploteczki i takie tam, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Oczywiście mężczyznom też nieźle tu odbija. Słyszałaś kiedyś o tych dwóch traperach, którzy mieszkali w górach koło Eagle? Dwa czubki, z tych, co to mówią do siebie, nawet kiedy spotka się ich w mieście, dokąd jeżdżą raz na pół roku. Nie słyszałaś? No więc to był luty, wyjątkowo mroźna zima, i jednemu z nich tak dopiekała samotność, że był już na wpół obłąkany, więc zaprząkł psy i pognął do domu tego drugiego, jakieś trzydzieści mil. Tamten otworzył mu, kiwnął głową na powitanie i zostawił drzwi uchylone. Facet wyprząkł psy i wszedł do chaty bez słowa, zrzucił parkę, usiadł na krześle blisko ognia i wpatrywał się przez godzinę w twarz przyjaciela, aż w końcu ten nastawił garnek i ugotował gulaszu z łosia, po czym zjedli go w milczeniu. Potem zapalili fajki, a kiedy przyszła pora snu, ten pierwszy rozwinął swój śpiwór na podłodze i zasnął jak kamień. Rano zjedli razem śniadanie – znów gulasz z łosia, suchary i kawa – i ten pierwszy facet wyszedł, zaprząkł swoje psy i pomachał na pożegnanie drugiemu, który stał w progu chaty. I wiesz co? Żaden z nich nie wypowiedział przez cały ten czas słowa, ani dzień dobry, ani do widzenia, ani: „Niezły ten gulasz”, ani: „Nie mogę patrzeć na tę twoją paskudną gębę, ty stary sukinsynu”, nic.

– Pouczająca historia – powiedziała. – Chcesz mnie przestraszyć?

Sess spojrzał na nią zaskoczony.

– Skąd, ani myślę. Dlaczego miałbym to robić?

– No więc, wracając do Jill – rzekła po chwili. – Wyjechała w końcu?

Piec trzeszczał i sapał. Ostatnie promienie słońca ozdabiały tylną ścianę wąską lamówką wyblakłego różu.

– A co słyszałaś na ten temat? – zapytał ochryplym głosem. – Że jestem jakimś Sinobrodym czy co?

Ufała mu. Lubiała go. Mogła go nawet pokochać – już go kochała.

– Nie – odpowiedziała tak cicho, że ledwie usłyszała samą siebie.

– Pokazywałem ci ogródek, pamiętasz?

Skinęła głową.

– Jill poszła tam, na pustą przestrzeń, gdzie wykarczowaliśmy wszystkie drzewa, i wydeptała wielki napis w śniegu, z wysokich na dziesięć stóp, szerokich na pięć stóp liter. Wiesz, co napisała? Tak, żeby to było widać z góry? JILL CHCE SIĘ STĄD WYDOSTAĆ. Jill chce się stąd wydostać. Masz pojęcie, jak mnie tym poniżyła? – Podszedł do pieca, żeby nalać sobie kawy. – Tydzień później na zamrzniętej rzece wylądowała Cessna 180 wyposażona w płozy. Przyleciał w niej Joe Bosky. Stał w drzwiach i zapytał: „Macie tu jakieś kłopoty, czy jak?”.

– I to był koniec Jill.

Głos mu teraz złagodniał, chrypka zniknęła bez śladu.

– Nigdy już jej nie zobaczyłem.

Słońce spelzło ze ściany. Z zewnątrz dobiegło stłumione odległością wycie wilka, które przeszło w gorączkowe glissando i zamarło, po czym podjęły je psy. Widziała przez okno napięte łańcuchy, pyski wzniesione ku niebu, dźwięk, który z siebie wydobywały, był surowy i pozbawiony harmonii, pobrzmiwał w nim głęboki, neutulony żal, cierpienie uwiązane, ujarzmione zwierzęcia. Sess powiedział coś, ale nie dosłyszała słów, więc poprosiła, by powtórzył.

– Czy naprawdę musisz jechać?

– Obiecałam – rzekła.

– Do diabła z obietnicami – powiedział, a psy zawyły tak żałośnie, że wilk na szczycie góry wyszczerzył pewnie zęby w uśmiechu.

– Howard Walpole... – zaczęła, ale Sess nie pozwolił jej dokończyć.

– Howard Walpole to zasraniec – powiedział. – Ty to wiesz i ja to wiem. Ja jestem tym mężczyzną, o którego chodzi. Powiedz, że to ja.

– To tylko trzy dni – rzekła.

Nie patrzył na nią. Wbił wzrok w dzbanek z kawą, a potem w ścianę. Psy wciąż wyły.

Trzy dni, Sess. Potem będę wiedziała na pewno.

## 9

Howard Walpole stał na tle wysokiego brunatnego brzegu i chaotycznego skupiska szop i chat, które tworzyły nadbrzeżny pejzaż Boynton. Miał na sobie wyświecone drelichowe spodnie i gumki, które grzęzły w błocie. Czekał już na nich, gdy wypłynęli zza szerokiego zakrętu rzeki; patrząc na niego, Sess doszedł do wniosku, że facet musiał tu sterczeć już od wielu godzin, choć byli umówieni na dwunastą – w południe, a teraz mogło być najdalej w pół do dwunastej. Dzień był paskudny, pochmurny i duszny. Rzeka miała kolor nieba, a niebo barwę podkładu, jaki widywało się na karoseriach samochodów czekających na błogosławieństwo wykończenia zewnętrznym lakierem. Mżył drobny kapuśniaczek. W powietrzu unosiła się jakaś chorobliwa woń, jakby wszystko w wodzie, w lasach i na niebie obumarło i zaczęło się rozkładać.



Pamela szczebiotała bez przerwy – o łosiu na płyciźnie, o stadzie kaczek, o chorej nodze matki i o chłopaku siostry, który okazał się nicponiem – ale Sess byłby mocno zaskoczony, gdyby ktoś mu powiedział, że wymówił najwyżej sześć słów. Czuł rozgoryczenie, rozgoryczenie połączone z głęboką niechęcią, i było mu obojętne, czy ona to widzi. Wiosłował zawzięcie, a na ostatnim odcinku przyspieszył tak, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się jej wreszcie pozbędzie. Głos wewnętrzny podpowiadał mu, że powinien wziąć Howarda Walpole’a na bok i objaśnić mu, jakim Pam jest utrapieniem, jaką bałaganiarą i jędrą, ale wiedział, że to na nic. Howard, który miał trzydzieści osiem lat i głowę tak idealnie płaską z tyłu, jakby ktoś walnął go deską w chwili, gdy wyjrzał z łona matki – no więc Howard był facetem, który nie przepuszczał żadnej okazji i nigdy nie liczył się ze zdaniem innych.

Łódź zazgrzytała na żwirze, Pamela wyskoczyła i wyciągnęła ją na brzeg, żeby nie musiał się podnosić. Howard uśmiechał się, błyskały żółte zęby okolone siwiejącą brodą, zsunięta z czoła brudna inżynierska czapka odsłaniała biały pasek skóry, której nigdy nie dotknęło słońce.

– Siemasz, Pamela – zapiął. – Podobało ci się w pałacu Hardera?

Odrzekła, że owszem. Howard pozdrowił Sessa, odebrał od niej plecak i wrzucił go do swojej wielkiej łodzi z płaskim dnem, wyposażonej w dwa silniki. Wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

– Nie ma sensu tak tu sterczeć na deszczu – powiedział – kiedy mam ci tyle do pokazania. I nie wiem, do jakich luksusów przywykłaś w pałacu Hardera, ale mój dom jest w porównaniu z jego chałupą czterogwiazdkowym hotelem, więc nie martw się zawczasu.

Zepchnął łódź na wodę, zaryczały silniki i Pamela zamieniła się w znikającą kolorową plamkę na szarym grzbiecie rzeki.

Wiedział, że nie powinien teraz pić, wiedział, że powinien zawrócić, powiosłować w górę rzeki i zająć się przez następne trzy dni karczowaniem krzaków w miejscach, gdzie zamierzał zastawić sidła, łowieniem szczupaków w wodach starorzecza lub polowaniem na kaczkę, ale ku własnemu zaskoczeniu minął swoją szopę i rozmaite chaty ludzi, których znał i lubił lub nie lubił, albo takich, którzy byli mu obojętni, skręcił ku głównej ulicy, przeszedł obok poczty, Nugatu i domu towarowego i skierował się w stronę baru Three Pup. Przyciągnął z sobą cały nowy rój komarów; kiedy zajęły się zawieraniem znajomości z miejscowymi pobratymcami, szybko wszedł do środka. Lynette stała za barem, patrząc przymrużonymi oczami przez dym z trzymanego w zębach papierosa, i tasowała karty Richardowi Schraderowi, jak gdyby tasowanie i rozdawanie kart było głównym zajęciem ludzkiego gatunku na tej planecie. Uważała najwidoczniej, że nie ma co się spieszyć z ich rozdaniem, skoro za chwilę znów trzeba było tasować je i rozdawać.

– Hej – pozdrowił go Richard, nie podnosząc wzroku.

– Satisfakcja gwarantowana albo zwrot pieniędzy – odezwał się Skid Denton ze swego zwykłego miejsca przy końcu prostokątnego baru, który spełniał teraz funkcję śniadaniowego blatu. – Jesteś usatysfakcjonowany, Sess? Czy przyszedłeś odebrać swoją forszę?

Sess odpowiedział mu, żeby się, kurwa, zamknął, i zabrzmiało to wystarczająco groźnie, by wszyscy obecni zrozumieli, że nie ma się z czego śmiać. Nikt nie uśmiechał się zatem znacząco, nie było trącania łokciami i tych śmieszków za plecami, jakie musiał kiedyś znosić w związku z historią z Jill. Nie uśmiechał się nawet Richie Oliver, siedzący w rogu z kobietą, której nikt tu wcześniej nie widział. Bo Richie Oliver miał już za sobą trzydniową próbę z Pamelą, jechali więc obaj na tym samym wózku. Poza tym kobieta, z którą siedział, nie była piękną, trudno ją było nazwać dziewczyną, i wszyscy wiedzieli, że Richie Oliver czy ktokolwiek inny mógł oczekiwać po tej znajomości tylko jednego. Sess wrzucił ćwierć dolara do szafy grającej, puścił sobie trzy razy z rzędu *Mystic Eyes*, zamówił lufę i piwo, a kiedy już się z tym uporał, powtórzył zamówienie, usiadł przy oknie i zagłębił się w lekturze „Time’a” sprzed dwóch lat, który przeczytał już od deski do deski co najmniej sześć razy.

Ludzie przychodzili i wychodzili, pojawiła się też para turystów w średnim wieku, którzy przyjechali białym kombi oblepionym trzycielową warstwą błota. Pogawędził z nimi chwilę, częstując ich paroma bajeczkami o życiu na wsi i o tym, czego mogą się tu spodziewać. („Łoś? Naprawdę? Mówi pan, że naprawdę mogą zaatakować samochód?”). Około szóstej kazał Lynette zrobić sobie kanapkę z tuńczykiem, wziął do tego talerz frytek jako wypełniacz, po czym przeniósł się do Nugatu, zobaczyć, czy nie ma tam znajomych, i ewentualnie pograć w bilard. Zastał tam dwóch Indian Hungwitchin, których znał z okolic Eagle, i pił z nimi przez godzinę czy dwie, aż jeden z nich zwymiotował na stół i Clarence Ford, barman, kazał im się wynieść. Indianie poszli, zataczając się, do swojego pick-upa, zapuścili silnik i pomachali mu niezdarnie na pożegnanie – ale chwileczkę, czy nie mogliby go podrzucić do baru Three Pup, bo coś jest chyba nie w porządku z jego nogami? Jasne, jasne, że mogliby.

Od tej chwili obraz zaczął się nieco mącić. Jedno było pewne: w barze spotkał Bosky'ego i ściał się z nim znowu, a to, kto powiedział co i komu, czy kto w ogóle zaczął, nie miało właściwie znaczenia. Przypominał sobie tylko mgliście, że Lynette wyjęła z kabury pistolet i może nawet wypaliła z niego ze dwa razy na podwórzu, ale rezultat był taki, że wyrzucono go za drzwi, a tymczasem triumfujący Joe Bosky pozostał przy barze otoczony tuzinem ludzi i pił z godnością przez resztę wieczoru. Ale jednego nie wziął ani on, ani nikt inny pod uwagę: że na zarosłym zielskim parkingu stał samochód Joego, biały, aerodynamiczny mustang z niebieskim pasem, wypożyczony na lato ze specjalnego garażu. Stał na samym śródeczku, niczym ściana ze szkła i stali, na którą Sess musiał po prostu wpaść. I było doprawdy drobiazgiem, kwestią kilku ulotnych, pijanych minut podniesienie maski i opróżnienie pęcherza do czarnego, lśniącego wlewu oleju, a potem oddalenie się wolnym krokiem w stronę rzeki z poczuciem, że teraz można spokojnie iść spać.

Powiedzieć, że obudził się z bólem głowy, to nie powiedzieć nic. Był zdruzgotany, ogłuszony, nadziany na pal bólu, żalu i zwykłej tępej niemocy spowodowanej nadużyciem alkoholu. Nie zdołał dotrzeć do swojej szopy; obudziło go słońce świecące w oczy i delikatne szturchanie czubka buta Richarda Schradera.

– Sess – mówił Richard, a jego twarz była jasną planetoidą orbitującą na niebie, za nią zaś widniał księżyc i ten księżyc okazał się chorobliwie bladą twarzą kobiety, która towarzyszyła wcześniej w barze Richiemu Oliverowi – lub może jej kłona.

Usiadł. Znajdował się o parę kroków od swojej szopy, na stercie opon i przerdzewiałych części maszyn, tuż przy południowym krańcu werandy Richarda. Za jego plecami toczyła swe wody rzeka. Wszystko dookoła było mokre i zimne.

– Chryste – powiedziała kobieta. – Ty tylko popatrz na siebie.

Zachowywał się jak mnich. Był skruszonym grzesznikiem. Odmówił kawy, opatrunku, posmarowania kalaminą miejsc pociętych przez komary i od razu wsiadł do łodzi – bez żadnych zapasów żywności, bez niczego, nawet bez butelki wody – i popłynął w górę rzeki. Zaspokoił pragnienie, zaczerpnąwszy wody rękami, znalazł też w schowku na żelazny zapas kilka pasków suszonego mięsa karibu i zaczął je przeżuwać z poczuciem wstydu i upadku, dżgając nurt rzeki piórem wiosła. Wciąż mżyło, dygotał na całym ciele, pozwolił więc, by łagodny prąd zniósł go na przeciwległy brzeg. Wyciągnął łódź i zabrał się do rozniecania ogniska, żeby się ogrzać, choć było pewnie z osiemnaście stopni – kiedy człowiek przemoknie i wiatr wieje mu w twarz, nie ma znaczenia, jak wysoka jest temperatura.

Ognisko było drobiazgiem, ale przyjemnym. Miał spinning, który zawsze woził z sobą, postanowił więc, że przyrządzi sobie proste śniadanie. Wystarczyło trzykrotne zarzucenie pomarańczowego spinnera i wkrótce nadziany na patyk lipień piekł się nad ogniskiem. Ryba była tak smaczna, że zmienił sprzęt na cięższy, założył błysk z zieloną lśniącą plamką w środku, która miała imitować oko jakiegoś na wpół uformowanego i lekkomyślnego stworzenia z płycizny, i zarzucił wędkę jeszcze raz w nadziei, że złapie szczupaka na późniejszy obiad w chacie. Żyłka świsnęła w powietrzu, dał się słyszeć plusk, a potem cichy szelest, on zaś nadal nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o Pameli, wyobrażał ją sobie w trzyizbowej chacie Howarda Walpole'a, z jasnoszarym dywanikiem przed kamiennym kominkiem, bo mimo niechlujnego wyglądu i nieprzyjemnej woni, jaką wydzielał, Howard był estetą i lubił patrzeć na płonący ogień. Ale chyba Pamela nigdy nie wybrałaby takiego mężczyzny, chudego, płaskogłowego, głupiego jak but, nie wybrałaby go bez względu na to, jak się wzbogacił, natrafiwszy przed dwoma laty na żyłę złota, czy w ile udogodnień wyposażył swoją chatę?

Było to pytanie, które dręczyło go przez całą długą, wypełnioną bólem głowy drogę powrotną i nie przestało nawet wtedy, gdy nakłonił długiego jak kij bejsbolowy szczupaka, by ten wylazł z dziury przy brzegu i schwycił srebrzystą przynętę swymi spiczastymi zębiskami, wyskakując przy tym z wody chyba ze sześć razy. Zapomniał o pytaniu – i o niej – tylko na pięć minut, kiedy skierował łódź do brzegu, a potem, wyczerpując wszystkie siły, wyciągnął rybę jednym szarpnięciem, które było jak przedłużone trzaśnięcie z bata. Ale gdy wyjął z pochwy nóż i wbił go między oczy szczupaka, wierząc nim tak długo, aż poczuł, że zdobycz wiotczeje, pytanie wróciło.

Tego wieczoru wypił dwa piwa, nakarmił psy i zastawił sidła na królika w miejscu, gdzie znalazł ślady w głębi ogrodu. Było ciepło, więc nie rozniecał ognia. Na kolację zjadł zimną fasolę z wyschniętymi na kamień sucharami, obgryzionymi przez myszy – czuł, że nie zniósłby zapachu smażonej ryby. Obudził się w nocy raz, zaalarmowany wściekłym ujadaniem psów; wyszedł na werandę ze strzelbą, by zobaczyć w bladym świetle – była trzecia nad ranem – oszołomioną płową kłepę łosia. Ważyła na oko z osiemset funtów i stała w samym środku ogrodu; jej nogi wyrastały z morza czarnej folii jak drzewka. W pierwszym odruchu chciał ją zastrzelić, ale powstrzymał się. Nie zabija się łosi w sezonie kaczek, nie zabija się aż do jesieni, kiedy można zacząć przechowywać mięso. Nie mówiąc już o tym, że było po sezonie i wszyscy zaczęli się szykować do wielkiej, trwającej całe lato uczty złożonej z kaczek, gęsi, łososi, jagód. Cóż więc zrobił? Zmarnował nabój i wypłoszył zwierzę w nadziei, że będzie unikało tego miejsca jak zarazy. W każdym razie do jesieni.



Rano napalił w piecu, zaparzył sobie kawę i usmażył na skwierczącym oleju dwa kawałki szczupaka panierowane w mące i tartej bułce, po czym siadł na progu chaty, oganiając się przed komarami i przyglądając się, jak skłębione deszczowe chmury zbierają się nad rzeką. Nie czuł się dobrze i nie miało to nic wspólnego z wczorajszą pijatyką, wiązało się natomiast z osobą Pameli. Czuł jej zapach, utrzymującą się kobiecą aurę utrwaloną w skórach na łóżku, obecną wśród zapachów unoszących się w powietrzu, a kiedy spojrzał przez ramię tam; gdzie siedziała rano dwa dni temu, mógł ją niemal zobaczyć. Pamela. Należała do niego, nie miał co do tego wątpliwości. „Nie masz się czym martwić, Sess” – czyż tak nie powiedziała? Ale w tym momencie pojawiła mu się przed oczami chuda, szczerząca zęby twarz Howarda Walpole’a, nałożona na poważne, brodate oblicze Richiego Olivera. A co, jeśli go okłamywała? Uspokajała? Co, jeśli powiedziała to tylko przez uprzejmość?

Zanim sobie uprzytomnił, co robi, znalazł się znów na rzece. Płynął z prądem, szybko, bliższy brzeg przemykał obok niego w pędzie, wiatr wiał mu prosto w twarz. Dom Howarda Walpole’a znajdował się blisko ujścia strumienia Junebug i stał na urwistym cyplu, nad stromizną opadającą niemal pionowo ku rzece. Co gorsza, był wyposażony w podwójne, sprowadzone aż z Oakland szczelne okna, dzięki którym Howard miał przez cały dzień niczym niezakłócony widok na wszystko, co ruszało się na brzegu lub na wodzie, zawsze też trzymał pod ręką wojskową lornetkę 7 x 42. Sess myślał o tym, gdy nagle lunęło z nieba i wiatr zaczął zacinać mu w twarz i ręce zimnymi i twardymi, kłującymi drobinami raczej deszczu ze śniegiem niż deszczu. Mimo to nadal myślał o Pameli i trzymał się blisko brzegu, gdzie wiatr nie miał do niego tak łatwego dostępu.

Paniczny lęk, że zostanie przyłapany w zasięgu dziesięciu mil od domu Howarda, zatrzymała mu myśli i odbierała całą radość życia. Było to jego główne strapienie i nigdy, nawet za tysiąc lat, nie umiałby się z tym pogodzić. Gdyby którekolwiek z nich go zobaczyło – gdyby zobaczył go Howard czy Pamela – musiałyby się wynieść z okolicy i wynająć pokój w samym sercu jakiejś podupadającej miejskiej dżungli w rodzaju Cleveland lub Brooklynu bądź w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu, gdzie nie dosięgłyby go nigdy ich komentarze. Ale nie było już odwrotu, a ponieważ ranek przeobraził się tymczasem w popołudnie, przemknął przez Boynton, trzymając się przeciwnego brzegu rzeki i korzystając z osłony całunu dżdżystej pogody.

Sam nie wiedział, co właściwie robi, czego się spodziewa, nie miał żadnego planu ani nadziei. Ale i on miał lornetkę i radził sobie na rzece i w lesie tak samo dobrze jak każdy miejscowy, może z wyjątkiem przedstawicieli starszego pokolenia, którzy byli zbyt starzy, żeby sobie radzić. Wiedział, że kiedy minie opustoszałe o tej porze roku łowisko Ogdena Stumpa i następny zakręt, wejdzie w pole widzenia Howarda Walpole'a, przyhamował więc wiosłem i podpłynął do brzegu. Nie musiał chować łodzi, ale zrobił to – bo a nuż Howardowi przyjdzie do głowy, żeby dla popisu zabrać Pam na przejażdżkę w górę rzeki, albo natknie się na kanoe jakiś człowiek zbierający drzewo na opał? – i ruszył błotnistym brzegiem naprzód, ze swoim staroświeckim springfieldem w jednej ręce i lornetką w drugiej.

Rozpadało się na dobre, jak gdyby ludzie wydychali wodę zamiast powietrza, i choć Sess miał na sobie swoje oliwkowe ponczo, a pod kapturem czapkę, od pasa w dół przemókł do nitki. Dostał dreszczy, a nie dało się rozpałić ogniska w tej okolicy bez narażania się na to, że wywęszy go Howard Walpole. Przysiadłby się wtedy, żeby ogrzać ręce i nogi i ponarzekać na pogodę, zaproponowałby, że przyniesie mięsa na rożen, i wtrąciłby na pewno między wierszami ironiczną uwagę, że chyba Sess zapuścił się kawał drogi od swojej chaty. A więc rozdygotany trzymał się brzegu rzeki, gęstych przybrzeżnych zarośli, i szedł jak po linii śladami zwierzyny widocznymi wśród wierzb, szlakiem, którego nie przeszedł nikt w historii ludzkości albo przynajmniej od czasu wiosennych roztopów. Wypatrzył ślady łosia, czarnego niedźwiedzia, rosomaka, wilka. Odchody łosia, kał niedźwiedzia. Deszcz padał jednostajnie, liście ociekały wodą.

Kiedy znalazł się w odległości stu jardów od chaty, opadł na czworaki, bo nie było sensu alarmować psów Howarda. Czołganie uspokoiło go – przypomniało mu się tropienie jelenia z dzieciństwa, kiedy to jako chłopiec skradał się przez porośnięte młodymi drzewkami połacie wypalonego lasu u podnóża wzgórz Sierra. Teraz miał mokre nie tylko kolana, ale także łokcie. Pełznąć, myślał o mlecznej farmie pod Porterville, gdzie dorastał, pracując u boku ojca dzień po dniu, stopniowo nabierając krzepy, która przydawała się na boisku. Trener był jednak wyjątkowym dupkiem, więc Sess rzucił sport, zanim na dobre zaczął, rzucił też studia, bo nie mógł sobie wyobrazić siebie tkwiącego za biurkiem. Każdą wolną chwilę spędzał na włóczędze, polowaniu, wędkowaniu. Był w tym dobry, był też dobry w kryciu się, gdy nie chciał zostać dostrzeżony.

Kiedy zbliżył się na pięćdziesiąt jardów, usadowił się w kępie wysokich krzaków żurawiny i podniósł lornetkę do oczu. Nie odczuwał już upokorzenia. Nie czuł się wcale jak beznadziejny, chory z miłości, niemęski, nędzny podglądacz. Nie on. Nie, on czuł się bardziej jak... komandos. To było to. Komandos, któremu powierzono ważną tajną misję istotną dla losów całego kraju, nie wspominając już o starannie zagospodarowanym splachetku ziemi u ujścia rzeki Thirtymile.

Jedynym problemem było to, że dom świecił pustką. W każdym razie tak się wydawało na pierwszy rzut oka. Z miejsca, które wybrał, mógł zajrzeć do środka przez wychodzące na wschód okno głównej izby i zobaczyć skrawek pustej przestrzeni, a w głębi – okna od południa. Panowała cisza, zakłócana tylko szumem deszczu. Uwiązane na łańcuchach psy kuliły się w głębi miniaturowych domków z bali, zbudowanych zamiast bud przez Howarda. Sess przyjrzał się oknom, potem psim domkom, czarnym, osowiałym pyskom samych psów, wiewiórcę, drozdowi, a potem, z wielką uwagą, wodzie skapującej z dachu w długich, szarych sznurach pojedynczych kropli.

Gdzie mogli być? Nie było widać dymu ani z rury pieca kuchennego, ani z głównego komina, nie odnotował też żadnego ruchu ani dźwięku. Nieopodal szarpała się na cumie łódź Howarda, zobaczył też jego wodolot. Czyżby poszli się przejść? Spali? W łóżku? To była możliwość, której wolał nie roztrząsać – aż skręcał się wewnątrz, kiedy to sobie wyobraził – ale też była to możliwość, która w miarę upływu czasu przeobrażała się w pewnik. Byli w łóżku. Pieprzyli się. Oto co robili. Pieprzyli się, a ona go okłamała, bo to Howard Walpole był cały czas tym wybranym, gdyż Howard Walpole miał pieniądze i był godny zaufania, a on, Sess Harder, nie, i teraz, właśnie teraz, kiedy drżący i przemoknięty przycupnął tu w zaroślach niczym jakiś młokos ze złamanym sercem, Howard wypróbowywał swą nową zabawkę, swoją przytulankę, swoją słodką bułeczkę. Czy to nie tak nazywali je w starych bluesach – *jelly rolls*?

Nagle ogarnęła go wściekłość. Wściec się – tylko tyle mógł zrobić, żeby powstrzymać się od wtargnięcia do domu, powybijania szyb, zmasakrowania psów, kiedy ogłupiałe wyskoczą z wyciem ze swoich domków, porąbania na kawałki Howarda Walpole'a w jego brudnych gaciach i przydeptanych kapciach. Jakim cudem w ogóle wdepnął w to bagno? Co sobie wyobrażał? Kobieta – ładna kobieta, fantastyczna, o silnych rękach i jeszcze mocniejszym grzbiecie – ogłasza, że poszukuje męża! Cóż to za świat? I jak on, Sess, mógł kiedykolwiek oczekiwać po tym świecie czegoś innego niż zawodu i upokorzenia?

Staął wyprostowany, w całej swej okazałości – niech cholera weźmie podstępny i podchody – i postanowił, że pójdzie do tej chaty, będzie walił w drzwi, aż mu otworzą, i zażąda od niej odpowiedzi i to natychmiastowej: „No więc ja czy on? Ja czy on?”. Kiedy jednak wynurzył się z zarośli, zwrócił jego uwagę ledwie dostrzegalny cień ruchu w oknie frontowego pokoju. Zanim zdołał pomyśleć lub zadziałać, psy zaczęły się miotać na swoich łańcuchach i z pianą na pyskach kłapać zębami, szczekać i wyć w popłochu. Czyżby zobaczył twarz w oknie? Czy to była ona? A może Howard? Opadł na ręce w rzadkie błocko i zaczął się wycofywać niezdarnie, w szalonym pośpiechu. W tej samej chwili usłyszał skrzyp otwierających się z impetem drzwi na zardzewiałych zawiasach i silny jak dzwon głos Howarda:

– Kto tam?

– To pewnie łós – odezwała się z głębi domu Pamela.

– A nie mówiłem ci? Nie mówiłem? – odpowiedział Howard i Sess mógł się tylko domyślać, do czego nawiązuje.

Dwa dni później, punktualnie o dwunastej w południe, płaskodenna łódź Howarda Walpole’a okrążyła żwirową łacchę koło plaży w Boynton i wjechała na brzeg na grzbiecie wzbudzonej przez siebie fali. Sess stał w błocie w swoich wysokich butach, zupełnie tak samo jak wcześniej Howard. Nie spał przez cały ten czas. Nie jadł. Był tak zrezygowany, upodlony i tak skacowany jak żebrak na ulicach Kalkuty. Kiedy łódź przybiła ze zgrzytem do brzegu przy wtórce pojedynczego, przenikliwego krzyku mewy, Pamela – w szortach, T-shircie pod bawełnianą marynarką i w kapeluszu z szerokim, miękkim rondem, które zasłaniając jej oczy, nie pozwalało ocenić odległości – wyskoczyła tak lekko i zgrabnie, jakby to powiew wiatru przeniósł ją na brzeg. Sess zwiesił głowę. Wciągnął powietrze.

– No i? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego, tyle mu ofiarowała.

– Muszę teraz wrócić do Anchorage na kilka dni – powiedziała. Za nią ukazał się Howard; ciągnął cumę, żeby przywiązać ją do jakiegoś głazu lub pnia drzewa.

Sess spojrział na Pamelę.

– Po co?

Stała przed nim i nawet na sekundę nie odwróciła wzroku.

– Po co? Po moją suknię ślubną, a co myślałeś? I po moją siostrę, która będzie moją jedyną druhną, i po mamę – musi przylecieć z Arizony. Zawsze chciałam wziąć ślub w czerwcu.

Wciąż nic. Wciąż do niego nie docierało. Chwiał się na wietrze, zupełnie bez czucia, jak wypatroszony łośos suszący się na ramie.

Upłynęła dłuższa chwila, chyba najdłuższa w jego życiu. A potem ona zapytała: – Co powiesz na dwudziestego pierwszego, Sess? Pasowałoby ci?

Pris przywiozła tort aż z Anchorage, na tylnym siedzeniu swojego kombi, i był to tort, jakiego Boynton nie widziało nigdy, a w każdym razie od czasu gorączki złota, kiedy to rozmaite szaleństwa były na porządku dziennym. Tort miał pięć piętér z różowych i białych warstw kremu, lukier na wierzchu, delikatne jak puch ciasto w środku, a na szczycie plastikowe figurynki panny młodej w welonie i brodatego trapera w kraciastej koszuli. Matka Pameli przyleciała awionetką, która wylądowała o trzy kroki od lotniska w Fairbanks, przy fatalnej pogodzie, ale uśmiech, którym obdarzała wszystkich dokoła, nawet najbardziej zdziwaczałych mieszkańców lasu i Indian, jaśniał jak drugie słońce. Wydawało się, że i sama Pamela, która zainstalowała się z Pris w izbie na tyłach chaty Richarda Schradera, żeby tam wykonać makijaż i przebrać się w białą atlasową suknię z brukselskimi koronkami, którą miała na sobie jej matka przy podobnie doniosłej okazji, dwa tygodnie po ataku Japończyków na Pearl Harbor, też nie może ani nie chce przestać się uśmiechać.

– Daj cuga – powiedziała, unieruchomiona przed lustrem, i wskazała na odbity w nim błąd sztyfcik papierosa, przyklejonego do dolnej wargi siostry.

– Co? – zapytała Pris, która tapirowała jej włosy szylkretowym grzebieniem, unosząc w górę nagie ramiona.

– Cuga. Daj mi papierosa.

– Tobie? Przecież ty nie palisz.

Pam uśmiechnęła się do odbicia siostry w lustrze; czuła się tak, jakby znów miała dziesięć lat.

– Dziś zapalę. Dziś spróbuję wszystkiego.



Potem wszyscy zebrali się na podwórzu, które łączyło chatę Richarda z szopą Sessa. Większość szmelcu, jaki się tu poniewierał – zużyte opony, zardzewiałe części różnych maszyn, połamane poroża, skrzynki, puszki po oleju opałowym, butelki po wódce, sieci, kadzie, siła, wrak skutera śnieżnego, pogieęte blaszane łodzie – wyniesiono już wcześniej i zrzucano na stos za domem, żeby nie było widać. Sess miał na sobie pożyczoną specjalnie na tę okazję marynarkę w jodełkę i krawat wąski jak tasiemka. Co prawda biel jego koszuli mogłaby być bielsza, a rękawy marynarki dłuższe, ale to nie pokaz mody i było raczej pewne, że fotoreporterzy z „Vogue’a” zostali w to przyjemne, słoneczne popołudnie w domu. Panna młoda i jej siostra wypily razem prawie całą butelkę likieru miętowego i wypaliły sześć papierosów, więc Pamela nie odczuwała przykrości, kiedy schodząc po wysmaganych wiatrem i wymytych deszczem stopniach na tyłach chaty Richarda Schradera, uświadomiła sobie, że miejsce, w którym powinien czekać na nią ojciec obieżyświat, jest puste.

Ponieważ nie było nikogo, kto poprowadziłby pannę młodą, Sess poprosił Tima Yule'a, najstarszego mężczyznę w mieście, by podjął się tej roli. Tim ujął Pamelę pod ramię i ruszyli przez podwórze przy dźwiękach melodii *Oto idzie panna młoda*, wykonywanej na organkach przez Skida Dentona. Błaszana, astmatyczna i bezbarwna muzyczka wtopiła się w tkanę dnia, narzucając rytm łagodnie kołyszącym się drzewom. Od Tima wionęło burbonem i płynem po goleniu, a jego buty lśniły, pokryte czarną pastą. Zgarbiony, siwowłosy, z kapką u nosa i policzkami płonącymi od alkoholu, prowadził Pamelę tak statecznie, że praktycznie było to raczej pełzanie. Przez tłum przeszedł szmer. Wszystkie jej zmysły były pobudzone. Nie czuła się onieśmielona, zdenerwowana ani smutna, przeciwnie, wprost rozpiekał ją entuzjazm – była ożywiona, gotowa do stawienia życiu czoła. Czekwała na tę chwilę dwadzieścia siedem lat i teraz nie było już odwrotu.

Dym z grilla snuł się po podwórzu. Wszystkie psy w mieście wyły, szarpiąc się na łańcuchach, sprowokowane cierpkim, jednostajnym i chrypliwym dźwiękiem organek i rozdrażnione unosząc się w powietrzu wonią mięsa łosia i karibu, łosiosia z rusztu, befsztyków i polanych sosem barbecue kiełbasek. Sess, jakby odrealniony w świetle słońca odbitym od rzeki, stał w głębi podwórza, czekając na pannę młodą z Richardem Schraderem, swoim drużbą, u boku. Na lewo od niego stała zapłakana matka Pamelii, trzymając się Pris tak kurczowo, jakby usiłowała się wydostać z wciągających ją ruchomych piasków.

Wetzel Setzler, właściciel baru Three Pup i domu towarowego, naczelnik poczty, burmistrz, przedsiębiorca pogrzebowy i miejscowy przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej Prudential Life, pełnił funkcję mistrza ceremonii. Trzy czwarte mieszkańców Boynton stało wśród zielska i kwiatów polnych, ściskając w dłoniach butelki z piwem i plastikowe kubki z burbonem, i przypatrywało się, jak Pam składa przysięgę małżeńską. Czubki jej białych szpilek pokrywało błoto, tworząc deseń, który przypominał lilie burbońskie. Zobaczyła daleko w tłumie Richiego Oliyera, pod rękę z kobietą o pospolitej twarzy, ubraną w czerwoną koszulę i w džinsy. Był też Howard Walpole. To wszystko fajni ludzie, naprawdę fajni, choć może obesłoby się bez Howarda. Organki umilkły i zapadła cisza. Ucichły nawet psy. Słyszała, jak rzeka toczy wartko swe wody po progach i głębinach. Czy bierzesz tego mężczyznę za męża? Tak, powiedziała. Tak.

Potem zapanowała wesołość, ta nieokiełznana, spontaniczna, rozhuśtana, nieposkromiona wesołość, jaka może się zrodzić tylko w takim miasteczku wśród lasów, tkwiącym głęboko w koleinach tradycji. Ktoś wyciągnął gitarę, ktoś inny skrzypki. Pojawiło się banjo. Tarka. Zaczęły się tańce, picie i jedzenie, ubywało kolejnych warstw tortu, aż wreszcie znikł cały w bladym rumowisku połamanego lukru i okrucichów, befsztyki i żeberka zamieniały się w poobgryzane kostki, duch ulatywał z opróżnionych butelek. Stała obok Sessa, obejmując go jedną ręką wpół, i piła schłodzonego w rzece szampana z plastikowego kubka, podchodzili do niej nieznanymi jej ludziami i coś tam mówili, ona zaś dziękowała za prezenty – wędzoną nelmę, nasiona nasturcji, oścień, olej silnikowy, a także bardziej praktyczne podarki jak pięćdziesięciofuntowy worek mąki kukurydzianej czy niezwykle skąpą koszulkę nocną.

– Wiem, Sess, że nie jesteś typem domatora – mówiła jej matka. – Zupełnie jak mój Victor, ale to chyba nie oznacza, że musisz całymi dniami włóczyć się po lasach, kiedy moja córka będzie leżeć samotna i nieszczęśliwa w tej małej chatce, co? Bo bardzo się tym martwię.

– Mnie też to martwi – odparł Sess z uśmiechem. – Ale może się pani nie obawiać o córkę, pani... – Chciał dodać imię jej matki, żeby jakoś zwięźcić tę drobną deklarację, ale Pamela widziała, że zupełnie nie miał pojęcia, jak ją nazwać – czy przeszłoby po prostu „mamo”, czy też powinien ratować się „Mariettą” lub „panią McCoon” albo po prostu odchrząknąć.

To małe zająknięcie było urocze. Rozczulające. A ona, Pamela, stała przy nim, oddana mu sercem i duszą. Przyciskał ją do boku ramieniem, jak książkę, której jeszcze nie przeczytał, ale miał szczerzy zamiar zrobić to jak najszybciej. Uśmiech nie zniknął jej z twarzy od rana, od chwili, kiedy się przebudziła.

– Moja żona będzie miała mnóstwo zajęć – ciągnął Sess, a w jego głosie pojawił się szelmowski ton. – A któż by skórował upolowane zwierzęta, wyprawiał skóry, dźwigał z rzeki lód na wodę, piłował drzewo na opał, szył, cerował, karmił psy – nie mówiąc już o mnie? Czy nie od tego są żony?

Matka Pameli piła od trzech godzin wódkę. Słońce świeciło jej bezlitośnie w twarz, pastwiło się okrutnie nad fałdkami skóry, którą chirurg z Tempe naciągnął na policzkach i wokół oczu. Parsknęła śmiechem, ujęła Sessa pod drugie, wolne ramię i przytuliła się do niego.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie... – zaczęła i zawiesiła głos dla wzmocnienia efektu – to kobieta musi być dobra, naprawdę dobra w jednym...

Sess zarumienił się, ona zaś, bardzo z siebie zadowolona, ciągnęła:

– I nie sądzę, żebym musiała takiemu dorosłemu mężczyźnie jak ty mówić, co mam na myśli, co, Sess?

W tej właśnie chwili Pris, która tańczyła w środku rozbawionego tłumu, wydała z siebie głośny okrzyk. Wszyscy troje odwrócili głowy i zobaczyli, że trzyma ją w uścisku jakieś dzikie oszalałe monstrum, jakiś podskakujący, miotający się na wszystkie strony, zamazany kształt, coś, co wyglądało jak niedźwiedź dobierający się jej do gardła, ale niedźwiedziem nie było. Pamela potrzebowała minuty, by zrozumieć, co się dzieje, bo była tu nowa i zaabsorbowana swoimi sprawami. Na wesele wtargnął Joe Bosky. Ubrany w starą, wypłowiałą wojskową koszulę i dzinsy, które stały się jego drugą skórą, rzucał nogami jak chory na płaswicę. Pochylony nad Pris, usiłował wprawić ją w ruch wirowy, szarpiąc prawą ręką, która pracowała jak ubijak do piany. Pris zaś, piękna w sukni z liliowego atlasu, z wysoko upiętymi włosami, nie miała pojęcia, kim jest Joe, co mogło nim kierować, nie wiedziała też, że to jedyny mieszkaniec miasteczka i okolicy, który jest gościem niepożądanym. I to zdecydowanie niepożądanym. Absolutnie niepożądanym. Twarz Pris miała obłądny, aż nadto dobrze znany Pameli „papierosowo-wódczany” wyraz, który mówił, że zabawa dopiero się zaczyna i że teraz nic jej nie zakłóci. Joe Bosky przycisnął ją do siebie, obrócił nią, potem znów przyciągnął brutalnie. „Ji-ha!” – wrzasnął i odpowiedział mu zdyszany pisk, który przebił się przez głośną muzykę niczym zaśpiew godowy jakiegoś egzotycznego ptaka.

Pamela poczuła, że Sess sztywnieje.

– Wygląda na to, że moja młodsza też ma powódzenie – powiedziała jej matka. – Ale nie podoba mi się to jej uczesanie. A tobie się podoba, Pamela?

Nie odpowiedziała. Trzymała pod rękę męża – mojego męża, myślała, to jest ramię mojego męża – i nie puszczała, nieustępliwa jak łańcuch, bo na jej weselu nie mogło być aktów przemocy, nie tego dnia.

– Sess – powiedziała ostrzegawczo. – Sess. – Nagle przywarła do niego i oplótła go ramionami. – Chcę zatańczyć, Sess. Chodź, zatańczymy.

Ale w tym momencie ktoś pchnął ją od tyłu i jakiś mężczyzna, którego nie rozpoznała – rybacki kapelusz z orlim piórem zatkniętym za wstążkę, wystrzępiona niebieska koszula, broda, drożdżowy oddech, włosy sterczące z uszu – zamknął ich oboje w tytanicznym uścisku i przez chwilę stał tak, kołysząc nimi rytmicznie.

– Sess – ryknął jej prosto do ucha. – Pamela! Moje gratulacje! Szczęścia i pomyślności. Itepe, itede!

– Ogden – powiedział Sess i Pamela poczuła, że próbuje się wyswobodzić, żeby wkroczyć do akcji.

W powietrzu unosił się zapach krwi. Pris krzyknęła znowu. Ogden uścisnął ich mocniej i Pamela zrozumiała.

– Zajmiemy się tym – powiedział głosem chrapliwym jak zgrzyt łodzi szorującej po piachu – ja, Richard i Żelazny Steve. Spokojnie. – Po czym puścił ich i zaczął się przepychać przez tłum tańczących, kierując się w stronę Pris i Joego.

Pamela zobaczyła, że zbliża się do nich także wysoki mężczyzna z wielką głową, a z drugiej strony podchodzi z ponurą miną Richard Schrader.

– Sukinsyn – warknął Sess. Nie wypuszczała go z objęć. – Pieprzony sukinsyn.

– Co się tu... – zaczęła matka, uśmiechając się niepewnie.

– Masz bardzo żywiolowych przyjaciół, Sess, myślałam, że was zmiażdży...

Joe Bosky nie zwracał na nic uwagi, a w każdym razie starał się sprawiać takie wrażenie. Nie mogła mu się nie przyglądać, nie mogła oderwać od niego oczu, kiedy obracał Pris i rzucał nią na wszystkie strony, zupełnie jakby był jednym z idoli nastolatek z programu telewizyjnego „American Bandstand” – stylowy, dynamiczny, oczy wytrzeszczone, biodra pracują. No i Pris. Rozpromieniła się cała – to był mężczyzna, jakiego szukała, jego zwierzęcość tak dalece wykraczała ponad przeciętną, że wydawała się nieposkromiona. Na każdy jego ruch odpowiadała dwoma, suknią podjechała jej w górę, włosy rozsypały się i opadły na ramiona. I wszystko dla zabawy. Dla dobrej zabawy. Tyle że ten człowiek był wrogiem Sessa i przyszedł tu bez wątplenia po to, żeby zepsuć ten wyjątkowy dzień.

Wysoki mężczyzna z dużą głową – Żelazny Steve, jak się domyśliła – schwycił Bosky’ego pod pachy i wyrwał go z objęć Pris, a Richard i Ogden Stump rzucili się na niego z obu stron jale napastnicy na boisku futbolowym. Widziała, jak Joe zamiera na chwilę, zaskoczony, widziała zawieszoną w powietrzu rękę Pris i jej przytomniejącą twarz. I nagle Joe eksplodował. Miała wrażenie, że rzucił się w czterech kierunkach naraz, wrzeszcząc wysokim głosem, zupełnie jak kobieta – w tym wrzasku rozbrzmiewała tylko udawana brawura i nienawiść. Po chwili cała czwórka tarzała się w zielsku i w błocie w swoich najlepszych ubraniach, tłum rozstępował się przed nimi, a muzycy umilkli, nie kończąc refrenu piosenki Hanka Williama *Cold, Cold Heart*.

W ciągu dwóch minut było po wszystkim; czarnowłosy Joe Bosky został obezwładniony, skrępowany ich ramionami, łokieć Żelaznego Steve'a wbijał mu się w grdykę. Ośmionogi twór pomaszerował na skraj podwórza, nastąpiła wymiana miotanych wściekle przez obie strony nieodzownych gróźb, grajkowie podjęli przerwany refren. Sess miał wzrok zimny jak wzrok zabójcy.

– O Boże, Sess – powiedziała matka. – Ależ ty masz porywczych przyjaciół. Chyba za dużo wypili. – Potem dodała ze śmiechem: – A może to Pris tak go wykończyła. Takie są te moje córeczki.

W tym momencie zjawiała się Pris, zarumieniona, zachlapana błockiem, z włosami w nieładzie. Cały rąbek jej sukni był aż sztywny od błota.

– O co im poszło? – zapytała, wyciągając papierosa z torebki. – Dopiero zaczęłam się rozgrzewać. A swoją drogą, kto to był ten facet? Uciekł z domu wariatów czy co? Choć nawet mi się podobał. To znaczy ten jego wigor.

Sess nie odzywał się słowem. Siostra i matka Pameli patrzyły na niego, ale on stał jak wrośnięty w ziemię, sztywny jak słup.

– Już dobrze – powtarzała Pamela. – Nie można pozwolić, żeby coś takiego popsulo nam dzień. Wszystko jest w porządku...

Ale nie było. Sess nie mógł się rozluźnić, nie mógł zapomnieć. Tańczyli, pili szampana, odbierali gratulacje i życzenia, dziękowali za nie, ludzie podchodzili do nich, rozbawieni i pełni dobrej woli, ale po wizycie Joego nie było już tak samo. To był dzień, to była noc jej ślubu, a mąż pozostawał nieobecny i nieprzenikniony niczym jakiś kosmita z jednego z oglądanych przez nią w dzieciństwie tandetnych filmów. „Obudź się, Sess – chciała powiedzieć. – Ocknij się i otrząśnij, twoja żona jest tutaj”.



Gdzieś około dziesiątej zabawa zaczęła przygasać, ludzie wychodzili parami, udając się do Nugatu i baru Three Pup, niektórzy padali, nieprzytomni, na kamienistym brzegu rzeki. Tim Yule siedział na odwróconym do góry dnem wiadrze i mieszając sękatym palcem żytniówkę w plastikowym kubku, prowadził półgłosem rozmowę z samym sobą. Howard Walpole i Richie Oliver odpłynęli już dawno, oklapnięci, zrezygnowani, ogarnięci wzajemnym współczuciem. Matka Pameli siedziała z tyłu w samochodzie Pris – „Muszę się tylko chwilkę zdrzemnąć, nie przejmujcie się mną” – a sama Pris zabawiała rozmową trzech pijanych dzikusów z lasu, którzy daliby się obedrzeć ze skóry, żeby móc jej choćby dotknąć. Orkiestra uległa redukcji do samotnych skrzypiec, które piłowały melancholijnie, co zdradzało klasyczne wykształcenie muzyka. Nadeszła pora. Pamela ścisnęła rękę męża; czuła, że krew zaczyna jej żywiej krążyć w żyłach.

– Sess – powiedziała, a jej głos niczym echo wtórował dziwnie dźwiękom skrzypiec, wygrywających najsmutniejszy utwór, jaki słyszała w życiu – i cóż to mogło być, Borodin? Szostakowicz? W każdym razie coś w tym rodzaju. – Sess – powtórzyła – nie sądzisz, że to pora, aby młoda para udała się...

– Do łóżka?

Stali na werandzie na tyłach domu, z którego Richard Schrader wyprowadził się wielkodusznie na tę noc. Komary ciągnęły ku ich twarzom, odbijały się miękko od warg i rzęs. Pamela przebrała się w dżinsy i sweter z kapturem, ale pod spodem miała bieliznę, którą z Pris wybrała w Anchorage, ozdobione koronką ałasowe majteczki i stanik, który przylegał do piersi jak dłoń mężczyzny. Nachyliła się do Sessa i pocałowali się lekko i słodko, a cała wściekłość opadła z niego, ustąpiło odrętwienie, ona zaś powiedziała cicho:

– Tak, do łóżka.

Dotarło do nich monotonne buczenie silnika, w górę rzeki pruća w ukośnych promieniach nocnego słońca motorówka. Warkot zbliżył się, za rufą łodzi ciągnęła się połyskująca smuga spienionej wody. Przy sterze siedział Joe Bosky, widać było jego czarną głowę i brodatą twarz. Wracał, by zadać ostateczny cios. Sess zszedł z werandy w chwili, gdy dziób łodzi wyskoczył z wartkiego nurtu rzeki i przechylona motorówka śmignęła ku brzegowi.

– Hej, Sess, pierdolę cię! – ryknął Bosky, przekrzykując warkot silnika i tańcząc na przepustnicy. – Pierdolę cię i twoją psią mordę, kobitę też! – Potem dziób cofnął się, łódź pomknęła po wodzie i znikła.

Richard zostawił im dwie świece o zapachu wanilii; stały po obu stronach łóżka, zwężające się ku górze, blade słupki o fallicznych kształtach, wyrastające z odpowiednio dobranych podstawek, które wymodelowała z gliny i wypaliła jego była żona. Chata miała cztery izby, z których dwie Richard zamykał na zimę, a w wyposażeniu był zlew kuchenny z ręczną pompą i łazienka ze splukiwaną toaletą, która na ogół działała, przynajmniej wtedy kiedy było ciepło. Jak w większości tutejszych chat i domów o konstrukcji szkieletowej względy estetyczne ustąpiły praktycznym i wszystkie cztery pomieszczenia były wyłożone od podłogi do sufitu rozprostowanymi kartonowymi pudłami – po groszku Birds Eye, piwie Rainier Pale, papierze toaletowym Charming Toilet – aby w porze najsroźszej zimy stworzyć ostatnią zapórę dla wyjących wichrów z polarnych pustkowi. Sypialnia przypominała mansardę, wchodziło się do niej z głównej izby po czterech stopniach. W środku stał luksusowy piec Ashleya, którego zakupienie wymogła była małżonka Richarda. Ale dziś nie potrzebowano palić w piecu. W sypialni było tak ciepło jak w kabinie plażowej na Bahamach.

Pamela siedziała na łóżku i rozczesywała włosy. Wcześniej zapaliła świece i odstawiła na bok plastikowy kubek z szampanem – pozostawał po nim w gardle sacharynowy smak, więc nie miała już ochoty pić. W chacie panowała cisza. Na zewnątrz wciąż świeciło słońce. Słyszała własny oddech, szum i pulsowanie krwi krążącej w żyłach. Po chwili wstała i zaciągnęła zasłony w wąskich jak szpary oknach.

Sess zmagał się z czymś w głównej izbie, mięśnie barków miał tak napięte i sztywne, że wyglądało to, jakby doznał kontuzji karku. Coś zabrzęczało i upadło na podłogę. Starał się opanować, widziała to wyraźnie, ale Joe Bosky zatrzał mu ten dzień, tę chwilę i nadchodzącą noc i nie wiedziała, co mówić ani jak rozładować napięcie. W torebce miała książkę, którą podarowała jej matka – *Poradnik panny młodej. Sto pytań i odpowiedzi na noc poślubną*, ale na ponad trzystu stronach nie znalazła niczego, co odnosiłoby się do aktualnej sytuacji. Jej mąż nie był teraz w nastroju do czułości. Stał o kilka kroków od niej, odwrócony tyłem, ale równie dobrze mógłby być na innej planecie. Rozległ się głuchy łoskot, znów coś spadło na podłogę.

Podniosła się, stając tam, gdzie mógł ją zobaczyć, gdyby się odwrócił, i ściągnęła bluzę przez głowę. Przeszła przez dzinsy, które opadły jej do kostek. Była teraz w samej bieliźnie, w kupionych u Oswalta za szesnaście dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów jedwabnych majteczkach i dopasowanym staniku, i chciała, żeby ją w nich zobaczył, żeby się podniecił widokiem jej płaskiego brzucha, krągłych bioder i długich wysmukłych nóg. Głos uwiązał jej w gardle.

„Sess – zamierzała powiedzieć – Sess, dlaczego się nie odwrócisz?”, ale nie mogła tego zrobić. Upłynęła dłuższa chwila, jej myśli powędrowały gdzie indziej, przypomniała sobie z dreszczem szkolne czasy, kiedy spotykała się z Garym Mirandą w domu jego rodziców, pod ich nieobecność. Miodopłynne dźwięki muzyki Plattersów i zespołu Ink Spots sączyły się z głośników, przypomniała sobie, jak gorący, mokry i natrętny był język Gary’ego i co wtedy czuła. Wciągnął do ust jej język issał go, jakby to była miętówka albo ciągutka. Czuła się wtedy zagubiona, czuła rosnącą namiętność, ale nigdy nie pozwoliła mu dotknąć swoich piersi ani niczego innego, bo nie wierzyła w te rzeczy. W college’u był petting, wściekle suche tarcie, zdawało się, że chłopcom wyrastają dodatkowe ręce i że miętoszą ją nerwowo jak spanikowani żołnierze – rytm i same ruchy były tak automatyczne jak bicie ich serc. Połowa jej koleżanek szła na całego ze swoimi stałymi chłopakami, nie miały żadnych, najmniejszych zahamowań. Jej majtki były mokre, jakby wpadła do jeziora, tak samo dzinsy czy spódniczki, ale żaden chłopak, nawet Erie Kresten, a spotykała się z nim przez prawie dwa lata, nie skłonił jej nigdy, żeby zdjęła coś więcej oprócz stanika. Miała już dwadzieścia lat, kiedy do jej pokoju przyszedł Fred Stines i rozebrała się dla niego do bielizny, a on głaskał ją po całym ciele, skubał palcami jej sutki jak wygłodniałe szczenię, czuła, jak ulega mu stopniowo coraz bardziej, ale nigdy ostatecznie nie uległa.

Howard Walpole był inny. Trzy spędzone z nim dni stanowiły część jej własnego programu i chociaż wiedziała już, że to Sess będzie tym wybranym, choć wiedziała to, jeszcze zanim wskoczyła do czółna i poczuła za sobą jego ciężar, idealną przeciwwagę dla jej własnego ciężaru, musiała przez to przejść, bo taka już była. Skoro składa się obietnicę, należy jej dotrzymać. Tak to po prostu czuła. Ale Howard – Howard był sztywny jak deska. Kiedy wsiadała do łódki, uściśnął jej dłoń, jakby byli sygnatariuszami jakiegoś ważnego rozejmu między dwiema walczącymi stronami. Nie pomyślał o tym, żeby chociaż cmoknąć ją w policzek czy objąć ramieniem i serdecznie uściśnąć. Po prostu podał jej rękę, odczekał minutę, żeby dopiec Sessowi, po czym zapuścił podwójny silnik i odpłynął.

Dzień był wtedy zimny, wodę pstrzyły strzępki piany, wiatr zaciął mokrymi bryzgami w twarz. Siedziała z przodu, Howard Walpole na rufie. Kadłub z włókna szklanego trzaskał raz za razem w wodę, chlap, chlap, chlap, a warkot silników sprawiał, że rozmowa była prawdziwą męką. Myślała, o ile przyjemniejsze jest kanoe, jego tempo, powolne i ciche pokonywanie przestrzeni, bez zakłócania spokoju dnia i rzeki, straszenia ptaków szybujących nad głowami i płochliwych zwierząt. „Piękna łódź”, zawołała przez ramię, tylko przez grzeczność, żeby cokolwiek powiedzieć, a Howard, z policzkiem wypchanym prymką tytoniu, w poplamionej czapce naciągniętej głęboko na oczy, by nie zerwał jej wiatr, tak że jego głowa wyglądała, jakby została specjalnie zmniejszona, żeby ją dopasować, tylko skinął potakująco. Podróż trwała godzinę. Nie odezwała się już do końca ani słowem, podobnie zresztą jak on.

Kiedy jednak dotarli na miejsce, kiedy dziób łodzi werznął się w piasek pod jego domem i psy wyszczekały swoje zająkliwe i zawile powitanie, Howard wygłosił całą długą, przygotowaną wcześniej przemowę. Było to w równym stopniu zwierzenie, ożywiona paplanina i autoklamera; mówiąc, ani razu nie spojrzał jej w twarz, choć mówił w ciągu tych trzech dni i dwóch nocy, jakie spędziła w jego towarzystwie, niemal bez przerwy. Opowiadał jej o swojej łodzi, o awionetce i domu, o swoich złotonośnych działkach i o tym, jak do rynny odsiewającej wkłada skórę łosia, żeby na sierści osiadały najmniejsze drobinki złota, pokazał jej słój po majonezie ze złotym piaskiem wartym trzydzieści dwa tysiące dolarów, kazał jej go podnieść i śmiał się, patrząc, jak się przy tym wytęża. Przegadał cały obiad, na który składało się mięso czarnego niedźwiedzia duszone z suszonymi jabłkami i śliwkami, wędzony łosoś na przystawkę i smażone ziemniaki, nawijał, aż zaczęła ziewać, siedząc na kanapie, i nawijał, przykrywając ją kocem, aż w końcu zamknęły jej się oczy i zasnęła.

Rano obudził ją gadaniem, mówił o swoich niedomaganiach – czy wiedziała na przykład, że przed dwoma laty złamał nogę w trzech miejscach? – mówił o swoich psach, ich fobiach i upodobaniach żywieniowych każdego z osobna, choć tak naprawdę nie zaprzęgał już psów jak Sess Harder czy inni zacofańcy, bo prawdziwym przebojem był teraz pług śnieżny, chyba się z nim zgodzi? Przy śniadaniu tematem była matka mieszkająca w Minneapolis, jego samochody, podłość i skandaliczna niewierność jego byłej żony Irene, kwestia ubezpieczenia – dwa lata jego życia poszły w kubeł przez intrygę jakiegoś naciągacza, no bo czyż spotkała w życiu kogoś, kto wykupiłby ubezpieczenie terminowe i liczył na swoją śmierć? Wygłosił całą długą, godzinną tyradę przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych i grabieży ziemi, jakiej zamierzały się dopuścić władze wobec wszystkich mieszkańców Alaski w związku z odkryciem terenów roponośnych w okolicach zatoki Prudhoe.



Był nudziarzem. Nadętym, ciemnym, obstającym przy swoim zdaniu, szurniętym nudziarzem o niespożytej energii i pojemności płuc jucznego konia. Do tego wszystkiego teraz, kiedy mogła mu się bliżej przyjrzeć, stwierdziła, że jest też nieatrakcyjny ze swoimi wyłupiastymi przekrwionymi oczami, rzadkimi włosami sterczącymi spod czapki i z rękami, które wyglądały jak dwa połcie gotowanego mięsa. Ale pogodziła się z tym, pogodziła się z trzema dniami i dwiema nocami nudy, i już w drugiej godzinie pierwszego dnia zaczęła na wszystko patrzeć jak na rodzaj oczyszczającego rytuału, umartwienie ciała i duszy, aby stać się wartą Sessa Hardera, który jawił się jej teraz jak pełna blasku obietnica. Jadła to, czym częstował ją Howard Walpole. Patrzyła na jego psy, jego pług śnieżny, wodolot, łódź, jego spizarnię i wędzarnię. Odpowiadała, kiedy przerywał swój monolog, żeby zadać jej retoryczne pytanie, i broniła się przed jego awansami. „Seks – powiedział po kolacji pierwszego dnia, choć o ile dobrze pamiętała, do tego momentu rozmawiali o silnikach dwusuwowych. – Lubisz seks? Bo ja lubię. I tego mi tu najbardziej brakuje, właśnie tego, seksu. – Przerwał na chwilę i powiódł po ścianach rozbieganymi oczami. – Bo ja jestem, rozumiesz, bardzo sek-su-alny”.

Ostatniego dnia, w niespełna godzinę przed zaplanowanym powrotem do miasteczka, gdzie miała podjąć od nowa życie, pojawił się w drzwiach dużego pokoju, w którym zagłębiona w fotelu już po raz drugi przeglądała stary numer pisma „Argosy”, rozkoszując się krótkim wytchnieniem od jego gadaniny. „Pamela – powiedział gardłowo i z przydechem. – Pamela, spójrz na mnie”. – Podniosła wzrok i zobaczyła, że jest nagi, ma na sobie tylko skarpetki i zatłuszczoną czapkę. Miał erekcję i ciągnął za swój członek jak farmer miętoszający długie, usiane plamkami wymię krowy. Upłynęła minuta, nim wywołany tym widokiem szok spłynął w dół, gdzieś do nóg.

Wtedy zerwała się z fotela i sięgnęła po pogrzebacz. Powiedziała tylko: „Schowaj to” i w następnej sekundzie Howard wyniósł się chyłkiem, a bulwa w jego zaciśniętej dłoni eksplodowała woskowatym połyskliwym płynem, który wydusił z siebie tak, jakby to były resztki złota wyciśnięte z dawno porzuconej działki.

I dlaczego myślała o tym teraz? Bo teraz była właściwa chwila, teraz nadeszła pora. Była mężatką, mężczyzna z zeszywniałym karkiem majstrujący przy czymś w drugim pokoju był jej mężem i mogła dawać upust swym najbardziej szalonym fantazjom, robić wszystko, czego zapragnęła – głaskać go, ssać – bez poczucia, że to coś plugawego. To była jej noc poślubna. Koniec tych wszystkich zdyszanych godzin, koniec rygoru samokontroli, silniejszej niż wszelkie pożądanie.

– Sess – powiedziała, odpinając stanik i rzucając go też na podłogę.  
– Sess, spójrz na mnie.

Odwrócił się, jej mąż, trzymał w palcach to, z czym tak się zmagał, kawałek błyszczącej folii, wiotkiego, podobnego do skóry tworzywa.

– Ja tylko... – zaczął, a ona wpatrywała się w jego twarz i oczy, kiedy narastało w nim podniecenie tym nowym widokiem, widokiem żony, która stała przed nim, nie mając na sobie nic oprócz najcieńszego, perłowego i zwiewnego kawałka jedwabiu od Oswalta. – Nie mogłem... to znaczy wyjmowałem to z opakowania i rozdarłem...

Omiał nie parsknęła śmiechem.

– Nie będziesz tego potrzebował – powiedziała, otwierając szeroko ramiona. – Już nigdy nie będziesz tego potrzebował. Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Jestem twoją żoną.

Wstali oboje wcześniej, bagaż był już spakowany, łódź załadowana po brzegi prezentami ślubnymi, zjedli, co było pod ręką (Sess kanapkę z szynką, serem i ozorem karibu, zrobioną z połowy bagietki, którą przywiozła jej siostra z Anchorage, ona talerz sałatki z fasolą, marynowane karczochy, sałatę lodową i dużą porcję sałatki ziemniaczanej). W nocy nie spała, lecz raczej przysypiała, budząc się co chwilę; przypominało to bardziej półsen niż sen prawdziwy i głęboki. Nie mogła się powstrzymać przed wyciągnięciem rąk do niego, głaskaniem jego ramienia czy błędzeniem po tajemniczej topografii jego barku. Była odkrywczą, poznawała ukształtowanie terenu, tworzyła go na nowo, wciąż na nowo.

Kochali się dwukrotnie za sprawą niestrudzonego miedzianego słońca, które nie chciało zejść w dniu jej ślubu, opromieniało kontury cieni i złociło łóżko, jakby istniało tylko dla nich – i Sess nie przypominał w niczym ani Freda Stinesa, ani Erica Krestena, ani tych napalonych przejętych chłopaków z college’u, dla których akt miłosny był czymś całkowicie mechanicznym, rodzajem gimnastyki, jak przysiady czy pompki. Nie. Sess był cierpliwy. Czuły. Wdzięczny. Sprawił, że poczuła się czymś więcej niż obiektem pożądania, poczuła się tak, jakby była ośrodkiem wszechświata. Przyglądała mu się śpiącemu, kiedy słońce schowało się za wzgórzami i cienie poszarzały wraz z nadejściem zmierzchu, który chciał być nocą, a potem, kiedy pokazało się znów, obudziła go i kochali się od nowa.

Ale teraz była siódma rano, posprzątali więc, pościelili łóżko, schowali to, co pozostało z jedzenia, do lodówki Richarda i trzymając się za ręce, zeszli do łodzi. Drzewa były skąpane w słońcu, rzeka zamieniła się w jeden wielki kocioł światła. Swarzyły się ptaki. Para gęsi wystrzeliła w górę z wody, Sess pokazał jej czarną najeżoną plamę ursona tkwiącą na gałęzi brzozy. Potem zaczęli wiosłować w swobodnym i zgodnym, jak przystało na męża i żonę, rytmie – jak gdyby zawsze tworzyli zgrany zespół.

Wszystko było dla niej nowe, każdy listek, każdy zakręt rzeki, woda, która ustępowała pod naporem wiosła, by natychmiast wygładzić się z powrotem. Pamelę przepęłniało szczęście. Była lżejsza od powietrza. Rozmawiali po cichu, ich łagodne niespieszne głosy niesły się nad wodą; mówili o rzeczach praktycznych, o zbudowaniu specjalnej pułapki na ryby, powiększeniu chaty, zbudowaniu szklarni na pomidory, o sianiu cynii, nagietków, bratków i lwich paszcz. I o psach.

– Pierwsza rzecz, jakiej cię nauczę, to kierowanie psim zaprzęgiem – powiedział. – Tak żebyś mogła ze mną sprawdzać sidła, zostać moją partnerką. Bo przecież zawsze chciałaś nią być, prawda? Od samego początku?

W odpowiedzi posłała mu uśmiech przez prawe ramię, nie przerywając wiosłowania. Oczywiście, że była jego partnerką – wybrała przecież jego. Czy nie na tym właśnie wszystko polegało? Będzie karmić psy, kierować zaprzęgiem, będzie wyprawiać skóry, reperować jego podarte ubrania, karmić go, dbać, by było mu w nocy ciepło, a on z kolei zadba o nią. Tak widziała swoje życie, kiedy wybiegała myślami w przyszłość; było to ustalone i absolutnie pewne. Spienione, mlecznobiałe wody Jukonu ustąpiły wkrótce przejrzystym wodom rzeki Thirtymile, i chata – ich dom – pojawiła się jak ostatnia placówka cywilizacji w świecie, który opowiedział się po stronie natury. Łódź przecięła w poprzek nurt rzeki i chata zaczęła rosnąć w oczach. Otaczała ich cisza. Całkowity spokój.

I wokół bujna roślinność. Chciała odczuć tę ciszę w pełni, roztopić się w niej, ale nagle Sess zaczął gorączkowo pracować wiosłem, wypadając ze zgodnego rytmu. Zmagając się z oporem wody, parł naprzód, jakby rzekę ogarnęły płomienie.

– Psy – powiedział.

I nagle dotarło do niej: nie było słyhać psów. Uwiązane przez dwa dni, pozostawione przez pana bez opieki, powinny były zadrzeć łby i dać wyraz swojemu zniecierpliwieniu i radości. Ale one milczały. Gorzej, leżały w trawie nieruchomo, z łańcuchami zaciśniętymi na szyjach jak pętla. I kiedy Sess i Pamela wyciągnęli łódź na brzeg i popędzili co tchu pod górę, zwłoki już sztywniały i krew krzepła wokół poszarpanych otworów czerniejących tam, gdzie zagłębiły się kule.

## Część trzecia

### Dzień Druida

Jedna pigułka sprawia, że rośniesz, a druga cię pomniejsza. Te zaś, które każe ci łykać matka, nie działają na ciebie w ogóle.

Grace Slick, *White Rabbit*

Star nie miała mantry na ten konkretny poranek, żadne nonsensowne wierszyki ani teksty piosenek nie wpadały jej rykoszetem do głowy, gdy słońce śpiewało swą pieśń w oknie nad zlewem, a trzydzieści dwa świeżo rozbite i roztrzepane jajka puchły na patelni. A raczej na kilku naraz. Na czterech żeliwnych patelniach czarnych jak węgiel – czterech patelniach na czterech palnikach, wszystkich zawodnych. Plakaty pięły się po ścianach, czterech Beatlesów, trzech Youngbloods, pięciu Rolling Stonesów. Bazylia, rozmaryn, estragon, palczatka cytrynowa. Gliniane garnki. Wielki wysyp ziół. Zaczęła kruszyć kozi ser do patelni, rozszedł się intensywny zapach, poszła w ruch szpatułka, mieszanie i przewracanie, przewracanie i mieszanie. Tuż przy łokciu deska do krojenia, tego ranka połyskująca wilgocią, okrawki pomidorów, papryki i cebuli, które kroila razem z Merry, podczas gdy Lydia wyciskała sok z cytryny, a Maya wyciągała z pieca suchary. Na stole czekał wysoki stos blaszanych talerzy i dwa wielkie plastikowe pojemniki po margarynie Blue Bonnet z platerowanymi sztućcami. Za serwetki służyła rolka papierowych ręczników, zupełnie jak w obozie Minewa.

Tego ranka ważne były liczby – liczby pochłaniały ją całkowicie, dwa psy wyciągnięte na podłodze, cztery kobiety w kuchni (nie chciała nazywać ich cipkami, bo byłoby to po prostu głupie, poniżające i lekceważące, bez względu na to, co mówił Ronnie), dwie kozy pod drzewem, czterdzieści trzy osoby w kolejce do śniadania i jedno słońce, pyzate i rozjarzone, w którego promieniach nawet płaska czarna siatka w drzwiach wyglądała magicznie.

Smażyła jajecznicę, jedną patelnię, dwie, trzy, cztery, zapach cebuli rywalizował z wonią sucharów, aż powietrze w izbie zrobiło się gęste od obu zapachów. W drzwiach ukazała się głowa Jiminy'ego.

– Gotowe? – zapytał.

– Jeszcze minutkę – powiedziała i poczuła, że uwielbia to wszystko, kocha to miejsce i tę chwilę bardziej niż cokolwiek w życiu. – Sześćdziesiąt krótkich, maciupkich, uciekających sekund, możesz je zacząć odliczać na palcach. Koty i cipki – zwróciła się do stojącej obok Merry. – Kto to wymyślił, znaczy te określenia? Czy to nie głupie? Przecież koty to drapieżniki, twarde bestie i...

– ... nie można im ufać? – dokończyła Merry, pochylając się z uśmiechem i podnosząc skrzykniętego beczułkowatego dżojnta. Przykładała go co chwilę do warg Star, kiedy ta pracowicie mieszała szpatułką i manewrowała patelniami. – I wszędzie brudzą? Sikają na meble? Ostrzą pazury?

– No właśnie. Ludzie nadają kocie nazwy zespołom sportowym, Tygrysy, Lwy z Nittany. A kim są cipki? Małymi puszystymi kulkami, które wykluwają się z jajek.

– Ale są śliczne, no nie?

– A ja nie chcę być śliczna.

Merry kroїła chleb na grube pajdy. Włosy włożyły jej pod ręce, kładły się na desce, odrzucała je energicznym ruchem głowy.

– A jaka chcesz być, twarda?

Jajecznica spływała z patelni do dwóch jednakowych glinianych mis, ulepionych z czułością przez Harmony'ego i Alice, etatowych garnarzy Drop City. Star odwróciła twarz od buchającej pary i zawołała: – Gotowe! – po czym podjęła przerwany wątek:



– Tak, jasne, mogłabym być twarda. To o wiele lepsze niż bezradność. A może drapieżna. Drapieżna to nawet jeszcze lepsze.

– Jak kot?

Tu już nie wytrzymały, zaczęły chichotać, trzeć oczy i czubki nosów, które zaswędziały je akurat teraz, gdy nakładały jajecznicę, najpierw Jiminy’emu, a potem całej reszcie braci i sióstr z Drop City stojących wraz z gośćmi z zewnątrz w kolejce. Jiminy był prawie zawsze pierwszy jako największy głodomór – chudy jak więzień wyzwolony z obozu koncentracyjnego, mógł zjeść więcej niż ktokolwiek znany Star, włącznie z jej bratem Samem, który grał na skrzydle w szkolnej drużynie piłki nożnej i nosił buty numer czterdzieści dwa. Za nim stali w kolejce jacyś nieznajomi, a dalej Reba, Alfredo i dzieci; Reba wyglądała w świetle poranka surowo i staro, włosy miała suche jak badyle, oczy przygasłe i bez wyrazu. Kiedy się uśmiechała – a teraz stała bez uśmiechu, z gniewnie zaciśniętymi wargami – jej oczy ginęły w całej siatce głębokich bruzd i zmarszczek, jak gdyby wyczerpała już całą należną jej porcję radości i teraz każdy uśmiech wiele ją kosztował.

– Che nie lubi jajek – oznajmiła. – Chyba jest uczulony na albuminę. Może daj mi po prostu grzanekę, posmaruję mu miodem albo czymś...

Che stał obok niej, jakby odrętwiały, w brudnym podkoszulku, z brudnymi nogami i wiechciem rozczochranych, wypłowiających od słońca włosów. Jego oczy wyglądały jak punkciki na ekranie radaru.

– Naprawdę tego chcesz, malutki, tosta z miodem?– Ja chcę miodu – powiedziała Sunshine głosem, który przypominał drapanie strupka, szorstki i zbolący, bez prawdziwej nadziei na ulgę.

Dziewczynka miała trzy lata. Stała tuż za bratem, tak blisko, że jej wyduęty nagi brzusek dotykał rąbka jego podkoszulka. Miała łagodne oczy, załamane i zrezygnowane spojrzenie. Star próbowała się do niej uśmiechnąć, bo to właśnie powinno się zrobić na widok dziecka – „Ach, czyż ona nie jest śliczna, a może to chłopczyk?” – ale dzieci wprawiały ją w zakłopotanie i onieśmielały, zachowywała się w ich obecności nienaturalnie. Jakże mogła ona, kobieta, przyznać się komukolwiek, że nie chce mieć dzieci, nie ma z nimi dobrego kontaktu, wręcz ich nie lubi? A dzieci były jej zdaniem tylko ciężarem, małymi stworkami z zaświatów, miały czerwone twarze, ryczały i wysysały z kobiety wszelkie żywotne siły, jeśli zaś marzyła ona o życiu na własny rachunek, mogła zapomnieć o tych marzeniach po urodzeniu dziecka; od tej chwili stawała się już na zawsze tylko czyjąś matką. I cóż było złego w regulacji urodzin? W pigułce? Dymaj się, ile chcesz, ale nie zapomnij co rano wziąć pigułki. Star tego w ogóle nie rozumiała. Nic a nic.

W każdym razie teraz próbowała się uśmiechnąć. Reba spojrzała na nią z irytacją, a potem szarpnęła córeczkę, ujmując ją za ramię dwoma palcami, jakby to były szczypce; tak samo robiła to matka Star, tak robiły wszystkie matki, więc widok ten przeniósł ją hen, daleko w przeszłość, jak gdyby nagle znalazła się wbrew swej woli w jakimś rodzinnym filmie.

– Zjesz jajecznicę i lepiej ze mną nie zaczynaj, bo nie jestem dziś w nastroju – syknęła Reba. – A jak będziesz...

Dziewczynka, dziecko, Sunshine, stała zupełnie nieporuszona tą niewyartykułowaną groźbą. Jej brat zapadł się jak gdyby w siebie, całkowicie oszołomiony porą dnia, miejscem, w ogóle życiem na tej niezrozumiałej, podkreślonej planecie, i siostra patrzyła na niego tak, jakby go nie rozpoznawała.

– Ja chcę sok – powiedziała swoim cieniutkim, wypranym z nadziei głosikiem.

– Mleko – zareagowała Reba automatycznie.

Ludzie z kolejki krążyli po swoich własnych kosmicznych orbitach, wśród swoich dzwonków, bródek, paciorków, porannych żarcików, kojących rytmów, ale nawet ich zaczął niepokoić zator, jaki powstał.

Cieniutki głosik:

– Sok.

I teraz musiała się włączyć Star, bo sok... no cóż, to był Dzień Druida, dzień przesilenia dnia z nocą i dla jego uczczenia sok, świeżo wyciśnięty przez Lydię, czysty, słodki i „organicznie” zdrowy, jak wszystko, co można było znaleźć w całym nasłonecznionym stanie Kalifornia, został doprawiony kwasem, LSD, dwuetyloamidem kwasu lizergowego, bo wszyscy mieszkańcy Drop City mieli doznać komunii z własną jaźnią, dosłownie wszyscy, i w zgodnym zespołowym wysiłku podnieść globalną świadomość planety o jeden drobny ułamek promila.

– Ale kochanie, sok nie jest dzisiaj dobry, nie smakowałby ci...

Naga, z lekko pałkowatymi nóżkami, o drobnych rysach, które nikły na okrągłej buzi, dziewczynka obstawała przy swoim.

– Sok.

– Och, psiakrew – powiedziała Reba. – Cholera jasna. Pieprzyć to. Daj jej tego soku.

Lydia, Merry, Maya patrzyły na to z bladymi uśmiechami. One były tylko cipkami i wydawały śniadanie. Jutro będzie czyjaś inna kolej, innego zespołu cipek. Ale tego ranka była to akurat ta grupa – grupa Star – i zaczynały się, miały się za chwilę zacząć, uroczyste obchody szczególnego dnia. Star zawahała się.

– Ale ten sok, Reba, jest dziś... no wiesz, specjalny. Zapomniałaś?

– Przesilenie dnia z nocą.

– Właśnie.

– Dzień Druida.

Czuła, jak wypalona trawka zaczyna działać na jej ciało, zupełnie jakby miała się unieść w powietrze, jakby siły grawitacji nagle zostały unicestwione, niby we śnie; odczuła to jako najdelikatniejsze, najsubtelniejsze, ale i bardzo wyraźne szarpnięcie. A potem wszystko nagle ustąpiło.

– Tak – powiedziała w końcu. – A więc my, to znaczy Lydia, już...

– ... doprawiła sok pomarańczowy kwasem, co? Mówisz tak, jakbyśmy to nie my, Alfredo i ja, wynaleźli Dzień Druida dwa lata temu. I gdzie wy wszyscy byliście wtedy – w domciu, z mamusią i tatusiem? Czy naprawdę myślisz, że odjechałam tak daleko, że nie wiem, co robię? Myślisz, że moje dzieci nigdy nie brały? – Reba potoczyła po kuchni miazdzącym spojrzeniem, po czym opuściła wzrok, by teraz rozprawić się z córką. – Widzisz, jakiego narobiłaś kłopotu? Chcesz soku? Okej, dostaniesz soku, tylko nie przychodź potem do mnie z płaczem, jak odjedziesz, tak jak to się już kiedyś zdarzyło – pamiętasz, jak zwinęłaś się w szafce pod zlewem i nie chciałaś wyjść przez cały dzień?

Sunshine nie kiwnęła głową, nie powiedziała ani „tak”, ani „nie”, nawet nie mrugnęła.

– Okej – sapnęła Reba, prostując się z uśmiechem, przy czym jej nękana nerwowymi tikami twarz zamieniła się w jedno wielkie pole porane zmarszczkami i usiane układającymi się w szalone konstelacje pieprzykami. – Dajcie jej jajecznicę i mleko, a jeśli dzięki temu miałabym ją na chwilę z głowy, bo przecież i ja potrzebuję czasem odetchnąć, to dajcie jej też pół szklanki soku, okej?

Alfredo był zatopiony w rozmowie z Mendocino Billem. „Hobbici mają trzy stopy wzrostu, są mali jak dzieci, bo to książka dla dzieci i tyle...” – i wobec tego nie zabierał głosu. Odwrócił pozbawioną wyrazu twarz w stronę Star i kolejka zaczęła się przesuwając. Sunshine zaniósła swoją jajecznicę i sok na stół i wróciła po mleko. Kiedy Star znów podniosła wzrok, wszystkie miejsca przy stole były zajęte, a Jiminy rozprawił o czymś, wymachując widelcem i potrząsając głową tak energicznie, że jego długie włosy robiły wrażenie, jakby ożyły i próbowały go atakować. Sunshine gdzieś zniknęła. Jej talerz z ledwie napoczętą jajecznicą był odsunięty na bok. Obok stała szklanka po mleku z żółtawą obrączką śmietany, ale sok zniknął.

Star odnotowała ten fakt, zrobiła w głowie migawkowe zdjęcie – obłożony stół, morze dżinsowego błękitu, szafranowe jajka na matowych blaszanych talerzach, lśniąca widelce, błyskające zęby, żadnego dziecka w zasięgu wzroku, żadnego dziecięcego kształtu i ani śladu soku – ale nie zdążyła go utrwalić, bo w kolejce pojawiła się Verbie z dziewczyną, która mogłaby być jej bliźniaczką, tyle że miała długie włosy. Verbie przedstawiła ją jako swoją siostrę z Pasadeny, Angelę. Talerze poszły w ruch, zniknęły suchary, ubywało soku pomarańczowego w kamiennym dzbanie. Verbie nałożyła sobie podwójną porcję jajecznicy, wzięła suchary i pełną szklankę soku. Star już wypila swój, czuła jego pierwszą musującą szarżę na synapsy całego ciała i wyłączyła się, przestała słuchać Verbie, która była akurat w połowie skomplikowanej opowieści o swojej siostrze i whisky, o zbyt wielu kieliszkach Harveya Wallbangera i tancerce go-go. Jej siostrę rozpierała radość. Opowiadano o niej, mówiła o niej Verbie, przy śniadaniu, w Dniu Druida, w Drop City.

– Wiesz, chyba też wezmę pełną szklankę – powiedziała.

– Nie jest taki mocny, co?

– Dwieście mikrogramów – powiedziała Verbie. – Najwyżej trzysta.

I któż był następny? Ronnie, który wyglądał na wymiętego i schorowanego. Spuścił głowę, wytrzeszczone rozbiegane oczy kryły się za wielkimi talerzami ciemnych okularów, ruchliwe jak ryby, ale nie w sieci, tylko małe rybki, płotki, uwięzione w jakimś ponurym akwarium. W pewnej chwili zdjął okulary i teraz trzymał je w uniesionej ręce.

– Jajecznicę? – zapytała i była w tym propozycja zawarcia pokoju. To ona usmażyła jajecznicę i była tu po to, by jej nałożyć na talerz i podać, pracowała ciężko, skromna i sumienna mała cipka, czegoż więcej można było wymagać?

– Tylko nie jajecznicą.

– Tosty? Suchary? – Usiłowała się uśmiechnąć. – Świeżo upieczone. Maya piekła.

– Tylko sok. – Przyglądał się, jak napełnia szklankę. Gwar głosów zakręcił się po izbie i uleciał przez otwarte drzwi na podwórze. – Gdzie się podziewałaś przez ostatnie parę dni? – zapytał. – Wszędzie cię szukałem.

Wzruszyła ramionami, żeby pokazać, jakie to wszystko nieważne, żadna wielka sprawa, ale wzruszać ramionami i jednocześnie nalewać sok nie było zadaniem łatwym. Sok pociekł po szklance, rozlał się na stole.

– Poszliśmy na wycieczkę w okolice góry Tam – powiedziała. – Obejrzeć sekwoje. To cała wyprawa, naprawdę.

– Byłaś z Markiem, tak?

Kiwnęła głową.

– Jak wtedy, kiedy upolowałem sarnę. Wtedy też cię szukałem cały wieczór. – Wziął od niej szklankę; trzymał ją z daleka od siebie, jaskrawopomarańczowy sok pienił się jak wywar czarownic i kapał, kap, kap, kap. – Tylko we dwójkę z Markiem?

– Tak, ale jestem pewna, że pocieszyłeś się Lydią. A jak tam Merry i ta nowa, z którą się tak strasznie zaprzyjaźniłeś, jak jej tam, Premstar – ta, która tak się naćpała, że ledwie mogła mówić? Jestem pewna, że dzięki nim nie było ci aż tak bardzo smutno.

– Tylko ty i Marco, tak? – powtórzył.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Okej, fajnie. – Wypił swój sok jednym haustem, porwał dzban z kontuaru i ponownie napełnił szklankę. – W ogóle się do mnie nie odzywaj – rzucił przez ramię już od drzwi i wyszedł na oślepiające światło, które eksplodowało jak dwie zderzające się gwiazdy.

Lydia siedziała na blacie przy zlewie i patrzyła w przestrzeń, jakby nic jej nie obchodziło – „Mam swój odlot i nie mieszajcie mi się do niego ze swoimi” – ale Merry wyszła zza stołu i stała przed Star tak długo, aż ta zwróciła na nią uwagę.

– O co mu chodzi?

Star czuła już pierwszy przypływ narkotycznej euforii, aż po czubki palców u nóg. Nie chciała awantur, nie chciała okazywać zaborczości, zazdrości, gniewu, nie chciała plugawego seksu i urazy – wolała pozostawić sprawy własnemu biegowi i przypatrywać się, jak upływa dzień, jedna nabrzmiała, rozświetlona minuta za drugą. Miała wrażenie, że Merry jest pod wodą, jej włosy falowały łagodnie, falowała twarz i oczy, wokół pływały poruszane prądami wodorosty i koniki morskie.

– Nie wiem – usłyszała własny głos. – Pewnie Pan ma zły dzień.

W tym właśnie momencie w jej polu widzenia pojawiła się twarz Lestera: szeroki uśmiech, złote zęby, skóra tak gładka i wytarta jak na worku treningowym wiszącym w garażu Sama, tam w domu. Do tego ogromne oczy, jakby przez całe życie poruszał się po omacku – zupełnie jak lemur albo sowa – i nastroszone jak u Jimiego Hendriksa włosy. Obok niego stał Franklin; zgarbieni, wyglądali obaj tak, jakby kulili się przed ulewnym deszczem.

– Hej, Star, Merry, co słyhać? – zapytał Lester. – Chciałem zapytać, czy tego... czy znalazłoby się trochę tego s o k u dla pary pustelników? I może trochę jajeczniczy – zjadłoby się jajeczniczy, no nie, Franklin?

– Jasne, że by się zjadło – potwierdził Franklin.



Star najwyraźniej nie mogła się zdobyć na odpowiedź – choć próbowała, nic z tego nie wychodziło, nie potrafiła wykrztusić ani „tak”, ani „nie”, ani „idź do diabła”, nic. Zero. Miała kompletną pustkę w głowie. Sky Dog przesunął się do przodu, za nim Dewey i inni, ale Lester i Franklin nie ruszali się z miejsca, choć wszyscy traktowali ich jak trędowatych. Nie pojawiali się w kolejce do jedzenia od tygodni i ledwie ich widziano. Ale byli tam i wszyscy mieli tego świadomość, choć mogli udawać, że jest inaczej. Na parkingu można było zobaczyć lincolna, zakurzonego tak, że wyglądał jak jakieś naturalne wybrzuszenie ziemi. Kiedy człowiek wychodził w nocy, żeby się przejść, z budynku gospodarczego dochodziły dźwięki muzyki, dudniące i tajemnicze. I podnosząc wzrok znad roboty, widywało się ich na rozwalonej werandzie, rozebranych do pasa i palących skręta, papierosa lub podających sobie z lepkich rąk do rąk dzban z winem.

Merry odezwała się pierwsza:

– Nie sądzę – powiedziała.

Lester odwrócił się do Franklina, jakby chciał mu to przetłumaczyć.

– Słyszałeś, Franklin? Ona nie sądzi. I co ty na to?

Franklin stał obok niego, wyższy o głowę. W czarnej koszuli w żółte groszki, z szerokim kołnierzem. Pod oczami miał worki, jakby nie spał ze sto nocy, a prostowane włosy sterczały mu w rudawych kosmykach. Odpowiadając Lesterowi, patrzył mu prosto w twarz.

– Ja na to nic.

– A ja powiem, że to jest banda rasistowskich hipisowskich dupków – powiedział Lester, odwracając się gwałtownie w stronę dziewczyn. – O co biega? Pewnie my, czarnuchy, nie jesteśmy dla was dostatecznie dobrzy?

– Pieprz się, Lester – powiedziała Merry.

W drzwiach pokazały się twarze; ludzie podskakiwali w miejscu, jakby byli uwiązani na smyczach. Ale gdzie był Marco? Ach tak, w Santa Rosa, z Normem, na zakupach.

Lestera rozbawiła odpowiedź Merry.

– Pieprzyć się, co? Pokój i miłość.

Zirytowana, to chyba właściwe słowo – Star była zirytowana: najpierw Ronnie, a teraz jeszcze to.

– Słuchaj – powiedziała, korzystając z chwili ciszy. – Doskonale wiesz, że nie chodzi o to, czy jesteś czarny, biały, czy...

– Czerwony albo żółty?

Jakimś cudem znalazła się w jej dłoni szpatułka. Ach, nie, to była kopyść, którą nakładała jajecznicę, łyżka z wysuszonego, pomalowanego w szachownicę i wygotowanego sosnowego drewna. Wywijala ją jak dyrygent batutą.

– Norm powiedział...

Odparował natychmiast, ale łagodnie, niemal szeptem:

– „Norm powiedział”. Posłuchajcie jej tylko. Norm gównie powiedział. Mówił, że wszyscy są tu mile widziani, a jeśli cię tak wkurzają czarnuchy, to powiedz mi, ilu braci kryje się tu po lasach i czeka na to, że może pewnego dnia się stąd wyniesiemy? Co? Ilu? Dziesięciu? Piętnastu?

Poczuła, że serce wali jej jak szalone. Rzuciła łyżkę na stół i zrobiła krok do tyłu.

– Nie będę się z tobą kłócić, nie zamierzam się wtrącać w twoje sprawy, możesz robić, co ci się podoba, i mnie to w ogóle nie obchodzi. Nic a nic.

– A co z Markiem? Jego obchodzi?

Teraz i ona powiedziała:

– Pieprz się, Lester. Po prostu się pieprz.

Ale Lester już nalewał soku, nakładał jajecznicę i sucharów. I to porcję, która wystarczyłaby dla trzech osób. Nałożył tego taką górę, że aż kapąło, i wręczył talerz Franklinowi, a potem zaczął obsługiwać siebie i nikt nie odezwał się słowem. Jedna łycha jajecznicę, dwie, trzy. Nie spieszył się, a na jego ustach błąkał się nikły uśmiezek, który ją zasmucił i zawstydził. Czy naprawdę już do tego doszło? Czy zaczęli walczyć o jedzenie? Czy też było to coś jeszcze innego, coś ohydneho i plugawego, coś, co czyniło Drop City największym żartem na świecie?

A więc proszę, przeanalizuj swój fatalny odlot, bo oto właśnie nastąpił. Odwróciła się i wyszła z kuchni, a potem przez świetlicę i przez drzwi frontowe na zewnątrz. Nie dla niej jajecznicę, nie dla niej zmywanie naczyń z siostrami, nie dla niej taniec, radość i kwiaty we włosach, żadnego bratania się z klanem i poddawania się oczyszczającemu działaniu kwasu, zewnętrznemu i wewnętrznemu. Przeszła przez jasny zapiaszczony podjazd, kierując się w stronę domku na drzewie, wspięła się po drabinie, wciągnęła ją za sobą i położyła się na śpiworze Marka, wpatrując się w liście tak długo, aż zaczęła rozpoznawać każdy z osobna, a serce uspokajało się z wolna, etapami, wracało do neutralnego biegu.

W końcu – mogło upłynąć pięć minut albo pięć godzin, nie miała pojęcia – podniosła się z wysiłkiem i rozejrzała dokoła. Na barierce siedziała ważka, pojedyncza strzała fosforyzującego koloru, latający błękitny gwóźdź, a poniżej widniała wbudowana półka, rozplamiona grzbietami książek, które zgromadził Marco – *Dusza na lodzie*, *Kocia kołyska*, *Łowienie pstrągów w Ameryce*, *Wilk stepowy* – i lampa naftowa z kloszem tak intensywnie zielonym, że dosłownie wypalał dziurę w ścianie. Książki wyglądały jak rozżarzone wewnętrznym ogniem. Wyjęła pierwszą z brzegu, ze względu na kolor i fakturę, i otworzyła na stronie, po której słowa halsowały niczym statki po zatrutym morzu. Nie mogła uchwycić ich sensu, nie chciała, nienawidziła w tym momencie książek jako takich, literatury, przeróżnych historii, bo historie nie były przecież prawdziwe, ale książki przypominały jej Marca, a zatem były czymś dobrym, realnym i cennym. Głaskała więc ten znajomy przedmiot trzymany w dłoni, jak gdyby to był kot lub oswojony królik, głaskała tak długo, aż papier zamienił się w futerko i żywe ciepło przeniknęło czubki jej palców.

Dotarły do niej ciche intymne dźwięki, jakby wyszła z siebie i stała się kimś wszechobecnym – kaszlnięcie, chichot, westchnienie, nikły szmer zdławionego oddechu Jiminy’ego, który poruszał się teraz na gładkim, śliskim od potu ciele Merry w sypialni na dole w głównym budynku, o sto jardów dalej. Słyszała też oddech liści i soki krążące w gałęziach niczym krew, krew gęsta jak klej. Termity szeleściły w zbutwiałych liściach, kopytka kóz rosły i puchły z przenikliwym dźwiękiem, który wzbierał i bulgotał jej w uszach. I nagle książka, ta, którą trzymała w dłoni, przeobraziła się w falującą różowożółtą plamę koloru, a z jej strony patrzyło pojedyncze ludzkie oko i Star rozpoznała od razu *Powiększenie i inne opowiadania* Julia Cortazara. To była książka, na którą zwrócił jej uwagę Ronnie jeszcze w Nowym Jorku, a ona z kolei kupiła ją Marcowi – widniał na niej stempel antykwariatu w Sebastopolu, FREEWHEELIN’ BOOKS, 25c, wyblakłe, jasnoróżowe piętno na wewnętrznej stronie okładki. W porządku. Miała przynajmniej to i chociaż słowa wciąż stawiały opór, choć łączyły się i rozsypywały, miały się i brykały, choć z wszystkich gardeł dookoła wydobywały się dźwięki, które rozbrzmiewały w jej uszach chórem cieniutkich głosików, płonęły i wyrzaskiwały swoje świadectwo, a w końcu zamieniały się w rozmazaną plamę białego szumu, mogła wyśnić sobie te historie, wyśnić aksolotla i człowieka, który wymiotował króliczkami, i śniła tak długo, aż wreszcie powyciągała wszystkie książki po kolei i pozwoliła, by zawarte w nich historie opanowały ją bez reszty.

Potem znalazła się na dole, bosa. Gryząc liście, rozsypała naręcze książek niczym połyskliwe ziarno, bo tam właśnie je znaleźli, ona i Marco, w pewne gorące parne popołudnie, które wybuchło jak bomba zegarowa. I gdzie on teraz był, kiedy go potrzebowała? Był z Normem, przypomniała sobie, z Normem w Santa Rosa. Na zakupach. Obiecał, że weźmie kwas w tym samym czasie co ona, tak żeby mogli oboje płynąć na tej samej fali – i zobaczyła go, jak to robi, kiedy samochód ruszał i Norm ryczał do wtóru muzyce z radia, głosem, który brzmiał jak przeciągły krzyk z izby tortur, ale Santa Rosa to nie było Timbaktu i do tej pory powinni byli przecież wrócić.

Gwałtownie wbiła stopą książki pod podobne do szponów liście. Wcześniej tamci rozbili jego gitarę, podarli jego ubrania, wypatroszyli książki i teraz ona pochowała je znów, ale pieczołowicie, ze stosownym ceremoniałem i należnym szacunkiem. Kiedyś wyrosną z nich nowe książki, z jaskrawszymi kolorami i prawdziwszymi historiami, i zastąpią tamte, wystrzępione, cała żywa biblioteka wykielkuje ze ściółki pod drzewem, darmowe książki, książki do wzięcia, książki, które będzie można zrywać jak jagody. Albo coś podobnego. Zwlekała jeszcze przez chwilę z odejściem, usiłując wyostrzyć wzrok, a potem stwierdziła, że idzie, bezwolna, w stronę głównego budynku, gdzie grupka ludzi siedziała w głębi werandy, a z jakichś niewiadomych czeluści wydobywała się muzyka, w której była radość i siostrzane uczucia, ale ona nie odbierała tego dobrze, jeszcze nie teraz, więc skierowała się jednak w stronę lasu. Tu była sama z sobą – przeżywała swój własny odlot – i kiedy szła ścieżką do rzeki, ziemia chwyciła ją za stopy, przylegając ciasno jak szyte na miarę buty, „witaj i żegnaj, witaj i żegnaj”, a drzewa usuwały się na boki jak rozstępujący się tłum.

Powietrze było gęste, słońce dręczyło wodę. Ptaki pikowały z nieba jak meteory. Usiadła na brzegu i zasłuchała się w opowieści wartkiego nurtu, ale choć zanurzyła w wodzie palce rąk i stopy, wciąż nie czuła się dobrze. Nie mogła złapać tchu, czuła się, jakby wypila zbyt dużo kawy albo przedawkowała metę, jak wtedy, podczas tej długiej, wlokącej się niemiłosiernie nocy za kierownicą, kiedy nagle wyrosły przed nimi z nieużytków Góry Skaliste, niczym wielka, szara, nieprzenikniona ściana, zdolna powstrzymać całe armie. Czy się bała? Bała się. Niczego konkretnego i jednocześnie wszystkiego, czegoś, czego nie było, i tego, co przemykało i zmieniało kształty tuż poza zasięgiem jej wzroku. Zamknęła oczy i przyglądała się obrazom przesuwającym się przez czarną scenę powiek w jakimś koślawym, paralitycznym tańcu, którego nie mogła zwolnić ani zatrzymać.

Była z Markiem tego dnia, kiedy tamci zniszczyli jego rzeczy – poszli oboje na pole za głównym budynkiem, tam, gdzie Marco kładł rurę kanalizacyjną. Wzięła ze sobą dzban oranżady, była boso, w szortach i wieśniackiej bluzce z wyhaftowanymi na piersiach błękitnymi ptakami, którą wypatrzyła w sklepie z używaną odzieżą w Nowym Meksyku – bluzce, na wspomnienie której uśmiechała się nawet teraz. Siedziała, patrząc jak mięśnie napinają mu się na grzbiecie za każdym razem, kiedy się schylił, żeby wrzucić łopatę żwiru do rowu.

Powiedział jej, że jest piękna. Odpowiedziała, że to on jest piękny.

– A więc jesteśmy towarzystwem wzajemnej adoracji – stwierdził, szuflując żwir.

Była tam druga łopata, stała pionowo, wbita w kopczyk kamieni, i wyglądała jak twór natury.

– Chcesz, żebym ci pomogła? – zapytała, wyciągając łopatę z chrzęstem, który przypominał zgrzytnięcie zębami, i przybierając specjalnie dla niego odpowiednią pozę: bosa stopa oparta na krawędzi sztychu, obie ręce napierają na stylisko.

– Boso? – zapytał, prostując się, żeby otrzeć pot z twarzy wzorzystą apaszką, której używał także jako przepaski na włosy. – Musi być z ciebie twarda sztuka.

I była. Przez prawie godzinę pracowała u jego boku, kopiąc i odrzucając ziemię w zgodnym rytmie. Żwir wzbierał w rowie jak szare wody w kanale przecinającym brunatną równinę. Czuła zmęczenie w ścięgnach ud, w ramionach, w mięśniach grzbietu i w stopach – zwłaszcza w stopach – ale nie poddawała się. Chciała zasłużyć na jego pochwałę, więcej, chciała go prześcignąć.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Wystarczy. Boże, ty jesteś prawdziwa diablica. Alfredo miał rację.

– Pod jakim względem?

Spojrzał przez łąkę w stronę drzew zstępujących ku rzece.

– Nie wiem. Popływamy?



Woda była jak żywe stworzenie, żył każdy jej prąd i każda zmarszczka. Star weszła w nurt gładko jak nóż w masło, płynnym ruchem, który zaczął się podniesieniem modlitewnie złożonych dłoni ponad łuk wygiętej szyi, a skończył błyskawicznym wybiciem stóp. Plusk wody nałożył się na drugi termiczny szok i już po chwili pruli ku przeciwnemu brzegowi, on kraulem, ona motylkiem. Marco płynął z wielką energią, ubijał wodę na pianę uderzeniami ramion rozpostartych szeroko jak skrzydła, ona zaś przeniosła się myślami w strony rodzinne, nad jezioro; miała znów trzynaście lat i była najlepszą pływaczką w swojej grupie wiekowej, płynęła do tratwy i z powrotem, i tamtego lata ani razu nie przegrała. Dotarła do skał na drugim brzegu i odwróciła się ku niemu. Jeszcze dwa wymachy ramion i oto był przy niej, nagi. Uchwycił ją tak mocno, jakby ścigał ją przez całe życie.

Później, kiedy słońce zapadło się między drzewa, popłynęli razem z powrotem, wciągnęli na siebie ubrania i ruszyli w górę po zboczu. Jej stopy osuwały się na piaszczystej ścieżce. Czuła się czysta i odświeżona, jak zawsze po kąpeli, jej mięśnie, wcześniej napięte, teraz wymasowane i rozluźnione, były jak mięso, które matka przyrządzała na obiad, rozbijając je z jednej, potem z drugiej strony: łup, łup, łup. Kochali się w chłodnym zagłębieniu wśród traw. Marco nie spieszył się, pieścił ją językiem i palcami, wydobywając z niej ciche westchnienia, ona zaś, wygięta w łuk, przyjmowała go, oddając mu całą rozkosz, jaką jej dawał. Potem leżeli długo w trawie zapatrzeni w kobaltowe niebo z pojedynczym jastrzębiem płonącym od słońca. Później Marco otarł się policzkiem o jej policzek, a ona wpełzła na niego; każdy milimetr jej skóry rozświetlało wewnętrzne światło, myślała o filmie, który widziała kiedyś, kiedy była jeszcze w liceum. Oglądała ten film w telewizji, w nocy, gdy rodzice spali, martwi dla świata. *Hiroszima, moja miłość*, taki tytuł miał ten francuski film. Widok dwojga kochanków, przywierających do siebie ciałami, jej piersi na jego torsie, zespolonych łądzwi, nóg i stóp, wywołał u niej dreszcz. Nie czuła się zbrukana. Była czysta. Nieskalana. Czuła się tak, jakby nigdy nie mieszkała w domu rodziców, nigdy nie słuchała nauk Kościoła, nie przystępowała do komunii ani nie czerwieniła się, zaszokowana, gdy pani Montgomery brała dziewczęta z siódmej klasy na stronę, żeby powiedzieć im o penisie, o tym, jak napływa do niego krew, powodując erekcję, i co je czeka, jeśli nie potrafią utrzymać kolan razem, dopóki nie wyjdą za mąż. Nie myślała o Ronniem. Nie myślała o chłopaku z tipi. Nie myślała o niczym.

Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie wiedział. Ale wróciła znad rzeki z Markiem, woda spływała jej z włosów między łopatki, machała ręką uwięzioną w jego dłoni i nie istniało nic oprócz pokoju na świecie, a pod drzewem leżała gitara ze strunami wijącymi się wśród zeschniętych liści i gryfem roztrzaskanym w połyskliwe drzazgi, które teraz mogły być co najwyżej pamiątką. Przeszli przez drogę i wtedy zobaczyli coś, co przypominało pozostałości po jakiejś wyprzedaży wysypane pod drzewo: leżały tu jego książki, ubrania, nawet szczoteczka do zębów. Marco nie rzekł ani słowa. Nie schylił się, żeby spojrzeć na książki, nie próbował ich jakoś składać czy sklejać – odłożył to na później. Odwrócił się tylko i popatrzył na budynek gospodarczy, ramiona miał uniesione, mięśnie napięte, ręce przyciśnięte sztywno do boków. Ona też nic nie powiedziała – choć może jednak tak, może wyrzuciła z siebie jakieś niezdarne i bezsensowne „kto?” albo „dlaczego?” – tylko ruszyła za nim.

Sky Dog siedział na werandzie – i Sky Dog widział, jak się zbliżają. Wstał z kuchennego krzesła z wygiętym oparciem i zawołał coś do kogoś wewnątrz domu – do Lestera, Franklina, Deweya – ale nikt mu nie odpowiedział. A rozwścieczony Marco już wchodził na werandę i Sky Dog z rozlatanymi rękami i wybałuszonymi oczami zaczął cofać się przed nim.

– Ja nic do ciebie nie mam – powiedział, wciskając się do kąta, w pełnej gotowości, by się uchylić, zrobić unik, wyrzucić rękę w obronnym geście.

Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale nie miała żadnych wątpliwości, czym się skończy. Trzeba było połączonych sił Alfreda, Jiminy'ego i Mendocino Billa, żeby odciągnąć Marca od Sky Doga, który padł po pierwszym natarciu i już się nie podniósł. Stojąc w piachu, na słońcu, które prażyło ją w głowę, słyszała siłę każdego potężnego bezlitosnego ciosu, wyglądało to jednocześnie tak, jakby Marco robił mu masaż, bardzo dokładny, bardzo metodyczny, ze specjalnym uwzględnieniem głowy i szyi. Ale to nie był masaż, to było morderstwo. A w każdym razie coś morderstwu najbliższego. Była krew tam, gdzie nie powinno jej być – na rozeschniętych deskach werandy, na pobielonych ścianach, wsiąkała w dzinsową kamizelkę Sky Doga i rozmywała się jak farba na wkleśnięciu jego mostka. Jej własna krew burzyła się w żyłach. Patrzyła na to z nienawiścią, z prawdziwą nienawiścią, ale jednocześnie nie mogła oderwać oczu i ani razu nie krzyknęła, by wezwać pomoc.

Ale stało się i potem nic się już za bardzo nie liczyło.

Liczyło się to, co było teraz; otworzyła raptownie oczy i zobaczyła kołyszące się wierzchołki drzew, rzekę w całym jej przepychu, parę nurkujących w powietrzu zimorodków. Był to po prostu dzień, rodzaj kostiumu, w który można się było wśliznąć, wykorzystać go do swoich celów; teraz jaśniał coraz bardziej, żywe kolory odcinały się ostro od cieni zbierających się na brzegu. Liczby, powiedziała do siebie. Liczby, nie historie. Dwa ptaki, jedna rzeka, trzysta szesnaście drzew, siedem tysięcy kwiatów polnych, jedna ziemia, jedno niebo; nie miała się tu czego bać, nie było o co się zabijać. *Strawberry Fields Forever*. Truskawkowe pola na zawsze. Podniosła się i ruszyła w stronę budynku.

Norm miał zegarek kieszonkowy, przechowywany przez rodzinę od trzech pokoleń, zaśniedziały srebrny krążek na zaśniedziałej srebrnej dewizce, który nosił w kieszonce dressu. Marco zauważył, że od chwili gdy opuścili ranczo, Norm sięga po zegarek co pół minuty. Jego druga ręka spoczywała niedbale na kierownicy, radio trzeszczało, samochód podskakiwał na zakrętach River Road tak, jakby wszystkie zwykłe, działające podczas jazdy siły – grawitacja, prędkość, opór wiatru – zostały zawieszono dla uczczenia tego dnia.

– Jedyne, czego chcę – rycał Norm – to skoordynować wszystko tak, żebyśmy się zestroili z całą resztą, dokładnie, i nie mów mi, że jestem szalony, bo to kwestia karmy i tyle. I ważny jest kop. No bo wiesz, jaki byłby sens ćpać, jeśli człowiek nie liczyłby na kopa? Mam rację?

Nie potrzebował od niego potwierdzenia, ale Marco i tak potwierdził.

No dobra. A więc celujemy w dziesiątą, kubek soku pomarańczowego dla mnie, drugi dla ciebie, potem bierzemy różności na imprezę, lemoniadę waniliową, potrzeba mi tego, bracie, uwielbiam to, zwłaszcza kiedy mam odjazd, a potem wracamy na, powiedzmy, jedenastą trzydzieści, dwunastą i zaczynamy balangę najdłuższego dnia, bracie, superbalangę. Ju-hu! Wyobrażasz sobie?

Wjeżdżali właśnie na parking przed supermarketem – życie dookoła aż kipiało, dzieciaki jeździły na rowerach, wapniacy wypełzali z pick-upów jak rozgniecione żuki, samoloty latały nad głowami, psy się drapały, matki pchały przed sobą wózki sklepowe, jakby wyruszały na wojnę – kiedy zegarek Norma wysiadł. Zatrzymał się na pięć po dziesiątej, wskazówki znieruchomiały, jak przylutowane.

– Nie do wiary – mruknął Norm, pukając palcem w szkiełko. Przyłożył zegarek do ucha, potem znów postukał. – Nakręcałem go rano.

– No właśnie – powiedział Marco. – Zbyt dużo uwagi poświęcasz szczegółom. Daj się nieść, płyn z prądem.

Norm wyglądał na speszzonego. Popatrzył na niego zza szkieł, jakby nie mógł go dokładnie zlokalizować. Wymamrotał coś niezrozumiałego, niby krótką modlitwę, a potem ni stąd, ni zowąd rzekł:

– Wiesz, to nie moja sprawa, ale pytam z ciekawości: kręcisz ostatnio ze Star, tak?

Pytanie zaskoczyło Marca – Star? Kto tu mówił o Star? – i natychmiast obudziło w nim podejrzliwość. Spojrzał na Norma, na jego rozbiegane, rozgorączkowane piwne oczy zniekształcone przez szkła okularów, i pomyślał: dlaczego tak go to interesuje? Czyżby zwróciło to jego uwagę? A jeśli tak, to o co właściwie pyta? Jako główny guru i przywódca duchowy rancza eksploatował kobiety całkiem intensywnie – był taki okres, że spały z nim praktycznie wszystkie cipki z Drop City. Lydia kręciła się koło niego przez tydzień, opowiadając mu o jego lingamie i o tym, jak idealnie do siebie pasują, Verbie nazywała go za plecami „Pasza Norm”, a Star – no cóż, o Star Marco nie mógł nic powiedzieć, ale z tego, co o niej wiedział, i ze względu na to, co do niej czuł, wnioskował, że jest raczej wątpliwe, czy robiła to z Normem. Choć wszystko było możliwe. Oczywiście tak czy inaczej nie stanowiło to problemu, bo wszyscy byli ludźmi światłymi, a ciało istniało przecież po to, by je wielbić i czcić. Jeśli nawet ktokolwiek był zazdrosny, jeśli jakieś typowe mieszczańskie uprzedzenia jątrzyły się pod powierzchnią tej przedłużonej, przenikniętej ideą pokoju mrzonki, jaką było Drop City, to Marco nigdy tego nie dostrzegł. Ale też w ogóle nie był spostrzegawczy, co sam chętnie przyznawał.

– Myślę, że idealnie się rozumiemy – powiedział głosem, który zdawał się więznąć mu w gardle. – Star i ja.

Norm pochylił się ku niemu.

– Pod względem duchowym? Agape zamiast erosa?

– Co masz na myśli?

– Dymasz ją?

– Cóż to za pytanie?

– Praktyczne. – Oddech Norma był nieświeży, gorzej, zgniły. Zęby psuły się w jego głowie, a głowa psuła się na korpusie. Nie wierzył w dentystów, tylko w szamanów, ponieważ to nie próchnica powodowała wypadanie zębów, ale złe duchy zmarłych dentystów, i aby tego dowieść, sprawił sobie złote koronki.

– A co? – zapytał Marco, czując, że czerwienieje. – Jesteś zainteresowany?

Norm poprawił się na swym siedzeniu, wzruszył ramionami.

– To fajna cipka.

Nie ulegało wątpliwości, że była fajna. Wszyscy byli fajni i wszystko było fajne. To był świat, który właśnie tworzyli, to była nowa era, era wolności i oświecenia, bez żadnych obciążeń. Każdy szczyt jest do zdobycia, każda koza do wydojenia.

– Tak – odpowiedział Marco bezwiednie. – Jasne, że fajna.

Zapadło na chwilę milczenie, silnik zaterkotał i zgasł gdzieś pod nimi i z tyłu, za ich plecami. Norm nie kwapił się, żeby wysiąść. Podsunął okulary na nosie, ale one zjechały z powrotem. Westchnął. Podniósł rękę, jakby się usprawiedliwiał, potem ją opuścił.

– Wiesz, jest coś, o czym ci nigdy nie mówiłem – rzekł. – Ani właściwie nikomu, oprócz Alfreda. I to nie jest dobre, to wcale nie jest dobre. – Poklepał znów zegarek i przyjrzał mu się ponuro, jakby to właśnie on był źródłem wszelkiego smutku i niedoli na świecie.

– O czym mówisz?



– Mówię o tym, że w tym mieście nie lubią ćpunów, w tym całym pieprzonym faszystowskim okręgu, i lepiej płacić i niewolniczo przestrzegać przepisów, bo inaczej jesteś przegrany, wierz mi. Nie chcą tu widzieć ludzi, którzy żyją w harmonii z ziemią i z innymi ludźmi, oni chcą tylko modelu tatuś, mamusia, braciszek i siostrzyczka, upcham w identycznych szeregowych domkach z nowym asfaltowym podjazdem i trawnikiem, który wygląda jak namalowany.

– Masz kłopoty z władzami?

– Jasne, kurde, że mam.

– Z wydziałem zdrowia? Ze strażą i policją?

Pochylony nad zegarkiem Norm skinął tylko głową, która chwiała się lekko na boki jakby unoszona w powietrzu przez masę nastroszonych włosów.

– Banda zasańców – powiedział w końcu, ale całe ożywienie wyparowało z jego głosu. – Nie tak to miało wyglądać, ni cholery nie tak.

Zasepieni, zapatrzni w przestrzeń przez upstrzoną owadami szybę, siedzieli na owocach tej płodnej ziemi, na chlebie Wonder Bread, na maśle orzechowym, na margarynie. Marco wciągał głęboko powietrze i leniwie wodził palcem po pokrywie schowka. Norm westchnął ciężko i zaczął się zwierzać ze swoich kłopotów.

Sytuacja była gorsza, niż sądził. Dużo gorsza. Urzędnicy z wydziału zdrowia i stacji sanitarno-epidemiologicznej planowali od ponad roku likwidację Drop City, a spece od pożarnictwa i inspektorzy budowlani popierali ich w tym gorąco. Przez całą ostatnią jesień i początek zimy Norm był ciągnany po sądach, ostatnio zaś używał wezwań jako rozpałki przy paleniu śmieci, bo skończył z tym, miał już tego powyżej uszu, był tak wściekły i wykończony, że postanowił się po prostu poddać i pozwolić tym sukinsynom gryzipiórkom zająć ranczo, zrównać je z ziemią i wybetonować, jeśli tak im na tym zależało. Teraz było jeszcze gorzej: władze nakazały, by usunął z rancza wszystkich mieszkańców i zburzył wszelkie pomieszczenia, które nie odpowiadają normom sanitarnym, grożąc, że w przeciwnym razie nałożą karę w wysokości pięciuset dolarów dziennie.

– Zupełnie jakbym był jakimś administratorem slumsów – powiedział, patrząc przez szybę samochodu na rząd podobnych do prosiąt wózków sklepowych i krzykliwe reklamy detergentów, mięsa i alkoholu, którymi zapchane były witryny supermarketu.

– A co, jest aż tak zapuszczone, żebyśmy tego nie mogli doprowadzić do ładu? – zapytał Marco. – Położyliśmy rury do szamba. Czy to ich nie zadowala?

Mówił tylko po to, żeby słyszeć własny głos, żeby w ogóle coś powiedzieć. Doskonale rozumiał, o co w tym wszystkim chodziło. Nikt nie chciał takiej głośzącej wolności komuny w swojej okolicy, bo ta wolność oznaczała anarchię, oznaczała wysokie na miłą górę śmieci, ludzkie gówna w lasach, oznaczała Sky Doga, Lestera i gitarę roztrzaskaną jak skorupka jajka – nawet gdyby Drop City było na szczycie jakiejś góry w Tybecie, ludzie przy władzy przyjechaliby na swoich wycieczonych jakach, żeby ich zwinąć. I może to nie było takie całkiem złe, może ktoś gdzieś powinien włączyć jakieś hamulce.

– Zablokowali moje konto w Banku Amerykańskim.

Norm obserwował blondynkę w minispódniczce, jak wyjmuje papierowe torby z wózka i umieszcza je z wdziękiem i precyzją w bagażniku oldsmobile'a z niskim zawieszeniem, stojącego w sąsiednim rzędzie. Miała z sobą dwójkę dzieci – malucha dyndającego bosymi tłustymi nóżkami wystawionymi przez otwory w wózku i starszego, może pięcioletniego chłopczyka, który popatrzył na nich uważnie i podniósł rękę w geście pokoju.

– Chryste, spójrz na tego brzdąca, tego mniejszego – powiedział Norm. – Wygląda jak Alfred Hitchcock, no nie? Chociaż chyba wszystkie niemowlaki wyglądają jak Alfred Hitchcock. Albo jak Mao. Może raczej jak Mao. Może raczej tak wygląda.

Marco się nie odezwał. Obliczał coś, plusy po jednej stronie, minusy po drugiej. Zrobił się zbyt wygodny, a powinien był przewidzieć, że tak się stanie. Osiadł w jednym miejscu, zbudował sobie domek na drzewie, wykopał rów do szamba, znalazł sobie dziewczynę – i tu pojawił mu się przed oczami obraz Star, uśmiechniętej jak na jakimś wyblakłym zdjęciu z kalendarza – ale to wszystko było tak ulotne, nic nie trwało długo, bez względu na to, czy się o to walczyło, czy nie. Sky Dog odszedł i to odnotował jako duży plus; było tylko kwestią czasu, kiedy pójdzie w jego ślady Lester. Alfreda mógł zaakceptować albo zignorować, a Pan był może drażniący, ale dało się go przynajmniej kontrolować. Nie, żeby to miało większe znaczenie. Nie chodziło też o stanowisko władz. Sprawa była zakończona i gdyby miał odrobinę rozsądku, rzuciłby wszystko, co narosło wokół niego w ciągu pięciu ostatnich tygodni, i ruszyłby w drogę.

Norm obrócił się na swoim siedzeniu, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Ludzie mówią mi: „Norm, nie możesz przyjmować wszystkich, bo to oznacza katastrofę dla całej reszty”, ale co byś zrobił na moim miejscu? Wszyscy chcą uciec od tego opętanego konsumpcją społeczeństwa i ja nie będę stawał im na drodze, bo nikt nie mianował mnie jeszcze Bogiem. – Znów podsunął okulary na nosie, ale znów ześliznęły się z powrotem. W kabinie zrobiło się gorąco. – Poza tym nie muszę ci chyba tego mówić, bracie, jeśli zaczniesz wprowadzać w komunie ograniczenia, nastąpi zastój, jak u shakerów, amiszów albo innych podobnych. Wszystko obumrze. Po prostu. Nasza społeczność musi być otwarta i należy oddać w ręce Boga sprawę selekcji, w najczystszy gurdzijewowskim sensie. Chyba wiesz, o czym mówię?

– A co ze Sky Dogiem? Co z Lesterem?

– A co ma być?

– Och, daj spokój, Norm, chyba żartujesz. Przecież oni wszystko rozwalą. I takich jak oni jest jeszcze milion, będą napływać tak długo, aż władze wbiją ci osinowy kołek w serce albo wszystko samo się rozsypie. Może to rozwalić nawet taki Jiminy. Albo Star czy ja, którekolwiek z nas. To nie zda egzaminu, dopóki nie wprowadzisz jakichś zasad...

– Jak chcesz regulaminu, to idź pracować do banku. No właśnie, tu wracamy do sedna, te skurwysyny żądają ode mnie zapłacenia jakichś trzech tysięcy dolców z tytułu tych śmiesznych, czy raczej, powinienem powiedzieć, pożałowania godnych, tak, pożałowania godnych kar, i cała ta kwota idzie z ubezpieczenia. W końcu nic nie zostanie, rozumiesz, bracie? I szlus. Finito. Dobranoc i do widzenia.

Upłynęła dłuższa chwila. Z radia wydobywały się musujące kaskady popowego śmiecia, wśród burzy trzasków i zakłóceń rozbrzmiewała piosenka *I Got You Babe*. Głośniki skrzeczały i chrypiały, mimo że samochód nie mógł mieć więcej niż pół roku.

– To dlatego kupiłem to auto – powiedział Norm, jakby czytał w myślach Marca. – Żeby wydać trochę swoich pieniędzy na coś, czego chcę, czego wszyscy chcemy, nie mówiąc już o tym, że możemy wszyscy używać, zamiast oddawać forszę tym palantom z suwakami logarytmicznymi i wykutymi na pamięć przepisami prawa budowlanego. Ale pieprzyć to. Dziś przecież wielki dzień. Czyż nie przyjechaliśmy tu w ważnej misji zakupienia lemoniady?

Istotnie, mieli misję. Marco też nie wybrał się na przejażdżkę – zaczął budować korral dla konia, szpilkogłowego, dzikookiego i tłustobokiego monstrum, które najwyraźniej nie przepadało za takimi wynalazkami jak dwupasmowa autostrada i załadowane cementem ciężarówka z kiepskimi hamulcami, a więc on, Marco, planował, że kupi – za dolary Norma – zwój drutu kolczastego w sklepie z artykułami żelaznymi. Teraz jednak wszystko wydało mu się nagle bezsensowne. Przygnębiony spuścił głowę i zaczął drapać się po brodzie, zastanawiając się mimochodem, czy nie złapał grzybicy od wielkiego, rudego kota, który rezydował na lodówce. Chciał coś zbudować – miał dwadzieścia cztery lata, wyrósł więc z buntów przeciw establishmentowi – ale w Drop City było to niemożliwe. Poczł się nagle ociężały, straszliwie ociężały, miał wrażenie, że za chwilę zmiażdży siedzenie, przebiję się przez podwozie i asfalt i wejdzie w ziemię, docierając do starożytnych rzek, płynących pod jej powierzchnią. Miał ochotę się wyładować, chciał wysiąść i oczyścić swoje płuca, a może i kanaliki łzowe, i już kładł rękę na klamce, gdy Norm chwycił go za przegub.

Gorąco w tym samochodzie. I ten Norm: czarne, brzydkie okulary w plastikowej oprawie, zęby połyskujące przy uśmiechu jak marzenie poszukiwacza złota. Trzymał w górze termos, jakby w nim było rozwiązanie wszystkich problemów, jakby był to klucz, trofeum, święty Graal przyniesiony na srebrnej tacy z wyprawy. Marco odprężył się, wziął z rąk Norma brudną białą zakrętkę.

– Jeden dla ciebie – powiedział Norm, nalewając do pełna, a potem dodał, podnosząc termos tak, że otwór w białym plastiku zniknął w gęstwie jego czarnej brody. – I jeden dla mnie.

W drodze powrotnej Marco nie czuł się wcale naćpany, ale potem nagle go łąnęło. Nie było żadnego mrowienia w kończynach, żadnych zakłóceń przestrzeni, nagłych rozbłysków światła, poczucia utraty osobowości – miał tylko wrażenie, że jest zawinięty w koc, okutany pieluchami i skrępowany, i leży w dzieciennym łóżeczku, jakby była noc i jakby śnił za kogoś jego sny. Norm przynajmniej na razie był cicho. A Marco – Marco nie mógł mówić, nawet gdyby chciał. Nie siedział na przednim siedzeniu volkswagena pędzącego wiejską drogą, z rzeką, która wiała się z tyłu jak jasna trzepocząca chorągiew, ale leżał w pokoju, w budynku na jakiejś farmie, a może w jakimś czynszowym mieszkaniu, które aż pękało w szwach od dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, nagromadzonych tu przedmiotów: kredensów, tapicerskich krzeseł, komód, kołder, pokrowców, bibelotów i świecidełek. Było tam też łoże z baldachimem, zarzucone kocami, a w łożu leżał starzec, wymizerowany i siwiutki, z nosem, który sterczał mu z twarzy, jakby do niego nie należał. Była to banalna scena przedstawiająca człowieka na łożu śmierci, czyjąś przyszłość lub przeszłość, całkowicie banalna, jeśli nie liczyć dysonansu w postaci pary rakiet śnieżnych, przymocowanych do ściany nad łóżkiem. Resztkami świadomości wracał do minionych lat: czy było to zdjęcie, które gdzieś kiedyś widział? Scena z dzieciństwa? Z telewizji? Czy też opuścił własną jaźń i nie mógł do niej wrócić? Tak to bywało z kwasem. Nie lubił kwasu, nigdy za nim nie przepadał, nawet w okresie, gdy lubił narkotyki znacznie bardziej niż teraz.

Norm wymamrotał coś – jakiś nonsens, choć nie, on śpiewał, cicho, niskim głosem, wyśpiewywał tekst w swoim własnym, prywatnym języku – i oto znów byli pod drzewami, a potem na otwartej przestrzeni, i pędzili tak, jakby cały dostępny zmysł świat należał do nich.

– Czujesz coś jeszcze? – zainteresował się Norm. – Bo ja nie czuję już nic, no, może tylko to, że coś się zaczyna. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zapomnieli doprawić soku.

Marco chciał już odpowiedzieć, że na niego podziałało ostro, że miał totalny odlot, jest naćpany i czuje się całkowicie wyzęty, ale nie zdążył, bo nagle nowy obraz wyskoczył z drogi, wielki, ruchomy, czarny kształt, który nie był przywidzeniem, ale czymś realnym i prawdziwym, czymś, co pokonało białe ręce Norma zaciśnięte na kierownicy i udaremniło jego zamiar. I cóż to było takiego? Koń. Koń Charley. Ten właśnie koń, który uzurpował sobie prawo wyłączności użytkowania drogi, teraz potrzasał głupio łbem, a tymczasem Norm bezradnie przesunął rękami po kierownicy i samochód wykonał sztuczkę, jaką widuje się na pokazach akrobatycznej jazdy: przechylił się i z piskiem opon pruł teraz na dwóch kołach.

Na sąsiednim pasie nastąpiła natychmiast gwałtowna kontrakcja. Przechylony samochód Norma i jakiś pick-up, w którym mignęły dwie przerażone twarze, mężczyzny i kobiety, pędziły prosto na siebie. Trzask, błysk, gwałtowny skręt w lewo – Marco zobaczył z prawej strony konia i w tej samej sekundzie nastąpiła pierwsza kolizja, jedno uderzenie otwartej dłoni, wielkiej, stalowej łapy, zbiło Charleya z nóg, po czym nastąpiła druga, potężniejsza, aż zajęczała wyginana blacha. Pick-up – za kierownicą siedział starszy jegomość w bejsbolówce, jego twarz zdawała się odpływać w otchłań zdumienia i grozy – wyrznął w nich z prawej strony, odbił się i wpadł na drzewo, na całą kępę drzew, koń zachwiał się, ale jakimś cudem utrzymał się na nogach, a ich samochód zakreślił szeroki łuk i znieruchomiał na środku drogi.



– Okej – powiedział Norm. – Okej, wszystko jest w porządku – powtórzył, jakby wszystko było zaplanowane, jakby był to kaskaderski popis, zaaranżowany dla uatrakcyjnienia dnia. Jaskrawoczerwona krew ciekła mu z przeciętego łuku brwiowego, zbierała się wokół oka i spływała w dół, niknąc w gęstwinie brody. Okulary pękły na pół, a przednią szybę ozdobił ornament w postaci pajęczej mandali. Jacy sprytni ci niemieccy inżynierowie, myślał Marco, jacy mądrzy – ale czy i po jego stronie nie powinno być czegoś takiego?

Jemu samemu nic się nie stało, takie w każdym razie odnosił wrażenie. Żadnej krwi, wszystkie kości całe. Prawy bark miał trochę sztywny w miejscu, gdzie uderzył się trzy razy z rzędu o deskę rozdzielczą, a kwas zdawał się gotować w jego żyłach tak, że niemal słyszał jego bulgot, ale poza tym nic mu nie było. Otworzył kopniakiem drzwi i opuścił nogi na pobocze, które, o dziwo, prawie wcale nie kołysało mu się pod stopami. Koń Charley stał, drżąc na całym ciele, jakby ktoś go oblał lodowatą wodą. Norm zastygł za kierownicą jak posąg, a starszy pan utknął wraz z małżonką w lesie, o kilkanaście kroków od drogi. Wokół panowała cisza.

Do chwili, gdy zza zakrętu wypadł, ścinając go, następny samochód – monstrualny buick, a może pontiac, z zadem uginającym się pod ciężarem motorówki z nakrapianego błękitem włókna szklanego. Charley wierzgnął dwa razy, opuścił łeb i próbował uskoczyć. Marco słyszał własny krzyk, ale musiał on się przebić przez fale przyływu adrenaliny i rytmiczne pulsowanie kwasu, zatem żadna żywa istota nie mogła go usłyszeć ani zwrócić na niego uwagi, a już na pewno nie koń. Tysiąc funtów końskiego mięsa zważyło się na maskę buicka – choć nie, był to jednak pontiac, bo miał chromowane V z przyspawanym do maski dumnym indiańskim wodzem – i kopyta zadudniły bezsilnie w błotniki. Teraz do akcji włączyła się łódź – wystrzeliła w górę, zatrzymała się na chwilę, po czym z gracją przemknęła po drodze i zatrzymała się, wyrznawszy w zderzak samochodu Norma.

Ktoś kłął głośno. Błuznierstwa wydobywały się przez zaciśnięte zęby zderzenia jak magiczne zaklęcia, te same trzy sylaby powtarzały się w nieskończoność z rosnącą gwałtownością, aż wreszcie przeszły w krzyk i Marco ruszył ku nim przez mur dzielący go od rzeczywistości lub tego, co mogło nią być. I co zobaczył? Uwięzioną za kierownicą pontiaca kobietę z włosami nakręconymi na wálki i ze zniekształconą twarzą. Charleyowi udało się rozpruć sobie brzuch o posązek na masce i przy okazji zawalić dach. Marco usiłował przewyciężyć działanie narkotyku, odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. Uchylając się przed kopytami konia, przed chlustającymi wiadrami jego krwi i szarą masą zapętlonych jelit, otworzył z wysiłkiem tylne drzwi pontiaca. Ujął kobietę – jeden wielki kobiecy krzyk – za ramiona, przeciągnął ją na tylne siedzenie, jakby była przedmiotem, a potem wytaszczył z samochodu na rozkołysane poboczne. Jej usta wyglądały niczym godło, potworny hałas i brutalna siła, stał obok niej, otoczywszy ją ramieniem, gdy tymczasem Charley, wierzgając i miotając się, ześliznął się z samochodu i zaczął pełznąć po skarpie jak gładki czarny mors, który opuszcza brzeg na zawsze. Tym razem już się nie podniósł.

– Marco! – zawołał Norm. – Marco, zrób coś! O kurwa! Co to jest, krew? – Teraz i on stał na drodze, a obok niego starsza pani z mężem i oboje patrzyli dokoła, mrużąc oczy przed światłem, jakby spóźnili się do kina i teraz szukali swoich miejsc. Norm wyglądał dziwnie bez okularów – jakoś nieludzko, a raczej jak nieczłowiek. Znalazł w samochodzie szmatę, podarty podkoszulek, który musiał należeć do któregoś z dzieci, i przyłożył ją do twarzy, żeby powstrzymać krwawienie.

– Pieprzona szkapa – mruknął, szkapa zaś leżała na boku w rowie i dyszała ciężko.

– Mam nadzieję, że nic panu nie jest – powiedział starszy pan, wyskakując jak diabeł z pudełka obok łokcia Norma. Miał bladą ściągniętą twarz i zęby, które jakoś do niego nie pasowały (prawdopodobnie tak zwaną szufladę). – I mam nadzieję, że jest pan ubezpieczony.

Marco zapamiętał jeszcze tyle, że puścił się biegiem. Pół mili wyasfaltowaną szosą do drogi prowadzącej do Drop City, a potem piaszczystą, zrytą koleinami ścieżką w stronę głównego budynku falującego na tle drzew.

– Sprowadź pomoc! – krzyknął mu Norm prosto w twarz.

– Zawołaj Alfreda! Kogokolwiek!

I nagle Marco stwierdził, że biegnie, kłusuje ciężko drogą, ogarnięty jakąś rozjarzoną do białości narkotyczną paniką. Buty uderzały najpierw w twarde podłoże pobocza, potem w piach. Kogoś, kogokolwiek! Przeskoczył przez zmurszały płot i wybiegł na otwartą przestrzeń. Pomyślał, że powinien się uspokoić, zrobić to, czego ludzie oczekivaliby od niego w tej sytuacji – czyli otrząsnąć się, ocknąć, wziąć na siebie jakąś odpowiedzialność. Ale narkotyk nie puszczał. Tkwił mu w gardle, w głowie, ścisnął serce, trawił płuca.

Na werandzie od frontu nie spotkał nikogo, nikogo też nie znalazł w głównej izbie. Ale była muzyka, która rozbrzmiewała jak gdyby dla siebie, głośna, ochrypła, z takim brzękiem blachy, jakby cała orkiestra dęta spadała ze schodów. Ale dlaczego nie mógł rozpoznać melodii? Zobaczył talerze z resztkami jedzenia pozostawione na oparciach foteli, jeszcze wilgotne chińskie pałeczki, jak złośliwe owady przycupnięte obok resztek ryżu, fasoli, tofu, zobaczył okładki płyt sypiące się na ziemię niczym porwane wiatrem odpady z papierni, a w rogu półki z książkami i czarną, lśniąca jak wodne oczko płytę obracającą się na gramofonie. Wydało mu się to dziwne, ta muzyka żyjąca własnym życiem, w domu, w którym nie było mieszkańców. Zupełnie jak w opowieści o duchach. W baśni. Nikogo nie ma w domu, ale talerz jeszcze ciepłej owsianki stoi na stole. Świetlica przedstawiała podobny widok. Tak samo kuchnia. Podniósł wzrok i zobaczył graniastogłowego pomarańczowego kocura, który spoglądał na niego ze swojego stanowiska na lodówce.

A potem, jakby spod muzyki, a raczej razem z nią, dotarły do niego z podwórka ludzkie głosy – jakieś zawodzenie, uciszanie, podniecony gwar i jeszcze raz to samo: zawodzenie, uspokajanie, gwar. Otworzył siatkowe drzwi i zobaczył ich, całą grupę, zebraną wokół basenu. I coś, co wyglądało na leżącą na betonowych płytach bardzo mokrą szmacianą lalkę. Działanie kwasu osłabło na tyle, by mógł odnotować, że rzekoma lalka to jedno z dzieci Reby i że Jiminy uciska jego klatkę piersiową jak wojskowy medyk z korpusu marines w wieczornych wiadomościach, pozostali zaś załamywali ręce lub nurkowali w zielonej toni basenu. Widział, jak Ronnie nabiera powietrza i znika pod wodą, potem zobaczył kudłatą głowę wyskakującego na powierzchnię Alfreda.

– Co się stało? – zapytał, chwytając za ramię pierwszą z brzegu dziewczynę; był tak przejęty Normem i wypadkiem, że w pierwszej chwili jej nie rozpoznał.

– To Che – odpowiedziała Merry. Była naga do pasa, drżała na całym ciele. Namalowane na skórze czerwone i niebieskie pnącza pokrywały jej ręce i nogi jak nabrzmiałe żyły. Oczy zdawały się wychodzić z głowy, unosiły się w powietrzu o trzy cale przed twarzą. – Utopił się, wpadł czy coś i nie możemy... nie wiemy, gdzie jest Sunshine.

Przeraźliwy krzyk przeszył powietrze, koszmar prześladujący każdą matkę.

– Sunshine! – zawodziła Reba, przeciągając ostatnią sylabę tak długo, aż więzła jej w gardle. – Sunshine! Wyjdź, pokaż się, maleńka, to wcale nie jest zabawne! – Miotła się po podwórzu, młócąc wściekle rękami w zbitą, najeżoną ścianę krzaków. Sapała, rozjuszona, wręcz gotowała się wewnątrz. – To nie zabawa. Wychodź, do cholery! Wychodź natychmiast, ty mała zołzo!

– W basenie jej nie ma – powiedział ktoś; wśród ogólnej wrzawy Marco nie rozpoznał głosu.

– A rzeka? Co z rzeką? – Zauważył, że powiedziała to Verbie. Siedziała na mokrym betonie, źrenice miała rozszerzone, włosy przyklejone do głowy. – Czy ktoś przeszukał rzekę?

Ich twarze wyrażały bezradność, nieprzytomne oczy, półotwarte usta, opuszczone ramiona i rozlatane ręce – jak można było oczekiwać, że ktoś cokolwiek dzisiaj zrobi? Był Dzień Druida. Byli wymóddzeni, wszyscy. Oni nie chcieli ratować dzieci, oni chcieli być dziećmi.

– Jak to, rzeka? – zastanawiała się głośno Merry.

– No, rzeka. – Verbie wyrzuciła ramiona w górę, jakby trafiła ją kula na ciemnej scenie. – Mogła utonąć. W rzece. – Do tego momentu trzymała się nieźle, ale teraz najwyraźniej zaczynała świrować. Spojrzała na swoją siostrę, potem na Marca. – Mówię poważnie.

I wtedy pojawiła się Star, jakby znikąd, tłumek rozstąpił się przed nią niczym przed prorokiem, twarz miała kamienną, bosa stopy drobiły po betonowych płytach, miała nagie ręce i nogi, mokry podkoszulek, mokre szorty. Pochyliła się nad bezwładnym ciałem Che, wyciągnęła mu dwoma palcami język, ściskając jednocześnie nos, i przywarła ustami do jego ust, by tchnąć w niego życie. *Masaż serca. Reanimacja. Młodzie ratownicy. Metoda usta-usta*, przypomniał sobie w tym momencie, ale jedyne, co mógł zrobić, to stać i patrzeć w nabożnym podziwieniu, z ramionami opuszczonymi, jakby były dosztukowane. Patrzył na kolana Star na betonowej płycie, patrzył, jak balansuje, opierając się na podszwach stóp. I na jej włosy. Były jak cud rozpostarty nad głową i torsem chłopca, niczym namiot tlenowy, każde pasemko jak palec, każdy palec wyrażał wolę jego wskrzeszenia.

Reszta przeszukiwała tymczasem zarośla, wykrzykując imię Sunshine, jakby to było jedyne znane im słowo, a Norm krwawił gdzieś tam na szosie jak zwierzę, szeryf był już w drodze, społeczeństwo zaalarmowane i zmobilizowane, a mimo to on, Marco, nie ruszał się z miejsca. Przyglądał się włosom Star, patrzył na jej usta przyciśnięte do ust chłopca. Ucisk i zwolnienie, ucisk i zwolnienie. Minął rok. Dziesięć lat. A potem lewa stopa Che zaczęła kopać w betonową płytę i Marco poczuł się wyswobodzony. W następnej sekundzie znów biegł jak wicher, mokre strąki włosów chłostały go po głowie, mięśnie nóg prężyły się, gdy runął po stromym zboczu w dół ku brzegowi, gdzie rosły drzewa madrone, wawrzyn i sosny i gdzie niebo użyzczało rzece światła. I też wypowiedział to słowo, tak samo jak pozostali, jakby mimo woli, wykrzykiwał je tak długo, aż poczuł żar w płucach i zaschło mu w gardle.

– Sunshine! Sunshine!

Nie było odpowiedzi. Ruszył ścieżką wzdłuż brzegu na północ, wypatrując ludzkiego kształtu w wodzie, ale tu, w miejscu gdzie nurt obmywał szeroki rozgadany zakręt, rzeka była czarna i głęboka. Woda przemawiała do niego, ale go nie uspokajała. Słysząc było nawoływania ptaków. Niebo uniosło się na chwilę i zapadło z powrotem. Co spodziewał się zobaczyć – blade ramię falujące wśród naniesionego prądem śmiecia? Widmowe ciało przyciśnięte do skalnego klina dwa metry pod powierzchnią wody?

– Sunshine! – wołał. – Sunshine!



Nawoływał jeszcze wtedy, kiedy ją znalazł. Wołał, ale ona nie odpowiadała. Przykucnęła pod łukowatym sklepieniem wielkiego krzaka, którego gałązki ugięły się pod ciężarem jagód, czerwona smuga na policzku, czerwień rozmazana na ustach, jak u klauna. U smarowane czerwonym sokiem ręce mięły rąbek brudnej białej sukienki. Była boso, miała paciorki na szyi i nadgarstku, włosy zaplecione w dwa luźne warkoczyki, najeżone gałązkami i liśćmi.

– Sunshine – powiedział tylko po to, by usłyszeć, jak to mówi.

Dziewczynka patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem i nie ruszała się. Może śpiewała sobie w duchu, całkiem możliwe, bo wydawała z siebie jakieś gardłowe pomruki i to go trochę zaniepokoiło.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Nie zareagowała.

– Słuchaj – powiedział. Z trudem wydobywał z siebie słowa. – Wszyscy bardzo się o ciebie martwili, twoja mama się martwiła. I tato. I Norm, i ja, wszyscy. – Urwał, żeby wypuścić z płuc powietrze, tylko na chwilę, tylko po to, by zakłócić nudną rutynę wdechów i wydechów. – Zbierałaś jagody, tak?

Nie patrzyła na niego, ale skinęła głową, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– No to teraz zabiorę cię do domu, dobrze? Wezmę cię i zaniosę; chcesz się przejechać? Chcesz, żebym cię wziął na barana?

Wynurzył się z lasu, by spotkać się z powitaniem godnym bohatera; cały klan zebrał się wokół niego, nieśmiałe uśmiechy, nieprzytomny wzrok. Jeszcze jedna tragedia oddalona. Ugotujmy garnek żarcia i wrąbmy to uroczyście, jasne, no i koniecznie puśćmy muzykę. Zaskoczyło go to, że słońce jest tak wysoko – było wciąż wczesne popołudnie, choć wydawało się, że jest dużo później – dla niego była już północ. Reba zdjęła bez słowa dziewczynkę z jego pleców i zaniosiła ją do domu, jakby nic się nie stało. Che nie było nigdzie widać prawdopodobnie był już też w domu, w łóżku, otoczony gromadą rozemocjonowanych kobiet, i to był ten obraz, jaki Marco wolałby zachować w pamięci, ale rozmazana mokra plama na betonie w miejscu, gdzie leżał chłopiec, wciąż tam ciemniała jak element skomplikowanej układania, którego nikt nie potrafił dopasować. Jiminy usadowił się z bongosami na jednej z kanap i zaczął wygrywać powolny posepny rytm. W rękach Marca znalazło się piwo, wciąż zimne po ochłodzeniu w waniencie, potem u jego boku pojawiła się Star. Nie powiedziała słowa, pochyliła się tylko ku niemu i pocałowała go, nie odrywając ust tak długo, aż tchnęła w niego na powrót życie.

Kiedy czarno-biały krążownik szeryfa nadjechał niczym jakiś mechaniczny pies gończy, który węsząc wzdłuż zakrętów podjazdu, zmierzał do głównego budynku, Pan nie doznał żadnych szczególnych uczuć. Dzień przepłynął jakby przez niego: było to całe zamieszanie i histeria, było nurkowanie w nieskończoność, aż o mało sam, cholera, nie utonął, a potem nastąpiło wyciszenie, które wszystkie zmarszczki wygładziło jak gorące żelazko. Bachory Reby zostały uratowane i wskrzeszone i matka albo je ukarała, albo nagrodziła, a może i to, i to – tego akurat był pewien, a przynajmniej wydawało mu się, że jest – potem zaś pojawił się w pewnym momencie Norm z pokrwawionym strzępem szmaty przyciśniętym do jednego oka i w okularach sklejonych grubym, białym kokonem taśmy klejącej. Miał jak zwykle minę z serii „nie pytajcie o nic” i od razu poszedł do swojego pokoju na poddaszu, a zatem ten mały dramat skończył się, zanim zdążył się zacząć, i po krótkim czasie impreza, czyli powszechne wpatrywanie się we własny pępek czy jakkolwiek to nazwać, została wznowiona z całym stosownym namaszczeniem.

Ale tak było przed paroma godzinami. Obecnie Pan był zainteresowany mięsem, w związku z czym zachomikował paczkę hot dogów w głębi lodówki i ukrył osiem gumowatych bułek z supermarketu pod stertą brudnej bielizny w sypialni na tyłach domu, a teraz, kiedy krążownik szeryfa zbliżał się wolno, lecz pewnie do budynku – tak wolno, że nawet nie wzbijał kurzu – myślał o tym, że wkrótce rozpali małe ognisko, a potem wrąbie kilka hot dogów posmarowanych obficie musztardą i polanych słodko-kwaśnym sosem i każdy, kto znajdzie się w pobliżu, włącznie z weekendowymi hipisami i „póletatowcami”, zostanie również poczęstowany.

Siedział na werandzie od frontu, Merry, Maya i Mendocino Bill usadowili się obok niego, a jakiś nowy kot w meksykańskim szalu i wysokim słomkowym kapeluszu rozłożył się na schodkach (miał szmergla na punkcie Kriszny i nie można go było uciszyć, chyba że rąbnęłoby się go w łeb młotkiem, którą to możliwość Pan przez ostatnie pół godziny całkiem serio rozważał). Merry nie miała zamiaru jeść mięsa, Maya też nie, to jedno było pewne. Pewnie zjadłby Mendocino Bill, ale Ronnie miał w dupie Mendocino Billa, więc mu to wisiąło. „Kriszna to miłość”, powiedział ten nowy i w tej samej chwili na kawałek wolnej przestrzeni przed werandą wjechał samochód szeryfa gładko jak stopa wślizgująca się do buta. Wysiadło dwóch gliniarzy, identycznych jak dwa klony.

Przez chwilę stali, rozglądając się badawczo dokoła, dwóch całkiem jeszcze młodych facetów. Jakie wiatry ich tu przywiały? Szczupli, wąscy w biodrach, prawie bezwłosi, wyglądali tak, jakby byli wyhodowani w specjalnych policyjnych szkółkach i Ronnie mógł sobie to nawet wyobrazić: kobiety uwiązane na łańcuchach i byczogłowi mężczyźni, którzy pokrywają je tak długo, aż wydadzą one na świat odpowiedni miot. Hau, hau! Przyjrzał się uważnie ich twarzom, ale nie zdradzały niczego. Natomiast ich oczy, oczy oświetlały każdy mikroskopijny pyłek, reagowały na każdy, choćby najmniejszy gest, na każdy niuans; były to oczy, które widziały przez ściany, przez ubrania, przez ciało i człowiek musiałby być szaleńcem, żeby nie czuć, jak pali ten wzrok.

Kiedy dwoje drzwi samochodu trzasnęło równocześnie, dwa żółte psy wypełzły spod werandy, żeby obwąchać buty policjantów, i Freak, ten z obciętym ogonem, skorzystał natychmiast z okazji, by podnieść nogę i obsikać najbliższe koło. Policjanci nawet nie drgnęli. Przez chwilę prężyli się i poprawiali pasy, muskając leniwie palcami kolby pistoletów, uchwyty pałek i całą resztę swoich parafernaliów służących do rozwalania głów, po czym ich uwaga skoncentrowała się na werandzie.

– Mieszkaś tutaj? – zapytał ten z lewej Ronniego, ale jego zimne niebieskie oczy prześlizgiwały się po Merry, Mai i Mendocino Billu i zapuszczały się dalej, w głąb domu, gdzie panował niezbyt ożywiony, ale widoczny ruch.

Choć na widok samochodu policyjnego połowa mieszkańców Drop City rozplynęła się w gęstwinie leśnej, Ronnie zachował spokój. Nie miał się czego obawiać. Nigdy nie wszedł w konflikt z prawem – szczęście dopisywało mu przy każdej transakcji, każdym ukradkowym łykaniu prochów i każdym szprycowaniu – a kuzyn jego ojca, psycholog, wystawił mu wariackie papiery. Co nie znaczyło, że nie wiedział teraz, o co chodzi tym policyjnym świniom.

– Mieszkam na zielonej planecie Ziemi – powiedział, szczerząc zęby.

– Jasne, człowieku – wtrącił się nowy. – I to Brahma nas tu umieścił, a Wisznu nas ochrania.

– Dokładnie – przytaknęła Maya, a Merry, odrzucając włosy, żeby odsłonić swój pomalowany biust, dodała:

– Wy też tu mieszkacie. Wszyscy tu mieszkamy. Na tej planecie, no nie?

I wszyscy siedzący na werandzie, nie wyłączając nowego, pokazali jednocześnie znak pokoju.

Gliniarz podniósł lśniący but na wysokość drugiego, rozeschniętego i oblażłego z farby stopnia, postawił na nim nogę, oparł się łokciem na kolanie i wbił wzrok w Pana.

– Kto tu jest szefem? – zapytał i jego głos był jeszcze spokojny, tak cichy i spokojny, jakby zwracał się do gromadki czwartoklasistów albo do jakiegoś spoconego miejscowego pijaczka. – Kto jest gospodarzem? Właścicielem?

W tym momencie otworzyły się siatkowe drzwi i na werandę wkroczył Dale Murray, aby zmierzyć się z tym trudnym pytaniem. Dale był przedstawicielem starej szkoły. Jego dewiza brzmiała: żadna chwila na tej ziemi nie jest dostatecznie atrakcyjna, żeby warto było rzec się dla niej narkotyków. Przyniosło go na ranczo w zeszłym tygodniu; przyjechał nocą na zielonej hondzie, która ryczała tak, jakby przymocował do tłumika granatnik. W tej chwili miał na sobie spodnie dzwony w niebieskie i białe prążki, był bez koszuli, muskularny i opalony na brąz. Na szyi miał dzwoneczki, sznury paciorków i poźółkłe zęby jakiegoś nieszczęsnego mięsożercy, do pasa przytroczył gitarę, która wyglądała jak wielki drewniany pas od smokingu. Rzucił każdemu z gliniarzy powitalne spojrzenie i powiedział:

– Słuchajcie, panowie, nie mam zamiaru kręcić i opowiadać, że właścicielem jest tu Pan Bóg i że jesteśmy wszyscy na tej ziemi tymczasowo, pan, ja i pańska żona Loretta, a także Richard Milhous Nixon; nie, nie będę obrażał pańskiej inteligencji i zabierał panu czasu, bo wiem, jak ciężko wy, chłopaki, pracujecie i jakim szajsem częstujecie was zawsze ludzie. – Zrobił pauzę. Twarze gliniarzy stężyły; ten, który stał bliżej i który zadał pytania, cofnął nogę i wyprostował się raptownie. – Nie będę więc kłamał – dodał Dale Murray. – To ja. Ja tu jestem szefem.

Bardziej rozmowny policjant zerknął na pierwszą stronę swojego notatnika, potem podniósł wzrok, by wbić go w Dale'a Murraya.

– Nazwisko Norman L. Sender, zgadza się? Właściciel pomarańczowego volkswagena z pacyfą namalowaną na boku. Kalifornijska tablica rejestracyjna, O-W-S-L-E-Y-1? Zgadza się?

Dale Murray skubał końce długich włosów. Ronnie słyszał, jak oddycha, chrapliwe wdechy i wydechy brzmiały jak skrzyp nienaoliwionego mechanizmu.

– Poszukiwany za oddalenie się z miejsca wypadku – ciągnął policjant – w stanie wskazującym na odurzenie narkotykami. To chyba nie ty, co?

– Nie, panie władzo – powiedział Dale, a siedzący na werandzie spojrzeli na siebie zdezorientowani. – Nie, panie władzo, powtórzył i jego akcent – kowbojski? kmiotka z Południa? – stał się jeszcze wyraźniejszy. – Ja nie powiedziałem, że to ja.

Drugi policjant pospieszył koledze z pomocą.

– Jakiś dokument? – zapytał tonem, którego nic nie uzasadniało. Był to rutynowy bezsensowny głos wymachującego pałą gliiniarza, coś, co nabył razem z odznaką policyjną. – I cała reszta też – warknął. – Chcę zobaczyć jakieś dokumenty.

Nikt się nie poruszył. Gdzieś na skraju spalonego słońcem trawnika, zbyt daleko, by miało to jakieś znaczenie, Verbie żonglowała trzema albo czterema grejpfrutami w smudze słonecznych promieni, a jej siostra płasała wokół niej jak obłąkana, stąpając dumnie i wijąc się w rytmie jakiejś niesłyszalnej melodii. Wszędzie leżały psie gówieńka, całe ich mnóstwo; przypominały miniaturowe kopce termitów, ciągnące się szeregami, które nikły gdzieś w oddali. Dwa samochody z wgniecioną karoserią tkwiły koślawo na połamanych resorach pod ścianą domu, wśród stert śmieci i kamieni. Zza budynku dobiegały odgłosy balowania, dźwięki rock and rolla, jakieś dziwne pluski i krzyki.

– Czy ktoś tutaj ma konia? – zapytał pierwszy policjant, wciskając swoje trzy grosze do luki, którą pozostawił mu jego partner.



W tym momencie Mendocino Bill, całe dwieście pięćdziesiąt funtów żywego mięsa, wystrzelił jak z katapulty ze swego fotela i zapytał:

– A masz jakiś pieprzony nakaz, człowieku?

Zanim cała rzecz się skończyła, wszyscy zebrani na werandzie, nie wyłączając Ronniego, musieli odprawić pokutę. Za ledwie Mendocino Bill otworzył usta, obaj policjanci rzucili się na niego, mimo że Merry, Maya i facet od Kriszny zaczęli śpiewać: „Pokój i miłość, precz z policyjnymi świniami, pokój i miłość”. Ronnie – Pan – próbował obejść gliniarzy jak najszerszym łukiem, ale został przyciśnięty do barierki, kiedy stróże prawa ściągali wielkoluda z werandy, kopali go po nogach, żeby je rozstawił, i wykręcali mu blade tłuste ręce, żeby założyć mu kajdanki.

– Jego tu nie ma – pisnęła Maya. – Norma tu nie ma!

Policjanci nie zwracali na nią uwagi. Nawet specjalnie się nie zadyszeli, zwietrzyli natomiast zapaszek tej wolności, o jakiego wytropieniu mogli tylko marzyć: namierzyli hipisów, całą ich czeredę. I to hipisów stawiających opór podczas próby aresztowania.

Mendocino Bill – podobnie jak Alfredo pyskacz, co to znał się na wszystkim, w czasach szkolnych namiętny czytelnik pisma „Technika Dla Każdego” i bez wątpienia zdolny radiomechanik, a w dodatku wzorowy skaut z wieloma sprawnościami – teraz wił się w pyłe na wzdętej bani swego brzucha jak powalony celnym uderzeniem i wprawiony w ruch wirowy kręgiel. No więc co z tego, że był w Selmie, co z tego, że mógł zjeść cztery talerze kaszy, kiedy inni jedli dwa, co z tego, że należał do bratersko-siostrzanej wspólnoty Drop City, a gliniarze są świniami? Wbrew sobie Pan czuł w głębi duszy dzięk satysfakcję, widząc ponížonego pyskacza – dopóki drugi glina, ten milczący, nie spędził wszystkich z werandy i nie ustawił ich w szereg z rękami na ścianie i rozstawionymi nogami.

– W czym problem, panie władzo? – pytał Dale Murray, kiedy pierwszy policjant klepnął go, by oparł się o ścianę.

– Znaczy się, co zrobiliśmy? Że pożartowaliśmy sobie trochę? O to chodzi? Przecież ja tylko żartowałem. Nie zna się pan na żartach? Chce pan powiedzieć, że żarty to teraz przestępstwo?

– Norma tu nie ma – powtarzała Maya swoim cieniutkim głosikiem. Pochyliła głowę, rękami opierała się o ścianę, wysuszone końce włosów zwisały swobodnie, mówiła do ziemi. Nie grzeszyła urodą – gdyby w Drop City nie było pełnego luzu i wszystkich tych napalonych kotów w rodzaju Mendocino Billa czy Jiminy’ego, nikt by jej nie wydymał przez milion lat.

– Nie ma go. Mówię poważnie, pojechał do Santa Rosa na zakupy i takie różne i nie...

– Czym pojechał? – zapytał policjant, ten pierwszy, który mówił. – Pomarańczowym volkswagenem, zgadza się?

– Nic mu nie mówcie – ostrzegła Merry.

Patrząc na jej twarz, Ronnie stwierdził, że zamknęła się przed całym światem, a jej oczy łzawią, wydalając z organizmu resztki kwasu. Widok jej napiętych nóg, wygiętego grzbietu i pomalowanych piersi, które sterczały naprężone pod wyciągniętymi ramionami, pobudził go dziwnie i nie była to jedynie żądza. Merry była taka jak Star, tylko że lepsza.

– Masz jakiś dokument? – powtórzył drugi gliniarz. – A ty? A ty?

Ronnie pokazał mu swoje nowojorskie prawo jazdy – Ronald Daniel Sommers, 8 Crestview Avenue, Peterskill, Nowy Jork, data urodzenia 12/2/48, oczy piwne, szatyn, wzrost 5’10”, waga 162 funty – i nie odzywał się ani słowem. Policjanci nie interesowali się jego osobą. Ich interesował Dale Murray, który miał sporą porcję marychy upchniętą z przodu w spodniach, w nagrzanym od krocza plastikowym woreczku. A jeszcze bardziej interesowała ich Merry, która od pasa w górę nie miała na sobie nic oprócz farby. Jeśli nawet Norm był gdzieś w pobliżu, kiedy zaczęło się całe zamieszanie, to do tej pory dawno by zniknął – wyszedłby tylnymi drzwiami i przez podwórze do lasu – a bez względu na to, co zrobił z samochodem, gliniarze nie spodziewali się go znaleźć tutaj. Wiedzieli, że nie znajdą nic oprócz trawy Dale’a Murraya, spoconego cielska Mendocino Billa i cycków Merry – co było i tak pokaznym łupem jak na jeden dzień – więc kiedy ludzie zaczęli się znów gromadzić wokół domu i otaczać ich, policjanci wyraźnie spasowali.

Ronnie był wciąż na sporym haju, trzydzieści pięć tysięcy stóp nad ziemią, włączony tempomat, dookoła skłębione chmury – odlot (jak w piosence: *leavin' on a jet plane*) – i nic właściwie nie robiło na nim wrażenia, choć wkurzało go całe to popychanie i poszturchiwanie. Złość – z tego właśnie był ulepiony i kiedy sobie to uświadomił, zjeżył się wewnątrz, choć i tak tylko troszeczkę. Nienawidził gliniarzy, nienawidził Mendocino Billa, Alfreda i Reby, i jej zaćpanych brudnych bachorów o samobójczych skłonnościach, nienawidził swoich rodziców, Star i Marca, i chyba nawet tego kota z tipi tam, na pustyni. Stojąc w promieniach popołudniowego słońca z rękami opartymi o ścianę domu, z braćmi i siostrami u boku i z policjantami, którzy powoli zwijali interes, przeniósł się pamięcią do tego bolesnego, smutnego, pamiętnego dnia, kiedy poszedł szukać Star tylko po to, żeby się z nią zobaczyć, pobyć z nią choć chwilę, i kiedy nienawiść poniosła go przez podwórze, a potem po drabince do domku na drzewie. Ile mu to zabrało czasu – pięć minut? Dziesięć? Wnętrze domku było pustawe, schludne, chodnik na podłodze, książki na półkach, gitara w kącie, plecak, trochę ubrań, szczotka do włosów, obcinacz do paznokci, pasta do zębów. Cały świat wstrzymał oddech. Pan nie odczuwał skrupułów. Pozwolił, by nienawiść narastała w nim, aż dostał torsji, a kiedy wymiotował, gwałtowność spazmatycznych skurczów żołądka zaskoczyła go samego.

Ale dziś był Dzień Druida i kiedy zaczął gasnąć, wszyscy oklapi. Policjanci wpychali Dale'a Murraya do czarno-białego samochodu patrolowego, jakby był jakimś cennym przedmiotem, który mieli zwrócić prawowitemu właścicielowi. Przez dłuższą chwilę świdrowali wzrokiem zebrany tłumek, popatrzyli na Mendocino Billa, rozcierającego uwolnione od kajdanek nadgarstki, i na Merry, która najwyraźniej z nich szydziła, nie otwierając nawet ust, a potem wsiedli do samochodu, zaryczał triumfalnie turbowspomagany silnik i auto odjechało niespiesznie piaszczystą drogą.

Wieczór włókł się niemiłosiernie. Światło gęstniało. Pan opiekał hot doga nabitego na zieloną wierzbową gałązkę, wdychając gryzący dym, Lydia oparła się o kłodę obok niego i zaczęła jeść, jadła, kiedy z lasu wybiegł wielkimi susami Norm. Norm, pomyślał Ronnie, idzie Norm, i poczuł jakiś wewnętrzny skurcz. Ronnie zawsze czuł się zakłopotany w obecności Norma, bo Norm był starszy – także jako kot – i był kimś w rodzaju guru, którego aprobaty potrzebował, choć sam nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę. Zawsze prostował się, kiedy Norm był w pobliżu, i łapał się na tym, że zawsze szpanuje w jego obecności, jakby jedyną możliwą formą obcowania z tym człowiekiem było demonstrowanie luzu. Czy starał się mu zaimponować? Z pewnością. Czy próbował zwrócić na siebie uwagę, szukał jego aprobaty, wyróżniał go? Jasne. Więc i teraz powiedział:

– Hej, Norm, zjesz, bracie, hot doga?

Norm nie zareagował od razu. Wyglądał na oszołomionego, jakby błąkał się po lesie od miesiąca. Nad lewym okiem ciemniała skorupa zaschniętej krwi. Okulary tkwiły mu krzywo na nosie.

– Ten facet – wydyszał. – Był tu ten facet, tak? Pytał o mnie?

Lydia spojrzała znad swojego hot doga. Stopy rozstawionych nóg tkwiły w piachu i widać było jej krocze osłonięte wąskim paskiem obciętych dżinsów. Jest rozlazła, pomyślał Pan, rozlazła i za gruba.

– Wzięli tego nowego, jak mu tam, Dale’a? – poinformowała go. – I nie było nikogo, kto by za niego poręczył albo coś. Alfredo powiedział, że mamy czekać na ciebie.

– Prochy. – Ronnie cmoknął, zafrasowany. Sprawa była poważna. Stał oto przy ognisku i rozmawiał poważnie z Normem Senderem.

– Prochy? – Norm spochmurniał. – Mówisz, że go zrewidowali? Tu, na prywatnym terenie? Na moim trawniku, do kurwy nędzy? Chcesz powiedzieć, że to zrobili?

Niebo rozświeciły ogniste pociski wysyłane przez zachodzące słońce i w powietrzu zaczęły latać nietoperze. Pierwsze komary przypuściły atak. Z pobliskich drzew dobiegło skrzeczenie sójki.

– Zrewidowali nas wszystkich, wszystkich, którzy byli na werandzie.

Norm utkwiał spojrzenie w ciemniejszej sylwetce domu, jakby spodziewał się ich tam jeszcze wypatrzeć. Ronnie wziął bułkę, włożył do niej parówkę zdjętą z patyka i podał mu.

– Chcesz musztardy? – zapytał. – Sosu? Bo mamy też sos.

– Chryste – mruknął Norm. Wziął hot doga bez żadnych komentarzy, bez musztardy, bez sosu, i podniósł go do ust.

– Chryste – powtórzył i zabrzmiało to jak modlitwa. – Oni mnie zabijają, oni mnie po prostu zabijają.

Wionęło w ich stronę dymem, patyki pękały z trzaskiem w ogniu, przesunęli się obaj w bok.

– To przez Billa – powiedział Ronnie, nie mogąc się powstrzymać. – Gdyby nie otwierał tej swojej wielkiej gęby, nic by się nie stało. To on ich sprowokował. „A masz jakiś pieprzony nakaz, człowieku?”. Tak im powiedział.

Norm jadł ze spojrzeniem pozbawionym wyrazu, hot dog wyglądał jak przedłużenie jego twarzy. Lydia podrapała się po wewnętrznej stronie uda, pacnęła leniwie komara i wzruszyła z irytacją ramionami.

– Pieprzone komary – powiedziała. Po czym dodała w zamyśleniu: – Mnie przy tym nie było. Ominęło mnie to.

– Niewiele straciłaś – rzekł Ronnie i zaczął się zastanawiać, gdzie mogła być – pewnie leżała gdzieś na plecach, nabuzowana, i dawała każdemu, kto zdołał odpiąć rozporek. – Jak myślisz, Norm, czy oni tu wrócą?

Pytanie było głupie i Norm nie odpowiedział, a gdyby odpowiedział, to pewnie zgasiłby go też pytaniem w rodzaju: „A gdzie twoim zdaniem będą mnie szukać, w ratuszu?”. Nie odpowiedział, bo jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie – był jeszcze zbyt rozdrażniony i oszołomiony. W rzadkim u niego przyływie empatii Ronnie uświadomił sobie, jak bardzo ten dzień musiał go wykończyć, z tym wypadkiem i widokiem konia wydającego ostatnie tchnienie. A potem musiał jeszcze dać nogę do lasu. Dać nogę. Skąd się wzięło to wyrażenie? Z jakiegoś kowbojskiego filmu? Panowi mignął przed oczami Hopalong Cassidy spinający ostrogą wielkiego białego konia, który galopował przez pole bylicy. Czarno-biały obraz, zaokrąglony, rozmiarów kulistego akwarium dla złotej rybki, ojciec wrzeszczy w kuchni, bo jakiś niewdzięcznik – takiego właśnie używał słowa: niewdzięcznik - zużył cały lód i nie napełnił pojemnika. Norm stał obok, wepchnął resztkę bułki do ust i przeżuwał mechanicznie, a kiedy Ronnie wręczył mu następną parówkę zagnieżdżoną w świeżej bułce, przyjął ją bez słowa.

Była to doniosła chwila i Ronnie rozkoszował się nią. Ale wtedy pojawiła się Reba ze swoją nalaną sześćsetfuntową twarzą; szła przez podwórze blada, bezkrwista jak zombie, utyskując już z odległości kilkudziesięciu metrów, i cały nastrój chwili prysnął.

– Norm – zawołała – słyszałeś? Gliny. Byli tu. Szukali cię.

Norm słyszał. Przecież przesiedział trzy godziny w lesie, pogrążony w narkotycznej śpiączce, z krwią zasychającą na twarzy i w złamanych na pół okularach. A co ona myślała, że chowa się ot tak, dla dreszczyku emocji? Przyglądali się jej wszyscy troje, jak zbliża się do rozbłyaskującego, trzaskającego ogniska.

– Słyszałeś o Che? – zawołała z odległości kilkunastu kroków.



Norm odburknął w odpowiedzi coś, co zabrzmiało jak przytaknięcie. Po chwili była przy nich, kołysała się na swoich tłustych nogach, włosy miała zaplecione w warkoczyki ściągnięte dwiema jednakowymi, różowymi gumkami.

– Nic mu nie jest, szybko przyjdzie do siebie, ale mówię ci, naprawdę napędził nam strachu... Przez chwilę nawet w ogóle nie oddychał. – Nastąpiła pauza i nikt się nie kwapił, żeby ją wypełnić. Oczy Reby były jak haki, szarpały ich, darły, ciągnęły. – Ale z tym Charleyem... – rzekła. – Co za łajza.

– No. Łajza – pokiwała głową Lydia.

Norm spojrzął na jej stopy.

– Wiesz, co się robi z martwym koniem?

– Przestań – powiedział Ronnie.

– Wykorzystuje się go. Jako karmę dla psów, do produkcji kleju, takie tam różne. Nigdy nie lubiłem tego zwierzaka. To był wielki, głupi wór gówna na czterech nogach. Moja była żona uparła się, żeby go kupić. „Masz przecież ranczo, nie? No to powinieneś też mieć konia”. Logika super, co?

Reba stała harda i wojownicza, z rozstawionymi szeroko nogami i rozplatającymi się warkoczami, kobieta, która stacza się raptownie w otchłań wieku średniego. Ronnie dostrzegł dwie pionowe zmarszczki między jej brwiami, ujęte w nawias głębokich bruzd usta; wyszła zbyt młodo za męża, zbyt wcześnie zaszła w ciążę, oto w czym tkwił problem. I czego chciała? Odpowiedzi. Chciała odpowiedzi.

– Więc co zrobimy, Norm? Norm? Przecież wiesz, że wrócą z nakazem przeszukania. Wiesz, że chcą nas zlikwidować. I co wtedy? Dokąd pójdziemy? Alfredo i ja poświęciliśmy dwa lata życia temu miejscu, tak to wygląda. I zamierzaliśmy tu pozostać do końca życia – także życia Che i Sunshine.

– Odwróciła wzrok, jakby nie mogła znieść jego widoku, tych opuszczonych ramion, zakrwawionej twarzy i sklejonnych okularów, a potem podniosła głowę i znów spojrzała mu w twarz. – Więc co będzie, Norm? Co teraz zrobimy?

Pan nadział kolejną parówkę na patyk i wsunął ją w płomienie. Zlikwidują komunę? Akurat zaczął się tu czuć dobrze. Pewnie, niektórzy bracia i niektóre siostry byli jak drzazgi w dupie, ale wszyscy go tu znali i po raz pierwszy w życiu miał wreszcie jakiś cel, czy ktoś chciał to przyznać, czy nie – był tu zaopatrzeniowcem, a przynajmniej jednym z nich. Jednym z głównych. Upolował sarnę, czyż nie? I przepiórkę, ustrzelił też przepiórkę. I ryby – bez przerwy łowił ryby i nawet wegetarianie nie mogli narzekać. Jedli za darmo, a przecież po to właśnie wrócili do natury, czyż nie?

Słowa Reby zawisły w powietrzu, oskarżycielskie, domagające się odpowiedzi, tragiczne, żalose: Co teraz zrobimy?

Norm nie wpatrywał się już w swoje stopy. Drgnął, jakby się ocknął, wetknął resztkę drugiego hot doga do ust i odgarnął włosy do tyłu. Miał trzydzieści siedem lat. Zaczynała mu siwieć broda. Jego palce u nóg były tak powykrzywiane, że wyglądały jak przyszyte.

– Co teraz zrobimy? – powtórzył. – Zwołamy naradę, oto co zrobimy.

Ta narada w niczym nie przypominała poprzedniej. Całe powietrze uszło z dnia, powoli, chyłkiem, i to wykańczało tak, że nawet nie warto się było nad tym zastanawiać. Zanim Norm ogłosił zbiórkę, połowa mieszkańców Drop City była już kompletnie zaćpana i zjarana. Ludzie powyciągali się na sofach, poplamionych materacach, śpiworach, na posłaniach z sosnowych gałązek i rozłożonych fotelach powyjmowanych z samochodów. Z wymizerowanymi twarzami i włosami w strąkach, odsypiali skutki jednoczesnego otwarcia aż tylu drzwi swej świadomości. Star spała właśnie, przytuliwszy twarz do łagodnie unoszącej się piersi Marca, kiedy do domku wspięła się po drabince Verbie i kazała jej wstawać w związku z ogłoszonym przez Norma pogotowiem. Wszyscy – i to bez wyjątku – mieli się zameldować w świetlicy w ciągu piętnastu minut.

Star nie wiedziała, co myśleć. Była na drzewie, z Markiem, zasnęła – to było dla niej jasne. Cała reszta jawiła jej się jako jeden wielki chaos. Zdawało się, że jest środek nocy, ale na zewnątrz było jasno i zupełnie nie umiałyby powiedzieć, czy to świt, czy zmierzch. Światło nie miało źródła ani kierunku po prostu było, szare i gęste jak woda – konary dębu zawisły w nim niczym jakaś superstruktura z marzenia sennego. Ale jej się nic nie śniło – nie pamiętała nawet, kiedy zasnęła. Szukała jakiejś odpowiedzi w koronie drzewa, ale były to tylko gałęzie, wiszące nad jej głową żebra dębu. Wydzielaly zapach żołądźci, cierpki i ostry, i nie potrafiła powiedzieć, czy jest to zapach poranka, czy wieczoru. Ptaki śmigaly wśród gałęzi jak ciskane niewidzialną ręką czarne kamienie. Marco się nie obudził. Nie mogła znaleźć majtek – ani szortów – a do tego coś ją pogryzło; cały sznureczek czerwonych płamek ciągnął się przez brzuch i znikał pod piersią. Gdzie się podziały buty? Usiadła i rozejrzała się dookoła.

Nagle ogarnął ją lęk. Pogotowie? Jakie pogotowie? Przywołała w pamięci obraz chłopczyka, Che, ze skołtunionymi i splątanymi włosami, skórą koloru oliwy gęstniejącej na patelni i z oczami zassanymi w głąb oczodołów, jakby chciały się tam schować na zawsze, poczuła jego zimne wargi przyciśnięte do swoich, wargi przypominające parę kopulujących dżdżownic, ciało pozbawione wewnętrznego żaru – ale czy to wszystko nie zostało już załatwione? Czy go nie uratowała? Czy nie uratowała dnia?

To nie był poranek. Byłoby zbyt pięknie. Zmierzchało i już to wiedziała. Wyczuwała w powietrzu, słyszała w swarliwym i pobrzmiwającym skargą tonie ptasiego śpiewu. To był Dzień Druida, najdłuższy dzień w roku i zarazem najgorszy, zdecydowanie najgorszy. I wciąż trwał. Marco leżał obok niej, z włosami na twarzy, prawą, zaciśniętą w pięść rękę podniósł do skroni, jakby zasłaniał się przed ciosem. Wsłuchiwała się przez chwilę w jego oddech, chłonęła wolny, lecz pewny rytm tego oddechu, jego splatanie się i rozplatanie – a potem potrząsnęła nim, żeby go obudzić.

– Co jest? – zapytał, podpierając się na łokciach, tak że mogła go zobaczyć całego.

– Norm. Jakiś alarm. Norm zwołał zebranie.

– Alarm? O tej porze? Która godzina?

– Chyba dziewiąta, nie wiem. Myślałam, że jest rano.

– Co się stało, pompa nawaliła czy co? Czekaj, niech zgadnę: Rebie znów zginęły dzieci. Albo coś z Panem? Wpadł do ogniska, piekąc kiełbaski, i osmalił sobie uszy?

– Verbie nic nie mówiła. Ale wyglądała na wystraszoną.

Chciał ją z powrotem wciągnąć do śpiwora, ale odsunęła jego rękę.

– Boję się – powiedziała. – Po tym dzisiejszym... no wiesz, te dzieci, koń. I w ogóle. Nikt tu już nad niczym nie panuje, Marco. Nikt.

– No tak – odpowiedział z uśmiechem tak nikłym, że ledwie widocznym. – Ale czy nie o to właśnie chodzi?

Główny budynek był rzęsiście oświetlony światłem elektrycznym, światłem, o które Norm i Alfredo zawsze robili awantury, nakazując, by je oszczędzać – „Świece, ludzie, używajcie świec!” – i kiedy Star i Marco weszli po wytartych stopniach na werandę, mieli wrażenie, że deski podłogi umykają im spod nóg, tak jakby cały dom miał się za chwilę zawalić. Widziała żłobione drewno futryn, wystrzępioną siatkę w drzwiach, miejsce, gdzie dotyk dziesięciu tysięcy rąk wytarł farbę wokół klamki i zastąpił ją brudem, ludzkim brudem – widziała wszystko z wielką wyrazistością, choć jednocześnie czuła coraz silniejszy ból głowy, pulsujący, nieubłagany, budzący się właśnie i przenikliwy jak wrzask, ból głowy, który groził rozsadzeniem czaszki od wewnątrz. To właśnie robił z człowiekiem kwas, to była cena, jaką się płaciło. Otwórz swoją świadomość, dostarcz jej pokarmu. Pewnie. A kiedy się ockniesz, będziesz się czuł tak, jakby fale wyrzuciły cię na brzeg i pozostawiły tam, byś skonał.

Trzymała Marka za ramię, żeby nie upaść, siatkowe drzwi zatrzasnęły się za nimi i weszli do pierwszej izby, która przypominała wnętrze zakładu pogrzebowego – bez muzyki, bez świec, nikt też nie grał w szachy ani w warcaby, nikt nie czytał usadowiony w fotelu z brudnym, zatłuszczonym obiciem. Ale panował tu bałagan – poniewierały się gazety, czasopisma, brudne talerze, kubki i szklanki, czyjaś koszula w prążki, para zabłoconych butów – a tam, gdzie był bałagan, tam toczyło się życie. Jakby dla podkreślenia tej prawdy psy wybrały ten właśnie moment, by wpaść do izby, machając ogonami, i obwąchać jej ręce. Z sąsiedniego pomieszczenia sączył się szmer przyciszonych głosów.

Byli tu prawie wszyscy; większość siedziała po turecku na podłodze, z pobladłymi twarzami i pustymi, nieobecnymi spojrzeniami. Ludzie pocierali skronie, krążył dzbanek z mrożoną herbatą lub colą, nie mogła się zorientować, dłubali bezmyślnie w uszach lub między palcami nóg, część leżała w tym morzu ciał, jakby uczyli się pływać lub lewitować. Alfredo i Reba siedzieli z przodu, Reba paliła papierosa, robiła mężowi jakiś wykład i kreśliła coś w powietrzu rozżarzonym czubkiem skręta. Ronnie, Merry i Lydia tonęli w stertach poduszek po drugiej stronie izby, a Jiminy siedział zgarbiony przy stole, w towarzystwie Verbie, jej siostry, Harmony’ego i Alice.

Star zastanawiała się, jak wygląda – od wielu dni nawet nie przeszła obok lustra. Wchodząc do izby próbowała rozczesać palcami włosy, wygładzając je na ciemieniu i odgarniając luźne pasemka za uszy. Miała porcelanowe kolczyki – parę błękitnych delfinów z namalowanymi uśmiechami – i zdawało jej się, że ich ciężar rośnie z minuty na minutę, aż w końcu zrobiły się ciężkie jak cegły. Czuła, że rozrywają jej małżowiny, ale nie mogła wykrzesać z siebie nawet tyle energii, żeby je zdjąć. Wcześniej nie udało jej się znaleźć sandałów, ale i tak większość współplemieńców była boso, więc tym się specjalnie nie przejmowała. Ale jej T-shirt i dżinsowe szorty były wilgotne, aż lepkie; kiedy je ostatnio prała? Kiedy w ogóle prała cokolwiek? W skroniach jej tętniło, nagle znów poczuła strach – o siebie, o Marca i o całe Drop City, o wszystkie zagubione neurony i uszkodzone synapsy całego kontynentu, pełnego ćpunów, iglarzy i kotów z tipi. Bum – zadudniła jej w skroniach tętniąca krew. Bum, bum bum.

Wymieniła niemrawe pozdrowienia z paroma osobami, pomyślała, żeby przejść przez salę do Merry, ale nagle poczuła taką słabość, jakby rozpuściły się jej kości.

– Usiądźmy tutaj – powiedziała do Marca i przycupnęli na podłodze tuż przy drzwiach, no bo w gruncie rzeczy czy nie wszystko jedno, gdzie siedzieli? Norm nie ogłosił pogotowia bez powodu – miał do przekazania jakieś złe wiadomości i było bez znaczenia, czy wysłuchają ich na stojąco, czy na siedząco, z boku, czy z rozgrzanego do czerwoności, rozjarzonego środka.

Patrzyła, jak Alfredo podnosi się i odwraca twarzą do zebranych. Jego oczy miały jakiś matowy połysk, jakby zostały pomalowane i nie zdążyły wyschnąć. Ostre światło z góry uwypuklało kości policzkowe i nadawało mu wygląd ukrzyżowanego Chrystusa z wielkiego fresku nad ołtarzem w kościele w jej rodzinnych stronach. Nawet w najlepszych czasach Alfredo miał wydłużoną twarz, ale teraz wydawała się ona wręcz tragiczna.

– Słuchajcie, mamy problem – powiedział i zabrzmiało to jak pieśń pogrzebowa. – Dotyczy on nas wszystkich, a zwłaszcza Norma, ale w ostatecznym rozrachunku nas wszystkich, i Norm poprosił mnie, żebym wszystkich zebrał, bo chciałby powiedzieć parę słów...



Ledwie go słyszała przez to pulsowanie w czaszce. Czula się tak, jakby jakieś kleszcze opuściły się z sufitu i zacisnęły na jej skroniach, a potem uniosły ją powoli i nieubłaganie w powietrze. Zupełnie jak w tych automatach, w których można takimi szczypcami wyłowić nagrodę ze stosu błyskotek. I ona była taką nagrodą, złotym, a tak naprawdę mosiężnym pierścieniem, szczypce ścisnęły ją mocno, a ona marzyła tylko o dammie albo jeszcze lepiej seconalu, o czymś, co mogłoby uśmierzyć ból. Kiedy zebranie się skończy, poprosi Ronniego – on zawsze umiał coś poradzić i zawsze miał gdzieś schowany mały zapas na własny użytek. Wpatrywała się w swoje zaplecione ręce i usiłowała się skoncentrować na tym, by wyglądać normalnie. Albo po ludzku. Choćby tyle.

Alfredo nawijał dalej:

– Bracia i siostry, tkwimy w tym wszyscy i zwłaszcza teraz musimy się trzymać razem...

Nachyliła się do Marca i poczuła, że ogarnia ją nagła fala irytacji.

– O czym on mówi? O tym wypadku? O to chodzi? Czy Norm nie może po prostu zapłacić mandatu czy coś w tym rodzaju?

Marco odgarnął kosmyk włosów za ucho, pogładził brodę nieupierzcioną dłonią (nie uznawał żadnej biżuterii, nie dla mężczyzn, choć kiedyś widziała, że włożył pomalowane drewniane paciorki, które mu podarowała, co było chwilowym naruszeniem tej zasady). Siedział w pozycji lotosu, ze skrzyżowanymi nogami i wygiętym grzbietem, tak doskonały jak ilustracja w jednej z broszurek Swami Kriyanandy, które rozdawał wszystkim Norm – *Joga, to łatwe, Osiem kroków ku iluminacji, Mówi Swami*.

– Nie – odparł Marco. – To coś o wiele więcej. To... a zresztą nie wiem. Nie chciałem ci tego mówić, w każdym razie nie dziś, ale chcesz znać prawdę? To już koniec i tyle. Próbował mi to powiedzieć dziś rano, kiedy pojechaliśmy po lemoniadę i inne rzeczy – po drut na zagrodę, który, nawiasem mówiąc, został w samochodzie, gdziekolwiek teraz ten samochód jest. To zresztą bez znaczenia.

– Koniec? – Szukała jego spojrzenia, ale umknęło w bok. – O czym ty mówisz?

Wtedy właśnie rozbrzmiał w sali donośny głos Norma i wszyscy podnieśli wzrok. Norm stał w drzwiach kuchni, obejmując Premstar.

– Konia! – zawołał. – Królestwo za konia! – Wystarczyło tylko to, ta jedna fraza, żeby całun, który narzucił na nich Alfredo, rozpułnął się bez śladu i żeby wszyscy – nawet Reba, nawet sam Alfredo i chłopak od Kriszny – roześmiali się głośno. – Albo ognia – dodał Norm, wyciągając wielkie cygare z wewnętrznej kieszeni kurtki. – Czy ktoś ma zapalki? Czy może zapomnieliście, że miało być ognisko? To najdłuższy dzień, kochani, najdłuższy dzień!

Ognisko. Oczywiście. Szmer przebiegł przez salę. Norm potrafił tego dokonać – obudzić ludzi, ożywić ich, zmienić wibracje u wszystkich zebranych – wystarczyło, że wkroczył na scenę. Star zauważyła, że – alarm czy nie alarm – ubrał się też specjalnie na tę okazję: zamszowy kapelusz z szerokim rondem i rzemykiem pod brodę i również zamszowa kurtka z frędzlami. Zamsz miał kolor ciemnego bursztynu, miodu na dnie słoja. Dopełniała stroju zawiązana na szyi niebieska bandana. Ale to nie wszystko: okulary były sklezione taśmą, a lewą brew przecinała biała krecha plastra; nie wyglądał już jak ofiara wypadku, inwalida czy ktoś w tym rodzaju, ale jakoś tak – Star nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, ale w końcu znalazła – zawadiacko. No i ta Premstar. Była tu już od tygodnia i nie robiła nic, tylko chichotała i nadszkiwała Normowi, typowa nadmuchiwana lala. Teraz stała obok niego ubrana w zwiewną, białą szatę jak niewinne dziewczę w filmie o wampirach. A włosy – włosy miała zaplecione w dwa grube blond warkoczki i owinięte wokół głowy tak, że wyglądały jak tort.

Star odwróciła się do Marca i natychmiast poczuła, że kleszcze puszczają.

– Te włosy – szepnęła, czując, że ogarnia ją znów euforia, jakby dostała nowego kopa. – Dopiero to jest moim zdaniem powód do alarmu!

Wszyscy patrzyli, jak Norm prowadzi Premstar do stołu, gdzie wysunął dla niej krzesło z tą przesadną galanterią, wskazującą na to, że dymali się przed dziesięcioma minutami. Potem podał jej skręta i wskoczył na stertę dębowych desek.

– Ludzie! – zawołał. – Bracia i siostry. Cała ta sytuacja to mój zgryz, więc jest mi strasznie przykro, że muszę to zwalić na was akurat dzisiaj wieczoru, i to jeszcze zanim rozpaliliśmy ognisko i zaczęli tańce. I chcę wam powiedzieć, że otrząśniemy się z tego, wiercie mi, będziemy tańczyć tak, jak nikt jeszcze nigdy nie tańczył, odnowimy tradycję zapamiętania się w tańcu, bo ta sztuka podupada już od dłuższego czasu i nie można tego dłużej odrzucać, nie można tego odwlekać, musiałem to tylko z siebie wyrzucić, więc bądźcie wyrozumiali... – urwał nagle.

Nikt nie odezwał się słowem, wszyscy wstrzymali oddech.

Star odszukała rękę Marca i naciągnęła ją sobie na ramiona, jakby narzucała opończę. Serce biło jej teraz w rytmie zgodnym z pulsowaniem w głowie – mały młotek stukał miarowo jak w reklamie telewizyjnej – nie zamierzała wracać do Peterskill bez względu na to, co będzie się działo, nawet gdyby mieli zamknąć Drop City jeszcze tego wieczoru. Zamierzała tu pozostać, dokładnie tu, i nie obchodziło jej to, co mówił Norm, ani to, jak złe były wieści.

Norm schylił się, by przypalić dżojnta Premstar, a kiedy się sztachnęła, przez chwilę przyglądał się z miną właściciela, jak podaje skręta Rebie, po czym wyprostował się i powiódł spojrzeniem po sali.

– Przekazałem wam najpierw złe wieści, ale pamiętajcie, co mówi *I Ching*: „Wytrwałość popłaca”, a wszyscy, co do jednego, bracia i siostry, zrozumiecie, że dobre wibracje przezwyciężą złe i że wytrwamy w swojej misji i filozofii i zatriumfuje miłość i prawda, i piękne wibracje Drop City, i wszystko, co tu osiągnęliśmy, na przekór faszystom, którzy walą w nasze drzwi. – Tu znów nastąpiła pauza. Norm zniżył głos: – Tylko że nas tu nie będzie. Nie będzie nas już na tej farmie.

Jeśli było jeszcze w izbie jakieś powietrze, to teraz zniknęło, wysane przez okno. Nie będzie nas tutaj? O czym on mówi?

– Nieprawda, kurwa! – Jiminy zerwał się z krzesła, długie włosy omiotły mu ramiona. Zaciśnął pięść i walnął nią w stół tuż obok stóp Norma, a potem znów zapadł się w siebie, drżąc na całym ciele. Dla niego ten dzień też nie był łaskawy, Star widziała to wyraźnie.

– To koniec, kochani – westchnął Norm, nie racząc nawet rzucić okiem na Jiminy’ego, ale wyławiając po kolei wzrokiem każdą z osobna twarz, jakby nizał je niczym paciorki na sznurek. – Biurokraci wygrali wojnę. Gryzipiórki, księgowi, „normalsi”. Należymy już do przeszłości i lepiej się z tym pogódźcie, bo wkracza tu świat filistrów.

Wszyscy byli podnieceni. Albo nie, raczej rozwścieczeni.

– Gówno! – zawołał jakiś głos w głębi sali. – Nie pozwolimy im!

– Nie! – włączyła się Maya; dyszała ciężko, okulary błyskały, odbijając światło lamp.

Co z tym światłem, zastanawiała się Star, po co oni dają zarobić elektrowni? Czy Norm specjalnie to zainscenizował? Czy o to właśnie chodziło?

A potem dał się słyszeć głos, który rozpoznała – był jej tak znajomy, jakby przemówiła sama.

– Daj spokój, Norm, wyluzuj, człowieku, nie dołuj nas tak.

Był to Ronnie, stał w drugim końcu sali, twarz wymizerowana, oczy opuchnięte. Wyglądał strasznie. Wyglądał tak, jakby pogrzebali go na tydzień, a potem odkopali. Ale ten głos, ten ton; było w nim coś prymitywnego i desperackiego, to drżenie, które pamiętała z jego nocnych rozpraw o Bogu, o jałowości życia i o tym, jak trudno znaleźć dobrą stację na ultrakrótkich. I zrozumiała w tym momencie, jak wiele to wszystko dla niego znaczy. Ronnie. Pan. Potrzebował Drop City tak samo jak ona.

– Daj spokój, Norm – powtarzał. – Daj spokój.

Norm pochylił na chwilę głowę, jakby już nie mógł znieść tego całego zamieszania. Przeczesał palcami brodę, zsunął kapelusz na tył głowy, tak że bandaż biał jak oskarżenie.

– Buldożery pojawią się tu w ciągu tygodnia. I będzie tak bez względu na to, czy wrócą tu policyjne świny i zamkną mnie, czy nie, bo, powiem wam to wprost, z polecenia sędziego, możecie to sami sprawdzić, a więc z polecenia wielce szanownego sędziego Vincenta T. Everarda będą likwidować wszystkie budynki, które nie odpowiadają wymaganemu standardowi i może według nich, kurwa, nie odpowiadają jakiemuś standardowi, bo dla mnie to jest okej.

– Jasne! – zawołał Mendocino Bill. A potem zaczęli krzyczeć wszyscy i był to jeden pijany, zbity kłęb jazgotu – nie, oni się stąd nie ruszą, będą walczyć, przykują się do bramy – ale Star widziała tylko nagie wzgórza i rumowisko: jurty, budy i plastikowe płyty, wszystko zwinięte jak stary wytarty koc. Ciekawe, czy oszczędzą domek na drzewie? Czy w ogóle go zauważą?

Obraz ten przyplýwał i odpływał, bo właśnie ktoś podał jej dżojnta; przytknęła go do ust i poczuła w jego wilgotnym dotyku smak bratersko-siostrzanej komunii. Wciągnęła w płuca gęsty słodki dym, który miał pokonać ból głowy, powalić go na deski i wyliczyć, napełnić każdą jej komórkę i każde włókienko błogością – błogością, której potrzebowała i na którą zasłużyła, bo czyż nie o to chodziło w jej życiu? Norm gadał i gadał, rozprawiał o miejscowych władzach, o przeciętnym panu Jonesie i plastikowym społeczeństwie, które go spłodziło, o konformizmie, nienawiści, miłości i *I Ching*. Mówił bez przerwy chyba z pół godziny, jego głos nurkował, burzył się i wracał do normalnego brzmienia, aż stał się białym szumem i słowa przestały do niej docierać – miała dość złych wibracji i negatywnych emocji jak na jeden dzień. Dosyć. Wystarczy. Już chciała wstać i powiedzieć: „Wystarczy, prześpijmy się z tym, zobaczymy, co przyniesie ranek”, gdy w izbie zapadła cisza.

Powiodła wzrokiem po izbie, jakby się nagle obudziła.

Norm stał wciąż jeszcze na stole, światło żarówki spływało jak krew po jego twarzy. Właśnie przekazał im dobrą nowinę, obiecał, że ich wszystkich zbawi i wskrzesi Drop City, i zawarł to w trzech połączonych sylabach, które nie zabrzmiały bynajmniej jak obietnica – raczej jak żart lub może senne majaczenie. Nie była nawet pewna, czy dobrze usłyszała, i zanim zdążyła się zastanowić, co robi, podniosła rękę, podniosła rękę i zaczęła machać dłonią, jakby tkwiła nadal w małej, powleczonej pokostem ławce w szkole podstawowej.

– Norm! Norm! – zawołała wśród tumultu. Wszyscy mówili naraz, przekrzykiwali się, ale ona już zerwała się na nogi, on zaś patrzył prosto na nią przez czyste ciężkie szkła sklejonych taśmą okularów, jakby tylko ona była w izbie. – Norm, czy naprawdę powiedziałeś A l a s k a ?

Tak. To właśnie powiedział: Alaska. Powtórzył to dla niej, całe długie, nanizane „Normowe” zdanie, zakończone rzeczownikiem, który uderzył ją jak potężny cios, nazwą tego przywołanego w pamięci, obcego, skutego lodem miejsca, które kojarzyło się obecnym co najwyżej z *Sierżantem Prestonem z Jukonu*, a Jukon chyba nie był nawet na Alasce? Mniejsza z tym. Teraz na scenie królował Norm. Norm był przywódcą i guru i choć nigdy przedtem nigdzie ich nie prowadził, podjął się tego teraz, jego stopy tańczyły, ramiona podskakiwały rytmicznie, wprawiając w ruch zamszowe frędzle, on zaś sprzedawał Alaskę, jakby był jej właścicielem.

– Żadnych przepisów – wołał – żadnego meldowania, żadnych podatków, żadnych pieprzonych urzędasów ani zarządzeń. Chcesz budować, buduj. Chcesz ściąć kilka drzew i postawić chatę w głuszy nad jakimś najbardziej uroczym jeziorkiem na świecie, idziesz i robisz to. I nie musisz się płaszczyć, żeby dostać czyjeś zezwolenie, bo tam, kurwa, nie ma żadnych urzędników – słyszycie, ludzie? Nikogo. Możecie żyć jak Daniel Boone, żyć tak jak pierwsi hipisi, jak nasi pradziadowie i prababki – z tego, co daje ziemia, robiąc swoje, bez pytania kogokolwiek o zdanie. Chwytnie, co wam mówię?

Cisza, głucha cisza. Wszyscy mieli przed oczami psie zaprzęgi i sfałdowane połacie poślubionego płozami śniegu. I jeszcze co? – krab skrzypłocz, niedźwiedzie, Eskimosi, góra McKinley wyrastająca ze ściennego kalendarza jak biała planeta zrywająca się z cumy. On żartował. To musiały być żarty.



– Czyś ty, kurwa, oszalał? – Star odwróciła głowę; tuż za nią stał Mendocino Bill, chwiejąc się na swoich spuchniętych białych stopach, z brodą, która wyciągała mu cały kolor z twarzy. – Czyś ty, kurwa, postradał zmysły? Alaska? Tam jest jakieś pięćdziesiąt stopni poniżej zera. I co zrobimy, zbudujemy igloo jak Nanuk? Będziemy jeść śnieg i sople i popijać foczym tranem?

– Najdłuższy dzień, człowieku – powiedział Norm. – Słońce tam dziś w ogóle nie zachodzi. Widziałem to. Patrzyłem na to przez trzy lata. I wiesz, co to oznacza? To oznacza truskawki wielkie jak jabłka, pomidory jak arbuzy i cukinię taką, że gdyby się ją wydrążyło, można by w niej mieszkać. A to – sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął kolejnego dżojnta, zawiniętego elegancko w bibułkę w czerwone, białe i niebieskie prążki – ten szajs rośnie tam jak sekwoja, tylko nieść do tartaku. Mój wujek Roy – nie wiem, ilu z was o tym wie, to znaczy ty wiesz, Alfredo, i pewnie ty, Verbie – no więc mój wujek ma tam kawałek ziemi i chatę, zaraz pod Boynton, nad Jukonem, na najdalszym krańcu kontynentu, do jakiego można dotrzeć samochodem, w ostatnim miejscu, mówię wam, granicznym punkcie. I z czego jest zbudowane całe miasteczko? Z bali. Wiecie, o czym mówię? Z bali! Mieszkałem tam trzy lata, po tym, jak rzuciłem szkołę średnią zaraz w pierwszej klasie, bo nie mogłem już więcej znieść tego plastikowego, burżujskiego, kapitalistycznego, pieprzonego prania mózgu, i wiem, o czym mówię.

Zerwał z nosa okulary, wytarł je rękawem i włożył z powrotem, po czym podniósł do światła kawałek pożółkłego papieru w linie.

– Widzicie to, kochani? Widzicie to? To jest list od mojego wuja. Od samego wujka Roya, sprzed dwóch miesięcy, i noszę go wciąż przy sobie. Wiecie, co mi pisze? – Zrobił pauzę, żeby potoczyć wzrokiem po izbie. – Pisze, że jest teraz w Seattle, że zamieszkał z innym moim wujem, Normem, moim imiennikiem, bo ma już siedemdziesiąt dwa pieprzone lata i taki okropny artretyzm, że ledwie może utrzymać pióro w palcach. Nie zamierza wracać do siebie, już nigdy, i wiecie, co to oznacza? To oznacza, że chata jest nasza, kochani, z pełnym wyposażeniem, gotowa do zamieszkania, wnyki, strzelby, rakiety śnieżne, sześć sągów drzewa przed domem, komplet garów i własnoręcznie wykonanych mebli i cała reszta, czyli jedna wielka przygoda. Zetniemy trochę drzew, bo tak się to tam robi, budulec jest za darmo, chwytaacie? – za darmo – i zbudujemy jeszcze cztery chaty i świetlicę i postawimy je nad rzeką, bo pływają w niej łososi i to miliony łososi. Jedliście wędzone łososi? Czy ktoś wie, co to jest wędzony łosoś? No i jagody. Żurawiny. Nigdy nie widzieliście czegoś podobnego. Pytacie, co będziemy jeść? Będziemy jeść to, co rodzi ziemia, bo ta kraina to jeden wielki szwedzki stół. Smörgasbord. I nikt, dosłownie n i k t nas nie powstrzyma.

Wszyscy skoczyli na równe nogi jak na jakimś wielkim spędzie, na koncercie, i Star przypomniała sobie występ zespołu Velvet Underground w wypełnionej po brzegi hali w centrum miasta; tu było podobne podniecenie, podobny ładunek energii. Przez salę zdawał się przechodzić prąd, który przenikał i przez nią, nie liczył się już ból głowy, nieważne stały się buldożery, to było coś nowego, szokującego, coś, co przekraczało granice wyobraźni, i kiedy Norm zlął ze stołu, spadła na niego lawina rąk, ramion i włosów, a potem istny grad pytań. Kiedy? Gdzie? Jak? Chcieli to wszystko wiedzieć i gadało tylu ludzi naraz, że równie dobrze mogli mówić w jakichś obcych, niezrozumiałych językach. Verbie cisnęła się do jego boku, Jiminy, z błyszczącymi oczami, stał tuż obok niej. Nawet Reba wyglądała na podnieconą.

– Szczegóły – wołał Norm, przekrzykując zgiełk. – Nieistotne drobiazgi. – Już się rozpędził, już odsuwał od siebie wszelkie racjonalne wątpliwości i praktyczne pytania niedbałym ruchem ręki. W końcu ujął Premstar za ramię i poprowadził ją przez tłum do kuchni, a potem na zewnątrz, na pogrążające się w mroku podwórze, wołając przez ramię jak agitator, który opuszcza plac zebrań. – Ognisko! Do ogniska!

– Ludzie, czy jemu odbiło, czy co? – zapytał jakiś głos i Star poczuła się tak, jakby ktoś popchnął ją brutalnie z tyłu. – Wy naprawdę wierzycie w to gównno?

Patrzyła na Marca, tylko na niego, on też obserwował ją spod kaptura, kiedy wyszli na zewnątrz i owionął ich zapach wilgotnego, nocnego powietrza. Ich spojrzenia się spotkały; uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– No wiesz – powiedział, obejmując ją i przywierając do niej biodrem. – Zawsze chciałem zobaczyć zorzę polarną.

Później, gdy już płomienie strzelały ku czarnemu sklepieniu nieba i ognisko syczało *Alaska, Alaska*, jedyne słowo, jakie wszyscy chcieli słyszeć, słowo-probierz, oznaczające przyszłość, Star poddała się naturalnemu biegowi rzeczy. Stojąc tuż przy ogniu, sączyła z dzbana spańadę i przyglądała się ulatującym w niebo iskrom. Czuliła spokój, skupienie, jakby ktoś zdjął ciężar z jej barków – tak było zawsze, gdy podjęła jakąś decyzję. Całkiem jak kiedyś z Ronniem. Pamiętała, jak wyjeżdżała z nim z rodzinnego miasteczka: książki, płyty i cholerne torby z jedzeniem spiętrzone na tylnym siedzeniu, śpiwory, sprzęt kuchenny, jedyny dom, jaki znała przez trzy czwarte swojego życia, nikt nie we wstecznym lusterku, matka biegnie boso po ulicy i wykrzykuje na cały świat, że ona, Star, zmarnuje sobie życie. Twarz matki widoczna była za szybą, jeszcze gdy dojechali do następnego rogu, Star widziała ją też teraz, lśnienie jej wilgotnych oczu, wszystkie bruzdy i zmarszczki długiego dnia i długiego tygodnia zmobilizowane, by wyrazić ból – „Paulette, zmarnujesz swoje życie, całe swoje życie!” – ale tamtego dnia też była spokojna. Postanowiła odejść i tyle.

Słodkie, chłodne wino masowało jej łagodnie gardło i kondensowało ból głowy, aż zamienił się w twardą, czarną piłeczkę z kauczuku, która spoczęła gdzieś na marginesie jej świadomości. Stała w grupce ludzi – był tu Marco, Norm, Alfredo, Reba, Harmony, Deuce, wszyscy gadali naraz, omawiali kwestię zaopatrzenia, mówili o Alasce – i w pewnej chwili zamknęła oczy, dając się ponieść wezbranej fali, która płynęła przez Drop City nawet teraz, gdy Dzień Druida przeobraził się w inny – następny – który także był świętem. Bo świętem był na pewno. Czyż nie mieli ogniska? Czy nie mieli drągów, wina, piwa? I czy nie zamierzali tańczyć do upadłego?

Tuż przed rozpaleniem ogniska, kiedy wszyscy zebrali się na łące, by zobaczyć, jak Norm wymachuje obrzędową pochodnią i wygłasza jeszcze jedną ze swoich odrzutowych mów – „Cząstkę siebie, kochani, niech każdy podejdzie i wrzuci cząstkę siebie do stosu pogrzebowego starego Drop City” – Merry zdjęła atlas z półki w kuchni, gdzie tkwił wciśnięty między *Katalog zdrowej Ziemi* i *Rozkosze gotowania*. Star weszła tam, by napełnić swoją szklanę, w kuchni były też Lydia i Maya, które rozgniały awokado na sałatkę guacamole. Stały przy kuchennym stole i patrzyły, jak Merry wodzi palcem po mapie Alaski i znajduje czarny punkt przy niebieskiej rzece; ten punkt to było miasteczko Boynton.

– To tutaj – powiedziała. – Drop City Północ. – Wszystkie trzy pochyliły się, żeby stwierdzić, że to miasteczko rzeczywiście istnieje, jest miejscem jak każde inne, ich miejscem przeznaczenia. – I popatrzcie – dodała, mierząc odległość paznokciem. – Tu jest Fairbanks. I och, Nome.

Żadna nie powiedziała słowa, ale wszystkie najwyraźniej ogarnęła ta sama gorączka. Wszystkie odbyły kiedyś podróż, żeby się dostać tutaj – to była część programu, obejrzeć kraj, świat, zanim człowiek zwiędnie i uschnie jak jego rodzice.

Lydia pochodziła z Sacramento, ale była w Puerto Vallarta, Key West i w Nowej Szkocji, a Maya przywędrowała autostopem aż z Chicago. Merry była z Iowa, a Star przebyła Wielką Równinę, Góry Skaliste i pustynię – te ciągnące się całymi milami, pokryte brązowym pyłem połącacie – i to było nic, zupełnie nic. A teraz pojawiła się szansa wyjścia poza mapę, zobaczenia ostatniego i najlepszego miejsca, zyskania prawa do przechwałek na całe życie. A więc byłeś na Bali, na Riwierze Francuskiej, na Wybrzeżu Kości Słoniowej? Tak? No cóż, ja byłam na Alasce.

No ale co z muzyką? Czy nie będzie tańców? Czyż Norm nie powiedział: „Będziemy tańczyć tak, jak nikt jeszcze nigdy nie tańczył”? Otworzyła raptownie oczy i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był rozebrany do pasa Ronnie, który stał po drugiej stronie ogniska obok Dale’a Murraya, z piwem w jednej ręce i pogrzebaczem w drugiej. Była ciekawa, co Ronnie sądzi o tym wszystkim, bo w pewnym sensie pozostawał jej łącznikiem z domem, bez względu na to, co się działo, i teraz jego widok, jego neutralny, wprost nieludzko spokojny wyraz jego twarzy sprawił, że na chwilę zwątpiła – czy wchodził w to, czy zamierzał się włączyć? Czy też zgasi ich wszystkich jakimś zjadliwym komentarzem i wymknie się tylnymi drzwiami? Przytuliła się do Marca.

– Zaraz wrócę – szepnęła, ale Marco był już na Alasce, przynajmniej w wyobraźni – „Błoto i mech? Chcesz powiedzieć, że to najlepsza izolacja?” – i w ogóle jej nie usłyszał.

Okrzyżła ognisko w chwili, gdy bracia i siostry zaczęli wylaniać się z mroku i wrzucać w płomień gałęzie, szczapy i śmieci. Jiminy i Merry wychynęli z nicości, niosąc porzucony fotel, który dotąd spokojnie zapadał się w siebie pod werandą. Zobaczyła też chłopaka, którego wszyscy nazywali Niesamowity George – cień człowieka, prawie wcale ciała – jak taszczy przez podwórze rozwidlony konar powalonego drzewa.

Ronnie stał oświetlony jak płonąca żagiew, z twarzą podobną do karnawałowej żółto-czerwonej maski i z dwoma bliźniaczymi ogniskami odbijającymi się w oczach. Przystanęła na chwilę obok niego, przypatrując się rozżarzonemu szkieletowi ogniska, przypominającemu obraz z aparatu rentgenowskiego.

– Hej – pozdrowiła go.

Odpowiedzieli chórem razem z Dale'em Murrayem.

– O, wypuścili cię – powiedziała, patrząc na Dale'a. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Aha. – Pochylił się, żeby splunąć. – Ale nie zawdzięczam tego wam. Żadnemu z was. Gdyby nie mój kumpel – wskazał głową i spośród szamoczących się cieni nocy wynurzył się profil Sky Doga z butelką piwa przy wargach, niczym przypięty medalion – do tej pory srałbym ze strachu w gacie w tutejszym pierdłu. To on poszedł do poręczyciela, żeby mnie wypuścili za kaucją. Czy trzeba być geniuszem, by na to wpaść?

Star nie odpowiedziała, tak zmroził ją widok Sky Doga. Myślała już, że z nim sprawa skończona, że teraz pójdzie gdzieś, żeby nękać jakąś inną rodzinę swoim ego i egoizmem, i tą swoją miłością, która nie była wcale miłością, tylko pustym słowem. Nie odpowiedział na jej pozdrowienie, tylko dopił piwo i cisnął butelkę do ognia.

Rozległ się trzask, jakby ktoś strzelił z pistoletu. Płomienie syknęły i zahuczały.

– No i co myślisz? – zapytał Ronnie.

– Mówisz o Normie?

– Tak, o Normie. Pytasz, jakbyśmy mogli teraz rozmawiać o czymkolwiek innym.

– Znaleźliśmy na mapie to Boynton. To miasteczko istnieje naprawdę. Tak jak te wszystkie miejscowości z mapy, które widzieliśmy, jadąc tutaj. – Nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać ze śmiechem: – To punkcik. Mały czarny punkcik.

– Jakie większe miasto jest w pobliżu?

Teraz ona była ekspertem, rzeczniczką starej Alaski, ale tu jej wiedza się kończyła.

– Fairbanks. Jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście mil.

– Można tam łowić ryby. – Ronnie mówił teraz sam do siebie. – Lipień, górski pstrąg, łosoś królewski długi jak ludzka noga. Można ustrzelić łosia. Niedźwiedzia. Właściwie to muszą odstrzeliwać niedźwiedzie, wszyscy to robią, co roku. A wiesz po co? Dla tłuszczu. Bo tam nie możesz ot tak sobie przejść się do sklepu i kupić margaryny czy oleju albo czegoś innego...

– A co z kozami? – zapytała i zobaczyła oczami wyobraźni kozy słoczone z tyłu w studebakerze, jak zasrywają wszystko dookoła, śmierzdzą, ślinią się, robią z samochodu prawdziwe zoo.

– Chyba zabierzemy kozy, nie? – No i stało się, *fait accompli*, powiedziała: z a b i e r z e m y.



– E, stary, chcesz jeszcze piwa? – oświetlona ostrym światłem, obrzmiła twarz Dale’a Murraya nachyliła się ku nim. Ronnie podniósł próbnie butelkę, potrząsnął nią dwa razy i błyskawicznie ją opróżnił. – No jak tam, Star? – zapytał Dale Murray.

Jego głos złagodniał, brzmiał teraz rozsądnie, nawet uwodzicielsko. Czyżby to była propozycja zawarcia pokoju – w końcu to nie ona wpakowała go do pudła, nawet jej przy tym nie było – czy też chciał ją wydymać, jak cała reszta „kotów”?

– W porządku – odpowiedziała i Dale zniknął w mroku. Pociągnęła łyżeczek ze słoika i zapytała Ronniego: – Co się stało z twoją koszulą?

Ronnie odwrócił głowę i zapatrzył się w dal. Wzruszył ramionami.

– Wrzuciłem ją do ogniska. Norm powiedział, żeby się pozbyć złego szajsu, no nie? Szajsu ze złymi wibracjami. Żeby zostawić wszystko za sobą, przecież tak powiedział, nie?

Milczała przez dobrą minutę.

– Koszulę, którą ci uszyłam? – zapytała w końcu.

Znów spojrział na nią, wzrokiem równocześnie pogardliwym i oskarżycielskim. Skubał nerwowo paciorki na szyi.

– A ty co wrzuciłaś do ognia, może kukłę, która mnie wyobraża, jak w wudu? A gdzie ta bransoletka z turkusami, którą ci kupiłem w Sedonie? Nie widzę, żebyś ją nosiła...

– Okej, posłuchaj, przykro mi, kocham cię, naprawdę, ale musisz zrozumieć...

– Co mianowicie?

– Marco. Jestem teraz z Markiem i to wszystko.

– A kimże on, kurwa, jest? Ja cię znam od liceum. Chryste, przecież przyjechaliśmy tu razem, mieliśmy tyle przygód, nie pamiętasz? To dla ciebie nic nie znaczy? – Pochylił się, żeby rzucić pustą butelkę w płomienie, znów rozległ się trzask, gdy pękła od żaru ogniska. – Kurde, ja nawet nie wiem, czy naprawdę chcę jechać na tę Alaskę, jeśli ma być tak, jak jest. Znaczący, zabieramy studebakera czy nie? A Marco, co z nim – on przecież nawet nie ma samochodu, zgadza się? Nie mówiąc już o całej reszcie. Jak się tam mamy dostać?

I co to słyszała wczoraj w kuchni z ust Lydii? „Ja nie oglądam pornografii, ja ją uprawiam”. Właśnie. „Koty” i cipki. Wolna Miłość. W Ronniem było tyle gówna, że aż wyłaziło mu uszami. Ujęła go za rękę i ścisnęła.

– Star i Pan – powiedziała.

– Wiesz, myślałem, że podeszłaś, żeby zapytać, czy nie mam jeszcze tych prochów uspokajających, bo znam cię jak własną kieszeń i czułem, że będziesz się chciała dziś wyspać, zgadza się?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Czytasz w myślach.

– Będziesz musiała iść ze mną – powiedział, klepiąc w zamyśleniu kieszeń swoich dzinsów. – Dostałem prawdziwego szmergla i schowałem wszystko pod kamieniem w lesie. To jakieś trzy minuty drogi stąd.

Po chwili zagłębili się w mroku nocy, która wchłonęła całe światło jak czarna dziura. Star wyczuwała drogę bosymi stopami. Palce Ronniego zacisnęły się na jej ręce, przywierając jak magnesy. Przeszli przez pole i zagłębili się w lesie; wzrok zaczął jej się przyzwyczajać do ciemności i teraz spostrzegła, że świeci księżyc, a łagodne światło oblewa każde źdźbło i każdy listek, obrysowuje białym konturem ciemne pnie, a na ziemi ściele się widmowy kobierzec, sięgając od krańca do krańca nocy. Gdzieś daleko pohukiwała sowa. Powietrze miało intensywny smak, było czyste i chłodne jak łyk zimnej wody.

– Dokąd ty mnie prowadzisz?

Ronnie splótł palce z jej palcami i ścisnął je.

– Tam, do tego kamienia – widzisz go?

Przed nimi majaczyła niewyraźnie w świetle księżyca wielka bryła wypchniętego na powierzchnię ziemi piaskowca, punkt orientacyjny, widoczny z okna kuchni. Za dnia przyciągał jaszczurki – i Jiminy’ego, który lubił opierać się o niego, kiedy czytał, medytował lub robił cokolwiek w samotności. Widok tego kamienia – świadomość, że tam jest, jego swojskość – zasmucał ją. Wiedziała, że będzie jej tego brakować.

Ronnie puścił jej rękę i dał nura w ciemność; usłyszała, jak przesuwają się coś w mroku, zaszeleściły gałązki, potem folia.

– Mam czerwone – powiedział. – Ile chcesz, dwie?

Poczuła muśnięcie jego ręki, a potem dotknęła dwóch gładkich, pozbawionych ciężaru kapsulek. Popiła je łykiem słodkiego wina. Gdzieś daleko łuna ogniska barwiła niebo; Star usłyszała muzykę – zaczęło się od uderzeń tamburynu i prostych akordów gitary Sky Doga; a może Dale’a Murraya. Tam przy ognisku tańczyli, tańczyli dla radości, dla mądrości, dla pokoju. Star nie miała już ochoty tańczyć. Nie miała ochoty na nic, była odrętwiała, obojętna i chciała tylko jednego – zasnąć. Ale wtedy Ronnie przeciągnął ręką po jej nodze, a potem wynurzył się z cienia, by przycisnąć usta do jej ust. Chciała powiedzieć mu: „Nie”, chciała powiedzieć: „Wracaj do Lydii”, chciała powiedzieć, że między nimi koniec, że łączą ich już tylko bratersko-siostrzane stosunki, że to, iż pochodzą z jednego miasteczka, nic już nie znaczy. To wszystko właśnie chciała mu powiedzieć. Ale nie powiedziała.

Nigdy tu nie padało w czerwcu, nie w Kalifornii, bo Kalifornia miała monsunowy klimat i klimat dyktował swoje warunki – deszcz zimą, susza latem. Tak to wyglądało. Tak było zawsze. „Można by o tym napisać książkę – mówił Norm do nowo przybyłych ze Wschodniego Wybrzeża. – Od kwietnia do listopada nie ma tu kropli deszczu. Chcecie żyć na wolnym powietrzu? Chcecie wyrzucić ciuchy? Chcecie balować jak Czumasze? Proszę bardzo, zapraszam, bo to nie jest New Jersey, Buffalo ani Pittsburgh – to Kalifornia”. Marco spędził najbardziej suche lato i najbardziej deszczową zimę swego życia w San Francisco, próbując jakoś przetrwać w wielkim, starym wiktoriańskim domu z przeciekającym dachem i trzynastoma swarzącymi się nieustannie „komunardami”, i wydawało mu się, że dowiedział się przynajmniej czegoś o pogodzie. A jednak kiedy obudził się rano po uroczystościach związanych z przesileniem dnia z nocą, stwierdził, że pada deszcz.

Nie spał dobrze. Ani długo. Star zniknęła gdzieś, kiedy ognisko rozbuchało się na dobre – i już nie wróciła. Wtedy nawet tego nie zauważył. Wypił kilka piw i miotał z Normem i Alfredem Alaską jak piłeczką pingpongową, nad siatką i z powrotem, podskakując wysoko, odbijał niemożliwe do przyjęcia serwy, łup! Wszyscy byli podekscytowani, oszołomieni lub wściekli, ludzie zbierali się w grupki (te nazistowskie sukinsyny, na razie jest tu jeszcze chyba Ameryka?), próbowali podsycać swe nowe marzenie, marzenie o nowym początku, o budowaniu czegoś od podstaw, jak pionierzy, za których się wszyscy po cichu uważali, i cóż z tego, że wymagało to poświęceń? Cóż z tego, że było tam zimno? Czy Roger Williams przejmował się brakiem wygod, kiedy wyruszał, by odkryć Rhode Island? Albo kapitan John Smith, kiedy wędrował po mokradłach Wirginii? Wszyscy po kolei zdejmowali z siebie jakąś część garderoby albo amulet czy totem i wrzucali do ognia, ślubując wierność nowemu ideałowi, wolności absolutnej, Alasce. Była to młodzieńcza fantazja – fantazja o posiadaniu własnej wyspy, własnej krainy, o ustanawianiu praw – i nie można było się jej oprzeć. Marco widział tę nadzieję na przeobrażenie, m u t a c j ę , na wszystkich twarzach i sam temu uległ.

Siedział z Normem przy ognisku, ramię przy ramieniu, popijając herbatę Red Zinger z poobtlukiwanego fajansowego kubka i próbując odczytać każdy niuans, przewidzieć każdą potencjalną trudność, gdy niebo zaczęło rozjaśniać się na wschodzie. Wszyscy pozostali poszli spać, nawet Mendocino Bill, który prawie całą godzinę gardłował o konieczności – wręcz obowiązku – wynajęcia prawnika i wszczęcia walki o farmę, na co Norm odpowiadał, że koniec z płaceniem prawnikom, koniec z płaceniem podatków, koniec ze światem filistrów raz na zawsze.

– Spójrz na to – powiedział, wskazując kubkiem na niebo.

– To jest jak wielki reostat Boga, nie? – Wstał, otrzepując tyłek. – No, wystarczy na dziś. Mamy może ze sześć dni, jeśli dopisze nam szczęście. Logistyka, bracie. Mówię o logistyce. Czeka nas mnóstwo roboty.

Ale teraz padał deszcz, trwał monotonny, szary, pionowy atak wody w jej naturalnej postaci, niespodziewany, niezapowiedziany, gwałtowny. Marca obudził szum i zapach deszczu; po chwili odkrył, że dach przecieka. Nigdy nie zadał sobie trudu, żeby go sprawdzić, polewając wężem – wystarczyło, że dach chronił przed rosą, bo któż by przewidział, że będzie tu padać w czerwcu? Gonty zrobił sam, ale nie miał papy ani nawet smoły, a sklejka, której użył, była wystawiona na działanie żywiołów tak długo, że zaczęła butwieć, zamieniając się w istny pszczeli plaster. Leżąc w przemokniętym śpiworze, poczuł najpierw złość na samego siebie, potem zrobiło mu się głupio, w końcu uświadomił sobie całą jałowość takich rozmyślań; zbudował domek na drzewie i to wszystko, było to coś, co mógł bez trudu sklecić dwunastolatek. On się tylko bawił. Stać go było na coś lepszego. Oczywiście, że było go stać.

Wykonał serię głębokich wdechów i wydechów, przyglądając się ulatującym w powietrze obłoczkom pary, jakby było to jego własne odrębne zjawisko meteorologiczne, i wsłuchując się w nieustający szum kropel.

Przynajmniej Star nie mokła. Próbował ją sobie wyobrazić, jak zwinęta w kłębek na jednej z kanap w głównym budynku słucha płyt i plotkuje z Merry, Lydią lub kimkolwiek, kto wszedł do domu, by schronić się przed deszczem. Albo jak miesza w kuchni ryż z jarzynami lub gotuje makaron dla czterdziestu osób. Była dobrą kucharką, znała się na przyprawach. Potrafiła przyrządzać indyjskie potrawy i uwielbiała tę kuchnię. Teraz musiała być w wielkim domu, skoro nie znalazł jej tutaj. Na pewno. Tu pozostał tylko jej długi włos w mokrym śpiworze.

Skarżyła się wieczorem na ból głowy, sądził więc, że może wróciła do domku, żeby się przespać, ale kiedy wszedł po drabinie w kamiennoszarym, gęstym jak zupa świetle brzasku, śpiwór był pusty. Pomyślał, że pewnie spędziła noc w głównym budynku, jak to czasami robiła, w izbie, którą Merry i Maya przedzieliły dwiema wypłowiałymi indiańskimi derkami, zawieszonymi na sznurze od bielizny. Marco zajrzał tam kilka razy – byli ostatecznie „społeczeństwem otwartym” i teoretycznie nie istniała tu prywatna przestrzeń – ale czuł się nieswojo. Pokój pachniał kobietami, ich perfumami i balsamami, aromatyzowanymi świecami i kadzidełkami, i tym, co nosiły na sobie. Poza tym, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych pomieszczeń, panował tu porządek. I było ciemno, płonęły tylko świece, nawet w południe, bo okna zostały zaklejone kartonem i plakatami. Norm nazywał tę izbę serajem. Wielki pomarańczowy kot, niezwykle chytra sztuka, lubił się tu mościć w pościeli, lubił też, by tarosić go za uszy.

Czy tęsknił do niej po tej jednej nocy? Czy złościł go fakt, że z nim nie spała? Czy go to zmartwiło? Wzbudziło zazdrość? Zaborczość? Nie wiedział. Ale wydobył się z wilgotnego śpiwora, włożył dżinsy i zszedł na bosaka po drabinie, by przejść przez tonące w błocie podwórze do wielkiego domu i sprawdzić, jak się mają rzeczy.



Okrążył cały dom i żeby nie zabłócić podłóg, wszedł po stopniach od tyłu, myśląc o wysokich butach – jeśli miał przetrwać zimę na północy, potrzebował nowej pary, pary roboczych butów ze sklepu zaopatrującego wojsko. Przystanął na chwilę, żeby opłukać zabłocone nogi pod wodospadem chlustającym z okapu. W środku stał na ogniu czajnik i okna zaparowały. Nie było właściwie zimno, ale stwierdził, że cały dygocze; kiedy otworzył drzwi, uderzyła go fala rozgrzanego powietrza i mieszanina zapachów: świeżego chleba, kawy, bazylii, jarzyn gotujących się na wolnym ogniu w wyszorowanym do połysku garnku.

Star pochylała się nad kuchnią, w drobnych, dziecięcych dłoniach trzymała górę posiekanych selerów. Uśmiechnęła się do niego, wrzuciła selery do garnka i podeszła, żeby go przelotnie przytulić i jednocześnie musnąć wargami.

– Gdzie byłeś? – szepnęła. – Stęskniłam się za tobą. – A potem dodała jeszcze ciszej: – I dziewczęta też.

Była tu także Verbie ze swoją siostrą, dziewczyną o podłużnej twarzy, wydatnej żuchwie i zbyt blisko osadzonych oczach, a poza tym Merry, Maya i Lydia – wszystkie krążyły wokół pieca z kubkami kawy w dłoniach. Dwa żółte psy leżały na podłodze.

– Jadłeś już? – zapytała Star. Znow stała przy desce do krajania, szukając warzywa.

– Czuję się, jakbym był w tureckiej łaźni – powiedział i usiadł przy stole, odgarniając prawą ręką mokre włosy z czoła. Robił na środku przedziałek, jak wszyscy, ale zawsze wychodził jakiś krzywy, jakby głowa nie była osadzona symetrycznie na tułowiu, i jeśli nie podjął świadomie wysiłku, by rozczesać włosy grzebieniem, wyglądało to naprawdę beznadziejnie. – Nie – odpowiedział na pytanie Star. – Nie jeszcze. A tak nawiasem mówiąc, to która jest godzina?

– Nie mam pojęcia, druga? Wpół do trzeciej? – odparła za nią Merry. Nalała do kubka kawy, wsypała dwie łyżeczki cukru, dodała odrobinę koziego mleka i podsunęła mu. – O której poszedłeś spać?

Wykonał nieokreślony gest.

– Normalnie – zaczął – gadaliśmy z Normem... – I wszystkie dziewczyny, nawet siostra Verbie, wybuchnęły śmiechem.

Lubił to. Lubił patrzeć na nie, na ich małe równe ząbki, lśniące dziąsła, oczy, które zamieniały się w szparki. Śmiech rozpląnął się w chichotach.

– Och, nie mogę – krztusiła się do śmiechu Star.

Umoczył gorący chleb w kawie, otulony jeszcze kokonem chwili, nie całkiem gotów, by cokolwiek przedsięwziąć. Rozmowa toczyła się wokół niego, szemrały ciche głosy, słychać było rytmiczny taniec noża, palce-pięta, palce-pięta, na desce.

– Kozy też pojadą, nie?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Czy dla nich musi być specjalny... jak to się nazywa... specjalna lora? Jak dla koni?

– Ach, mówisz o koziwozie? – Znów chichoty. – Możemy pójść do sklepu z koziwozami i kupić.

– Ja pytam poważnie.

– Okej, ja też poważnie odpowiadam. A co one będą tam jeść?

– Kozy?

– No.

– Nie wiem. Trawę?

– Zimą?

– Siano?

– Skąd weźmiemy siano w środku Alaski?

– Kupimy.

– Za co?

– Zapłacimy w naturze. Tak jak tutaj. No wiesz, świecami, paciorkami, garnkami, miodem, takimi różnymi.

– Kto tam będzie chciał nasze paciorki?

– Eskimosi.

– Tam, gdzie jedziemy, nie ma żadnych Eskimosów. Tylko lasy i pasma wzgórz. Mniej więcej tak jak w Minnesocie. Tak w każdym razie mówił Norm.

– A więc Indianie. Tam chyba są Indianie, nie?

– Indianie sami robią paciorki.

– No to nastolatki. Nastolatki, które marzą o ucieczce z codziennego kieratu. Zapoczątkujemy rewolucję. *Flower power* w tundrze!

– Tak, jasne.

Tylko Star martwiła się kozami. Kozy były teraz jej działką – nikt inny się nimi nie przejmował. Nawet zalatywała kozami, ale jej to nie przeszkadzało, absolutnie, bo to był zapach naturalny, a o to przecież im chodziło: o kontakt z naturą. A jeśli uda im się trzymać razem i dotrzeć do Alaski, ten kontakt będzie jeszcze bliższy.

– Ja bym się nie martwił o kozy, ale raczej o ciepłą bieliznę. No bo co będziemy tam nosić? Futra z norek? Mukloki?

– Pauza. – A tak nawiasem mówiąc: co to są mukłoki?

– Pójdziemy do Goodwilla albo do innego sklepu. Nakupujemy swetrów i płaszczy. I będziemy robić swetry na drutach. Możemy robić swetry, nie ma problemu...

– Trzeba się ubierać warstwami, na tym to polega.

– Słyszałam, że jak się człowiek przegrzeje, to pot na nim zamarza i umiera się na hipotermię czy coś takiego.

– Ja się nie pocę.

– Ale zaczniesz, jak ci sprawimy majtki z nerek i stanik z gronostaja.

Śmiały się. Były szczęśliwe. Pojechałyby na Syberię, do Ziemi Ognistej, na Diabelską Wyspę – było im wszystko jedno. Czekala je przygoda i tyle. Dobra zabawa. Były kobietami. Duszą i fundamentem całego przedsięwzięcia. I siedząc tu, w kuchni, gdy deszcz bębnił w szyby, jarzyny perkotały na piecu, a kobiece głosy zarzucały na niego swą sieć, Marco nie mógł nie ulec przeczuciu, że w końcu wszystko się uda.

Było późne popołudnie, gdy psy uniosły łby znad podłogi i nadstawiły uszy – do budynku zbliżał się jakiś pojazd, coś wielkiego, co poprzedził turkot kół, a może gąsienic, i zająkliwy, obcy dla ucha charkot silnika diesla. Marco był jeszcze w kuchni, siedział przy oknie z książką, czuł się uziemiony i słamszony, ale nie był w nastroju, by wracać do siebie i tkwić przez resztę dnia nad mokrym śpiworem w domku z przeciekającym dachem. Był znudzony. Rwał się do działania, chciał przeanalizować szczegóły, zorganizować coś, ruszyć wreszcie z całym tym cyrkiem w drogę – na Alaskę. Alaska albo kompletna kłapa. Miał przed oczami drewnianą chatę na wyrębie, z oknami wychodzącymi na szeroką rzekę, tak gęsto zarybioną, że można by przejść na drugą stronę po grzbietach łososi. I łosie, łosie brodzące po płyciźnie, z długimi zielonymi girlandami zdobiącymi ich rogi. Ale tu padało, a on czytał książkę i nigdzie się nie wybierał. Jeśli chodziło o resztę, obsada trochę się zmieniła: teraz przy piecu stała Reba i robiła potrawkę, która miała być dodatkiem do zupy, a przy kuchennym stole ślęczał nad pasjansem Alfredo. Che i Sunshine wpadali do kuchni i wypadali z niej w jakiejś szalonej zabawie w ganianego czy w chowanego, która mogła też być elementem terapii *gestalt*. Star i Merry ustawiały w kącie izby stopy naczyń – sześć czajników, czy naprawdę potrzebujemy sześciu czajników? – a Maya ze wzdorliwą nonszalancją więźniarki wsuwała słoiki przetworów do kartonowego pudła. Światło było jednym szarym, kamiennym blokiem. Wszystko toczyło się w zwolnionym tempie.

Ale psy zerwały się i biegały po izbie, stukając czarnymi pazurami. Freak zaczął nagle szczekać, potem dołączył do niego Frodo i wszyscy pomyśleli to samo – buldożery.

– O kurwa – powiedział Alfredo i głowa podskoczyła mu do góry, jakby była zawieszona na sznurku.

– To niemożliwe. – Reba rzuciła mu zbolale spojrzenie.

– Jeszcze nie teraz. Norm mówił chyba o piątku, prawda?

Marco rzucił książkę, nie zaznaczając miejsca, w którym przerwał lekturę – było to *Łowienie pstrągów w Ameryce*, jedna z książek, którą Star, nie wiadomo dlaczego, zagrzebała pod liśćmi – i wyszedł na zewnątrz. Zbiegł po stopniach i znalazł się na placu boju, czyli na podwórzu.

Początkowo słyszał tylko hałas, zgrzytliwy mechaniczny odgłos szturmu rozdzierający serce i mózg. Nie wiedział, czy pozostać tam, gdzie stał, czy uciekać. Co powinien im powiedzieć, co zrobić, kiedy zaczną rozwalać to wszystko w proch? Wbił palce nóg w błoto i usłyszał, że pozostali wychodzą na werandę.

– Nie mogą tak sobie tu po prostu przyjechać – rozległ się głos Reby, napięty jak odwijana ze szpulki nić. – Nie mogą, prawda?

Za drzewami rosnącymi wzdłuż drogi błysnęło coś żółtego – jasnożółtego jak musztarda Heinza – i ukazał się ruchomy kształt sunący w ich stronę. Nie był to buldożer, ale coś znacznie większego i zbyt żółtego jak na...

Był to autobus. Szkolny autobus. A za kierownicą siedział Norm, Norm, który nie zmrużył oka, nafaszerowany amfetaminą i opity czarną kawą. Miał na głowie zamszowy kowbojski kapelusz, nasunięty tak, że dotykał czarnej, pękniętej oprawki okularów, a na kolanach siedziała mu Premstar, jak lalka brzuchomówcy. Zazgrzytał przeraźliwie mechanizm zmiany biegów, ukazał się masywny pysk pojazdu, który wjechał na podwórze, ubijając błoto, deszcz spowijał dwa długie rzędy okien gładkim welonem. Rozległ się syk hamulców pneumatycznych, ciężkie, solidne siorbnięcie, po czym autobus znieruchomiał przed nimi, jakby zapraszał, by złapali swe tornistry i drugie śniadania i wsiedali.

Drzwi otworzyły się same z westchnieniem i Premstar, była Miss Watsonville, ze sterczącym, jędnym biustem i idealnymi nogami zeszła po stopniach, krzywiąc w niepewnym uśmiechu wydęte wargi pociągnięte białą szminką. Miała niebieskie cienie na powiekach, ciężkie buty na wysokim obcasie sięgały za kolana. Marco patrzył, zahipnotyzowany, jak zstępuje wytwornie w błoto, odgarnia włosy z twarzy i rzuca mu przelotne spojrzenie.

– Zdobyliśmy autobus szkolny – powiedziała z przydechem takim tonem, jakby relacjonowała wyprawę do sklepu po papier toaletowy. – Ja z Normem.

Norm zaciągnął ręczny hamulec i zszedł za nią, silnik pracował zająkliwie, trujący smród spalin rozchodził się w powietrzu. Krople deszczu pstrzyły kapelusz Norma i jego kurtkę plamkami, które na miodowym zamszu ciemniały jak krew. Mrużył zmęczone oczy przed mżawką.

– No chodźcie – machnął ręką. – Obejrzyjcie sobie. To model Crown z sześćdziesiątego trzeciego roku, na dziewięćdziesięciu jeden pasażerów, coś, co można kupić, jeśli ma się szczęście i jest się na tyle sprytnym, żeby zaproponować w zamian lekko uszkodzonego, ale prawie nowego volkswagena rocznik 1970.

Pojawił się Alfredo i stał z innymi na deszczu, a obok niego Reba. Star zbliżyła się do autobusu i objęła Marca w pół. Wszyscy się uśmiechali, patrząc, jak Premstar wchodzi po stopniach do domu, a Norm wlecze się za nią zgarbiony, z okrągłą jak bila głową wciśniętą w ramiona.

– Problem w tym, że wolałbym nie gasić silnika – powiedział – bo była prawdziwa afera z jego zapaleniem. Facet, który mi go sprzedał, mówił, że jest trochę kapryśny, zwłaszcza w zimne poranki.

– Zimne poranki? – zapytał Alfredo. – Ale teraz mamy popołudnie i jeśli jest mniej niż pięćdziesiąt stopni, to trzeba zwolnić gościa od pogody.

– Tak, to dobra maszyna, wytrzymała, ma nie więcej niż jakieś sto dwadzieścia tysięcy mil na liczniku, a mogłaby mieć spokojnie trzy razy tyle, ale wiecie, nie spałem dwa dni i zrobiłem, co do mnie należało, a nawet dużo więcej, i tak sobie myślę, że ktoś, na przykład Bill, mógłby zajrzeć pod maskę. A reszta powinna załadować swoje graty, bo czas ucieka, a władza nie czeka. – Wszedł na stopień i objął Premstar za szyję. – Ani cipka. Jestem wykończony, więc ktoś musi się zająć zamontowaniem czegoś w rodzaju bagażnika na dachu, będziemy też potrzebowali sznurów, różnych linek i tym podobnych... No i trzeba wziąć jedzenie, to znaczy puszki z podstawowym żarciem, fasola, mąka i tak dalej, trzeba by to kupić w spółdzielni w Guemeville.

Urwał, wygładził na sobie kombinezon i wyjął z wewnętrznej kieszeni portfelik.

– Macie – powiedział, wyciągając studolarowy banknot, który natychmiast nasiąknął wodą i pociemniał, zamieniając się w kawałek mokrego papieru; przypominał teraz lipne pieniądze do zabawy. – Weź to ty, Reba, okej? Na jedzenie. Otworzył siatkowe drzwi i wszedł do domu z Premstar pod ramię.



Następne trzy dni były dniami „cygańskimi”, jak je żartobliwie nazwali Marco i Star. Nie było czasu na słodkie wino, dragi czy medytację z plecami opartymi o wielki, żółty kamień na środku łąki, nie było nawet czasu na sen – karawana ruszyła, należało zwinąć namioty, odwiązać kozy i połapać kurczaki. Jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości co do tego, czy plany Norma Sendera są poważne, to autobus je rozwiął. Bo oto stał, masywny i niewzruszony, dominując nad zabłoconym podwórzem niczym jakiś mechaniczny władca ze snów, i całymi dniami, od świtu do ostatnich wlokących się godzin zmierzchu, ludzie uwijali się wokół niego z narzędziami, pościelą, żywnością, płytami i sprzętem.

Poprzedni właściciel – jeden ze szkolnych kolegów Norma, który został psychologiem w Mili Valley i spinał włosy w koński ogon – zainstalował w środku pękaty piec, był tam też niedokończony kontuar, zlew i osiem składanych płyt z grubej sklejki, które służyły jako koje. Właściciel marzył o przekształceniu pojazdu w wielki dom kempingowy na kołach, którym mógłby zabierać niektórych pacjentów ze stanowego szpitala psychiatrycznego na nocne wycieczki, ale jego marzenie nigdy się nie spełniło z przyczyny, dla której rozwiewa się tak wiele marzeń: z braku funduszy. Zostawił sześć pierwszych rzędów foteli nietkniętych, w każdym rzędzie były po trzy miejsca siedzące lub jedno leżące, a na samym końcu, naprzeciw pieca, stała kabina ze sklejki, w której mieściła się toaleta z nierdzewnej blachy. Z tego, co mówiła Premstar, która przekazała im tę informację szeptem, gdy Norma nie było w pobliżu, wynikało, że psycholog kupił autobus tanio, po zderzeniu z cysterną wiozącą olej opałowy – w wypadku spłonęło troje przedszkolaków. Podczas zderzenia uległa skrzywieniu rama i choć psycholog próbował to naprawić z pomocą innego dawnego kolegi z liceum, właściciela warsztatu spawalniczego, autobus miał tendencję do zataczania się na boki i było to coś, z czym musieli się pogodzić. Poza tym bez względu na to, jak intensywnie psikało się dezodorantami, odświeżaczami powietrza i ile razy malowało się wewnątrz, utrzymywał się tu swąd spalonego winylu, a może czegoś gorszego.

Kiedy Jiminy zobaczył autobus tego pierwszego wieczoru, gdy ulewa przeszła w mżawkę i niemrawy księżyc wypełznął ponad drzewa, poczłapał boso przez błocko i przytulił się do chłodnego metalu maski, jakby to była żywa tkanka.

– Magiczny autobus – mruknął, a potem zaczął nucić półgłosem: *Magiczny autobus, magiczny autobus, hej, hej, hej, magiczny autobus.*

Marco przyświecał latarką Mendocino Billowi, który zaglądał do silnika z kluczem francuskim w jednej ręce i śrubokrętem w drugiej, a Alfredo, nie mając nic lepszego do roboty, nadzorował całą operację. Reba powiesiła w środku na jednym z haków lampę naftową i dziewczyny, w liczbie pięciu czy sześciu – w tym Star – przystąpiły do robienia porządków: przecierały gąbkami siedzenia i myły podłogę, już teraz planując zagospodarowanie przestrzeni.

– Wiecie, co możemy zrobić? – powiedział Jiminy, przyciskając policzek do przedniego zderzaka. – Pomalować go. Tak jak Kesey i pranksterzy. W mandale, pacyfy, dziwne twarze i ryby – mnóstwo ryb, takich jak rybki Petera Maksa puszczające bańki. I morświny. Takie rzeczy. Zawieziemy trochę fantazji do pieprzonego Nome.

Mendocino Bill odchrząknął z aprobatą, ale nie było w tym zbyt wielkiego entuzjazmu. Jeszcze jeden szczeniacki greps; a co było złego w normalnych, wykonanych wielkimi czarnymi literami napisach na obu bokach?

– Nie chcę nikomu niczego narzucać – wtrącił się Alfredo – ale będziemy musieli dwukrotnie przekroczyć granicę kanadyjską i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest popisywanie się jakimiś wygłupami. – Zeskoczył z ławeczki, na której stał obok Billa i spojrzał uważnie na Jiminy’ego. – Takimi jak na przykład to całe Jiminy – my cię tu znamy pod takim imieniem, ale jak się nazywasz naprawdę? Znaczy, jak masz napisane w karcie powołania?

Jiminy opuścił wzrok.

– Paul Atkins.

– Paul Atkins? No, w porządku, to jest to, co będą chcieli usłyszeć na granicy, i lepiej przygotuj kartę powołania, żeby im pokazać. I jeszcze może metrykę. Jaką masz kategorię, 4-F?

Jiminy wyglądał na urażonego i upokorzonego. Marco chciał się za nim ująć, ale milczał.

– Na granicy nie pytają o takie bzdury – powiedział Jiminy.

– Tylko o obywatelstwo. A jak długo byłeś w Kanadzie?

– Słuchaj, bracie – rzekł Alfredo. – Chodziłeś jeszcze do podstawówki, kiedy ja pierwszy raz pojechałem do Kanady, do Ontario, i może w tamtych czasach im to wszystko latało, ale teraz, kiedy jest wojna i tyłu się miga od wojska – co zresztą popieram, nie zrozumiem mnie źle – robi się z tego problem i będziemy musieli dobrze to rozegrać. Wbij to sobie do głowy, człowieku, to nie zabawa, nie żaden trzydniowy festiwal rockowy, po którym możesz jechać do domu. Mówimy tu o przetrwaniu; przecież, na Boga, wyrzucają nas z tego rancza! Co to twoim zdaniem znaczy?

Marco nie słuchał dalej; widział już oczami wyobraźni tę granicę, niewyraźną linię drzew, punkt kontrolny gdzieś przy autostradzie, w morzu ciemności. I co robi, jeśli zaczną go przepytywać? Wyjmie podrobiony dokument tożsamości? Pójdzie o trzy mile dalej i przekradnie się przez zarośla? Czy tam są jakieś druty? Pod napięciem?

– Trzymaj porządek tę latarkę, dobra? – upomniał go Bill.

– Ledwie widzę, co robię.

– A więc kim niby mamy być? – zapytał Jiminy. – Amerykańską drużyną hokeja kanadyjskiego? Z cheerleaderkami i orkiestrą, na naszym triumfalnym tournee po Kolumbii Brytyjskiej? – Cofnęła się o krok i dreptał niezdecydowanie wokół dwóch kraterów pozostawionych przez jego nogi w błocie.

– Łatwo ci mówić, ale ty się nie musisz martwić, jesteś za stary, żeby cię powołali.

Deszcz zamienił się w mżawkę i boki autobusu lśniły jak wypolerowane. Światło księżyca połyskiwało w błocie. Z wnętrza autobusu słychać było chichoty.

Alfredo nie odpowiedział od razu.

– To prawda – rzekł w końcu. – Przekroczyłem limit wieku o cztery lata i trzy miesiące. Ale to nie znaczy, że nie przejmuję się tobą, Markiem, Mendocino Billem i całą resztą. To jest wojna, człowieku, i musimy ją wygrać. Założyć Drop City Północ, tak? Słusznie mówię?

– Tam jest też Ameryka – powiedział Marco. – Czterdziesty stan. Tam też wcielają do wojska.

– Zgadza się, ale my pojedziemy tak daleko, że nikt nie będzie wiedział o naszym istnieniu.

Rano Marco i Star siedzieli na dachu autobusu i usiłowali zmontować największy na świecie bagażnik z listew. Marco sięgnął po następną listwę i zobaczył odwrócone twarze Lestera i Franklina.

– Co ja słyszę – odezwał się Lester głosem, który brzmiał, jakby właściciel owinął go watą z obawy przed zranieniem. Nasunął swój zbyt duży kapelusz na oczy, żeby osłonić je przed słońcem. – Zamierzacie naprawdę wyjechać i opuścić Franklina i mnie? I to jechać gdzie – na pieprzoną Alaskę? – Zaczął chichotać, wydając z siebie serię niskich, zdyszanych dźwięków, jakby wyśpiewywał pierwsze takty jakiejś piosenki. – Wy, ludzie – powiedział wreszcie, krztusząc się – jesteście naprawdę poważnie stuknięci.

Marco miał w ręku młotek, więc nie musiał nic odpowiadać. Wbił tylko kilka gwoździ w róg bagażnika i pomyślał, że owszem, wygięty stalowy dach autobusu to problem, ale jeśli bagażnik będzie dostatecznie wysoki i przywiążą wszystko bardzo mocno, powinno być w porządku. Oczywiście pod warunkiem, że dach nie załamie się pod ciężarem bagażu.

– Może i tak – potwierdziła Star i uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ale jeśli jeszcze tego nie wiesz, to powiem ci, że Alaska istnieje naprawdę i jest to ostatnia naprawdę wolna kraina na całym kontynencie.

– To samo, kurwa, myślałem o Kalifornii – powiedział Lester, szczerząc zęby – dopóki nie wylądowałem w Oakland. A Fillmore jest jeszcze gorsze od Oakland. A Haight jeszcze gorsze.

– No a co z nami? – zapytał Franklin, patrząc na nich przez żółte okulary, które wyglądały jak wycięte z maski gazowej.

– Czy oni rozwalą też budynek gospodarczy?

– To właśnie chciałbym wiedzieć – wszedł mu w słowo Lester. – I Sky Dog też. I Dale. Bo zrobi się tu bardzo nieprzyjemnie, kiedy przyjadą z tymi buldożerami, no nie? – Schylił głowę, kopnął jakiś kamień tkwiący w błocie, które zaczynało już krzepnąć. Znow spozrzał w górę, osłaniając oczy przed słońcem. – A przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy jesteśmy zaproszeni. Bo mamy lincolna, a wy za Boga nie upchniecie wszystkich w tym autobusie, samochodzie Pana i tym całym rozpieprzonym garbusie Harmony’ego.

Marco popatrzył na niego z góry. Nie lubił Lestera, a jeszcze bardziej Sky Doga, nie zapomniał też bójki w dole ani tego, co się stało z domkiem na drzewie, ale to było sprzeczne z zasadą ufności. Lester nie żartował. Uważał naprawdę, że jest częścią tego wszystkiego, traktował poważnie plemienne credo, wierzył w pokój, miłość i braterstwo. A przynajmniej chciał w te zasady wierzyć, i to rozpaczliwie. Była to trudna chwila i Marco czuł się jak Noe, który spogląda z góry, z arki, na zwierzęta nieczyste, rojące się na rozległej, rozmokłej równinie. Spojrzał na Star, a ona odwróciła wzrok.

– A może rozmawiam nie z tym, co trzeba? Może powinienem pogadać z Alfredem? Albo z Normem? Słyszałem, że znaleźli tam złoto – wtrącił Franklin, starając się też patrzeć w górę. – Jedziecie płukać złoto?

– Ech, dajże spokój, chłopie – powiedział Lester. – Co było, to nie jest, no nie? Bracia, no nie?

Upłynęła długa chwila. Nikt nie powiedział słowa. Marco czuł, jak autobus się porusza, kiedy Reba i Merry weszły z dwoma kolejnymi pudłami talerzy, garnków, patelni, narzędzi, sztucców, przetworów. Zamierzały ustawić dwie wielkie kolumny z tyłu autobusu i podłączyć gramofon do akumulatora, tak żeby mieć muzykę w nocy, kiedy zjadą na pobocze albo zatrzymają się na jakimś polu namiotowym. Maya zakładała firanki w oknach, a Verbie z siostrą przycinały starą wykładzinę i układały ją na podłodze. Nawet Pan włączył się do prac, smażył rybę z frytkami i robił surówkę z kapusty, żeby kobiety nie musiały się zajmować kuchnią i mogły skoncentrować się na najpilniejszych sprawach. Marco słyszał cichy szmer głosów pod sobą, dźwięk towarzyszący narodzinom czegoś nowego, co nabierało kształtu w wyniku zbiorowego wysiłku, który unieważniał wszelkie niesnaski i zadrażnienia w Drop City. Czuł się wspaniale. Czuł się wszechmocny. Czuł się wybrańcem.

– No więc co powiesz? – Głos Lestera przyfrunął z dołu, delikatny jak puch. – Jesteśmy zaproszeni czy nie?

Marco wyjął gwóźdź z kieszeni koszuli, przystawił go do deski i wbił dwoma uderzeniami młotka. Dźwięk eksplodował w porannej ciszy jak dwa następujące po sobie strzały, celne i zabójcze.

– Hej – powiedział, wzruszając ramionami, i usłyszał nutę nieodwołalności we własnym głosie. – To jest wolny kraj.



## Część czwarta

### Pijany las

Życie toczy się tu zarówno w blasku słońca, jak podczas mrozów, w pulsującej krwi i krążących sokach, wśród rozkładu i nagłej śmierci.

John Haines, *The Stars, the Snow, the Fire*

Miesiąc miodowy skończył się, zanim zdążył się zacząć, i to prawdziwym skandalem, gorzej niż skandalem – zbrodnią. A popełnił ją człowiek ze strzelbą, półautomatycznym remingtonem kaliber 0.22 nylon 66, sądząc po spłaszczonych kawałkach ołowiu, jakie wydłubał Cecil Harder z ciał Boba, Hippie, Girl, Loona i Saucy’ego. Kule mogły oczywiście pochodzić z jakiegokolwiek karabinka tego kalibru, ale Joe Bosky miał model nylon 66 – jak wielu, upodobał go sobie ze względu na lekkość plastikowego łoża – a poza tym Joe Bosky był jedynym człowiekiem na tej ziemi, który mógł wpaść na pomysł, żeby zabić czyjeś psy. Nie strzela się do psów, nie puszcza się z dymem czyjejs chaty, nie gwałci się cudzych żon i nie pakuje się kuli między łopatki ludziom, którzy płyną łodzią. Sess Harder usiłował wyżyć z tego, co rodzi ziemia, i wszyscy to wiedzieli. Większa część jego dochodów pochodziła ze sprzedaży futer, a bez psów, zdolnych przemierzyć ponadczterdziestomilowy traperski szlak sideł, który odziedziczył po Royu Senderze – i sam ulepszył oraz wydłużył – całe przedsięwzięcie brało w łeb. Wszyscy to wiedzieli. Nawet dziecko wie takie rzeczy.

Tak więc zamiast wejść do domu, zamiast wziąć żonę na ręce i przenieść ją przez próg, zamiast oglądać ślubne prezenty, zapelniać spiżarnię lub być może wylegiwać się nago na kocu w słońcu – co było jedną z jego stałych seksualnych fantazji – musiał z sercem ściśniętym w kleszczach nienawiści i z głową, w której dźwięczał zew krwawej zemsty, wykopać pięć dołów. Pamela próbowała go pocieszyć, ale bezskutecznie. Sama była w szoku i to było najgorsze – to właśnie decydowało o potworności tej zbrodni. To, że ten psychopatyczny, tchórzliwy i podstępny sukinsyn dopuścił się czegoś podobnego, już było wystarczająco potworne, ale narażać Pamelę na podobny koszmar, i to pierwszego dnia po ślubie? Sess zamierzał zabić Bosky’ego, i to jak najszybciej, nie miał po prostu innego wyjścia. Joe Bosky wypowiedział wojnę, Joe Bosky prosił się, żeby go zabić. Wręcz o to błagał.

– Nie możesz tego zrobić, Sess. Nawet o tym nie myśl. Pójdiesz do więzienia, to będzie morderstwo. Tu też obowiązuje prawo...

Stał w dole, przebijał się przez zmarzlinę i wyrzucał łopatą ziemię. Od godziny był w domu ze swoją nowo poślubioną żoną i jeszcze nie rozładował łodzi, nie zajrzał do ogrodu, nie wprowadził jej do domu ani nawet nie cmoknął w policzek.

– A co ty o tym wiesz? – zapytał i nie było to właściwie pytanie, ale warknięcie.

Stała tuż obok, z rękami na biodrach, w szortach, demonstrując wspaniałe nogi w całej okazałości. Usta miała zaciśnięte. To była ich pierwsza kłótnia, nazajutrz po ślubie – najpierw noc w rajku, a teraz to.

– Nie chcę przemawiać do ciebie jak do dziecka, Sess, i nie chcę ci przypominać, że teraz i ja jestem do tego włączona... Pójdziemy na policję jak cywilizowani ludzie, zajmą się nim przedstawiciele prawa...

– Policja nie przyjedzie w sprawie psów.

– A w sprawie morderstwa? Przyjedzie? Myślisz, że wyszłam za ciebie, żebym mogła cię odwiedzać przez trzy godziny tygodniowo w jakimś więzieniu?

Rąbnął kilofem w zmarzniętą ziemię; cała jego wściekłość skoncentrowała się w barkach, ramionach i twardych jak stal mięśniach klatki piersiowej.

– Znajdę go – burknął i znów opuścił kilof. – I zabiję.

– Dobrze. W porządku. Widzę, że jesteś zdenerwowany, więc cię tu zostawię i zacznę przenosić rzeczy do domu. Czy to dobry pomysł?

„Zdenerwowany? – chciał zapytać. – Myślisz, że to zdenerwowanie? Zaczekaj, aż chwycę za broń, to zobaczysz zdenerwowanego. Zaczekaj, aż przygwożdżę go do ściany i zacznie beczeć jak baba”. Nie zdążył jednak, bo Pamela odwróciła się na pięcie i zaczęła schodzić po zboczu usianym lśniącymi w słońcu dzwonkami, łubinem, kuklikami i skalnicami w stronę łodzi, która błyszczała na tle odwiecznego lśnienia wody.

Tego wieczoru przygotowała kolację z tego, co pozostało po weselnym przyjęciu, z sałatek, wędlin i innych rzeczy, których nie dało się przechowywać. Jedli przy piknikowym stole, w promieniach słońca, otuleni kokonem ciszy. Sess miał na sobie podkoszulek i połatane dżinsy, ona top, który odsłaniał brzuch. Włosy rozpuściła, tak że opadały jej na ramiona jak złota flaga, wyglądało to naprawdę imponująco. Jej widok tutaj, pod szerokim niebem, na jego podwórzu, przy jego stole, żywej i pełnej entuzjazmu, poruszył go i onieśmielił tak, że całkiem zapomniał o swoim gniewie. Była jego żoną. Był żonatym mężczyzną. Był żonaty po raz pierwszy i ostatni w życiu.

U stóp wzniesienia, w odległości stu kroków, rzeka wygrywała cichą, lecz dźwięczną melodię, tworzącą akompaniament dla ich szeptów, akompaniament, który mógł zastąpić jedwabiste glissanda pianina w jakiejś przytulnej mrocznej salce. Nawet komary i ich nieodgadnione dla człowieka „dlaczego” i „dokąd” zdawały się powstrzymywać nadejście nocy. Jadł szynkę, sałatkę z fasoli i słuchał swej żony, wyławiając każdy niuans modulacji głosu, przyglądał się jej ustom i jej oczom, czując, jak rośnie w nim pożądanie. Na stole stała otwarta butelka weselnego wina, Iglenuok Pinot Noir z Napa Valley, rocznik 1969, a obok dzban ciemnego piwa domowej roboty. Został piwowarem, kiedy się tu przeprowadził i zbudował chatę, bo najbliższy dostępny sklep nie był wcale tak blisko, i dopóki nie pochłonęły go przygotowania do ślubu i śledzenie Howarda Walpole’a, produkował około trzech litrów piwa dziennie w wielkiej beczce stojącej zaraz przy drzwiach. „A więc pijmy”, brzmiało jego hasło, bo miał w domu tylko trzynaście litrowych butelek, a co nie zostało do nich rozlane, zamieniało się natychmiast w pomyje. Sięgnął po dzban, nalał sobie do pełna, po czym wzniosł toast i stuknął się z nią, a blaszane kubki zadzwoniły dźwięcznie i rozkosznie jak najczystszy kryształ.

Godzinę wcześniej, gdy uporał się z pogrzebaniem psów, wszedł do chaty i stwierdził, że Pamela już wszystko wniosła i dla wszystkiego znalazła miejsce, całkowicie przemeblowując jego zastawioną zachomikowanymi dobrami kawalerską norę, i to wywołało błysk irytacji. Konserwy stały nie na tej półce, ubrania wisiały jak kurtyna na sznurze do bielizny przeciągniętym przez środek izby, dookoła stały pudła pełne ubrań i książek, blokując opuszczane na noc łóżko, a nawet pojawił się budzik – na rany Chrystusa, b u d z i k ! I plakaty. Rozwiesiła na ścianie w głębi plakaty z jakimś muzykiem uczesany na pazia – jak się okazało, z Neilem Diamondem. Co ona sobie wyobrażała? To była chata, chata w leśnej głuszy, a nie jakaś sypialnia w internacie.

Nie powiedział nic. To był jej pierwszy dzień, ich pierwszy dzień, a on szalał z wściekłości, kiedy tylko pomyślał o tym, co zrobił Joe Bosky. Musiał sobie twardo postanowić, że nie dopuści, aby Bosky wszystko popsuł, podszedł więc do Pameli, która układała kwiaty w puszce po kawie, objął ją od tyłu i ucisnął. A to doprowadziło do pocałunków, pieszczot i do najśłodszych słów ukojenia, a w rezultacie do rezygnacji z zemsty.

– To tylko kwestia pieniędzy – powiedziała, odsuwając się od niego, by spojrzeć mu w oczy. – A ja mam pieniądze.

Znów poczuł gwałtowny przypływ irytacji.

– O czym ty mówisz?

– O psach. Możemy kupić psy. Pojechać do Boynton. Do Fairbanks. Gdziekolwiek.

– I co, mam dać ogłoszenie w gazecie? „Poszukuję wyszkolonych psów zaprzęgowych do objazdu traperskiego szlaku”? Stałbym się pośmiewiskiem całego miasta. Ludzie nigdy by mi tego nie zapomnieli, nigdy. Poza tym nikt już nie zastawia sideł i mało kto jeździ psim zaprzęgiem.

Rzuciła mu spojrzenie, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział: zaciśnięte wargi, podwójna pionowa zmarszczka między pięknymi oczami.

– Każdy ma psy – upierała się – i wszyscy sprzedają szczeniaki. Byłeś kiedyś w Kianie, w Noorvik albo w jakiejś innej wiosce eskimoskiej? Tam przypada po pięć psów na każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko.

– Okej, więc powiedz wprost: mamy lecieć do jakiejś eskimoskiej wioski, kupić psy i przylecieć z nimi z powrotem czteroosobową cessną?

– Tego nie mówię. Mówię tylko, że moglibyśmy popytać w Boynton. Albo w Fairbanks.

Poczuł, że kłębią się w nim wszystkie emocje naraz: miłość, nienawiść, smutek, żal.

– Słuchaj – powiedział. – Dajmy temu spokój.

I co zrobił? Zaczął pić, bez umiaru. Tej pierwszej nocy w jego własnoręcznie zbudowanej chacie, w samym środku pustkowia, w sytuacji, gdy jako ledwie poślubiona małżonka musiała się czuć zagubiona i zdezorientowana i jak każdą młodą żonę, która pakuje się w to wszystko na oślep, zaczęło ją nachodzić tyle spóźnionych refleksji i wątpliwości, gdy znalazła się w obcym miejscu z mężczyzną, który wydawał jej się z minuty na minutę coraz bardziej obcy, on opróżnił butelkę weselnego wina i dwa dzbany piwa, a potem uparł się jeszcze, że wypije butelkę mocnego rumu Hudson Bay. I wychylał kolejne miarki mocnego trunku do chwili, aż słońce zniknęło za wzgórzami. Początkowo dzielnie dotrzymywała mu kroku, piła kubek za kubkiem, kolejkę za kolejką – potrafiła pić, miała mocną głowę – ale w końcu świat zaczął jej pływać przed oczami i odpadła, on zaś nie przestawał mówić.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć o zastawianiu sideł? – zapytał, przybierając mentorski ton i nie bacząc, czy ona chce słuchać, czy nie. – No to opowiem ci o zastawianiu sideł.



I opowiedział jej. Opowiedział jej o wysiłku, jaki włożył Roy Sender w wyrąbanie w gąszczu ponad czterdziestu mil ścieżek na całym jednym brzegu rzeki Thirtymile i wszystkich jej dopływów, a potem wzdłuż drugiego brzegu, podczas dziewięciodniowej rundy, przy pogodzie tak koszmarnej, że zabiłaby każdego, kto nie był supermenem. I Roy Sender obchodził te szlaki aż do siedemdziesiątego pierwszego roku życia. Kiedy wziął go pod swoje skrzydła, pokazał mu, jak zastawiać sidła na każdy rodzaj zwierząt, jak zbudować brzoźowe sanie długie na osiem stóp i nie szersze niż jego własne ramiona, jak sprawić rysia, lisa czy gronostaja i jak zrobić przynęty, małe bomby atomowe tak naładowane smrodem, że potrafiły zaalarmować nos i postawić uszy każdego drapieznika w okolicy. Był kawalerem, starym zgredem, narowistym jak ford bez dwóch cylindrów, facetem, który bluzgał i przeklinał bez przerwy i dla którego kobietom szkoda było czasu, toteż żył jak borsuk, a zimą zaszywał się na całe miesiące w swojej chacie, gdzie spędzał czas na przestawianiu mebli, urządzaniu swojej przestrzeni życiowej tak, aby było mu jak najwygodniej, i sprzątaniu, aż izba przybierała wygląd eleganckiej kabiny na jachcie z obrazka. Sess siadywał u jego stóp, zadowolony, że może dotrzymywać temu szorstkiemu człowiekowi, temu zgredowi nad zgredami towarzystwa, i po miesiącach takiego wspólnego żeglowania ku dalekim horyzontom, po całych przegadanych kwartałach i wreszcie latach, stary bardzo się do niego przywiązał.

– Dlaczego się nie pobudujesz gdzieś u ujścia rzeki? – powiedział pewnego wiosennego wieczoru, kiedy śnieg kładł się na ziemi jak konfetti, a Sess biwakował w brezentowym namiocie za chatą. – Masz tu mnóstwo miejsca i zaczyna się boom na rakiety śnieżne, który potrwa z dziesięć lat, a więc będzie mnóstwo futer, jeśli w ogóle ktoś jeszcze zechce je kupować. Do diabła, nie muszę ci chyba mówić, że nie jestem już tym facetem, jakim byłem, rozumiesz? Moje kolana, grzbiet, płuca są głównie warte, czuję się już od dawna tak, jakbym tonął; to jest cena długiego życia. Coraz częściej myślę o tym, ile ciężkiej pracy włożyłem w tę ziemię i że cała ta robota pójdzie na marne.

Taki był Roy Sender, jego dobroczyńca. I kiedy o tym pomyślał, tu, w tej chacie, która powstała z pełnych nadziei namów tamtej nocy i w której teraz siedział z żoną, z Pamelą, myśl ta wystarczyła, żeby pobudzić w nim emocję tak potężną, że aż zaparło mu dech. Nagle stał się sentymentalny, kielich jego duszy wypełniły w połowie smutek, w połowie radość. I jednocześnie poczuł, że jest kompletnie pijany.

Pamela była tuż przy nim, siedziała przy stole, z podbródkiem opartym na dłoniach zwiniętych w pięści i oczy jej się zamykały. Coś zaszeleściło w zaroślach za ogrodem i nie były to psy – psy nie miały już nigdy więcej hałasować. Sess nalał następną porcję rumu, potarł zapalną i przez chwilę przyglądał się błękitnemu płomykowi migoczącemu na jej końcu, a potem ją odrzucił. Noc była ciepła, wciąż ciepła, i komary jeszcze się nie pojawiły. Może przestrzegały swego rozejmu z nowożeńcami, co byłoby cholernie ładne z ich strony. Będzie musiał o tym pamiętać, kiedy znów rozgniecie kilka naraz na przedramieniu albo na skroni – żyj i pozwól żyć, zgadza się?

– Pamela – powiedział i jego żona natychmiast otworzyła oczy.

– Jestem pijana, Sess – rzekła. – Obawiam się, że się upiłam. – Posłała mu zmęczony, nieco świętoszkowaty uśmiech. – To wszystko twoja wina. Tak sprowadzić dziewczynę na chatę i upić ją... Pewnie myślisz, że jestem łatwa, co?

Odwzajemnił jej uśmiech, wyciągnął do niej rękę i zamknął jej dłoń w swojej dłoni. Nie chciał już z nią rozmawiać, uszła z niego cała para, nie chciał już opowiadać, jak się czuł, kiedy po raz pierwszy poszedł na obchód i znalazł wilka podobnego do dużego psa, z na wpół odgryzioną łapą w szczękach potrzasku z podwójną sprężyną, przeznaczonego dla lisów. I jak wilk wpatrywał się w niego swymi żółtymi ślepiami, jakby nie mógł pojąć, w jaki sposób wszystko się nagle zmieniło w taki okrutny, zimny i nienaturalny sposób. I co on, Sess, czuł, kiedy strzelił i chybił i strzelił znów, i jeszcze raz, niszcząc całe futro i sto dziesięć funtów surowej natury upadło, tryskając na jego nogi krwią z arterii. Ani o tym, jak Roy Sender uczył go, w jaki sposób należy ogłuszyć schwytaną kunę wodną lub gronostaja uderzeniem kija w nos, a potem wydrzeć mu serce, aż zwierzę zwiotczeje – a futro nie ulegnie zniszczeniu. Nie powiedział jej też, że jest po prostu jeszcze jednym drapieźcą, jeszcze jednym zabójcą, tak samo bezsensownym jak wiatr wśród gałęzi drzew, zabójcą, który odbiera życie, żeby podtrzymać swoje. Nie powiedział jej żadnej z tych rzeczy.

– Chcesz się pewnie położyć – rzekł natomiast. – Widzę to. Chcesz wziąć męża w ramiona. Chcesz być naga.

Podeszła bliżej, zarzuciła mu rękę na szyję i przycisnęła czoło do jego czoła, tak że nie widział niczego oprócz jej oczu, wielkich i jasnych jak woda.

– Zdradzę ci sekret – szepnęła; głoska „s” miała jakby wilgotne brzmienie. – Jestem łatwa. Dla ciebie. Tylko dla ciebie, Sess.

Był bardzo pijany. W stanie głębokiego upojenia, ale co to właściwie znaczyło? Głębokie upojenie? Że był gotów wejść głęboko, dotrzeć głęboko, być głęboko? Oddech Pam przesycony zapachem wina, pomieszanym z wonią wędzonej szynki, jego piwa i jeszcze czegoś, co było samą jej esencją, podniecił go niesamowicie. Natychmiast stwardniał. Ich oddechy się zmieszały.

- Czego pragniesz najbardziej?
- Wszystkiego – odpowiedziała.

Rano wszystko było już dobrze. Nie zaszedłby tak daleko bez przeciwności losu, nie powaliłby tylu drzew, nie polowałby przez dwie zimy, nie sprzedawałby futer, nie odmówiłby zasiłku dla bezrobotnych, bonów żywnościowych czy jakiegokolwiek jałmużny z państwowego cycka, gdyby od czasu do czasu nie zdarzały się jakieś katastrofy życiowe. Przeciwności losu zahartowały go, wypaliły. Nauczyły stawiać czoło wyzwaniom i walczyć, aż w końcu nabrał wewnętrznego przekonania, że nie ma sobie równego w okolicy, że nikt nie jest od niego twardszy, bardziej zaradny, bardziej niezależny. Psy nie żyły. Nigdy nie kupi sobie nowych. A kiedy przyjdzie pora, kiedy będzie miał dużo czasu i odpowiedni nastrój, wyrówna rachunek.

Ale teraz był poranek i wewnątrz chaty rozświetlał wielki klin słonecznego światła, wpadającego przez okno nad łóżkiem i rozpalającego żywym ogniem słoje miodu na półce za piecem. Rozbudzony leżał długo nieruchomo, z rozkosznym, zmysłowym ciałem Pameli przywierającym do jego ciała tak, jak przylegają do siebie łyżki w szufladzie, i obserwował plamę słońca na ścianie, jakby do tej pory trzymali go zamkniętego w komórce i nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego. Obudzili się późno, ale tak to wyglądało tutaj latem – człowiek nie kładł się przez pół nocy, słońce zataczało mu łuk nad głową, a potem zasypiał i budził się w środku dnia. Sess miał kaca – i zaczynało się formować w jego świadomości uczucie wstydu i bezwartościowości, jakie towarzyszy takim stanom – ale nie zamierzał pozwolić, aby ten kac nim zawładnął choćby w najmniejszym stopniu. Dziś miał być dzień Pameli, cały, aż do jutra, i jeśli jego żona chciałaby po prostu siedzieć nago na słońcu i jak lady Chatterley wplatać niezapominajki we włosy łonowe (kolejna stała fantazja Sessa), to on nie miał nic przeciwko temu. Oczywiście sama myśl o tym go usztywniła i ten miłosny sygnał obudził ją natychmiast.

A co chciała robić, kiedy już podał jej talerz jajeczniczy na bekonie i ziemniaków odsmażanych na czterech łyżkach niezbyt świeżego smalca, którego pochodzenie jemu samemu wydawało się podejrzane? Chciała robić cokolwiek, działać przez resztę życia, budować coś cegiełka po cegiełce – lub w tym wypadku bal po balu.

– Pokaż mi, gdzie będą przybudówki – powiedziała i już była za drzwiami, już brodziła w sięgającym kolan zielsku, odmierzając krokami izbę, którą widziała oczami wyobraźni: czystsze, bardziej przestronne pomieszczenie, dwa razy większe od tego, które mieli, porządna sypialnia z prawdziwym, stojącym na środku łóżem. I półki, kilometry półek, a może jeszcze wbudowane szuflady. Bujane fotele. Stoliki. Miała już wizję takiego stolika, widział to wyraźnie.

– Chciałaś, żeby było dużo słońca – przypomniał.

Ośloniła oczy daszkiem z dłoni i uśmiechnęła się do niego.

Polne kwiaty sięgały jej prawie kolan. Jej skóra lśniła, jak posmarowana masłem grzanka. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział obrazka, który nadawałby się tak idealnie do oprawienia.

– A więc będziemy dobudowywać od wschodu?

– To zależy, czy lubisz poranne słońce, czy popołudniowe. Oczywiście zimą będzie to księżyc. Byłaś kiedyś w tych stronach zimą? To znaczy za miastem?

Myślał teraz o Jill, „Jill chce się stąd wydostać”. Każdy chciał stąd uciekać, kiedy zapadła noc, noc, która się nie kończyła, kiedy ściany chaty zdawały się kurczyć, aż człowiek czuł się jak bohater serialu *Flash Gordon*, w którym ściany zbliżały się do siebie, żeby zgnieść bohatera na miazgę. Flashowi zawsze udawało się jednak uciec. Podobnie jak większości kobiet, które tu zawędrowały, stąd na każdą kobietę z Boynton przypadało trzech zdziwaczałych samotników z lasu. Noc wyczerpywała wewnętrzne zasoby, a większość ludzi, zwłaszcza kobiet, nie miała niczego oprócz walorów czysto zewnętrznych i tego, co umożliwiało funkcjonowanie – czyli ściśle mówiąc, chodzenia po sklepach, plotkowania i bywania w restauracji z kinkietami na ścianach.

– Byłam w Boynton – rzekła. – A jestem z Anchorage.

Chciał jej powiedzieć, że to nie wystarczy, że to nie jest nic, bo czy to w mieście, czy w miasteczku można iść do baru albo do kina, można oglądać telewizję, no i oczywiście tęskni się za słońcem, lata się na Hawaje, jeśli pozwalają środki, więc to, że za podwójnymi oknami ogrzewanego gazem pokoju jest nieprzerwanie ciemno, w dzień i w nocy, nie zaprzęta zanadto głowy. Chciał jej opowiedzieć o pewnym małżeństwie, znajomych Jill, którzy wyobrazili sobie, że zamieszkają nad rzeką Porcupine w chacie po jakimś kopaczu złota i zostaną pionierami. O mało nie zapieprzyli się z nudów na śmierć, robili to cztery, pięć, sześć razy dziennie, aż zatarli się do czerwoności, a kiedy wyjeżdżali stamtąd wiosną, wyglądali jak ocaleni z obozu koncentracyjnego. Rozwiedli się potem i prawdopodobnie zajęli się wypiekami pączków. Przemilczał to jednak, bo Pamela była zbyt piękna i zbyt zadowolona z siebie, więc nie było to odpowiednie miejsce i pora na takie opowieści. Teraz był czas optymizmu, miłości – pora początków, a nie zakończeń.

– Nie wiem – powiedziała. – Chyba poranne. A jak ty?

– Południowe słońce to mój budzik, dlatego właśnie zrobiłem to małe okienko wychodzące na zachód, ale z drugiej strony mróz nadciąga zawsze z północnego zachodu i nigdy nie da się porządnie uszczelnić tego okna, co się odczuwa, zwłaszcza kiedy wieje wichur.

Nie słuchała go. Balansowała na jednej nodze jak baletnica, z bosą stopą na kolanie przypominała brodzącego ptaka. Patrzyła na południe, gdzie w odległości stu rozmokłych jardów czarne świerki drapały gałęziami chmury.

– Czy właśnie te drzewa zetniemy? – zapytała.

Podszedł do niej, objął ją, zaczął kołysać w ramionach.

Świerki miały co najmniej dwieście lat, choć nie były wyższe ani grubsze od piętnastoletnich sadzonych sosen w sąsiednich stanach.

– Nie wiem – powiedział. – Te drzewa to piękny widok. Myślałem raczej, że popłyniemy w górę rzeki, może spławilibyśmy parę bali, jak w dawnych czasach masowej wycinki.

– Spławiałeś już drzewo?

Nie, nigdy tego nie robił. Zbudował swoją chatę z tego, co było w zasięgu ręki, ale usprawiedliwiał się sam przed sobą tym, że chata i tak musiała stanąć na polanie. Na okalającym podwórku pełno było pieńków, schowanych wśród wierzbówki, tojadu, krwawnika. Ale pomysł ze spławianiem wydał mu się niezły i już widział, jak pracują ramię przy ramieniu może naprzeciw starej chaty Roya po drugiej stronie rzeki – on zwała drzewa, a ona obcina gałęzie, a potem toczą bale ku rzece i holują z łodzi za pomocą liny i ościenia albo drąga. Byłoby z tym więcej zachodu, bo kłody nasiąkałyby wodą i mieliby cholernie ciężko ciągnąć je pod górę, no ale i tak musieliby je suszyć i sezonować.

– Jasne – powiedział. – Jasne. To żaden problem. Zwłaszcza że mam taką wspaniałą, twardą kobietę, która mnie we wszystkim wyręczy.



Na dwa najbliższe tygodnie całkiem zapomniał o zabitych psach, a w każdym razie starał się o nich nie pamiętać. Codziennie płynęli z Pamelą w górę rzeki i ściągali stamtąd białe świerk na podpory dachowe i czarny, gruby na dziesięć cali (zasiał się w czasach, kiedy Waszyngtona nie było jeszcze na świecie), który rósł na wzgórzach nieco dalej od brzegu. Zabierali z sobą drugie śniadanie i czasami także kolację i dwukrotnie obozowali pod gwiazdami, oblegani przez chmury komarów. Drzewa padały jak zapałki i Pamela niestrudzenie obcinała gałęzie, z wizją małego stolika przed oczami. Oboje czuli później tę robotę w ramionach i w barkach, ręce mieli szorstkie, opuchnięte, pokryte pęcherzami i stwardniałe, ale choć wieczorem byli wykończeni – a czasem pracowali do ósmej, dziewiątej – zawsze znaleźli czas, by kochać się w śpiworze lub po prostu na piaszczystym brzegu rzeki, zupełnie jakby wynaleźli seks i musieli wypróbować swoją teorię w praktyce.

Pod koniec tych dwóch tygodni zgromadzili już niezły zapas bali ułożonych przed chatą i byli z siebie bardzo zadowoleni, przynajmniej Sess. Choć Pamela też zdawała się czerpać z tego radość, nie myślała w ogóle o tym, że jest dziewczyną z miasta, ma stopień naukowy i mogłaby się opalać w jakimś kurorcie na Côte d'Or. Pracowała jak mężczyzna, jak dwóch mężczyzn, nigdy się nie oszczędzała i nigdy nie porzucała roboty, dopóki on nie skończył. A kiedy kłody zawiślały na skałach lub utykały na progach, co zdarzało się prawie zawsze, równie ochoczo wskakiwała do sięgającej piersi lodowatej wody, żeby je uwolnić.

Teraz siedzieli na stercie bali po ostatniej wieczornej rundzie, dziobali widelcami zimny makaron z tuńczykiem i z serem, który przygotowała o świcie, i spoglądali na chatę, dopasowując w wyobraźni przycięte kłody. Najgorszą robotę mieli za sobą. W pewnej chwili Pamela, w szortach, przyciasnym podkoszulku, z rękami drwała i z włosami ściągniętymi do tyłu, stwierdziła między jednym kęsem a drugim, że czas wybrać się do miasta.

Spojrzał na nią badawczo. Bale należało okorować toporem ciesielskim, wciągnąć na górę i ułożyć do wyschnięcia, a potem zrobić wręby i zespolić je. Potem uszczelnić szpary. Następnie trzeba było podnieść dach i Sess obawiał się, że dostaną oboje podwójnej przepukliny przy ustawianiu środkowej podpory, o ile oczywiście kobiety mogą dostać przepukliny.

– Po co? – zapytał.

– I nie myślę o Boynton.

– Chcesz jechać aż do Fairbanks?

Skinęła w milczeniu głową.

– Okej. – Gotów był zawieźć ją do Topeki i z powrotem, gdyby sobie tego zażyczyła. – Spróbuję jednak zgadnąć, po co. Na zakupy?

– Ach; to by była tylko część programu – powiedziała, odstawiając talerz. Przycupnęła na stercie bali niczym duszek, jak gdyby wystarczyło, że pstryknie palcami, by jej życzenie się spełniło.

– Chciałabym trochę „sfeminizować” tę twoją borsuczą norę i zrobić jakieś zapasy; możemy oczywiście jeść przez całą zimę mięso z łosia, ale nie widzę nic złego w odrobinie ugotowanych jarzyn i ryżu, w przyprawach, marynatach i różnościach. Jak lazania. Spaghetti. Czekolada. Toffi. Bezy.

Podniósł się, żeby wyprostować nogi – zbyt długo siedział w jednym miejscu i czuł, że zeszywniały mu plecy; ból promieniował od grzbietu aż do obu ud.

– A więc bezy. Wyszło szydło z worka. Ja i moja żona jedziemy do wielkiego miasta po bezy.

Posłała uśmiech, dzięki któremu uświadomił sobie to, co już wcześniej podejrzewał – że on sam nie rządzi odtąd swoim życiem i nigdy już nie będzie rządził.

– Zgadza się – powiedziała i zrobiła pauzę, żeby przyjrzeć się przepływającej chmurce w kształcie ślubnej obrączki lub pętli. – Pojedziemy do miasta po bezy. – Potem dodała ciszej, już bez uśmiechu: – I po psy. Nie sądzisz, że już nadszedł czas?

Wyruszyli do Boynton o szóstej następnego ranka; o wpół do dziewiątej wyciągnęli na brzeg łódź – i trzymając się za ręce, wspięli się po zboczu wzgórza do szopy. Ogarnęło ich oboje dziwne uczucie – sentymalne, już teraz przyprawione nostalgią. Trawa przed domem była wydeptana w miejscu, gdzie odbywały się tańce, tu i ówdzie poniewierała się porzucona butelka, cekiny i konfetti lśniły w słońcu przesianym przez kępy wierzbówki rosnącej na obrzeżach tanecznego kręgu – były to swoiste artefakty rytuału, który tu odprawiali dwa tygodnie temu. Można było zobaczyć, gdzie ptaki dziobały rzucany ryż, napychając wola do granic możliwości. W miejscu, w którym stał ruszt do barbecue, było półksiężycowate wgłębienie, wypełnione zimnym białym popiołem, z którego sterczały zwęglone kości niczym pnie miniaturowych drzew w spalonym lesie. Przez popiół biegły ślady łasicy i wiewiórki ziemnej. Cała reszta zniknęła, jak cygański cyrk, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– To była zabawa jak się patrzy – powiedział Sess. – Jestem pewien, że nikt jej nie zapomni.

– Jasne – potwierdziła, spoglądając na niego z ukosa. – Aż do następnego razu.

Przez parę minut kręcili się po szopie, dokonując w milczeniu przeglądu inwentarza i odkładając na bok różne rzeczy – głównie narzędzia – które mogły im się przydać w chacie, a potem podeszli do drzwi domu Richarda Schradera i nawoływali go tak długo, aż stało się oczywiste, że albo gospodarz nie żyje, albo wyjechał gdzieś w interesach. Jego pick-up stał na podwórzu od frontu – samochód ten miał zasadnicze znaczenie dla całej ekspedycji, ponieważ gremlin Pameli należał teraz do pewnego kucharza z baru Zorza Polarna przy C Street w śródmieściu Anchorage, Sess zaś nie miał samochodu od trzech lat – a więc podejrzewali, że Richard nie mógł odejść daleko. Następnie stwierdzili, że zasłużyli sobie na coś do picia po długim „bezpiewnym” rejsie łodzią w promieniach palącego słońca. Pamela chciała koniecznie zadzwonić do Anchorage, żeby sprawdzić, czy matka dotarła bezpiecznie do domu, a także zapewnić ją, że cała ta podejrzana afera zwana miłością okazała się ku jej wielkiej satysfakcji czymś bardzo udanym. I że Sessowi też to przypadło do gustu. Odpowiadało mu właściwie wszystko. Deszcz był dobry dla ogrodu, zakończyli właśnie dwutygodniową robotę, która w niczym nie przypominała miesiąca miodowego, w barach Three Pup i Nugat spotkał ludzi, z którymi chciałby odnowić znajomość, bo pamiętał ich mgliście z wesela, wreszcie, choć nie wspominał o tym nikomu ani słowa, zamierzał nabyć kilka psów, najlepszym zaś miejscem do dokonania zakupu było Fairbanks, gdzie nikt o nic by nie pytał.

Zostawił Pamelę w domu towarowym, gdzie Wetzel Setzler miał krótkofalówkę podłączoną do linii telefonicznej firmy Bell Telephone i udostępnianą wspaniałomyślnie wszystkim, oprócz renegatów, anarchistów, ksenofobów i kudłaczy, którzy zdecydowali się zamieszkać na najdalszym krańcu ostatniej drogi w kraju, sam zaś udał się do baru Nugat tylko po to, by zajrzeć tam, nie przestępując progu. Nie spodziewał się wpaść na Joego Bosky'ego, bo Joe Bosky był tchórzem niezdolnym do konfrontacji twarzą w twarz i nie miałby odwagi pokazać się po tym, co zrobił. Sess chętnie natomiast by spotkał Richarda i wybadał, jakie ma szanse wypożyczenia jego pick-upa.

W Nugacie było tak samo jak w Three Pup, tyle że lokal, o połowę mniejszy, nie miał kuchni i ograniczał swą ofertę do gorzałki i frytek w ośmiouncjowych porcjach, orzeszków do piwa w celofanowych torebkach i starych precli dla smakoszy. Dwa łby karibu trzymały straż na barze, a nad piecem królował łeb łosia z okopconymi chrapami. Clarence Ford, właściciel tego przybytku, zamierzał nazwać go Nugget, czyli samorodek, ale ortografia nie była jego najmocniejszą stroną.

Kiedy Sess wkroczył w poranny półmrok panujący w barze, nie było tam nikogo oprócz Żelaznego Steve'a i nieznanego mu Indianina, śpiących przy barze. Najmłodszy syn Wetzela Setzlera, Solly, krzątał się na zapleczu, pobrzękując butelkami w kartonowych pudłach i zapisując coś w notesie. Co najmniej sześć miliardów much tłukło się o szyby, wydając dźwięk podobny do dźwięku wiolonczeli. Oddech Żelaznego Steve'a był zwolniony i chrapliwy, każdy wydech grzmiał jak trąba. W całym barze śmierdziało niedopałkami – starymi niedopałkami – i był to zapach przygnębiający, wspomnienie ruchu, który panował tu wcześniej, łokci opierających się o bar, wysączonych kieliszków, kłótni, całego tego szajsu, kobiet zdobytych i kobiet utraconych. O tej porze, piętnaście po dziewiątej rano, wszystko to było dla pozbawionego psów męczyzny, z płucami pełnymi słodkiego nadrzecznego powietrza, dość przygnębiające.

– Hej, Solly! – zawołał teatralnym szeptem, żeby nikogo zbyt wcześnie nie obudzić. – Czy można się tu napić piwa? Czy też ludzie przychodzą tu umierać z pragnienia?

Solly Setzler miał dwadzieścia cztery lata, odziedziczone po ojcu spadziste ramiona, które przypominały narciarskie stoki, i bezbarwne brwi. Nikogo właściwie nie dziwiło, że pracuje dla konkurencji, bo prawdziwym cudem było już samo to, że w ogóle komuś chce się stać za ladą baru o tej porze roku. Swoistym cudem były też jego włosy koloru wełny mineralnej i oczy pozbawione ludzkiego wyrazu i blasku. Wykształcenie zdobywał w domu i był najbardziej zagubionym, zamyślonym i nierozgarniętym młodym człowiekiem, jakiego znał Sess. Teraz Solly spojrział na niego, wykręcając szyję jak pisklę w gnieździe, czekające na tłustą dżdżownicę.

– Sess – powiedział zdziwiony. Wyglądał na zagubionego nawet za barem, w którym przepracował trzy lata, zupełnie jakby go wyrwali ze snu. – Zdawało mi się, że zamieszkałeś w gorze rzeki.

Nie wiedział, gdzie jest Richard Schrader, ale udało mu się zlokalizować piwo. Otworzył je, nie przyszło mu jednak do głowy, żeby zaproponować spełnienie toastu za nowo poślubionych, czego Sess i tak by odmówił, bo było jeszcze za wcześnie, czekała go jazda samochodem i wszelkie obowiązki żonatego mężczyzny, który nie mógł sobie ot tak, po prostu, przyjść do miasta i urznąć się jak jakiś spragniony rozmowy świrus z dziczy z powrastanymi paznokciami u nóg i kępkami włosów sterczącymi z uszu i z nosa.

W barze Three Pup wpadł na Skida Dentona, który najwyraźniej zdradził Nugat, w każdym razie od czasu, gdy do miasteczka zawitała Lynette. Skid jadł śniadanie złożone z befsztyka i jajek polanych obficie sosem tabasco, z dodatkiem posiekanej cebuli, frytek, grzanki i kufła piwa z pomidorowym sokiem.

– To krwawy browar – oznajmił, uprzedzając ewentualne pytania. – W ten sposób uzupełniam witaminę C. – Podniósł wzrok znad talerza, żeby poinformować Sessa, że Richard Schrader wybrał się w dół rzeki na ryby w nadziei, że lada dzień pojawi się łosoś królewski. Lynette, półleżąc na barze, z pistoletem, który podjechał jej w górę na biodrze, potwierdziła te doniesienia.

– Jakiś turysta – powiedziała, jakby sama mieszkała tu już z pięćdziesiąt lat – złapał trzydziestodwufuntową sztukę, i to na płyciźnie, nie dalej jak dwa dni temu. No, może trzy.



Wypił jeszcze jedno piwo, żeby było do pary z tym z Nugatu – był wiemy jednej marce, taką miał zasadę – i tu też nikt nie zaproponował, że postawi mu kolejkę z okazji ślubu, co było okej, widocznie szanowali jego twarde postanowienie o zachowaniu wstrzeźliwości. Potem wrócił do miasta, żeby odnaleźć Pamelę w domu towarowym. Chciał jej przekazać złe wieści – że nie ma samochodu i że wobec tego muszą kupić wszystko, co trzeba, na miejscu. Było to fatalne, bo nie mogąc jechać do Fairbanks, gdzie kwitła otwarta wolna konkurencja, musieli płacić Wetzelowi Setzlerowi paskarskie ceny.

Oczywiście zimą nie mieli żadnego wyboru, bez psów absolutnie nie mogli przyjechać saniami po rzece do Boynton, a więc nie było mowy o kupowaniu na przykład czterdziestouncyjowej puszkę greckich oliwek, którymi można by uraczyć bywalców baru, Richarda czy kogokolwiek innego.

Ale potem, gdy kroczył przed siebie z dwoma piwami przyjemnie ciężącymi mu w żołądku i z wietrzykiem od rzeki igrającym w jego włosach, nagle wyrosły przed nim oblażące z farby szopy i budy miasteczka, by go pozdrowić jak starzy znajomi i weseli kompani. I wtedy przypomniał sobie luksusowego mustanga z 1965 roku, o którym dowiedział się kiedyś przypadkiem. Przyszła mu do głowy myśl kryminalna, ale czyż jeden przestępczy czyn nie zasługiwał na to, by zrewanżować się podobnym?

Dla Pameli wewnątrz domu towarowego było doskonałym przykładem porządku w morzu chaosu. Zawsze wierzyła w pewien rodzaj uczciwości, łączącej się z powściągliwością i ascezą, toteż jej mieszkanie w Anchorage wolne było od kiczu, dominującego w mieszkaniach jej znajomych – rzeźb ze steatytu i z kłów morsów, polerowanych stojaków z rogów karibu, wystawek wypchanych zwierząt, oprawionych w brzozowe ramki scenek rodzajowych z życia Indian, nie mówiąc już o aparaturze stereo, mikrofalówkach, szafach pełnych butów, torebek, swetrów i obszywanych paciorkami mukłoków. Przedmioty ją przytłaczały. Mierziły ją wytwarzane przez człowieka błyskotki i gadżety, wszelkie nowinki, nieprzebrane sterty wszelkiego śmiecia, jakiego potrzebuje każdy dobry pełnokrwisty Amerykanin, aby przeżyć. Nie kupowała tego ani teraz, ani nigdy przedtem. Tak naprawdę to podziwiała przede wszystkim samowystarczalność pierwszych poszukiwaczy złota, dla których było fraszką przetrwanie całego miesiąca z jedną strzelbą, kawałkiem żyłki rybackiej, workiem ryżu, sześcioma uncjami soli i odrobiną herbaty w puszcze. Ograniczenie się do rzeczy podstawowych. Życie z tego, co ofiaruje ziemia.

A jednak musiała podziwiać to, co zrobił Wetzel Setzler z dwiema niskimi halami w wielkiej, poczerńiałej budowli z bali, która królowała przy głównej – a właściwie jedynej – ulicy Boynton. Od Sessa dowiedziała się, że miejsce to było pozostałością z przełomu wieków, z czasów, kiedy Boynton mogło się poszczycić ponad tysiącem mieszkańców oraz operą i kiedy wzdłuż rzek Kandik i Charley stało dwadzieścia osiem saloonów i połyskiwały patelnie pierwszych poszukiwaczy złota, a więc z czasów, gdy po rzece kursowały trzydzieści dwa statki parowe Północnej Kompanii Nawigacyjnej. Tym bardziej intrygowało ją, co też myślały te hordy ludzi, przybywając tłumnie do krainy, o której nie miały najmniejszego pojęcia. I nagle odpowiedź przyszła sama: gwałt i rabunek, oto co zaprzętało głowy tych ludzi, niewiele ponadto. Wydrzeć stąd złoto, wziąć mięso, futra, a potem zwinąć namioty i zniknąć gdzieś w Cleveland, w Sacramento, w Montpelier i Miami Beach.

Wetzel Setzler miał chyba ze trzy tysiące rozmaitych produktów na sprzedaż, od świec samochodowych, nabożów, przynęty na ryby, siedeł na bobry i kluczy francuskich po likier Maraskino, ocieplane skarpety, kombinezony, fasolę konserwową, wysokoprocentowe alkohole, szesnaście różnych rodzajów cukierków i gum – i każda z tych rzeczy umieszczona była w oddzielnym pojemniku, z wyraźnie wypisaną odręcznie ceną, tak jednolitym charakterem pisma, że wyglądało to jak odbite pieczęcią przez producenta. W środku hali królował piec, wokół niego ustawiono kilka krzesel, na hakach wbitych w belki sufitu wisiały rozmaite towary, a obok stała lada chłodnicza z napojami, piwem w puszkach, a nawet mlekiem, masłem i bitą śmietaną, sprowadzanymi z supermarketu i sprzedawanymi za potrójną cenę. Gdyby nie ta lada, wewnątrz wyglądałoby tak, jakby wyskoczyło wprost ze stronic starej książki z fotografiami czy wręcz dagerotypami, jak w wydawnictwach w rodzaju *Jak żyli nasi przodkowie* lub *Wiejskie domy towarowe na dawnym Zachodzie*, które jej matka zawsze kładła na stoliku, żeby goście, popijając kawę, mogli sobie je przejrzeć.

Kiedy Pamela weszła do środka, nie było tam nikogo, choć minęła już dziesiąta i na zewnątrz strumień ludzi płynął w obie strony ulicami niczym skrzepy krwi w arteriach miasta. Dzwonek nad drzwiami obwieścił jej przybycie, ale nikt – ani Wetzel Setzler, ani ekspedient, jeśli coś takiego istniało w tej dalekiej krainie – nie wyszedł z zaplecza na jej powitanie. Panowała jakaś nieziemaska cisza, jakby to miejsce istniało poza czasem, a jedynym światłem był nikły blask, sączący się przez okno. Przyszło jej do głowy, że mogłaby ich obrabować, wziąć, co tylko zechce, wszystko, co zdołałaby unieść, a potem założyć konkurencyjny sklep naprzeciwko, a oni i tak by się nie zorientowali.

– Halo! – zawołała. – Jest tu ktoś?

Stała naprzeciwko rozwartej paszczy czegoś, co musiało być potrzaskiem na niedźwiedzia. Wielki, błękitnawoczarny stalowy klin zwisał na łańcuchu z sufitu, połyskując blado w porannym świetle. Oto była pułapka, która oznaczała śmierć i bezwzględność; wyobraziła sobie te sidła chytrze ukryte tuż obok jakiegoś ścierwa albo na szlaku zwierzyny, niczym spełnienie jakiegoś złego snu, i patrząc w stalowe zęby, przez krótką chwilę odczuła całe okrucieństwo urządzenia. Czy właśnie o tym próbował jej powiedzieć Sess tej nocy, kiedy się upił? To właśnie był potrzask. Niezbędny ekwipunek człowieka żyjącego w dziczy. Chwytało się w sidła stworzenie, potem się je zabijało, odzierało ze skóry, karmiło jego mięsem psy, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży futra kupowało się cukier, kawę, amunicję, więcej sideł. Właśnie to robiła teraz ona i była to w takim samym stopniu kwestia wyboru, jej własnej przyjemności i skłonności, jak kwestia przeżycia – wszystkie te pomniejsze żywoty służyły jej własnemu życiu, jakby była jakimś bogiem wciąż domagającym się ofiar.

Obok sideł, przybity gwoździem do polakierowanej belki, jakby po to, by rozświetlić cały ten biznes, wisiał staroświecki klakson rowerowy ze zmatowiałą mosiężną trąbką i czarną gumową gruszką. Odruchowo wyciągnęła rękę, ścisnęła gruszkę i niski, uroczysty charkot obwieścił jej obecność.

– Halo! – zawołała znowu.

Żadnej odpowiedzi.

A może po prostu nie było jeszcze otwarte? Może wszyscy byli tu tak ufni, że wcale nie zamykali drzwi i ludzie mogli sobie wchodzić i wychodzić, jak i kiedy chcieli, brać to, czego potrzebowali, i uczciwie płacić. W głębi zobaczyła drzwi z napisem „Biuro”, wykonanym tak samo starannie jak napisy na pojemnikach z towarem. Podeszła i nacisnęła klamkę. Dla formalności zapukała jeszcze lewą ręką w chwili, gdy otwierała drzwi. Stała w progu pozbawionej okien klitki z biurkiem, szafką i kartonami z alkoholem piętrzącymi się pod ścianami aż do sufitu. Czuć tu było roztopionym woskiem albo naftą, w każdym razie czymś chemicznym zmieszonym z wonią odświeżacza i pleśni, którą odświeżacz miał zneutralizować.

Kiedy nachyliła się, żeby zajrzeć głębiej do środka, deski podłogi jęknęły pod jej stopami, została więc tam, gdzie była, dziwnie nagle speszona. Nie miała żadnej sprawy do załatwienia w norze człowieka, którego nie znała i którego skarpetki i poźółkły podkoszulek schły na oparciu krzesła, tak jakby zrobił właśnie małą przepierkę. Jego fajki z obgryzionymi ustnikami leżały w szeregu na szafce obok oprawionego zdjęcia sprzed wielu lat, na którym widać go było w towarzystwie dwukrotnie wyższej od niego kobiety w perkalowej sukience. Oboje patrzyli w słońce, mrużąc oczy, jakby przed chwilą wyszli z jaskini. W rogu pomieszczenia stała para butów, słoik z przyrządami do fajki, rozebrany na części kołowrotek ułożony na kawałku gazety. Potem zobaczyła na biurku krótkofalówkę z podłączonymi słuchawkami i mikrofonem i zrobiło to na niej wrażenie podobne do tego, jakie wywołały sidła na niedźwiedzie – to był inny świat, inne życie, i oswojenie się z nim wymagało czasu. Jasne. A jej matka może poczekać, zdecydowała, uznawszy, że będzie taniej zadzwonić z normalnego telefonu w Fairbanks, o ile znajdą Richarda Schradera i będą mogli pożyczyć od niego samochód. Wycofała się więc i zamknęła za sobą drzwi biura.

Jeszcze raz zawołała: „Halo, czy jest tu ktoś?” i ruszyła wzdłuż półek z towarem, zagubiona wśród cynkowanych wiader i blaszanych beczek z naftą, wkrętów podłogowych, kilofów, przynęt rybackich i chleba w celofanie. Poczula ukłucie w sercu. Bardzo chciała porozmawiać z matką – to było ważne – i to nie tyle, żeby ją uspokoić, ile poinformować, że może jej się powiedzie to, co nie udało się matce, że ona, Pamela, wiedziała, co robi, i że wszystko rozwija się pomyślnie, więcej niż pomyślnie. I matka powinna była się o tym dowiedzieć.

Matka akceptowała Sessa, ale od samego początku nie podobał jej się cały pomysł życia w dziczy. „Miałam tego potąd, bo twój ojciec poszukiwał złota przez wszystkie te lata, kiedy byłaś małą” – mówiła i brzmiało to jak litania, jak katechizm, który Pamela mogła powtórzyć słowo w słowo. „Ach, wam, tobie i Pris, wydawało się to może zabawą, ale dla mnie to był pański krzyż, to pichcenie dla czterech osób na ognisku, do północy, kiedy człowiek opędzał się od komarów i zastanawiał się, czy on w ogóle wróci, czy też złamał nogę, został zaatakowany przez niedźwiedzia albo utonął, przepływając się przez rzekę – i to ostatnie było najgorsze: wyobrazić sobie, jak płynie niczym jakiś nasiąknięty wodą poleć wczorajszego mięsa, żer dla kruków i mrówek...”.

Pamela była małą dziewczynką, miała zaledwie osiem lat, kiedy po raz pierwszy udali się do głuszy, i wszystkie jej wspomnienia z tamtych czasów były radosne. Pamiętała, jak w trójkę – ona, matka i Pris – leżały sobie w namiocie, a deszcz bębnił, wybijając latynoskie rytmy na brezencie. Matka rozdawała karty i grały w kierki lub w bezika, a zapach gulaszu z marynowanego w imbirze królika albo wiewiórki rozchodził się po kątach. Były owsiane ciasteczka, pieczone w kempingowym piecyku, pierniczki, nawet ciasta. Czytała wszystkie książki Nancy Drew, sióstr Bronte, opowieści o Sherlocku Holmesie. Kąpały się w rzece, łowiły ryby, pływały łódką, a przez cały czerwiec i pół września matka uczyła ją i Pris arytmetyki, gramatyki i ortografii, kazała im pisać wypracowania o Andrew „Stonewallu” Jacksonie i Thomasie Painie. To było jak marzenie senne. I tak jak we śnie wspomnienia wracały do niej kolorowe i przesycone emocją, jeden epizod przechodził płynnie w drugi, w montażowym ciągu obejmującym wszystkie sześć letnich wypraw, aż do tego roku, kiedy ojciec poszedł sobie i już nie wrócił.



Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo tak dryfowała po sklepie niczym zaczadzona, dotykając wszystkiego po kolei, jakby nigdy w życiu nie widziała zawiasów ani gwoździ, ale w końcu wyrwał ją z zamyślenia cichy, niemal przepaszający dźwięk klaksonu, który dotarł do niej przez frontowe okno. Na ulicy stał samochód – biały, w niebieskie pasy, model wyścigowy, który wydawał się zupełnie nie na miejscu tu, w miasteczku, gdzie wszystkie pojazdy były zajęzione do granic możliwości i gdzie można było mieć tylko pick-upa albo kombi. Początkowo myślała, że mężczyzna za kierownicą jest pewnie jakimś turystą, który przyjechał z Anchorage albo z któregoś z południowych stanów, ale on najwyraźniej dawał jej znaki przez dzielącą ich szybę i ponownie zatrąbił klaksonem, natarczywie, ponagląco, wręcz jakby znajomo. Dopiero po dłuższej chwili parsknęła śmiechem, uświadomiwszy sobie, że nie rozpoznała własnego męża, bo to właśnie on wychylał się teraz z okna i przywoływał ją niecierpliwymi gestami obu rąk. No dobrze. Ale stała właśnie przed starannie opisaną puszką z czekoladą Hersheya, nigdzie nie było widać właściciela sklepu, a ją czekała długa jazda. Wzięła bez zastanowienia dwie tabliczki i już zmierzała do drzwi, kiedy nagle się zreflektowała. I choć Sess jeszcze dwukrotnie nacisnął klakson, odwróciła się, podbiegła do kasy stojącej na ladzie i położyła tam dwie dwudziestopięciocentówki.

Z bliska samochód wyglądał jeszcze dziwniej, jakby postawiła go tu, w samym sercu tej krainy, jakaś szurnięta ekipa obsługująca wielkie transportowe śmigłowce, jakie widuje się w telewizyjnych reportażach wojennych. Coś się tu nie zgadzało – wyścigowy samochód w Boynton, sto sześćdziesiąt mil od najbliższego bitego traktu? Wśliznęła się na siedzenie obok Sessa i wręczyła mu czekoladę w chwili, gdy ruszył z impetem, wyrywając z nawierzchni żwir.

– Piękny samochód – zauważyła, wciśnięta w oparcie fotela. – Skąd go wytrzasnąłeś?

Rozdzierał opakowanie zębami i dociskał gaz do dechy, jadąc na pierwszym biegu. Lewą ręką i łokciem prawej manewrował kierownicą, lawirując między wyrwami i bezdennymi kałużami na drodze prowadzącej do szosy Fairbanks Road. Kiedy wrzucił drugi bieg, podwozie aż zadygotało na kawałku pralki, błoto trysnęło spod kół i kamienie zagrzechotały o zderzaki jak seria z karabinu maszynowego. Przemknęli obok baru Three Pup i dopiero teraz zorientowała się, że pewnie umyślnie nie odpowiada na jej pytanie.

– Zadzwońska? – zawołał, przekrzykując ryk silnika.

– Nikogo nie było – odparła i głos aż jej zawibrował od drgań uginających się resorów. Sess nie zwalniał, wskazówka prędkościomierza skoczyła do osiemdziesiątki na drodze, na której nawet o połowę mniejsza szybkość byłaby niebezpieczna. I co on kombinował, ten jej chrupiący czekoladę mąż z wielkimi dłońmi, grzywą włosów i uśmiechem na twarzy? Czy próbował jej zaimponować jak jakiś nastolatek, który zabrał ją na randkę podrasowanym wozem tatusia? Czy zgrywał się przed nią na nastolatka, czy po prostu poczuł nagły przypływ energii? Bez względu na to, o co tu chodziło, pędząc z taką szybkością, mógł rozwalić samochód, a może nawet zabić ich oboje. Ujęła go za ramię.

– Sess – powiedziała – czy mógłbyś trochę zwolnić?

Wskazówka prędkościomierza opadła natychmiast do czterdziestu, a on odwrócił się do niej, szczerząc zęby.

– Podoba ci się? – zapytał. Miał na zębach czekoladę i wyglądał jak jakiś błaznujący komik telewizyjny, Red Skelton czy jakiś inny.

Dostrzegła błysk szaleństwa w jego oczach, jakąś kipiącą emocję, której wcześniej u niego nie widziała, i przypomniała sobie, że wciąż jeszcze uczy się go czytać – w końcu trwał przecież ich miesiąc miodowy. Był jej mężem i kochała go, ale jak dobrze naprawdę go znała po dwóch tygodniach?

Odwzajemniła uśmiech i ścisnęła przegub jego ręki spoczywającej na drążku zmiany biegów, koła były o drogę, droga oddawała.

– Jasne, jest piękny. Ale nie ma tylnych siedzeń ani niczego, więc jak...

– Mówisz o psach? Do diabła, przywiążemy je na dachu. – Dodał gazu, samochód wystrzelił do przodu, potem zwolnił nagle, gdy zdjął nogę z gazu.

Sess nie przestawał się uśmiechać i już miała powtórzyć pytanie: „Skąd wystraszałeś ten samochód?”, gdy zauważyła, że w stacyjce nie ma kluczyka i tylko lśniąca szpara patrzy na nią jak pusty oczodół. A poniżej, pod kolumną kierownicy, wisiał zwitek przewodów.

Przemknęła obok nich chwila, jakieś zarośla po obu stronach, drzewa łopoczące jak flagi na wietrze. Potem Sess zaczął łowić coś pod siedzeniem, z głową przekrzywioną, żeby jednym okiem widzieć drogę.

– Masz – powiedział, prostując się i wręczając jej puszkę piwa. – Ja mam już na starcie przewagę nad tobą, a przecież postanowiliśmy, że wypijemy sobie rano kilka piw. – Umieścił drugą puszkę między udami i zaczął odrywać kapsel, samochód przejechał kilkanaście metrów zygakiem i wyrównał.

Wzięła od niego piwo, otworzyła, pociągnęła łyczek.

– Jesteś pijany, prawda? To dlatego tak się zachowujesz?

Jego szeroki uśmiech zniknął, kiedy grzebał pod siedzeniem, ale teraz powrócił, jeszcze wyraźniejszy.

– Do diabła, nie! To te dwa piwa i czekolada na prawie pustym żołądek! Po prostu dobrze się czuję, to wszystko. Super. Jak król.

Trzymała oburącz swoje piwo i przyglądała mu się uważnie.

– Skąd wzięłeś ten samochód, Sess?

Patrzył prosto przed siebie z uśmiechem zastygłym na wargach. Wzruszył ramionami, ale nie spojrział na nią.

– Skądś.

– Ach, tak? – zapytała i nie zabrzmiało to bynajmniej miło. To, co zrobił, było przestępstwem, niczym innym. Czynem nieodpowiedzialnym. Błędem. – To dlaczego nie ma kluczyków? I co mają znaczyć te przewody?

Znów wzruszenie ramion. Przytknął puszkę do ust i jednocześnie dodał gazu.

– Pożyczyłem go.

– Pożyczyłeś? Od kogo?

– Chcesz sprawdzić, czy już mówią coś w radiu?

– Pytam od kogo, Sess?

Teraz on spojrział na nią i uśmiech zniknął z jego twarzy. Jakieś stworzenie – płowa smużka – przemknęło przez drogę tuż przed nimi.

– Od Joego Bosky'ego.

– Od Joego? – powtórzyła, jakby źle usłyszała i może rzeczywiście tak było, może ryk silnika i szum wiatru wpadającego przez okno wywoływały omamy słuchowe.

Nie odpowiedział, wpatrywał się w szeroki brunatny jezor drogi.

– Mówisz o Joem Boskym, którego parę tygodni temu byłeś gotów zabić? O tym Boskym?

Przez chwilę patrzyła badawczo na jego profil, ale nie mogła z niego nic wyczytać.

– Mówimy tu o kradzieży samochodu, Sess. Mówimy o więzieniu. Czy warto robić coś takiego? Czy naprawdę warto, dla popisu? Żeby pokazać, jakim się jest supermenem? Popisać się przede mną?

– Oko za oko. Ząb za ząb. Tu obowiązuje prawo dżungli i lepiej, żebyś się z tym oswoiła.

– Nie wciskaj mi kitu – powiedziała. – Nawet nie próbuj.

Pędzili z nadmierną szybkością, aż fruwały kamienie, odbijając farbę i rysując karoserię samochodu Shelby Mustang GT 350, 1965 Joego Bosky’ego, samochodu, który Joe kupił natychmiast po wyładowaniu w San Diego, po swojej drugiej rundzie wietnamskiej. Kupił go za pieniądze, które zostawiła mu zmarła matka, i przetransportował do Anchorage, by potem, z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, przyjechać szosą Fairbanks Road do Boynton, gdzie dzięki uprzejmości Wetzela Setzlera wynajął jedyny garaż w miasteczku za dziesięć dolarów miesięcznie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była wściekła. To wszystko wydawało jej się takie dziecinne, dwóch przerośniętych chłopczków terroryzujących się wzajemnie. I co ten Sess chciał w ten sposób zyskać? Jego psy nie żyły, a on zemścił się, kradnąc Joemu samochód. A co, jeśli Joe Bosky coś zwietrzy, bo przecież Sess stał w tym samochodzie na głównej ulicy i trąbił na cały świat? Co, jeśli poprosi Wetzela Setzlera, żeby ten wezwał szeryfa przez swoją krótkofalówkę? Co wtedy?

– Zatrzymaj się, Sess – powiedziała. – Zatrzymaj ten samochód. Nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

Sess zacisnęła palce na kierownicy. Patrzył prosto przed siebie.

– Już masz – odparł.

Kiedy zajechali do Fairbanks, zobaczyli przy Steese Highway wóz patrolowy, długi, niski, złowrogo wyglądający sedan, w którego szybach odbijało się słońce, tak że nie można było zajrzeć do środka. Już na sam widok podskoczyło jej serce, ale Sess tylko zwolnił, wystawił rękę przez okno i pozdrowił niewidzialnego gliniarza serdecznym gestem. Nie odważyła się odwrócić głowy, ale obserwowała samochód w bocznym lusterku, jakby mogła go unieruchomić siłą woli, i tylko czekała, kiedy wybuchnie wściekły tumult świateł i zawyje syrena. Nic się jednak nie działo. Samochód policyjny rozplynął się w lusterku, nieruchomy i martwy jak kupa kamieni. Wyprzedził ich jakiś pick-up. Weszli w zakręt. Sess położył obie ręce na kierownicy; prowadził teraz tak ostrożnie jak hodowca drobiu wiozący jajka na targ.

Zjedli lunch na tarasie baru Pumphouse, jej ulubionego miejsca w Fairbanks. Słońce na twarzy, wietrzyk i dwa wypite piwa powoli ją uspokajały. Wyjęła gazetę i zaczęli przeglądać ogłoszenia pod nagłówkiem „Szczeniaki”, ale żadna z ofert nie wydawała się Sessowi interesująca – spochmumiał teraz, znikła cała jego dotychczasowa wesołość – i oboje wiedzieli już, że dzień jest stracony. Sess powtarzał, że powinni wracać do domu, zastawić sieci skrzelowe, ale potem wypił duszkiem piwo, poprawił czymś mocniejszym i zaczął grzmieć, że nie ma sensu zawracać sobie głowy łososiami ani niczym innym, bo jeśli nie ma się psów, to i tak wszystko na nic i cała idea życia w dziczy jest tylko mrzonką i kpina. Jego nastrój bardzo ją przygnębiał, więcej – przerażał. Sess był skałą, jej opoką, dominującym samcem wybranym z całego stada gorszych samców, męczyzną, na jakiego czekała całe życie, żeby zabrał ją do leśnej głuszy, i jego klęska była jej klęską. Kelnerka kręciła się w pobliżu i Pamela widziała po jego oczach, że ma zamiar zamówić następną kolejkę, więc powiedziała:

– Słuchaj, a co powiesz na schronisko?

– Nawet nie wiem, gdzie jest. – Widać było, że szuka na siłę przeszkód.

– Chodzi o schronisko dla psów? – wtrąciła się kelnerka, sprząając ze stolika butelki i obrzucając oboje badawczym spojrzeniem. – Mogę państwu powiedzieć, gdzie to jest, bo mój chłopak i ja znaleźliśmy tam niedawno najrozkoszniejszego na świecie pudelka miniaturkę. Wabi się Mitzi. Chcą państwo zobaczyć zdjęcie?

Schronisko znajdowało się na tyłach jakiejś fabryki czy magazynu, na wydeptanym terenie pozbawionym drzew i jakiejkolwiek innej roślinności. Przed niskim budynkiem z pustaków stała zdezelowana ciężarówka, zaparkowana ukośnie, jakby kierowca porzucił ją i zbiegł w popłochu. Kilkadziesiąt metrów za budynkiem biegły tory kolejowe, na których ciągnął się aż po horyzont sznur podobnych do kostek domina wagonów towarowych. Sess nie chciał nawet wysiąść z samochodu, ale go zmusiła i w chwilę później stali na podwórzu, żwir chrząścił im pod nogami, a ona myślała o tym, że są niesamowicie daleko od rzeki Thirtymile, a jednak wciąż w stanie Alaska. Uderzyła ich w nozdrza woń amoniaku, którą przyniósł lekki wietrzyk razem z garstką komarów. Usłyszeli ciche i pełne udręki skowyty i skomlenie, które zdawało się napływać ze wszystkich stron i jednocześnie znikąd.

– Co mamy do stracenia? – zapytała, próbując go ułagodzić, gdy posłał jej ponure spojrzenie ponad dachem groteskowego samochodu.

Wewnątrz unosił się skoncentrowany zapach zwierząt i Pamela pomyślała o jedynym ogrodzie zoologicznym, jaki w życiu odwiedziła. Było to w San Francisco; wyliniałe zwierzęta leżały w betonowych korytach, gnijąc, ich spotęgowany odór – tak intensywny, że wywołało to u niej panikę – był jedynym wrażeniem, jakie jej stamtąd, a właściwie z całego pobytu w mieście, pozostało. Podłoga była tu betonowa, światło przyćmione. Tęga kobieta z natapirowanymi włosami i maleńkimi okularkami na nosie wyszczerzyła do nich zęby zza kontuaru ze sklejki pokrytej laminatem.

– Państwo po pieska? – zapytała, przekrzykując ujadanie psów, które nasiliło się, gdy przekroczyli próg. – Czy jeszcze się państwo zastanawiają?

Po chwili ruszyli wybetonowanym korytarzem między rzędami klatek z drucianej siatki. Psy wszelkiej maści i rozmiarów skakały na druty, skowycząc, piszcząc, skomląc, łapy pracowały jak śmigły wiatraka, ślepia płonęły niecierpliwością i nadzieją. Kobieta nachylała się do wszystkich psów po kolei, przemawiając do nich łagodnie, a one trącały ją lśnącymi nosami przez siatkę, lizały z najwyższą czcią jej palce i grzbiet dłoni. Słysząc było przeraźliwe drapanie pazurów, gdy szukały rozpaczliwie punktu oparcia na mokrym betonie. Jeden z nich, nie całkiem rasowy beagle z oklapniętymi uszami i żywymi, przejrzystymi ślepiami, gramolił się po grzbietach trzech innych, żeby wytknąć nos przez szczelinę w miejscu, gdzie drzwi klatki oderwały się od zawiasów. Pamela wsunęła do środka rękę i natychmiast odczuła wdzięczne psie zainteresowanie; różowy język zlizał dokładnie z jej skóry najmniejszą nawet cząsteczkę jej zapachu. Chciałaby je zabrać wszystkie.



– Spokojnie, Buster – powiedziała kobieta, przyciskając dłoń do siatki, za którą pies myśliwski z siwym pyskiem przysiadł na chorym, zdeformowanym zadzie. – Buster to najrozkoszniejsze psisko, jakie można sobie wymarzyć. Doskonały jako pies domowy. I uwielbia dzieci. Mają państwo dzieci?

Sess był tuż obok, ale zdawał się nie słyszeć. Skupił całą swą uwagę na psie w głębi klatki, chudym, wielkogłowym stworzeniu z grubymi łapami, które nie mogło mieć więcej niż osiem, dziesięć miesięcy.

– Ten – powiedział. – Czy mógłbym obejrzeć tego?

Kobieta popatrzyła z powątpiewaniem.

– Mówi pan o Peachesie? Bo on się wabi Peaches – rzekła, rzucając Pameli spojrzenie przez ramię. – To nie jest pies domowy, ale jeśli mieszkają państwo na wsi i jest tam dużo przestrzeni, to chyba będzie dobry. Jest tylko trochę bojaźliwy.

– To dlatego, że jest w nim trochę z wilka – powiedział Sess i Pamela wyczuła z jego głosu, że humor trochę mu się poprawił. – Widzisz, jakie sękaty ma te tylne łapy? A ten pysk? Spiczasty pysk oznacza, że pies ma dłuższy kręgosłup, a więc i lepiej rozwinięte mięśnie klatki piersiowej, i może pokonywać większe przestrzenie. Ten tutaj jest szybki i mocny. I dobry do zaprzęgu.

Zanim się obejrzała, już był w klatce; kilka psów obstało go, łasząc się i machając ogonami. Wilczek skulił się w kącie, a Sess przykucnęła i wyciągnęła do niego rękę.

– Peaches – powiedział łagodnym, cichym głosem. – Cóż to za imię dla psa? No chodź tu, mały, chodź.

Upłynęła minuta, Pamela i kobieta obserwowały ich, stojąc przed klatką, w końcu pies podszedł do niego, pokonał te parę kroków w pełnej uległości pozycji wilka, na przygiętych łapach, szorując brzuchem po cementcie. Sess pogłaskał nastawione uszy, przeciągnął ręką po długim pysku.

– Wezmę tego – powiedział.

W sklepie nie pozwolił jej kupić więcej, niż mogli oboje unieść. Nie tłumaczył niczego ani nie wszedł z nią, aby pchać wózek wzdłuż półek zapelnionych wszelakim dobrem, jak to robili wszyscy inni młodzi mężczyźni. Został z psem na piaszczystym placu przed sklepem – na samym skraju, gdzie rosło sięgające kolan zielsko – i choć miał z sobą smycz własnej roboty i obrozę, na razie ich nie wyjął. Kierował psem, używając wyłącznie głosu, a kiedy Pamela zniknęła w sklepie, przykucnął, obserwując go. Potok cichych kojących słów działał na zwierzę jak zaklęcie.

Pamela mogłaby wykupić cały sklep, ale ograniczyła się do kosmetyków, pasty do zębów, świeżych owoców i warzyw – za którymi zaczynała już tęsknić – oraz takiej ilości makaronu i konserwowych pomidorów, jaką według jej oceny mogli unieść: Kiedy wyszła, tocząc przed sobą wózek, Sess podniósł się i skierował w jej stronę, nie oglądając się nawet na psa, który z opuszczonym łbem ruszył za nim.

W drodze powrotnej Sess rozgadał się i tokował, jakby wygrał los na loterii. Zakupy zostały umieszczone z tyłu, za siedzeniami, a pies – którego nie chciał obrażać, nazywając go Peaches – siedział, napięty jak sprężyna, na jej kolanach, z łbem wystawionym na zewnątrz. Sess jechał teraz wolniej, ale i tak co jakiś czas przyspieszał i szarpał drążek zmiany biegów, jakby chciał go wyrwać. Samochód przesadzał wyrwy w nawierzchni i wzbijał fontanny kawowej wody, jakby był ślizgaczem mknącym przez mulistą zatoczkę. Sess co chwilę wyciągał rękę, żeby pogłodzić jej ramię albo pogłaskać psa. Po pewnym czasie zaczął pogwizdywać.

– Trotter – odezwał się. – Co powiesz na Trottera? To dobre imię. Znaczące. Albo Lucius. Zawsze podobał mi się Lucius. Oczywiście jako imię...

Prawie zapomniała, że jadą skradzionym samochodem, prowadząc niebezpieczną grę z człowiekiem, który wpakował kule w czaszki psów innego człowieka, i że nadejdzie czas zapłaty. Bo w tej chwili oboje pili świeże piwo, żeby uczcić fakt, że niezawodny pies leży na jej kolanach, a dwa inne, za które Sess zapłacił z góry po pięć dolarów, czekają, aż wróci po nie pick-upem Richarda Schradera.

– A na przykład Król Jukonu?

Zaśmiał się i znów wyciągnął rękę, żeby pogłaskać psa, który odwrócił łeb w jego stronę i spojrzał nań z wiernopoddańczą uległością.

– Nigdy o tym imieniu nie myślałem. Ale tak naprawdę jakie imię pasowałoby do niego lepiej niż imię psa-aktora, który pewnie nie ustąpiłby przed nadjeżdżającymi saniami, gdyby nawet miał zginąć. A nawiasem mówiąc, czy wiesz, że Lassie grały trzy różne psy i że wszystkie były samcami?

Nie wiedziała. Ale знаła początki konfliktu pomiędzy nim a czarnowłosym mężczyzną, bo opowiedział jej o tym przy kieliszku w barze Pumphouse, kiedy odczytywała mu ogłoszenia o psach na sprzedaż, wymianę lub oddanie za darmo „w dobre ręce”, a on z góry odrzucał wszystkie propozycje, zanim doszła do końca pierwszej linijki. Dwie zimy wcześniej Joe Bosky pojawił się w Boynton ubrany tak, jakby zszedł ze stron „National Geographic”, w parce ze skóry karibu obszytej wilczym futrem i ze strzelbą na ramieniu. Samolot, którym przyleciał, nie zatankował jeszcze paliwa na drogę powrotną do Fairbanks, a on już zdążył naopowiadać w Nugacie farmazonów, kładąc na barze papier, akt własności, upoważniający go do przejęcia chaty Tildy Runyon – chaty, którą zostawiła w spadku swojemu półindiańskiemu synowi, pijakowi i hazardziście, koledze Bosky’ego z korpusu marines. Co tutaj robił w środku lutego? Zamierzał osiąść w tej dziczy. Zamieszkał w chacie Tildy Runyon, ścinał drzewa, pił na umór i żył z tego, co przychodziło dwa razy w tygodniu pocztą lotniczą. Zanim nadeszło lato, zaczął sobie budować chatę nad Woodchopper Creek i robić w niesamowitym tempie pieniądze, wożąc turystów i rybaków do odległych miejsc cesseną 180, którą przyleciał pewnego pięknego dnia. Do jesieni wędrował po okolicznych wzgórzach i wzdłuż rzek, tropiąc zwierzynę dla futer. W końcu wypatrzył sidła Roya Sendera, szlak, który Roy Sender wyrąbał, utrzymywał i przedłużał przez ponad czterdzieści lat, a potem, kiedy przeniósł się do miasta, scedował na Sessa. Pierwszej zimy zaczęły zniknąć przynęty i sidła, a na śniegu nie było żadnych śladów, jakby sprawca umiał latać. Bo Joe Bosky był wielkim spryciarzem i można powiedzieć, że miał tę krainę we krwi. Następnej zimy założył już własne sidła i podbierał zdobycz z sideł Sessa.

– Nie wiedziałaś tego o Lassie? Naprawdę?

Potrząsnęła głową.

– Wyczytałeś to gdzieś?

– Aha. Chyba w „Przewodniku Telewizyjnym”.

– W „Przewodniku”? Po co, na Boga, czytałeś „Przewodnik Telewizyjny”, skoro nigdy nie miałeś telewizora i nigdy nie będziesz miał?

Łypnął na nią okiem i wzruszył ramionami.

– Jednej zimy, kiedy mieszkałem jeszcze w Fairbanks, byłem kompletnie unieruchomiony, pamiętasz, opowiadałem ci? Trochę za dużo wtedy piłem i skończyły mi się pieniądze. W sklepiku mieli pudło starych numerów „Przewodnika” i rozdawali je. Czytałem to od deski do deski. Po dwa razy. Co najmniej dwa razy. Znasz *Obywatela Kane*?

W jej pamięci pojawił się czarno-biały obraz: pogrążony w półmroku pokój, migotanie ekranu, matka obcinająca sobie paznokcie u nóg, jaśniejąca, tęga twarz Orsona Wellesa, puste wnętrza pałacu, w którym mogłyby stacjonować całe pułki.

– Widziałam kiedyś ten film. Przynajmniej fragmenty.

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy rok. Orson Welles, Joseph Cotten. Reżyseria: Welles. Cztery gwiazdki. *Duch mumii*, czterdziesty czwarty. Lon Chaney junior. Dwie gwiazdki. *Dzikie niewiniątka*, Anthony Quinn, sześćdziesiąty – to pokazywali chyba sześć razy w tygodniu – trzy gwiazdki. Mógłbym ci podać oceny wszystkich filmów, jakie powstały, ale wątpię, czy widziałem w życiu choćby pięćdziesiąt – i to wszystko wtedy, kiedy jako dziecko mieszkałem z rodzicami.

Pies poruszył się na jej kolanach.

– Brakuje ci tego? Telewizji, filmów?

Spodziewała się, że zaprzeczy, że znów poczętuje ją obowiązkowym wykładem o opętaniu naturą – o tym, że jest zbyt zajęty, że zbyt pięknie jest dookoła, że świat przyrody jest piękniejszy niż cokolwiek, co może się pojawić na małym ekranie, że zorza polarna płonąca nad głową całą gamą barw... – a tymczasem zaskoczył ją swoją odpowiedzią.

– W bezksiężycową noc styczniową, kiedy piec rozżarza się do czerwoności, a podłoga jest tak zimna, że człowiekowi nie chce się wstawać z łóżka w obawie, czy to przeżyje, tęskni się prawie za wszystkim.

Zamilkli, pies zwiesił wystawiony przez okno łeb, słońce przebiło się przez chmury i oświetlało drogę tak, że wyglądała jak autostrada, mustang Bosky'ego mknął przez koleiny i kałuże. Nie było ruchu. Wyprzedzili dwa samochody – zmierzające prawdopodobnie do Boynton Hot Springs, starego, podupadłego uzdrowiska odwiedzanego latem – i minęli sześć czy siedem pojazdów zdążających do Fairbanks. Sess rozpoznał wszystkie. Odgwiżdżał ze cztery niepewne wersje standardu *My Favorite Things*, jakiś kawałek Dworaka, nie była pewna co, i irytującą wersję piosenki *I Saw Mommy Kissing Santa Claus (Underneath the Mistletoe Last Night)*. Zapadł wieczór, a do Boynton pozostały jeszcze trzy mile; Sess zjechał na pobocze w miejscu, gdzie Birch Creek płynął meandrami wzdłuż skarpy, a jakiś zdziwaczały rybak wysiedział na brzegu dołek w piachu.

– Czas rozprostować kości, Pamela – powiedział i zanim zdążyła znaleźć klamkę, był już przy drzwiach i otwierał je.

– Pora się trochę przejść. Chodź, Lucius, dobry piesek. Też chcesz rozprostować kości?

Potok był właściwie rzeką, bardzo w tym miejscu głęboką, wolno płynąca woda miała kolor mocnej herbaty. Pies podniósł łapę, zaczął wietrzyć. Sess wziął Pamelę w ramiona i pocałował ją namiętnie i zachłannie, a potem puścił ją i zaczął przepakowywać zakupy do dwóch plecaków, które z sobą zabrali. Komary były zachwycone.

– Co ty kombinujesz, Sess? – zapytała, stając nad nim.

– Chcesz zostawić tutaj ten samochód, tak?

Nie odpowiedział. Mięśnie naprężyły mu się na karku, kiedy upychał w plecakach puszki, słoiki i plastikowe torebki z makaronem i bezami pilnując, by odpowiednio rozłożyć ciężar.

– Nie sądzę, żeby to miało znaczenie, Sess – usłyszała własny głos. Nie zamierzała zrzędzić, próbowała się powstrzymać, ale nie mogła. – Bo przecież stałeś rano na głównej ulicy, gdzie wszyscy mogli cię widzieć, a nawet trąbiłeś klaksonem, a jeśli ktoś zechce sprawdzić, to znajdzie wszędzie nasze odciski palców. I psią sierść. – Próbowała to mówić lekko, choć znów zaczynało się w niej gotować. – Co by z tego wynioskował Perry Mason?

Spojrzał na nią z dołu, naprawdę zdezorientowany.

– Kto to jest Perry Mason? – Wstał, podniósł oba plecaki za szelki i przeniósł je do wysokiej trawy. – Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? – Nie czekał na odpowiedź. – Przytrzymaj Luciusa, żeby się nie spietrał, okej?

– Spietrał? O czym ty mówisz?

– Zrób to, dobrze?

A potem nastąpił wielki finał i serce w niej zamarło, bo stwierdziła, że jej mąż nie panuje nad sobą, że postradał zmysły i że nie ma od tego odwrotu, że jego postanowienie jest ostateczne i nieodwołalne – równie dobrze można było oczekiwać pokoju pomiędzy Anglikami i Irlandczykami, Izraelem i Palestyńczykami. Sess wszedł do samochodu i zapalił z rykiem silnik, pozostawiając drzwi od swojej strony szeroko otwarte.

– Wiesz, prawdopodobnie nie ma nawet pięciuset sztuk takich mustangów w całych Stanach – powiedział, przekrzykując warkot, i ruszył w stronę strumienia. W ostatniej chwili wyskoczył, a woda wzięła samochód w objęcia. Tył wyskoczył jeszcze raz nad powierzchnię, a potem zanurzył się znów i mustang zagłębił się z wolna w nurcie, który zmył do czysta wszelkie ślady.



Ronnie uwielbiał to; absolutnie i szczerze to uwielbiał. Znów był na szlaku, ręka spoczywała niedbale na kierownicy studebakera, Star i Marco siedzieli ściśnięci obok niego, na dachu piętrzyły się przywiązane sznurami pudła, a Lydia, w przezroczystej bluzce, rozwalala się na tylnym siedzeniu. Jechał za autobusem – Merry i Maya robiły miny zza tylnej szyby, kozy beczały w swojej skleconej byle jak obórcie – prującym z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, i był to prawdziwy odlot – rozklekotany autobus ze swoim obciążonym dachem przedstawiał tak opłakany widok, że nawet Joadowie uciekliby od niego z wrzaskiem. Reprezentacyjna drużyna hokeja, nie ma co. Sprawiało mu przyjemność samo patrzeć na to wszystko, bo wyglądało jak dowcip, którego on był częścią. A za nim – wystarczyło zerknąć we wsteczne lusterko, żeby to zobaczyć – jechał pokryty wątrobianymi plamami garbus Harmony’ego, grzechocząc tuż przed nosem lincolna Lestera.

Lester i Franklin to był osobny rozdział. Zjawili się w ostatniej chwili, szurając nogami i wpychając nerwowo ręce do kieszeni, to znów je wyjmując. Wbijali wzrok w każdą twarz po kolei, jakby mieli lasery w oczach, a w końcu oznajmili, że jadą też, nawet gdyby mieli nie dojechać aż do mroźnych rubieży, bo przecież to wolny kraj, no nie? Panowi było, prawdę mówiąc, wszystko jedno – uważał, że są w porządku, on mógł się dogadać ze wszystkimi, choć miał poważne wątpliwości, czy akurat oni będą przydatni w zakładaniu sideł na rysia, polowaniu na łosia czy korowaniu bali na chatę. No i był jeszcze Sky Dog. Siedział w lincolnie z tyłu, pomiędzy stosami śpiworów, garnków i wypłowiałym namiotem, który wyglądał tak, jakby jeszcze Eisenhower używał go podczas inwazji w Normandii. Zamykał pochód kumpel Sky Doga, Dale Murray na swoim motorze. Co to powtarzał przez cały tydzień Alfredo? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest parada cudaków. No ale właśnie ich karawana była czymś takim. Słońce stało nad horyzontem, bak był pełny, radio zasuwalo rock and rolla, Pana rozpieła duma i zadowolenie, że jest częścią tego przedsięwzięcia.

Nie można było powiedzieć, że wszystko polegało na zabawie i igraszkach. Wyszło z nich trochę utajonej podłości, kiedy mieli zdecydować, czy powinni iść do wojska, wracać do San Francisco, czy też próbować się zahaczyć w jakiejś innej komunie – i cała kupa ludzi po prostu się spakowała i poszła sobie. A potem pojawiła się kwestia rozlokowania – kto jedzie czym, kiedy i z kim? Na kilka dni idea braterskich i siostrzanych relacji po prostu prysnęła jak bańka mydlana i nikt nie chciał ustąpić ani na milimetr. Zrobił się bajzel. Nastąpiła totalna dezorganizacja. Reba usiłowała zaprowadzić porządek, Alfredo wtykał oczywiście nos do wszystkiego, chłopak od Kriszny (wszyscy mówili na niego teraz Tom Kriszna) wyszedł z transu na tyle, żeby móc zademonstrować swoją biegłość w posługiwaniu się młotkiem i piłą, a cipki, co do jednej, wciąż pakowały dobytek do pudeł jak ekipa ratownicza podczas klęski żywiołowej – ale mimo to wszystko wyglądało tak, jakby mieszkańcy Drop City nie byli zdolni przygotować się do wyjazdu do ostatniej chwili, do czasu, gdy palanty z policji podjadą swoimi palanciarскими autami z kogutami furkoczącymi na dachu i gdy autostradą nadciągną buldożery.

Na razie pojawiły się buldożery, przyjechały poprzedniego dnia wieczorem i zatrzymały się przy drodze, tak że każdy mógł się im dokładnie przyjrzeć, na wypadek gdyby trzeba było w przyszłości pobudzić pamięć. Były to dwa kolosy wielkości domu, ustawione po dwóch stronach drogi. Mendocino Bill zaproponował, żeby nasypać piasku do baków, i zdaniem Pana był to nie najgorszy pomysł – kiedyś, w dzieciństwie, wycinał mnóstwo podobnych numerów dla czystej przyjemności i elementarnych emocji, jakich dostarczały akty wandalizmu – ale Norm powiedział nie, nie ruszać ich. I nie odczuwali żadnej radości, kiedy stojąc na wzgórzach za farmą i trzymając się za ręce, śpiewali niemrawo którąś z piosenek Joan Baez, a pierwszy buldożer podjechał ze szczękiem i zmiotł budynek gospodarczy, tak jakby to była konstrukcja z tektury i wykałaczek, Jiminy potrząsał pięścią i przeklinał, Star płynęły po policzkach gorące łzy, Norm oglądał się co chwilę za siebie, czy nie jedzie szeryf z nakazem aresztowania. Wzbiły się w górę chmury pyłu, runęły ściany, padła bezszelestnie jurta Harmony’ego. Ronniemu kojarzyło się to z filmami dokumentalnymi z drugiej wojny światowej, które były obsesją jego ojca: bitwa o Anglię, oblężenie Stalingradu, jedna ściana się wali i oto przytulny salonik jak na dłoni. A potem łup, łup, spadają kolejne bomby i kurz wzbija się coraz wyżej.

– Jak myślisz, gdzie Norm planuje dziś nocleg? – zapytała Star, przekrzykując łomot jakiegoś wolnego kawałka Canned Heat nadawanego z cudem złapanej małej studenckiej radiostacji z okolic Portland, którą wyszukały zręczne palce Pana. – To znaczy jeśli zamierza się w ogóle gdzieś zatrzymać na noc, bo przecież z nim nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Zgadza się – odparł Marco. – Ale im więcej mil pokonamy, tym lepiej.

– To tylko teoria – rzekł Ronnie.

Zanim wyruszyli w drogę, odnalazł w barze River Run w Guerneville znajomego kota i nabył od niego sto tabletek dexedryny, które rozdawał jak cukierki – „po kosztach” – każdemu, kto choćby myślał o tym, żeby sięść za kierownicą.

Star miała gołe nogi, jej białe stopy oparte na tablicy rozdzielczej trzepotały jak białe ptaki. Ubrana była w białą bluzkę niezakrywającą brzucha i dżinsy z obciętymi nogawkami.

I prawdopodobnie nic więcej, oprócz swej własnej „naturalnej esencji”, choć czasami wklepywała odrobinę aromatu waniliowego za uszami i w przedziałek między piersiami. Ronnie nachylił się ku niej i pociągnął ukradkiem nosem. Pachniała potem i syntetycznym balsamem do włosów, ale w końcu złowił ledwie wyczuwalny ślad zapachu waniliowego, jak na dnie szklanki pół godziny po wypiciu koktajlu. Chciała koniecznie jechać autobusem. I co zrobił? Zaczął ją błagać i prosić, budzić w niej poczucie winy na tysiącu różnych poziomach i w różnych wariantach, bo przecież przybyli do Drop City tym samym samochodem, z tym samym radiem i opierała tę samą stopę na tej samej tablicy rozdzielczej – czy to się już w ogóle nie liczy? W porządku, powiedziała w końcu, w porządku, jasne, pewnie, oczywiście. Oczywiście pojedzie z tobą. Ale tylko pod warunkiem, że Marco pojedzie z nami.

– W ten sposób odpada cała frajda – powiedziała teraz. – fa chcę widzieć krajobraz – zwłaszcza wtedy, kiedy znajdziemy się w Kanadzie. Chcę czuć piasek między palcami, wyciągnąć się na słońcu choćby na dziesięć minut, poczuć zapach powietrza. Czy naprawdę wymagam tak wiele?

Nikt jej nie odpowiedział. Krajobraz uciekał skąpany w szarościach, zieleniach i brązach.

– I wszystkie te strumienie i rzeki, zupełnie jakby ich nie było, jakbym je sobie tylko wyobrażała, o, tak jak tu, widzicie? Chciałabym po prostu wyjść z samochodu i płynąć, płynąć aż do Alaski, jak w tym filmie, gdzie Burt Lancaster zmierza do domu, przepływając jeden po drugim baseny przyjaciół. A wy byście tak nie chcieli? Nie chcielibyście wysiąść i popłynąć? Albo choćby się ochlapać?

– Burt Lancaster? – zapytał Ronnie. – Z jakiej ty spadłaś planety?

Marco wyciągnął rękę nad oparciem, objął ją i przyciągnął do siebie – drobny intymny gest, na który Pan nie zwrócił najmniejszej uwagi.

– No tak, ale nie chciałabyś jak najszybciej tam dojechać? Nie chcesz zobaczyć tego miejsca, wszystkich tych milionów akrów do wzięcia, jezior, rzek? Samej chaty? Przejść się po terenie, na którym będziemy budować? A poza tym – dodał z uśmiechem – jestem pewien, że woda jest trochę za zimna, nie uważasz?

Z głębin tylnego siedzenia rozległ się głos Lydii:

– Jestem głodna. I muszę zrobić siusiu.

Ronnie zerknął przez ramię do tyłu, gdzie Lydia leżała przygnieciona ciężarem własnego biustu. Wymienił spojrzenie ze Star.

– Lydia ma rację – powiedział.

– Jaką rację? – rozległo się z tyłu. – Że muszę zrobić siusiu?

Siedziała teraz i Ronnie przyjrzał się jej uważnie w lusterku, zanim odpowiedział. Wyglądała dobrze; kiedy było korzystne światło, potrafiła wyglądać bardzo dobrze, zmysłowo, jak te bujne kobiety z włoskich filmów, z włosami potarganymi wiatrem, rozmazaną szminką i tym lubieżnym wyrazem twarzy, zapraszającym do wspólnego zlizywania sosu z łyżki.

– Chodzi o to; że może byłaby pora zatrzymać się na nocleg. Musimy znaleźć jakieś miejsce, w którym można by się przekimnąć, nie? I coś upichcić.

– No nie wiem – odpowiedziała Star. – Choć pewnie możemy się zatrzymać.

Ronnie skalkulował coś w myślach i wykorzystał pierwszą okazję, by śmignąć lewym pasem, wyprzedzając autobus. Powietrze gwizdało w oknach, jego potężny impet porywał owady, serie uderzeń i pacnięć były coraz gwałtowniejsze. Dlaczego, zastanawiał się, wszystkie są jednakowo żółte w środku, taką mają krew czy co? Z tyłu, za nimi, był Norm, siedział wysoko na fotelu kierowcy, obejmując ramionami kierownicę, jakby to był jakiś morski stwór, z którym walczył, utkwwszy nieruchome spojrzenie w jeden punkt. Przymglone od dexedryny oczy mówiły: tu nie ma żartów, ja prowadzę autobus. Ronnie pomachał mu, wysunąwszy lewą rękę przez otwór w dachu, i jednocześnie nacisnął klakson. Marco opuścił szybę i zawołał do Norma, żeby zatrzymał się przy najbliższej okazji, bo Lydia musi siusiu, a wszyscy są zmęczeni, głodni i wyczerpani dwudziestoczerogodzinnym prowadzeniem od wczorajszego wieczoru do dzisiejszego, który już rozpościerał swoje skrzydła nad wzgórzami niczym jakiś niebiański nietoperz.

Norm zadarł hardo głowę i obrzucił ich nieprzytomnym spojrzeniem, jakby ludzie w zardzewiałym studebakerze z nowojorską rejestracją byli jakimiś nieznanymi, ale w końcu w jego oczach mignął oślepiająco biały błysk olśnienia, zaczął więc zmagać się z szybko przy łokciu, cały czas przykładając dłoń do ucha i demonstrując im na migi swą kompletną dezorientację. Czego oni mogą chcieć? Czy zgubił koło? Przejechał grupę wietnamskich sierot? Czy też droga przed nimi kończy się jakimś urwiskiem, jak w kreskówce o Strusiu Pędziwiatrze?

I to była wreszcie jakaś atrakcja, coś zabawnego – jakieś marne, bo marne, ale urozmaicenie. Pędzili autostradą obok siebie, Marco wrzeszczał i śmiał się, Star i Lydia włączyły się do akcji, dziewczyny w autobusie – Premstar, Reba – stroiły miny i wystawiały języki jak sześciolatki – „Przyhamuj trochę, Casey Jones!”. Ale potem, stopniowo, do świadomości Ronniego dotarł jeszcze inny dźwięk – klakson, ostry i natrętny – i ludzie w autobusie zaczęli pokazywać coś palcami, jakby chcieli powiedzieć: „Uważaj!”, więc spojrzał we wsteczne lusterko. Ułamek sekundy dzielił dostrzeżenie od rozpoznania, ale pierwszą myślą było: „normalsi”. No bo któż inny? Ale to nie byli zwykli „normalsi”, tylko trójka krótko ostrzyżonych młodych zasańców w fordzie koloru tętnicznej krwi. Tacy nie lubili hipisów, a choć Ronnie widział co najmniej trzy razy film *Easy Rider*, nie brał czegoś podobnego w rachubę. Pokazywali mu środkowy palec, pukali go w zderzak, trąbili. Dupki. Buraki. Czerwonomorde kmiotki z czerwonymi karkami.



Ronnie przyhamował lekko, potem jeszcze raz i znowu, aż tamci też musieli zwolnić i autobus wysforował się przed nich jak wielka żółta ściana. Garbus Harmony'ego, lincoln Lestera i dychawiczny motocykl Dale'a ciągnęły za nim niczym jego karłowaty pomiot. Kiedy Dale Murray zrównał się ze studebakerem, Ronnie jechał z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, środkowy palec jego prawej ręki sterczał tuż nad odbiciem jego oczu w lusterku. Spodziewał się, że kmiotki wyprzedzą go z prawej wśród wrzasków i miauczenia, ale oni trzymali się go uparcie, a więc przepuścił Dale'a Murraya, a potem wcisnął gaz do dechy.

A jednak go zaskoczyli. Przyspieszywszy nagle, zaatakowali tylny zderzak i zaczęli go taranować, jakby zamierzali się zahaczyć.

– Sukinsyn – powiedział Ronnie i zabrzmiało to jak głuchy jęk rannego, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

Trudno było powiedzieć, że prowadził – dosłownie frunął nad ziemią. I teraz do akcji włączyła się Lydia: uklękła na tylnym siedzeniu, tak żeby mogli ją dobrze widzieć, i zaczęła im na przemian migać znakiem pokoju i posyłać całusy. To rozwścieczyło ich jeszcze bardziej. Dwukrotnie rąbnęli w zderzak przy szybkości pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. I co się okazało? Że nie są to zwykłe kmiotki, ale kmiotki z bractwa studenckiego, bo cała szyba była oklejona nalepkami: DELTA UPSILON, U. OF OREGON, NAPRZÓD, ORŁY! Ronnie przygotował się na kolejne uderzenie.

– Czy oni zwariowali? – zapytał Marco. Wychylił się z okna i pogroził napastnikom pięścią.

Wiatr był gwałtowny, rozwiewał im włosy i tamował Ronniemu oddech.

– Zatrzymaj się! – zawołał Marco, odwracając się ku niemu raptownie. – Zjedź na pobocze, kurwa!

Star zaprotestowała.

– Daj spokój. Zignoruj ich.

– Dać spokój? – Twarz Marca wyglądała upiornie, Ronnie zwrócił na to uwagę, bo zaistniał tu gwałtowny konflikt i nie chciał się znaleźć po niewłaściwej stronie. – Nie ma mowy! Ja ich, kurwa, zabiję, wszystkich trzech! Jesteś ze mną, Ronnie, Pan? Jesteś ze mną?

Dłonie Ronniego zaciśnięte na kierownicy były lodowato zimne, oczy wlepił w lusterko.

– Pokój – powtarzała Star. – Pokój i miłość, pamiętacie?

Ronnie spojrział na trzy twarze widoczne nad maską jadącego za nim samochodu, spojrział na ramiona Lydii, na burzę rozwianych włosów na jej głowie i jego serce uspokoiło się nagle.

– Słyszę cię, bracie – powiedział.

Ale wtedy cała procesja przyhamowała, nastąpiła reakcja łańcuchowa – autobus, garbus, lincoln, motocykl, studebaker, pick-up – Norm włączył wielki bursztynowy migacz i żółta ściana zjechała na pobocze, na którym stała tablica nakazująca wielkimi literami, by zwolnić. PUBLICZNY CAMPING. ZAPRASZAMY WSZYSTKIE SAMOCHODY, 25 CENTÓW ZA NOC. No, teraz pick-up z pewnością się odczepi i zniknie w perspektywie autostrady, pomyślał Ronnie, ale nie, samochód jechał dalej za nimi, a twarze za szybą były napięte, blade i mściwe.

Gładka nawierzchnia skończyła się i studebaker wjechał na pełen wertepów piaszczysty plac z pojedynczymi drzewami. W powietrzu snuł się dym z barbecue, przy namiotach stały samochody i piknikowe stoły, dookoła nich goniły się dzieci, a starsi, z białymi patykowatymi nogami i rękami, popijali burbona z papierowych kubków, ogarnięte terytorialnym szałem psy ujadały wściekle – i to było właśnie to, piękna Ameryka, ojczyzna dzielnych ludzi, zapraszamy wszystkie samochody. Lydia musiała zrobić siusiu. Była głodna. Wszyscy byli głodni. Ale zanim Ronnie zdążył przekręcić kluczyk i zaciągnąć hamulec, trzech osiłeków podeszło do samochodu od jego strony i umięśniona czerwona ręka złapała go za włosy, mimo że zrobił błyskawiczny unik, a Star wrzasnęła tak, że omal nie stanęło mu serce.

– Pieprzony kudłacz!

– Wyłaź z samochodu, dupku!

W ułamku sekundy zorientował się, że przeciwnicy nie są zwykłymi członkami studenckiego bractwa, ale piłkarzami, a może ciężarówcami, nabitymi typami w T-shirtach drużyny Oregon Ducks. Jeden z nich, króciutko ostrzyżony blondyn, ten, który prowadził, wyglądał jak figura z pomnika, zdjęta z cokółu, tylko oczy błyskały mu wściekle. Skurwysyn. Zaprawione goryczą poczucie bezsily i wściekłość aż dławily Pana; był już kiedyś w tej okolicy i wiedział, co ich czeka. Bał się, ale w pewnej chwili strach zniknął, Ronnie znalazł się jak gdyby poza jego zasięgiem, poza rzeczywistością. Sięgnął do klamki; w tej samej chwili palce umięśnionej łapy zwinęły się w pięść i ta wyrznęła go w ucho ze świstem, który przypominał szum wichru mknącego przez tunel.

To, co nastąpiło, jawiło się jako jedna zamazana plama, bo Ronnie był oszołomiony, choć speed buszował w jego organizmie jak tysiąc miniaturowych aut śmigających po torach jego żył. Siedział wciąż w samochodzie, Star tuliła jego głowę, a tymczasem Marco obszedł samochód i zaatakował z furią całą trójkę – tego jednego Pan był pewien – potem zaś pojawili się Dale Murray i Sky Dog i zaczęła się ogólna bijatyka, wszyscy tarzali się w piachu, turlali po całym placu, przeklinając i okładając się pięściami. Później wkroczył do akcji Franklin i bez słowa powalił płynnym ciosem jednego z napastników, z autobusu wysypała się gromada bladoliczych hipisów, starzy patykowaci ludzie popijali swego burbona, a dzieciaki obstały walczących i wrzeszczały jak opętane piskliwymi niedojrzałymi głosikami.

Kres bijatyce położył Norman. Dwóch osiłków leżało na ziemi pod gradem kopniaków; hipisowskie buty z tępymi noskami pracowały w zawrotnym tempie. Trzeci – kierowca – walczył z Dale’em Murrayem, łup, buch, buch, prawdziwa waga ciężka. Norm wkroczył między nich i wszystko natychmiast się uspokoiło.

– Dosyć! – powiedział. – Pokój! – Wyrzucił to z siebie takim tonem, jakby wołał: „Rąb!” albo „Zabij!”.

Tamci krwawili, ślaniali się na nogach i sapali jak trójka grubasów, która pokonała właśnie niezliczone kondygnacje schodów. Ulegli przewadze liczebnej. Nie mieli nic do powiedzenia. Ale za to Pan miał, o tak, jego głowa sterczała z okna studebakera i życie wydawało mu się tak cudowne jak wszystko, co najpiękniejsze na świecie.

– Następnym razem, jak będziecie chcieli dołożyć hipisom, to najpierw się dobrze zastanówcie, skurwiele!

Pokonani wycofywali się w stronę swojego pick-upa, dzinsy, buciory, T-shirty, bicepsy, a jeden z nich – blondyn z krótko ostrzyżonymi włosami, przez które prześwitywał czerwony jak gotowana szynka skalp – powiedział, wciąż ciężko dysząc:

– Dobra, pierdolcie się wszyscy.

Tak właśnie powiedział, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że to tylko brawura. Cała trójka wsiadła do pick-upa, trzaskając drzwiami, wycierając krew i piasek z oczu, oblizując popękane wargi i nie mogąc się nadziwić, skąd to dzwonienie w uszach. Kiedy zapuścili silnik, Ronnie podszedł do nich wolnym krokiem, wyszczerzył zęby z taką miną, jakby przed chwilą zjadł gówno, i pokazał im znak pokoju. Wystartowali z piskiem opon i znikli.

Nieco później, kiedy dookoła stołu krążył dzban wina, kiedy cipki rozkładały bochny chleba, rozstawiały słoiki z masłem orzechowym i konfiturami i podawały dzbany Kool-Aid, a wszyscy gratulowali sobie zwycięstwa, Pan zaskoczył ich przygotowaną wcześniej niespodzianką. Rankiem tego dnia, kiedy mieli wyruszyć, pojechał studebakerem przez Guemeville, a potem przez wzgórza nad Russian River do Marshall, gdzie wody Pacyfiku biją o skały, zamieniając się w mgiełkę prześwietloną słońcem i snującą się jak dym z nigdy nieroznieconego ogniska. Powietrze było zimne, woda jeszcze zimniejsza. Wszedł do niej w szortach, z nożem myśliwskim Marca w jednej ręce i dwoma jutowymi workami w drugiej.

W górze krążyły mewy, kormorany i pelikany, tnąc zieloną tafłę wody za falami przyboju. Woda była niska, skały wyglądały jak na wpół zagrzebane w piasku fortece, każda lśniła czarnym przedpiersiem z muszli. Pan pracował w promieniach bladego słońca, drżąc na wietrze, który wiał nie wiadomo skąd, i uchylając się przed zimnymi bryzgami wody. W ciągu godziny odciął od skał sto muszli, dwieście, trzysta, czterysta, może nawet pięćset, ale kto by to zliczył? Wrócił na ranczo, wyplukał muszle i oczyścił sam, bo wszyscy byli tak zajęci autobusem, pakowaniem i schodzeniem z drogi buldożerem, że nikt nawet na niego nie spojrział. Zaniósł po kryjomu dwa worki mały do bagażnika studebakera i odłożył funt solonego masła oraz sześć cytryn zerwanych z drzewka za basenem. Teraz należało ugotować omułki na parze. Właśnie teraz, bo kto by chciał dwudniowego, kruszącego się i pozbawionego smaku chleba domowego wypieku z masłem orzechowym czy dżemem, jeśli mógł się objeść owocami morza?

Nikt nie powiedział słowa, kiedy Pan rozpałił ogień pod jednym z poczerniałych, żeliwnych rusztów, tkwiących w piachu od zawietrznej przy każdym piknikowym stoliku, ale Merry, która wyglądała jak dwie porcje lodów w szydełkowym topie, przyzeglowała do niego, widząc, że postawił na ruszcie wielki gar. Podała mu niedopałek dżojnta, który właśnie wyjęła z ust; nikt się nie martwił tym, skąd wezmą niezbędną porcję trawki, kiedy nastanie długa mroźna zima i będą musieli długo czekać na szansę zasadzenia czegokolwiek – nikt nie martwił się niczym, bo była to przygoda i wszystko działo się tu i teraz. Pan zaciągnął się, a Merry zapytała z uśmiechem:

– Co gotujesz?

Odpowiedział uśmiechem i wzruszył ramionami.

– Nic. Mała niespodzianka. Coś takiego, że nawet wegetarianin mógłby się złamać.

Dźgnęła jeden z worków palcem bosej stopy.

– Co to takiego? – uśmiechnęła się szerzej. – Małże? Homar?

– Zobaczysz. Za jakieś pięć minut. Ale przecież ty nie zjesz niczego, co choćby przypomina mięso? Nie zabijesz komara ani nawet nie połkniesz go przypadkowo? – Skręt wypalił się prawie do końca. Oddał go jej, dla czystej formalności.

– Nie wiem. Chyba zależy.

– Od czego?

– Od tego, jaka jestem głodna i co się gotuje w tym garnku. To nie mięso, prawda?

Ludzie zaczęli rozbijać namioty wokół autobusu. Sky Dog, Dale Murray, Lester i Franklin sami dali sobie wolne, siedzieli na piknikowym stole z nogami na wygiętych oparciach krzesel. Sky Dog i Dale brzdąkali na gitarach. Duża grupa ludzi stała po drugiej stronie autobusu, widać było tylko ich łydki i stopy, a Che i Sunshine biegali w samym środku ruchomego klina dzieci „normalsów”, toczącego się jak piłka z jednego końca pola kempingu na drugi.

– Czy ja bym ci zrobił takie świństwo? – Pan cofnął się od paleniska i rzucił okiem na autobus. Okna od tej strony były zasłonięte i ktoś niewidzialny opuścił właśnie igłę gramofonu na bluesa *God Bless the Child*, melodię, którą uwielbiał. Przez chwilę patrzył w tamtą stronę i słuchał, jak sekcja dęta syci się partią wokalną. Potem odwrócił się znów do Merry.

– Gdzie będziesz dziś spała? W autobusie?

– Chyba tak.

– Chcesz spać ze mną? Tylne siedzenie w tym studebakerze jest duże. Albo mogę po prostu rozłożyć śpiwór na jednym z tych stołów, jeśli nie będzie rosy, deszczu ani nic takiego...

– A co z Lydią?

– A co ma być?

Wzruszyła ramionami i usiadła jednym pośladkiem na rogu piknikowego stołu ze zgasłym skrętem w palcach.

– Nie wiem – rzekła. – Gdzie ona śpi?

Nie odpowiedział. Odwrócił jeden z worków i wysypał jego zawartość do wielkiego lśniącego garnka. Wyglądało to jak mała skalna lawina. Dał się słyszeć szcęk muszli i cichy syk. Ronnie wysypał drugi worek.

– To piosenka Billy Holiday – powiedział. – Wiedziałaś o tym?

– Nie – odparła. – Myślałam, że to Blood, Sweat and Tears?

– Ale ja mówię o pierwszej wersji. Z lat trzydziestych czy jakoś tak.

– Ach, naprawdę? No to rzeczywiście stara, nie?

– Aha – powiedział i zapatrzył się na drzewa, które nie różniły się aż tak bardzo od drzew w Drop City; w każdym razie on nie widział różnicy.

– Co to jest, omułki?

– Tak. Czyste białko, dar morza. Poczekaj tylko, aż spróbujesz ich ze specjalnym, cytrynowo-maślanym sosem Pana! Jadłaś kiedyś omułki w sosie marinara?

Tego nie wiedziała. I była wegetarianką. Ale Ronnie obserwował ją, gdy para unosiła się nad garnkiem, masło topiło się na patelni, a on kroił na plasterki i wyciskał cytryny – i wyglądała na zdecydowanie zainteresowaną.

– A co z Jiminym? – zapytał. – Gdzie on będzie spał?



Wzruszyła ramionami tak, że aż podskoczyły jej piersi.

– Chyba w autobusie.

Myślał o Lydii, myślał o Star, o Marcu i o tym, w jaki sposób Marco objął ją i przyciągnął do siebie w studebakerze. A on chodził z nią do szkoły. Przewędrowali razem cały kraj.

– Śpij ze mną – powiedział. – Chyba już od tygodni nie...

Spośród drzew wyszła Reba z naręczem gałęzi. Twarz miała nieodgadnioną, jakby hermetycznie zamkniętą. Za nią włókł się Alfredo. W jednej ręce trzymał siekiere, w drugiej na wpeł spróchniałe sosnowe polano. Reba utkwiała wzrok w garnku.

– Co to jest? – zapytała. – Gotujesz coś, Ronnie? – Uśmiechnęła się, ach, doprawdy, uśmiechnęła się do niego! – Dla wszystkich?

Miała na nogach własnoręcznie uszyte mokasyny, za naszywaną paciorkami przepaską na głowie tkwiło czarne, połyskujące błękitem pióro kruka – gdyby pomalować jej twarz wojennymi barwami, wyglądałaby jak indiańska *squaw* z jakiegoś filmu Johna Forda i było to nawet zabawne, bo kiedy wędrowali przez Amerykę, Star powtarzała całą drogę, że hipisowski styl przypomina zabawę w kowbojów i Indian, począwszy od wysokich butów i spodni dzwonów, podobnych do skórzanych *chaps* do rodeo, a skończywszy na meksykańskich szalach, opaskach na głowy i kapeluszach z szerokim rondem. Wtedy zaprotestował, po prostu dlatego, że nie myślał o tym wcześniej i to spostrzeżenie kłóciło się z jego wyobrażeniem o samym sobie, ale teraz widział już, że miała rację. Reba bawiła się w kowbojów i Indian, podobnie jak on i cała reszta.

– To omułki – powiedział. – Wystarczy, żeby nakarmić cały camping, naszych i resztę.

Alfredo stał w swoich wysokich butach i drelichowej koszuli, z niepewną miną, jakby został przed chwilą odcięty od stryczka przez *amigos* z tego samego westernu Forda.

– Omułki? – powtórzył jak echo. – Skąd je wzięłeś?

Pan był zadowolony. Czuł się otwarty i szczodry, przepelniony braterskimi i siostrzanymi uczuciami. Opowiedział im barwnie, jak zmagał się z oceanem przed dwoma dniami.

– I jaka była reakcja Alfreda? Największego sztywniaka, najmniej zżytego ze wspólnotą członka tego wędrownego cyrku? Jak zareagował na bezinteresowny gest Pana i na dumę, jaką ten czerpał ze swego uczynku? Otóż Alfredo powiedział: Ty chyba zwariowałeś, facet. To ty nie wiesz, że o tej porze roku omułki są objęte kwarantanną?

– Kwarantanną? O czym ty mówisz? – Jeszcze tego brakowało, żeby miał się przejmować zezwoleniami, ochronnymi sezonami i innymi bzdurami. – Czerwiec nie jest miesiącem ochronnym.

Alfredo odłożył siekiere i podniósł pokrywkę garnka. Omułki połyskiwały czarno w bulgoczącej wodzie.

– Jezus Maria – powiedział. – Mogłeś nas wszystkich otruć.

Ronnie zajrzał do garnka, popatrzył na Merry i Rebę, w końcu utkwiał spojrzenie w Alfredzie.

– Bzdura – odparł.

Tymczasem bracia i siostry zaczęli się gromadzić wokół garnka – Maya, Angela, Jiminy – i Ronnie nie miał innego wyjścia, jak tylko bronić swego stanowiska.

– Bzdura – powtórzył. – To co z tego, że są objęte kwarantanną?

– Wydzielają toksyczne substancje – powiedział Alfredo.

– O ile wiem, w San Francisco na przełomie wieków zatruto się śmiertelnie około czterystu osób w jednym tylko roku. Kiedy temperatura wody podnosi się do pewnego poziomu, pojawia się w ogromnych ilościach taki czerwony plankton i omułki, zjadając go, gromadzą toksyny, które dla nich są niegroźne, ale dla człowieka zabójcze.

– Znasz te numery CIA? – wtrącił Jiminy. Jego twarz wyglądała w oprawie włosów jak oświetlony słońcem klin, widać było tylko nos, kość policzkową i jedno błyszczące oko. Był podniecony, rozradowany, niezwykle szczęśliwy. – Ich agenci używają tej trucizny. Facet kłuje cię w tłumie zatrutą igłą, tak że nawet nie czujesz, i jesteś martwy.

– Sparaliżowany – sprostowała Reba. – Najpierw czubki palców, potem kończyny, aż zamieniasz się w roślinkę i nie możesz się ruszyć ani nic nie czujesz...

– Właśnie – wtrącił Alfredo. – A potem to paskudztwo załatwia ci wszystkie najważniejsze organy.

W powietrzu unosił się już teraz aromat, słodki, musujący zapach omułek gotowanych we własnym soku, z masłem, cytryną, solą, pieprzem i być może szczyptą estragonu. Cóż z tego, skoro tak naprawdę Ronnie nie pochylał się w tej chwili nad piknikowym stołem na kempingu w Oregonie, ale siedział w klatce w zoo, a oni wszyscy – jego przyjaciele, ziomkowie, bracia i siostry – dźgali go przez pręty zaostrzonymi patykami.

– Bzdury – powtórzył po raz trzeci. – Nie wierzę w to.

– Lepiej uwierz – powiedział Alfredo. Obrócił się na pięcie i odszedł. Cała reszta ruszyła za nim. Merry wyglądała, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię, a Jiminy tylko czekał na znak, żeby opaść na czworaka i zawyć jak pies.

Alfredo. Plankton. Kwarantanna. Ronnie miał to wszystko gdzieś, to wszystko było jakimś nonsensem, jeszcze jedna szpila, tak jakby Alfredo nie mógł przeżyć, gdyby raz sobie odpuścił. Zamieszał w garnku, wyłowił jedną sztukę i położył na drewnianym blacie stołu. Omulek był idealny, delikatny – nie można było ich gotować nawet o sekundę za długo, bo zamieniały się w podeszwę – gładka czarna muszla rozchyliła się, by ukazać różowopomarańczowy środek. Ronnie zamierzał podsunąć ją Merry i zastosować stary numer: zwrócić uwagę, jak bardzo mały przypomina pewną część kobiecej anatomii i jak to studenci medycyny specjalizujący się w ginekologii muszą ćwiczyć na omułkach, bo tak trudno o prawdziwy organ, ale Merry już sobie poszła, z ręką wsuniętą pod ramię Jiminy’ego – bose stopy wzbijały chmury pyłu, szła po swoją porcję czerstwego chleba z masłem orzechowym.

Tylko Angela, wąskooka siostra Verbie z kwadratową szczęką, została, żeby zobaczyć, jak Ronnie rozwiera muszlę – *bivalve*, przypomniał sobie określenie z lekcji biologii pana Boscovicha, tak się to właśnie nazywało i to czyniło omułka jeszcze smaczniejszym – wydłubuje lśniącą, różową zawartość i ostrożnie kładzie na języku.

– Chyba nie masz zamiaru tego zjeść, co? – zapytała i poczuł się jak cyrkowy klaun, który stoi przed wstrzymującym zbiorowy oddech tłumem, z obnażonymi siekaczami zaciśniętymi na dygoczącej szyi udręczonego kurczaka. Oczywiście, że zamierzał to zjeść, jasne, że tak.

Trwało to długo: język przez chwilę obracał mięso w ustach, zanim do akcji włączyły się zęby. I co niby było nie tak z omułkiem? Mięczak puścił sok, czuło się masło, estragon, morze i ten wspaniały, wręcz cudowny smak – był to najlepszy i najświeższy omulek, jakiego jadł w życiu! Żuł go starannie, przedłużając przyjemność. A potem wypłuł odbarwiony, przeżuty kęs na dłoń i cisnął go w krzaki.

Star nigdy w życiu niczego nie ukradła, nawet jako dwunasto- czy trzynastolatka, kiedy przekraczała pewne granice i kiedy dałaby się zabić za puderniczkę czy tubkę eyelinera, a w dodatku nikt nie patrzył, bo koleżanki odwracały uwagę starszej pani za ladą i każda z nich już coś wcześniej zwędziła – grzebień, gumę do żucia, cukierki – jakby zdobycie takiego trofeum było kwestią honoru. Nie chodziło o to, że brakowało jej tupetu – po prostu wpojono jej w domu poszanowanie dla prywatnej własności, zasadę słusznego postępowania i myślenia i wychowywano od małego w duchu katolickiej moralności. Ale teraz, paląc papierosa, kręciła się po dziale nabrału w supermarkecie na przedmieściach Seattle, a specjalne kieszenie przyszyte do podszewki płaszcza aż się obrywały od drogich zagranicznych serów: goudy, wędzonego cheddara, jarlsberga. I nie liczyło się to, że na zewnątrz było dwadzieścia osiem stopni i nikt inny nie miał na sobie płaszcza ani nawet swetra.

Reba i Verbie pchały wolno wózek po drugiej stronie. Miały niby wymienić bony żywnościowe na świeże produkty, pełnoziarnisty chleb, kilka dużych worków ryżu, fasolę pinto, ale cały czas wsuwały puszki z tuńczykiem, krabami oraz karczochami do toreb, przewieszonych niewinnie przez ramię.

– Tu chodzi o rodzinę – wyjaśniła Reba, kiedy szły przez parking przed sklepem. – Najważniejsze nakarmić rodzinę. A miejsce, ta cała sieć supermarketów, to po prostu część establishmentu, nasi przeciwnicy, banda milionerów z wielkich korporacji, którzy poświęcają życie orzynaniu ludzi i spekulowaniu na cenach sałaty. Nie rozczulaj się nad nimi.

Ronnie, który przywiózł tu całą trójkę swoim studebakerem, zgadzał się z nią całkowicie.

– Pieprzeni faszyści – brzmiał jego komentarz.

A jednak serce waliło jej jak szalone, gdy zaciągając się papierosem, udawała, że zastanawia się nad pudłem płatków Quaker Oats trzymanym w dłoni i zasepiona, ze zmarszczonymi brwiami, rozważa zasadniczy dylemat: kupić stuprocentowe płatki Natural Oats czy zaoszczędzić dolara i sześćdziesiąt dziewięć centów. Nie dostrzegła faceta w wyprasowanej białej koszuli i regulaminowej muszce, dopóki nie pojawił się tuż przy niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Napotkała jego wzrok – wodnistoszare oczy w różowej twarzy zwieńczonej wybrylantynowanymi włosami z tak zabójczo idealnym przedziałkiem, jaki widuje się tylko na zdjęciach w witrynach zakładów fryzjerskich. Ma dwadzieścia pięć lat, wpędził w ciężą swoją dziewczynę, rzucił szkołę i od szesnastego roku życia pracuje w tym sklepie. Albo jakaś podobna historia. Był członkiem świata filistrów i tylko to się liczyło. Był nieprzyjacielem. Star nawet nie mrugnęła, choć serce waliło jej jak werbel.

– Nie – powiedziała. – Niezupełnie. – Zobaczyła, że Reba i Verbie zwijają swoje anteny na drugim końcu pasażu – była teraz zdana na samą siebie. – Szukam czegoś naprawdę wartościowego dla mojej córeczki. Nie chcę, żeby jadła ten cały szajs, którym nas karmili w dzieciństwie, te wszystkie Sugar Pops i Frosted Flakes i nie wiadomo co. Więc pomyślałam o płatkach. Po prostu zwykłych płatkach. Z mlekiem.

– Ile lat? – Uśmiechał się promiennie, gorliwy pracownik w zwarciu z wybredną klientką.

– Co?

– Pani córka, ile ma lat?

– Ach, córka... – Żeby pokryć zmieszanie, wymyśliła na poczekaniu imię. – Jasmine? Dałam jej imię Jasmine, prawda, że piękne?

– O tak – odparł. – Bardzo piękne. – Zrobił pauzę. – Zimno się tu zrobiło, prawda?

Zatkało ją na chwilę. Zimno? O czym on mówi? Spojrzała na swój płaszcz, potem na niego i serce podeszło jej do gardła.

– Jestem bardzo wrażliwa na chłód – powiedziała w końcu, usiłując panować nad głosem. – Pochodzę z głębokiego południa, z małego miasteczka w Arizonie. Z Yumy. Słyszał pan kiedyś o Yumie? – Nie, nie słyszał. – Johnny Yuma! – zanuciła na próbę. Żadnego oddźwięku. Wzdrygnęła się. – No bo macie tu włączone wszystkie te lody chłodnicze, z mięsem, nabiałem...

Pokiwał tylko głową i uświadomiła sobie, że przejrzał ją na wylot, że doskonale wie, co ona robi, widuje takie rzeczy dziesięć razy dziennie. Zwłaszcza w wykonaniu takich jak ona, hipisów, motocyklistów, odszczepieńców wszelkiej maści, c i p e k.

– Wie pani, ja sam mam troje dzieci. Najstarszy, Robert junior, Bobby, jest już w drugiej klasie. I cała trójka je tylko to paskudztwo, najśłodsze płatki, cukierki, prażoną...

– Ach, moja Jasmine... – zaczęła i przyszło jej do głowy, że on nie powie słowa, dopóki ona podtrzymuje tę grę – ... Jasmine ma dopiero półtora roczku i jest... no wie pan, nie chciałabym, żeby nabrała złych nawyków. Wie pan, jak to jest.

O tak, wiedział – nie musiała mu mówić. I czy mógłby jej pomóc z tymi płatkami? Dobre są Cream of Wheat, jeśli ugotuje się je z mlekiem zamiast wody i oczywiście z dodatkiem mąki ziemniaczanej. A przy okazji – czy mieszka gdzieś tutaj, bo on sobie nie przypomina, żeby...

A więc o to chodziło. Uderzał do niej, jak każdy inny kot. Tak na próbę. A nuż się uda.

– Właśnie się przeprowadziliśmy – powiedziała. – Mąż pracuje w Aerospace.

Podziękowała mu i stanęła w kolejce do kasy, z płatkami Quaker Oats w dłoni. Serce wciąż biło jej jak werbel, ale położyła zmięty banknot na kontuarze i wygrzebała drobne z kieszeni. A potem znalazła się przed sklepem, na parkingu, i skierowała się do studebakera, prawdziwa Królowa Serów.

Z Seattle wyjechali nocą, bo Norm wziął garbusa Harmonyego i pojechał zobaczyć się z wujem. Został u niego na całe popołudnie i wieczór, a oni siedzieli w autobusie i zastanawiali się, czy ich nie opuścił. Wcześniej wyjechał z parkingu i postawił autobus na porośniętym zielonym placu przy dwupasmowej autostradzie. Było to paskudne miejsce, z karłowatymi drzewkami, nieopodal dymiła jakaś fabryka, a dookoła tłoczyły się wszechobecne parterowe domki charakterystyczne dla wszystkich przedmieść. Chłopcy nazbierali chrustu i różnych odpadków i rozpalili ognisko, dziewczyny zaś zrobiły to, co mogły zrobić w tych warunkach: upichciły coś w rodzaju paelli, z kradzionym tuńczykiem, zieleniną i wszystkimi przyprawami, jakie nie zostały jeszcze spakowane.



Samochody śmigały jak odrzutowce. Krzyki bawiących się dzieci docierały do nich ze wszystkich stron naraz. Ludzie jedli pospiesznie, jakby z poczuciem winy, bo to nie było jednak to, czego oczekiwali. Nawet Che i Sunshine poruszali się jak we śnie, robili wrażenie zagubionych i ledwie tknęli jedzenie. Około ósmej, kiedy byli w trakcie posiłku, z białego, ozdobionego kremowymi stiukami farmerskiego domu po drugiej stronie szosy, przed którym stał nowy czerwony samochód, wyszło dwóch mężczyzn w sportowych koszulkach i zbliżyło się do nich.

– To nie jest kemping – usłyszała Star.

Nie było to adresowane do nikogo konkretnego, podobnie jak uwaga wypowiedziana przez drugiego mężczyznę:

– I nie wolno tu palić ognisk.

Wsiadli do autobusu i zaczęli jeździć w kółko, samochody Ronniego i Lestera wlokły się za nimi. W końcu zatrzymali się w tym samym miejscu i nie mając dokąd pójść i co robić, czekali w środku, w zapadającym mroku, na powrót Norma. Kiedy się w końcu pojawił i karawana ruszyła w dalszą drogę, wszyscy poczuli się jak ocaleni.

Było po północy, kiedy Reba otworzyła puszkę z krabem i wędzonymi ostrygami, a Star wyciągnęła swoje sery. Autobus przebiegał się przez ścianę ciemności. Tablica rozdzielcza świeciła zielonkawo, autobus kołysał się na boki jak gigantyczna kołyska. Norm prowadził, zaciskając ręce na kierownicy, Premstar wbiła się w pęknięte plastikowe siedzenie obok niego. Ronnie był parą reflektorów gdzieś z tyłu, za nimi, dotrzymywali mu towarzystwa Mendocino Bill, Verbie i jej siostra, zmieniając się na przednim siedzeniu w regularnych odstępach czasu. Marco, który był z Normem u jego wuja – „dla towarzystwa i żeby się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się ta góra złota, na wypadek gdybyśmy potrzebowali trochę drobnych” – teraz siedział z tyłu z Alfredem i kilkoma innymi osobami, grając w karty pod lampką zainstalowaną przez Billa. Dzieci spały. Jak zresztą praktycznie wszyscy.

Reba, Merry, Maya, Lydia i Star ułożyły się w poprzek potrójnych siedzeń, plotkując i uczując, autobus parł naprzód, nikłe światła pojedynczych domów, stacji benzynowych i farm błyskały w oknach jakimś nieczytelnym kodem.

– Wiecie, proste jedzenie może się znużyć na dłuższą metę – powiedziała Reba. – Tofu. Tahini. Brązowy ryż. Mimo że to zdrowe. Mimo powziętego postanowienia. Ale to – położyła sardynkę na cienkiej kromce psennego chleba i oblizała palce – to nie jest luksus, to konieczność, rozumiecie, co mam na myśli?

Poszły w obieg kradzione krakersy, więcej chleba, butelka Liebefraumilch, którą Reba „uwolniła” z działu alkoholowego w sklepie. I wszyscy doskonale ją rozumieli. Star jadła kliny sera i oblizywała oliwę z palców – miała szczególną słabość do wędzonych ostryg – rozkoszując się chwilą. W wewnętrznej kieszonce jej plecaka, w zagłębieniu pomiędzy stelażem i główną komorą, na samym dnie, schowane były zawinięte w skarpetkę trzy studolarowe banknoty, o których nie wiedział nikt, ani Marco, ani Ronnie, ani Merry, ani Maya. To było wszystko, co jej zostało z pieniędzy na czarną godzinę, z tego, co zdołała zaoszczędzić, nim rzuciła pracę w szkole, żyjąc bardzo skromnie z rodzicami i wydając pieniądze tylko na płyty, ciuchy i czasem na brandy Alexander lub Black Russian w Surf’n’Turf, jedynym w całym Peterskill miejscu, które można było od biedy nazwać klubem. Reszta poszła na benzynę i jedzenie podczas ich wędrówki przez kraj, a bony żywnościowe, zasilek dla bezrobotnych i pieniądze, które udało się jej matce przysłać do Drop City, trafiły do wspólnego, komunalnego garnka. Nie było mowy o naruszeniu tych trzech stówek, ani dla luksusu, ani z konieczności, a zresztą Norm gwarantował, że przeprowadzi wszystkich przez pierwszą zimę, przynajmniej jeśli chodzi o zaspokojenie podstawowych potrzeb.

Lydia, pokładając się na siedzeniu naprzeciwko Star, powiedziała:

– Paszтет – jakby myślała o tym od tygodni. – To jest to, co mnie kręci. I te pałeczki z selera z niebieskim serem w środku. Szwedzkie klopsiki na wykałaczkach. Kanapki i szampan. Tam, gdzie pracowałam, urządzali ciągle przyjęcia i ja po prostu stałam przez cały wieczór przy przekąskach i żarłam na potęgę.

– A to może być? – zapytała Reba, wychylając się do przodu i wręczając jej w świetle uciekających do tyłu lamp pudło krakersów Ritz i dwie puszki szynki konserwowej.

– Homar – rozmarzyła się Merry. – Z klarowanym masłem.

– Nie macie pojęcia co dobre, jeśli nie jadłyście kraba w sosie Louis w restauracji Metzgera nad zatoką Tomales – włączyła się Maya. – Byłam tam raz, zaraz po maturze, z...

– Wiem – powiedziała Reba. – Z tym chłopakiem, co miał na imię Jack. Z włosami sięgającymi tyłka i z wąsami à la Fu Manchu.

Star parsknęła śmiechem. Wszystkie się roześmiały.

– Tak naprawdę byłam tam z rodzicami – powiedziała Maya dużo cichszym głosem. – Zabrali mnie i brata na Zachodnie Wybrzeże na wakacje. To był maturalny prezent.

Żadna nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, więc zapadła cisza. Autobus pokonywał teraz serię szerokich zakrętów, pędząc ku kanadyjskiej granicy. Silnik pracował z jednostajnym szumem, jakby pod maską krył się wielki odkurzacz. Wiatr chłostał szyby, zaciął deszcz. Słyszały docierający z przodu głos Norma, niemilkący monotony pomruk, w którym mieszały się fantazje, opinie i bezsporne fakty, a monolog ten był napędzany speedem Ronniego i zapachem toniku na skórze Premstar. A kto lubił Premstar, kto choćby ją tolerował? Nikt. Co do tego panowała powszechna milcząca zgoda.

– Koktajl z krewetek – powiedziała Reba, wkładając kolejną sardynkę do ust. – Za moje własne pieniądze – ciągnęła tak, jakby żuła te słowa – dobry koktajl z krewetek, długich jak środkowy palec, z ostrym, korzennym sosem, podawany na lodzie, to jest to, co jadłabym bez przerwy.

– Orzeszki pistacjowe – powiedziała Star. – W łupinach. Aż czerwienieją całe palce. Czy jest taki ktoś na świecie, kto miałby ich dość?

– Wiecie – rzekła Merry głosem tak cichym, że ledwie ją było słychać. – Nie widziałam moich rodziców od szesnastego roku życia. To już będzie pięć lat. Nie mogę w to uwierzyć. I nie czuję do nich nienawiści ani nic. Tak po prostu wyszło.

– Przypomnij mi: skąd jesteś? – zapytała Reba.

Cicha odpowiedź, jakby to była modlitwa lub tylko nazwa modlitwy:

– Cedar Rapids.

– Cedar Rapids? Gdzie to jest?

– To w Iowa – odpowiedziała za Merry Lydia.

– Och, Iowa – rzekła Reba i wymówiła to tak, jakby ta nazwa była absolutnie nie *hip* i beznadziejna, jak Peoria albo New Jersey.

Star poczuła, że cały nastrój zaczyna się psuć.

– Zjawił się ten chłopak – zaczęła Merry i w tym momencie jej twarz omiotło światło reflektorów – no, ten kot, miał dwadzieścia trzy lata, własny samochód i pieniądze, jakich nigdy dotąd nie widziałam, całe zwitki dwudziestek i tak dalej. Ale to nie dlatego – ja nie byłam taka. I teraz też taka nie jestem. Pieniądze nie znaczą dla mnie nic, tyle że można sobie za nie kupić wolność. A poza tym ci moi rodzice, Chryste, i ta szkoła. Znać to. Wszyscy to znają, nie?

Żadna nie chwyciła przynęty. Star poprawiła się na siedzeniu. Słyszała, jak Lydia wsuwa rękę do pudełka z krakersami.

– Nazywał się Tommy Derwin i był z południa, z Mobile, a jego akcent po prostu mnie powalał. To, jak mówił: „Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała się pani dziś ze mną umówić, panno Merro Voight”. Wziął mnie do baru w Iowa, gdzie trzeba było mieć kartę wstępu, a potem, w drodze powrotnej do Cedar Rapids, do motelu, gdzie zameldowaliśmy się jako małżeństwo. W ogóle się nad niczym nie zastanawiałam. Powiedział: jedźmy do San Francisco, tam jest teraz centrum wszystkiego. No i pojechałam.

Lydia podawała krakersy posmarowane szynkową pastą, Star wzięła jednego, Reba też, ale Maya i Merry odmówiły – szynka to było w końcu mięso ze świni, martwej świni, bez względu na to, jaką przybrało postać.

– No i co dalej? – zapytała Lydia, wycierając usta grzbietem dłoni.

– Mieszkaliśmy w różnych miejscach. U jego znajomych. Ćpaliśmy. Przez pewien czas pracowałam w kasie w aptece i kiedy nikt nie widział, podbierałam tabletki, no wiecie, takie różne numery. – Tymczasem poszedł w obieg ser i wszyscy patrzyli, jak Merry odkrawa sobie dwa grube plastry i układa je na krakersach. – I potem wstąpiliśmy do tej komuny – Harrad House? Tam było zupełnie inaczej niż u nas. Bardziej chodziło o seks. Coś w rodzaju grupowego małżeństwa.

– I jak to wyglądało? – zapytała Lydia, etatowy ekspert.

– Musiałaś sypiać ze wszystkimi?

– Ja bym tego nie zniosła – stwierdziła Star. – Po prostu bym nie zniosła.

– A mnie to brzmi fantastycznie – powiedziała Lydia. – Im więcej, tym przyjemniej.

Reba roześmiała się głośno. Pociągnęła zdrowy łyk wina i podała butelkę Lydii.

– Tak mówisz teraz, ale wierz mi... to znaczy zanim poznałam Alfreda, byłam naprawdę szalona, ciągle napalona, tak jakbym mogła obcować z mężczyznami tylko w łóżku, ale szybko mi to przeszło. Bardzo szybko. Prawda, Merry? Zgadzasz się?

– To fatalna sprawa. Tam było więcej chłopaków niż dziewczyn, a Tommy był jak duch – ciągle znikał i prawie w ogóle go nie widywałam. Niemal cały czas leżałam na plecach, a jeśli któremuś odmówiłam, to znaczy któremuś z członków rodziny, zaraz były awantury, że się zamykam, że wysyłam złe wibracje i zatruwam atmosferę. Tak to wyglądało. Sypialnia w końcu korytarza. Zdejmuj ciuchy. Piąta rano, piąta po południu. Chodź się dymać. – Zrobiła pauzę; jej głos jakby się zapadł. – Każdy miał jakieś obowiązki, mycie podłóg, gotowanie albo organizowanie forsy. Moim obowiązkiem było pieprzyć się. Jak maszyna. Jak koza.

– Gdzie się podziewa Verbie, kiedy jej potrzebujemy? Działa w Ruchu Wyzwolenia Kobiet czy co? – zapytała Reba, która niczego nie rozumiała, jak zwykle zresztą.

Star poczuła, że serce wali jej tak samo jak w supermarkecie, zupełnie jakby znalazła się tam z powrotem, z serami za piętnaście dolarów schowanymi pod płaszczem.

– Całkiem jak u keristianian.

– U kogo?

Ale ona już patrzyła przez okno na scenę jakby z innego stulecia, na rysujące się wyraźnie na tle nieba sylwetki sosen, na farmerski dom promieniujący bladą poświatą, na czerniejącą w głębi stodołę. Tam w środku spała rodzina, farmer, jego żona, dzieci, pies. Mają na pewno stary dębowy stół w kuchni, serwis śniadaniowy Fiesta z grubego, różowego fajansu, kalendarz na ścianie. Trzask otwieranych drzwi lodówki, agregat mruczy, drzwi się zamykają, nikt niczego nie zauważa, nawet pies.

– Nie wiem – powiedziała. – Nieważne.

Do granicy dotarli po drugiej. Star spała zwinięta niewygodnie w kłębek na jednej z koi i kiedy autobus skręcał, miała wrażenie, że zatacza się cały świat. Potem zatrzymali się z nagłym szarpnięciem i Star się obudziła. Stali na poboczu, pod tablicą z napisem: GRANICA PAŃSTWA 2 MILE. Norm szedł przejściem między siedzeniami i budził ludzi.

– To granica, kochani, no już, wstawać – mówił, a jego twarz wyglądała jak blada żarówka zawieszona w półmroku. Zgarbił się, ramiona zwisały mu bezwładnie, jakby stracił w nich czucie. To było to. To była ta wielka chwila. Jeśli nie wpuszczą ich do Kanady, nie będą mogli dostać się na Alaskę i Drop City umrze.

Marco spał niżej, pod koją Star, i teraz obudził się raptownie. Wyciągnęła do niego rękę i ze zwieszonymi włosami wychyliła się, żeby na niego spojrzeć. Patrzył w przestrzeń, jego wilgotne oczy odbijały akurat tyle światła, żeby można się było zorientować, że są otwarte.

– Hej – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Jesteśmy na granicy. Obudź się.



– O, cholera – zaklął i odsunął jej rękę. – Już? – Podniósł się, ześliznął z koi, przeciągnął palcami po włosach i wsunął do spodni koszulę. Ludzie snuli się dookoła jak zombie, wpadając na siebie i przeklinając cicho. Psy zaczęły skomleć. Ktoś kichnął.

– Gdzie jest Ronnie? – zapytał Marco. W jego głosie pobrzmiwała ostra nuta, której nie znała. – Gdzie Pan? Jest gdzieś tutaj?

Przez ostatnie dwa dni nie mówił o niczym innym, tylko o granicy: granica to, granica tamto, i że powinien się przekraść na drugą stronę w bagażniku studebakera albo znaleźć jakieś miejsce na kompletnym pustkowiu, gdzie mógłby po prostu przejść z jednego kraju do drugiego z taką łatwością, z jaką przechodzi się z przodu autobusu na tył. Star próbowała mu to wyperswadować, no bo gdyby otworzyli bagażnik – a dlaczego mieliby nie otworzyć? – z miejsca by go przygwoździli, ale przecież w autobusie było jeszcze trzydzieścioro ludzi, nie mówiąc o dwóch psach i kocie, i raczej wydawało się mało prawdopodobne, że będą sprawdzać wszystkich. Zwłaszcza o czwartej nad ranem.

– Nie potrzebujesz Ronniego – rzekła. – Po prostu siedź cicho i tyle. Wszystko będzie w porządku – powiedziała, a potem powtórzyła to jeszcze raz, jakby same słowa załatwiały sprawę.

– No dobra – mówił tymczasem Norm i jego głos znów nabrał zwykłej dynamiki; był czymś między krzykiem a ryczeniem. – Posłuchajcie wszyscy. Granica jest dwie mile stąd i po prostu przemknijemy przez nią jak wicher, żadnego zamieszania, żadnych problemów. Wiecie, kim jesteśmy? Wszyscy wiedzą? Zespołem rockowym.

Niesamowity George jęknął.

– Tak jest. I mamy wielkie koncerty, w Fairbanks i w Anchorage... i gdzie jeszcze? Nie wiem, może w Sitce. Ci, co mają gitary, niech je wyjmą i trochę pobrzdąkają, może nawet byłoby fajnie, gdybyście coś razem zaśpiewali, no wiecie, o co chodzi. Wiecie, o czym mówię?

Było w pół do trzeciej w nocy. Stali na kanadyjskiej granicy. Nikt nie miał ochoty śpiewać.

– W porządku. Ja będę mówił. A wy, cipki, ozdobo Drop City, starajcie się wyglądać seksownie, dobra? Jesteście naszym chórkim.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i dało się wyczuć, że napięcie zelzało. Ludzie zaczęli rozmawiać, chłopak, którego nazywali Deuce, Czart, wyciągnął organki i zaczął grać wolnego bluesa. Wkrótce dołączył Geoffrey z gitarą, a dwie dziewczyny z tyłu autobusu, Erika i Dunphy, zaintonowały *Love in Vain*.

Norm powędrował zgarbiony na przód autobusu, gdzie Premstar tkwiła na siedzeniu jak prezent, który zapomniał rozpakować. Marco spojrzął na Star i ruszył za Normem.

– Norm – powiedział. – Posłuchaj, Norm, muszę z tobą pogadać.

Zsunęła się z koi, czymś nagle przestraszona, i poszła za nim.

Drzwi autobusu otworzyły się z sykiem i po chwili cała trójka – Norm, Marco i Star – naradzała się na poboczu z Ronniem i Mendocino Billem. Studebaker stał z włączonymi światłami, spowity obłokiem spalin. Mżył drobny deszczyk, mokra nawierzchnia lśniła wilgocią. Ktoś rozbił w tym miejscu butelkę i Star musiała uważać, gdzie stawia stopy.

– A więc co chcesz zrobić? – zapytał Norm. – Przejść pieszo? Myślisz, że nie zwrócą na ciebie uwagi?

– Jeśli mnie złapią, pójdę siedzieć.

– Wyluzuj, bracie, nikt nie zamierza cię łapać. To tylko Kanada. Kupa wieśniaków, no nie, Pan? Mam rację, Star?

Światła studebakera powlekały twarz Marca zimnym księżycowym blaskiem. Wtulił głowę w ramiona, jakby kanadyjscy gliniarze już się doń zbliżali, trzaskając z bicza.

– A jakby tak samochodem Pana? W bagażniku?

Norm pokręcił głową bardzo wolno. Jego oczy poruszały się niespokojnie za szklami sklejonych okularów.

– Wjeżdżaliśmy tak kiedyś do kina na wolnym powietrzu. Jednego wieczoru mieliśmy w bagażniku dwóch facetów i cipkę i zaciął się zamek. – Roześmiał się. – To było wariactwo. Jedno wielkie nocne szaleństwo, mówię wam.

– Nie wydaje mi się, żeby to było dobre – powiedział Ronnie. – Jeśli zechcą otworzyć bagażnik, wpadnę w gówno po uszy. Potraktują mnie jak przemytnika.

Nikt się nie odezwał. Star ujęła Marca za ramię.

– Chodź. Wracajmy do autobusu. Skończmy z tym.

– A w dodatku mam przy sobie towar, nasz towar. W zapasowym kole. I tu już wpieprzyłbym się na amen. To znaczy, gdyby znaleźli.

Podjechał lincoln Lestera, a w chwilę później Dale Murray na swoim motorze. Nagle zrobił się straszny hałas. Warczały silniki, śmierdziało spalinami. Lester opuścił szybę.

– No i co dalej? – zapytał. – Jedziemy na przełaj czy jak?

– Kurwa, zmarzłem na kość – rzekł Dale Murray. Przemókł do nitki, mokre włosy oblepiały mu policzki. – Powinniśmy się zatrzymać i rozbić obóz albo coś w tym rodzaju, bo inaczej, kurwa, zdechnę.

– Przejedziemy oddzielnie – powiedział Norm – bo nie urządzimy im całej zwariowanej hipisowskiej parady. Ronnie, ty jedziesz pierwszy. Potem ty, Lester. Dale, ty przejeżdżaj, kiedy zechcesz, udawaj tylko, że nas nie znasz – nikt nikogo nie zna, kapujecie? A jak już będziemy po tamtej stronie, zobaczymy, czy nie da się wziąć motoru do autobusu. No, jak to brzmi? Jest to jakiś plan?

Tylko Star odpowiedziała, ledwie słysząc samą siebie przez warkot motocykla.

– Jasne – kiwnęła głową. – To jest plan.

Przed nimi noc rozkwitała sztucznym, elektrycznym światłem, ciężarówki hamowały wśród niknących widm mniejszych samochodów, odległa łuna Vancouver wyglądała jak blask bijący od pojazdu kosmitów, który wylądował na polu szerniałej pszenicy. Koło szarych metalowych budek z jaskrawo oświetlonymi oknami uwijały się postacie w mundurach, śmigając jak łyżwiarze po lśniącej powierzchni chodnika. Samochód Ronniego wysforował się przed autobus i wszyscy przycisnęli twarze do szyby. Patrzyli, jak tylne światła studebakera mrugają czerwono w całunie spalin i jak funkcjonariusz wynurza się z pobliskiej budki. Deszcz wzmógł się raptownie, bębnił teraz władczo w dach autobusu, siekł nawierzchnię szosy i przebijał cynowymi szpikulcami mgiełkę spowijającą podwozia samochodów. Funkcjonariusz pochylił się do okna – wszystko trwało piętnaście sekund – potem wyprostował się i machnął Ronniemu ręką, żeby jechał. Star patrzyła, jak studebaker rusza i znika w mroku nocy.

Norm ustawił się za jakąś ciężarówką, która zwlekała z odjazdem. Nie mogli zobaczyć, czym spowodowana była zwłoka, bo tył samochodu zasłaniał widok, ale gitary brzdąkały bez przerwy i parę osób śpiewało piosenki Beatlesów – najpierw *Rocky Racoon*, a później *Everybody's Got Something to Hide Except Me and My Monkey*, który to wybór byłby nawet zabawny, gdyby nie żaloszny wygląd Marca. Biedny Marco. Skulił się przy oknie w fotelu obok Star, z głową wciśniętą w postawiony kołnierz dżinsowej kurtki. Włosy lśniły mu jak zmatowiałe złoto, jak zwarzone mrozem trawy na pustym skwerze. Wzrok miał zgaszony.

– Robię to dla ciebie – powiedział. – Mam nadzieję, że to wiesz?

Potem miejsce, które zwolnił Ronnie, zajął samochód Lestera. Ta sama postać wynurzyła się z budki, tyle że teraz miała na sobie pelerynę przeciwdeszczową. Funkcjonariusz wyjął latarkę i zaświecił Lesterowi w twarz. Tymczasem ciężarówka ruszyła wolno do przodu, mrugając światłami, i Norm podjechał do budki w chwili, gdy facet z latarką dawał jeszcze znaki Lesterowi, żeby zjechał na najdalszy pas, zarezerwowany dla tych, którzy mają być poddani rewizji i zatrzymani. Lester, Franklin i Sky Dog wygramolili się z samochodu w strugach deszczu.

Ale zanim ktokolwiek zdążył się tym przejść, autobus zatrzymał się raptownie, drzwi otworzyły się z sykiem i funkcjonariusz w żółtej kurtce przeciwdeszczowej wszedł do środka.

– Witamy – zawołał Norm. – Co tam, pojawił się niedźwiedź?

Mężczyzna skinął głową i powiedział coś cicho do Norma i Premstar. Z miejsca, na którym siedziała, Star widziała tylko mętną żółtą plamę, jakby coś majaczyło wśród piwnicznego brudu. Z tyłu, na samym końcu, kilkuosobowy chórek śpiewał *I Want to Hold Your Hand*.

– Amerykanin – powiedział Norm, a Premstar, której głos doleciał do Star jak strzęp puchu niesiony wiatrem, opuściła głowę i zawtórowała mu:

– Amerykanka.

Człowiek w kurtce powiedział coś jeszcze, ale i tego Star nie dosłyszała.

– Tylko przejeżdżamy – powiedział Norm donośnym głosem. – Jesteśmy zespołem rockowym. Mamy wielkie koncerty na Alasce, nie mogą się nas tam doczekać. Nie, żebyśmy nie chcieli zagrać dla was, Kanadyjczyków, ale to musimy odłożyć na później. Teraz mamy zajęte terminy, rozumie pan.

Śpiewacy z tyłu milkli jeden po drugim, czując, że z przodu coś się dzieje. Star wychyliła się, żeby lepiej widzieć, Marco skulił się i wbił w fotel.

– J a k i zespół? – wykrzyknął Norm z niedowierzaniem.

– Chce pan powiedzieć, że nas pan nie rozpoznaje?

Człowiek w kurtce pokręcił głową. Star zobaczyła teraz jego twarz – szczyrzył zęby w uśmiechu. Zobaczyła ich błysk w twarzy tak czerwonej, jakby wstrzymywał nie wiadomo jak długo oddech.

– Och, człowieku, obraża mnie pan – powiedział Norm, rzucając okiem w głąb autobusu i robiąc małpie miny. – Naprawdę mnie pan obraża. Podpowiem panu – zaproponował.

– *Sugar Magnolia? Truckin', Friend of the Devil?* Nic? Człowieku, pan mnie dobija! No dobra, Premstar, powiedz panu...

Cieniutki, słaby głosik:

– Grateful Dead.

Człowiek w żółtej kurtce wciąż się uśmiechał do również uśmiechniętego Norma, jakby to był jakiś teleturniej.

– Słyszał pan chyba o nas, co?

– O, tak – potwierdził funkcjonariusz; stłumiony głos wydobywał się spod miękkiego, żółtego kapelusza. – Jasne, słyszałem o was.

– Jeśli pan chce, z przyjemnością dam panu autograf, nie ma problemu – rzekł Norm i wyciągnął do niego rękę, aby uścisnąć mu dłoń.

Potem mężczyzna powiedział coś, czego Star nie dosłyszała, a Norm obrócił się w fotelu, żeby spojrzeć w głąb autobusu.

– W porządku, kochani, poświęćcie minutkę temu panu, on chce tylko zapytać każdego po kolei, czy posiada obywatelstwo. Okej?

Człowiek w kurtce ruszył przejściem, czerwona twarz, wyszczerzone w uśmiechu zęby, Star zauważyła, że jest starszy, niż jej się początkowo wydawało – miał posiwiałe baki – starszy nawet od Norma. Nie chciał żadnych kłopotów. Nie chciał nic oprócz tego, żeby jak najszybciej wysiąść z autobusu i wrócić do swojej budki.

– Obywatel amerykański? – pytał. – Obywatel amerykański?

I wszyscy odpowiadali twierdząco, a potem, dla odmiany, zaczął pytać o miejsce urodzenia i padały nazwy miast: Buffalo, San Diego, Charleston, Staten Island, Kansas City, Hornell. Przypatrywali się jego twarzy, kiedy szedł na tył autobusu, i jego plecom, kiedy wracał. Che i Sunshine spali. Psy nawet nie podniosły łbów.

Kiedy zszedł po stopniach, nastąpił wybuch nerwowego śmiechu, a gdy drzwi zamknęły się za nim i Norm ruszył gwałtownie w stronę światła Kanady, śmiech przerodził się w obłąkańczą, niepohamowaną burzę wrzasków, miauków i skowytów. Tylko Star oglądała się wstecz. Ostatnim widokiem, jaki zarejestrowała, był mokry od deszczu lincoln i stojący przy nim Lester. Człowiek w żółtym płaszczu klepał go w ramię, dając mu znak, żeby wszedł do samochodu.

Chociaż pruli nieprzerwanie dzień i noc przez Kanadę i przez niekończącą się, wypełnioną rykiem motorów piaszczystą drogę zwaną Alaska Highway, zatrzymując się tylko po to, żeby zatankować i umożliwić załatwienie potrzeb fizjologicznych trzydziestce milczących klaustrofobów, autobus wytrzymał. Według rachuby Marca wysiadał trzykrotnie, raz tuż za Prince George, po raz drugi na przełęczy Muncho Pass, a potem na jakimś pustkowiu, ale Mendocino Bill i Tom Kriszna stawali zawsze na wysokości zadania i przymusowy postój nie trwał nigdy dłużej niż jedną, dwie godziny. Ludzie grali w karty, czytali, łazili po okolicy, brzdąkali na gitarach. Kochali się pod kocami, częstowali się wzajemnie colą i ziołową herbatą, ćpali, zapadali w drzemkę, budzili się i znów drzemali dalej. Norm prawie nie spał. A kiedy wreszcie zasypiał na jednym z siedzeń, poskręcany jakby nie miał kości, zmieniali go Marco lub Alfredo i dalej teleпали się przez kraj tak pusty, że aż bolały od tego oczy. Nawet Pan włączał się do akcji i gdy tamci nie mogli już przewyciężyć senności, przekazywał kierownicę studebakera Star, zasiadał za kierownicą autobusu i parł naprzód przez kurczącą się noc. Nie było tu glin, nie było radarów, żadnej kontroli. Sceneria pokazywała swe pazury. Można tu było robić wszystko, co się chciało, po prostu.



Vanderhoof, Smithers, Cranberry Junction, Johnson's Crossing, Whitehorse, Marsh Lacle, Destruction Bay, Burwash Landing, tyle znaczków na mapie, tyle powitań i pożegnań. Widzieli w Wonowon wielką ciężarówkę zgniecioną w harmonijkę, a obok martwą samicę łośia rozciągniętą na drodze i jej młode wielkości żrebaka, które biegło w kółko, oszalałe z rozpaczy. Na brzegach rzeki Donjek płonął las, płomienie ogołacały wierzchołki drzew i ulatywały ku nocnemu niebu, a w pobliżu nie było żywej duszy. Zrobili sobie mały postój przy zjeździe z autostrady Hainesa i przez nieuwagę zostawili Jiminy'ego, a zawracając, nadłożyli blisko sto mil. Znaleźli go stojącego na deszczu przy stacji benzynowej, z podniesionym kciukiem i z wyrazem kosmicznej bezradności w oczach. Za oknami wiły się szare wstęgi rzek, Takini, Goodpaster, Tetsa, Sikanni Chief, Prophet, Rabbit i Blue.

Kiedy wreszcie dotarli do Alaski, i to bez szwanku, choć gdy wyruszyli, wydawało się to nieprawdopodobne, kiedy więc rozśpiewani, objedzeni kanapkami i pełni nadziei dotarli do celu autobusem, który wciąż toczył się na swych dziesięciu kołach z wlokącym się za nim studebakerem i garbusem, zjechali na pobocze i usiedli w kręgu, trzymając się za ręce, a Reba i Tom Kriszna zaintonowali pieśń. Było to przy zjeździe z autostrady Northway, czterdzieści dwie mile od granicy; celnicy we flanelowych koszulach, popijający kawę ze styropianowych kubków, poganiali wszystkich, machając ręką, dzień dobry, witamy w USA. Dzieci Reby zrobiły z przędzy i patyczków ozdóbkę na choinkę zwaną „Boże oko”, a Alfredo narysował na ziemi kosturem wielką mandalę i wodząc końcem kija po rysunku jak różdżkarz szukający wody, dogrzebał się do czerni w bladozielonym poszyciu. Zapłonęły świece i kadzidełka, zaczął krążyć jeden z wielkich, glinianych dzbanów Harmony'ego.

Powietrze było ciężkie od zapachu przesiąkniętej deszczem roślinności, dorodnych jagód, słońca, które wyżymało wilgoć, by potem dzień po dniu oddawać ją z powrotem. Zapach ten sprawił, że Marco przeniósł się myślami do dzieciństwa, które spędził na Wschodnim Wybrzeżu. Uświadomił sobie, że to już nie jest Zachód, nie Kalifornia ani Oregon – przyroda była tutaj taka sama jak ta, wśród której dorastał, borealny las na pofałdowanym terenie ciągnął się ku północnemu wschodowi, tam gdzie kulę ziemską wieńczył biegun. Marco przypomniał sobie, jak czytali w college’u *Lasy Maine* Thoreau, trudno mu było uwierzyć, że niespełna sto lat temu w Maine, wśród świerków i dębów, żyły karibu – a teraz znalazł się w miejscu, w którym wciąż można je było spotkać. Łańcuch nie został jeszcze przerwany. Potykając się w zamyśleniu, przeszedł jakieś sto jardów drogą, z mglistą nadzieją, że zobaczy stadko tych zwierząt, ale nie zobaczył niczego oprócz wzbijanego wiatrem kurzu, który ulatywał ku drzewom i pokrywał grubą warstwą zielsko na poboczach. Jakaś ciężarówka, warcząc głośno, pełzła z trudem pod górę. Powlókł się z powrotem i zajął miejsce w kręgu.

Zdażył wziąć dzban od Mai, pociągnąć obowiązkowy łyk i podać wino dalej, gdy z lasu za jego plecami wyszła Star z naręczem polnych kwiatów, zarumieniona i uśmiechnięta. Patrzył, jak obchodzi tanecznym krokiem siedzących i rozdaje kwiaty. Potem usiadła obok niego z gałązkami lawendy zatkniętymi za uszami. Jaka to była ta piosenka, co to jej tak nie lubił, że aż zgrzytał zębami, kiedy ją słyszał? Coś o San Francisco i kwiatach we włosach. Chałturnik odpowiedzialny za tę bzdurę powinien był w tej chwili zobaczyć Star – mógłby się czegoś dowiedzieć o kwiatkach i o włosach.

Miała na sobie niebiesko-białą sukienkę à la babunia, która podkreślała kolor jej oczu – kiedy siadała, cienki materiał naprężył się na kolanach i na gładkiej stromiźnie ud. Marco otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i dokładnie w tej samej chwili nad ich głowami rozległ się łopot skrzydeł jakiegoś wielkiego ptaka – mogła to być śnieżycza cesarska lub orzeł. Ptak przemknął nisko nad drzewami i zniknął tak szybko, że nie byli pewni, czy go w ogóle widzieli, zwłaszcza że wszyscy mieli zamknięte oczy.

– Widziałas? – zawołał Marco.

Odwróciła się ku niemu jak do pocałunku, miękkie włosy musnęły jego twarz.

– Aha! – odparła. – Widziałam! Prawda, że cudowny? Co to było, jastrząb?

– Nie wiem, ale to dobry omen, nie uważasz?

Tom Kriszna przewodził w śpiewie. Wszyscy trzymali się za ręce i Star wychyliła się, żeby ująć za rękę swego sąsiada z lewej strony – był to Niesamowity George, miał kostki kurczaka wplecione we włosy i zawieszony na szyi wieniec czosnku, dla ochrony przed wampirami. Potem odwróciła się do Marca i spłótła jego palce ze swoimi.

– Jestem taka szczęśliwa – rzekła. – Nie wiedziałam, że człowiek może być taki szczęśliwy, nawet tego nie podejrzewałam. A ty? Nie oddałbyś życia za tak wielkie szczęście?

Odpowiedział, że jest szczęśliwy. I że chętnie oddałby życie.

W Fairbanks Norm zatrzymał się przed jakimś barem i wszyscy wysypali się z autobusu, co do jednego, cała rodzina, włącznie z psami – tylko kozy beczwały w swojej prowizorycznej zagrodzie. Che i Sunshine śmigali po chodniku jak dwie zdalnie sterowane rakiety. Nikt tu nie widział czegoś podobnego. Samochody zamierały na środku ulicy, ludzie wychodzili ze sklepów, od fryzjera, z ratusza. A Drop City, całe wystrojone, wparadowało grupkami do baru i wyczyściło go ze wszystkich koktajli mlecznych, lodów, sera z grilla, hamburgerów, sałatki z tuńczyka, sałaty, ciasta cytrynowego i zupy dnia, płacąc za to trzy razy więcej, niż zapłaciliby w Kalifornii, bo każdy kęs tego jedzenia trzeba było sprowadzić z czterdziestu ośmiu pozostałych stanów. Marco dał swoją dółę, zapłacił również za Star, ale wtulił głowę w podniesiony kołnierz dżinsowej marynarki, jakby miał nadzieję, że w ten sposób zniknie – nie widział jeszcze ani jednego łososia. Ani karibu. Ani niedźwiedzia. Czy choćby królika.

– Nie martw się o pieniądze – powiedziała mu Star, zakładając lśniące strąki włosów za uszy. Nie myła się od tygodnia. Nikt się nie mył, jeśli nie liczyć chlapania pod hydrantem na stacjach benzynowych, Norm zaś odmawiał zatrzymywania się przy łaźniach publicznych, pływalniach i zbiornikach wodnych, choć mijali po drodze tysiące migotliwych strumieni, rzek i jezior tak czystych, że robiły wrażenie, jakby były wypełnione jakimś substytutem powietrza. Zasuwać dwadzieścia cztery godziny na dobę, taka była dewiza Norma.

– Ja się nie martwię – odpowiedział Marco, ale nie była to prawda.

Star pochyliła się ku niemu przez stolik i ujęła go za rękę.

– Jesteśmy w Ameryce i właśnie to jest w tym wszystkim piękne. Możemy dostać bony żywnościowe, zasiłek dla bezrobotnych, zapomogę, tak samo jak wszędzie.

Za jej plecami, na ulicy, trzy kobiety w średnim wieku, wystrojone w kwieciste kretonowe sukienki, gapiły się przez szybę, jakby były w zoo. Słońce orało ich cofnięte czoła, skręcało im włosy, eksponowało rzeźbę wydatnych kości policzkowych i nosów. Gdyby Marco był w lepszym nastroju, pomachałby im chętnie, pokazał język lub wykonałby imitację pierdnięcia, wkładając rękę pod pachę, prrr, prrr, prrr. Ale zamiast tego opuścił tylko wzrok.

– Zresztą – dodała, zniżając głos – mam trochę odłożonych docłców. Na pilne potrzeby. A ty jesteś zdecydowanie bardzo pilną potrzebą, wiesz o tym?

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, był rozdrażniony, zniecierpliwiony, zmęczony tym całym cyrkiem. Gdzie były drzewa do ścinania, okorowywania i ociosywania? Gdzie była rzeka, gdzie pocztówkowe widoki, ryby, zwierzyzna, krwiożercza natura, która by aż krzyczała, aby ją ujarzmić – i uszczęśliwić? Co ze szczęściem? Czy było przewidziane w planie działania? Marco czuł się wyżęty. Przybity. Bolało go gardło. Miał w kieszeni szesnaście dolarów i osiemdziesiąt siedem centów, wiedział, że kiedy pieniądze się skończą, zacznie się długie, beznadziejne oczekiwanie na bony żywnościowe, zapomogę i co tam jeszcze szczodre i Wspaniałe Społeczeństwo zechce mu wydzielić. A zresztą w jaki sposób czeki dotrą do nich w takiej dziczcy? Czy w ogóle na Jukonie działała jakaś poczta? Dostarczanie paczek? Gołębie pocztowe?

– Ja się nie martwię – powtórzył.

W drugim końcu sali Norm, zbyt wykończony, żeby usiąść, wyginał się nad laminowanym stolikiem i szufłował makaron z serem i sałatą Waldorf. Oczy miał zapadnięte ze zmęczenia, napominał ich spojrzeniem, aby się najedli, nabrali sił, z m o b i l i z o w a l i .

– Jeszcze sto sześćdziesiąt mil – wychrypiał, zbyt wyczerpany, żeby krzyknąć. – Półtora cala na mapie. I to wszystko, kochani, jesteśmy w domu. Czujecie to? Czujecie tę rzekę?

Nikt niczego nie czuł. Ich żuchwy pracowały, błyskały w uśmiechu zęby. W tym uroczystym momencie honory domu pełnił zaszokowany kucharz i oszołomiona kelnerka w plisowanej spódniczce i bluzce z postaciami z rodeo wyhaftowanymi na kołnierzu. To cóż, że Fairbanks wyglądało dokładnie jak półmilowy pas oddarty od jakiegokolwiek przemysłowego miasta w Ameryce – od Detroit, Albany czy Akron, a przede wszystkim przypominało do złudzenia miasta, z których oni wszyscy uciekli? Byli tu wreszcie. Byli na Alasce. Cel był w zasięgu wzroku.

Norm wręczył swój talerz kelnerce i ludzie zaczęli odchodzić z ociąganiem od kontuaru, od stolików, opuszczając obłożoną toaletę na zapleczu.

– Drop City Północ, kochani – powiedział Norm, rozkładając ramiona, żeby zasygnalizować, że zwraca się do wszystkich obecnych, także do Indianki w nieokreślonym wieku, tkwiącej nieruchomo w kącie nad książką w kieszonkowym wydaniu, i do dwóch czerwonouchych tubylców zgarbionych nad kubkami z kawą i wpatrzonych w jeden punkt na ścianie za kontuarem, jakby były tam wypisane nieskończenie małymi literkami sekrety wszechświata. – Kraina słońca o północy!

Siedząc ze Star na drugim końcu sali, Marco czuł się dziwnie wyizolowany. Przed nimi stał, wymachując ramionami, Norm, guru mimo woli, błady i okłapy Norm, który nigdy nie chciał nikomu przewodzić. Był u kresu wytrzymałości, znajdował się w barze szybkiej obsługi, w miejscu, które w niczym nie przypominało prawdziwego celu podróży. Marco czuł się zakłopotany niejako w jego imieniu, za nich wszystkich, a żar optymizmu, który płonął w nim jeszcze przy zjeździe z autostrady Northway, teraz zamienił się w popiół. Cała ta groteskowa, utopijna afery była czystym szaleństwem. Jeśli przetrwają miesiąc, będzie to prawdziwy cud.

Na ulicy wypalili wspólnie ze Star jednego papierosa. Wszyscy kręcili się w kółko, jakby przyjechali tu właśnie po to, żeby przykucnąć w słońcu na brudnym chodniku przygranicznego miasteczka, które jakimś cudem wyglądało jednocześnie na pre- i postindustrialne ze swymi koślawymi chatami z bali, ustępującymi miejsca seryjnym domkom firmy Quonset oraz magazynom ze zmurszałej cegły i zardzewiałych prefabrykatów, rozpychającym się wśród domów mieszkalnych niczym ranni żołnierze. Pan i Lydia przysiedli na masce studebakera – te same przeboje z listy Top 40 można było usłyszeć w Tuscaloosie czy w Sioux City, jak ledwie rozpoznawalne rzęzą z radia. Verbie kłóciła się o coś z siostrą syczącym szeptem. Ludzie wciąż wchodzili i wychodzili z toalety na tyłach baru, wracali po wykałaczki, miętówki, gumę – cokolwiek, żeby tylko odwlec odjazd autobusu – a potem Norm wziął Premstar za rękę i weszli po wytartych stopniach do środka, a reszta za nimi. Norm szybko policzył wszystkich, zazgrzytał zapuszczany silnik, autobus szarpnął, zsuwając się z krawężnika, i ruszył w czarnej chmurze spalin.

Jechali przez ponure ulice śródmieścia, przez rzekę Chena, a potem autostradą Steese Highway, obżarci przepłaconym barowym jedzeniem, tłuszcz, cukier i kwas fosforowy buszowały im w żyłach niczym powolna śmiertelna trucizna. Krążyły podawane z rąk do rąk papierosy, pojedyncze skręty, buklak z winem. Maya i Merry posyłały całusy i przekazywały znak pokoju snującym się leniwie Indianom i pijaczkom z zapadniętymi oczami, którzy robili wrażenie jedynych mieszkańców miasta, potem zniknęły chodniki i pojawiły się wyboje, a wreszcie piach i znów znaleźli się poza miastem, w świecie zieleni. Ostatni odcinek drogi wszedł im płynnie pod koła jak łagodnie falujące brunatne morze.

Siedząc za kierownicą, Norm wrócił do życia. Było to zdumiewające. W jednej chwili był martwy i prawie pogrzebany, a już w następnej nie mógł się powstrzymać od żywiołowego rzucania głową, gadał jak najęty i Marco zastanawiał się, ile świętej i odmładzającej chemii wniosło Drop City do ich prywatnych i wspólnych zasobów – uncje, funty, tysiące funtów? Norm bębnił palcami w kierownicę, wiercił się i przytupywał. Był teraz przewodnikiem wycieczki; nachylał się do przodu i odczytywał skrzekliwym głosem nazwę każdego mijanego strumyka i przepustu, robiąc wszystkim, którzy go słyszeli, wykład z historii, geologii i botaniki dorzecza Jukonu, a także przekazując im wiedzę o łowcach skór i poszukiwaczach złota, a przynajmniej coś, co za taką wiedzę uchodziło.

– Widzicie to? – pytał, wskazując na wielką połąć porośniętą zbielałą, karłowatą roślinnością i poznaczoną gęsto czarnymi krechami na wpół powalonych świerków, porzrzucanych tak, jakby przejechał tamtędy buldożer.



Marco przełknął wino, delektując się jego smakiem. Podał bukłak Star i przycisnął twarz do szyby. Po drugiej stronie Premstar, z nieumytnymi sztywnymi włosami, zajęła sama potrójny fotel. Miała na sobie szorty i oparła nogi wysoko na pękniętym, plastikowym oparciu, tak że widać było pionową zmarszczkę między nimi, kolana zderzały się rytmicznie, gołe kostki były pomarszczone i białe. Czytała jakieś czasopismo ze zdjęciem kobiety na glansowanej okładce. Norm mógł równie dobrze mówić sam do siebie.

– Widzicie, jakie te drzewa pokrzywione? Widzicie te dwa, co wyglądają jak skrzyżowane miecze? Nazywają to pijanym lasem, bo wydaje się, jakby drzewa zapily i nie mogły ustać prosto. – Odwrócił się energicznie w fotelu. – Słuchasz, Marco? – zapytał, cedząc słowa.

– Słuchamy – odpowiedziała za Marca Star. – A czego innego mamy słuchać?

– Premstar?

Premstar nie podniosła wzroku znad czasopisma.

Głowa Norma wróciła do zwykłej pozycji; teraz kierował swoje słowa do przedniej szyby. Silnik warczał, autobus podskakiwał na wybojach.

– To skutki tak zwanej wiecznej marzłoci. Na głębokości dwóch stóp ziemia jest twarda jak kamień, zamarznięta od czasów epoki lodowcowej, a nawet jeszcze przed epoką lodowcową, od czasów mamutów i tak dalej. Szablozębnych tygrysów. Wilka straszego. Pamiętasz te mamuty, Prem, jakie z nich były sukinsyny? Premstar. Mówię do ciebie. Pytałem, czy pamiętasz, jak cholernie trudno było osiodłać te sukinsyny mamuty.

Ledwie dosłyszalny głosik, niemal szept, wyszczył się zza czasopisma:

– Tak, Norm. To prawdziwe sukinsyny.

– A więc drzewa nie mogą się przebić korzeniami głębiej niż na jakieś dwadzieścia cztery cale. Kiedy nadciąga wichra, przewraca je. Ale nie myślcie, że coś jest z nimi nie w porządku, bo bynajmniej tak nie jest. One żyją i mają się doskonale. Tyle tylko że nigdy się nie wyprostują. W każdym razie nie całkiem.

Marzłoć. Pijany las. To było coś, rewelacja, która czyniła wszystko realnym i nadawała tym porośniętym mizernymi krzakami wzgórzom, mokradłom i miniaturowym lasom rys egzotyczny. I to jest egzotyczne, uświadomił sobie Marco, bo na Alasce nic nie było takie, na jakie wyglądało. Zaczynały go dręczyć wątpliwości. Gdzie były lodowce, wodospady, ośnieżone góry i ogromne lasy? W każdym razie nie tu, nie w głębi krainy. Tu krajobraz wyglądał tak samo jak w Ohio, w Michigan, Wisconsin i w stu innych miejscach. Wyteżał wzrok w nadziei, że wypatrzy jakieś orły, rozglądał się za wilkami, ale nie dostrzegł nic oprócz karłowatej roślinności.

Norm prawił już o czymś innym, jakby zdzierał jedną po drugiej warstwy pamięci – kiedy tu przyjechał po raz pierwszy, spodziewał się wilka za każdym krzakiem, łososi wiszących na drzewach, złotego piasku w kawie – ale Marco nie słuchał. Nie czuł się zbyt dobrze. Wszyscy w tym autobusie przez tydzień zarażali się wzajemnie katarem, takie było ryzyko związane z życiem w komunie, zwłaszcza w zamknięciu. Teraz i on złapał grypę. Bolała go głowa. Pociągał nosem. Wino drapało go w gardło i legło ciężarem na żołądku. Popęłnił błąd i wiedział o tym już w chwili, gdy podawał bukłak Star, a ona przekazała go Premstar, Premstar zaś, pociągnąwszy wytwornie łyżeczek, Mendocino Billowi. Autobus zatoczył się, wyrównał, znów się zatoczył. Marco spojrzął na rękę Star, splecioną z jego ręką, jakby nie poznawał, co to jest. W następnej sekundzie szedł przejściem między fotelami do toalety.

Choć słońce stało wysoko i mogła być najwyższej siódma, większość ludzi spała, Reba chrapała z odchyłoną do tyłu głową, Jiminy i Merry umościli się pod spłowiałą indiańską derką, która wisiała kiedyś w izbie w Drop City w czasie tak, zdawało się, odległym, że ledwie go pamiętał. Mendocino Bill i Deuce grali w szachy na magnetycznej szachownicy, psy zwinęły się w kłębek pod siedzeniami, a Che i Sunshine, ze smarkami lśniącymi pod nosem, gapili się nieruchomym wzrokiem przed siebie, jakby oglądali w telewizji film, którego gwiazdą był właśnie on, Marco. Poczuł raptowny ból żołądka. Autobus znów się zatoczył i Marco uderzył się o oparcie fotela. Przeszedł przez kuchnię na sam koniec i załomotał w drzwi prowizorycznej toalety. Zapach, jaki stamtąd bił, bynajmniej nie pomagał.

Cały autobus zalatywał niemytymi ciałami i odparzonymi stopami plemienia, które od paru dni wcierało sproszkowane mydło pod pachy i płukało włosy w brudnych toaletach przydrożnych barów. Ale toaleta chemiczna była czymś całkiem innym, to tam spływało z nich to, co gromadziło się przez długie godziny, zarówno z braci, jak z sióstr. Marco zmusił się, żeby wejść do środka, i zamknął drzwi na zasuwkę.

Pocił się obficie, włosy kleiły mu się do czoła pod czerwoną bandaną, której nie odwiązywał od czasu, jak opuścili Kalifornię. W toalecie było ciemno i ciasno, tylko przez kratkę w drzwiach wpadało światło migoczące rytmicznie jak w peep-show. Chciał zwymiotować, bo wiedział, że jeśli to zrobi, poczuje się lepiej – taka była przynajmniej teoria – nachylił się więc nad stalową muszlą i włożył dwa palce do gardła. Zaczął się dusić, ale nic z tego nie wyszło. Zawartość muszli chlupotała i bełtała się, wydzielając odrażający smród. Zaparł się o brzęczącą, blaszaną ścianę, żeby spróbować jeszcze raz, ale zaledwie przyłożył dwa mokre palce do warg, podłoga uciekła raptownie w bok, a potem wróciła nagle, by cisnąć go twarzą o drzwi. Wtedy autobus stanął i Marco miał wrażenie, że wszyscy zaczęli krzyczeć naraz.

Nie miał złamanego nosa, w każdym razie nie sądził, żeby był złamany, ale krew poplamiała podkoszulek i całkiem zniszczyła brokatową, złoto-czarną kamizelkę, którą znalazła mu Star w sklepie z używaną odzieżą w Ukiah. I to była wielka strata – i przykreść, prawdziwa przykreść – bo ta kamizelka stała się częścią jego tożsamości, jego znakiem szczególnym, najważniejszą częścią garderoby, która obwieszczała światu, kim jest jej właściciel i co zamierza z tą swoją tożsamością zrobić. Była *hip*, absolutnie *hip*, i oto uległa zniszczeniu. Ale to nic, pocieszał się, za pół roku będzie nosił skórę karibu, futro wilka, niedźwiedzia, gronostaja – a tak nawiasem mówiąc, co to jest gronostaj? Chyba coś w rodzaju łasicy?

Krew zaschła mu na wąsach i w kącikach ust; siedział na poboczu drogi, wycierał twarz i jednocześnie oganiał się od komarów, podczas gdy inni łazili bez celu, przyglądając się, jak Mendocino Bill i Tom Kriszna próbują zdjąć koło z rozerwaną na strzępy oponą – i oczywiście musiało to być wewnętrzne koło, czego innego można się było spodziewać? Naprawdę, w tym momencie było mu wszystko jedno, czy ma złamany nos, czy nie, nie zważał na krew ani na pulsujący, tępy ból w zatokach, a przede wszystkim nie pamiętał nawet, co robił w stalowej klatce toalety, ale podobnie jak wszyscy pozostali był tak sfrustrowany, że chciało mu się płakać. Według obliczeń Norma nie byli dalej niż trzy, cztery mile od Boynton, można było tam dojść pieszo – i nagle nastąpiło kolejne opóźnienie, pojawiła się jeszcze jedna przeszkoda odraczająca ten doniosły moment, gdy staną namioty i zaczną padać drzewa. Przespać się dla odmiany na ziemi, tylko o tym wszyscy marzyli. Dotrzeć na miejsce. Przybyć do celu. Usiąść wokół ogniska i być znów rodziną, a nie wędrownym cyrkiem.

Star początkowo siedziała przy nim, w chmurze atakujących ich z furią komarów, ale potem weszła do autobusu, żeby włożyć długie spodnie i kurtkę, poprosił ją też, żeby przy okazji wyjęła z jego plecaka płyn przeciw komarom. Teren był tu podmokły, bagnisty, ziemia tajała wiosną na głębokość dwóch stóp, ale woda utrzymywała się, bo nie mogła wsiąknąć w zamrożone warstwy pod spodem, i były to warunki idealne dla *Culex pipiens* i ich rojących się w wodzie larw. Komary dokuczały w letnie noce także w Connecticut, pamiętał to z dzieciństwa, były także na południu, w Luizjanie i na Florydzie, ale te tutaj – jego pierwszy kontakt z dziewiczą przyrodą Alaski! – to było coś zupełnie innego. Trzaskał dłonią po ramionach i po karku, a kiedy kichnął, chmara natrętnych owadów wyleciała mu z nosa, wibrującego jak dzwon, który właśnie przestał bić. Marco popijał spańadę z bukłaka – Alfredo załatwił gdzieś po drodze całą skrzynkę tego wina w wielkich, półgalonowych butlach – i z każdym łykiem powtarzał sobie, że musi zachować spokój, okazać cierpliwość, płynąć z prądem. Przynajmniej już go nie mdliło, to jedno miał z głowy.

Obserwował Star, jak wychodzi z autobusu razem z Merry, Mayą i Jiminym, i zauważył, że cała czwórka wygląda tak, jakby coś knuła. Star przebrała się w czerwone sztruksowe spodnie i w dżinsową koszulę z wyhaftowanymi na rękawach i na plecach znakami zodiaku – Strzelcem, Sagittariusem, który napinał łuk, jakby był gotów chronić ją od wszelkiego nieszczęścia. Podeszli do niego z triumfującymi, jaśniejącymi w promieniach słońca twarzami i z tego, jak Star trzymała skuloną dłoń, wywnioskował, że mesie nie tylko płyn przeciw komarom. Patrzył, jak poruszają się jej biodra, jak sandały ubijają pył drogi. Twarz miała spokojną, oczy jej lśniły. Posłała mu pogodny uśmiech renesansowej madonny – może była po prostu na haju? Może tylko tyle.

– Niech zgodnę – powiedział. – Nie możecie się doczekać, kiedy będziemy na miejscu, co?

Usiedli na trawie obok niego, miodny, znajomy zapach marihuany przesycił jej włosy i ubranie. Zaszleściły gniecione zioła i polne kwiaty – łubin, babka, coś, co wyglądało na mak – kolana Jiminy’ego zatrzęszczały, kiedy klękał, żeby wetknąć w piach pół tuzina kadzidełek.

– Zgadza się – przytaknął, pochylając się, by po kolei przytknąć płomień zapalniczki do spiczastych końców kadzidełek. – I zamykamy przed komarami tę świątynię, która jest także i wokół ciebie, dobry człowieku. Szczejnijcie, natrętne owady. A cała reszta świata niech się weseli i raduje.

– Niektórzy chcieliby iść pieszo – powiedziała Maya – żeby przy okazji zobaczyć miasto. No bo jesteśmy już tak blisko... Ale Norm jest przeciw. Nie uważa, żeby to był dobry pomysł.

Parę osób rzucało na drodze frisbee, krzycząc przy tym i hałasując, psy nawadniały zarośla, Norm chrypiał, gestykułował i szarpał brodę, a Pan, którego głowa z rzadkimi pasemkami włosów widoczna była tuż pod linią roślinności porastającej skarpe na przeciwległym brzegu, zarzucił wędkę. Ciemna powierzchnia rzeki, która płynęła tu wzdłuż drogi, lśniła matowo jak podszewka marynarki. Nie było żadnego ruchu. Tu nigdy nie było ruchu. Mogli biwakować spokojnie jak w Serengeti albo na kirgiskim stepie.

– Pieszo zaszedłbym w mgnieniu oka – powiedział Marco.

– Ja też – rzekł bez przekonania Jiminy.

Z kadzidełek zaczął ulatywać dym i w czystym, chłodnym, nieskażonym powietrzu rozszedł się ciężki zapach palonej hubki.

– Po prostu po to, żeby zobaczyć, rozumiesz? – ciągnął Marco, nie mogąc się powstrzymać. – Wyobrażam to sobie tak wyraźnie, że jak zobaczę naprawdę, to pewnie się rozczaruję. A może nie. Może będę przyjemnie zaskoczony. To się zdarza, prawda? Czy raz na sto przypadków nie zdarzają się przyjemne zaskoczenia?

– Nic nie jest takie, jak sobie wyobrażasz – powiedziała Star. – Umysł stwarza własną rzeczywistość i ta prawdziwa nigdy jej nie dorównuje. To tak, jak porównać normalny film z aktorami z kreskówką. – Siedziała tuż obok niego, trzymając w dłoni pożyczowaną, nakrapianą tabletkę, która wyglądała jak farbka do wielkanocnych pisanek.

– Albo książkę – wtrąciła Maya. – Jakby porównywać książkę do filmu.

– Nie wiem, chyba jednak posłucham Norma – powiedziała Merry, odchylając się do tyłu i opierając na łokciach.

Wyciągnęła nogi na drogę, jakby leżała w fotelu. Źrenice rozszerzyły się jej jak u kota. Miała na sobie meksykański szal, dzinsy i miękki kapelusz vaquero. Była boso, komary obsiadły jej brudne nogi. Marco zauważył, że pomalowała paznokcie u nóg, każdy na inny kolor, i choć nie był naćpany – przynajmniej na razie – uznał, że jeszcze nigdy nie widział czegoś tak pięknego, zastanawiał się też, dlaczego wszystkie kobiety tego nie robią. I właściwie wszyscy mężczyźni?

– No bo po co się śpieszyć? – rzekła Merry. – Nie możemy się porozkoszować widokiem nieba, polnymi kwiatami, rzeką? Spójrzcie tylko na to wszystko. Tylko spójrzcie.



Marco potraktował to jak rozkaz i spojrział w rozświetlony słońcem tunel drogi. Stał tam studebaker, a obok garbus, który wjechał na skarpę, ale nie było Dale'a Murraya i jego motocykla. I gdzie on się podziewał, kiedy człowiek go potrzebował? Można by jak nic dosiąść motoru, zajechać triumfalnie do Boynton i wrócić, zobaczyć rzekę, wjechać do wody, nawąchać się wiatru, alleluja, witaj, Boynton, Boynton albo śmierć! Lecz Dale'a nie było; zawrócił tego samego dnia, kiedy przekroczyli granicę kanadyjską, żeby zobaczyć, co stało się z Lesterem, Franklinem i Sky Dogiem, i już się nie pojawił. Marco odebrał to dość obojętnie, bo właściwie słabo znał człowieka i z całą pewnością nie mógł ręczyć za tych, z którymi Dale się zadawał. Dale Murray miał jednak dwie nogi i dwie ręce, a wiadomo było, że będą potrzebowali każdej pary rąk, żeby to wszystko jakoś złożyć do kupy – i miała upłynąć cała mroczna i długa epoka, zanim wytropią ich tu uciekinierzy z domów czy weekendowi hipisi i zasilą ich szeregi – to jedno było pewne.

Od strony autobusu docierały odgłosy ożywionego sporu między Mendocino Billem i Normem na temat niezawodności zapasowego koła.

– Jestem o nie spokojny – mówił Norm. – No jazda, zakładaj.

Star wcisnęła Marcowi tabletkę do ręki. Przyjął ją, zupełnie jakby był wytresowany – jeśli ktoś daje ci draga, bierze się go bez zbędnych pytań. Więcej, podniósł nawet rękę do ust i udał, że przelyka pigułkę. Swąd z kadzidelka uderzył go w nozdrza, słońce przyłożyło mu swą gorącą dłoń do karku. Nikt na niego nie patrzył – utkwili wzrok w autobusie, w Normie, w czarnym kole, które leżało w piachu niczym trup. Jeszcze nie dotarli na miejsce; myślał o tym nieustannie i nie zamierzał niczego celebrować, dopóki nie dotrą. Wsunął tabletkę do poplamionej krwią kieszonki zniszczonej kamizelki.

Star roześmiała się w odpowiedzi na jakąś uwagę Jiminy'ego, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem – nawet on, nawet Marco, choć nie miał pojęcia, z czego się śmieje i czy śmiech jest właściwą reakcją na sytuację. Było to nieważne. Dym snuł się z kadzidełek, krążek frisbee zawisł w powietrzu i tkwił tam nieruchomo jak cegła w murze, a oni leżeli wyciągnięci na poboczu i śmiali się, po prostu się śmiali, można by pomyśleć, że chaty są już zbudowane, drzewo na opał narąbane, płukanie złota idzie pełną parą, futra suszą się naciągnięte na ramach, spiżarnia zaopatrzona – bo nikt się tu niczym nie przejmował. Merry wręczyła Star skręta, Star pociągnęła, aż rozżarzył się do czerwoności, a potem podała go Marcowi. Wyjął go jej delikatnie z palców, przyłożył do ust i wchłonął słodkawy dym, tak jak już to robił wcześniej tysiąc razy. Wszystko zdawało się toczyć na zwolnionych obrotach, jakby ziemia zatrzymała się w swym pędzie, a skrawek nieba był wszystkim, czego kiedykolwiek potrzebowali. A potem dostrzegł kątem oka najbardziej leniwy i zwolniony ruch na świecie: z wąskiego skrawka błękitnawego cienia pod autobusem wynurzyły się psy i zaczęły się kręcić w kółko, tańcząc i przysiadając z gracją na tylnych nogach. Oba wbiły wzrok w drogę, a Freak zjeżył się i wydobył z siebie pojedyncze pytające szczeknięcie.

Daleko za zakrętem ukazał się pies – nie, to był wilk z kościstymi, chudymi nogami, które zdawały się sterczeć z ciała koślawo, jakby zostały przyszyte odwrotnie. Wilk biegnący drogą na Alasce. Marco zerwał się na równe nogi.

– Patrzcie! – zawołał. – Spójrzcie, to... – nie dokończył.

Zza zakrętu wyszło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Kroczyli lekko, mimo że dźwigali wielkie plecaki, zwierzę zaś nie było wilkiem, a w każdym razie nie wilkiem dzikim. Krążek frisbee opadł łukiem, ludzie powstawali zaciekawieni.

– Norm – odezwał się ktoś. – Norm.

Mężczyzna był wysoki, umięśniony, szczupły. Miał na sobie spłowiałą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami i wypchane na kolanach džinsy, tak wytarte, że džinsy Marca wyglądały przy nich na nowe. Włosy miał gęste, ostrzyżone na jeża. Szedł tak, jakby brał udział w jakichś zawodach, miarowo, energicznie, stukając butami w nawierzchnię drogi – czarna sylwetka na tle jasnej plamy dnia – i Marco nie potrafiłby powiedzieć, kim był: włóczęgą, pracownikiem stacji benzynowej, a może samym cygańskim mędrce z wiersza Matthew Arnolda. Kobieta – dwudziestokilkuletnia, z jasnymi włosami związanymi w koński ogon jak u cheerleaderki, w szortach, dzięki czemu można było podziwiać mięśnie jej łydek, uda i ruchomy zarys pośladków – podniosła rękę, jakby nie bardzo mogła się zorientować, czy autobus jest mirażem, czy rzeczywistością. Ku idącym wystrzeliła żółta smuga, łapy w galopie, napięte mięśnie – to Freak i Frodo pędzili prosto na nich, ale mężczyzna nie zwolnił kroku, a jego pies też się nie zawahał, spuścił tylko łeb i szedł dalej przy nodze pana. Żółte psy przez chwilę obskakiwały idących, wzbijając kurz, w końcu dystans zmniejszył się do zera i oto oboje stali między nimi na opustoszałej drodze.

Tom Kriszna był zajęty osią i opornym zewnętrznym kołem z wielką, żłobioną oponą, które właśnie w tym momencie wsunęło się gdzie trzeba, całując wymienione koło. Podniósł wzrok, spojrział w ciszę i zobaczył dwoje wędrowców z wypchanymi plecakami, obskalcujące ich psy i tuman kurzu.

– Hej – powiedział, wstając. – Jak się macie, bracie.

I wyciągnął rękę do serdecznego uścisku, do którego jednak nie doszło.

Mężczyzna patrzył na nich rozbawiony i zdziwiony, próbował ogarnąć spojrzeniem wszystkich naraz, słońce odbijało się w okularach Norma, Marco stał na poboczu zastygły w pół gestu, a Merry i Maya chichotały porozumiewawczo.

– Wy chyba nie jesteście... – zaczął nieznajomy i urwał. W jego głosie wyczuwało się niedowierzanie. – Chyba nie jesteście hipisami, co?

Norm wystąpił do przodu, wyglądał w swoim kombinezonie na potężnego faceta, pierścienie błyszcząły na palcach, na szyi pobrzękiwał mu dzwoneczek. Kozy na dachu autobusu zabeczały w daremny, beznadziejnie smutnym proteście; chciały zejść na dół, wydostać się z klatki, chciały przebyć drogę do Boynton, skubiąc trawę. Norm wyryczał swoje imię i nazwisko – „Norm Sender!” i wymienił konwencjonalny uścisk dłoni z nieznajomym, po czym zwrócił się do kobiety, ukazując w uśmiechu złoto i spróchniałe zęby.

– My jesteśmy Drop City, awatar pokoju, miłości i wyższej świadomości, przyjechaliśmy tu aż z Kalifornii, żeby zagospodarować ziemię mojego wuja Roya – Roya Sendera – nad cudowną, krystalicznie czystą rzeką Thirtymile. I bardzo nam wszystkim miło was poznać.

Mężczyzna podrapał się po głowie. Przenosił wzrok z twarzy na twarz, jakby rzucał piłeczką.

– A niech mnie cholera – powiedział w końcu. – Więc jednak jesteście hipisami.

Dziewczęta chichotały. Psy tańczyły.

– Tak – potwierdził Mendocino Bill. – I jesteśmy z tego dumni.

A potem do świadomości mężczyzny w spranej flanelowej koszuli najwyraźniej dotarło coś, co go całkowicie rozbroiło. Marco zobaczył, że nieznajomy wierci nerwowo stopą w jasnobrązowym pyłe drogi. Że jego czoło marszczy się, a uśmiech znika powoli. Wzrok nieznajomego znów prześliznął się po twarzach, a w końcu spoczął na Normie.

– Powiedziałaś: Roy Sender?

Tak właśnie powiedział: Roy Sender – ziemię Roya Sendera – i Sess usiłował zapanować nad swoją twarzą, ale i tak zdradziła go mowa ciała. Cofnął się o krok, żeby spojrzeć na nich z dystansu, i przeciągnął palcami po włosach. To wszystko było szaleństwem, czystym wariactwem, stronicą wydartą z jakiegoś magazynu – z „The Woodstock Nation”, „Sex, Drugs and Rock and Roll” albo czegoś podobnego – wydartą, przerobioną na obraz trójwymiarowy i wypełnioną ciałem, całą masą ciała, bo hipiski, które siedziały na poboczu, mogłyby być przedmiotem szalonych zimowych fantazji, a dwie z nich, mała blondynka i brunetka w kowbojskim kapeluszu, która siedziała z nogami wyciągniętymi na drogę, mogły znaleźć się na stronicach innego typu magazynów. Pomyślał o „Playboyu”, o „Dude”, o „Thirtymile”, (zaraz zaraz: „Thirtymile”?). Tymczasem wielki, brudny osobnik ze złotymi zębami – bratanek – zasypał go pytaniami: Kim są? Dokąd idą? Czy kiedykolwiek byli w Boynton? Czy łososie wyruszyły już na tarło? A co z jagodami? Czy jagody już dojrzały?

Sess zerknął na Pamelę zeszywniałą jak świeżo upieczony antropolog, który znalazł się nieoczekiwanie wśród niewłaściwego plemienia – łowców głów, zamiast spodziewanych wyplataczy koszyków. Nie uśmiechnęła się do nich nawet półgębkiem. Lucius też był nieufny – wycofał się za nogi Sessa, a tymczasem dwa żółte psy przebierały łapami i wyciągały ku niemu pyski. Z autobusu zaczęła się wysypywać reszta rodziny, cała niesamowita rewia straszdeł w kolorowych ciuchach, z dzwoneczkami, paciorkami, opaskami, w spodniach tak szerokich, że nie było widać stóp, i z włosami jak rzeka, tak że nie można było odróżnić mężczyzny od... choć owszem, można było, chyba że człowiek był ślepy. Domyślał się, że wszystkie dziewczyny musiały spalić staniki, aby zamanifestować swoją postępowość.

Ponownie uściśnął dłoń bratanka Roya, ale tym razem z własnej inicjatywy. Był oczywiście trochę przymulony, bo popijał cały dzień, rozpierała go też piekielna satysfakcja w związku z zatopieniem samochodu Joego, toteż przywołał na twarz uśmiech i przedstawił się:

– Sess Harder. A to moja żona Pamela. I mój nowy pies Lucius.

Do tej chwili odpowiadał tylko pomrukami albo skinieniami głowy na zadawane mu pytania, ale nagle się odblokował i zaczął mówić, że pstrąg królewski ruszył na tarło, że jagody dojrzewają i że był z Royem Senderem aż do dnia, w którym ten wyjechał. Właściwie to nawet pomógł mu w przeprowadzce.

– Naprawdę? – dziwił się Norm. – Bez kitu? Znałeś mojego wuja?

Sess nie powiedział mu, że Roy Sender był dla niego ojcem, kiedy zabrakło prawdziwego, ani że Roy nauczył go wszystkiego, co umiał, ani że Roy Sender nie był hipisem i nie mógłby nim zostać, bo wierzył tylko w samodzielność, życie na własny rachunek i po swojemu, bez względu na przeciwności losu, i że należał do tych, którzy woleliby się położyć i umrzeć, niż wyciągnąć rękę po pomoc od państwa. Nie powiedział mu o kojącym oddziaływaniu rzeki, o czystości powietrza, o wiecznej, niczym niezakłócanej ciszy, jaka tu panowała przy czterdziestu stopniach poniżej zera, ani o śniegu, który kładł się jak ręka dusiciela na gardzieli rzeki. Przytaknął tylko, a Pamela, która do tej pory milczała, zapytała krótko:

– To coś w rodzaju Washo Unified? Jakiś szkolny zespół?

Z autobusu wysiadła kobieta, czarne włosy zaplecione w mysie ogonki, surowa, stanowcza twarz, oczy, które pożerały człowieka, a potem go wypluwały. Mogła mieć trzydzieści, co najmniej trzydzieści lat, ubrana była w wyblakłą dżinsową koszulę i w coś pośredniego między spodniami a spódnicą. Była bosa. I brudna.

– Jesteśmy rodziną – powiedziała, podchodząc do Pameli i wyciągając do niej obie ręce. – Po prostu rodziną, to wszystko.

Pamela – i tu Sess musiał się uśmiechnąć, bo jego żona była taka życzliwa ludziom i urocza, bez odrobiny złośliwości – ujęła jej dłonie i przytrzymała je tak długo, na ile pozwalały zasady dobrego wychowania.



– Widzisz tego tam mężczyznę? – zapytała kobieta i wszyscy odwrócili głowy w stronę chudego śniadego osobnika bez koszuli, z bujną, patriarchalną brodą, który stał na brzegu rzeki i rzucał kamieniami. – To mój mąż. A tam – wskazała parę półnagich dzieci, które podskakiwały i biegały, lducząc wzdłuż brzegu, z dwiema współzawodniczącymi chmurami komarów nad głową – tam są moje dzieci. No a cała reszta? To moi bracia i siostry.

Bratanek najwyraźniej niecierpliwił się podczas tej przemowy, rzucał głową do tyłu i do przodu i przebierał obutymi w sandały nogami.

– Słuchajcie – rzekł. – Nie wiem, dokąd wędrujecie, gdzie macie zamiar dziś nocować i tak dalej, ale chciałbym powiedzieć, że przyjaciel wuja Roya jest moim przyjacielem i wobec tego czujcie się przez nas zaproszeni. Będzie nam niezwykle miło, jeśli pojedziecie z nami do miasta, a nasze zaproszenie obejmuje również uczestnictwo, wraz z pielgrzymami i towarzyszami podróży, w pierwszej dorocznej uroczystości z okazji powstania komuny Drop City Północ, uroczystości, jaka odbędzie się na brzegu potężnego Jukonu już dziś wieczorem, w blasku słońca, przy wtórze śpiewu ptactwa i radosnej muzyki niosącej się po całym lesie.

Pamela wyraziła wątpliwość, czy skorzystają z zaproszenia.

– Mamy dużo roboty – powiedziała. – I z przyjemnością przejdziemy się pieszo, naprawdę, to tylko kilka mil.

I wtedy jeden z hipisów, chłopak z bandaną, w koszuli poplamionej czymś, co wyglądało na krew, podał Sessowi bukłak, Sess zaś odchylił głowę i pociągnął zdrowy łyk, po czym podał bukłak Pameli. Rozejrzał się dokoła. Wszyscy hipisi szczerzyli do nich zęby. Bratanek wyglądał tak, jakby się wykąpał w śmietanie, polne kwiaty podrygiwały na swych łodyżkach, rzeka śpiewała. Samochód Joego Bosky'ego był w tej chwili zatopionym wrakiem – a może wyrzuconymi na brzeg szczątkami? Wargi Pameli lśniły od słodkiego wina.

– Jasne – rzekł Sess. – Jasne, że się z wami zabierzemy.

Bar Three Pup prezentował tę samą co zawsze obsadę – Skida Dentona, recytującego bełkotliwie do szklaneczki francuską poezję, Lynette, z założonymi na piersiach rękami opartą o ścianę za barem i gapiącą się bezmyślnie, Richiego Olivera i jego „nagrodę pocieszenia”, zalewających się po to, by przenieść się w inny wymiar, i mielących w zębach orzeszki, wolno, miarowo, jak dwa przeżuwacze. Żelazny Steve pochylał się nad stołem bilardowym, obok stał zwalisty, ostronosy mężczyzna, zapewne turysta, bo Sess go nie rozpoznawał, a Tim Yule, ze świeżą kapką u nosa i z papierowym goździkiem tkwiącym w butonierce od dnia ich ślubu, trzymał się kurczowo kija, który wyglądał, jak gdyby był wbity w podłogę. W barze śmierdziało tak jak zwykle, jakby ktoś napakował stary bucior mielonym mięsem, smażoną cebulą i popiołem z pieca i wystawił go na kilka dni na słońce. Grająca szafa rzygała zwykłym, monotonnym i jękliwym zaśpiewem ze środkowych Appalachów, komary znieruchomiały w powietrzu w szyku bojowym.

Sess wtargnął do środka jak huragan, z brzękiem i z impetem; jedną ręką trzymał dłoń Pameli, w drugiej dzierzył hipisowski bukłak z winem. Czuł się jednocześnie ociężały i lżejszy od powietrza. No i co z tego, że za nim wszedł do baru ten wielki i brudny wór, czyli bratanek Roya, razem z całą resztą? Przecież byli ludźmi, takimi samymi jak inni. Może tylko brudniejszymi. Bardziej leniwymi. Palili trawę i parzyli się jak psy. Ale świat się zmieniał – mężczyźni mieli włosy jak kobiety, kobiety nosiły spodnie jak mężczyźni i uwolniły cycki – i o co się tu było spierać? Przebudź się, Boynton, pomyśl, przebudź się i przyłącz do dzisiejszego świata. Ale nie myślał zbyt klarownie, a Pamela nie robiła mu wymówek – tylko jedno piwo, to wszystko, jedno piwo i zostaną na noc w szopie, a jutro skoro świt popłyną w górę rzeki i zostawią Wetzela Setzlera i całą resztę ojców miasta: niech się drapią po głowach i niech dociekają, co też ma znaczyć ten autobus pełen hipisów, którzy nie odróżniają łosia od karibu. Ani nawet zająca od amerykańskiego susła.

W szafie grającej Tammy Wynette ustąpiła Rogerowi Millerowi i piosence *King of the Road*. Sess nienawidził jej tak szczerze, tak strasznie, że za każdym razem, kiedy ktoś ją puszczał, a puszczała ją na okrągło, miał ochotę walić pięściami wszystko, co podejdzie. W krótkiej, wypełnionej sykiem przerwie między kolejnymi płytami wszyscy obecni, nawet Tim Yule, odwrócili się w stronę drzwi, bo do baru wkroczył, grmiąc donośnie, bratanek, za nim chłopak w poplamionej krwi koszuli i drobna blondynka, potem jakieś wyblakłe monstrum w brudnym kombinezonie i wreszcie cała obwieszona świecidełkami, rozświergotana procesja, która wypełniła bar, zanim Roger Miller zdołał się przetelepać od jednego ogłupiającego wersu piosenki do następnego.

– Kolejka dla wszystkich! – zahuczał bratanek, kładąc banknot na barze. – Pierwsza za zdrowie Roya Sendera – legendarnego Roya Sendera! Czy ktoś tu znał Roya Sendera?

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Wszyscy skupili się na piosence Rogera Millera, jakby byli w Carnegie Hall i słuchali Ojstracha. Tim Yule odchrząknął.

– Czy to są twoi przyjaciele, Sess?

Zamiast odpowiedzieć, Sess przeszedł przez bar do szafy grającej i dał jej kopniaka, igła podskoczyła i przejechała ze zgrzytem w poprzek płyty. Sess wysupłał ćwierć dolara, wsunął go w szczelinę i wybrał numer B-9, *Mystic Eyes*, do trzykrotnego odtworzenia. Lynette, która widziała już w życiu wszystko, a przynajmniej udawała, że widziała, zaczęła nalewać piwo i ustawiać kufle na barze. Zanim Van Morrison wszedł ze swoim „czarnym” głosem po przygrywce, wszyscy mówili naraz.

Piosenka była krótka, miała niewiele ponad dwie minuty, ale kiedy zabrzmiała po raz drugi, para hipisów zaczęła poru szać ramionami i szurać nogami, a przy trzeciej rundzie już tańczyli, odchylając łokcie i wywijając rękami uniesionymi nad głową. Bratanek porwał do tańca szczupłą blondynkę w butach na koturnach, która wyglądała jak amerykańska siostra bliźniaczka Twiggy, a mała dziewczyna, pięć stóp wzrostu, w ręcznie malowanej koszuli i bez zęba z przodu, złapała za rękę Żelaznego Steve'a i zaczęła hulać z nim po całym barze, potrącając innych tańczących. Sess wrzucił następną monetę i włączył tę samą melodię, znów do trzykrotnego odtworzenia. Skid Denton wydał z siebie jęk, Richie Oliver przyłożył palec do skroni i pociągnął za wymagany spust, do baru weszło jeszcze więcej hipisów, po czym wszyscy wysypali się z powrotem na parking, gdzie ktoś uruchomił wielkie kolumny w autobusie i potężny, roziskrzony potok niesamowitej gitarowej muzyki popłynął nad moczarami. Nikt nie słyszał tu czegoś podobnego od czasu ostatniej wizyty kosmitów, a Sess był wtedy zbyt mały, żeby to pamiętać.

– Sess! – wołał Skid Denton, przekrzykując hałas i wymachując pełną szklanką, jakby proponował wzniesienie toastu. – Skąd ty wytrzasnąłeś tych cudaków, ten cyrk braci Ringling?

– I Barnuma, i Baileya – odkrzyknął Sess. Wsunął rękę pomiędzy jakiegoś typka z cofniętym podbródkiem, porośniętym szczecina tak rzadką, że prawie nie było jej widać, i barczystą dziewczynę – a raczej kobietę co najmniej w wieku Pameli – której biust wyzierał w całej okazałości spod czegoś w rodzaju trykotu, i sięgając po drugie piwo, powiedział:

– Przepraszam.

Ale ona sięgnęła po butelkę jednocześnie i ubiegła go. Ujęła szyjkę kciukiem i palcem wskazującym, podniosła piwo do ust, pociągnęła długi odmierzony łyk i podała butelkę Sessowi.

– Siemasz – powiedziała.

Dostrzegł grubą warstwę tuszu na jej rzęsach. Z pewnością dziewczyna z wielkiego miasta, pomyślał. Co ona robi w barze Three Pup?

– Jestem Lydia – przedstawiła się. – A ty jesteś znajomym Norma, tak?

Norm? Kto to, do diabła, jest Norm? Uśmiechnął się, a facet z nieistniejącą brodą i Lydia odpowiedzieli mu uśmiechem.

– Tak – potwierdził mechanicznie. – Zgadza się.

Teraz jej twarz naprawdę się rozjaśniła.

– Chciałam ci tylko podziękować, w imieniu nas wszystkich, bo naprawdę nie wiedzieliśmy, jak ta cała podróż się powiedzie – to znaczy nie byliśmy pewni, czy to nie będzie tak jak w filmie *Easy Rider* albo *Joe* i w ogóle.

– Byliśmy tacy rozdygotani – dodał chłopak. Był jeszcze bardzo młody, dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, miał zbyt dużą głowę i za wąskie ramiona i oczy z siatką popękanych żyłek. Chciał dotknąć nadgarstkiem ręki Sessa, co było sekretnym hipisowskim uściskiem dłoni, ale przeszkodziła mu butelka, więc odchylił się i pokazał tylko dwoma palcami znak zwycięstwa. – Pokój, bracie – powiedział i natychmiast zaczął monologować o tym, jak to zawsze marzył, żeby ustrzelić łosia i sprawić go, no i niedźwiedzia, i mieć niedźwiedzią skórę na podłodze, i złowić królewskiego łosiosa i dać go do wypchania – no wiesz, żeby zawiesić nad kominkiem – i czy on, Sess, wie może, gdzie są łosie o tej porze roku, na wzgórzach czy raczej nad rzeką, czy jak?

Dudnienie basu dawało efekt tarcia: podłoga uciekała w jedną stronę, Sess przesuwał się w drugą, nawet kiedy stał całkiem nieruchomo. Spojrzał na drugi koniec sali, gdzie Pamela siedziała przy stoliku z kobietą z mysimi ogonkami, wymachiwała kuflem i coś recytowała. Potem włączyła się kobieta – wszystko to wyglądało wśród panującego hałasu jak pantomima – a Pamela natychmiast coś odpowiedziała. Hipisi wpadli w trans: wciąż wsuwali monety do grającej szafy i jedyną piosenką, jaką puszczała – piosenką wieczoru, prawdziwym hymnem – był utwór *Mystic Eyes*. Zrobili sobie z tego żart. Zabawę. Piętnaście razy, dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Tańczyli, przytupywali i wychylali kolejne piwa, szklaneczki miętówld i innych trunków, jakie się tylko nawinęły. Wszystko było ruchem, hałasem i jednym wielkim barwnym wirum koszul, kurtek i furkoczących w tańcu nogawek spodni.

Spacerowaliśmy  
po starym cmentarzu,  
spojrzałem na ciebie...

Sess chciał odpowiedzieć chłopakowi – chciał mu wyjaśnić, że teraz jest sezon na ryby, nie na zwierzyń, i że przeciętny łoś jest wyższy niż którakolwiek z chat nad rzeką, i że wobec tego kalifornijski hipis z cofniętym podbródkiem, sflaczałymi bicepsami i przekrwionymi oczami prędzej się skicha, niż uda mu się upolować to zwierzę – ale nie zdążył i zdecydowała o tym Lynette. Wyszła zza baru niczym przemyskający cień jakiegoś ogromnego stwora i wyszarpnęła sznur z gniazdka za grającą szafą. Muzyka się urwała. Wszyscy znieruchomieli.

– Macie stąd natychmiast wyjść! – zawołała histerycznym, zduszonym falsetem, co zabrzmiało tak, jakby chciała kontynuować piosenkę w jakimś wyższym, niebotycznym rejestrze. – Wszyscy, wynocha stąd! I to już! Jak myślicie, że wysłucham tego gównianego rock and rolla jeszcze raz, to chybaście zwariowali. A teraz wynosić się! Wszyscy! Bar jest za mną i ty.

Z zewnątrz, z parkingu, nad którym zawisała chmura komarów, docierały dźwięki hipisowskich gitar, lepiej słyszalne teraz, gdy szafa zamilkła. Była to muzyka posępna i pełna zadumy, każda nuta brzmiała tak, jakby była wydobywana z jakichś zakamarków, podnoszona i oglądana ze wszystkich stron, zanim pojawiła się następna i kolejne. Sess stał nieruchomo w tłumie, a potem ruszył odruchowo w stronę drzwi, ku tej przepojonej smutkiem, roziskrzonej, wyszarpywanej z trzewi muzyce przyciągającej zawartą w niej obietnicą. Wysączył do końca swoje piwo. Instynktownie wyczuwał obecność Pameli u swego boku. Stali przed barem, powietrze miało słodkawy, charakterystyczny dla nadrzecznych terenów zapach, zapach rzeki zasilanej wodą z topniejących śniegów. Hipisi tańczyli jak księżycowe łąziki w rytmie narkotycznej, powolnej melodii. Lucius zaczął obwąchiwać jego skuloną dłoń i Sess uświadomił sobie, że nie nakarmił psa od czasu, kiedy zabrali go ze schroniska – było to karygodne zaniedbanie z jego strony.

– Chodźmy, Sess – powiedziała Pamela, popychając go w kąt werandy, gdzie zostawili plecaki wyładowane bezami, marynatami i całą resztą bzdur, bez których najwyraźniej nie mogli żyć. – Pora iść. Jutro jest wielki dzień. Ogród, pamiętasz? Te bale, które trzeba okorować? Łososie?



W tym momencie napotkał wzrok Lydii, kobiety, która wcześniej łyknęła piwa z jego butelki. Teraz obrzuciła go przeciągłym, taksującym spojrzeniem oczu barwy kwiatów łąbinu rosnącego przy drodze; pojedynczy ukośny promień słońca oświetlał jej twarz i Sess pomyślał, że ktokolwiek ją zmajstrował, ktokolwiek wyciągnął geny z rodzicielskiego kapelusza, na pewno ich nie skąpił. Ale brunetka w kowbojskim stroju zahaczyła ramieniem ramię Lydii i zaczęły wic się w wężowym tańcu, co na Sessa podziałało tak, jakby ktoś mu oblał spodnie z przodu gorącą oliwą.

– Hej, Sess, pamiętasz jeszcze swoją żonę?

Zamrugął oczami i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Podoba ci się to widowisko?

– Z pewnością nie wydają dużo pieniędzy na bieliznę.

Objął ją w talii. Nuty łamały się i pękały jak bańki, bańki z aluminium, cyny, twarde, metalowe bańki wytwarzane przez jakąś maszynę gdzieś w krainie hipisów i wyrzucane przez hipisowskie głośniki ukryte w głębi hipisowskiego autobusu. Co to było? Jak to oni mówili? Odlot. To było odlotowe. W drzwiach ukazał się Skid Denton z dwiema dziewczynami o anielskich twarzach, parując z nimi zawzięcie po francusku.

– Nie – powiedziała Pamela, przytulając się do niego; czuła się świetnie, nie miała pretensji, a noc była jeszcze młoda.

– Nie, chyba naprawdę nie wydają.

Pojawił się Żelazny Steve, zgarbiony, z głową pochyloną, by lepiej chłonąć to, o czym rozprawiała mała dziewczyna bez zęba.

– A tak – powiedział do niej. – Tak, robi się zimno, kurde, naprawdę zimno.

I nagle Sess stwierdził, że trzyma w dłoni jeszcze jedno piwo, choć jednocześnie próbował pomóc Pameli założyć plecak.

Szafarzem piwa był bratanek; stał przed nimi w złamanych okularach, błyskając złotymi zębami, i ścisnął między palcami jeszcze dwie butelki, z których jedną wręczył Pameli, a drugą zatrzymał dla siebie. Pociągnął zdrowo, aż piana opryskała mu brodę.

– Wiesz co? – powiedział, odrywając butelkę od ust i uśmiechając się szeroko. – Podoba mi się twój gust muzyczny.

Sess odwzajemnił uśmiech i przyklęknął na jedno kolano, żeby Pamela mogła mu pomóc z plecakiem.

– Tak, ale Lynette... musicie jej wybaczyć. Ona jest tu nowa. Pochodzi z Seattle. Chyba wstała dziś lewą nogą.

– To był dynamit! – powiedział bratanek, orząc palcami w brodzie, jakby coś tam zgubił. – Ile razy to puszczaaliśmy? Chyba z pięćdziesiąt? Ale słuchajcie, ja mówiłem poważnie o tym zaproszeniu; cipki coś ugotują, uwiną się w godzinę, no wiecie, to była długa i ciężka podróż, więc po prostu musimy to uczcić i urządzić dziś imprezę jak się patrzy. Żadnych frykasów, zupa z soczewicy, ryż i jarzyny. I wino. Słodkie czerwone wino. – Pociągnął znów piwa i spojrzał na podświetlone od tyłu drzewa.

– Zamierzacie tu dziś nocować?

Bratanek wzruszył nagimi ramionami, polery tymi komarami jak futrem.

– Jasne. Czemu nie?

– Ale chata Roya... – zaczął Sess i urwał.

Jak miał mu uświadomić złożoność sytuacji, wytłumaczyć, że w niezamieszkaney od dawna chacie może spać najwyżej pięć, sześć osób, przestrzec o zdradliwości Jukonu, który niósł masę szlamu i który – jeśli dało mu się szansę – mógł w mgnieniu oka wciągnąć człowieka razem z jego dobytkiem? Jak miał powiedzieć o braku podstawowych wygod? Co ci wszyscy ludzie zamierzali jeść? Gdzie chcieli kupować swoje różowe szminki i kosmetyki, i dzbany słodkiego wina, swoje prochy, trawkę i całą resztę? I czy on, Sess, rzeczywiście chciał mieć sąsiadów, i to całą trzydziestkę, a nawet więcej, nad swoją rzeką, na rzut kamieniem od swoich sideł?

– To bardzo daleko – wtrąciła się Pamela. – Co najmniej trzy godziny drogi łodzią.

Bratanek zadarł brodę, a potem ją opuścił. Jego ręka wyglądała jak wielka i miękka trzepocząca ćma, kiedy podnosił piwo do ust.

– Och, ja się orientuję, orientuję się – powiedział. – Znam tę okolicę, chociaż upłynęło jakieś... Jezus, to już dwadzieścia lat? O Boże, dwadzieścia lat, możecie w to uwierzyć?

Zaczął się śmiać sam do siebie, trzęsły mu się blade otłuszczone ramiona, szelka kombinezonu ześliznęła się, odsłaniając trójkolorowy tatuaż – postać z kreskówki, zaraz, zaraz, z jakiej? Z Disneya. Długonogiego jelonka z wielkimi jak spodki oczami. Sess przywołał w pamięci obraz z dzieciństwa: matka w różowej sukni i siostra z ręką zanurzoną głęboko w kartonie ze specjalnym maślanym popcornem. Bambi. Ten człowiek miał jelonka Bambi wytatuowanego na ramieniu. Sess nigdy nie widział czegoś podobnego. Widział kotwice, sztylety, trupie czaszki, widział serca przebite strzałą i kapiącą krew, wyblakłe imiona żon, sympatii i byłych kochanek, orła z rybą w szponach, ale Bambi?

– Nie jestem taki zielony – mówił tymczasem bratanek – i mogę wam powiedzieć, że wiem co nieco o tej krainie, bo przeżyłem tu trzy letnie sezony i większą część dwóch zim z moim wujem, kiedy byłem mały, co nie znaczy, że nie będę musiał się wielu rzeczy nauczyć. Będę musiał, na pewno. Ale mamy trzy łódki na dachu tego autobusu – Sess odwrócił głowę, żeby spojrzeć na wielkie, żółte pudło na kołach i jego wzrok natrafił na tępe, wąskookie pyski pary kóz, które same mogłyby być modelami do postaci z kreskówek – a poza tym zawarłem układ z tym pilotem, Joem Boskym, znacie go?, że przetransportuje w trzech partiach ludzi i rzeczy w górę rzeki, włącznie z narzędziami i podstawowym sprzętem, bo oni wszyscy, wszyscy moi bracia i wszystkie siostry, muszą się trzymać razem, rozumiesz? Bo, wiesz, oni myślą, że to kraina mlekiem i miodem płynąca, ale ja wiem lepiej...

Ciągnął tak jeszcze przez chwilę, a Sess i Pamela stali jak na sali wykładowej, tyle że oganiali się od komarów i pociągali z butelek, a z góry spadała na nich ulewa urywanych brzęczących dźwięków muzyki. Do bratanka podeszła chuda blondynka z ustami wymalowanymi różową szminką i otoczyła go ramieniem, jakby był boją na rozkołysanych czarnych wodach.

– A więc pomyślałem sobie – zakończył w tonacji mowy pożegnalnej – że podjedziemy gdzieś na brzeg rzeki i rozbijemy tam na noc obóz, a w ciągu kilku najbliższych dni...

Ale gdzie podjadą, chciał zapytać Sess, bo nad rzeką nie było cała kwadratowego wolnej ziemi. Nie można było kupić, wyblagać ani ukraść najmniejszej parceli w Boynton od czasu, gdy federalni wprowadzili w życie Ustawę o Roszczeniach Indian, a jeśli tylko postawiło się stopę poza obrębem miasta, człowiek znajdował się na terenach państwowych – i Wetzel Setzler, miejscowy cichy współpracownik służb leśnych, mógł się nieźle wkurzyć. Ponadto taki autobus pełen długowłosych w orientalnych szatach nie wzbudziłby pewnie przyjaznych uczuć w żadnym człowieku, na którego prywatny teren próbowaliby wkroczyć. Poza tym już spiknęli się z Joem Boskym, najgorszym miejscowym mętem, i to był kolejny argument przeciw nim. Bez względu na to, jak się na rzecz spojrzęło, nie wyglądało to zbyt pięknie.

Bratanek ciągnął piwo i szczyrzył zęby. Nad cierniową koroną, jaką tworzyły jego tłuste niestrzyżone włosy, zawisła aureola owadów – wyglądał tak bezradnie jak pisklę, które dopiero co wykluło się z jajka.

– No i co na to powiesz, bracie? Jesteś z nami?

Sess spojrział na Pamelę. Posłała mu spojrzenie, które mówiło: „Chodźmy do domu i załadujmy łódź”. I miała rację powinni byli popłynąć w górę rzeki, wypatroszyć i wysuszyć łososie, jeśli chcieli mieć ryby na zimę, powinni byli zająć się warzywami, ściągnąć drzewo, dobudować nową izbę i zainstalować w niej piec i małe stoliki, broń Boże nie zapomnieć o małych stolikach. A jednak, przypomniał sobie Sess, stoi oto przed nim, w swoich sandałach i z brodą jak u jednego z zaginionych proroków, bratanek, krew z krwi i kość z kości Roya Sendera, a to należało uszanować, choćby ze względu na samego Roya. Zanim zdążył się zastanowić, powiedział głosem naoliwionym niezliczonymi piwami i słodkim hipisowskim winem, które krążyło w jego ciele po swych szlakach, wywołując szum i dzwonienie w uszach:

– A może byście rozbili obóz na moim terenie?

# Część piąta

## Drop City Północ

Hej, Bungalow Billu, co dziś ubiełeś?

John Lennon, Paul McCartney, *Niekończąca się*

*historia Bungalow Billa*

## 22

Jiminy kuśtykał po wyrębie z ręką na brudnym temblaku; wyglądał tak, jakby upadło na niego drzewo, ale w rzeczywistości nic na niego nie upadło, a temblak został sporządzony z dwóch wystrzępionych bawełnianych szmat, które były kiedyś rękawami czyjejś szkolnej bluzy, no bo komu potrzebne rękawy, kiedy słońce świeci dwadzieścia cztery godziny na dobę? A czy ręka jest złamana? Nie. Na pewno? No jasne, bracie. Wiedziałbym przecież, gdyby była złamana. Więc co się stało? Jest zwichnięta i to wszystko, bracie. Po prostu zwichnięta.

Pan nie oskarżał go bynajmniej o wymigiwanie się od roboty, zważywszy, że wszyscy sprawni fizycznie ludzie, jacy byli w zasięgu wzroku, obalali sześć tysięcy drzew dziennie, a Alfredo krążył wśród nich, wyrzaskując polecenia zupełnie jak ten kutas zastępca kierownika, który wyciskał z nich siódme poty w szkole, Norm zaś, ten luzak Norm, wybuchał jak wulkan co trzydzieści siedem sekund. Jeśli Jiminy zwichnął rękę, bark, łokieć czy cokolwiek to było i demonstrował fioletowy siniak, który wyzierał niczym znamię spod nogawki obciętych džinsów, to było zrozumiałe, że nie pracował. Zwłaszcza że Ronnie był przy tym, kiedy zdarzył się wypadek.



Wszyscy zjedli właśnie wieczorny posiłek (brązowy ryż z groszkiem konserwowym i kawałkami tłustego łososia z rzeki Thirtymile – ach, i Bogu niech będą dzięki za ostry sos *spiracha* w butelce o ekonomicznych rozmiarach) i teraz grupka ludzi zajęła się aluminiową łodzią, którą wuj Norma pozostawił, kiedy przeniósł się do Seattle. (Było dziwne, wręcz niepojęte, że zostawił *wszystko*, począwszy od butów, starannie poskładanej, zażółconej moczem bielizny i zbioru pornograficznych zdjęć, a skończywszy na strzelbie Winchester i pistolecie Smith & Wesson w wytartej kaburze z czarnej skóry, wiszącym na haku na ścianie, choć Norm przysięgał, że wuj był starym człowiekiem chorym na raka prostaty i nie zamierzał tu wracać. Nigdy. Nawet przy piecu zostawił papier na rozpałkę i zapalki, żeby były pod ręką. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zostawił wszelkie dobra i wartościowe przedmioty, włącznie z dwoma myśliwskimi nożami, przy których Sears Roebuck Marca wyglądał tak jak noże, które rozdawali skautom do ćwiczeń w struganiu? Bo taki był tu zwyczaj – tak przynajmniej utrzymywał Norm. „Zostawia się chatę zaopatrzoną i gotową do zamieszkania dla następnego i jest to nie tyle, rozumiecie, kwestia uprzejmości, ile kwestia przeżycia. A poza tym po co mu nóż myśliwski w domu starców?” Okej. No tak. Jasne. Kropka).

Jiminy chciał płynąć łodzią. Tak samo Merry. Mendocino Bill, ten opchany ryżem wielki wór, usadowił się na rufie i zapuszczał silnik, Verbie, Angela i Maya siedziały ściśnięte na środkowej ławce, a Niesamowity George sterczał na dziobie.

– Jest jeszcze miejsce dla jednego – oznajmił Bill.

Silnik zassał z powrotem cienką błękitną smużkę spalin. Wszyscy mordowali się przez cały dzień, zwalając drzewa, odrąbując gałęzie i przedzierając się przez zarośla, atakowani przez komary, złani potem, a teraz puścili w obieg skręty, resztki lepkiego czerwonego wina i napelnione powtórnie przez Toma Krisznę bladozielone dwulitrowe dzbany musującego piwa własnej produkcji, które wyglądało jak olej silnikowy i miało podobny smak. Psy szczekały, kozy beczały, ludzie rozsiedli się na pieńkach z gitarami, książkami i sznurami jasnoniebieskich paciorków, w których odbijało się i załamywało światło, gdy nawlekali je roztańczonymi, skąpanymi w słonecznym świetle palcami.

– Kurwa, Jiminy, ja byłam pierwsza – powiedziała Merry.

– Nie, ty popłyniesz w drugiej turze. Teraz moja kolej – odparł Jiminy i od tej chwili napięcie zaczęło rosnąć.

Jeśli chodziło o Pana, było mu dość obojętne, kto popłynie łodzią, a kto nie. Czuł się świetnie, wprost znakomicie, przymulony szczyptą jasnego libańskiego haszu, który sprzedał Alfredowi trzy razy drożej, niż sam zapłacił, i po słodkim winie, którego magia zaczynała działać, robiąc istne cuda z potężną porcją ryżu wypełniającą mu brzuch. Był opalony na brąz. Mięśnie mu stwardniały od wiosłowania, rąbania, dźwigania, wyciągania z rzeki sieci pełnej ryb i zarzucania przy brzegu srebrnego trzycalowego błysku na szczupaka – i to wielkiego północnego. Nie mógł w to uwierzyć. Wielki północny szczupak. Złapał ich w wolnym czasie dwanaście czy trzynaście sztuk, bez najmniejszego wysiłku, zupełnie jak w czasopiśmie „Na polu i w strumieniu” i „Życie Przyrody”, które pochłaniał w dzieciństwie. I co z tego, że ryby miały dziewięćdziesiąt procent ości? Cipki ugotowały zupę rybną, gulasz z ryb, owsiankę z rybami i przyrządziły szczupaka à la *meuniere*. Dla mięsożerców zaś – a ich grupa powiększała się z dnia na dzień – przynosił kaczki, gęsi i pardwy. Kiedyś przyniósł nawet dwa chude, ociekające wodą piżmaki, których nie jadł nikt oprócz niego i Norma. Ich mięso było ciemne i tłuste, z lekkim posmakiem martwych owadów i butwiejących gałązek. Jeśli chodziło o łódź, miał pierwszeństwo, mógł z niej korzystać, kiedy chciał – „Pan łowi z łódki”, tak powiedział Alfredo podczas jednej z niekończących się narad, które teraz odbywały się co drugi dzień – bo Ronnie był etatowym rybakim i myśliwym, podczas gdy Marco, Bill, Norm i reszta przeobraziła się w architektów i inżynierów budowlanych.

– Mógłbyś mi ustąpić – mówiła Merry podniesionym głosem; była bliska płaczu i tak rozżalona, że wymawiała niektóre spółgłoski, jakby miała zapalenie zatok. – Tylko o to cię proszę, a ty jesteś samolubnym fiutem, wiesz? Rozumiesz, Jiminy? Jesteś palantem. W ogóle cię nie obchodzę. Dbasz tylko o siebie.

Ronnie siedział na brzegu zanurzony w morzu polnych kwiatów. Gruboziarnisty piach chłonił słoneczne ciepło i oddawał je, grzejąc mu boki i stwardniałe podeszwy bosych stóp. Odczuwał głęboki spokój, spokój, jaki ogarnia człowieka, kiedy po całym dniu pracy na świeżym powietrzu wypali skręta i zje podwójną porcję ryżu z łososiem. Patrzył na Jiminy'ego tańczącego wokół Merry, jakby był Zeusem spoglądającym na świat z Olimpu. Łódź kołysała się na falach, woda dzwoniła o blaszaną burtę. Kłócąca się dwójka walczyła o miejsce w motorówce, balansując na ruchomej kłodzie, której używano jako wielofunkcyjnego mola. Głos Mendocino Billa przebił się przez zasysania i parskania silnika:

– No przestańcie, na rany Chrystusa, co wy, macie po sześć lat czy jak?

Jiminy odepchnął Merry, ona nie pozostała mu dłużna: zamachał rękami, twarz mu się skurczyła, stracił nagle grunt pod nogami i runął niezdarnie na dno łodzi, z takim impetem, że siedzący w niej ludzie wpadli do rzeki. Dziewczyny natychmiast wystrzeliły z wody jak z procy, bo była niewyobrażalnie zimna, zimniejsza, niż mogło się komukolwiek śnić w Kalifornii. Mendocino Bill, krztusząc się, parskając i klnąc, wynurzył się z ociekającą brodą, spod mokrych włosów przeświecała mu łysina na ciemieniu. Obok Niesamowity George walił rękami w wodę jak trzepaczka do ubijania piany i usiłował znaleźć punkt oparcia na śliskich ruchomych kamieniach łożyska rzeki. Merry zdołała się uchylić przed bryzgiem wody, wczepiła się w kłodę palcami nóg, zupełnie jakby to były palce rąk, a potem odwróciła się, wyskoczyła zgrabnie na brzeg i odeszła przez łąkę bez słowa przeprosin.

Ale Jiminy... Jiminy wyszedł z wody ze zwisającym bezwładnie ramieniem, a kiedy minął pierwszy szok, odnalazł Rebę, która zrobiła mu temblak i orzekła, że ręka jest prawdopodobnie złamana. Reba nie odróżniała kości promieniowej od łokciowej, ale była w Drop City wielkim autorytetem medycznym, ponieważ porzuciła w połowie pierwszego roku naukę w liceum dla pielęgniarek i operowała swobodnie takimi nazwami jak zgłębnik i szpatułka. Kiedy ktokolwiek przyszedł do niej z czymkolwiek, natychmiast sięgała po mały czarny nesaser z podstawowym zestawem medycznym. Pewnego dnia, kiedy Reba była nad rzeką, Pan zajął do niego w nadziei, że znajdzie tam coś interesującego, czego braku Reba może nie zauważyć – na przykład morfinę. Albo demerol. Ale były tam tylko rzeczy naprawdę podstawowe: igła z nicią do szycia ran, maść rtęciowa, gaza, termometr doodbytniczy. A więc wracając do Jiminy'ego, chłopak nie udawał ani trochę. Właściwie nikt by się nie dziwił, gdyby jego ręka okazała się złamana w osiemnastu miejscach, po tym jak zabrała się do niej Reba.

Tak naprawdę Ronniego bardziej interesował silnik łodzi i to, czy zapali z zamoczonymi świecami i wodą w przewodzie paliwowym, a także to, co zrobią, jeśli nie zapali. Wiedział, że Jiminy wydobreje, ale ten silnik Johnsona był czymś kluczowym dla egzystencji Drop City, mechanicznym mułem, który nosił na swym grzbiecie każdy najmniejszy drobiazg w górę rzeki. A jednak Ronnie nie podniósł się z piasku, dopóki łódź nie była gotowa i dopóki wszyscy nie skłębili głównych aktorów incydentu tak gruntownie, jak to było możliwe w tych okolicznościach. Kiedy zaś wreszcie się podniósł, to nie po to, aby biadolić nad zwojem mokrych przewodów i linką rozrusznika, która nie wyzwalała nic oprócz uporczywego krztuszenia, i nie po to, aby Bill zanudzał go na śmierć opowieściami o innych typach silników, jakie znał i kochał, a Tom Kriszna wygłaszał stosowny cytat z *Bhagawadgity*. Nie, ku swemu własnemu zaskoczeniu poszedł wolnym krokiem za Merry, z zamiarem uspokojenia jej i być może zaskarwienia sobie jej łask, bo Star była teraz z Markiem – mieszkali w kopulastym namiocie na stoku za na wpeł ukończoną chatą, która miała być nowym miejscem zebrań Drop City – Lydia zaś wróciła wraz z kilkoma innymi siostrami do Boynton, spała w autobusie i pilnowała spraw tam, w miasteczku. Poza tym wybór był naprawdę niewielki. Maya, pomijając już to, że nie grzeszyła urodą, roztyła się od ciągłego jedzenia różnych papek, a poza tym wyskoczyły jej na twarzy jakieś pryszczki i skóra zaczęła się łuszczyć (wyglądało to tak, jakby myła talerze policzkami, a nie rękami), Premstar była własnością Norma, przynajmniej na razie, a Verbie i jej siostra pozostawały wyłącznie rezerwą „na czarną godzinę”, przynajmniej dla Pana. Jak to szła ta piosenka? „Ożeń się z brzydulą?”. Uch, nie ma mowy. Nie przy podejściu Pana do sprawy.

(Jeśli chodziło o pozostałe cipki z Drop City – Louise, Dunphy, Erikę i Rain – żadna nie była w jego typie, reprezentowały szkołę smętnych śpiewów przed śniadaniami, obiadami i kolacjami, miały owłosione nogi, wydzielaly jakiś cierpki zapach i były skryte jak złodziejki, chyba że rozmowa zesła na temat ruchu wyzwolenia kobiet, wtedy zapalały się jak Verbie. Poza tym były wszystkie zaangażowane, a jedyna znośna dziewczyna z tej grupki – Erika – mieszkała w namiocie z Niesamowitym George’em i Geoffreyem i cała ta trójka dymała się w przeróżnych konfiguracjach. Pana mogło to fascynować na poziomie abstrakcji, ale ani myślał o praktycznej realizacji czegoś podobnego).

Znalazł Merry za starą chatą, tą, którą zbudował wuj Norma sam, za pomocą siekiery, piły i dwóch sękatych rąk. Siedziała na ziemi, z rozstawionymi nogami, włosy zasłaniały jej twarz. Wzburzenie minęło, nic się nie stało, nikomu prócz Jiminy’ego nie stała się krzywda, ale przecież sam się o to prosił. Świeżo okorowane żółte bale na budowę świetlicy lśniły w słońcu, kozy beczały i napinały sznurki. Usiadł koło niej i objął ją ramieniem.

– Hej – mruknął.

Małe włoski lśniły na jej nogach. Pachniała dymem z ogniska, gotowanym ryżem, rzeką.

– Jiminy potrafi być czasami takim palantem – powiedziała.

Chciał jej przytaknąć – „Zgadza się, to palant, dlaczego nie zainteresujesz się mną?” – ale milczał. Przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać jej włosy.

– Daj spokój – powiedział. – To drobiazg – wszyscy są trochę napięci i tyle. Kiedy już zbudujemy domy, kiedy wszystko urządzimy i złapiemy oddech...



Wciskał jej kit i zdawał sobie z tego sprawę, ale tego wymagały okoliczności – czymże innym miał się posłużyć, logiką?

Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego z ukosa.

– Nie wyglądasz na napiętego. Powiedziałabym, że wprost przeciwnie.

Teraz uśmiech, no tak, kurczę, tu mnie masz.

– Jasny libański – rzekł – ale nie mam dość, żeby obdzielić całą paczkę, a wiesz, jak oni reagują na sam zapach, jak psy, zwłaszcza Jiminy i Tom Kriszna... – Urwał, żeby to, co powiedział, dotarło do niej jako coś bezspornego, po czym wykorzystując moment, wysunął najwspanialszą w świecie sugestię: – A może byś zajrzała na minutkę do mojego namiotu?

Namiot był cukierkowo pomarańczową jedyką, którą ktoś zostawił w jednym z załadowanych po brzegi schowków w Drop City. Pan wszedł w jego posiadanie, kiedy rozładowywali autobus, ponieważ wtedy nie potrzebował niczego większego, gdyż akurat z nikim nie sypiał – a poza tym dawało mu to trochę prywatności i miejsce, w którym mógł trzymać swoje rzeczy. Rozbił namiot o dwieście jardów od głównego domu, na łasze piasku, i nie, nie obawiał się niedźwiedzi, grizzly ani innych, bo spał ze strzelbą Springfield, z której zastrzelił samę w Kalifornii, winchesterem, który zostawił wuj Norma, nie mówiąc o pistolecie Magnum.44, który nosił przy sobie cały czas. Niech no tylko niedźwiedź wetknie łeb do namiotu. Niech tylko spróbuje!

Było gorąco. Ręka Merry spoczywająca w jego dłoni była wilgotna. Połowa plemienia zamknęła się w chacie i dłuwała między palcami nóg, słuchając czytanej na głos *Rzeźni numer pięć*. Dym ulatywał z rury od pieca, na którym grzała się w dużym rondlu woda do zmywania. Pan i Merry widzieli ich, jak wchodzili do środka – przygarbieni, ze spuszczoneymi głowami, powłócząc nogami – i był wśród nich Marco. I Star. Oczywiście nie zrobiło to na Ronniem wrażenia, książkę czytał już dwa razy, a poza tym i tak wolałby łowić ryby. Albo pieprzyć. To znaczy taki byłby ideał.

Zerknął ukradkiem na Merry. Jej twarz miała neutralny wyraz: podbródek wysunięty, oczy zmrużone przed słońcem. Włosy poruszały się przy każdym kroku, rozwiewały się i opadały na przemian. Szli ze splecionymi palcami. Zobaczył psy, dwie ogniste smugi, walczące na werandzie o kość w promieniach słońca, słyszał wrzaski dzieci Reby gdzieś nad rzeką, gdzie Mendocino Bill i Tom Kriszna próbowali zrobić coś z silnikiem, który warczał i dygotał, ale opierał się próbom pobudzenia go do życia. Żaden z nich nawet nie podniósł wzroku, kiedy Pan prowadził Merry brzegiem rzeki do namiotu, który stał, zwiotczały, na tle strzępiastej linii drzew.

W środku było tak ciasno, że musieli usiąść w pozycji jogi. Dotykali się kolanami, ręce spoczywały bezwładnie na udach. Ale Pan, Pan przystąpił od razu do rzeczy, wykręcił się górną połową ciała, żeby wygrzebać fajkę, zapalki, cynfolię, hasz i żyletkę, które trzymał w foliowym woreczku schowanym w kieszeni plecaka.

– Uwielbiam szum rzeki – powiedziała Merry tylko po to, żeby zacząć rozmowę, rozmowa bowiem wypełniała pustkę, kiedy ktoś przygotowywał dla człowieka draga.

Ronnie odrzekł zdawkowo:

– Tak, to jest super – po czym podał jej fajkę i ogień. Przyglądał się, jak Merry wydyma wargi, wciągając dym, patrzył, jak światło odbija się w jej pierścionkach. Byli jak w kokonie, ukryci przed światem, płótno namiotu rozświetliło się niby soczewka latarki. Albo jak w kielbasce. O właśnie. – Czuję się tak, jakbym był w wielkiej pomarańczowej kielbasce, takiej włoskiej, ostrej – powiedział, pociągając z fajki i natychmiast oddając ją Merry, bo to przecież ona miała zaskoczyć.

Jej oczy zaczęły łzawić. Były opuchnięte i przekrwione, wydymała policzki, zatrzymując dym, który był zawsze cenny, ale nigdy bardziej niż tu, pod zbielełym niebem końca świata. Potem zaczęła kasłać, aż zapiekło ją w płucach i na wargach pojawiły się płatki śliny. Ronnie też się rozkaszał.

– To nigdy nie zawodzi – wychrypiąła łamiącym się piskliwym głosem, który mógł należeć do Mai. – Bo myślę, taką przynajmniej mam teorię, że człowiek może się tak samo zaćpać kaszlem jak samymi prochami.

Pan uśmiechnął się ze zrozumieniem. Zgadzał się jak najbardziej. Odkaszlnął, zakrywając usta ręką. Po chwili położył obie ręce na jej udach i zaczął je na próbę delikatnie masować i pocierać.

– Przydałaby się muzyka – powiedział, żeby coś powiedzieć, żeby tylko nie było przerwy. Pomyślał o Lydii, która w autobusie puszczała sobie teraz każdą płytę, na jaką miała ochotę, ale szybko odepchnął te myśli. – Choć wiesz, w pewnym sensie to nawet dobrze, że nie mamy muzyki, bo powinniśmy od nowa uwrażliwić uszy na przyrodę, na łosie, karibu, wilki. Słyszałaś wilki dziś w nocy?

Miała zamknięte powieki. Wymamrotała coś – tak, nie, być może – a potem raptownie otworzyła oczy, położyła rękę na jego dłoni i poprowadziła ją w górę ud. Przez dłuższą chwilę patrzyli oboje w dół na swoje dłonie przesuujące się wzdłuż twardych bocznych szwów jej dzinsów, ugniatające zgodnie jej uda, a potem Merry nachyliła się ku niemu i pocałowała go. Słyszał swymi od nowa uwrażliwionymi uszami szum rzeki, czuł pulsowanie krwi w skroniach. A potem ściągnął przez głowę T-shirt i zaczął się zmagać z paskiem i ciężkim pistoletem przytroczonym do uda jak u jakiegoś telewizyjnego rewolwerowca, Matta Dillona albo Johnny’ego Yumy – był przecież kowbojem, czyż nie? – a ona wyprostowała nogi, szeleszcząc pomarańczowym płótnem namiotu, i jednym ruchem zsunęła dzinsy do kolan, razem z majtkami. Wyciągnął ku niej rękę, ich usta znów się spotkały i wtedy...

I wtedy usłyszeli, jak Jiminy woła ją po imieniu:

– Merry! Merry? – Żwir na brzegu rzeki zachrzęścił pod jego przemokniętymi, ciężkimi butami. – Jesteś tutaj, Merry?

Pan znieruchomiał, ona też. Jiminy nie mógł ich zobaczyć, nikt nie mógł ich teraz zobaczyć. Namiot nie był z superlekkiego, przejrzystego i kolorowego nylonu, tylko ze stali podbitej ołowiem i pokrytej z wierzchu sześciocalową warstwą betonu. Pan eksplodował. Sprzączka nie ustępowała. Nie odważył się poruszyć.

– Merry?

Poły przy wejściu rozchyliły się nagle i pojedynczy komar wleciał do środka razem z nieprzefiltrowaną poświatą nocy; równocześnie ukazała się twarz Jiminy'ego, zawieszona w przestrzeni jak drugie słońce. Trwało to krótką chwilę: Pan przyłapany z palcem w słoiku z konfiturami, oczy Merry wbrew jej imieniu bynajmniej nie wesołe i twarz Jiminy'ego odbijająca całą gamę sprzecznych emocji, począwszy od szoku, przez nagłe olśnienie, aż po żądzę, żal i nienawiść. Rzeka wiała się i prostowała. Ptaki milczały. A potem, razem z pluskiem kamyków spadających z wysoka w najgłębszą toń szerokiego Jukonu rozbrzmiało jeszcze jedno próbne:

– Merry?

Rankiem Ronnie zgłosił się na ochotnika, że popłyynie w dół rzeki, żeby zabrać stamtąd dwoje ludzi z autobusu (pracowali w systemie zmian) i przywieźć osiemset sześćdziesiąt siedem absolutnie niezbędnych artykułów, bez których Drop City szybko by przestało istnieć – a były to materiały budowlane, narzędzia, słodycze, papierosy, szampon, olejek do opalania, czipsy i tanie, kieszonkowe wydania książek różnej wartości i o różnej tematyce, byle po angielsku. I poczta, nie zapomnij o poczcie. Każdy dał mu swoją listę – Marco, Star, Reba, Bill, nawet Jiminy (co wymagało pewnej odwagi po tym, co zaszło poprzedniego wieczoru). Ale wszystko było w porządku. Byli przecież braćmi i siostrami, żadnej urazy, żadnych pretensji, Wolna Miłość w wolnej społeczności. Pan zebrał pieniądze, złożył karteczki, udzielił wszelkich gwarancji – „Jasne, jasne, jeśli tylko to znajdę, oczywiście, pewnie”. Był teraz najważniejszy i wszyscy przychodzili do niego, nawet Norm („Twarde cukierki! – zaryczał, wchodząc do wody, jakby miał zamiar odepchnąć łódź od brzegu, a przecież nie było takiego problemu z silnikiem, którego nie rozwiązałyby dwie wysuszone świece, put-put-put, wrrrr. – No wiesz, takie tradycyjne, toffi z cynamonem i różnościami. Kup dużą puszkę, dziesięciofuntową. Albo dwudziesto. Stufuntową!”).

Jedynym problemem była Verbie. Płynęła z nim, a on nie potrzebował towarzystwa, nie potrzebował nikogo, no może ewentualnie Lydii, która usiadłaby na drugim końcu łodzi z rozłożonymi szeroko nogami, ale matka Verbie była w szpitalu, z jakimś koszmarnym rakiem, który zamieniał jej wnętrzności w zupeę, więc Verbie musiała zadzwonić do domu i trochę podnieść rodzinę na duchu, choć wyszła z domu trzy lata temu i od tej pory ani razu nie odezwała się do matki. W tej sprawie nie mogło być żadnej dyskusji. Angela została. Angela zamierzała całkowicie poświęcić się Drop City, została więc, żeby szorować rondle, korować bale i trzy razy dziennie mieszać ryż z jarzynami w wielkich kotłach, a przecież miały z Verbie tę samą matkę – czyż nie było to poświęcenie?

A zatem o dziewiątej rano, z dźwiękiem przesypującego się piasku w uszach i ze słońcem, które dźgało go jak pogrzebacz najpierw w jedno, a potem w drugie oko – za dużo haszu, za dużo trującego piwka warzonego chałupniczo przez Toma Krisznę – Pan skierował dziób łodzi ku środkowi nurtu i ruszył w dół rzeki Thirtymile z Verbie, która usadowiła się przed nim na środkowej ławeczce jako balast. Niestety, był to balast gadający; zanim dopłynęli do chaty Sessa Hardera, zdążyła zmienić temat sześć czy osiem razy, przerzucając się swobodnie z kwestii leczniczych właściwości żeń-szenia na zagadnienie dywanowych nalotów na szlak Ho Chi Minha, rtęci w tuńczykach i ciężkiej sytuacji robotników rolnych spowodowanej tym, że bojkot sałaty nie był dostatecznie radykalny. Ronnie patrzył na jej odwróconą bokiem twarz, na zbyt małe oko, haczykowaty nos, na czarną dziurę w miejscu, gdzie brakowało zęba. Mówiła przez ramię, paplała jak kakadu, jak tresowana papuga, która potrafi bez problemu odwrócić głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ronnie w ogóle jej nie słuchał. Próbował skupić uwagę na krajobrazie, rozkoszować się tym, że tu jest, że słońce grzeje go w plecy, a wietrzyk chłodzi mu twarz. Oczy wypatrywały na brzegu czegoś, w co mógłby wpakować kulę. Bo było to jego głównym zadaniem, to właśnie tutaj robił, tak samo jak Sess Harder czy Joe Bosky i cała reszta. A kim był? Był bożkiem Panem. Panem z Północy, zapomnijcie o Nanuku.



Kiedy płynęło się z prądem, można było dotrzeć do chaty Sessa Hardera, w miejscu gdzie Thirtymile wpadała do Jukonu, w niespełna kwadrans. Ronnie dostrzegł Sessa i jego małżonkę, jak układają jeden z bali przy ścianie chaty od strony rzeki. Szarpnął ostro rumpel w prawo i łódź skręciła ku brzegowi; chciał zapytać Sessa, czy nie potrzebuje czegoś z miasta. Było to tutaj powszechnym zwyczajem, grzecznością, którą wyświadczali sobie wszyscy, ale w przypadku Ronniego chodziło raczej o to, że wykorzystywał każdą okazję, aby zagadać do tego faceta, usiąść z nim choć na chwilę i wycisnąć z niego wszelkie informacje o kryjówkach szczupaków, pławnicach i najlepszym sposobie wędzenia i przyrządzania kaczki.

– Co ty wyprawiasz? – Verbie zachwiała się, wiatr nastroszył kosmyki jej rudych, krótko przyciętych włosów. Próbowwała się odwrócić w jego stronę, ale nie mogła przezwyciężyć siły odśrodkowej.

Pan wdychał wiatr, rozkoszując się zapachem rzeki i tempem, z jakim go niosła. Łódź wręcz ślizgała się po powierzchni wody. Nawet nie raczył odpowiedzieć.

– Nie mamy na to czasu, Pan. Ronnie. Wiesz, że musimy nakupować różności u tego małego zasańca, co się tak ostatnio wściekał, że zdeptaliśmy mu podłogi, odebrać pocztę i tak dalej. I wrócić jutro przed nocą, jeśli Lydia i Harmony w ogóle zdążą dotrzeć do Fairbanks, żeby kupić szyby, baterie i nie wiem, co tam jeszcze.

– Hej, to jest Alaska, Verbs – powiedział i zgasił silnik, pozwalając, by łódź dobiła do brzegu siłą rozpędu. – Ci ludzie są naszymi sąsiadami. Chcę ich tylko zapytać, czy czegoś nie potrzebują, przecież wiesz, że oni zrobiliby to samo.

– Nie – odparła. – Wcale nie. Nie zrobiliby tego, gdyby ich matka umierała i gdyby czekały na nich dwadzieścia cztery osoby, i gdyby musieli zbudować trzy chaty i świetlicę przed nadejściem zimy...

Była taka upierdliwa. Urodzona zrzęda. Zupełnie jak Alfredo. Jak Reba. Takie były rozkosze życia w komunie.

– Pięć minut – powiedział Pan. – Przysięgam.

Sess ledwie podniósł oczy, gdy łódź przybiła do brzegu. Właśnie udało im się umieścić kolejny bal tam gdzie trzeba, na wysokości piersi, i teraz wyglądał go energicznie, aż wióry wyskakiwały mu spod rąk jak polne owady. Miał na sobie połataną dzinsy, robocze buty i starą flanelową koszulę z odciętymi rękawami, która nasiąkała jego potem tyle razy, że wyglądała, jakby farbował ją co najmniej ośmiokrotnie w coraz bledszym – i coraz bardziej nieświeżym – żółtym barwniku. Włosy spadały mu na oczy, wiły się na karku i zasłaniały uszy – były już tak długie, że można go było niemal uznać za hipisa. Wyglądało też na to, że nie nadużywa brzytwy.

Ronnie uwiązał łódź i wyskoczył na brzeg, Verbie przelazła niezdarnie przez burtę, mocząc przy tym nogi; żona Sessa podniosła wzrok i pomachała im ręką. Była ubrana w brudne dzinsy i kraciastą, o trzy numery za dużą koszulę, włosy miała związane w koński ogon, ramiona nagie i ubrudzone jakimś smarem czy błotem. O ile Sess był autentycznym „odszczepieńcem” – człowiekiem gór – o tyle ona przebyła dopiero pół drogi, królowa maturalnego balu przemieniała się stopniowo w pioniera, w pomocnicę, w specjalistkę od skrobania ryb, patroszenia gęsi i kaczek. Czyż życie nie było piękne?

Psy ujadaly, szarpały się na łańcuchach, wzbijając chmury kurzu, i zadzierały łby ku niebu. Za nimi znajdował się ogród, jakieś ćwierć akra, z dyniami, grochem i innymi warzywami. W cieplarni z folii narzuconej na wiklinowy szkielet dojrzewały pomidory, a dalej na prawo stała na palach, osiem stóp nad ziemią, podobna do miniaturowej chaty skrzynia, służąca do przechowywania mięsa zimą. Sess przybił do każdego z czterech pali rozplaszczoną puszkę po oleju opałowym, żeby zniechęcić łasice, rosomaki i wszelkie inne stworzenia, które zechciałyby się wdrapać i porwać kawałek zamrożonego łosia, kaczkę lub rybę. Do jednego z boków skrzyni przymocowana była toporna drabina, tak żeby mógł się tam dostać człowiek. Wzdłuż brzegu, w pełnym słońcu, stały stelaże do suszenia ryb tak obwieszone patroszonymi łosiosiami, że wyglądały jak ściany mięsa – więcej, były ścianami mięsa. I wszystko to miał człowiek za darmo, z rzeki. Co robiło się tutaj latem? Gromadziło się żywność na zimę. Człowiek polował, uprawiał ziemię, łowił ryby, siedział całą noc z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej na słońcu, które nigdy nie zachodziło. I oni nazywali to pracą.

Ronnie podszedł bliżej przez porośniętą ostrą, najeżoną trawą i czepiającymi się nóg polnymi kwiatami podwórko, uśmiechając się do swoich myśli. Sess Harder był „normalsem”, a czy nie odbierał świata jak w narkotycznym transie?

– Siemasz, Sess – powiedział. – Co słychać, stary? Co nowego, Pamela?

– Nic specjalnego – odparł krótko Sess.

Nie przerywał pracy, wygładzał kłodę, zdmuchiwał wióry, od czasu do czasu przykładał nawet głowę do wygładzonej powierzchni, żeby się jej przyjrzeć. Psy rozszczękały się na całego, gdy Verbie wyłaziła z pluskiem na brzeg. Pamela, która trzymała z całych sił swój koniec kłody, uśmiechnęła się zapraszająco.

– Czy napijecie się herbaty? – zapytała. – Zaraz nastawię czajnik.

– Ach, nie rób sobie kłopotu – powiedziała Verbie, stukając obcasami swoich solidnych butów, jakby od tego mogły szybciej wyschnąć. – My tylko...

– Jasne – przerwał jej Ronnie. – Z przyjemnością. Pomóc ci, Sess? A tak przy okazji: zatrzymaliśmy się, żeby zapytać, czy nie potrzebujecie czegoś z miasta, bo my mamy do kupienia mnóstwo różnych rzeczy, więc pomyślałem... to znaczy nie byłoby problemu, w ogóle...

Pili herbatę z lśniących, nowych fajansowych kubków, które wyglądały tak, jakby je dopiero co wyjęli z pudła. I nie były to żadne pomyje, ale prawdziwa herbata, tak mocna, że aż cierpły dziąsła. Siedzieli przy piknikowym stole na podwórzu, zrobiwszy sobie przerwę w pracy, Verbie paplała jak najęta, a Pamela dotrzymywała jej kroku, psy się uspokoiły i pokładły. Pan czuł się wyciszony i czysty, wprost szybował na skrzydłach dnia, podniecony tym, że oto może niejako zajrzeć do prywatnego życia Sessa Hardera. Miał do niego tysiące pytań, ale Sess nie był taki rozmowny jak ostatnio, gdy Pan wpadł na niego przypadkiem (podczas Dnia Bastylji, święta Kwiatów Polnych i Łososia, ogłoszonego przed tygodniem przez Norma). Teraz odpowiadał tylko pomrukami i czymś w rodzaju kodu sygnałowego. Siedząc na stercie bali, cały czas spoglądał na swój ogród albo na psy, najwyraźniej roztargniony, a po dziesięciu minutach popijania herbaty wstał od stołu i powiedział:

– Okej, Pamela, wracamy do roboty.

Verbie zapewniła ich skwapliwie, że nie ma problemu – oni naprawdę muszą ruszać w dalszą drogę, bo iks, bo igrek i zet – podziękowała Pameli za herbatę i Sessowi za towarzystwo i ple-ple-ple. Ale Pan w dalszym ciągu szybował i czuł, że musi coś dla nich zrobić, okazać im swój podziw i wdzięczność, powtarzał więc w kółko: „Nie ma w ogóle kłopotu, bracie, naprawdę, będziemy jutro wieczorem z powrotem, mogę kupić chleb, bułki do hamburgerów, butelkę szkockiej, co tylko chcesz” – aż w końcu Pamela sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła wytarty pięciodolarowy banknot, który wyglądał tak, jakby wydrukowali go za prezydentury Roosevelta, i powiedziała:

– Może jakieś papierosy, na przykład marlboro, i przydałyby się, nie wiem, może te batony Hersheya z migdałami, tak z pięć, sześć, i ta dobra kawa, którą ma Wetzel, Maxwell House? Pięciodalonową puszkę?

Wrócili do łodzi i wpłynęli z Thirtymile na rozległe mętne wody Jukonu – Verbie była tak zachwycona gadaniem do siebie, jakby popisывała się swoją inteligencją i bystrością przed wielotysięcznym audytorium, rozkoszna mgiełka wodna rosła im twarze, chmury pędziły nad głowami, Pan wypatrywał jakiegoś ruchu na brzegach. Odpowiedział jej tylko raz, gdy poruszyła temat Jiminy’ego i Merry. Najpierw zachwyciła się ich wzajemną lojalnością, a potem uczepiła się jak rzep psiego ogona wypadków ostatniej nocy. Ktoś twierdził, że i on był w to zamieszany. Czy to prawda? Zaprzeczył, przekrzykując warkot silnika, to jakaś bzdura i tyle. I oczywiście nie kłamał, nawet nie starał się ukryć prawdy. W swoim mniemaniu nie był w nic zamieszany, w tym sensie, że nawet nie umoczył, bo Merry zacisnęła nogi, wciągnęła z powrotem spodnie i wypęzła z namiotu, cała zapłakana, wybacząca i jednocześnie pełna skruchy wobec Jiminy’ego. Poszli brzegiem rzeki w górę, on z prawą ręką na temblaku, jej ręka wokół jego talii jak kojący kompres.

Upłynęło pół godziny, prąd ciągnął ich wręcz za nos, Ronniemu udało się uciszyć Verbie i teraz wsłuchiwał się w wieści ogłaszane przez silnik całemu światu. Zrezygnował już prawie całkiem z wypatrywania czegoś konkretnego – łosia zanurzonego po uszy w gęstwinie lub orła z rybą w szponach – gdy jego uwagę przykuło coś, co poruszyło się przed nimi na powierzchni wody. Wyglądało to jak poduszka zdjęta z sofy jego babci – nie, jak otomana, cała otomana podskakująca wśród piany na falach, jakby to nie był Jukon, tylko East River. Wciąż było za daleko, żeby rozpoznać tajemniczy obiekt, ale Pan zorientował się szybko, że płynie on pod prąd – i czekał. Zaraz, zaraz, czy to nie para uszu... i pysk?

Monolog Verbie ucichł na tyle dawno, że mogła teraz krzyknąć na całe gardło:

– Hej, oszalałeś czy co?

Łódź skręciła raptownie w lewo i otomana przeobraziła się w łeb niedźwiedzia grizzly z wąskim pyskiem i srebrzysty pagórek grzbietu sterczący z mleczno-lodowatej wody niczym jakiś paradygmat potęgi. Pan był zelektryzowany. Grizzly. Jego pierwszy grizzly. Oto był przed nim, całkowicie bezbronny, zaskoczony na środku rzeki. Pan nie myślał o mięsie ani nawet o futrze, kiedy zszedł z obrotów i sięgał po strzelbę. Jediną rzeczą, jakiej pragnął, były pazury. Pewnego wieczoru widział Indianina grającego w bilard w barze Three Pup; kiedy facet nachylił się, żeby uderzyć bilę, spod rozpiętej koszuli ukazał się naszyjnik, pięć nanizanych na rzemyk pazurów niedźwiedzia grizzly, każdy tak długi, gruby i okrutnie zakrzywiony, jak ludzki palec – palec rosnącego mężczyzny. Ronnie pożądał tego naszyjnika tak bardzo, że zapytał Indianina o cenę, ale ten spojrział tylko na niego nieprzytomnym wzrokiem i znów się pochylił do następnego uderzenia. I Ronnie zrozumiał: nie kupuje się takich naszyjników, idzie się tam, gdzie warunki dyktuje niedźwiedź, tropi się go i po prostu zabiera mu się pazury.

Wyłączył silnik lewą ręką i przestawił rumpel; łódź skrzyła w stronę wielkiego, unoszącego się na wodzie łba i marszczącego się pod jej powierzchnią cienia korpusu zwierzęcia. Odbezpieczał strzelbę i jednocześnie usiłował opanować wywołane podnieceniem drżenie rąk. To miał być jego największy odjazd – wiedział, że nikt mu w to nie uwierzy, a już na pewno nie uwierzyłyby jego zahukany, stłamszony dupiek ojciec, pogrzebany za życia w swoim fotelu, ze szklaneczką dżinu w jednej ręce i papierosem w drugiej. Strzelba opierała się o ramię, łódź pruća, wielki łeb obracał się, by go za chwilę pożreć, a w tym łbie były ślepie, ślepie, z których wyzierało śmiertelne zaskoczenie i chyba groza, bo czymże był ten szarżujący na niego kloc z ludźmi i strzelbami...

– Ronnie! – zawołała Verbie. – Nie, nie, Ronnie, Pan, nie! – I zanim zdążył zarejestrować to nowe zagrożenie na horyzoncie, obróciła się gwałtownie i uderzyła w strzelbę. Drgnął w najważniejszym momencie, kolba kopnęła go w ramię, zupełnie jakby pocisk wyleciał odwrotnym końcem, i jednocześnie Ronnie zobaczył, jak łeb niedźwiedzia znika wśród różowych bryzgów. Trafił go – nie, drasnął zaledwie, zwierzę miało teraz tylko jedno ucho i krew, krew niedźwiedzia grizzly, rozchodziła się w wodzie jak długie, rozcapierzone paluchy jaskrawego koloru.

Verbie leżała na nim i waliła go zaciśniętymi pięściami po rękach, a jej wciąż mokre buty kopały go po kolanach, udach, kroczu. Dziób łodzi zanurzał się i uskakiwał w bok, silnik śnił na jawie na jałowym biegu, rufa zarzuciła raptownie w prawo i pierwsze wiadro wody chlusnęło do środka.

– Ty pieprzony sukinsynu! Co ty wyprawiasz? Czy to zwierzę coś ci zrobiło? Co się z tobą dzieje? Wielki supermen z ciebie, co? Szkoda, że nie jesteś zawsze takim supermenem!



I nagle silnik zgasł. A Pan, walcząc z nią o strzelbę, uświadomił sobie, że niedźwiedź ma pysk pełen wielkich zębów i że bynajmniej nie płynie ku brzegowi. Nie, on pruł teraz prosto na nich, w poprzek nurtu, jak torpeda w jednym z tych wznawianych w telewizji ziarnistych starych filmów z cyklu *Zwycięstwo na morzu*, których nigdy nie miał dość jego ojciec. Zerknął na Verbie i zobaczył, że się zawahała – Verbie, drużynowa zuchów, Budda, cipka z obsmyczoną głową, która zawsze miała rację. Która nigdy się nie zawahała. Która wiedziała wszystko i gotowa była o tym gadać dwadzieścia cztery godziny na dobę. To była jej sprawa, jej odlot, i to przede wszystkim dlatego dano jej na imię Verbie. Ale teraz pojawił się na jej twarzy wyraz, który wzbudził w nim prawdziwą grozę, taką, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Ten wyraz jej twarzy mówił, że już wie, iż się przeliczyła, wtrynęła się niepotrzebnie, otworzyła swoją wielką gębę nie w porę i teraz zapłaci za to swoim życiem. I jego.

Ronnie odepchnął ją brutalnie. Wielki łeb sunął przez wodę, od łodzi dzieliło go już jakieś dwadzieścia jardów. Sytuacja była krytyczna. Pierwsza naprawdę krytyczna sytuacja w jego życiu. Nic podobnego mu się dotąd nie przydarzyło; serce ścisnęło mu się i rozprężyło na przemian, gdy szarpał linkę rozrusznika i słyszał, jak silnik krztusi się i zamiera, krztusi się i zamiera. Nawet nie pomyślał o strzelbie. Leżała na dnie łodzi, tam, gdzie ją upuścił, leżała nieruchomo w głębokiej na trzy cale kałuży wody. Nie pomyślał też o czterdziestce czwórce przytroczonej do prawego uda ani o nożu myśliwskim, przytroczonym do uda lewego. Wiosła, oto co przyszło mu do głowy. W przystępie szalonej paniki porwał je, wepchnął w dółki i zaczął z całej siły wiosłować. Co, trzeba powiedzieć, niewiele dawało, bo nie miał wiosel w rękach – nie pływał łodzią wiosłową – od czasu, gdy miał dwanaście czy trzynaście lat. Wiosła ślizgały się, chybiały, chaotycznie siekały wodę. Pociągnął jeszcze raz i znów nie trafił. Ale w końcu się udało, łódź skręciła, ustawiając się z prądem, i rozwścieczony, olbrzymi, zębaty łeb niedźwiedzia – który był już tak blisko, o dziesięć stóp od nich, a nawet bliżej – zaczął odstawać, oddalać się cal po calu, stopa za stopą, aż wreszcie Ronnie przestał słyszeć chrapliwy oddech, aż nie słyszał już nic oprócz skrzypienia wiosel w dulkach i głębokiego, intensywnego szumu rzeki.

Boynton nie wyglądało imponująco – zbiorowisko niepomalowanych, brunatnoszarych bud i chat z bali, bujne zielsko, kupy śmieci, jakieś pniaki, zardzewiałe pick-upy, osiem czy dziesięć motorówek wyciągniętych na żwirowatą łachę albo kołyszących się na swoich cumach jak kolorowe proporce powiewające za dziecięcymi rowerkami – i łatwo byłoby je przeoczyć, płynąc rzeką, gdyby nie autobus. Autobus stał tam, gdzie go postawili, pięćdziesiąt stóp od ruchomej czarnej powierzchni rzeki, pomiędzy kupą szmelcu leżącą przed szopą Sessa Hardera – czy jego *pied-a-terre*, jak lubił ją nazywać Skid Denton. Wchodząc w ostatni zakręt rzeki na wschodnim krańcu miasta, Pan skoncentrował się na autobusie – i tak, wreszcie silnik pracował doskonale, dziękuję, po wykonaniu *fellatio* na przewodzie paliwowym i tak długim szarpaniu linki, że omal nie wyrwał sobie ramienia z barku. Ale autobus nie był już żółty, a raczej był nie całkiem żółty. Ronnie domyślił się, że to Lydia i kilku innych obiboków dobrało się do niego z farbami, aby rozproszyć nudę, zapełnić jakoś czas wolny, uatrakcyjnić sobie wakacje, psiakrew, kiedy cała reszta targała kłody i jadła ryż ze wspólnego kotła. Ale czy powinien zrzędzić? To była sz t u k a, owoc i przejaw cywilizacji: czysto funkcjonalny żółty kolor szkolnego autobusu ustąpił świeńczemu fioletowi, jaskrawej czerwieni, upiornej zieleni, jadowitemu oranżowi i zgaszonym różom. Cudaki muszą przecież cudować, no nie?

– O rany – powiedziała Verbie i było to pierwsze słowo, jakie padło z jej ust od czasu incydentu z niedźwiedziem.

– O rany, podoba ci się to?

– Co?

– Autobus. Jest cały pomalowany w twarze, w te, jak to się nazywa, karykatury. Spójrz, to chyba Norm, ten przy samych drzwiach? I Reba. I popatrz, to ty, Pan, koło rury wydechowej, ten z rybą w dłoni.

Wśliznął się w wolne miejsce między innymi łódkami, uważając, by się nie zablokować, ale kiedy już łódź była bezpieczna, kiedy podniósł śrubę i dobił siłą rozpędu, przyjrzał się uważniej i stwierdził, że jego wizerunek istotnie tam jest, przy tylnych drzwiach, facecik z głową jak żarówka, z małym, wątłym, anemicznym tułowiem i z dwiema rybkami – dwiema p ł o t k a m i, dyndającymi na sznurku trzymany w dłoni.

– Pan – powiedziała Verbie. – Wielki łowca.

– Verbie szczekaczka – odciął się. Wychodził z łodzi; miał już naprawdę dość jej pieprzenia, przecież o mało nie zginęli, czy ona nie zdaje sobie z tego sprawy? – Ale nie widzę tam ciebie – dodał, żeby jej dopiec.

Twarz Verbie ściągnęła się tak, że wyglądała jak zaciśnięta pięść. Stała w płytkiej, sięgającej kostek wodzie i widać było, że jest zdruzgotana: no proszę, Verbie wyłączona z panteonu Drop City! Ale szybko opanowała się i rzuciła mu spojrzenie pełne czystej, pałającej nienawiści.

– Jestem na drugiej stronie – powiedziała. – Chcesz się założyć? Albo z tyłu, popatrz na tył.

Nie patrzył nigdzie. Naprawdę miał to gdzieś, czy jej podobizny są wymalowane w całym wnętrzu autobusu i jeszcze na zewnątrz albo czy wzniesli pomnik na jej cześć bądź symbolicznie spalili jej wizerunek – to była dziecinada, nic innego. Przeciął plac i zajrzał do środka przez otwarte drzwi.

Autobus był pusty – widać to było na pierwszy rzut oka. Ale mimo to wszedł na plastikowy kontener, który ktoś przystawił do stopni, i spojrzął jeszcze raz w głąb autobusu. Cienkie, regularne smużki słońca wpadały przez zasłonią i rozświetlały kurz wiszący w nieruchomym powietrzu. Panował tu zwykły rozgardiasz, leżały sterty ubrań, książek, płyt i brudnych talerzy, na pokrytych spękaniem skajem siedzeniach porozgniatane były muchy i komary, unosił się zapach, którego nie mógł zidentyfikować, woń czegoś zbiorowego, „komunalnego”.

– Jest tu ktoś? – zawołał.

Nikt nie odpowiedział. I to go zdziwiło: gdzie oni mogli być w środku dnia? W szopie? Stali nad rzeką i rzucali stokrotki do wody? Jeździli po mieście studebakerem? Ale nie, samochód widać było przez okno – stał beczynn timer na skraju drogi, a obok przycupnął garbus Harmony’ego pokryty grubą warstwą kurzu. Z zewnątrz dotarł do niego głos Verbie, cichy okrzyk triumfu:

– Jestem tu! Spójrz, mówiłam ci, jestem tu obok Angeli, a... a to pewnie jest Jiminy!

Pan wycofał się z autobusu; umysł miał nadzwyczaj jasny, bo nie wypił nawet jednego piwa ani nie wypalił szluga od czasu, jak obudził się rano (a całe jego śniadanie składało się z osłodzonej miodem herbaty wypitej u Sessa i z paru starych krakersów, które Pamela rozłożyła na stole jak talię kart).

Jasny umysł? Raczej lekka głowa. Konał z głodu i tyle, marniał jak mistyk na pustyni i wiedział, że jeśli natychmiast nie wprowadzi do organizmu hamburgera i kilku piw, zacznie przemawiać językami i zionąć ogniem z uszu. Dłuższą chwilę stał, zastanawiając się nad tajemnicą opustoszałego autobusu i kontemplując ślady stóp w pyłe – odciski obcasów i całą tę zawiłą interpunkcję bosych nóg z małymi naszyjnikami palców, przecinającą ścieżkę, która biegła przez zdeptane zielsko do drogi – i nagle go olśniło: byli w barze, w saloonie, zajeździe, czy jak to tam nazywali. Three Pup. Byli w Three Pup i ciągnęli piwsko, a może nawet wychylali czasem nadprogramowego kielicha żytniówki, gawędząc, soląc frytki, słuchając skwierczenia hamburgerów na grillu i grzechotu mechanizmu szafy grającej, gdy igła opadała na płytę. Wciąż jeszcze dumał nad tym, gdy Verbie wynurzyła się zza autobusu.

– Hej – powiedziała głosem, który zanikał i rozpływał się w powietrzu, aż stał się czymś równie błahym i nieszkodliwym jak zwykłe brzęczenie komara w uchu. – Gdzie oni wszyscy są?

Zanim doszedł do rogu Fairbanks Road, chmury zasłoniły słońce. Jakiś pies zaczął się szarpać na łańcuchu i szczekać na niego, a po chwili włączył się inny, na drugim końcu miasta. Wiatr zmienił nagle kierunek na północny; był tak lodowaty jak powietrze wionące z głębi pieczary. Nie trzeba było meteorologa, żeby przewidzieć, że za parę minut lunie jak diabli. Słyszał, że idąca za nim Verbie dyszy ciężko, ale nie obejrzał się nawet. Jeśli miała krótsze od niego nogi, to był to jej problem – taka już się urodziła, ewolucyjny impas, przeżyją najlepiej przystosowani, maleńka, musisz się z tym pogodzić. Przejechał obok nich bladoniebieski pick-up i Ronnie pokazał kierowcy (żaden znajomy, chyba że był to ten chudy, cienkoszyi stary pierdoła imieniem Herbert czy Howard) znak pokoju. Schylił głowę i parł z wysiłkiem pod wiatr. Pomyślał, że naprawdę powinien wrócić do łodzi po swoją dzinsową kurtkę, ale odrzucił tę myśl natychmiast, zaledwie się pojawiła. Powrót do łodzi oddaliby chwilę, gdy strzeli sobie pierwsze piwko i gdy rozkosznie plaśnie pierwszy rzucony na ruszt hamburger.

Na zapiaszczonym placyku przed barem Three Pup stało kilka samochodów, w tym holownik z napisem „Fairbanks” wymalowanym na drzwiach od strony kierowcy i z przyczepionym z tyłu autem, które wyglądało na forda mustanga. Coś wyciekało z tyłu, tworząc kałużę – chyba woda, brudna woda, pływały w niej liście i jakieś zielsko. Koła były upačkane czymś, co wyglądało na smar, ale nie było smarem, tylko zwykłym błockiem. Błockiem koloru gówna, które skapywało z podwozia i zasychało na ziemi. Pan dostrzegł to, zarejestrował, zignorował. Pchnął siatkowe drzwi baru, ze środka buchnął zapach grilla, burbona, szkockiej whisky i rozlewane go piwa.

Wewnątrz było ciemno – po co zużywać energię, zapalając sześćdziesięciowatową żarówkę, zasilaną spalinową prądnicą, zużywającą benzynę przywożoną ze stacji przy Fairbanks Road, skoro i tak na zewnątrz było widno przez całą dobę? – więc początkowo nie mógł rozpoznać, czyje to plecy i na pół odwrócone głowy tłoczą się przy barze.

– Hej, Pan, co się dzieje? – zawołał ktoś z kąta.

Był to Harmony, który siedział ze swoją nazywaną paciorkami rudą przepaską à la Fu Manchu na głowie i obejmował ramieniem Alice. Potem zawołał go po imieniu jeszcze ktoś inny i szafa grająca wybuchnęła drażniącym, zgrzytliwym dźwiękiem skrzypiec w jakiejś piosence country. Ciekawe, gdzie mogła być Lydia?



Ale chwileczkę – to, co zobaczył, było prawdziwym wyzwaniem dla jego nowo uwrażliwionej percepcji: kim był ten majaczący jak zjawa w chmurze dymu z papierosów osobnik w kowbojskim kapeluszu z szerokim rondem nasuniętym na jedno oko i w beatlesówkach stukających w wytarte deski podłogi niczym palec medium podczas seansu spirytystycznego? Był to Lester we własnej osobie, Lester, który uśmiechał się do niego, jakby zszedł właśnie z werandy budynku gospodarczego w Drop City, z dzbankiem w dłoni, przy dźwiękach piosenki Marvin'a Gaye'a ulatujących przez szeroko otwarte drzwi. Lester trzymał w jednej ręce szklanę whisky, w drugiej dżojnta. W tle było widać wielką głowę Franklina i wąsiska Sky Doga, za nimi zdziwione twarze, a dalej zaciśnięte usta i wyłupiaste oczy wściekłej Lynette. Przy końcu baru stał Dale Murray, błyskając pierścieniami, na szyi dyndał mu naszyjnik z żółtym kłem. Dale jadł hamburgera, popijał piwem i rewanzował się Skidowi Dentonowi takim samym kitem, jaki Skid wciskał jemu; między nimi siedział na stołku, niczym sędzia sportowy, wysoki, cienki jak wycior Żelazny Steve.

– Pan, człowieku – sapnął Lester; jego głos był najłagodniejszą imitacją głosu ludzkiego, na jaką mógł się zdobyć. Włożył skręta do ust, żeby zamknąć podnoszącą się dłoń Ronniego w serdecznym uścisku, który potwierdzał ich tożsamość plemienną i najgłębszą istotę braterstwa. Potem odwrócił się i zapał przez ramię: – Ej, patrzcie, kto przyszedł! Pan, to wredne kocisko we własnej osobie, gwałciciel dzieci, najbardziej *hip*, najwredniejszy kot na północ od... jak się to nazywa? Fairbanks. Tak, od Fairbanks.

Nastąpiło istne tornado serdecznych uścisków dłoni i walenia się po plecach i Pan musiał przyznać, że jest trochę oszołomiony. Zdążył już zapomnieć, że ci ludzie istnieją, a więc to ich „zmartwychwstanie” w zatraconym świecie baru Three Pup zmuszało go do poważnej korekty wyobrażeń. Ile to czasu upłynęło, miesiąc? Ale dżojnt pomógł, pomogło piwo i lufa, która podziałała na pusty żołądek jak płonąca benzyna – i już po chwili rozmawiał z ożywieniem z całą czwórką, słuchając ich opowieści o dziurach na drogach, o nazistach w mundurach kanadyjskiej policji konnej, o tym, jak złapali gumę, o łosiach tańczących na autostradzie jak dziewczęta z rewii.

– Kurde, w końcu zapudłowali Sky’a w jakiejś dziurze w Kolumbii Brytyjskiej – powiedział Dale Murray, który siedział teraz na stołku i wymachiwał piwem jak dyrygent batutą, wywołując nagłe crescendo rozbawienia. Lestera wzięło tak, że musiał odstawić whisky i przytrzymać się baru.

– Za co? – zapytał Ronnie.

Światło zrobiło się ołowianoszare, do baru weszła sztywno Verbie z wyrazem osłupienia na twarzy, pierwsze krople deszczu zadzwoniły o szyby.

– Pokazał swojego wielkiego fajfusa – zaczął Lester, ale nie mógł dokończyć, to było ponad jego siły.

– Wystraszył dziewczyny – powiedział Franklin, ukazując w uśmiechu wszystkie zęby.

Jak poczuł się w tej chwili Pan? Poczuł się odstawiony. Ukłucie zazdrości przeszło go na wskroś: oni przeżywali przygody, a on w tym czasie wciął rozgotowany ryż.

Sky Dog oparł się o bar i zapalił papierosa; udało mu się przybrać wyraz twarzy człowieka głęboko zasmuconego i ofiary wielkiej niesprawiedliwości. Dźwięki stylizowanej na country piosenki ucichły i zaczęła się nowa. Wszyscy obecni patrzyli na niego, czekając na wyjaśnienia.

– Obraza moralności publicznej – powiedział. – A ja tylko...

– Sikał pod drzewem i tyle – przerwał mu Lester wśród paroksyzmów śmiechu. – I naprawdę wystraszył te dziewczuchy, no nie, Franklin?

– Całe miasto było przerażone.

Nowy wybuch śmiechu. Do ogólnej zabawy włączył się także Dale Murray i rżał razem z całą resztą. Sky Dog wyglądał na zmieszanego. Spuścił głowę i wzruszył ramionami.

– To wcale nie było śmieszne, bracie – kosztowało mnie noc w pierdłu.

– Właśnie – powiedział Lester. – A tego tu czarnucha dodatkowo dwadzieścia pięć dolców, amerykańskich. Które, nawiasem mówiąc, jesteś mi winien. – Odwrócił się do Ronniego, pociągnął powoli łyk whisky, spojrzął na swoje buty i podniósł wzrok. – A ty, mój przyjacielu – sapnął, głosem tak cichym, że ledwie było go słyszeć – za kogo niby się przebrałeś, za Wild Billa Hickoka? Czy może za Buffalo Billa? W każdym razie za kogoś z tych białasów Billów, tak?

Lester bawił się doskonale. Teraz on królował na scenie, tak egzotyczny w Three Pup jak pantera na smyczy. Widziano tu Indian, widziano Eskimosów, Finów, Szwedów i Francuzów, ale bambus to było coś zupełnie innego i Pan to rozumiał, zdawał sobie sprawę z tego, w jak wielkim napięciu Lester stara się dotrzeć do gruboskórnych kmiotków z ostatniej, najbardziej wysuniętej na północ placówki, jaką był czterdziesty dziewiąty stan. Istniały jednak pewne granice. Puścił mimo uszu uwagę o gwałcicielu dzieci, ale teraz ten facet przesadził, nabijając się w żywe oczy z jego stroju. No nie, kurwa.

– Nie wiem, o czym, kurwa, mówisz – powiedział.

– O tej spluwie. – Lester wskazał na kaburę. – I to, co to takiego? – Zanim Pan zdążył zareagować, wyciągnął mu nóż z pochwy i zademonstrował obecnym ku ich wielkiej ucieście.

– Nie mów, że kastrujesz nim muły. A może używasz tego do czyszczenia paznokci?

– On sam jest muł – wtrącił Dale Murray.

Tuż koło niego stała Verbie, jej blada, bułeczkowata twarz świeciła w półmroku. Szukała kogoś, kto postawi jej piwo.

– Boraks Dwadzieścia Mułów – brzmiał jej komentarz.

Pan nie umiałby powiedzieć, skąd się wzięła jego wściekłość ani dlaczego wezbrała w nim tak błyskawicznie i z taką siłą, ale złapał Lestera za przegub podniesionej ręki z nożem, a jednocześnie zerwał mu z głowy kapelusz i cisnął go w drugi koniec baru. Oczy Lestera zbieleły. Brudne włosy przylepiły mu się do głowy, pościągane niebieskimi gumkami w kępki wyglądały jak sfilcowane. Nikt tu nigdy, a w każdym razie od czasów Fanny, nie widział czegoś podobnego.

– A ty za kogo się przebrałeś? To ty rzniesz kowboja z tym swoim kapeluszem!

Lester cicho, niemal szeptem:

– Taki kapelusz nosi Jimi Hendrix, człowieku. – Oddał mu nóż i Ronnie wsunął go do pochwy. Tymczasem Franklin przeszedł przez salę i schylił się, żeby podnieść kapelusz.

– Straszny z ciebie obraźliwy, Pan, strasznie jesteś drażliwy – burknął Lester. – Nie rozumiesz, że robiłem sobie jaja? Nie znasz się na żartach?

W tym momencie Lynette odwróciła się od grilla i podparwszy się pod boki, oświadczyła, że jeśli chcą rozrabiać, to mogą iść do Nugatu, i że jak nie przestaną, to wylecą za drzwi, wszyscy bez wyjątku.

– I nie będę tu tolerowała bluźnierstw, szanowny panie. Do ciebie mówię, Ronnie. Lepiej poinformuj o tym swoich kumpli.

– Daj spokój, bracie – powiedział Sky Dog. – Daj spokój, strzel sobie piwo i zapomnij o tym, znasz przecież Lestera. On po prostu robi sobie jaja, to wszystko. To żarty, człowieku, nie znasz się na żartach?

Wszystko wróciło do normy, ktoś znalazł jedyny rockandrollowy kawałek wgrającej szafie, ktoś inny postawił wszystkim po piwie, załapała się nawet Verbie, która wylądowała na kolanach Żelaznego Steve'a i piła na jego rachunek, on zaś miętosił jej biust i ślinił policzek jak jeleni przy lizawce. Sky Dog wyciągnął kolejnego skręta.

– Przywieźliśmy tonę tego szajsu, człowieku, i dupnęli by nas, gdyby byli sprytni i zajrzeli do koła zapasowego.

Niebo pociemniało odrobinę, jakby zaczął zapadać zmierzch. Pan nie czuł żadnej urazy. Cieszył się, że ich widzi, że są w komplecie, nowe twarze oznaczały nowe opowieści – wносиły trochę życia, kurwa. Przepił, najpierw do Lestera, potem do Franklina, Sky Doga i Dale'a. I do Harmony'ego, nie można zapomnieć o Harmonym. No i o Alice.

Wymacał w kieszeni plik forsy i nie miał pojęcia, skąd się tam wzięła. Wydawało mu się, że jest daleko, bardzo daleko od domu, od jakiegokolwiek domu, i kiedy przyglądał się swej opalonej, ożywionej twarzy w lustrze wiszącym za barem, poczuł, że jego życie dopiero się zaczyna. Już potoczyło się dziwnie, a miało przybrać jeszcze dziwniejszy obrót. Tom Kriszna wciąż rozprawiał o karmie, tak samo Norm, Verbie, Star – oni wszyscy. A co, jeśli to była prawda, co, jeśli był w swoim poprzednim wcieleniu jakimś świętym i teraz miał odebrać za to nagrodę? To była myśl! Uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze i zignorował pytanie o lincolna, które zadał mu Sky Dog: zaparkowali go w mieście przy jakimś rogu, czy go przypadkiem nie widział? Wspaniały samochód. Miał tendencję do przegrzewania się i żarł paliwo jak świnia, ale... Podobała mu się gęstniejąca broda i włosy, które zaczynały się już kłaść na kołnierzyku koszuli. Wyglądał *hip*, absolutnie, bez wątplenia, ale kto to tutaj wiedział? I kogo to obchodziło?

Deszcz się wzmagał i bębnienie w szyby stawało się coraz bardziej natarczywe. Przypalił papierosa od poprzedniego; stracił już rachubę, ile wypił kolejek, nie licząc piwa. Dzień zdawał się gęstnieć. Verbie parskała urywanym śmiechem, Lester chichotał, ktoś walnął go w plecy. Kiedy otworzyły się z impetem drzwi i do baru wszedł Joe Bosky, prowadząc za ręką Lydię, jakby była szóstoklasistką, Ronnie nawet nie podniósł wzroku. Lydia miała mokre włosy przemoknięty top marszczył się jej na cyckach, cała była oblepiona źdźbłami trawy, gałązkami i upstrzona nasionami, bo leżała gdzieś w polu na plecach. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Czuł się tak, jakby się cały rozpływał, jakby rosło jego wewnętrzne ciśnienie i przepływało przez niego całkiem nowe medium, o, spójrzcie, jaki kolor mają te ryby. Zaczął grzebać w kieszeniach. „Nie, nie, Joe, ja zapłacę, chcę ci postawić piwo, pozwól” – aż wy dobył wytarty, aksamitny pięciodolarowy banknot, który wyglądał tak, jakby ktoś wyciągnął go z rzeki i wysuszył na stelażu do suszenia łososi. Trzymał go przez chwilę, mnąc w palcach, po czym położył na barze.

Nuciła sobie pod nosem, cicho, bezdźwięcznie, ulubioną piosenkę Doorsów ze słowami tak samo tajemniczymi jak melodia. *Przebij się* – powtarzała. – *Przebij się na drugą stronę*. To było to. To było wszystko, co zapamiętała, i jeśli czegoś jej brakowało, jeśli mogłaby coś przywołać, pocierając czarodziejską lampę, byłaby to muzyka. Alfredo i Geoffrey nie grali źle na gitarach i „komunalne” śpiewanie było wspaniałe – w porządku, jak powiedziałyby Ronnie – ale nie można było tego porównać z możliwością szukania muzyki w radiu czy położenia płyty na gramofonie, kiedy się tylko chciało, by muzyka przenosiła człowieka do innych światów. Robiła to kiedyś w domu rodziców, zamknięta w swoim pokoju, gdy w próżni na dole mruczał monotonna telewizor, a ojciec wrzeszczał do zachrypnięcia, wściekając się na jakiegoś ponaddwumetrowego koszykarza i małą metalową obręcz, albo w samochodzie, kiedy matka terkotała o zasłonach lub o cenach cielęciny i nagle wśród trzasków radia eksplodowała gitara w krótkim momencie olśniewającego triumfu. Muzyka była jak pożywienie, jak woda, jak powietrze jak wszystko to, co konieczne i podstawowe – a teraz właśnie ogarnął ją nastrój przebojowy i jej własna, kaleka wersja piosenki Doorsów przyczepiła się do niej i nie chciała się odczepić.

Nie można mieć wszystkiego, powiedziała sobie. Nikt nie może.



Pracowała razem z Rebą i Merry w ogrodzie: nawoziły ziemię kozimi bobkami i rybimi łbami. Norm powiedział im, żeby zapomniały o ogrodzie, bo sezon wzrostu trwał tu najwyżej jakieś sto dni, z czego trzydzieści przypadało na czerwiec, który dawno minął. Ale one – kobiety, wszystkie kobiety – pomyślały: czemu by nie spróbować. Może dopisze nam szczęście. Może mróz przyjdzie w tym roku późno, może to słońce przez całą dobę przyspieszy w magiczny sposób cały proces kiełkowania, wzrostu, owocowania. Pracowały jak obłąkane, żeby oczyścić skrawek ziemi przed dziesiątym lipca, i skoncentrowały się na warzywach zimnolubnych – rzemie, kalafiorach, brukselce – ale posadziły także ziemniaki, słodki groszek, cukinię i dynię. I oczywiście marihuanę. Krzaczki marihuany były już wysokie na pół metra, rosły tak szybko, że można było to niemal zobaczyć, i nawet gdyby miały nie wypuścić pąków, będą przynajmniej liście i łodygi.

Teraz dziewczyny rozwijały wielkie płachty czarnej folii, po którą Lydia i Harmony pojechali do Fairbanks i którą Ronnie przetransportował w górę rzeki motorówką. Każdy zwój miał jedną stopę średnicy i dwie i pół stopy długości. Folia była perforowana w równych odstępach, tak żeby można ją było oddzierać i wkładać do pojemników ze śmieciami w garażu każdego jednorodzinnego, obsadzonego drzewami domku na przedmieściach. Ale oni nie mieli tutaj pojemników na śmieci – a raczej były one używane do przechowywania soczewicy, ryżu i kasz, tak żeby nie mogły się do nich dostać myszy, które zdawały się być wszędzie. Natomiast długich płacht folii używali jako izolacji termicznej dla roślin – nauczyły się tego od Pameli Harder.

Ta Pamela była absolutnie zaskakująca. Ona i Star nie mogły się już bardziej różnić – Pam była starsza, urodziła się i dorastała na Alasce, nie ćpała, przynajmniej jeszcze nie, nigdy nie słyszała o takich zespołach jak The Band, Crosby, Stills and Nash, nie mówiąc już o Abbiem Hoffmanie, Glorii Steinem, Fillmore East, dżojntach, LSD, Keicie Richardsie czy nawet Micku Jaggerze – a jednak kiedy Star przyплыnęła łódką z wizytą, czuła się, jakby odwiedziła jedną ze swoich sióstr, tak była odprężona. Usiadły przy piknikowym stole z dzbankiem herbaty; Sess rąbał pewnie drwa, karmił psy albo poszedł gdzieś ze strzelbą, a one sobie rozmawiały i było bardzo przyjemnie, bo Pamela tęskniła za towarzystwem, a dla Star była to chwilowa ucieczka od rutyny, od tych samych twarzy i tych samych małych tików, utyskiwań, a także ploteczek i pogłosek, które słyszała już setki razy.

– Nie chciałym, żebyś pomyślała, że nie jestem tu szczęśliwa – powiedziała jej Pamela, kiedy Star po raz pierwszy popłynęła łódką w dół rzeki, żeby trochę odetchnąć, a potem widok dymu i szczekanie psów natchnęły ją myślą, że mogłaby się zatrzymać i choćby przywitać z Pamelą, bo i dlaczego by nie, w końcu obie były kobietami. Właśnie wypłyły po filiżance herbaty i Pamela, podsunąwszy jej przez stół talerz z czekoladowymi ciasteczkami własnego wypieku, napełniła filiżanki po raz drugi. – Bo jestem szczęśliwa. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. Chodzi tylko o to, że Sess... no wiesz, przywykł do samotności, więc czasami ogranicza się do „tak” i „nie” i bez względu na to, co mówię, tylko kiwa głową i kalkuluje, co chciałym usłyszeć w odpowiedzi: „tak”, „nie” czy „być może”. Wiesz, o czym mówię?

Herbata była jak paliwo, tak słodka i mocna, że aż bolały zęby. Star patrzyła przez rzekę tam, gdzie słońce oświetlało pnie drzew jak sztachety w płocie i czarne sylwetki ptaków roiły się jak owady. Wokół panowała cisza, tylko zza chaty dobiegały z przerwami uderzenia młotka Sessa.

– Jasne – powiedziała, wracając duchem do Pameli, do jej opalonej twarzy, połamanych paznokci, dużych, stwardniałych od ciężkiej pracy rąk gładzących filizankę i do oczu, które wyglądały tak, jakby można było w nich zamieszkać.

– I właśnie to mam na myśli, kiedy mówię o Drop City, o tym, że ma się tam zawsze wokół siebie swoich braci i siostry – zwłaszcza siostry.

– I nigdy się nie nudzicie, co?

Twarz Star rozjaśnił jej słynny uśmiech o mocy miliona kilowatów.

– Och nie, nigdy.

– A nie działacie sobie wzajemnie na nerwy?

– Działamy, jasne, że działamy. To jest nieuniknione. Norm mówi, że najtrudniejszą lekcją jest nauka podobnego myślenia, antycypacji, dawania, no wiesz, o czym mówię. I umiejętność płynnego przechodzenia do innego stanu. To też ważne. Czuć to i uświadomić sobie, że nie jesteście już sobą.

– A więc o to chodzi? Właśnie to próbujecie osiągnąć? Zabić własne ego?

To pytanie ją zaskoczyło. Tak naprawdę nigdy nie myślała w kategoriach jasno określonego celu, który można sprowadzić do jednego zdania czy choćby komuś wytłumaczyć – ona raczej dryfowała, podobnie jak wszyscy inni, z nadzieją, że jeśli dopisze jej szczęście, przebije się na „drugą stronę”. Odstawiła filizankę i stuliła dłonie w taki sposób, żeby imitowały kulę ziemską.

– Chyba chodzi o ziemię – odparła. – O przyrodę. No wiesz, odrzucenie dóbr materialnych i życie blisko natury, tak żeby usłyszeć bicie serca Boga, czy jak zechcesz nazwać tę moc: Gaja, jedność bytu, nirwana. I moi bracia i siostry są częścią tego świata, są dla mnie oparciem, a ja jestem oparciem dla nich. No bo popatrz na mnie, siedzę tu nad tą rzeką na końcu świata, w tym zdumiewającym miejscu, i piję z tobą herbatę i jest to coś, czego sama nigdy nie mogłabym zrobić.

– Ale te włosy – powiedziała Pamela. – Co z tymi włosami, tymi dziwnymi strojami i tak dalej? I z narkotykami? Co to ma wspólnego z powrotem do natury? – Przerwała, żeby zapalić papierosa, z tych kupionych w sklepie, w glansowanym kartonowym pudełku. Star przypatrywała się, jak gasi zapalkę i rzuca ją na ziemię, pod stół. – Wiesz, na czym dla mnie polega powrót do natury? Właśnie na tym, na życiu z dnia na dzień, ciężkiej pracy i braniu tego, co daje ziemia, a to nie ma nic wspólnego z malowaniem twarzy, LSD ani ze spodniami dzwonami...

– Nie wiem – Star wzruszyła ramionami – trudno to wyjaśnić. Tak jest po prostu *hip* i tyle.

Pamela obracała filizankę w dłoniach. Teraz ona zapatrzyła się na rzekę.

– Pewnie są różne podejścia – westchnęła.

Star już chciała się zgodzić, ale nie miała pewności, czy ta ostatnia uwaga nie była niezbyt subtelną aluzją w rodzaju: „Są różne podejścia, ale wy jesteście bandą brudasów, cudaków i ćpunów, którzy powinni spakować swoje paciorki i sandały i wracać do Kalifornii, zanim życie da wam tu w kość”. Zamierzała zapytać: „A jakie jest twoje podejście?”, ale w tym momencie przyszło jej do głowy, że Pamela jest właściwie taka sama jak oni. Nie próbowała się wkupić do plastikowego społeczeństwa, nie zamierzała żyć według schematu „od dziewiątej do piątej”, mieszkać w małym różowym domku na przedmieściach i kupować paczkowanego mięsa w folii w supermarkecie. Robiła to już wcześniej, pracowała w biurze w Anchorage i rzuciła to dokładnie tak samo, jak oni wszyscy z Drop City. Była śliczna, inteligentna, wiedziała, czego chce – była też pewna siebie, w tym rzecz, pewna tak, jak Star nigdy nie była, choć chciałaby być. A jak by to wyglądało, pomyślała nagle, gdyby nie było Marca, Norma, Drop City? Czy potrafiłaby ruszyć w świat i przeżyć? Czy byłaby tylko jeszcze jedną cipką świeżo wyklutą z jajka, puszystą, ciepłą i bezradną?

Ale teraz pracowała pod kopułą nieba, przybijając kołkami szerokie pasy folii, żeby zatrzymać ciepło słońca w ogrodzie, pracowała tak samo ciężko jak wszystkie koty i trudno byłoby ją nazwać bezradną. A po uporaniu się z folią miała nosić wiadra wody z rzeki, by podlać każdą roślinę z osobna, potem zaś czekało ją dojenie kóz, gotowanie ryżu z łososiem na obiad, nabieranie wiadra żurawin i włożenie ich do słoików z garścią trzcinowego cukru z dziesięciofuntowych paczek i z dwiema miarkami brandy, no a po zrobieniu tego wszystkiego... no cóż, zobaczy, co jeszcze dzień przyniesie.

– Okropność – westchnęła Merry.

Reba przybiła folię do ziemi zaostrzonym kołkiem.

– Jiminy powiedział, że go popchnęłaś. Wszyscy tak mówią – Bill, Verbie, nawet Niesamowity George. I Pan. Słyszałam, że Pan też był w to zamieszany.

– Jeśli go nawet pchnęłam, to nieumyślnie. Ja go naprawdę lubię, przecież wiesz. Ale czasami jest tak kurewsko, no nie wiem, uparty, jakby miał sześć lat, a nie dziewiętnaście. A co do Ronniego, to owszem, poszłam do jego namiotu. I najaraliśmy się. To wszystko. Ale to nasza sprawa.

– A co z Jiminym? Czy to nie jest też jego sprawa? Czy nie mówiłaś sama, że pora z tym skończyć, z tym spaniem z kim popadnie i tralalala?

Merry spojrzała z drugiego końca folii i oderwała kawałek; Star zobaczyła na czarnej powierzchni światło, które wypełniło zagłębienia w czarnym plastiku jak kałuże oliwy. Po przeciwnej stronie ogrodu stała stara chata, ta, którą pozostawił wuj Norma. Bale poszarzały z latami, z darni na dachu wyrastały drzewka. Za chatą wznosiła się nowa świetlica, kwadratowa budowla jeszcze bez dachu – okorowane bale były żółte jak zęby zwierzęcia i kilkunastu ludzi oblażło wszystkie ściany z piłami, siekierami i młotkami. Star słyszała stłumione uderzenia metalu o drewno, zgrzyt piły łańcuchowej, co jakiś czas czyjeś przekleństwo.

– Nie wiem – powiedziała Merry – może się mylę, ale czy to nie ciebie wiedziałam przedwczoraj, jak wychodzisz z krzaków z Deuce’em? Nad rzeką? Późno wieczorem? Uśmiechnięta?

– Szukaliśmy jagód, to wszystko. Bo jeśli myślisz...

Star widziała, że Reba kłamie, ale właściwie nie robiło jej to różnicy. Jeśli Reba chciała być hipokrytką, to była jej sprawa. I Alfreda. Wyglądziła folię. Wbiła kołek. Popatrzyła na przekopane poletko za nimi, na krwawiące pieńki po ściętych drzewach, które ciągnęły się aż do samej rzeki, i przeczuła, że zbliża się do nich Che, zanim go jeszcze zobaczyła. Wszystkie trzy usłyszały naraz jego niemiłosierny wrzask.

– Zdaje się, Reba, że Che cię potrzebuje – powiedziała.

W tej samej chwili zobaczyły go, rozwścieczoną protoplazmę: biegł przez pole od rzeki, trzymając przed sobą bezwładną rękę i głośno zawodząc. Za nim biegła Sunshine. Między pojedynczymi, urywanymi szlochami wykrzykiwał jej imię – „Reba, Reba” – bo nawet w sytuacjach krytycznych, bez względu na to, co się działo, był na tyle zorientowany, żeby nie mówić do niej „mamo” niczym jakiś tresowany mały zombie z przedmiejskich osiedli domków jednorodzinnych. Che był bachorem niedożywionym i bez szkoły, próbował już dragów, ale tyle wiedział. Reba wstała z klęczek, rysy jej stężyły. Miała na sobie beżowożółtą westernową koszulę z haftowanymi kieszeniami i prawie przez minutę wyjmowała papierosy z jednej kieszeni i zapalki z drugiej, a gdy Che dobiegł do niej, by ukryć wykrzywioną płaczem twarz w literze V, jaką tworzyły jej połączone uda, wypuściła pierwszy kłąb błękitnego dymu.

– Co tam znowu? – zapytała ostro.

Nie mógł jej odpowiedzieć. Dreptał tylko w miejscu, aż folia obwisła i kołki powychodziły z ziemi. Reba wzięła go na ręce, a Sunshine stała podparta pod boki, przepowiadając sobie w myślach swoją wersję zdarzeń. Naga, opalona na brąz, pocętkowana zaognionymi wykwitami ukąszeń setek komarów, była prawdziwym dzikim dzieckiem, wykarmionym przez wilczycę, spijającym spadź i rajskie mleko. Włosy miała skołtunione, splątane, splóviałe od słońca. Oczy czujne.

– Ja nic nie zrobiłam – zaprzeczyła, kiedy jej brat wyplakał swoje oskarżenie w łono matki. – To on. On sam to zrobił.

Skądś z daleka dobiegł krzyk. Star zignorowała go. Są zajęte, czy ludzie tego nie widzą? Była robota do wykonania i nie miały cierpliwości do wrzeszczących dzieciaków i ciągłych katastrof. Czy naprawdę nie było nikogo, kto mógłby znaleźć chwilę, żeby usiąść i poczytać tym dzieciom księżkę? Czy naprawdę to takie wygórowane żądanie?

Ale krzyki były coraz głośniejsze i coraz bardziej wściekłe.

– Star! – wołali. – Star!

Odwróciła głowę i zobaczyła grupkę ludzi biegnących z dwoma żółtymi psami na czele do koziej zagrody. Mięśnie psów pracowały miarowo. Reba rzuciła papierosa, łkania uwięzły Che w gardle – całe bolesne rozedrganie chłopca znikło nagle. Star zerwała się równocześnie z Merry. Czarna folia falowała u ich stóp jak morze.



Kozy umieszczono w prowizorycznej zagrodzie zrobionej z długich na osiem stóp brzoźowych i topolowych pni przymocowanych do wysokich słupków; planowali, że na zimę położą dach i przekształcą zagrodę w obórkę – odbyła się w tej sprawie cała burzliwa debata, bo nikt nie wyobrażał sobie, żeby kozy zasmradzały chaty, beczały i sypały bobkami, ale też nikt nie kwapił się do stawiania obórki, kiedy było tyle nieskończenie ważniejszych rzeczy do zrobienia – takich jak budowa chat, instalowanie pieców i rąbanie drzewa, żeby nie marzły im pieprzone tyłki, kiedy nadejdzie zima. Star rozumiała, że są pewne priorytety, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Nie oglądając się na innych, budowała obórkę sama, posługując się siekierą i zwojem starego sznura do suszenia bielizny. Namiot, który dzieliła z Markiem, przylegał do zagrody, więc mogła doglądać swoich podopiecznych także wtedy, gdy świat zalewała szara lura nocy.

Psy zaczęły szczeakać, ich zdyszane wściekłe ujadanie niosło się nad rzeką i powracało echem. Frodo próbował się dostać górą do zagrody. Star rzuciła młotek i puściła się pędem w tamtą stronę. Wszyscy krzyczeli, tłoczyli się wokół ogrodzenia, jakby byli na rodeo, zadek Froda zawisł na chwilę nieruchomo w górze, a potem zniknął, Freak próbował się wspiąć po poprzecznych drągach, ale spadł. Nie widziała, co się tam dzieje, kozy beczały – a właściwie wyły, tak przeraźliwych jęków nigdy nie słyszała ani nawet sobie nie wyobrażała – i jakiś ruchomy kształt, który widać było to tu, to tam, śmigał z jednego końca zagrody na drugi. Kiedy dobiegła, harmider osiągnął apogeum – Jiminy pognał do namiotu Pana po strzelbę, a Marco i Alfredo z kijami w rękach zaczęli przelazic górą, ale nadal nie mogła zrozumieć tego, co widzi, jakby przerwała się łączność pomiędzy jej oczami a tą częścią mózgu, która przetwarza wizualne informacje.

– To niedźwiedź! – zawołał ktoś.

Widziała biel kóz, żółtą sierść psów, brąz miotającego się w szale intruza, który wcale nie był niedźwiedziem, ale czymś zupełnie innym – pazurami, zębami i futrem w furii nieustannego ruchu, któremu towarzyszył przejmujący, głęboki i ani na chwilę niesłabnący głuchy pomruk. Zanim Marco i Alfredo przedostali się do środka, kozy były martwe i wypatroszone, Frodo leżał w piachu z rozszarpanym gardłem, a ów stwór, ta emanacja najgłębszej dziury w najmroczniejszej części ostatniej i najdzikszej twierdzy wzgórz, które jeżyły się wokół niej jak przedpiersia, zignorował dwóch mężczyzn i zniknął, przedzierając się z hałasem przez wysokie zielsko, za pogrążoną w ciszy zagrodą. I później, kiedy już się dowiedziała, co to było – *Gulo gulo*, rosomak, wielka „udoskonalona” łasica, zwierzę tak krwiożercze, że potrafiło podobno odpedzić niedźwiedzia grizzly od zdobyczy – w dalszym ciągu niczego nie rozumiała. Jedyne, co wiedziała, to, że Ronnie trzymał całą swoją broń, wszystkie trzy sztuki, w namiocie nad rzeką – i że nie będzie już kóz, których mogłaby doglądać, ani mleka, ani jogurtu, ani sera. Była taka grupa, z Niesamowitym George’em, Mendocino Billem i samym Normem na czele, która chciała wykorzystać mięso kóz – co było oczywiście pomysłem żalonym, po prostu beznadziejnym. Ich argument brzmiał: po co mięso ma się zmarnować? – ale ona napadła na nich z taką samą furią jak rosomak na kozy.

– To może wobec tego obedrzemy ze skóry Froda? – pytała.

– Dlaczego by nie zjeść jego?

Doły wykopała sama. Marco stał w pewnej odległości, z poważną twarzą, z opuszczonymi rękami, ale nie pozwoliła sobie pomóc. Ziemia była twarda jak skała. Komary piły krew bez litości. Pot szczypał ją w oczy, końcówki włosów przylepiły się jak macki do szyi. Przywlokła martwe kozy – Amandę i Dewlap, tak, mogła je odróżnić, nawet teraz, kiedy nie miało to już żadnego znaczenia i ich oczy były zamknięte dla świata – przywlokła je i pogrzebała.

Rankiem, kiedy tam wróciła przez wybijające zielsko, żeby położyć parę kwiatów na gołej ziemi, zebrać siły, pocieszyć się w myślach, że to wszystko zmierza ku dobremu, jest częścią planu, naturalnym strumieniem zdarzeń, nie było w tym miejscu niczego oprócz dwóch pustych jam i długich bruzd wrytych pazurami w piachu.

Ronnie i Verbie nie wrócili, tak jak planowali, w czwartek wieczorem, nie pojawili się też w piątek. Ludzie zachodzili w głowę, co się mogło stać, wreszcie zaczęli się martwić. Znaleźli się w niebezpiecznym, pełnym niespodzianek regionie dzikiej, nieujarzmionej przyrody i jeśli dotąd, zapatrzeni w siebie, skupieni na swoich rękach i nogach, planowaniu prac budowlanych, łowieniu łososi i zbieraniu jagód na wzgórzach, nie uświadamiali sobie tego w pełni, to atak bestii z leśnej gęstwiny stał się dla nich ostrzeżeniem. To nie była Kalifornia. Nie była to też Indiana, Teksas ani New Jersey. Osiedli w tej krainie i oczywiście zamierzali wytrwać, bo poza wszystkim było tu pięknie, prawie jak w raju, ale teraz wiedzieli już, że także o wiele bardziej niebezpiecznie, niż któremukolwiek z nich się śniło w „dziecięcym” okresie w Kalifornii, kiedy nie mieli większych zmartwień niż to, czy w baku jest benzyna, a w supermarkecie maniok i karczochy. Usypiało ich słońce, tchnienie rzeki, zapach drzew i lepicie ciepłe dni, które nigdy się nie kończyły. Ale teraz poszło na ostro. Teraz już to wiedzieli.

Star wyszła z obozowiska w piątek wieczorem i patrzyła na rzekę z takim napięciem, że aż rozbolały ją oczy. Martwiła się o niego, oczywiście, że się martwiła. Ronnie był dla niej prócz Marca kimś najbliższym i nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby coś mu się stało. Był dla niej swoistym łącznikiem, jedynym ogniwem łączącym ją z przeszłością, z panem Boscovichem, doroczną księgą absolwentów, nawet z jej rodzicami, i choć nigdy nie wracała do tego w myślach, choć nienawidziła tego wszystkiego wtedy i nienawidziła teraz, to im bardziej się od tej przeszłości oddalała, tym stawała się ona dla niej ważniejsza – była w takim samym stopniu nią jak atomy, z których zbudowane są jej komórki, i substancja krwi płynącej w jej żyłach. Potrzebowała tego. Każdy potrzebował. Rozmawiała o tym nieustannie z Markiem, a także z Merry i z Mayą. Aby tu dojść, zostać częścią tej nowej rzeczywistości, robić to, co próbowali robić w Drop City, należało zerwać wszelkie więzi, choćby było to bardzo bolesne – ale nie oznaczało to, że należy odrzucić przeszłość, wymazać ją ze świadomości, jakby nigdy nie istniała. Miała kiedyś na imię Paulette. Chodziła do katolickiej szkoły. Piekła z matką ciasteczka, jeździła na rowerze po lśniących, wyasfaltowanych ulicach osiedla domków jednorodzinnych i wsłuchiwała się, jak opony przy każdym obrocie koła ścierają smołę z nawierzchni, doskonaliła metody uwodzenia chłopców, prowadziła pamiętnik i całymi nocami rozmawiała przez telefon z Nancy Trowbridge i Lindą Sloniker o najważniejszych rzeczach na świecie. To się liczyło. Naprawdę. I Ronnie był tego częścią.

Ale piątek minął i Ronnie się nie pojawiał. Przez całą sobotę lało, ludzie kulili się w namiotach i tłoczyli w jedynej nadającej się do użytku chacie, tej starej, która miała właściwie jedną niewielką izbę, nie większą niż obity boazerią pokoik, w którym ojciec Star i jej brat zasiadali w sobotnie popołudnia na kanapie i oglądali mecze piłki nożnej. Powietrze na zewnątrz było chłodne – temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni – ale w chacie było o wiele za gorąco od pieca, na którym gotowało się etapami przez cały dzień i z powodu nagromadzenia masy ciał ludzkich, porzucanych dookoła niczym jakiś bagaż w przechowalni. Ludzie grali w karty, narzekali na pogodę, ćpali i ogólnie robili z domu bajzel, podczas gdy Star i Merry próbowały znaleźć miejsce, żeby wyczarować gar fasoli i osiem bochnów chleba, który musiał być w tych warunkach zakalcowaty, surowy w środku i spalony od spodu. A czego by nie dały za kilka opakowań tortilli, kupowanych kiedyś w sklepie spożywczym w Guerneville! Norm zaanektował jedyne łóżko w chacie – w końcu należała ona do jego wuja, a duch „komunalny” schodził w takiej trudnej sytuacji na drugi plan – i leżał na nim teraz, podparty na łokciu, z Premstar u boku. Grali w kierki, w jedyłą grę, jaką znała, i kiedy udało jej się zawistować czarną damą, zapiszczała, jakby znów została Miss Watsonville.

Na zewnątrz, w deszczu, Marco, Alfredo i kilku innych – chyba Deuce, Tom Kriszna, Creamola i Foster – ustawiali wielkie stemple, na których miał się oprzeć dach świetlicy; czyż nie będzie przyjemnie mieć trochę miejsca, kiedy pogoda zrobi się naprawdę paskudna? Albo w ogóle mieć jakieś miejsce? Bo ona, Star, mogła się uśmiechać nieustannie – rozciągać swoje urocze usta w grymasie hipisowskiego szczęścia – ale tak naprawdę była o krok od utraty zmysłów i jeśli musiała przestąpić przez kolejną śmierdzącą, bosą stopę czy wyszorować jeszcze jeden talerz z zaschniętymi resztkami jedzenia, bo jakiś idiota porzucił go na podwórzu, nie wypłukawszy uprzednio, to niewiele brakowało, żeby zaczęła krzyczeć, a wtedy poskromiłby ją tylko knebel i kaftan bezpieczeństwa.

Spojrzała w górę i zobaczyła ich w niewielkiej odległości; skuleni przemykali w swych szaroburych ponczach przez błocko, wśród zacinającego deszczu, dźwigając potwornie ciężkie bale. Zapragnęła wyjść i przypiąć im ordery. Wszyscy pozostali odpuścili tego dnia robotę, o ile w ogóle raczyli wyczołgać się ze swoich śpiworów. Reba gdzieś zniknęła, co było właściwie błogosławieństwem, bo przynajmniej dzieciaki nie wpadały co pół minuty z wrzaskiem do chaty i nie wypadały z niej z powrotem. Mendocino Bill pracował z Markiem i innymi całe popołudnie, ale nie znaleźli dla niego dostatecznie dużego poncza, więc teraz siedział pod okapem chaty, wertując zaczytany egzemplarz pisma „Rolling Stone”, i dygotał tak, że aż drżały szyby w oknach. Jego kombinezon przemókł na wylot, bose wykręcone stopy wyglądały jak dwie pecyny gliniastego błota wydobytego z odwiertu. I oczywiście, co najważniejsze, z asłaniał światło, ale Star nie miała serca wytknąć głowy i poprosić go, żeby się przesunął. Odwróciła się energicznie, podeszła do pieca i zanurzyła stertę talerzy w misce z wodą. Jiminy siedział tuż obok na podłodze, hołubiąc swoją rękę w brudnym temblaku i strugając figurki z kawałków olchy – swoje lalki wudu, jak je nazywał. Miał ich już całą kolekcję, po jednej dla każdego brata i każdej siostry z Drop City, choć były tak toporne, że tylko on mógł je od siebie odróżnić. Włosy spadły mu przy pracy na twarz, zasłaniając ją całkowicie.

W wyobraźni Star pojawiła się wizja przyszłości, zimy bez muzyki, codzienności mdłej i ciastowatej, z działającymi sobie wzajemnie na nerwy ludźmi stłoczonymi w na pół ukończonych chatach bez bieżącej wody i toalet, z padającym śniegiem i wichrem wyjącym nad wierzchołkami drzew, jakby nadchodził koniec świata. Przez chwilę myślała o tej ponurej perspektywie, potem się z tego otrząsnęła.



– Wiecie co? – powiedział Norm podniesionym głosem, żeby przebić się przez trzask ognia buzującego w piecu i monotony szum deszczu. – Ktoś powinien wsiąść do łódki i popłynąć do Boynton. To znaczy, żeby zobaczyć, co się dzieje z Panem i Verbie, bo jestem absolutnie pewien, że przynajmniej Verbs nigdy nie przysporzyłyby nam kłopotu i nie zwlekałyby z dostarczeniem szyb, nowych brzeszczotów, paliwa, strugów, dłut i całej reszty rzeczy, które są nam tak strasznie potrzebne... chyba że z jej matką jest, no nie wiem... gorzej, niż myślała. – Tu spojrział na Angelę, która siedziała wciśnięta w kącie obok Jiminy'ego i rozwiązywała coś w zbiorze krzyżówek, które były już wymęczone, wypełnione i wymazane przez tuzin innych rąk.

Angela nie podniosła nawet głowy; można było pomyśleć, że Norm mówi o czyjejś innej matce. Ale też co mogła zrobić – popłynąć osobiście tą łódką? Polecieć do Boynton na skrzydłach?

– Wszystko będzie dobrze – odezwał się Jiminy. – To przez tę pogodę.

– Ale dlaczego nie wrócili wczoraj? – zapytała Star. – Albo przedwczoraj?

Stała teraz przy stole i usiłowała zrobić sos salsa z konserwowych pomidorów i żółtej cebuli, która straciła jędrność i której łupina zmieniła się w czarną zapleśniałą błonę. Sama myśl o chili czy kolendrze wydawała się tu żartem. Pan i Verbie mogli utonąć, i to z łatwością. Właściwie zakrawało na cud, że za pierwszym razem udało im się dotrzeć na miejsce w komplecie, nawet biorąc pod uwagę pomoc Joego Boskiego, który musiał obracać pięć czy sześć razy ze sprzętem, ludźmi i zapasami żywności, podczas gdy łódki parły pod prąd, a Norm odliczał kolejne stówki, aby śmigła się obracały i pływaki podskakiwały na wodzie przez całe jedno rozgorączkowane popołudnie i noc, której nie było.

Teraz Premstar skupiła się na kartach, a inni po prostu gapili się przez otwarte drzwi, zahipnotyzowani padającym deszczem. Norm zgiął rękę, po czym zerknął na Star i podrapał się w zadumie w brodę.

– Chyba najlepiej zwołać zebranie – powiedział w końcu.

Star podążyła za jego wzrokiem i spojrzała w rozciągającą się za drzwiami przestrzeń zniekształconą przez ulewę.

Następny ranek był pogodny, słońce stało już wysoko i prześwietlało cienki niebieski nylon namiotu, gdy obudziła się u bolcu Marca, z kwaśnym posmakiem w wyschniętych ustach i z barkiem sztywnym w miejscu, gdzie świerkowe wióry wrzynały się jej w ciało przez cienką powłokę śpiwora. Wszystko było wilgotne i cuchnące. Star ociekała potem, bo śpiwór był dobry na temperaturę trzydzieści stopni poniżej zera, a wieczorem zasunęła zamek do końca, bo tak dygotała, że rozbierając się, nie mogła ustać na nogach. Padało jeszcze, kiedy się położyła, prawie godzinę po tym, jak pojawił się Marco, i nie mogło wtedy być mniej niż jakieś siedem stopni, ale namiot był jak pojemnik na mięso i właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, kazało jej docenić całotygodniowy, zbiorowy wysiłek, który wszyscy wkładali w budowę chat. W pracę zespołową. Braci i siostr. Pracujących razem, w myśl zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Marco opowiadał jej, że można tu było spotkać starych traperów, zimujących w brezentowych namiotach, w których był tylko żelazny piecyk i trochę rozłożonych płasko kartonowych pudeł dla ochrony przed wiatrem, ale nie mogła sobie tego wyobrazić. Zimować w namiocie? Na śniegu? Przy minus czterdziestu pięciu, pięćdziesięciu stopniach? To właśnie tu przekraczało się granicę pomiędzy samowystarczalnością a ascetyzmem – więcej, męczeństwem – a ona nie zamierzała się udręczać. Nie widziała nic złego w wygodzie, w ścianach grubych na dwanaście cali, porządnym palenisku i stercie śpiworów, w których można się było zagrzebać i przesypiać całe godziny, podczas gdy na zewnątrz rosły zasypane śniegiem, a wiatr śpiewał w wierzchołkach drzew. I dlaczego by nie dodać do tego obrazka filiżanki gorącej czekolady – no i jeszcze dobrej książki?

Już rozplanowali, gdzie staną chaty, siadali w tych miejscach, żeby podziwiać widoki, jakie będą mieli z ustawionych w półkole czworokątnych domków z okorowanych bali, domków jak z książki z obrazkami. Zamierzali zabrać się do ich budowy natychmiast po ukończeniu świetlicy. Wielkim pytaniem pozostawało, jak podzielią między siebie mieszkalną przestrzeń. Kto będzie mieszkał z kim i czy zanim skończy się zima, nie pozamieniają się miejscami, jeśli komuś naprawdę odbije. Była przekonana, że ona i Marco zamieszkają z Merry i Jiminym, na pewno, no, może jeszcze z Mayą i z jednym z niezaangażowanych chłopaków – ale mieszkać w czwórkę byłoby miło, a we dwójkę jeszcze milej.

Przeciągnęła się, uważając, żeby nie obudzić Marca. Leżał skulony daleko od niej, wyczerpany całodzienną pracą w deszczu, obleczony jak nieboszczyk w swój wytarty, wojskowy śpiwór z demobilu. Poprzedniego wieczoru był tak wykończony, że nie poszedł na zebranie, a przy kolacji ledwie mógł podnieść widelec do ust, puszczał mimo uszu wszelkie żarty, uwagi i błyskotliwe teorie, które tak ożywiały każdy posiłek i umacniały poczucie wspólnoty. Pomyślała, że wyślijnie się do chaty, żeby zobaczyć, co Dunphy i Erika wymyśliły na śniadanie (dziś była ich kolejka, mogła więc prawie w ciemno powiedzieć, że będą placki, z plastrem boczku dla „mięsożerców”), i przynieść mu jedzenie do namiotu. Śniadanie do łóżka, witaj, dzień dobry, jak się czujesz w tym pięknym dniu, mój ukochany?

W nocy musiała ściągnąć z siebie T-shirt, w którym zwykle sypiała, choć nie przypominała sobie, aby to zrobiła. Nie przypominała sobie też, kiedy odsunęła zamek błyskawiczny w śpiworze – jej myśli płynęły wolno, jakby mózg był tylko częściowo napełnionym naczyniem, a każda myśl sączyła się opornie jak z ciekącego kranu. Poprzedniego dnia paliła trawę i hasz, który Alfredo puścił w obieg po zebraniu – i gdy leżała teraz, zapatrzona w intensywny nieziemski błękit kopuły namiotu, czuła się wyczerpana i ospała, jakby jeden z wampirów Niesamowitego George’a wśliznął się do namiotu w środku nocy, wypił jej krew i wpompował w żyły piasek.

Wydawało się, że samo przyjęcie pozycji siedzącej trwało wieki – czyżby to zapach kawy uchodził z chaty i snuł się po zboczach, docierając aż tutaj? – a potem nagle uderzyła ją myśl, że nie byłoby dziś mleka do kawy, gdyby nie produkowali go w proszku i nie puszkowali, gdyby nie fabryczka Elsie Borden upchnięta gdzieś w epicentrum przeżartego rdzą, militarno-przemysłowego kompleksu, przed którym oni wszyscy tu uciekli. Kozy nie żyły, taka była rzeczywistość. W jednej chwili skubały trawę i delikatne kłacza różnych roślin, potrząsając z wdziękiem łbami i wpatrując się szparkami oczu w dal, w jakimś głębokim kozim transie, a już w następnej leżały na ziemi, rozprute i przenicowane jak para okrwawionych skarpet. I Frodo. Wszyscy kochali tego psa. Można było rzucić krążkiem frisbee na odległość stu, dwustu stóp i za każdym razem zdążył go złapać, w jakiś magiczny sposób, jakby płynął w powietrzu. Nauczył się nawet uśmiechać, jak to potrafią niektóre naprawdę wyjątkowe psy: podnosił łeb i obnażał zęby w niesamowitej, psiej parodii ulubionego pozdrowienia gatunku, do którego należał jego pan. Frodo też nie żył. No i Ronnie – co z Ronniem? I z Verbie?

Postanowili wszyscy, że jeśli tych dwoje nie wróci do południa, ktoś będzie musiał popłynąć łódką w dół rzeki i zobaczyć, co się stało, czy to tylko jakieś problemy z dowiezieniem szyb i materiałów budowlanych, bo nawalił studebaker, mieli jakieś kłopoty z silnikiem w motorówce, łódź przeciekała lub rzeka była niespokojna – czy też chodziło o jakąś mroczniejszą prawdę, o której nikt nie chciał tak naprawdę myśleć. Kto jednak miałby popłynąć? Nie mogli właściwie wysłać nikogo, bo trwał wyścig z czasem i każda para rąk, a nawet jedna ręka Jiminy’ego, była na wagę złota. Wreszcie zgłosiła się na ochotnika Angela – chodziło w końcu o jej siostrę, o jej matkę – na co Bill oświadczył, że popłynie z nią, żeby mieć pewność, że dziewczyna nie zabłądzi, bo w końcu dopiero niedawno wyszła z tego więzienia, jakim było całe jej dotychczasowe życie w Pasadenie, i wobec tego jej wyobrażenie o pierwotnej przyrodzie nie przekraczało granic wyznaczanych przez wrażenia z wycieczki do rezerwatu Griffith Park.

To była rzeczywiście kawa. Żaden zapach na świecie nie dorównywał jej aromatom. Star wyswobodziła się ze śpiwora, wierzgając nogami, wciągnęła na siebie bieliznę i szorty, wszystko tak mokre, że można by tym wytrzeć linoleum w jej dawnym domu, potem włożyła bardzo brudny, ręcznie farbowany T-shirt, który mógł należeć do Marca – dwa pociągnięcia nosem: tak, należał do niego – i schyliła się, żeby zasnurować buty. I właśnie wtedy zwyczajne dźwięki – szum wiatru w olchach, wierzbach, topolach i świerkach, chaotyczne skargi ptactwa, szmer rzeki – zaczęły się mieszać z czymś innym, czymś nienaturalnym, wytwarzanym przez człowieka, odgłosami jakby wiercenia, monotonnym warkotem silnika spalinowego.

Wyszła z namiotu akurat w porę, żeby zobaczyć, jak samolot Joego Bosky'ego znika niczym srebrzysta smuga za zasłoną drzew rosnących wzdłuż rzeki, a potem wynurza się i ślizga po wodzie na dwóch błyskających parabolach światła. Silnik zazgrzytał i zgasł, samolot obrócił się i siła rozpędu wyniosła go na łachę żwiru tuż przed chatą. Zanim Star tam dobiegła, Ronnie był już na brzegu i zabezpieczał samolot liną, okręcając ją wokół wielkiej kłody. Nastąpiła chwila martwej ciszy, po czym refleks słońca błysnął w drzwiach samolotu i zgasł i obok Ronniego pojawił się Joe Bosky w panterce i w czarnym berecie. Obaj śmiali się z czegoś serdecznie.

Było jeszcze wcześniej – nie dalej niż siódma – ale inni też usłyszeli warkot silnika i wychylali głowy z namiotów albo stali już na zewnątrz, oszołomieni, boso i w bieliźnie. Star, także zaspana, dobiegła do rzeki pierwsza, wysoka trawa łaskotała ją po łydkach, owady pryskały spod nóg jak kolorowy wirujący deszcz iskier. Z głębi chaty dobiegło ostre, wstępne szczeknięcie Freaka.

– Ronnie – zawołała, wyciągając do niego ręce. Twarz jej jaśniała, rozpromieniła się po prostu, jakby wbrew własnej woli. – Martwiliśmy się o ciebie.

Ronnie, Pan, nie uśmiechnął się ani nie odezwał słowem. Nie ograniczył się też do żadnych braterskich czy siostrzanych uścisków, nie tym razem, tylko objął ją, przyciągnął do siebie i ścisnął tak, jakby zamierzał ją zmiażdżyć. A potem, zanim zdążyła zareagować, przegiął jej głowę do tyłu i pocałował ją mocno w usta, zbyt mocno i zbyt długo, tak że musiała go w końcu odepchnąć. Tymczasem Joe Bosky stał, szczerząc zęby, jakby to był jakiś peep-show lub coś w tym rodzaju.

– A ja dostanę całusa? – zapytał.

Pocałunek Ronniego miał smak alkoholu, papierosów i wielu nieprzespanych nocy.

– Chryste – powiedział Ronnie. – Wyglądasz koszmarnie.

Przyłożyła rękę do skroni i odrzuciła do tyłu włosy, bezbronna, jak zawsze bezbronna w takich sytuacjach.

– A jak mam wyglądać? Właśnie wstałam. Nie zdążyłam się nawet uczesać ani umyć twarzy.

– Dla mnie ona wygląda okej – rzekł Joe Bosky. – Tylko posmarować masłem i wcinać cały dzień.

Jego uśmiech nie zniknął, oczy drgały, jakby ktoś je smagał od wewnątrz biczem. Miał u pasa pistolet, tak samo jak Ronnie, i podwinął rękawy koszuli, żeby wyeksponować swoje bicepsy. Patrzył na nią przez chwilę z lubieżnym uśmiechem, potem założył na nos okulary lustrzanki, zza których nie było widać oczu. Był najarany, nie ulegało wątpliwości, pilotował samolot zdrowo najarany, tak samo jak Ronnie. Zobaczyła wszystko w jednej sekundzie, pieniądze na ladzie, świńskie dowcipy, klepanie po plecach, cygara i skręty, jeszcze po jednym, hej, bracie, lećmy w górę rzeki i spadnijmy z nieba na Drop City.

– A gdzie jest Łódź? – zapytała. – Gdzie Verbie?

Ronnie rzucił jej spojrzenie, jakie znała z Kansas, z Denver, z Tucumcari, Nowego Meksyku – biedny Ronnie, wykorzystywany Ronnie, Ronnie udreżony i wieczny cierpiętnik.

– To głupia cipa – powiedział. – I przykro mi, ale nie mogłem już tego wytrzymać.

– Ach, tak? No i?



Bosky przestępował z nogi na nogę. Twarz miał kamienną, ręce przyciśnięte sztywno do boków. Star czuła, że Ronnie już nie jest z nimi, przynajmniej w tej chwili. Zaczął coś mówić, ale zamilkł w pół słowa. Jego oczy były jak twarde, małe pinezki wbite w korkową planszę twarzy; zbyt dużo paliwa, zdecydowanie za dużo. Zerknął w bok, na zaspanych ludzi, którzy wysypywali się z namiotów, drapiąc się sennie po głowach i podciągając spodnie jak ruszający do tańca wieśniacy. Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem jej, żeby wzięła łódź i wracała beze mnie. Już tu płynie, z Harmonym, z Alice i z częścią... w każdym razie z szybami. Przelatywaliśmy nad nimi. Przynajmniej mi się zdaje, że to byli oni.

Drzwi chaty otworzyły się raptownie przy tym ostatnim, wyjaśniającym zdaniu i przez podwórko puścił się pędem Freak, wydobywając z siebie serię wysokich, żałobnych szczęknięć – tak, tak, zwierzęta potrafią oplakiwać, wierzyła w to głęboko – a gdzieś w tle rozległ się donośny głos Norma:

– No niech mnie powalą konopie, wrócił, syn mamotrawni wrócił, i to w samą porę, żeby zdążyć na śniadanie!

Po chwili sam Norm pojawił się na werandzie w porozpieranym kombinezonie, z owłosioną klatką i sterczącymi brodawkami.

Ronnie pomachał mu ręką, Joe Bosky podniósł leniwie dłoń, po czym obaj wrócili do samolotu i zaczęli wyładowywać to minimum, które Ronnie uznał za stosowne przywieźć. Przede wszystkim plecak, obiecująco pękaty. Potem broń – strzelby, własność Norma i jego wuja. Dlaczego wziął z sobą obie? Jedna kula mogła powstrzymać zwierzę, które zabiło kozy. Potem pojawiło się białe laminowane pudło z dwoma uchwytnymi i nadrukiem: POCZTA USA. Przynajmniej nie zapomniał o poczcie, przynajmniej to należało docenić. Ludzie kręcili się dookoła niecierpliwie, każdy wypatrywał tego, co zamówił, czasopism i batoników, cieni do oczu, miodowo-ziołowego szamponu i całej reszty. Ale Pan zakończył na pudle z pocztą i odwrócił się od samolotu z pustymi rękami, przykro mi, kochani, przyjdźcie jutro, wszystko już sprzedane. Star obserwowała go, jak szamocze się ze swoim plecakiem, z pistoletem przytroczonym do jednego uda i wielkim nożem w pochwie przy drugim, patrzyła na jego „wyjściowe” buty z prawdziwej cielęcej skóry, z tępyimi czubkami i piętrowymi obcasami, pociemniałymi od rzecznej wody, na roboczą koszulę rozpiętą do czwartego guzika i trzy sznury paciorków na szyi – z których dwa nawłokła mu sama podczas długich, beczynnych godzin, kiedy jechali przez martwą strefę wielkiej równiny – i pomyślała: to już koniec. Już po nim.

Ale tu ją zaskoczył. Podniósł plecak, zarzucił strzelby na ramiona, odwrócił się do tego z braci i sióstr, kto stał najbliżej – był to Tom Kriszna, Tom ze spuszczoną nieśmiało głową i aluminiową mandalą, połyskującą w słońcu na jego szyi – i powiedział do niego tak, żeby wszyscy mogli usłyszeć, że cała reszta zakupów jest w łodzi, bez obaw, po prostu mogli tylko tyle wziąć do samolotu.

– Ale przywieźliśmy pocztę – powiedział i kopnął tekturowe pudło mokrym czubkiem buta.

Ranek rozrósł się i okrzepł. Star przyniosła do namiotu talerz z jedzeniem i kubek kawy i patrzyła, jak Marco je łapczywie, połykając wielkie kęsy. Jego smukły tors niknął w fałdach śpiwora i wyglądało to tak, jakby zostało z niego tylko to, co było widać na zewnątrz. Wyarł do czysta talerz i zapalił papierosa, nie zmieniając pozycji.

– Włożyłaś moją koszulę? – zapytał.

– Aha – odpowiedziała i poszła po dokładkę.

Tymczasem wszyscy już wstali i wcinali placki, tankowali kawę bez mleka i wertowali pocztę w pudle, które Tom Kriszna umieścił na piknikowym stole. Dla niej nie było nic – sprawdziła to już wcześniej – nie było też nic dla Marca, bo znaleźli się na końcu świata i nikt, a już na pewno nie ich rodzice, nie wiedział, gdzie są. Nałożyła górę placków, poląła obficie syropem i postanowiła w duchu, że musi znaleźć czas, żeby napisać do ludzi – do matki, Sama, JoJo, Suzie – bo byłoby miło dostać od czasu do czasu list, korespondować, potwierdzić, że istnieje jakiś świat gdzieś poza chłodnym nurtem rzeki. Kiedy wracała z pełnym talerzem, wyszło zza chmur polarne słońce i przyszpiliło jej cień do ziemi.

O dziesiątej „komunalny” termometr, który Norm przybił do drzwi chaty, wskazywał piętnaście stopni i cała wspólnota, nawet Jiminy ze swoim temblakiem, nawet Premstar, zebrali się w słońcu, skupieni na najpilniejszym zadaniu: położeniu dachu i uszczelnieniu szpar w ścianach świetlicy.

– Ostateczny retusz! – zaśpiewał Norm; rozsmarowując grubo gliniaste błoto. – Oto pierwszy i najważniejszy budynek Drop City Północ powstaje tu na waszych niedowierzających oczach. I co o tym myślicie, kochani?

W rzeczywistości nie oczekiwał odpowiedzi – Norm mówił po to, żeby usłyszeć swój głos, i to było jego główne zajęcie jako guru i cheerleadera – ale ludzie czuli się dobrze, zapanował niefrasobliwy, wręcz świąteczny nastrój. Wszyscy byli usmarowani błotem – a raczej ciężką, tłustą gliną wykopaną za zagrodą dla kóz i wymieszaną w odpowiednich proporcjach z wodą w korycie zrobionym ze starych desek – bo stoczono co najmniej dwukrotnie walkę, ale mimo to kielnie pracowały jak się patrzy, a smoliście czarne szczeliny pomiędzy balami zamieniały się w długie, piękne poziome paski ochry, twardniejące na słońcu – i tak, Virginio, to powinno nas zabezpieczyć przed wiatrem przez całą zimę. Podpory dachowe – cały ich las z białego świerku, okorowanego, lśniącego i tak prostego, jakim natura i odrobina heblowania mogła go uczynić – podawano Marcowi i Tomowi Krisznie, którzy wstawiali je, podpierając ściami dachowe, bez gwoździ, bez podwiązywania, bez blaszanych złączek, obejdzie się, gdyż sam ciężar darni – wielkich torfiastych płatów grubych na dwie stopy, z trawą, kwiatami i zielskiem porastającym je jak sierść – wiązał wszystko i nie pozwalał się rozpaść konstrukcji. Taka była przynajmniej teoria.

Star pomogła Erice i Dunphy przygotować sześćdziesiąt kanapek z masłem orzechowym i z dżemem, sałatkę owocową – dwa rodzaje jagód, brzoskwinie Del Monte z puszki i pokrojone jabłka plus pięć galonów wiśniowego Kool-Aid, lekko doprawionego kwasem tylko po to, by wytworzyć przy tej uroczystej okazji odpowiednią atmosferę, a Tom Kriszna zadbał o muzykę, ustawiając małe przenośne radio Sears Roebuck zasilane z samochodowego akumulatora, którego należało używać oszczędnie, ludzie, bo nie można go było doładować. Muzyka – tak nieoczekiwana, tak dezorientująca, tak mocna i wszechogarniająca – wprawiła ich w stan euforii. Chwycili się pod ręce, żeby wykonać krótki taniec, potem wrócili do obrzucania się gliną, a wreszcie zjedli po kanapce i napili się Kool-Aid, i cały czas towarzyszyło im jednostajne dudnienie perkusji Grateful Dead i brzęk stalowych strun, kojarzący się z deszczem tłuczonego szkła. *Przyjaciel diabła jest moim przyjacielem.* Star ścisnęła się ze wszystkimi i całkiem zapomniała o kozach, o Ronniem, który wczuł się do namiotu, żeby się przespać, zapomniałaby też o Joem – wyjątkowej mendzie – gdyby nie pchał się jej przed oczy, gdziekolwiek się obróciła. Cały czas żłopał Kool-Aid, pożerał kanapki i kołysał się w rytmie muzyki, jakby balansował na słupie, posyłał jej całusy i popisывał się do znudzenia, zonglując siekierą i parą kuchennych noży.

Nic jednak nie mogło zepsuć jej radosnego nastroju. To wszystko przypominało święto z okazji zakończenia budowy stodoły, coś, co znała ze starych ksiązek, a teraz przeżywała to wraz ze wszystkimi w rzeczywistości. Wskresili tę tradycję tu i teraz, bo rzeczywistość nigdy nie była aż tak nowoczesna, żeby nie można było cofnąć się o krok.

– To zupełnie jak tradycyjna uroczystość zakończenia budowy stodoły – powiedziała głośno, nie adresując tego do nikogo konkretnego, i tak jej się spodobało to spostrzeżenie, że powtórzyła to samo kilka razy, ale nikt właściwie nie zwracał na nią uwagi, bo każdy zdążył już odjechać na własną rękę i był to odjazd połączony z uszczelnianiem, odjazd z kładzeniem dachu, dwa kroki i obrót, a jedyną osobą, która zareagowała, był Joe Bosky, zonglujący tuż obok niej swoim toporkiem i nożami.

– To prawda, skarbie, a ja poszedłbym z tobą do tej stodoły, kiedy byś tylko zechciała.

Było późne popołudnie, świetlica została uszczelniona od środka i od zewnątrz, dach położony i pokryty darnią, tak że wyglądał, jakby kawał łąki wzbil się w powietrze i unosił się nad chatą niczym przybrany kwiatami latający dywan – i to był, jak stwierdzili wszyscy, prawdziwy odlot. Nikt nie pomyślał o Verbie. Dziewczyny gotowały obiad – filety z łososia natarte koprem i upieczone na ruszcie, z dodatkiem brązowego ryżu, z żurawinami i musztardą własnego wyrobu. Wszyscy byli rozluźnieni i nabrali pewności siebie. A więc dokonali tego. Przybyli tu z daleka i zaczęli wznosić wszystko od podstaw, z dostępnego budulca – darmowego, dostarczanego przez naturę – a jeśli umieli zbudować jedną chatę, to mogli ich postawić więcej. Dlaczego by nie cztery, pięć czy sześć? Dlaczego by nie zbudować całego obozu, jak Minewa, gdzie dziewczyny mieszkały po cztery w chacie, gdzie były piętrowe łóżka i mnóstwo przestrzeni dla wszystkich? Marco mówił o wędzarni, Norm zaś nalegał, żeby zbudować saunę, a może nawet łaźnię z wanną i podczas posiłku wygłosił długą, napędzaną kwasem mowę o Finach, gorących kamieniach i jeszcze gorętszej wodzie, o izbach, w których plemię Chippewa odprawia rytuały oczyszczenia. Mówił tak długo, aż zachrypl. Jasne, zgodzili się wszyscy. Jasne, czemu nie? Bo nie było takiej rzeczy, której nie potrafiliby zrobić i jeśli ktokolwiek jeszcze w to wątpił, to wystarczyło spojrzeć na świetlicę, która stała dumna tam, gdzie wcześniej były tylko zarośla, drzewa i sterty szarych kamieni. Wszyscy zatem byli uśmiechnięci, i to nie tylko pod wpływem działania kwasu. To było coś autentycznego. Coś rzeczywistego. A Verbie? Verbie już przecież płynęła w górę rzeki.

Star krzątała się na zewnątrz, szykowała wielki, zrobiony z kłód stół piknikowy do obiadu, kiedy wysoki, przenikliwy jęk silnika motorówki przebił się przez zaporę drzew. Verbie; pomyślała. I Harmony, Alice, szampon, czasopisma, zamówione przez nią baterie do latarki i czekolada – dałaby się teraz zabić za czekoladę.

Zostawiła robotę i pobiegła w stronę rzeki.

Zastała tam już kilka osób, bulgocząca, pomarszczona tafla wody odbijała światło, niebo pocięte było w pasy chmurami i wyglądało jak jeden z tych obrazków do kolorowania, których jako dziecko nigdy nie miała cierpliwości dokończyć. Niesamowity George tkwił bez butów na skale pośrodku rzeki, mokre włosy przylepiły mu się do pleców jak splątane, ciemne wodorosty, obok niego stała zanurzona po pas Erika, a przy niej pies, Freak, machał kikutem ogona. Było jeszcze ciepło, bardzo ciepło, zupełnie jak w pełni lata na Jersey Shore. I właśnie to przyszło jej nagle do głowy – Jersey Shore, ona, Ronnie, Mike, JoJo i jeszcze parę innych osób z kamiennych domków, weekend, który spędzili, biwakując na plaży, słońce i sól schnąca na skórze, ogniska w nocy, małże duszone we własnym sosie – gdy łódź podpłynęła bliżej i Star uświadomiła sobie, że przy rumplu nie siedzi ani Harmony, ani Verbie, ani Alice. Verbie, owszem, siedziała na dziobie, blada maska jej twarzy huśtała się w górę i w dół, ale kto siedział w środku i kto na rufie?



Silnik buczał monotonna. Łódź zbliżała się do brzegu. Star odwróciła głowę i spojrzała lęklonie przez ramię, na Marca i Alfreda, którzy klęczeli na dachu świetlicy i sprawdzali jakość roboty. Miała ochotę zawołać do nich: „Popatrzcie, kto przypłynął!” – ale powstrzymała się. Kilka innych osób podniosło głowy, żeby spojrzeć z zainteresowaniem, bo fakt przybycia samolotu i łodzi jednego dnia był czymś nadzwyczajnym, i Star zauważyła, że twarze im się rozjaśniły: Jiminy i Merry stali w drzwiach świetlicy, Mendocino Bill i Creamola przerwali grę w podkowy, Premstar z włosami upiętymi w kok i z kolorowym czasopiśmem w dłoni wyskoczyła z hamaka, który rozpiął dla niej Norm. Podmuchał wiatru przeciągnął nad rzeką, poruszając gałązkami przybrzeżnych wierzb. Freak zaczął szczeekać.

Odwróciła się akurat w chwili, gdy łódź wśliznęła się za skałę, na której Niesamowity George machał rękami i wykrzykiwał coś niezrozumiałego, zagłuszany warkotem silnika. Przez chwilę zasłonił jej widok. Potem łódź wystrzeliła do przodu i Star zobaczyła wreszcie, kto stoi przy środkowej ławce: nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby był to sam Richard M. Nixon.

– Dale! – zawołał ktoś. – Hej, Dale!

A potem, zanim zdążyła pomyśleć czy zareagować, zobaczyła Sky Doga, który przemknął jej przed oczami z jedną ręką na rumplu, unosząc drugą w geście pokoju.

Gadali bez przerwy, nawijali jak najęci i gdyby nie wiedział, jak jest naprawdę, mógłby pomyśleć, że właśnie wypuścili ich z oddzielnych klatek, gdzie jedno uderzenie w stalowe pręty oznaczało „tak”, dwa uderzenia „nie”. Był to rodzaj werbalnej biegunki – jakichś drużynowych zawodów – Sky Dog wchodził pospiesznie w lukę, gdy Dale Murray milkł dla zaczerpnięcia oddechu, i odwrotnie. I ludzie chcieli tego słuchać, chłonęli każde słowo, bo była to odmiana, wieczorna rozrywka. Nikt nie odchodził od stołu. Butelka chałupniczo warzonego piwa krążyła z ręki do ręki, od ust do ust. Norm wyjął nową paczkę papierosów, wziął jednego i puścił resztę w obieg. Ości i skóra łososia przywierały do talerzy, resztką ryżu schła w garnku, muchy brzęczały, roje komarów wisiały w powietrzu jak festony. Ludziom płonęły oczy. Śmiali się, przekomarzali, kładli sobie ręce na ramionach, siedzący przy stole wyglądali jak replika *Ostatniej Wieczery* Leonarda, z tym że Chrystusów było dwóch: Dale Murray i Sky Dog.

– I to był prawdziwy odjazd z tym całym motorem, bo w... gdzie to było, Dale?

– W Dawson.

– Bo w Dawson nigdy wcześniej nawet nie widzieli hondy, a zwłaszcza takiej bestii jak ta, siedemset pięćdziesiątki z owiewkami, całej w chromie i w ogóle. I pierwszy facet spotkany w saloonie proponował mu dwa dwieście – Kanadyjczyka Dale, mówię wam, Dale nawet się nie obejrzał.

– To prawda. Tak było.

Marco poprawił się na twardej ławce z rozłupanej kłody i pomyślał, że nie zachwycają go te opowieści o heroicznym wyczynach i wszystkie te uśmiechy, przytakiwania i uwagi słuchaczy, wręcz przyklejonych do swoich miejsc. Pomyślał, że tych dwóch powinno zostać w Dawson czy w Whitehorse, gdziekolwiek, byleby nie przyjeżdżali tutaj. Pojawili się tu jak zdobywcy, jak bohaterowie, kiedy najgorsza robota została odwalona, a co taki Dale Murray czy Sky Dog zrobili w ogóle dla Drop City? Wymienił spojrzenia z Alfredem, który siedział naprzeciwko podparty na łokciach, ale Alfredo nie zdradzał, co myśli. A przecież już raz wygnali Sky Doga. Czy może mu się to przyśniło?

U szczytu stołu, po prawej ręce Norma, siedziała Premstar i chichotała, a trawka – trawka Sky Doga, trawka Dale’a Murraya, trawka Lestera i Franklina – krążyła wśród obecnych. Kiedy „komunalny” skręt dotarł do Marca po tym, jak ściśnięte palce Joego Bosky’ego przekazały go Star, ten ujął go, jak wszyscy, kciukiem i palcem wskazującym. Kwas z Kool-Aid przestał działać i Marcowi wydawało się, że czuje jeszcze jego łagodne musowanie – nie miało to być w zamierzeniu zbyt mocne, ot tyle, by pomóc w koncentracji, więc on, Marco, wypił przed paroma godzinami dwie filiżanki – a teraz Reba i Merry postawiły na stole wielki okopcony gar z gorącą czekoladą, nad którym para unosiła się jak przezroczysta korona, i ludzie zanurzali w nim swoje kubki. Freak przestał żebrać – nasycił się w końcu – i teraz leżał u stóp Star, pomrukując z cicha, liżąc jądra i szukając pod ogonem pcheł. Jiminy wstał, przytknął zapalniczkę do przygotowanej wcześniej sterty chrustu i sosnowych gałęzi i po chwili dym kłębił się wokół stołu, gnany kapryśnym, zmiennym wiatrem, co było wprawdzie dokuczliwe, ale przynajmniej odstraszało komary.

– Mieliśmy dzięki niemu straszną radochę – mówił Dale Murray.

– Obraza czego? Moralności publicznej?

Marco wypuścił dym i podał skręta Dunphy; jej cienkie palce, zimne, pajęczne, zmacerowane, dotknęły go przelotnie, uśmiechnęła się blade, patrząc na niego nieobecny wzrokiem, potem przyłożyła dżojnta do warg i pociągnęła. Spojrzał na swoje palce, na dłonie leżące na pokarbowanym blacie stołu. Paznokcie były połamane, skórki strzępiaste, brud wżarł się w każde pęknięcie skóry, tworząc ornament smoliście czarnych ściegów. To były ręce człowieka pracy, człowieka, który harował dwanaście, trzynaście godzin na dobę, budując coś trwałego. Poczul nagły przypływ dumy. I radości. Radości także.

– Zmęczony? – mruknęła pytająco Star, pochylając się ku niemu.

Zamiast odpowiedzieć, złożył dłonie jak do modlitwy i przytknął do nich policzek, jakby to była poduszka.

– A Lester – mówił Sky Dog – szkoda, że nie widzieliście Lestera. Chcieli go koniecznie zapudłować, tak w ogóle, dla zasady. Ale on zastosował stary numer i tak się uśmiechał do jednego – nie wiem, kto to był, gliniarz z konnej, szeryf czy jeszcze coś innego – myślałem, że facet się rozplynie jak kawał zjełczałego masła. Och, i jeszcze, kurwa, ten łoś! Mówiłem wam o łośiu?

Alfredo przerwał mu brutalnie. Chciał wiedzieć, gdzie jest Lester i czy zamierza do nich dołączyć. Bo jeśli tak, to sytuacja robi się nieciekawa, naprawdę nieciekawa po tym, co się wydarzyło w Kalifornii, i on, Alfredo, nie chciałby wyjść na uprzedzonego ani nic, bo tu nie chodzi o uprzedzenia...

– Został w autobusie – wyjaśniła Verbie, ogryzając sierpowatą białą ość. – Z Franklinem. Będą wypłukiwać złoto.

Joe Bosky wydał z siebie przeciągły okrzyk.

– A to pieprzone naiwniaki – powiedział. – Kompletnie zieloni frajerzy.

– O ile mi wiadomo – wtrącił Sky Dog – mają już pół buteleczki złotego piasku, a łapali tylko to, co było w tym potoku na północy miasta...

– Potok Ostatniej Szansy – rzekł Bosky, zakładając ręce na piersi. Błada wypukła szrama nad górną wargą ukazała się spod jego lotniczego wąsa. Można było zobaczyć, w którym miejscu włosy zostały przeszczepione. – Powinni go nazwać Potok bez Szansy. Nie ma w nim nic, tylko nieczystości, które wyciekły z szamb.

– Przykro mi, bracie, ale sam widziałem i mówię ci: mieli złoto.

– Piryt – powiedziała Verbie.

– Może i złoto, kto wie – włączył się Norm. – W końcu to kraina złota i ja sam zamierzam przepłukać trochę piasku, razem z Premstar. Jak tylko zbudujemy chaty. No bo czemu nie? To jest jak pieniądze w banku, kochani, które tylko czekają, żeby je brać, tak jak jagody i te tłuste łososie, co płyną w górę rzeki. I czy muszę komuś przypominać, po co tu przyjechaliśmy przede wszystkim?

Jiminy rozmarzył się, że może znajdą trochę złota i może Harmony miałyby jakiś sposób, żeby je przetopić i zrobić z niego figurki, ozdóbki i tak dalej – a gdyby udało się je po prostu sprzedać, można by za te pieniądze kupić nową prądnicę, tak żeby mieli muzykę częściej niż raz w tygodniu. No i światło, co ze światłem? Czy nie byłoby fajnie mieć światło?

Zaczęli to omawiać, bo złoża złotego piasku, który nieodmiennie okazywał się pirytem, rosły w wyobraźni każdego mieszkańca Drop City do takich rozmiarów, że aż rzeka robiła się żółta, a drzewa na wzgórzach padały, nie mogąc się utrzymać korzeniami w podłożu ze złotych samorodków. Marco studził ich entuzjazm. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zmęczony. Gdyby nie uniesienie wywołane tym, że świetlica była gotowa, ściany uszczelnione, dach na miejscu – kto by w to uwierzył przed miesiącem? – już dawno leżałby w śpiworze. Ale jakoś się trzymał, gładził nagie ramię Star czubkiem jednego, rozluźnionego palca i czuł, jak marihuana zamienia mu krew w żyłach w gęsty syrop.

Świetlica miała pięterko; położyli w połowie wysokości poprzeczne belki i w ten sposób powstała antresola, na której mogli spać w razie potrzeby. To znakomite rozwiązanie było rezultatem narady Toma, Alfreda i Norma, starannej kalkulacji z kartką papieru i z ołówkiem w rękę. Norm przeważnie wiedział, co robi, a Sess Harder (piętnaście minut drogi rzeką) był jak encyklopedia – to on poradził im wyłożyć strop rozłożonymi kartonowymi pudłami, żeby kawałki darni nie sypały się do środka przez szczeliny. Wuj zaś pozostawił w chacie stary, pochodzący z 1910 roku, egzemplarz instrukcji *Kompletny dom z bali*, do którego mogli w razie potrzeby zajrzeć, choć trzeba powiedzieć, że Marco nie mógł się nadziwić, jak elementarne wskazówki zawierała ta książeczka. Należało przyciąć kłody, okorować je i naciąć końcówki tak, aby były identyczne, z uwzględnieniem proporcji, ze znanymi każdemu dziesięcioletkowi w Ameryce miniaturowymi balami Lincolna, z jakich budowało się w dzieciństwie forty i palisady. Potem należało wkopać cztery narożne słupy na dwie stopy w zmarzniętą ziemię, ułożyć kamienną podstawę – i umieszczać poziomo bale, wznosząc całą konstrukcję w górę. Następnie kładło się podłogę ze świerkowych desek naciętych za pomocą łańcuchowej piły wzdłużnej, wyrzynało się otwory okienne oraz sześciocalowy otwór na rurę od pieca i to wszystko. Zasadniczo chata była gotowa. I jeśli potrafili zakasać rękawy i zbudować coś takiego – dom z piętrem długi na dwadzieścia stóp i szeroki na osiemnaście – to zbudowanie mniejszych chat było już naprawdę drobiazgiem.

– A co z Harmonym i z Alice? – zapytał Norm, przechylając się przez stół i spoglądając na Sky Doga i Dale’a Murraya sponad okularów.  
– No i Lydia, co z nią?

– Znasz Harmony’ego – odparł Sky Dog. – Ustawił piec do wypalania przy autobusie i mówi, że eksperymentuje z pewnymi rzeczami i że nie jest jeszcze gotów, żeby tu przyjechać. Tak przynajmniej powiedział mnie i Dale’owi. Poza tym jego garbus jest zepsuty.

– Zamówił nową pompę paliwową – wtrąciła Verbie.

– W tym sklepie w Anchorage.

Norm zanurzył palce w brodzie, podsunął okulary na nosie.

– A Lydia?

Do tego momentu Joe Bosky siedział jakby wyciszony, komentarz na temat złota był jedyną uwagą, jaka padła z jego ust przez cały wieczór. Napakował się od rana różnymi prochami i teraz chował się za osłoną swoich lustrzanek. Kiedy na stół wjechała gorąca czekolada, powłókł się chwiejnym krokiem do samolotu i wrócił z butelką rumu Hudson Bay. Postawił ją na stole i kilka osób dołało sobie za jego przykładem rumu do czekolady. Teraz Joe odchrząknął w odpowiedzi na pytanie Norma, pochylił się, by splunąć na ziemię, a potem, przybrawszy poważny wyraz twarzy, odparł: – Jest w Fairbanks.

– W Fairbanks?

Szmer przeszedł falą wokół stołu. Jeśli była to prawda, wiadomość brzmiała niepokojąco jako dowód pierwszej dezercji, zdrady ideałów. Ludzie patrzyli po sobie w milczeniu – kto będzie następny? Czym się to skończy? Czy wszystko zacznie się teraz walić? Czy tak właśnie należało to rozumieć? Marco pochylił się nad swoim talerzem; przynajmniej w tej chwili był zbyt zmęczony, żeby się przejąć tą sprawą.

– Jak to, w Fairbanks?

– Załatwiłem jej pracę w takim jednym miejscu – odrzekł Joe stłumionym głosem. – W saloonie. Będzie tancerką.



– Ale tylko przez zimę – wtrąciła się Verbie. – Tak mi powiedziała. Żeby zarobić trochę pieniędzy, dla nas wszystkich, robi to dla nas, a potem zamierza wrócić do owczarni. Przyrzekła, kazała wam powiedzieć, że to przyrzeczenie.

– A jeśli któraś z dziewczyn byłaby zainteresowana – dodał Bosky, odwracając się do Star i wpatrując się w nią pozbawionym wyrazu wzrokiem – ja mogę to załatwić, bo tam cholernie potrzebują kobiet. A Lydia... Myślę, że się do tego urodziła, z tym swoim ciałem...

– Chodzi o topless, tak? – zapytała Maya.

– Rozebrana do samych stringów, kochanie, bo całkowita nagość jest wciąż przestępstwem w tym stanie, ale gwarantuję ci, zbierze więcej napiwków w ciągu wieczoru, niż wy wszyscy dostajecie miesięcznie zasiłków i bonów czy jak się to tam nazywa.

Wszyscy spojrzeli na Norma, odruchowo, bezwiednie. Norma, który siedział u szczytu stołu, ze strąkami włosów zwisającymi spod przepaski, z dzwonkiem w kształcie tarki do sera na szyi, odstawił swój kubek z czekoladą i długo oblizywał wąsy, aż zniknął z nich cały słodki osad.

– W porządku – powiedział w końcu. – Spokojnie. Przeżyjemy to jakoś, no nie? Lydia zamierza pokazywać to, z czym się urodziła, i brać za to pieniądze dla Drop City. I gdzie tu problem?

Głos Verbie zabrzmiał jak trzaśnięcie z bicza.

– To wyzysk. Eksploatacja.

– Eksploatacja czego?

– Kobiecego ciała. To jest seksizm. Nie widziałam jeszcze żadnego z was, mężczyźni, żeby któryś tańczył w slipach czy...

– Tylko dlatego, że nas nie chcą – powiedział Norm i wszyscy wybuchnęli śmiechem, wszyscy mu przytakiwali, w końcu Sky Dog oświadczył, że on zatańczyłby bez wahania.

– Akurat – odparowała Verbie. – To dlaczego nie zatańczysz teraz? Dlaczego nie wleziesz na stół i nie pokażesz nam tego i owego? No jazda, pokaż nam, co tam masz, cwaniaku...

Sky Dog podniósł się niepewnie i zaczął rozpinąć koszulę przy wtórze wrzasków i kocięj muzyki, ale kiedy już zdjął koszulę, jakby zapomniał, co robi – jakby całkiem odjechał – i usiadł z powrotem.

– Cykor – powiedziała Merry.

– Nie mówiłam? – triumfowała Verbie.

I wtedy Premstar, tkwiąca obok Norma jak malowany manekin, Premstar, królowa piękności, która troszczyła się bardziej o swoje paznokcie i tusz na rzęsach niż o cokolwiek, co działo się w Drop City czy teraz, czy w przeszłości, włączyła się po raz pierwszy tego wieczoru do rozmowy:

– A co z naszymi smakołykami? – zapytała ostro. – Z tym wszystkim, co zamówiliśmy u Pana? Zapomnieliście czy co?

Ronnie wybrał bardzo niefortunnie chwilę, w której zdecydował się na powrót ze swego namiotu. Słońce rozświetlało pasemka jego włosów, tors kołysał się, jakby Pan dreptał w kieracie, i wszyscy przy stole zamilkli nagle, żeby patrzeć, jak idzie w ich stronę. Wszyscy myśleli o tym samym. Pan spał cały czas, niewidoczny, zapomniany, ale tymczasem przypłynęła łódź z Verbie, Sky Dogiem i Dale'em – dziwnym, zaiste, ładunkiem – a także z szybami do świetlicy i trzech zaplanowanych chat, całymi i bardzo rzeczywistymi, z puszkami nafty, oleju i brzeszczotów do pił, lecz z niczym więcej. Nie było batoników. Ani dezodorantów. Nie było książek ani pism, nie było tubek z kremem do opalania. A jeśli nie było tego wszystkiego w łodzi, to gdzie mogło być?

– Ej, Dale – powiedział Sky Dog, próbując kontynuować rozmowę w tym samym stylu. – A pamiętasz, jak próbowali nam wcisnąć ten szajs, gdzie to było, w Carmacks, w tym barze? Jak to oni na to mówili: łośburgery?

Ale nikt go nie słuchał. Wszystkie oczy skierowane były na Pana, który powłócząc nogami, poprawiając koszulę i tłukąc w roztargnieniu komary, zbliżał się do stołu. Nawet Freak podniósł łeb, by rzucić mu taksujące spojrzenie. Dym snuł się w powietrzu. Czas na chwilę stanął w miejscu.

– Hej, co się stało? – zapytał Ronnie, nachylając się, żeby zajrzeć Marcowi przez ramię do najbliższego garnka. – Spóźniłem się na kolację?

Początkowo próbował przeczyć wszystkiemu wciśnięty między Star i Joego, i wyskrobywał, co się dało, z dna garnka, kładąc to na pierwszy talerz, jaki się nawinął. To, że ktoś z niego już wcześniej jadł, nie miało znaczenia, Pan nie był grymasny. Mina pogodna, cały w uśmiechach, oczy rozbiegane, włożył też trochę starania w swój strój; miał na sobie czystą i chyba nawet wyprasowaną dżinsową koszulę, a na głowie nową bandanę. Znalazł widelec, wytarł go o spodnie i zaczął szuflować resztki wyschniętego ryżu do ust, zbyt tym pochłonięty, by poświęcać uwagę sprawie powierzonych mu funduszy Drop City i dwukolumnowej listy zakupów, którą owinął plik banknotów otrzymanych od nich przed pięcioma dniami. Marco przyglądał się uważnie z boku jego rzadkim bakom przechodzącym w jeszcze rzadszą bródkę i mięśniom żuchwy, pracującym pod skórą, ale Ronnie nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z nikim, szczególnie zaś starannie unikał wzroku Premstar, która od razu spojrzała mu prosto w oczy i zapytała:

– A więc gdzie są nasze zakupy?

Teraz powtórzyła to pytanie, a Reba dodała, patrząc na niego wzrokiem myśliwego osaczającego zwierzynę:

– No właśnie, Pan, co tu jest grane? Chcesz powiedzieć, że zapomniałeś czy co?

Jeśli Ronnie miał nadzieję, że sprawa rozejdzie się po kościach, to czekało go rozczarowanie, Marco widział to wyraźnie. On sam nie dał Ronniemu żadnych pieniędzy – był zbyt zajęty, żeby myśleć o jakichkolwiek swoich potrzebach czy zachciankach – ale Star owszem, dała, i to wystarczało, wystarczyło aż nadto, żeby teraz poczuł się wciągnięty w sprawę. Do tego momentu Pan był kimś nieszkodliwym; wprawdzie uchylał się od prac przy budowie i od wszystkiego, co pachniało prawdziwą robotą, ale przejął pieczę nad motorówką i włókiem pozostawionym przez wujka Norma i wytrwale robił dziurki we wszystkim, co się tylko ruszało nad rzeką, a to oznaczało mięso, którego nikt inny nie kwapił się dostarczać, przynajmniej do chwili ldey staną chaty. Pan robił swoje, jak mawiała Star, ilekroć imię Ronniego pojawiało się podczas przydzielania przez Alfreda zadań poszczególnym grupom – zespołowi od latryn, od korowania, cieślom i kopaczom darni. Pewnie to, że go tak broniła, trochę irytowało, ale Marco nie był o niego zazdrosny, a w każdym razie tego nie okazywał. Oczywiście, że go kocham, powtarzała z uporem Star, ale jak brata, jak mojego brata Sama, i dodawała: nie, nie spaliśmy z sobą tak naprawdę, nie tak, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Czy to jakąś gorzałkę widzę na stole? Produkt destylacji? Napój alko-holowy? – Ronnie podniósł głowę i wbił wzrok w prześwieconą słońcem butelkę rumu, wyrastającą z drewnianego blatu przy łokciu Joego. – Z czym to mieszamy?

– Zakupy, Ronnie, zakupy – powiedziała Reba. – Mówiliśmy o rzeczach, na które daliśmy ci wszyscy pieniądze: gdzie jest? Co?

Ronnie sięgnął po butelkę, znalazł kubek, nalał. Wszyscy przy stole patrzyli na niego tak, jakby nigdy nie widzieli faceta podnoszącego kubek do ust, patrzyli, jak pociąga i krzywiąc się, przełyka.

– Zdawało mi się, że... czy nie przywieźliśmy tego samolotem, Joe? Znaczący, dzisiaj rano?

Ale ze strony Joego nie doczekał się pomocy. Bosky siedział nieporuszony, z oczami schowanymi za lustrzanymi szklami, i nawet nie fatygował się, żeby tłuc komary, które obsiadły mu kark. Gęsty kłęb dymu przepłynął nad stołem i rozwiął się. Nikt nie powiedział słowa.

– Chryste – jęknął Ronnie i klepnął się w czoło. – Tylko mi nie mówcie, że zostawiłem cały ten szajs w autobusie...

– Ach, przestań chromolić. Przecież nigdzie niczego nie zostawiłeś, chłopie. – Zwalisty Mendocino Bill podniósł się na drugim końcu stołu. Sam zamówił leczniczy talk do stóp, specyfik doktora Scholla, bo cierpiał na grzybicę i czasem tak go swędziało, że chodził po ścianach. – Spieprzyłeś sprawę, zgadza się?

Ronnie rozejrzał się dokoła w panice. Usta miał zaciśnięte, przeskakiwał wzrokiem z jednej twarzy na drugą. Marco widział, że Pan kalkuluje, że nurkuje w przepastnych głębinach mózgu w poszukiwaniu jakiegoś kłamstwa, dostatecznie wiarygodnego, żeby ocalić skórę. Nie miał dla niego najmniejszego współczucia i w tym momencie uświadomił sobie, jak nieistotną rolę odgrywał Ronnie w jej życiu, bez względu na to, czy Star potrzebowała go jako powiernika, czy też nie – lub raczej zwłaszcza dlatego, że go potrzebowała. A przynajmniej sądziła, że potrzebuje. Cienie zgęstniały. Z wierzchołka drzewa na skraju lasu zaskrzeczał jastrząb.

– No i co powiesz, Pan? – zapytał Marco.

– To przesłuchanie, co? – rzekł Ronnie; oczy miał spuszczone, bawił się widelcem. Nagle parsknął śmiechem; zabrzmiało to jak wysokie, ostre szczeknięcie i wystraszyło psa, wyrwijąc go z trawiennego transu. Potem podniósł głowę i spojrzął z ukosa na Marca. – No dobra. No więc dobra, dopadliście mnie. Spieprzyłem sprawę. Wypiłem o jednego za dużo i po prostu... no nie wiem, straciłem chyba kontrolę.

Nie znalazł pewnie zbyt wielkiej pociechy w spojrzeniu, jakim mierzył go Marco, bo znów schylił głowę i wymamrotał, nie adresując tego do nikogo w szczególności:

– No to jazda, powieście mnie.

Sekundy mijały, wszyscy patrzyli na jego opuszczoną głowę, pierścienie błyskały mu na prawej dłoni – po jednym na każdym palcu, nawet na kciuku – kiedy wsuwał zgęstniałą ryżową papkę do ust, powoli, drżącym, niepewnym gestem skruszonego grzesznika. Leżący pod stołem Freak wstał, przeciągnął się, ziewnął i spojrzął na coś przez pole, a potem na linię drzew na widnokręgu. Star siedziała sztywno. Twarz miała bladą, bezkrwistą, ściągniętą. Patrzyła na Ronniego wzrokiem, którego Marco nie mógł zgłębić – czyżby bała się o niego? Czy też była zawstydzona? Zawstydzona i zniesmaczona. Wręcz go zaskoczyło, gdy jej głos przerwał ciszę.

– A więc będziesz teraz oddawał wszystkim pieniądze?

Ronnie znów pociągnął z kubka, znów się skrzywił. Wyglądał jak kociak usiłujący wydostać się z pudła.

– Chryste, czy ktoś ma coca-colę? Albo pepsi? Może być nawet Royal Crown, to gówno jest piekielnie ostre. – Spojrzął z ukosa na Star, a potem na swój talerz. – No nie, niezupełnie – odpowiedział. Gniewny pomruk przebiegł wzdłuż stołu.

– Bo, rozumiesz, nadarzyła się okazja, mówię o trawce, którą przeschumglowali Lester i Franklin, no bo gdzie jeszcze znajdziecie trawę na Alasce? Znaczą poza tym, co tu przywieźliśmy? Więc pomyślałem sobie: czego najbardziej potrzebujemy, jakiej jednej, największej rzeczy? I czego będziemy potrzebowali, żeby jakoś przetrwać te długie ciemne noce, które nadejdą, zanim się obejrzymy? Trawy. No więc zainwestowałem – dla nas wszystkich.

– Jesteś prawdziwym altruistą, Pan – zauważyła Reba.

Bill jeszcze nie usiadł. Sterczał wciąż przy końcu stołu, z ramionami obrosłymi tłuszczem, długi ukośny promień światła padał na zmoczone w rzece włosy. Miał zbolalą minę. Wyglądał tak, jakby ktoś dźgnął go ostrym kijem.

– No dobra – powiedział, a raczej warknął chrapliwie, tłumiąc wściekłość. – Mówisz o tej trawie, którą próbowałeś mi opylić dziś rano po trzy dychy za porcję?

– Pieprz się – odparował Ronnie i również on podniósł się z ławy, wyplątując ze złością nogi spod stołu i próbując nadać swemu głosowi ton poważny i gniewny. – Pieprz się, ty worku śmierdzącego sadła.

Bill chwycił oczywiście przynętę, obszedł stół dookoła, cały nadęty w swej powłoce. Sunął w stronę Ronniego jak ruchoma góra; Marco pomyślał, że skończy się na dwóch, trzech ciosach, potem ich rozdziela, zelżony i urażony Ronnie pójdzie wściekły do namiotu, przyniesie trawę, może nie wszystko, nawet w przybliżeniu nie za tyle, ile wydał, i do świtu wszystko się rozmyje, a grzesznikowi będzie wybaczone. Ale mylił się. Zanim do czegokolwiek doszło, do akcji wkroczył Joe Bosky.



W jakiś sposób udało mu się wstać chwiejnie i odkopnąć stółek akurat w porę, by przechwycić Billa, zanim ten dotarł do Ronniego, który dopiero teraz zebrał się w sobie i przygotował na pierwsze natarcie. Wszyscy jednocześnie zerwali się od stołu, Reba klęła, Che i Sunshine patrzyli na całe zamieszanie zagubieni i oszołomieni, Alfredo protestował gromko.

Bosky nie zawahał się nawet przez chwilę. Opuścił ramiona i zaprawił Billa bykiem w pierś, jakby byli na boisku piłki nożnej. Bill zatoczył się i runął ciężko na ziemię. Niemal natychmiast podniósł się z twarzą zniekształconą wściekłością, zanim jednak stanął pewnie na nogach, zanim ktokolwiek zdążył interweniować, Bosky wymierzył mu dwa błyskawiczne ciosy pięścią i Bill upadł po raz drugi. Alfredo i Deuce rzucili się, żeby powstrzymać Joego, ale on strząsnął ich, jakby byli marnymi robaczkami, i zwrócił się do pozostałych:

– Nikt, kurwa, nie będzie pomiatał Panem – warknął. – Zrozumiano? Bo chcę wam powiedzieć... – tu zaczął bełkotać i zatoczył się do tyłu – ... bo chcę wam powiedzieć, że Pan jest kumplem Joego Bosky’ego, a nikt nie podskoczy Joemu, kurwa.

Marco stał razem z innymi, z opuszczonymi rękami. To nie była jego sprawa. Patrzył, jak Bill gramoli się z ziemi, z rozciętą wargą i krwią na zębach, patrzył na stojącego nad nim Joego w paramilitarnym stroju i nagle dotarło do jego świadomości, że może jednak to jest jego sprawa. No bo co robił tu Joe Bosky? I dlaczego przystawiał się przez cały dzień do Star, co zresztą on, Marco, zignorował? A przecież, myślał teraz, nie powinien był ignorować.

Nagle przez tłumek zaczął przeciskać się Jiminy, w całej swojej stutrzydziestopięciofuntowej okazałości.

– A kim ty, do cholery, jesteś? – zawołał ze złością. – Nie wtrącaj się, ty nie należysz do naszej wspólnoty.

– No właśnie – powiedział ktoś, a potem Reba, z twarzą, która wyglądała jak wojenna maska, podeszła do Billa i zrobiła coś, o czym nikt jakoś dotąd nie pomyślał, pomogła mu się podnieść z ziemi.

Bill dyszał ciężko, miał pokrwawiony kombinezon. Reba stała obok niego z płonącym wzrokiem i podtrzymywała go. Spojrzała najpierw na Ronniego, potem na Bosky’ego.

– Nie potrzebujemy tu pieprzonych awantur – syknęła. – Jak chcesz urządzać pijackie burdy, to poszukaj sobie innego miejsca. Tu są dzieci.

I rzeczywiście byli; Che i Sunshine stali oparci o barierki werandy, włosy opadały im na twarze, oczy wyglądały jak czarne gumowe kulki. Każdy może zrobić z tymi oczami, co zechce, pomyślał Marco. Sprawić, że będą się śmiać lub płakać. Czuł głęboki smutek.

– Reba ma rację – powiedział.

– Okej – warknął Joe Bosky. – Widzę, że nie jestem tu mile widziany. Nie będę czekał, aż mnie wyrzucicie. – Ruszył niepewnym krokiem w stronę samolotu. Nie uszedłszy nawet kilkunastu kroków, odwrócił się i błysnął swoimi lustrzankami w stronę Pana-Ronniego.

– No jak? – zapytał. – Idziesz ze mną?

Dziesięć minut później, gdy poruszeni ludzie kręcili się w kółko, dyskutowali i psioczyli, a Bill robił sobie okład z mokrego ręcznika, usłyszeli ryk startującego samolotu; brzmiało to tak, jakby ktoś zasysał wodę z powierzchni rzeki. Potem dotarło do nich wycie wchodzącego na obroty silnika i wszyscy podnieśli wzrok, żeby zobaczyć, jak samolot Joego odrywa się od powierzchni wody, nabiera rozpędu i kieruje się ku prześwitowi w linii drzew, a potem wzbija się w przestworza i ulatuje w nocne niebo, rozświetlone pojedynczym refleksem zawieszzonego nad horyzontem słońca. Marco stał i przyglądał się przez chwilę temu widokowi, a potem ujął Star za rękę i powiódł przez pole usiane zdeptanymi kwiatami i zarosłe stratowanym zielskiem do miejsca, z którego widać było zmarszczki na wodzie i warkocze bystrego nurtu. Przysiadł na kamienistym brzegu, a Star przycupnęła obok niego.

– Oto odlatuje Ronnie – powiedział.

Star podciągnęła kolana i oplótła je ramionami. Przez chwilę nie mówiła nic, tylko kołysała się w tył i w przód, jej białe stopy wybijały rytm zgodny z poruszeniami ciała.

– On wróci – rzekła.

– Naprawdę tak myślisz?

Spojrzała w dal, na drugą stronę rzeki. Było późno, około północy. Barwy nakładały się warstwami, od blaszanej, wytartej szarości rzeki, przez gęstą ciemną zieleń drzew, aż po różowe pasmo wzgórz pomalowanych słońcem. Sierp księżyca, blady jak lód, rysował się na niebie ponad drzewami. Star zaklęła i zabiła komara na kostce, a potem drugiego, na ramieniu.

– Naprawdę? – powtórzyła w końcu, odwracając się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Wzruszył ramionami, jakby i tak nie miało to znaczenia.

– Nie – powiedziała. – Nie sędzę. Myślę, że... – zawahała się i nie dokończyła. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i ukołysać, ale to jej wahanie sprawiło, że sam się zawahał, poczuł gniew, wręcz nienawiść i zazdrość. – Myślę, że odszedł – dokończyła. – Na dobre.

I wtedy usłyszeli warkot silnika na rzece. Spojrzeli w tamtą stronę z niedowierzaniem; ten dzień przyjazdów i odjazdów był niepodobny do żadnego innego, nie było jeszcze takiego dnia w krótkiej historii Drop City Północ – najpierw Bosky i Ronnie, potem Verbie, Sky Dog i Dale Murray, a teraz... któż to mknął w górę rzeki jej ciemnym nurtem? Przyglądali się, jak łódź – a był to skiff z płaskim dnem i tępym dziobem, jeden z kilkunastu kursujących w górę i w dół rzeki – zaczyna nabierać barwy i kształtu. W końcu wychynęła z mroku i weszła ślizgiem na brzeg o parę kroków od nich. Zgarbiona, koścista postać przelazła przez ławkę od rufy do dzioba, wyrzuciła jakiś lśniący tobolek, który spoczął, bezkształtny, na żwirze, po czym para nożycowatych nóg wkroczyła z pluskiem na brzeg.

– Hej tam, witajcie – powiedział nieznajomy, schylając się po tobolek i prostując się poza zasięgiem nikłego światła.

– Czy to nie... – zaczęła Star i oboje zerwali się na równe nogi. Nie mogła sobie jednak przypomnieć imienia.

Marco odpowiedział na pozdrowienie i mężczyzna zbliżył się do nich. Wydatne kości policzkowe sterczące pod czapką z długim daszkiem, niezdarne ruchy i nieprzeciętny wzrost pozwoliły Marcowi rozpoznać przybysza: był to jeden z mężczyzn z baru, z Three Pup, ten, którego nazywali Żelazny Steve.

Żelazny Steve miał na nogach gumki, na grzbiecie kraciatą flanelową koszulę, włosy miał ulizane, a każdy jego krok był jak potężny sus, jakby ziemia pod jego stopami pełna była kraterów.

– Hej, przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze, ale szukam... tego... szukam Verbie. Jest tu może gdzieś blisko?

Star odrzekła, że jasne, że na pewno gdzieś tu jest, jeśli jeszcze nie poszła spać, przy czym końcówka zdania zabrzmiała jak niewypowiedziane pytanie.

Żelazny Steve podniósł rękę razem z tobołkiem: dopiero teraz zobaczyli zeszywniałe łapy, obwisłe długie uszy i gładkie futra – były to króliki, Steve trzymał pęk spiętych drutem królików, ale Marcowi skojarzyły się z rybami, ciemnymi, dyndającymi w powietrzu rybami, nanizanymi na drut przewleczony przez skrzela.

– Przyniosłem to dla niej – powiedział Steve. – Pomyślałem, że zrobię jej niespodziankę. Wicie, który jest jej namiot?

Star spojrzała na Marca i oboje pomyśleli to samo. Mięso dla wegetarianki? I to króliki? Trusie? Ale wtedy Marco uświadomił sobie piękno tego równania: Ronnie odszedł, odszedł nie dalej niż pół godziny temu, a oto stał przed nimi jego następca. Minus jeden Pan, plus jeden Żelazny Steve.

– Przyniosłem jej też to – dodał Steve i wyciągnął rękę, żeby pokazać im zwój drutu i buteleczkę po lekarstwie, w której było coś, co wyglądało na zapalki.

– Co to takiego? – zapytała Star.

Zmierchało, słońce schowało się za wzgórzami, na niebie jaśniał sierp księżycy. Star stała na rozstawionych nogach, podparta pod boki; nie zwracała uwagi na komary, które tańczyły wokół niej, wygrywając swoją piskliwą melodyjkę w kontrapunkcie do szumu rzeki.

– To? Ach, to takie coś, co według mnie powinna mieć, na wypadek, gdyby się zgubiła.

– Zgubiła? – zapytała Star.

Żelazny Steve cofnął rękę i przechylił głowę.

– A tak – powiedział. – Wszyscy się tu gubią; albo spadnie samolot, albo śnieg zasypie ścieżki, albo człowiek coś goni, a jak się w końcu obejrzy za siebie, nie potrafi odróżnić jednego drzewa od drugiego.

– No więc co to w końcu jest? – zapytał Marco. – Coś w rodzaju kompasu?

– Ach, nie – odparł Steve, szczerząc zęby, i znów wyciągnął rękę. Trzymał w niej drut i buteleczkę z grubego brązowego szkła. – Jak się ma drut, można zrobić wnyki i nałapać królików – wyjaśnił. – A zapalki... zamoczyłem je w parafinie i zamknąłem szczelnie w butelce. Bo jak się ma suche zapalki, można rozpalić ognisko, żeby się ogrzać i upiec te króliki...

Star patrzyła na niego tępo. Marco nie mógł powściągnąć uśmiechu.

– No wiecie – rzekł Steve. – Jak człowieka przycisnie.

Wbił czubek gumiaka w żwir i wierząc nim, przyglądał mu się uważnie, jakby to była różdżka do wykrywania wody. Potem podniósł wzrok, wciąż się uśmiechając. – My tu nazywamy to życiem z tego, co daje ziemia.

Był to pierwszy naprawdę rzeński dzień; sierpień miał wkrótce ustąpić wrześniowi, schyłek lata początkowi jesieni. Pamela była sama w chacie. Piekla chleb w opalonym drewnem piecu w głównej izbie. Przepis miała od matki – trzy miarki mąki pszennej pytlowej, jedna razowej, trzy łyżeczki cukru, łyżeczka soli, dwa kubki zakwasu, dwie, trzy łyżeczki niedźwiedziego sadła (Pamela używała masła z puszki, bo o ile wiedziała, wszystkie niedźwiedzie w okolicy były żywe i zdrowe i nosiły swoje sadło na sobie). Tu, nad Thirtymile, piekąc chleb dziesięć czy dwanaście razy, zmodyfikowała nieco recepturę, ale mimo to jeśli piec był dostatecznie nagrany, a ona pozwoliła cierpliwie rosnąć ciastu dwie godziny lub dłużej, zawsze wychodził jej piękny błyszczący bochen i Sess nie mógł się jej nachwalić. Za oknem niebo barwy steatytu wisiało nisko nad wzgórzami. Wiał północno-zachodni wiatr, zrywając liście z nadrzecznych drzew, tarמושąc główki kapusty i smagając sztywne łodyżki brukselki w ogrodzie. Co pewien czas ostrzejszy powiew grzechotał szybami w oknach.

Sess pracował na podwórzu z Żelaznym Steve'em, który wstąpił do nich, wracając z obozu hipisów. Rąbali drzewo (Steve traktował to jako zapłatę z dołu za obiad, na który, jak wiedział, będzie zaproszony), popijając piwo ze słoików, i obserwowali niebo. Zanosiło się na deszcz – lub deszcz ze śniegiem – jeśli zaś wiatr miałby nie zmienić kierunku, także na mróz. Sess ustawił w czterech rogach ogrodu sągi drzewa, żeby były gotowe do podpalenia w nocy, bo jak każdy rolnik chciał przedłużyć okres wzrostu, na ile się tylko dało, a z pogodą nigdy nie było wiadomo – mógł przyjść z dnia na dzień siarczysty mróz, a potem parę tygodni pogodnej jesieni. Sess hodował trochę pomidorów w cieplarni, najlepsze odmiany, a czereśniowe wybujały tak, że musiał podnieść kawałek dachu, żeby mogły wydostać się na świat. Pigwy mieli tyle, że wychodziła im uszami, mnóstwo włożyli do balonów, żeby zrobić z niej wino, obrodziły także dynie. Pamela robiła przetwory dzień i noc, gotowała fasolę, pomidory i cukinię w wielkim garze, a także groch, brokuły, wszystko, co wyrosło z ziemi przy takiej szalonej obfitości światła. Jej grządka z ziołami była istną dżunglą, udały się też selery, marchewka, cebula, ziemniaki, rzepa.



Wsunęła właśnie chleb do pieca, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do izby wśliznął się Żelazny Steve. Zgiął się niemal we dwoje, żeby nie uderzyć głową w futrynę, co zdążył już zrobić dwukrotnie tego popołudnia i mnóstwo razy w przeszłości. Pamela nie wiedziała, ile dokładnie miał wzrostu – sześć stóp i trzy czy cztery cale – ale górował nad wszystkimi w Boynton jak stare drzewo i zawsze szorował po suficie swoją przekrzywioną na bok czapką z długim daszkiem, żeby zaś dojść do stołu i usiąść, musiał lawirować wśród lamp, rondli, narzędzi, szpatulek i patelni zawieszonych na belkach. Pameli to nie przeszkadzało. Lubiała go. Był może trochę małowówny, zdziwaczały i przedwcześnie zramolały, bywał częściej pijany niż trzeźwy, ale przy całej swej posturze i grubych słowiańskich rysach twarzy odznaczał się delikatnością i dobrym sercem. Zanim zdążył zdjąć kapelusz i rękawice, podała mu kubek kawy, puszkę z mlekiem w proszku i cukiernicę.

– Pieczesz chleb, co? – zapytał, dmuchając w parującą kawę.

– Zgadza się – odparła. – A co innego może robić młoda żona, zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj. Myślisz, że spadnie śnieg?

– Aha.

– I będzie mróz?

– O, tak. Na pewno.

Nastąpiła pauza. Pamela dołożyła parę szczap do ognia – cała sztuka polegała na tym, żeby utrzymywać stałą temperaturę przez jakąś godzinę, dopóki chleb się nie upiecze.

– Czy ci hipisi mają coś z tego swojego ogrodu? – spytała.

– Niewiele. Najwięcej mają króliki.

– Poza tym późno zaczęli.

Steve tylko pokiwał głową. Upił trochę kawy, wsypał pół słoika cukru do filiżanki i dodał mleka w proszku.

– A są na tyle mądrzy, żeby wieczorem okadzić ogród?

Nie przestawała się o nich martwić, zwłaszcza o Star i o Merry, bo lubiła też Merry i pragnęła, żeby ta dziewczyna przeszła przez to wszystko bez nadmiernych cierpień, w każdym razie nie większych, niż mogłaby znieść. Zdumiewało ją to – one były tak naiwne, tak oderwane od rzeczywistości i prostoduszne, pełne absurdalnych wyobrażeń o wszystkim, począwszy od powstania wszechświata, a skończywszy na braterstwie wszystkich ludzi i dochowywaniu wierności wegetariańskim ideałom. Byli jak dzieci, absolutnie pewni swoich racji i absolutnie zagubieni – nawet Norm Sender, a przecież żył już na tej planecie ze czterdzieści lat. Powinni orientować się trochę lepiej. Wszyscy.

– Już im mówiłem, żeby okadzili, ale oni przeważnie siedzą dookoła pieca w tej wielkiej świetlicy, którą zbudowali, i grają w karty, w różne gry i takie tam.

– A Verbie? Rozmawiałaś z nią? – Nalała sobie kawy i usiadła przy stole naprzeciw niego tak blisko, że ich łokcie stykały się za każdym razem, ilekroć podnosili kubki do ust.

– Jeśli ktokolwiek sobie z tym poradzi, to właśnie ona. To naprawdę energiczna dziewczyna.

Steve pochylił głowę i spojrzał w bok.

– A tak, mówiłem jej.

Nastąpiła kolejna pauza. Powiew wiatru przemknął nad dachem jak samolot podchodzący do lądowania. Spojrzała w okno i zobaczyła pierwsze białe płatki wirujące na wietrze.

– A jak się wam układa? – zapytała. – Tobie i jej?

Ich spojrzenia spotkały się przelotnie, potem Steve zapatrzył się w okno.

– Chyba się jednak pomyliłem – odparł. – Nic z tego nie będzie. Nawet nie zrobi się białe.

– Ty i Verbie – powiedziała i poczuła, że usta układają jej się same do uśmiechu. – To romans, prawda? No, Steve, przecież wszyscy wiemy, że ją lubisz; Star mówiła, że oboje jesteście mocno zaangażowani...

Teraz znów utkwił w niej spojrzenie swoich zielonych oczu z brązowymi plamicami na tęczęwce jednego z nich.

– To jest coś więcej niż romans, Pamela, ja ją kocham. Naprawdę. Dla mnie ona jest czymś najważniejszym, co mi się przydarzyło w życiu. Pomagałem im przy stawianiu tych chat, wiesz o tym, prawda? Bo trochę im brakuje mężczyzn do pracy od czasu, jak Pan, Sky Dog i ten, jak mu tam... ten, który wygląda jak koń, co chodzi tyłem...

– Dale.

– Zgadza się, Dale. No więc od czasu, jak ci trzej odeszli.

– I co zrobili, wrócili do Kalifornii?

– Nie, cholera, wprowadzili się do Joego Bosky'ego, do tej chaty na Woodchopper. Tej kawalerskiej nory. Cztery skunksy w dziurze. – Spojrzał gdzieś w przestrzeń poza nią; wewnątrz ich chaty było podobne do wielu innych, zagracone i obwieszane wszelkim ekwipunkiem niezbędnym do życia w domu bez garażu, bez piwnicy, bez wygodnego rozkładu z trzema sypialniami, dwiema łazienkami, kuchnią, jadalnią i salonem.

– Nie chcę, żeby spała przez całą zimę w namiocie, ale mówię ci, oni nawet nie mają dachów w tych chatach, ani pieców. No i wiesz, pomyślałem sobie, że mam mieszkanie w mieście i w ogóle, ja wiem, że to niewiele, ale...

Przy drzwiach rozległ się tupot i do chaty wszedł Sess z włosami przyprószonymi śniegiem. Oczy mu błyszczały, był wyraźnie czymś podniecony.

– Lepiej ostrz swój *ulu*, Pamela – powiedział. Wyrzucał z siebie słowa, jakby szkoda mu było tracić czas na gadanie. Porwał strzelbę wiszącą na belce nad głową Pameli i obróciwszy się na pięcie, wypadł z powrotem na zewnątrz. – Ogród – rzucił w progu. – Spójrz na ogród. – Drzwi zatrzasnęły się za nim.

W oczach Steve'a pojawił się popłoch. Zerwał się od stołu i wyskoczył za Sessem, uderzając po drodze głową o belkę. Tymczasem Pamela pobiegła do nowej izby, żeby wyjrzeć przez okno nad łóżkiem, skąd widać było ogród, w którym dziwny biały żywioł siekł zielone liście i zasypywał pustynię z czarnego plastiku. W jednej chwili – było to zaledwie kilka sekund – zdążyła zarejestrować niezdarną, ciemną sylwetkę podobnego do zapasonej krowy zwierzęcia, które żerowało na samym środku wymiatanego wiatrem ogrodu; potem rozległ się huk wystrzału i zwierzę zważyło się na ziemię, bez hałasu, bez jęku – trzysta pięćdziesiąt funtów mięsa, sierści i tłuszczu z dostawą na miejsce, do ich własnego ogrodu. Nie miała nawet czasu, by odczuć radość i triumf, bo w tej samej chwili dostrzegła młode. Był to jednoroczny miś, z wielkim zadkiem, chudą szyją i jasnym zmartwiałym pyskiem. Nieszczęsne stworzenie wystrzeliło z zagonu brukselki jak pocisk, tak błyskawicznie, że nie było szansy, by drugi strzał Sessa położył je trupem.

Śnieg nie padał długo – kilka garści białej kaszki sypnęło w okna i przepadło w szarzielonych splotach tundry – ale tej nocy był ostry mróz i przetrwał do rana. Sess wstał z pierwszym brzaskiem i wyszedł na podwórko, by zająć się psami. Miał ich teraz pięć, dosyć, by mogły pociągnąć sanie po czterdziestu milach traperskiego szlaku, ale wciąż powtarzał, że chciałby mieć jeszcze dwa, dla szybkości, żeby móc w sobotni wieczór wziąć żonę i zajechać z fasonem do Boynton, wypić parę głębszych, zjeść hamburgera i może zatańczyć dodatkowo przy muzyce z szafy grającej. Pamela poczuła, jak uwolnione od ciężaru łóżko odbiło, kiedy wysliznął się z niego, a po chwili dotarł do niej z drugiego pokoju mocny aromat parującej kawy, ale pozostała w łóżku, opatulona w futra, zasłuchana w odgłosy, jakie wydawała budząca się do życia chata. Sess trząskał naczyniami, metal szczekał o metal, słychać było walenie wielkim żeliwnym rondlem o blachę pieca i skwierczenie niedźwiedziego mięsa smażonego na tłuszczu, którego zwierzę nie nosiło już na sobie, brodząc w potokach i po mokradłach tego świata. Ten zapach był dla niej czymś nowym, a może raczej przywołanym po latach wspomnieniem – nie jadła niedźwiedziego mięsa od czasu, kiedy jako dziewczynka koczowała w namiocie z matką, Pris i mężczyzną z przyprószoną siwizną brodą i niebieskimi szalonymi oczami, zwanym tatą. Jej olfaktoryczna pamięć wyzwoliła sto innych wspomnień, aż w końcu Pamela odpląnęła z powrotem w sen, w którym pojawiła się wizja ojca wkraczającego do obozowiska z przewieszoną przez okrwawione ramię półtuszą czarnego niedźwiedzia i z uśmiechem szerokim jak rzeka Koyukuk.

Obudził ją głos Sessa, wysoki i napięty, przebijający się przez jazgot psów oraz łomot i zgrzyt stawiającego opór obiektu, którym jakaś wielka siła miotła po trawie i wiklinie.

– W prawo! – wołał Sess. – W prawo, wy sukinsyny! – A potem: – W lewo! W lewo, mówię! W lewo!

Podniosła głowę i wyjrzała przez okno. Słońce zalewało podwórze i ogród z wciąż dymiącymi ogniskami, które miały odstraszać owady. Większość roślin stała prosto i ich zieleń pozostawała nieskażona, ale Pamela od razu dostrzegła, gdzie liście fasolki i pomidorów szerniały od mrozu. Rejestrowała to wszystko – mróz, ogniska przeciw owadom, drobne szkody, nowe słońce, więcej słońca – budząc się, ale nie zdążyła się nad niczym głębiej zastanowić, bo natychmiast nałożył się na to, by zaraz zniknąć, zamazany obraz mężczyzny, psa i sań.

– W lewo! – wołał Sess. – W lewo!

W następnej sekundzie była na podwórzu, w szortach i sweterku, za dwanaście ósma, według zegara, na którego zakupienie nalegała pomimo sprzeciwów Sessa. Poranne powietrze ogrzało się do jakichś siedmiu, ośmiu stopni. Patrzyła, jak Sess skręca na skraju lasu, a potem mknie wzdłuż rzeki, skręca znów i szarpiąc za linkę, pędzi z psami prosto ku niej w chmurze pyłu i strzępów zielska. Udało mu się zatrzymać zaprzęg mniej więcej na podwórzu, zapierając się obcasami, wykrzykując komendy i jednocześnie zarzucając coś w rodzaju kotwicy, która przez chwilę młóciła ziemię i podskakiwała, aż w końcu wryła się w piach, żłobiąc długą na sto stóp bruzdę. Dwa psy najbliższe sań rzuciły się sobie do gardeł; takie zaciekle psie starcia zdawały się wybuchać co pięć minut. Sess wkroczył między psy, kopiąc i przeklinając, aż w końcu uspokoiły się i usiadły, ciężko dysząc. Sess był cały przyprószony pyłem i źdźbłami trawy, miał rozdartą koszulę, oba przedramiona broczyły krwią w miejscach, w których pokąsały go psy.

– Ej, maleńka – zawołał z uśmiechem. – Chcesz się przejechać? Zabiorę cię w podróż dookoła świata, wiesz, co oznacza to powiedzonko?

– Nie bądź świntuchem, Sess.

Po chwili trzymał ją w ramionach i kołysał delikatnie.

– Wiesz, że nie jestem – wydyszał jej do ucha.

Psy odwróciły łby w jego stronę, pięć par wilczych oczu utkwilo spojrzenie w plecach pana, Lucius, na pozycji lidera, wyglądał tak, jakby chciał natychmiast wyrwać do przodu; pewnie mógłby przebiec sto mil i nie dostać nawet zadyszki. Sess zaprzęgnął psy do ćwiczebnego pojazdu, ciężkiej, wąskiej skrzynki z wilgotnego drewna z trzycalowymi osikowymi żerdziami zamiast płóz i z dwiema parami kółek, które oderwał pewnie od zdezelowanych taczek – czy może od dziecięcego rowerka – przymocowanych w czterech rogach skrzyni. Kółka były bezużyteczne. Pojazd ważył tonę. Sess chciał, jak jej wyjaśnił, żeby psy trochę popracowały, nauczyły się współdziałania w zespole i oswoiły z ciężarem.

– Pomyślałem, że mógłbym dziś posprawdzać sidła – powiedział. – Przejechać się kawałek, żeby zobaczyły i poczuły, czym to pachnie, i przy okazji naciąć trochę chrustu, gałęzi i tak dalej. Wrócę wieczorem. Ale późno. Naprawdę późno.

– Pojedziesz tym? – zapytała zdumiona. – Przecież to się rozwali, zanim przejedziesz dwie mile.

Nawet nie próbował zaprzeczać.

– Pewnie kółka będą musiały odpaść, w każdym razie kiedy wjedziemy na torfowiska. Chcę, żeby to pociągnęły tak długo, aż wysiądą. A przy okazji: wygotuj porządnie ten kawał mięsa – niedźwiedzie są jeszcze gorsze od świń, jeśli idzie o włośnicę.

Wiedziała o tym, nauczyła się takich rzeczy już przed dwudziestu laty, ale nie odezwała się słowem. Niedźwiedź został poćwiartowany i teraz połcie mięsa wisiały przyczepione do pali tuż pod dnem skrzyni. Poprzedniego dnia zjedli na kolację wątrobę usmażoną z cebulą, a wielkie, żółtobiałe kawały sadła, którego zwierzę nabrało latem, były już odkrojone i powkładane do puszek po kawie, żeby się ochłodziły i stężały.

– Pewnie zechcesz zachować skórę – dodał na odchodnym. – Oczyszczyć ją dobrze, a potem rozepnij na desce i wystaw do wysuszenia.



Później, kiedy zrobiła sobie kanapkę z resztek chleba i wypila tyle kawy, że jej zakończenia nerwowe dosłownie płonęły, przeciągnęła skórę na piknikowy stół, usiadła w słońcu i zaczęła odcinać mięso za pomocą *ulu*, który dał jej na urodziny. To eskimoskie narzędzie, sierpowa te ostrze przymocowane do kościanego trzonka, nadawało się idealnie do czyszczenia skór, czyli do czegoś, co, jak przeczuwała, miało być jej stałym obowiązkiem podczas zimowych miesięcy, kiedy mąż znacznie przywoził zeszywniałe zwłoki stworzeń, które uda mu się zabić w ostępach tej dzikiej krainy. A jak sobie z tym radziła – co czuła, skrobiąc tę cuchnącą, zapchlona i usiana kleszczami skórę w zamieci much, kiedy krew i tłuszcz wchodziły pod paznokcie i wżerały się w najmniejsze zmarszczki na rękach tak, że trudno się było potem pozbyć tego zapachu? Czuła zadowolenie. Albo nie: czuła irytację. Dziś zostawił ją samą po raz pierwszy od czasu, kiedy się pobrali; była to pierwsza z setek podobnych sytuacji, które miały się jeszcze zdarzyć. Spodziewał się jednego: że będzie siedziała i czekała na niego, pilnując tego cholernego, perkoczącego na piecu gulaszu z niedźwiedzia i czyszcząc dokładnie skórę. Zabiła komara na ramieniu, pozostawiając krwawy ślad ręki. Odgoniła muchy z twarzy. Czy naprawdę tego właśnie pragnęła?

*Ulu* skrobał, muchy wzbijały się w powietrze i znów obsiadały skórę. Poza tym nie słyhać było żadnego dźwięku. Pracowała nad tą skórą machinalnie, z braku lepszego zajęcia, zupełnie jak w transie, i dopiero kiedy na horyzoncie pojawiło się kanoe, oderwała się od swej roboty. Dostrzegła łódkę, gdy ta zbliżyła się już na odległość pół mili, bo wcześniej wpatrywała się w cętkowane, czerwone mięso i białe ścięgna tak długo, aż w końcu wszystko rozplynęło się w bezmiarze, a ona sama zatopiła się bez reszty w marzeniach. I nagle z nicości wynurzył się podłużny aluminiowy kształt, który mknął środkiem nurtu w snopie światła. Dwie kobiety pracowały energicznie wiosłami. Wstała, wytarła ręce kawałkiem brudnej szmaty i próbowała zrobić coś z włosami. W łódce płynęła Star – teraz Pamela widziała to wyraźnie – Star i Merry – miały jednakowe meksykańskie szale i skórzane kapelusze z szerokimi rondami. Manewrowały poobijanym srebrzystym kanoe tak, jakby robiły to całe życie. Kiedy skierowały się ku brzegowi, pomachała im ręką i zaczęła schodzić po zboczu, żeby się przywitać.

Kanoe zazgrzytało o żwir, Star wymówiła śpiewnie jej imię, Merry wyskoczyła na brzeg, żeby przywiązać łódkę.

– Pomyślałyśmy sobie, że wpadniemy i zabierzemy ci trochę czasu, co ty na to? – zawołała Star, gramoląc się z łódki i wznosząc do góry, niczym trofeum, pół galona wina. – Dziewczeta mają dziś wolne!

Sess sobie pojechał, niedźwiedzia skóra była wciąż śmierdzącym, plugawym kłębem pokrytego insektami, surowego mięsa i w chacie cuchnęło jak w ubojni, zima czekała w kulisie – było dwanaście stopni w słońcu – nic więc dziwnego, że Pamela, urażona i opuszczona, od rana użalała się nad sobą. I oto teraz przybyły jej na ratunek przyjaciółki. Wzięła dzban z rąk Star i przechyliła go, pozwalając, by słodkie wino spłynęło na język i przeniknęło do żył. Ruszyły stokiem pod górę, ramię pizy ramieniu.

– Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że was widzę – powiedziała.

Kiedy podeszły do piknikowego stołu, Merry stanęła jak wryta.

– O Boże, co to jest? To niedźwiedź? Grizzly?

Merry była zupełnie oderwaną od rzeczywistości marzycielką, jeszcze większą niż Gracie Allen z serialu *Say goodnight, Gracie*, i Pamela nie umiała sobie wyobrazić osoby, która byłaby bardziej nie na miejscu tu, w tym surowym otoczeniu. Każdy dureń, poszukiwacz złota i weekendowy myśliwy z baru Three Pup mógł jej wcisnąć dowolną przerażającą opowiastkę o niedźwiedziach grizzly – o tym, jak to wyczuwają u człowieka seksualne pobudzenie i menstruację, o ich sile i odwadze, o usianym rozszarpanymi zwłokami szlaku, jaki pozostawiają za sobą – toteż teraz cofnęła się od stołu wystraszona, jakby skóra mogła nagle ożyć i zmiążdżyć ją w zabójczym uścisku łap.

– To czarny niedźwiedź. Samica. Sess zastrzelił ją w ogrodzie w nocy.

– O rany! Niesamowite... No i co z tego zrobisz: skórę pod łóżko?

– No jasne, a co myślałaś? – wtrąciła się Star i przechyliła dzbanek; Pamela i Merry patrzyły, jak pije i jak nadmiar wina spływa jej po ramieniu krwistoczerwonymi strumykami. Otarła usta grzbietem dłoni i podała dzbanek Pameli. – Może powinniśmy wziąć jakieś kubki i zachowywać się bardziej elegancko, jak prawdziwe damy – powiedziała i wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

– Niedźwiedzia skóra pod łóżko – rzekła Merry, kiedy śmiech ucichł. – To fantastyczna rzecz, zwłaszcza tutaj, ale co z całą resztą? Co ze zwierzęciem, które jeszcze wczoraj żyło tu sobie w lasach i nie robiło nikomu krzywdy? Co z nim?

– Oni się tym żywią – powiedziała Star.

– Niemożliwe. – Merry patrzyła z niedowierzaniem to na jedną, to na drugą.

– Prawda, Pamela?

Pamela tylko skinęła głową, bo właśnie podnosiła z wysiłkiem wielki dzban. A niech to wszystko diabli, myślała sobie. Niech to diabli wezmą.

Muchy gęsto obsiadły surowe mięso, ale wiadomo było, że i one będą wkrótce martwe, że lada dzień zabije je zima, a bezustannie, w każdej minucie dnia i nocy spragnione krwi komary przepadną razem z nimi. Merry kołysała się na piętach; podniosła rękę i nasunęła kapelusz na oczy, a potem poprawiła okulary z różowymi, wielkimi jak spodła szklami, by skoncentrować szczere spojrzenie swych piwnych oczu na Pameli.

– Czyli że to prawda? Że wy... to znaczy, że ludzie naprawdę jedzą niedźwiedzie mięso? Takich misiów jak Kubuś Puchatek? Albo miś Jogi? Chyba robisz mnie w jajo. No powiedz, że sobie ze mnie żartujesz?

Pamela czuła, jak wino płonie jej w żyłach. Nie podobało jej się to, chciała jak najszybciej zmienić temat. Otrząsnęła się.

– Słuchajcie – powiedziała – wezmę jakieś kubki. – Ale nie poruszyła się. Obie dziewczyny stały jak zahipnotyzowane, wpatrując się w nią. – No więc owszem – rzekła z westchnieniem. – Jemy niedźwiedzie i wszystko, czego tylko możemy dopaść, łosie, króliki, kaczkę, ryby, rysie – lepsze od cielęciny, jak twierdzi Sess – nawet ursony i piźmaki i mogę wam uroczysto przysiąc, bo pewnie w to nie wierzycie, że mięso piźmaka może być tak samo słodkie i delikatne jak każde...

Merry patrzyła na nią z nieukrywaną zgrozą.

– Ale przecież zabijanie innego stworzenia, innej żyjącej istoty, istoty, która zmierza przez wszystkie etapy karmy ku nirwanie... – tu przerwała, żeby zręcznie zabić komara na swoim przegubie – ... to jest coś, czego ja po prostu nigdy bym nie zrobiła.

– Właśnie to zrobiłaś.

– Co? Ach, ten komar? No dobrze, zgoda, nie powinnam była tego robić i żałuję, powinnam czekać, aż przyjdzie zima i spoczną wszystkie w matce ziemi, ale owady to co innego, wiem, wiem, dzaini myślą inaczej, a niedźwiedzie co innego. One są prawie jak ludzie, nie uważasz?

Pamela musiała to przemyśleć. Stała wśród brzęczących much, obok wiszącego w cieniu mięsa i stojących na półkach puszek z gęstym, białawożółtym tłuszczem. Musiała pomyśleć o siódlach i lisach, o wilkach wgryzających się we własne mięśnie, kość i ścięgna, żeby uwolnić się od stalowych zębów, i o niedźwiadku osieroconym przez Sessa, niedźwiadku, który nie mogąc wykopać sobie samodzielnie gawry, był skazany na śmierć z wycieńczenia i zimna, kiedy nadejdzie długa polarna noc.

– Tak – powiedziała w końcu. – One są jak ludzie.

Potem wszystko było już dobrze. Zwinęła na pół oczyszczoną skórę i zarzuciła ją na stelaż do suszenia łososi, jak plażowy ręcznik, sztywny od zaschniętego piasku, odpędziła muchy znad stołu, a potem przyniosła trzy kubki i butelkę rumu Sessa.

– Ten Żelazny Steve – powiedziała, stawiając butelkę i siadając z ulgą obok Star. – Był tu wczoraj na kolacji i zgadnijcie, o kim nawijał bez przerwy?

To był temat. Trunku ubywało w butelce, spełniały kolejne toasty, a ogary plotek mknęły z ujadaniem ku wierzchołkom drzew.

Było już późne popołudnie, kiedy Merry i Star, potykając się i objijając o drzewa jak kule toczące się od jednego do drugiego odbojnika w największym pinballu świata, zeszyły na brzeg rzeki.

– Dobrze, że nie musicie jechać samochodem – powiedziała Pamela i wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. Śmiały się tak długo, aż rozboleły je głowy, aż w końcu poczuły, że wystarczy jak na jeden dzień. Pamela obserwowała je, jak odbijają od brzegu, łódka tańczyła niepewnie na wodzie, nim obciążona odzyskała równowagę i kilka uderzeń wiosłami skierowało ją ku środkowi rzeki.

– Uważajcie! – zawołała.

Wolała nie wyobrazić sobie wywróconej łodzi i kąpieli w zimnym, wartkim nurcie. Pomachała im ręką; Star, która wiosłowała do tyłu, żeby utrzymać dziób na obranym kursie, podniosła na chwilę dłoń, puszczając wiosło, a potem zaczęły się oddalać, były coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie pejzaż wchłonął je całkowicie.

I znów zapadła cisza. Pamela długo stała na brzegu, zapatrzona w dal, na podobne do siebie drzewa, na wodę, która burzyła się i wyglądała na przemian, i doznała uczucia wcześniej jej nieznanego. Wtopienia się w tło. Doświadczyła działania siły, która odebrała jej świadomość i unicestwiła ją. Nie była już Pamelą Harder stojącą na brzegu rzeki Thirtymile. Nie była nowo poślubioną i świeżo opuszczoną żoną. Nie była niczym. Niebo uniosło się zza wzgórz i przemknęło nad jej głową z poświstem, co wyglądało jak zamknięcie powietrznej śluzy. Potem nadciągnęły chmury, zasłaniając słońce, a ona wciąż stała na brzegu. Nigdy w życiu nie brała narkotyków, wierzyła we wszystko, co słyszała lub czytała o przekleństwie uzależnienia, o ludziach zażywających LSD, którzy wpatrywali się w słońce, aż wypalało im źrenice, o narkomanach dokonujących samookaleczeń, skaczących z okien pod wpływem złudzenia, że potrafią latać, ale kiedy Star położyła na piknikowym stole dwa białe skręty marihuany, powiedziała sobie: właściwie czemu nie? Jeśli mogła to robić Star, jeśli mogła Merry, to czemu nie? Wiedza nie jest wiele warta, jeśli nie znajduje oparcia w doświadczeniu.



Mogłaby tak stać wiecznie i czuć, jak luźne końce rozmaitych spraw łączą się w jeden potężny węzeł, mogła się obrócić w kamień, jak w ludowych baśniach, ale para mew z żółtymi dziobami i nieruchomym, utkwionym w jeden punkt wzrokiem wytrąciła ją z transu. Obniżyły lot, żeby przyjrzeć się jej z bliska, wyczuć zapach śmierci, zobaczyć, jak śmierć wgryzała się w skórę jej rąk i pod paznokcie, po czym odleciały, skrzecząc w panice. Spojrzała na swoje opuszczone bezwładnie ręce, wystające z wystrzępionych rękawów swetra. Były zimne. Tak po prostu: zimne. Wiatr zaszeleścił wśród liści; zadrzała i obejrzała się przez ramię na stojącą na zboczu wzgórza chatę. Wydawało jej się, że wspięcie się po zboczu na górę będzie trwało wieczność, że będzie długo przestępować przez obręcze i trapezoidy, które pojawiały się i znikaly, przesuwając się z wolna obok zasypanego okruchami chleba stołu, na którym stały kubki, pusta butelka po winie i popielniczka z długim na cal niedopałkiem marihuanowego skręta, bielejącego jak zapowiedź zagłady, ale nagle stwierdziła, że stoi w drzwiach chaty, a niebo z trzaskiem zamknęło się z powrotem i chmury zaczęły się kłębić bezładnie nad jej głową.

Wewnątrz, ku jej uldze, wszystko było znajome. Tu wszystko było rutyną, wszelkie czynności wykonywało się mechanicznie i nie miało to nic wspólnego z preparowaniem skór, z hipisowskimi narkotykami ani z niebem, które spadło z zawiasów. Dołożyła do pieca. Zapaliła papierosa. Doląła wody do gotującego się mięsa, pokroiła na desce włoszczyznę. Za oknem, nad wzgórzami, eksplodował piorun, błyskawica rozświetliła izbę i od lasu nadciągnął z szumem deszcz, dziobiąc wściekle piasek podwórka ostrymi szpileczkami wody. Star przypaliła skręta z marihuany tak niedbale, jakby to był zwykły papieros, i przekazała go Merry, która zaciągnęła się rzadkim bladym dymem, pachnącym kadzidłem, mirrą i czym jeszcze? – żywicą? – po czym podała go jej. Pamela przytknęła dżojnta do warg i zaciągnęła się: nie różnił się od marlboro, tyle że był bez smaku. „Powiedzieć ci coś? – rzekła Star. – Człowiek nie ma pojęcia, co to jest kochać się, dopóki nie spróbuje z tym. Naprawdę. To jest tak, jakby wszystkie neurony odpaliły naraz, a skóra, skóra po prostu płonie pod palcami mężczyzny”.

W pewnej chwili wyszła na deszcz i przeniosła do środka rum, kubki i popielniczkę z mokrym skrętem. Położyła go na piecu, żeby wysechł, i nabrała sobie miseczkę gulaszu z niedźwiedzia. Była głodna jak jeszcze nigdy w życiu. Zjadła drugą porcję. Trzecią. Wylała sos chlebem, nalała sobie kubek kawy. Deszcz padał jednostajnie; dorzuciła do pieca i poczuła, jak cień niepokoju o Sessa zakrada się jej do serca i znika. Sess potrafił zatroszczyć się o siebie, a to nie było przecież nic wielkiego, tylko zwykły deszcz. Potem przeglądała, zdawało się, godzinami, jakieś czasopismo, wreszcie podeszła do pieca, wzięła wysuszonego skręta i wypaliła go do końca, aż zostały tylko dwa cieniutkie skrawki zażółconej śliną bibułki, którą wrzuciła do ognia, żeby zatrzeć ślady. Było już ciemno, kiedy wrócił Sess i choć cuchnął psem i wilgocią lasów, choć chata przesiąknęła wonią duszonego mięsa, niedźwiedziego łoju i pierwszą śmiercią z całego mnóstwa tych, które miały nastąpić, zdarła z niego ubranie i pociągnęła go ku sobie, by roztopić się z rozkoszy pod jego ciężarem.

Nigdy by tego nie przyznał, a już na pewno nie przed samym sobą, ale ręce mu zmarzły, a jeśli zmarzły jemu, to Pameli musiały zlodowacieć. Oboje mieli na sobie kurtki z polaru, swetry i flanelowe koszule w czerwono-czarną szachownicę, które dostali w prezencie ślubnym od siostry Pameli, ale rękawice wetknęli do kieszeni na piersiach, gdzie pozostały do końca, dumne i niedostępne. Sess nie wiedział, która jest godzina – nie wiedział tego nigdy – domyślał się tylko, że nie może być później niż parę minut po dziewiątej, bo mimo porannego słońca temperatura zatrzymała się na poziomie kilku stopni poniżej zera i z każdym zanurzeniem wiosła woda lizała mu dłoń. Wykonał dwadzieścia pociągnięć i zmienił rękę, ale teraz ta uniesiona, wciąż mokra, wystawiona była na przenikliwy wiatr, wiejący w górę rzeki z południowego zachodu, i zdrętwiała mu natychmiast. Płynące łaty lodu wyglądały jak szare strupy, oba brzegi pokrywała lodowa skorupa. Przy każdym oddechu ulatywał obłok pary. Z przodu Pamela pracowała wiosłem, przekładając je szybkimi ruchami nadgarstka i przez cały czas z jej ust nie padło jedno słowo skargi.

Była połowa października, olchy, wierzy i brzozy przeobraziły się w feerię zgaszonej czerwieni i przegowanych żółci, co noc ścisnął mróz i ta zmiana pór roku była dla natury niezwykle korzystna, miało się wrażenie, jakby cała kraina poddawana była transfuzji krwi, toteż i sam Sess Harder nigdy nie czuł się lepiej. Zdobył mięso, dzięki szczęśliwemu trafowi mięso niedźwiedzia i jeszcze szczęśliwшему – łosia, wielkiego byka w okresie godowym, który tak się opił wodą, że Sess usłyszał jej chłopot w brzuchu zwierzęcia z odległości stu jardów. Poza tym złowił może ze sto miednic siei i innych ryb podczas ich dorocznej migracji do głębokich jam w rzece, gdzie mróz nie miał do nich dostępu. I króliki. Z tegorocznych miotów, oszalałe na punkcie jakiegokolwiek zieleniny, dzięki której mogłyby wzbogacić swoją tkankę tłuszczową, i łatwe do zwabienia w sidła jak samo powietrze. Skrzynia była pełna, mieli jagody, przetwory z warzyw, a tu oto była jego żona, jego słodka, śmietankowa żona; siedziała przed nim z wygiętym w łuk grzbietem sportsmenki, który wyrastał z kotwicy bioder i boków, i wiosłowała, poruszając barkami i zgrabnymi ramionami, ukazując tylko chwilami na mgnienie oka twarz.

Płynęli do Boynton, skąd mieli wyruszyć do Fairbanks samochodem Richarda Schradera, jeśli udałoby się go wypożyczyć, a Sess nie miał wątpliwości, że się uda, chyba że odpadł mu cały tył, na co właściwie się zanosilo, kiedy ostatnim razem jechał tym autem. Pamela, podobnie zresztą jak on, marzyła o kilkudniowym wytchnieniu, o małej dawce jaskrawych świateł wielkiego miasta, zanim nastanie zima. Oboje marzyli o wydaniu pieniędzy, które nadeszły w formie wymiętych banknotów wetkniętych do szarych kopert albo załączonych do kart z życzeniami, były im też pilnie potrzebne różne rzeczy do nowej izby, nie mówiąc o uzupełnieniu zapasów fasoli, ryżu, herbaty, kawy, papierosów, makaronu i tak dalej. No i pasta do zębów, nie należało zapominać o paście.

Przez całą jedną zimę Sess mył zęby palcem wskazującym, bo używana przez niego mieszanka sody i soli całkiem przeżarła włosie szczoteczki. Wiedzieli, że wkrótce rzeka będzie niespławna; musieliby czekać, aż zamarznie na tyle, żeby można było przejechać po lodzie psim zaprzęgiem, i punktem docelowym mogłoby być wtedy najwyżej Boynton, chyba że oddaliby chatę wraz z obejściem pod zastaw i polecili samolotem do jakiegoś miejsca, gdzie słońce nie było tylko mitem.

Teraz płynęli jeszcze rzeką. Marżyły im ręce. Ale czekało ich ciepłe wnętrze Nugatu i Three Pup, wiadomo też było, że nim dotrą do Fairbanks Road, słońce będzie już wysoko, a temperatura osiągnie pięć, może nawet dziesięć stopni. Klucz hałaśliwych czarnych kaczek przemknął nad ich głowami, zdążając na południe. Inteligentne ptaki, pomyślał, uciekają, dopóki warunki sprzyjają podróży. Wiosło mieszało w lodowej kaszy.

– Jak sobie radzisz, Pamela? – zapytał. – Ręce zmarzły?

Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła szeroko, aż ukazał się dołek w policzku, błysnęły równe, białe zęby i dziąsła małej dziewczynki.

– Super – odpowiedziała na pierwsze pytanie. A potem dodała w odpowiedzi na drugie: – Chyba trochę.

Kochał ją. Kochał bardziej niż cokolwiek, co mogłoby mu przyjść do głowy.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – rzekł, dumny z tego, że jest taka twarda, wręcz promieniejący. – Kiedy dotrzemy do Three Pup – dodał, pracując intensywnie wiosłem – ja stawiam pierwszą kolejkę.

– Ale masz gest. – Jej śmiech poniósł się nad rzeką, odbił od brzegu i wrócił do nich echem.

Oboje ściągnęli swetry i zanim dotarli do szerokiego zakola rzeki tuż przed Boynton, odzyskali pełną sprawność rąk. Temperatura podskoczyła bardziej, niż się spodziewał, pewnie do piętnastu stopni, i widok brzegów rozjarzonych na przestrzeni ostatnich kilku mil barwami jesieni był prawdziwą uczcią dla oka. Wciąż wyteżał wzrok, jak to myśliwy, i jego uwagę przykuł jakiś ruch na płyciźnie u ujścia Potoku Ostatniej Szansy. Po ostatnim uderzeniu wiosłem przytrzymał je w wodzie i skręcił w stronę strumienia, nieco zdezorientowany, bo nie był to ani łoś, ani niedźwiedź, ani stado bobrów, nie mogła to też być żadna na wpeł zanurzona wielka ryba pluskająca się w wartkim nurcie ani łódź. Było to coś nieoczekiwanego, zaskakującego w tym miejscu, jedna z tych aberracji natury, które czyniły życie w dziczy tak piekielnie interesującym, bo wystarczyło, że człowiek o czymś pomyślał, i już miał to przed oczami...

– Kto to tam brodzi w strumieniu? – zapytała Pamela.

Nie do wiary – miała lepszy wzrok od niego! Teraz i on zobaczył wyraźniej to coś czy raczej tego kogoś. Były to dwie ludzkie postacie, które nachylały się, podnosiły się razem w górę, a potem rozdzielały jak szkiełka w kalejdoskopie. Łódka zbliżała się szybko, a tymczasem tamci wciąż nachylali się ku wodzie i prostowali na przemian. Byli to dwaj brodzący po lędźwie w wodzie mężczyźni w lśniących koszulach. Światło odbijało się od srebrnej plecionki okalającej główkę kapelusza z płaskim rondem. Sess osłupiał, dosłownie osłupiał. Przed nimi stało dwóch czarnych – dwóch Murzynów, dwóch Murzynów hipisów. Sterczeli w prążkowanym słońcem nurcie strumienia i wypłukiwali złoto.

– Hej – zawołał, kiedy podpłynęli bliżej. – Jak wam idzie?

Ani jeden, ani drugi nie odpowiedział. Utkwili w nim jednak spojrzenie czarnych oczu, które robiło wrażenie wprost najeżonego nieufnością i wrogością. Prąd obmywał zwiotczałą gumę ich wysokich rybackich butów. Długo i z powagą przyglądali się łódce, jakby była jakimś naturalnym składnikiem krajobrazu, jak woda i powietrze. Przyjrzawszy się Pameli i Sessowi, powrócili do swego zajęcia, czyli płukania na połyskujących matowo patelniach kolejnych porcji piasku tak długo, aż nie pozostał najmniejszy okruch krzemionki.

– Jest coś? – zapytał Sess, żeby cokolwiek powiedzieć.

Niższy Murzyn, z twarzą wytartą jak kapciuch od potajemnego folgowania właściciela swym zachciankom, spojrzał na niego spode łba. Głos miał cichy, prawie szeptał.

– Nie, nic tu nie ma, co, Franklin?

Drugi łypnął dziko okiem; nie było to bynajmniej spojrzenie zachęcające.

– Nie ma – potwierdził. – Nic.



Pierwszy uzupełnił:

– To miejsce jest gównem. Co nie, Franklin?

– Jasne.

Sess wyraził nadzieję, że jeszcze się pewnie zobaczą, Pamela życzyła im szczęścia i oboje zabrali się do wiosła, pośpiesznie, by znalazłszy się poza zasięgiem słyszalności, obgadać ten epizod. Odpłynęli na odległość trzystu czy czterystu jardów – Pamela odłożyła na chwilę wiosło i odwróciła się do Sessa.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Cholera wie – odparł. – Ale choćby nawet płukali tu sto lat, nie znajdą ani pół uncji złota w tym strumieniu.

– Rzeczywiście na to nie wygląda. Zachowują się jak ci obłąkańcy ze *Skarbu Sierra Madre*, no wiesz, jak Humphrey Bogart i ten, nie pamiętam...

– Walter Huston – podpowiedział.

– No właśnie, Walter Huston.

Łódka dryfowała. Słońce wycinało brylanciki na powierzchni wody.

– To byli czarni, Pamela. Murzyni. Skąd się tu, na miłość boską, wzięli Murzyni?

W polu ich widzenia pojawiło się Boynton. Pamela pochyliła się do przodu i zanurzyła wiosło.

– Chryste, Sess – rzuciła przez ramię – czarni, czerwonoskórzy, Chińczycy, jaka to różnica? Mówisz tak, jakbyś nigdy w życiu nie widział czarnego.

Miał odpowiedzieć: „Bo nie widziałem”, ale wtedy poraziła ich prawdziwa eksplozja koloru, obraz tak samo dziwaczny jak widok tamtych dwóch w strumieniu. Nie był to dom, raczej coś jak barak firmy Quonset, wciśnięty między szary sześcian drewnianej chaty Richarda Schradera a szopę. Obecność czegoś takiego w tym miejscu zbiła go na chwilę z tropu, ale nagle domyślił się, co to takiego, w nagłym przeblysku intuicji znalazł odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie. Skąd się tu wzięli Murzyni? Z autobusu hipisów, oto skąd.

Jeśli spodziewał się ciepłego i radosnego przyjęcia w Three Pup, czekał go zawód. Lynette już się na niego zasadziła, podobnie Skid Denton. Kiedy tylko Pamela przekroczyła próg, barmanka odwróciła się w ich stronę i zawołała:

– Patrzcie no, oto sam król hipisów we własnej osobie. A może raczej ich administrator?

Skid Denton siedział jak przyspawany do stołka na swym zwykłym miejscu przy końcu baru, z talerzem frytek i ze szklanką musującego piwa w dłoni. Aż wychylił się do przodu, żeby dołożyć swoje trzy grosze.

– Pałą co noc ogniska i na okrągło puszczają tę swoją hipisowską muzykę. Podobno rzną się na potęgę, dymają wszystko, co podleci, oprócz psa, i przez cały dzień kopcą marychę. Czy to prawda, że zbudowali chatę?

– Ten z kośćmi we włosach – powiedziała Lynette.

– I czarnuchy. – Richie Oliver podniósł wzrok znad swojej rozcieńczonej szkockiej; miał oczy czerwone, jakby przez ostatnie trzy dni pływał w morzu tego trunku. – Nie zapominajcie o czarnuchach.

Przy barze stało osiem osób; nikt nie uśmiechnął się do niego ani do Pameli naprawdę szczerze. I to bolało, bo cóż ona miała z tym wspólnego? Nie więcej niż on. Albo jeszcze mniej, i to znacznie mniej. Starał się zignorować Lynette i Skida Dentona, który był zresztą kompletnym palantem, pozdrowił wszystkich, podsunął Pameli krzesło przy stoliku pod oknem i zaczął się zastanawiać, czy wziąć jajecznicę na szynce lub bekonie, czy może hamburgera i piwo. No i jeszcze musiał zatańczyć, bo przecież prędzej by go szlag trafił, niż dałby się im wykurzyć z baru, który sobie wybrał według własnego uznania. Pamela uśmiechnęła się do niego blado i ujęła go za rękę.

– Lynette! – zawołał, może o jeden ton za głośno. – Czy ktoś nas tu wreszcie, do diabła, obsługuje?

Wypili. Zjedli. I robili to z prawdziwą przyjemnością. Ludzie zaczęli podsuwać sobie krzesła i przysiadać się na słowko, jeden za drugim, po dwóch, po trzech. Wszystkie nowinki i najświeższe plotki zaczynały się od hipisów i kończyły na nich. W końcu przysiadła się Lynette i przyglądała się, jak kroją mięso i podnoszą widelce do ust, zupełnie jakby potrzebowali jej instrukcji. I nie przestawała gadać nawet na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu.

– Ten z kośćmi we włosach i z wiankiem czosnku na szyi? Pan Wampir, tak go nazywam. Przyszedł tu, zamówił dzban piwa i dopytywał się, czy może go wziąć na kredyt, a kiedy mu powiedziałam, że nie ma tu takiego zwyczaju, obszedł cały bar i pytał wszystkich, czy ktoś nie ma na zbyciu jakichś drobnych.

Ale Richard Schrader – najlepszy przyjaciel, jakiego Sess miał nad rzeką, drużba na jego weselu – a więc Richard Schrader przebił wszystkich. Nie było go w domu, kiedy przyплыnęli łódką. Stał tam tylko odpicowany autobus, a jakiś hipis krzątał się przy piecu garncarskim i lśniącym szeregu glazurowanych misek, talerzy i popielniczek, które ustawił na rozłupanej kłodzie, jakby zamierzał otworzyć stragan przed szopą Sessa. Teraz Richard zajechał samochodem przed bar, pchnął siatkowe drzwi i od razu od progu zawołał:

– Sess, ci ludzie muszą stąd odejść, oni robią kompletny cyrk z mojego podwórka, nie wiem, czy przespałem więcej niż dwie godziny od czasu, jak przyjechali tu ze swoimi rylcami i wrzaskami, i tym diabelskim łomotem gitar, tamburynów i czego tam jeszcze. Czy ty wiesz, że wyciągnęli kolumny z autobusu i zamontowali je na dachu, tak żeby ten jazgot niósł się po rzece na cały świat? Próbowałem z nimi spokojnie rozmawiać, owszem, ale usłyszałem tylko „pokój, bracie” i „pieprz się”...

Sess zamówił jeszcze jedno piwo. Nie śpieszył się. Wytarł talerz kawałkiem gąbczastego, sklepowego chleba. Zapytał o desery. Zrezygnował z następnej kolejki. Na zewnątrz mógł się wydawać opanowany, ale w środku się w nim gotowało. Położył pieniądze na stoliku, wziął klucze od Richarda i powiedział Pamelii, że za minutkę wróci. Nie zrobił jeszcze dwóch kroków za próg, gdy dogoniła go Lynette i złapała za ramię.

– Sess – zatrzymała go. Starcze bruzdy wokół ust, przy nozdrzach i w kącikach małych oczek pogłębiły się w wyrazie dezaprobaty. Jej twarz wyglądała tak jak twarze zasuszonych i zamarzniętych mumii znalezionych w Andach. – Chcesz iść i narazić się Joemu Bosky’emu? – Spojrzała w dół, na kaburę swojego pistoletu, a potem znów podniosła wzrok.

– Powiadam ci, uważaj na tego typu...

Wsiadł do samochodu i po przejechaniu pół mili po wybojach i na pół zagrzebanych w piachu kamieniach zajechał na podwórko, wzbijając tumany kurzu. Zatrzymał się przed szopą, pozwolił jeszcze silnikowi chodzić przez chwilę, po czym wyłączył go. Wtedy usłyszał muzykę, ryk jakiegoś byka, z gitarami, perkusją i elektrycznym pianinem w tle. Aparatura była rozkręcona tak, że głośniki nie wyrabiały. Wokal przycichał, wybuchał ponownie charkotem zniekształceń, znów przycichał. Po prawej stronie stały dwa samochody, Volkswagen i studebaker; wyglądały tak, jakby nie ruszały się z miejsca od miesiąca. Pod osłoną autobusu krył się piec garncarski, bijący od niego żar deformował obraz szopy, która, jak zauważył Sess, wymagała pilnie pomalowania. Autobus natomiast bynajmniej tego nie wymagał. Napracowali się nad nim zdrowo i nie było chyba koloru, którego by nie użyli.

Powietrze było krystalicznie czyste, słońce robiło, co do niego należało. Było cieplej, niż można by oczekiwać. Kiedy Sess wysiadł z samochodu, muzyka zaatakowała go z całą siłą. Podszedł do drzwi autobusu i zapukał w zamalowaną szybę raz, potem drugi. Wreszcie zaczął walić pięścią; teraz dopiero okazało się, jak to dobrze – dobrze dla nich, dla hipisów – że nie strzelił sobie drugiej lufy.

– Otwierać! – zawołał. – Ktokolwiek tam jest, otwierać!

Poczuł lekkie kołysanie autobusu, po czym drzwi otworzyły się z sykiem i stanął w nich owinięty w brudny zielony koc facet, którego nazywali Niesamowity George. Był boso. Jego włosy wyglądały jak drugi, mniejszy koc, a raczej jak to paskudztwo z szorstkiej, zbitej juty, którego Jill używała w swoim mieszkaniu zamiast podstawek pod doniczki. We włosy wplótł zbielełe kości jakiegoś zwierzęcia.

– Och – powiedział, usiłując sobie przypomnieć, skąd zna tego faceta. – Hej.

– Słuchaj – zaczął Sess i poczuł, że znów wzbiera w nim gniew, który brał się nie wiadomo skąd, po prostu ze słonecznego dnia, i który był zdecydowanie nieproporcjonalny w stosunku do przestępstwa. – Macie się stąd wynosić. Wszyscy.

I zabierzcie z sobą cały ten wasz pieprzony szmelc.

Niesamowity George wykonał nieokreślony gest. Wyglądał, jakby miał się lada chwila przewrócić.

– Człowieku – powiedział po chwili tak cicho, że Sess ledwie go usłyszał przez ryk z głośników. – Ty chcesz gadać z Harmonym, to Harmony jest tu potrzebny...

Tak się szczęśliwie dla obu złożyło, że w tym momencie Harmony, z rękami usmarowanymi gliną, wyszedł z autobusu. Jak przypuszczał Sess, człowiek ten mógł być jego rówieśnikiem; chociaż jasne gęste włosy miał ufryzowane po damsku, twarz zdobiły jakby dla przeciwwagi srogie rude wąsiska à la Fu Manchu. Sess, którego kontakty z plemieniem były ograniczone, uznał od razu, że jest to najbardziej rozsądny człowiek z całego towarzystwa – i że będzie o wiele łatwiej porozumieć się z nim niż z bratankiem, który miał skłonność do przemawiania w punktach, jakby płacili mu od wiersza. Harmony wyglądał na zaskoczonego. Wytrzeł ręce w dżinsy, przekrzywił głowę i spojrzął na Sessa spod okularów w drucianej oprawce. Sess gotów był założyć się o swoje gospodarstwo, że za chwilę powie: „Co jest grane?”, więc zanim Harmony otworzył usta, sam zaczął swój wywód, wyliczając wykroczenia hipisów, informując go, co myśli o tym miasto, i dając niedwuznacznie do zrozumienia, że on i cała reszta powinni spakować manatki i znaleźć sobie inne miejsce do rozbijania garnków, puszczenia ogłuszającej muzyki, palenia swojej marychy i zażywania LSD.

Nie wiedział, jak długo mówił, ale w pewnej chwili do Harmony’ego przyłączyła się jego żona, przyjaciółka czy też ktoś inny, szczuplutka, obszarpana kobietka z łagodnym uśmiechem na twarzy, prostymi włosami i biustem, który pasowałby raczej do kogoś dwukrotnie większego. Stali oboje i słuchali, jakby byli w sali wykładowej bez krzeseł. Kiedy skończył, kiedy się całkiem wystrzelał i pomyślał, że trzeba by wrócić do samochodu, wziąć Pamelę i pojechać do Fairbanks, aby uczcić to, że żyją, nową porę roku i to, że ich skrzynia aż pęka od mięsa, płyta, którą cały czas podświadomie przekrzykiwał, zatrzymała się raptownie i Harmony powiedział:

– Słyszę cię, człowieku. Otoczył kobietę ramieniem i przyciągnął do siebie. – Byłeś dotąd super, prawdziwym równiachą i bardzo to sobie wszyscy ceniliśmy, nawet Niesamowity George. I posłuchaj, może troszkę zawaliliśmy sprawę, może robimy to za późno, ale ja i Alicja chcielibyśmy ci jakoś okazać nasze uznanie. Proszę – wskazał na długi, chwiejny szereg koślawych popielniczek, dzbanów i kubków z dzióbkami ustawionych na nieheblowanej desce i dodatkowo zdobiących trzy pniaki. – Wybieraj sobie, co chcesz...



Trzy dni później, kiedy wrócili z Fairbanks, autobus wciąż tam stał. Sess uznał to za oczywistość – czego się miał spodziewać, że pomalują go jakąś magiczną farbą i zniknie? Prawdopodobnie nic się nawet nie zaczęło, żaden odwrót. Po co się oszukiwać – zanosilo się na długą historię. Może coś się zmieni, jeśli za jakieś dziesięć tysięcy lat nadejdzie kolejna epoka lodowcowa i wysoka na milę ściana lodu przejdzie przez tundrę, mieląc wszystko na proch, ale teraz wyglądało na to, że lepiej się oswoić z sytuacją, bo autobus dalej nie pojedzie. I w tej chwili – po tych trzech dniach – jakoś nie mógł się tym specjalnie przejąć. Bawili się z Pamelą jak nigdy, przeżyli drugi – a właściwie pierwszy – miesiąc miodowy, wylegając się w łóżku w zajeździe Williaw Motor, paląc, popijając rum i colę z plastikowych kubków i oglądając to mistyczne migotanie świata, schwymane i zamknięte w małej skrzynce, nazywanej przez Amerykanów pieszczotliwie „telly”, dla podkreślenia, jak jest im bliska. Nakupowali różności. Odbyli kilka rund po barach. I choć Sess przeżył zawód, stwierdziwszy, że w schronisku dla psów nie ma czworonoga, który ważyłby więcej niż piętnaście funtów – na śmietniskach Fairbanks spotykały się tylko pudle miniatutki, kędzierzawe bolończyki i chihuahua – był ogólnie usatysfakcjonowany. Wracał do domu ze swą żoną i z wszelkimi niezbędnymi rzeczami oraz przedmiotami zbytku, jakie zdołali zapakować do samochodu – a także z wyrobami garncarskimi hipisów – i ni cholery go nie obchodziło, co się będzie dalej działo w Boynton.

Przyjechali tam późnym popołudniem. Wiał zimny wiatr. Sess minął bar Three Pup, wjechał na podwórko Richarda i wycofał samochód na brzeg rzeki.

– Czy potrzebujemy czegoś z szopy? – zastanawiał się głośno, kiedy Pamela podawała mu pudła z zakupami, puszki z olejem i paliwem, torbę nowiutkich skarpet i bielizny, wreszcie filcowe wkładki do mukłoków Sessa, który układał wszystko na dnie łodzi. Wiatr tarmosił go za włosy.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – powiedziała, prostując się i spoglądając w dal ponad stalowoszarą rzeką.

Niebo pociemniało. Cała armada lodu ruszyła do boju z otwartą wodą.

– To dobrze, bo to niebo wcale mi się nie podoba.

Pamela naciągnęła na głowę kaptur swojej parki, gdy tylko wysiadła z samochodu. Jej dłonie wyglądały jak cienkie płyty poszarzałej skóry, wystające z rękawów. Kuliła się przed wiatrem, zaczęły jej czerwienieć policzki i czubek nosa. Kiedy wyjęła wiosło spod ławki, zauważyła nienaturalną biel swoich palców zaciśniętych na drewnie o ciemnej oleistej fakturze. Posłała Sessowi zmęczony uśmiech i usiadła na dziobie łodzi. Nie mógł nie pomyśleć o kontraście pomiędzy tą chwilą a pierwszą wspólną wyprawą w górę rzeki, w pełnym rozkwicie czerwca. Ale też takie drobne uciążliwości były czymś, co ta kraina fundowała każdemu, kto nie miał uprzedzeń, a oni już wkrótce mieli się znaleźć w chacie, napalić w piecu, wziąć do rąk kubek z gorącą herbatą. Kiedy odbili od brzegu, kanoe rozpruło pajęczko cienki lód przy brzegu. Było oczywiste, że to ostatnia wyprawa łódką w tym roku.

Nie upłynęli nawet pół mili pod wiatr, który smagał im twarze, gdy Pamela odwróciła się do niego.

– Kluczyki. Co z kluczykami?

– Zostawiłem je chyba w samochodzie. Myślisz, że nie?

– Sprawdź w kieszeniach, Sess – pamiętasz, co było ostatnim razem.

Ręce miał tak zgrabiałe, że ledwie zdołał wsunąć je do kieszeni. I co tam wymacał? Pudełko zapalek, szczyryk, portfelik – i kluczyki od samochodu Richarda Schradera. Zawrócili więc i popłynęli w dół rzeki, Sess wdrapał się na górę po stromym brzegu, przeszedł obok uśpionego łaciatego autobusu hipisów, wetknął kluczyki do stacyjki, zbiegł truchtem do rzeki – i po raz drugi odbili od brzegu.

Wiatr był teraz gwałtowniejszy, musieli się więc trzymać brzegu, żeby pozostawać poza jego główną linią ataku, ale i to było problemem, bo przy brzegach tworzył się lód i nie pozwalał się do nich zanadto zbliżyć. Zapadał zmierzch. Wiosłowali w milczeniu. Robili to machinalnie, niczym pilot automatyczny, pociągnięcie za pociągnięciem, kiedy nagle do uszu Sessa dotarł warkot samolotu.

Usłyszał go – usłyszeli oboje – zanim jeszcze zobaczyli samolot, a kiedy się pojawił, materializując się niespodziewanie na niebie, stwierdzili, że jest nie dalej niż dwieście stóp od nich i że zmierza w tym samym kierunku. Przemknął nad ich głowami z rykiem potężnym jak eksplozja, a potem, zatoczywszy szeroki krąg, zawrócił w ich stronę. To Howard Walpole albo Charlie Jimmy z indiańskiej wioski nad Eagle, pomyślał Sess. Krąży, żeby zobaczyć, czy sobie radzimy.

Nie był to jednak ani Howard Walpole, ani Charlie Jimmy. Samolot miał trzy światelka, ale to pod lewym skrzydłem nie było zsynchronizowane z pulsacją dwóch pozostałych – musiał być jakiś defekt w instalacji, może niedokręcona żarówka – i kiedy Cessna się zbliżyła, pikując tym razem prosto na nich, Sess zobaczył pływaki obdarte z farby i migoczące matowo w nieregularnych błyskach niebieskawego światelka. Znał te pływaki, które, jak wiedział, zostaną wymienione na narty, jeśli pogoda nie zmieni się do rana, i nie musiał nawet widzieć łuszczącego się kadłuba ani wyblakłej litery N, żeby wiedzieć, czyj to samolot. Tymczasem on leciał prosto na nich, tuż nad upstrzoną krami wodą, w półmroku, gnany wiatrem. Sess nie miał czasu, by pomyśleć, nie miał czasu zanurzyć wiosła i zrobić uniku ani uciec pod osłonę drzew, bo samolot przemknął nad Pamelą. Mimo że schylili głowy i pływaki śmignęły w górę, odczuł silny wstrząs, glinianą miską na owoce rozprysnęła się w kawałki, a woda – zimna jak śmierć woda Jukonu – wdarła się do łodzi przez niewidzialną szczelinę w kadłubie.

Przystąpił do działania. Uderzył wiosłem w wodę i przytrzymał je zanurzone tak długo, aż łódź obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, jak igła kompasu. Pomknęli w dół rzeki z prądem i z wiatrem. Pięćset jardów przed nimi ciemniała kępa drzew, wysunięta daleko w głąb rzeki. Zawołał do Pameli, żeby wiosłowała w tamtą stronę, a sam zaczął gorączkowo szukać strzelby wśród przytroczonych do łódki puszek, skrzynek i hipisowskich garnków, myśląc: a więc to wojna. Zbliżył się jeszcze raz, ty sukinsynu, zrób to jeszcze raz.

Migające niebieskie światelka znikły w oddali gdzieś w dole rzeki, a potem znów rozbłysły, gdy samolot zawrócił.

– Wiosłuj! – zawołał Sess, pakując nabój do komory i kładąc strzelbę w poprzek ławki, tak by móc jednocześnie nachylić się w stronę wiosła i ustabilizować rozkołysaną rufę. Przed oczami mignął mu profil Pameli, blada, nikła emanacja na tle ciemnego pasa brzegu.

– On chciał... – wyjąkała. – On chyba nie...?

W tym momencie znów usłyszeli wycie silnika i zobaczyli światełka, coraz ostrzejsze w miarę jak odległość malała.

– A jakże, kurwa, nie! – ryknął Sess, napierając na wiosło barkiem; dzieliło ich nie więcej niż dwieście jardów od miejsca, w którym tężał pod osłoną drzew przybrzeżny lód.

Bosky natarł na nich zbyt gwałtownie. Spodziewał się ich znaleźć dryfujących bardziej w górze rzeki; silnik zaryczał tuż nad ich głowami i nagie pływaki przemknęły nad nimi jak rakiety, zanim Sess zdążył się odchylić i wystrzelić. Ale był gotów, odczekał, by łódź, nad którą usiłowała zapanować Pamela, ustawiła się bokiem do nurtu, i wypalił trzykrotnie, trzy twarde miedziane pociski jak trzy kurtuazyjne noty pomknęły ku kopule nieba, przesywając prawdopodobnie powietrze. Nie mógł powiedzieć, czy rzeczywiście chybił. Nie wiedział tego. Był zbyt napompowany adrenaliną, żeby czuć gniew czy szok. Odłożył strzelbę, chwycił za wiosło i w chwilę później wryli się w zwały przybrzeżnego lodu i przedarli pod osłonę drzew.

Wokół panowała cisza. Ostry, śrutowaty śnieg zaczął sypać z nieba, jakby tylko czekał na wyswobodzenie. Potem Sess usłyszał odgłosy rzeki i lodu, który skrzypiał, mlaskał i chlupotał, jakby dwie mokre dłonie pocierały o siebie – i płacz Pameli. Siedziała skulona, cień wśród głębszych cieni. Płakała tak cicho, że początkowo wziął jej płacz za szelest twardej, śnieżnej kaszki wśród traw, które przetrwały. Na dnie łódki zebrała się woda i ich stopy – mieli na nogach zamszowe buty z cholewkami, najlepsze, na specjalne okazje i wypadki do miasta – były mokre. Nie wzięli z sobą śpiworów, karimat ani namiotów, no bo komu był potrzebny namiot w zajeździe Williwaw Motor?

– Nie płacz, Pamela – powiedział zdławionym głosem.

– Nic się nie stało, wszystko będzie dobrze.

Najpilniejszą rzeczą było rozpalenie ogniska, ale bał się to zrobić, bo Joe mógł wypatrzeć ogień i wrócić. Skoncentrował się więc na wyciąganiu łódki z wody, wyładowywaniu przemoczonej żywności, ubrań, narzędzi, sprzętów, bez których nie mogli się obejść, i ustawieniu łódki tak, by stanowiła osłonę przed wiatrem. Pamela pracowała u jego boku i nie musieli odzywać się do siebie, nie musieli zamieniać słowa, działając w pełnej harmonii przy rozładowywaniu łódki, cięciu świerkowych gałęzi, żeby je pod nią podłożyć, i zbieraniu drzewa na ognisko, jeśli miałyby ono zapłonąć, a oni musieliby czekać tu dłużej. Tymczasem śnieg twardniał, lodowe granulki bębniły w ich kaptury i rękawy i spadały na ziemię z cichym szelestem jak wysypywane z worka ziarenka ryżu. Wkrótce czarna pustka na brzegu rzeki zaczęła się wypełniać tą bladą, jaśniejącą śnieżną substancją.

– On nie wróci, prawda, Sess? – dobiegł z tej pustki głos Pameli.

Spojrzał w tamtą stronę na widmową, zgarbioną postać, która układała stos z gałęzi i wyrzucała krótkie, urywane zdania wraz z obłoczkami pary porywanymi przez wiatr.

– Nie – odpowiedział. – Nie wróci i mam nadzieję, że ten sukinsyn się rozwali i spłonie, tak że nie zostanie po nim najmniejszy rozpoznawalny ślad. No bo czy możesz w to uwierzyć? Możesz uwierzyć, że on naprawdę do nas strzelał? Mówiłem ci, Pamela. Mówiłem ci od samego początku, a ty nie chciałaś wierzyć.

Odczekali pół godziny, w końcu Sess przytknął zapalną do zwoju brzozy kory i ognisko zapłonęło. Wysuszyli buty, skarpety, nogi. Pamela wygrzebała wilgotną paczkę krakersów z torby z rozmiękłą żywnością i zjedli je z plasterkami sera. Pozwolili nieco ostygnąć swoim emocjom. Wyglądało na to, że nadciąga pierwsza wielka burza śnieżna tego roku – wszystko na to wskazywało: wiatr, kaszkowaty śnieg i temperatura minus pięć stopni. Sess nie miał wątpliwości, że się jeszcze oziębi i śnieg zrobi się sypki, a wtedy zmaleją szanse na to, żeby spuścić łódkę wraz z cennym ładunkiem na wodę przed nadejściem wiosny. Wstał po chwili i zaczął przeszukiwać bagaże, aż znalazł parę nowych ocieplanych skarpet wędrowca, typu „gwarancja, że nie zmarzną ci paluchy przy minus czterdziestu stopniach”. Wetknął jedną z nich do otworu po pocisku w dnie łódki i upychał ją tak mocno, aż uznał, że spełni rolę korka. Potem ponownie załadowali łódkę i ruszyli wśród zamieci w stronę rzeki, walcząc z wichrem. Ich barki i ramiona zastygły w pozycji „do wiosła”, jakby wyciosane z lodu.

Było pewnie po północy, kiedy minęli strumień Woodchopper, płynąc daleko od brzegu na wypadek, gdyby Joe zaczął się tam na nich. Żadne z nich nie odważyło się nawet pomyśleć, co mogło się zdarzyć w górze rzeki, w chacie, skoro Joe Bosky wiedział, że nie ma ich w domu, i miał wszelkie środki, a także motyw, by wyrządzić im jakąś prawdziwą i niemożliwą do naprawienia szkodę. Śnieg chłostał ich po twarzach. Cienka skorupa lodu uformowała się na ładunku, w miejscu, w którym wiatr chlapał wodą ściekającą z wiosła Pameli, a na tej lodowej powłoce osiadał śnieg. Mrok nocy gęstniał, czynił ją porą, która żyła swym własnym, nieodgadnionym rytmem i oni nie mieli prawa przebywać na jej obszarze. Sess Harder się tym nie przejmował. Był zadowolony, że tu jest, że sprostował wyzwaniu, że żyje, cieszyło go każde pojedyncze wściekłe uderzenie drewnianego wiosła w zamarzającą wodę. A kiedy dotarli do ujścia Thirtymile i psy rozśpiewały się na znak, że ich zwietrzyły, poczuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.



# Część szósta

## Stara noc

To była Ziemia, o jakiej słyszeliśmy, stworzona z  
Chaosu i Starej Nocy.

Henry David Thoreau, *Ktaadn*

Było święto Halloween. Trzydziesty pierwszy października, ulubiony dzień Pana – i czym mógłby się popisać? Niczym – żadnych czarnych kotów, żadnych szkieletów, nie miał nawet wydrążonej dyni ze świeczką. Była czwarta po południu, ciemno choć oko wykol i rzeka, wielkie, srebrzyste, pełne ryb boisko, na którym igrał całe lato, była teraz szczelnie zamurowana w lodowym grobowcu. Skuta lodem, jak to mówią, i Pan wyruszył w gasnącym świetle dnia tą zamarzną autostradą, żeby przekonać się, że w ciągu ostatniej nocy został zapieczętowany ostatni otwarty kanał wodny. Było trzydzieści stopni poniżej zera. Dął wicher. Pan stał, dygocząc, na twardym jak skała brzegu i wsłuchiwał się w ciszę zakłócaną tylko skrzypem pracującego lodu i stłumionym szumem kipiącej pod nim wody. Wszystkie te odgłosy życia, zniwelowanego, sprowadzonego do zera, bez zwykłych westchnień czy bulgotów, wprawiały go w euforię. Zawrócił do chaty, ale przed drzwiami pochylił się jeszcze, żeby wziąć naręcz drewna.

Nikt nie mrugnął nawet okiem. Wszedł do przelotowej sieni, zamknął za sobą zewnętrzne drzwi, wcisnął się przez wewnętrzne jak człowiek wąż i zatrzasnął także i te, z nosa mu kapło, palce miał zdrętwiałe, sosnowe polana tkwiły mu pod pachą jak paczka nieprzeczytanych książek. Razem z nim wtargnął do izby powiew zimnego powietrza i zapach zimna, niemal chemiczna woń. A jak będzie, kiedy temperatura spadnie o dalsze dziesięć stopni? O dalsze dwadzieścia? Przeszedł przez izbę, poruszył żar w palenisku i dołożył polan, ale nikt nie zapytał: „Hej, stary, jak tam na dworze?” ani: „Rzeka już całkiem zamarzła?”, nie powiedział: „Myśleliśmy, że uświerkłeś na amen”. Słysząc było tylko: „Przebijam i czekam”. „Dwie pary”. „Trzy walety, dwie dziewiątki”.

Joe siedział za stołem ze Sky Dogiem i Dale'em, tasując karty. Grali w pokera od co najmniej dwunastu godzin – w każdym razie od czasu, gdy wrócili z baru na śnieżnych skuterach – i nie zanosilo się na to, żeby mieli przestać. Cały czas krążył dżojnt. Popijali piwo z kwartowej butelki, połykali *reds* i dexamil, zależnie od potrzeby, a on siedział sam i sam dbał o towar dla siebie, doszedł jednak do kresu i teraz chciał działać, zabawić się, przecież było święto Halloween, do kurwy nędzy.

Joe włączył prądnicę, bo pieniądze nie miały dla niego znaczenia i mógł wręcz pławić się w benzynie, ile tylko zechciał, więc światła płonęły i było to z jednej strony dobrodziejstwo – przynajmniej dawało się czytać, żeby zabić nudę, która zaciskała się jak palce dusiciela – ale z drugiej także przekleństwo. Przekleństwo i coś cholernie wkurwiającego do tego stopnia, że Pan, choć pacyfista i dziecko kwiat, rozważał możliwość potrójnego zabójstwa i może na dokładkę samobójstwa, bo elektryczność oznaczała muzykę, a dla Joego Boskiego muzyka to były tylko melodie z musicali i country – *Oklahoma, Dźwięki muzyki*, Kitty Wells, Roy Acuff, Flatt and Scruggs, Eddy Arnold, Gene Autry. Chryste, Gene Autry! Ronnie starał się o tym nie myśleć i napchał sobie do uszu papieru toaletowego, próbując się jakoś odciąć, ale ckliwe dudniące głosy, jęczące gitary i wsiowe zaśpiewy i tak przebijały się przez te stopery i brukały jego świadomość tak długo, aż w końcu przyłapał się na tym, że sam nuci to gównu. *Wzgórza ożyły* – czuł, że jeśli te wzgórza ożyją jeszcze raz, to on nie ręczy za siebie.

Oczywiście ironia losu w całej tej beznadziei polegała na tym, że wzgórze, podobnie jak wszystko wokół, były martwe. Joe nie przestawał nawijać o zakładaniu sideł, o podnieceniu, jakie towarzyszy obchodowi i sprawdzaniu, czym też obdarowała nas przyroda, ale sam nie robił teraz nic, tylko gadał. Skończył z traperką, taka była prawda. Robił interesy, dostarczając samolotem gorzałkę do eskimoskich wiosek nad rzeką Kobuk, sprzedając skrzynkami dżin Fleischmanna oraz whisky Three Feathers i Everclear dziesięciokrotnie drożej, niż kupował je w Fairbanks. Ronnie wybrał się z nim dwukrotnie, żeby zobaczyć, jak tam jest, i okazało się, że to prawdziwy koniec świata. Budy bez okien, psy na łańcuchach, zapiaszczone ulice, śmieci miecione wiatrem, żadnych dróg wjazdowych ani wyjazdowych – Boynton było w porównaniu z tym prawdziwym Manhattanem. Sam zarobił dolara czy dwa, sprzedając działkę z zapasu, który zabrał z Drop City – próbował też często wać tym szajsem Norma, Marca i Verbie i sam nie wiedział kogo jeszcze, ale wszyscy i tak traktowali go jak trędowatego i to nie było w porządku, choć gdy spojrział na to trzeźwo, widział wyraźnie, gdzie spieprzył sprawę, gdzie zaprzepaścił wielką szansę, i teraz naprawdę tego żałował. Ale Eskimosi – mali, wręcz miniaturowi i komiczni faceci z włosami wyglądającymi jak żywy smar, którzy nie spojrzeliby człowiekowi w oczy, nawet gdyby ich podpalili – no więc Eskimosi chcieli trawki, ach, jak bardzo chcieli!

– Wilki – mówił Joe i jego głos docierał do niego przez stłumione papierem toaletowym brzęczenie aparatury – oto w czym jest forsa. Dla pilota.

Ronnie, który zaczął czytać jedną z dziewiętnastu tanich książek, jakie były w chacie – napisał ją Louis L'Amour i była nudna jak flaki z olejem – teraz położył ją okładką do góry na piersiach i pociągnął łyk ze srebrnej flaszki, którą dwa tygodnie wcześniej wygrał od jakiegoś gościa w Three Pup w bilard. Nie mógł puścić słów Joego mimo uszu. Spojrzał w stronę stołu.

Dale Murray miał na sobie barani kozuch i futrzany kapelusz, który kupił od jakiejś Indianki w Nugacie za równowartość trzech szklaneczek brandy Alexanders – to był jedyny alkohol, jaki pił, brandy Alexanders, choć śmietanka do niej była zwykłym skondensowanym mlekiem z puszki, a sama brandy żytniówką przesączoną przez zużyte torebki ekspresowej herbaty. I on, i Sky Dog dosyć już mieli zaśniewanej północy i przez cały miniony tydzień próbowali namówić Joego, żeby poleciał z nimi do Fairbanks, bo jak powtarzał w kółko i do znudzenia Dale: „Kalifornia to jest to. Pieprz ten szajs. Mówię poważnie, pieprz to wszystko”. A Joe odpowiadał niezmiennie: „Jutro, bracie. Kiedy się przejaśni”.

Teraz Dale spojrział na niego spod oka i zapytał:

– Jak to wilki?

Sky Dog, z przekrwionymi, zapuchniętymi szparkami oczu, tarmosił kołnierz kiedyś białego swetra, który zrobiła mu na drutach jedna z cipek z Dog City w szczęśliwszym okresie.

– Mówisz o tych wielkich, przyjaznych psiskach, które co noc, co rano i każdego popołudnia wyją na wzgórzach?

– Mówię o kupie forszy, o tym mówię. Łatwo je wypatrzeć na śniegu, nie mają się gdzie schować. To zupełnie jak polowanie z packą na muchy.

– Zdawało mi się, że jesteś traperem? I co z twoją traperką?

Joe wzruszył ramionami. W chacie mogło być jakieś pięć stopni, ale on był rozebrany do ciepłego podkoszulka i wijących się tatuaży, które wyglądały jak wojenne blizny – czy dokładniej mówiąc blizny „adresowane” (ta jest z Filipin, ta z Sajgonu, a ta z miejsca tak koszmarnego, że wolelibyście nie znać jego nazwy).

– Czy wy w ogóle macie pojęcie, co to jest traperka? To szaleństwo. Kompletne wariactwo. Trzeba być jaskiniowcem w rodzaju Cecila B. Hardona, żeby chcieć się z tym babrać, jakąś skończoną ofiarą losu, z głową pięćdziesiąt stóp nad dupą. Ostatniej zimy powiedziałem sobie po prostu: „Pieprzyć to” i zostawiłem swoje sidła, niech sobie rdzewieją, pewnie teraz są w nich same kości, gównu mnie to obchodzi. Nie, ja tylko zmadrzałem. Teraz patrzę na wszystko z lotu ptaka. Pomyślałem: jaki był sens inwestować w prywatny samolot, jeśli się go nie używa? Sześćdziesiąt trzy wilki, różnych odcieni, od smolście czarnego po śnieżnobiałego – to są moje trofea z ostatniej zimy. Dopadłem wszystkie i dostałem po trzydzieści pięć dorców za sztukę, czyli kupę forsy, nie licząc skór. Po co wypłukiwać złoto, kiedy ono biega wszędzie na czterech łapach?

Sky Dog odrzucił głowę, jakby go ktoś uderzył.

– To nie w porządku, bracie, to po prostu nie jest w porządku. Ja bym tak nie mógł. Jeśli wystrzelasz wilki, nie będzie drapieźników, a tam gdzie nie ma drapieźników, cała ekologia bierze w łeb. Znaczą łosie i karibu i tak dalej, króliki zeżrą las do gołej ziemi. Ja się na to nie piszę.  
– Uderzył pięścią w stół.

– Ha! Tak mówisz teraz. Łatwo tak gadać, jak człowiek może sobie wrócić do swojego rezerwatu w Malibu, gdzie jedynym zmartwieniem jest to, czy twoja kobitka musi mieć aż tyle ciuchów, czy nie, ale jak przyjdzie ci pożyć trochę tutaj, to szybko zmienisz śpiewkę. – Joe odchylił się w krześle, aż zaskrzypiało na łączeniach. Podniósł butelkę z piwem i postawił ją z powrotem, potem pochylił się do przodu i nalał sobie wódki z butelki, która chłodziła się na podłodze, bo o ile wyżej było pięć stopni, przy podłodze mogło być minus dwadzieścia. – Wilki to hołota. Wzerają się w odbyt łosia i pożerają jego wnętrzności, kiedy jeszcze stoi, zabijają wszystko, co zobaczą, bez względu na to, czy są głodne, czy nie – dla czystej przyjemności mordowania. Nie – dodał po chwili, wychyliwszy wódkę. – Gdyby trafiła mi się taka okazja, zabiłbym ostatnią szczenią wilczycę na oczach gubernatora i jego gabinetu. I wiecie co? Gubernator dałby mi pewnie medal.

– A tak nawiasem mówiąc, kto tu jest gubernatorem? – zastanawiał się głośno Dale Murray.

Sky Dog podrapał się za kołnierzem, sięgnął przez stół po butelkę i napelnił szklaneczkę. Minęła jedna minuta, jedna z miliona, z miliarda minut.

– Nie mam, kurwa, pojęcia – odparł Joe.

– Ej, nie lubię się wpięprzać do rozmowy, ale czy wiecie, jaki mamy dziś dzień? – odezwał się Pan ze swojego łóżka przy piecu. Książka leżała mu na piersiach. – Jest Halloween.

Cała trójka popatrzyła na niego bez słowa. Piec dyszał i zasysał powietrze. W chacie było sucho jak na pustyni Atakama. W końcu Joe Bosky nachylił się i splunął na podłogę.

– No więc co mam zrobić? – zapytał. – Włożyć perukę i przebrać się za hipisa? A może za kobietę – tak by było okej?



Ale Ronnie nie odpowiedział – był już myślami gdzie indziej. Przeniósł się nagle w wyobraźni do ostatniego święta Halloween, do Peterskill, na zabudowany domami brzeg rzeki Hudson, do miejsca pełnego sklepów, barów, klubów i sklepików z prochami, gdzie można było dostać przez całą dobę, co się tylko chciało; gdzie były ciuchy, płyty, befsztyki, chińskie i włoskie zarcie, pączki, pieczone kurczaki. Do miejsca, w którym rozbił swój pierwszy samochód, w którym mieszkali jego rodzice. I jego przyjaciele. Kumple. Ludzie, wśród których dorastał. Ogarnęła go nagle taka nostalgia, poczuł się tak zagubiony i pusty wewnątrz, że musiał uderzyć się pięścią w mostek, żeby nie zwymiotować gulaszu z łosia, który jedli prosto z garnka od trzech dni. Wielka kula, efekt zażycia kwasu, rosła mu w gardle i paliła tak, że aż napłynęły mu łzy do oczu. On i Star naprawdę zaszaleli tamtej nocy. Dosłownie płonęli, czuli się jak zwycięzcy. Najpierw zaliczyli dwie raczej przyzwoite imprezy, potem poszli do klubu, w którym grał na żywo jakiś zespół; Star przebrała się za kota, miała rajstopy, aksamitne body przylegające do ciała tam, gdzie trzeba, i domalowane wąsy, które do rana zdążyła zlizać. Nie była zresztą jedyną, która miała taki kostium – wszystkie cipki przebrały się za seksowne kociaki, lisiczki albo wampiry i pokazywały biusty, nogi i całą resztę. Ronniego interesowało zawsze, czy ktokolwiek prowadzi nad tym jakieś badania socjologiczne, bo cipki nieodmiennie ubierały się tak, aby ucieleśniać cudze fantazje seksualne, a mężczyźni zawsze szli raczej w absurd. I co to oznaczało? Mężczyźni mogli być wyluzowani, zaćpani, mogli balować bez zahamowań, ale kobiety – samice, cipki – zawsze chciały wywoływać ślinotok, potrzebowały uwielbienia.

Ronnie przebrał się za bożka Pana, miał parę pomalowanych na brązowo diabelskich rogów, imitujące fletnię piszczałki, które znalazł kiedyś pod stertą rupieci w szkolnej sali muzycznej, i włochate rajstopy, które uszyła mu matka na maszynie, a trzeba powiedzieć, że miała dryg do takich rzeczy. I nie było to wcale aż takie absurdalne. Raczej *cool*, naprawdę. Podchodzili przypadkowi ludzie, żeby go komplementować, i choć nie wygrał konkursu na najlepszy kostium – pierwszą nagrodę, autentyczne, długie na metr nargile, przywiezione z Marrakeszu przez właściciela klubu, Alexa, dostał jakiś dupek przebrany za Spiro Agnew – nie przejął się tym za bardzo. Tej nocy rozstał się z Ronniem na dobre, tej nocy stał się Panem. Jej wspomnienie kazało mu wstać z łóżka; wsunął filcowe wkładki do butów, włożył dodatkowe skarpety, zasnurował buty i ubrał się ciepło.

– Gdzie ty się wybierasz, człowieku? – zapytał Sky Dog.

– Będziesz chodził po domach i wyłudzał cukierki?

Do Boynton było osiem mil, które dało się teraz pokonać pieszo, idąc po zamarzniętej rzece. Do Drop City cztery mile. Dwa razy cztery równa się osiem, obliczał sobie. Wyszedł w ciemność, na mróz, i wydychając białe obłoczki jak parowóz, dotarł do rzeki, a potem skręcił w prawo, kierując się na północny wschód. Myślał o Star. W Drop City bez wątpienia świętowali – atmosferę Halloween, święta cudaków, wyczuwało się w powietrzu. Norm ich rozkręci. Jeśli nikt inny tego nie zrobi, Norm stanie na wysokości zadania. Słysząc było nacierający mróz i skrzyp cienkiej warstwy śniegu pokrywającej lód. Cztery mile marszu, nie więcej niż przechadzka po parku. Nie czuł w ogóle zimna, ani troszeczkę.

Sess Harder odsłonił mu kiedyś tajniki odległości – jeszcze w czasach, kiedy Pan mógł się pokazywać w jego chacie, co było niemożliwe od momentu, kiedy naciągnął Pamelę na pięć dolarów, ale co tam, *tant pis*, jak mówią Francuzi. Wiatr ucichł i pokazał się księżyc. Pan nie mógł zrozumieć, dlaczego rzeka nazywa się Thirtymile – czy nie powinna być wobec tego o trzydzieści mil od Boynton, a nie trzy razy bliżej? Sess był wtedy jak zwykle zajęty, szuł uprząż dla swoich psów, i Pan sterczał nad nim z piwem w jednej ręce i skrętem w drugiej, a z ust trapera padały niespiesznie wypowiedane głębokim tonem liczby i wyjaśnienia:

– Odległość mierzy się od Dawson – mówił. – Pierwotnie ludzie płynęli w dół rzeki właśnie stamtąd, a więc była Fortymile na południe i wschód od Eagle i stamtąd Seventymile na północ. Przypuszczam, że ludzie nie chcieli nazywać rzeki Hundredmile – żeby nie brzmiało to zniechęcająco – więc nazwali ten odcinek Thirtymile, bo jest to trzydzieści mil jak w pysk strzełił od Seventymile. Czy to się trzyma kupy?

Nie trzymało się. Powinni byli nazwać rzekę Clothesline, sznur do bielizny, Dinosaur albo Punctured Pineapple, przekłuty ananas. Albo nazwać ją na cześć matki Jimiego Hendrixa jej imieniem – zamierzał złożyć w tej sprawie wniosek, kiedy tylko wróci do cywilizacji. Rozmyślał nad tym dalej, ciąg coraz bardziej groteskowych nazw przewijał mu się w wyobraźni, cisza i bezkres rzeki, widok wzgórz najeżonych cieniami i skąpanych w świetle księżycy, księżycy, wszystko to przenikało głęboko do jego świadomości – w końcu było święto Halloween – i jeszcze nigdy w życiu nie czuł się z niczym tak bardzo związany. Skręcił znów w prawo u ujścia Thirtynile, zupełnie jakby skręcał z ulicy MacDougal w ulicę Bleecker, a kiedy zbliżył się do chaty Sessa, jaśniejącej na tle drzew, i poczuł zapach dymu, który snuł się w powietrzu jak obietnica, przeszedł obok niej, nie zwalniając nawet kroku.

Psy Sessa jakimś cudem nie podniosły alarmu. Gdyby skupił się na odróżnianiu jednego cienia od drugiego, dostrzegłby zarys psich bud pod drzewami, ale nie było tam żadnego ruchu, żadnego pobrzękiwania stalowych ogniw łańcucha czy szeptu rozwiewanej sierści, żadnego dźwięku oprócz szumu wiatru w uszach. Psy spały, pozwijane w kłębek, oddychając swobodnie rześkim powietrzem nocy. Mieszkały tutaj, to było ich miejsce, i miejsce jego, Pana. Szedł dalej, palce zaczęły mu chyba lekko drętwieć – buty miał nie najlepsze – ale nie było w tej sytuacji niczego, czego nie doświadczyłby już wcześniej, w Nowym forku. Może było zimniej, ale nie aż tak bardzo. Pamiętał z dzieciństwa dwadzieścia, dwadzieścia pięć stopni poniżej zera, kiedy lód malował nakładające się na siebie kryształowe gwiazdy na wewnętrznych szybach, pamiętał ojca, który kopał drzwi studebakera, bo samochód za nic nie chciał ruszyć, pamiętał też słodkawy, metaliczny zapach eteru, którym ojciec spryskiwał gaźnik, w płonnej nadziei, że uda mu się go zreanimować. Ojciec. Jego obraz zatrzymał się na ułamek sekundy w świadomości Pana, a potem zniknął jak blaknący film w projektorze wyobraźni. Ronnie szedł naprzód. Pokonywał bezmiar. Nie myślał o tym. Księżyc – księżyc w pełni, księżyc wigilii Wszystkich Świętych – oświeślał mu drogę.

Drop City dotarło do niego najpierw w postaci zapachu dymu, wypełniającego nocne powietrze, a potem jako skupisko świateł, tak białych i nikłych, że nie był pewien, czy rzeczywiście je widzi, dopóki nie wspiął się na wzniesienie, na którym stało pięć ustawionych w półkole chat. Cztery z nich miały dach i w tych płonęło światło, te żeglowały w górze po morzu nocy, ale piąta była tylko stertą ociosanych bali, sięgającą najwyżej pasa. Pomyślał o Mendocino Billu, o Alfredzie i o ich wielkich, dętych planach: z drogi, patrzcie i podziwiajcie, oto powstaje miasto na wzgórzu, metropolia, Chichen Itza i Tadz Mahal razem wzięte. Podaj tę deskę, człowieku, złap za piłę. A jednak musiał przyznać, że posunęli się z robotą dalej, niż przewidywał, bo spod dachów wystawały rury od pieców i ulatywał z nich prawdziwy, uczciwy, autentyczny dym, unoszony wiatrem, a gdzie był dym, tam musiał być i ogień, gdzie zaś płonął ogień, było ciepło. Wszedł na podwórze – Ronnie, Pan, który wrócił, żeby ich pozdrowić w tę noc niepodobną do innych – i zawahał się.

Od końca sierpnia nawet się nie zbliżał do tego miejsca i choć natknął się przypadkiem na paru braci i parę sióstr w Three Pup, Nugacie i w domu towarowym Setzlera, nie wiedział właściwie, co ludzie sądzą o tym wszystkim, czy będzie teraz pożądanym gościem – wybaczymy sobie, zapomnijmy, było, minęło – czy nie. Nie wiadomo było zwłaszcza, co sądzi Norm. Z Normem ani z Alfredem wolałby się nie spotkać. Stał w zimnym świetle księżycy, gotów w każdej chwili czmychnąć z powrotem do Woodchopper i pieprzyć całe Drop City, jeśli go nie chcą, to i on ich nie potrzebuje, gdy nagle nastąpiła zmiana atmosfery w jednej z chat, usłyszał śmiech i dwa przekrzykujące się głosy, a potem kaskadę pohukiwań i miauknięć, która je zagłuszyła. Wstrzymał oddech. Skoncentrował się. I wtedy usłyszał muzykę. Jej dźwięki dochodziły ze świetlicy; było to stłumione zawodzenie gitary i jednostajny łomot bębnow. Przeszedł przez podwórze i ze spuszczoną głową pchnął drzwi.

Czekała go niespodzianka. Ludzie, owszem, byli, osiem dziesięć, może jedenaście par oczu patrzyło na niego w nikłym blasku światec, ale nikt nie tańczył ani nawet nie rozmawiał, nikt się też teraz nie śmiał. Z głośników rozbrzmiewał kawałek Buffalo Springfield, napięty jak drut głos Neila Younga przebijał się przez piosenkę *I Am a Child* i brzmiało to jak żałobny tren. W zatłoczonej, przesiąkniętej zapachem marihuany izbie panował taki smutek, że Ronnie miał ochotę złapać kogoś za ramię i zapytać, kto umarł. Star tu nie było, nie było Marca ani Norma. Ani Merry. Ale był Freak i przynajmniej on powitał go radośnie, machając kikutem ogona i wciskając zimny nos w zagłębienie jego dłoni. Czyżby nikt go nie poznawał, czyżby gównem ich wszystkich obchodził?

– Hej, ludzie – powiedział, wyławiając z półmroku pojedyncze twarze. – Co jest grane?

Mendocino Bill zburzył tę zaklętą atmosferę. Wstał z nieheblowanego stołka przy piecu, zwałisty jak góra, w zrobionym na drutach swetrze, który pewnie przysłała mu matka albo była żona, i stawiając nogi przesadnie ostrożnie, jak nurek, który musi przejść między zabójczą ośmiornicą a jakimś gigantycznym, krwiożerczym mięczakiem, zbliżył się do Ronniego.

– Ja to pieprzę – powiedział. – Patrzcie no, kto przyszedł.

– Hej, ludzie! – Pokręcił głową, żeby omieść wzrokiem całą izbę, razem z antresolą, a jego stopy w grubych skarpetach połączyły się na kształt grzybowatej narośli. – To Pan.

Zbiorowy pomruk. Neil Young mordował piosenkę, ludzie majaczyli w półmroku jak zjawy, Geoffrey, Niesamowity George, Dunphy, Erika, Deuce, wszyscy patrzyli na Pana, mrużąc oczy, jakby był o sześć mil stąd. Czy to był rzeczywiście Pan? Naprawdę Pan? Ale gdzie... Myśleliśmy... A niech to szlag! To Pan. Wydawało się, że nikt nie żywi już urazy, serdeczne uściski, ze wszystkimi, masz, bracie, kopsnij sobie, i owszem, owszem, chętnie kopsnie, ale gdzie cała reszta? Przecież jest Halloween, nie? A może pomylił się w obliczeniach?

W izbie była Angela, byli też Maya, Creamola, Foster.

– Trzymamy rękę na pulsie – powiedział Bill i wycofał się pod piec, by grzać wielką, rozedrganą bryłę swego zadu. – Tylko że jakoś się nie skrzyknęliśmy. Poza tym kiedy przyszedł mróz, dynie były jeszcze małe jak grejpfruty...

– Znaczy śnieg – wtrącił Creamola.



– Wydrążyliśmy cukinie – powiedziała Angela, i rzeczywiście, na parapecie leżały cukinie, przywiedle, zielone, z wyciętymi otworkami i świeczkami, migoczącymi żałośnie w pulpowatym wnętrzu. – Poza tym Reba przebrała Che i Sunshine za diabełków i obeszl ich chaty za cukierkami, najpierw poszli do Star, a potem do tej, w której mieszkam ja z Eriką, George’em i Geoffreyem.

Zauważył teraz, że kilka cipek umalowało sobie oczy i przyprószyło policzki i czoła brokatem, a Niesamowity George zmienił chyba swoje kości i czosnek na świeże, ale trudno to było uznać za przejaw świętowania, o jakim myślał Pan. No dobrze, ale co z nim? Co z Dale’em i Sky Dogiem? Czy też się tu wybierają?

– Nie – odparł. – Oni grają w karty. – Jeszcze nim dokończył zdanie, uprzytomnił sobie, jak beznadziejnie to zabrzmiało. Dale i Sky Dog byli tu także *personae non gratae*; Marco i Alfredo przegnali ich po kilku dniach radosnego dymania, picia i sennego wylegiwania się w słońcu. Dali im też jasno do zrozumienia, że Joe Bosky jest tu również niemile widziany – Daj Coś z Siebie albo Spadaj, Deceesae, taka najwyraźniej była nowa dewiza Drop City i można było zapomnieć o Wudedezet. – Ale gdzie jest cała reszta? – zapytał, stojąc w samym środku kręgu bielejących w półmroku twarzy.

– Lydia wróciła – powiedziała Angela.

Lydia. Poczł, że jego lędźwie reagują na to imię.

– I gdzie jest?

Dowiedział się następujących rzeczy: Lydia, nadziana forszą i obładowana szkocką, czekoladowymi cukierkami i papierosami, przysparowała na tylnym siodełku podrasowanego skutera śnieżnego jakiegoś kudłatego typu i zasypała ich historyjkami o sprzedawaniu ciała w Fairbanks i o temperamencie samców z Alaski. Przemknęła przez Drop City jak błyskawica. Impreza trwała dwa dni – ludzie byli po prostu spragnieni odmiany, jakiegokolwiek, bo człowiek mógł pociąć tylko określoną ilość drzewa, zjeść określoną ilość wegetariańskiej papki i grać w monopol do znudzenia, ale w końcu musiał sobie zadać pytanie: i to ma być wszystko? Nie zaczęła się jeszcze zima, a już było im ciężko. Tworzyły się frakcje. Ludzie byli śmiertelnie zmęczeni, panowały nastroje samobójcze. Nie mieli skutera śnieżnego, nie mogli się ruszyć z miejsca, chyba że zdecydowaliby się iść w taki mróz dwadzieścia mil do Boynton, do miasta, które samo było teraz zamknięte. A co z kudłaczem i jego skuterem? Przespała się z nim Rain – sprostytuowała się, dała mu, jak tylko chciał – więc zabrał ją i odjechał, zostawiając za sobą ogon dymu z rury wydechowej i łopoczącą śnieżną zasłonę. Teraz była już prawdopodobnie w San Francisco.

Pan patrzył na nich w milczeniu. Krążący skręt dotarł wreszcie do niego. Było też piwo, warzone przez Toma Krisznę, nawet niezłe.

– Hej – powiedział. – Tom robi postępy. Jak sobie stąd pójdzie, powinien się zgłosić do Budweisera, nie uważacie?

Nikt się nie roześmiał. Ludzie znów pograżyli się w cieniu. Usiadł i przez chwilę chłonał po prostu atmosferę, a kiedy poczuł się już dostatecznie zadowolony, wstał i zmienił płytę, nastawił rock and rolla, *Excuse me while I kiss the sky*, żeby się trochę rozruszali, ale Bill, ten wielki, rozdęty wór tłuszczu i kudłów, pasażer autobusu Wolności, pan Przymulacz, stwierdził, że muszą oszczędzać baterie, i wyłączył aparaturę. I Pan znów znalazł się na mrozie, myśląc o Star, myśląc o Merry, myśląc o Lydii.

Cienka skorupa śniegu trzeszczała mu pod nogami; brzmiało to jak wystrzały z pistoletu. Było teraz zimniej, księżyc wypłynął na niebo, a w ślad za nim rozsypały się gwiazdy, jak krosty na twarzy. Nie miał złudzeń co do Star ani co do Merry, ale Lydia, przynajmniej Lydia była stworzona dla niego, od zawsze, od samego początku. Jasne, nie była w jego typie, ale życie drwała mnicha w chacie Bosky'ego, dźwiganie bali, polowanie, palenie w piecu, kiedy Joe krążył po okolicy swoją cesseną, przypominało odsiadanie wyroku. Sprowadzili sobie kiedyś na noc dwie indiańskie cipki i pijąc przez dwa dni, przećwiczyli z nimi wszystkie konfiguracje, co było okej, wcale się nie uskarżał, chociaż... Alaska okazała się nie tym, na co się pisał, za skarby, i gdyby miał trochę forsy, już by stąd prysnął, przynajmniej na zimę. Hawaje – to brzmiało nieźle. La Jolla. Ensenada.

Chata Star była ostatnia. Miała w środku przelotową sien, parę oświetlonych okien, z komina ulatywała smużka dymu. Pan stał chwilę przed drzwiami, zastanawiając się, czy zapukać, po czym wszedł w ciemną czeluść sieni i zastukał dwa razy. Cisza. Zapukał jeszcze raz. Usłyszał głosy, szuranie nóg. Potem drzwi otworzyły się ze skrzypem i stanął w nich Marco w wypłowiałych dżinsach i roboczej koszuli. Przywitał go z rezerwą, sztywny i oficjalny, nie było między nimi przyjaznych uczuć, w każdym razie od incydentu z trawą. Pan nie mógł wymyślić nic lepszego, powiedział więc tylko:

– Albo będzie cukierek, albo wytnę numerek.

Z głębi chaty dobiegł głos Star.

– Kto przyszedł? Ronnie? Czy to Ronnie?

Potem usłyszał pisk Merry, a może to była Lydia, i długą serię chichotów wszystkich trzech, jakby sam fakt jego istnienia był najśmieszniejszą rzeczą na świecie. Marco skinął głową i trzy kobiety, od których wionęło ciężkim zapachem pościeli, koców, nocnych koszul – zapachem ciał – stanęły w drzwiach w spodniach od dresów i grubych skarpetach, gruchając jak gołębice na powitanie.

– Wejdzże – powiedziała Star. – Chryste, nie stój tak...

Wewnątrz było ciasno jak w więziennej celi. Można było przyłożyć palce do jednej ściany i sięgnąć drugą ręką do przeciwległej. Było tu ciemno, gorąco, sucho. Większą część przestrzeni zajmowały dwie wbudowane koje i trzeba było się schylać, żeby przejść wśród masy przeróżnych części garderoby zwisających z haków i sznurków rozciągniętych pod sufitem – mokrych skarpet i bielizny, parek, dżinsów, butów. Żarzyło się kadzidełko. W piecu buzował ogień. Pod oknem stał mały stolik, zarzucony kartami do gry, książkami i zastawiony brudnymi talerzami; Pan opadł na krzesło, które podsunęła mu Star, i ściągnął rękawice, a tymczasem cipki obstały go, trzy pary piersi na poziomie oczu, promienne twarze jak marsjańskie sondy kosmiczne poszukujące śladów życia.

– Nie do wiary – powtarzała Merry.

Pan dostrzegł Jiminy'ego, który przeszywał go spojrzeniem, siedząc na jednej z górnych prycz.

Wzruszył ramionami.

– Jest Halloween – powiedział tytułem wyjaśnienia. – Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u was.

Trudno było się spierać; po chwili wszystkie trzy siedziały z nim przy stole, zajadając ciasteczka z kandyzowaną skórką pomarańczową upieczone specjalnie na Halloween, pałac dżojnta i popijając grzane domowe piwo z dzbana, podczas gdy Marco i Jiminy rozmawiali przyciszonymi niskimi głosami na górnych pryczach. Lydia miała na sobie długie, sięgające ziemi futro.

– Lisy, prezent od wielbiciela – podoba ci się?

Wyglądała dobrze, wręcz świetnie, i chyba zrzuciła parę kilogramów.

– Dla mnie bomba – powiedział i objął ją ramieniem.

– Posłuchajcie Pana – zachichotała Merry. – Zbyt długo pościeś, co? Jak ty tam żyjesz z tym Joem Boskym, jak koza czy co? A co powiesz o mnie? Czy nie wyglądam bombowo?

Siedziała naprzeciwko Star i malowały sobie wzajemnie twarze – miało to zastąpić maski; nosy na czarno, czarne plamy na policzkach, cała reszta zgniłozielona. To nie był czas odpowiedni, by się przebierać w seksowne kostiumy. Ani miejsce.

– O tak – powiedział Ronnie. – Fantastycznie. Super.

– A ja? Co powiesz, Pan? – zapytała Star.

Wydeła wargi i zaczęła się wdzięczyc. Nie mógł nic wyczytać z jej oczu, absolutnie nic. Zastanawiał się, czy jeszcze coś do niego czuje, czy odstawiła go całkiem, do widzenia, żegnaj, bez urazy, to co z tego, że byli oboje w klasie pana Boscovicha, że zakasowali Lewisa i Clarka, kochali się pod gwiazdami i dzielili każdym centem? Co z tego?

– Dziwię się, że nigdy się nie wybrałaś, żeby zobaczyć mnie, jak tańczę – powiedziała Lydia. – Co się stało, kochany, przestałam cię interesować? Czy po prostu nie opłacało ci się tłuc do Fairbanks te cztery godziny?

Tu wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem, zaczęły się poszturchiwać, miauczeć, gulgotać, walić w stół zwinionymi w kułak dłońmi. Cha, cha! Ale zabawa! I Ronnie – Pan – dał się sprowokować, zaczął się usprawiedliwiać i jego tłumaczenia były szczerze, prawdziwe, bo samochód był właściwie wrakiem, Joe zaś latał do miasta tylko wtedy, kiedy miał ochotę, a ostatnio akurat nie miał. No i co on, Pan, miał zrobić – iść pieszo?

– Ale teraz wyglądam bombowo, tak? Teraz, kiedy siedzę tuż obok ciebie? – zapytała Lydia, błyskając swoimi fioletowymi oczami. Żartowała sobie, droczyła się z nim, przekomarzała tonem niby lekkim, lecz jednocześnie sondującym. Nagle zawisła spojrzeniem na jego twarzy: – I myślę, panie Pan, panie Wielki Kochanku z wielkim kutasem, że chciałbyś mnie teraz przewrócić i zrobić to ze mną, tak jakbym była tego bardzo spragniona, co? O to chodzi?

Ronnie był w impasie. Był zjarany, zmęczony, chciało mu się dymać, ale nawet Sokrates miałby tu problem – szczerą odpowiedzią byłoby „tak”, ale „tak” zamykało drzwi, a „nie” było czymś w rodzaju upodlenia, a on, bez względu na to, jak był napalony, nie zamierzał się czołgać, zwłaszcza przed Lydią. Nie była nawet w jego typie.

Wśród tego napięcia rozległ się głos Marca:

– Zabrałeś obie strzelby i pistolet. Nie należą do ciebie, bracie, i masz je nam oddać.

– Och, daj spokój, Marco – powiedziała Star zdławionym głosem. – Nie teraz.

– Ustrzeliliście już łosia, ty i kto tam jeszcze, Bosky, Dale albo Bruce? Mieszkasz jeszcze z nimi?

– Chodzi ci o Sky Doga?

– Tak, o Bruce’a. On jest Bruce, tak jak ty jesteś Ronnie, ja Marco, a Jiminy... zaraz, jak ty się nazywasz?

– Paul Atkins – odparł Jiminy chrapliwym szeptem.

– No właśnie, Paul. Ustrzeliliście już tego łosia?

Kolejne trudne pytanie. „Tak” – i przepadłeś, człowieku, „nie” – jesteś niedołągą i powinieneś oddać strzelby.

– Tak – odpowiedział ku własnemu zaskoczeniu. – Samca. Młodego. Joe mówi, że ważył ponad tysiąc funtów. Wypatrzyliśmy go z powietrza – na otwartej przestrzeni, wielką ruchomą plamę na śniegu. Mamy mięso, mnóstwo mięsa. Gdybyście trochę chcieli...

Zgodnie z przewidywaniami Marco odparł:

– Chcemy strzelby.

– Okej – odrzekł Ronnie. – Słyszałem. – Spojrzał z ukosa w ciemną niszę górnej pryczy i zobaczył tam płonące, utkwione w sobie oczy Marca. Nie było mowy, żeby oddał pistolet – co za szczęście, że nie miał go przy sobie – czy strzelby. Może najwyżej jedną. Może. – Jutro. Słowo honoru.

Tu Star zaczęła opowiadać o ogrodzie i o tym, że praktycznie nic z niego nie mają – zaczęli za późno i dostali nauczkę – tylko marycha wyrosła jak trzeba, nic nadzwyczajnego, ale wysuszyli liście i coś z tego mają, nawet jest nie najgorsza. W każdym razie daje kopa. Potem zapadła cisza i w końcu Star powiedziała swoim najpogodniejszym głosem:

– Jiminy, Merry, Marco, chodźmy do Norma po cukierki. Niech ci dwoje mają trochę prywatności, co?



Zaledwie zatrzasnęły się drzwi, Lydia wstała, żeby dołożyć parę szczap do ognia, choć w porównaniu z domem Bosky'ego chata robiła wrażenie hermetycznej jak volkswagen i musiało już w niej być ze trzydzieści stopni. Lydia zostawiła drzwiczki pieca otwarte, żeby mogli przyglądać się płomieniom, i Ronnie docenił ten romantyczny gest, ale pocił się niemiłosiernie, a w gardle zaschło mu tak, że oddałby życie za szklanekę mrożonej herbaty albo lemoniady, A&W, z lodami na wierzchu. Ach, podejść do okienka i zamówić coś takiego w parny, upalny dzień na północy stanu Nowy Jork, kiedy przypalona słońcem skóra obłazi z karku, cykady świergołą w koronach drzew, a woskowany kubek poci się człowiekowi w dłoni. Niezła fantazja, co? Naprawdę komiczne. Oto jest na Alasce, na końcu świata, w chacie z bali, ziemię pokrywa śnieg, temperatura spadła do minus trzydziestu stopni, a on nie może myśleć o niczym innym, tylko o lemoniadzie z lodem w wysokiej chłodnej szklance albo o wódce z cytryną, dżinem i tonikiem, o czymkolwiek zimnym, im zimniejszym, tym lepiej.

Lydia zdjęła lampę z haka i zdmuchnęła płomień, z bocznych otworków uleciała cienka smużka zielonkawego dymu, w powietrzu rozszedł się zapach nafty. Zostawiła płonące świece. Ronnie przyglądał się jej, jak krząta się po zagraconej izbie, lawirując wśród ogólnego bałaganu; w końcu znalazła swoją torebkę wiszącą obok plecaka Star, tego samego, który jechał w bagażniku studebakera, kiedy podróżowali przez kraj. No proszę, plecak Star, pomyślał. Lydia wygrzebała z torebki następne kadzidełko i podeszła do stołu, żeby zapalić je od świecy, która skapywała na łokieć Ronniego. Osadziła kadzidełko w podstawce – miało zapach goździków, goździków i chyba mięty – a potem wyjęła dżojnta z kieszeni futra. Z szerokim uśmiechem zapaliła go i wręczyła Panowi. Potem zrzuciła futro na podłogę, jednym płynnym ruchem ściągnęła przez głowę sweter razem ze stanikiem i potrząsnęła włosami.

– Chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła? – zapytała. – Chcesz zobaczyć, co cię ominęło, bo nie wybrałeś się do „Żbika”, żeby mnie podziwiać na estradzie?

– Tak – odpowiedział. – Byłoby fajnie.

Zaczęła z wolna kręcić niewidzialną obręczą hula-hoop, jej szerokie biodra kołysały się długo, w końcu przestąpiła dżinsy, które opadły na podłogę.

– No i co, Pan, ty satyrze, chcesz mnie?

Obserwowała go z dolnej pryczy, kiedy wyswobadzał się niezdarnie z niezliczonych warstw ubrania, z dwóch koszul, swetra, długich kalesonów – czuł się jak sześciolatek, który rozbiera się przed swoją mamą po dniu spędzonym na zabawach w śniegu, ale Lydia nie była jego matką, och, nie, ni cholery, no i dobrze się złożyło, bo teraz już nic nie mogło go powstrzymać. Buty. Zaczął szarpać sznurowadła, walić obcasami w podłogę.

– Chodź, Ronnie – wymamrotała, otwarta dla niego szeroko, wyczekująca. – Chyba nie chcesz, żebym się tu zanudziła na śmierć, co?

Wystartował do niej jak z procy, zaczęło się zwykłe ssanie, lizanie i zapaśnicza walka o pozycję na wąskim prostokącie łóżka, wszystko jak trzeba, wszystko zgodnie z programem, miłość, Wolna Miłość, ale ona nie zdjęła jeszcze majtek, a on już pchał się na nią, i szarpał je jednocześnie, no bo co to miało być, jakieś droczenie się czy co?

– Nie – szepnęła, odsuwając się od niego. – Nie, nie możemy.

– Jak to, nie możemy? O czym ty mówisz? – Leżał przy niej, właściwie na niej, obejmował ją rękami. – Nie wzięłaś pigułki, o to ci chodzi? Bo mnie to nie przeszkadza, będę uważał...

Fioletowe oczy, przekora w głosie.

– Nie – odparła. – To nie to.

– Chryste – powiedział i zabrzmiało to jak wstęp do modlitwy, bo on rzeczywiście się modlił. – Więc co?

– Nikt ci nie mówił? Bo oni wszyscy traktują mnie tu jak śmiecia, zwłaszcza ta suka Reba – to ona się pierwsza dowiedziała. To znaczny przez Alfreda.

– O czym? O co chodzi?

Wzruszyła ramionami, aż zaskrzypiało pod nią łóżko.

– Mendy – powiedziała.

– Mendy?

– Nie wiem, od kogo je złapałam, naprawdę nie wiem. Nie sądzę, żeby od Arnolda.

– Arnolda? Kto to jest Arnold?

– Nie znasz go – odparła. – Ma sklep ze sprzętem sportowym. Przywiózł mnie tutaj. Na swoim skuterze. Z samego Fairbanks, z trzygodzinnym postojem w Nugacie. Uroczy facet. Naprawdę.

Pan poczuł, że mu więdnie.

– Nikt tu nie ma tego smarowidła – dodała. – W tym problem. A u was nie ma drogerii za rogiem, rozumiesz?

– Wielka mi rzecz – powiedział. – To nie jest choroba weneryczna ani nic takiego. – Poczuł, że wszystko jest wyłącznie sprawą psychiki, bo nabral znow wigor, gotow by w kazdej chwili eksplodowac. – Przeciez i tak mozemy to zrobic, nie?

Zaraz po wszystkim zasnęła jak kamień i gdy Pan szorował się z całej siły wyschniętą kostką mydła i ręcznikiem, który znalazł na haku przy drzwiach, chrapała w najlepsze. Głowa odrzucona do tyłu, piersi rozplaszczzone, wszędzie te włosy – wciągała łapczywie powietrze i wydychała je, wydobywając z siebie wysokie dźwięki, jakby grała solo na trąbce bez trąbki. Nie było w tym nic złego. Wybaczał jej to. Lydia, jego cukierek i jego numerek. Wciągnął długie kalesony, ale potem zsunął je z powrotem, obejrzał się uważnie i jeszcze raz przetarł ręcznikiem krocze, nie było chyba problemu, jak na razie niczego nie zauważył. Ubrał się pospiesznie do końca, bo miał przed sobą długą, czteromilową wędrówkę na mrozie, zanim sam będzie mógł sobie chrapnąć. Wzdrygając się, naciągnął parkę – było mu gorąco, lał się z niego pot. Już miał wyjść i zanurzyć się w mroku nocy, z góry rozkoszując się czekającym na zewnątrz chłodem, gdy jego wzrok przykuł plecak Star.

Już od dłuższego czasu, w każdym razie od chwili, gdy odszedł z Drop City, myślał o porzuceniu tego wszystkiego, wymiksowaniu się, wypięciu się na wszystko, powrocie dla odmiany do cywilizacji. Pisał już trzy razy do rodziców, błagając o trochę pieniędzy, bilet w jedną stronę, czeki podróżne, cokolwiek, ale dla nich praktycznie nie żył. A więc plecak Star. Wisiał na gwoździu obok torebki Lydii. A on, Ronnie, wiedział o tym plecaku coś, czego Star nie była świadoma, choć powinna, bo jakże mogła się spodziewać, że podróżuje z nią całymi milami po tych drogach, nocując w namiotach, motelach, barach, zajazdach i na stacjach benzynowych (To gdzie, mówisz, jest damska toaleta?), i nie zna zawartości jej plecaka tak samo, jak znał zawartość swojego? Więc nie będzie to kradzież, absolutnie nie, bo ona ukrywała przed nim te trzysta dolarów w skarpetce na dnie najgłębszej wewnętrznej kieszeni, a przecież ile razy fundował jej śniadania, napoje, kupował papierosy, jak często płacił za motel czy nocleg na kempingu? Nagle zrobiło mu się nieprzyjemnie – w końcu to była Star, Star, którą kochał teraz i od zawsze, przynajmniej od roku, i te trzy banknoty były jej zabezpieczeniem, a on teraz miał ją tak paskudnie załatwić. Ale ona załatwiła j e g o , czyż nie? Rzuciła go dla Marca. Wielki błąd. A teraz zaaranżowała ten numer z Lydią, i to przy wszystkich, i jeśli nie był to pożegnalny pocałunek, to jak miał coś takiego nazwać?

Odszukał drzwi, odszukał noc. Dym zasnuwał księżyc, światła w oknach Drop City Północ wycinały jasne prostokąty w mroku. Na zewnątrz nie było nikogo, słyszał pełen skargi skrzyp śniegu pod butami. Włożył rękę pod parkę, żeby poprawić spodnie w kroku – nie po to żeby się podrapać, jeszcze nie i ruszył przed siebie zamarzniętym traktem rzeki.

Powietrze było rześkie, jakby wypalone mrozem do czysta, i to, że znalazł się na zewnątrz, że mógł głęboko oddychać i ze świadomością celu iść przed siebie przez pejzaż, którego był częścią, witalny jak wilk, jak zając, jak łoś, bardzo dobrze mu zrobiło. Poczłł wyraźną ulgę, uciekając przed odrętwiającym „kolektywizmem” Drop City, choćby na parę godzin. Większość pozostałych zadowalała się siedzeniem z talią kart, szkicownikiem, gitarą, gdy godziny opadały z dnia jak stara skóra podczas wylinki, wszyscy powtarzali: po co ten pośpiech, bracie, wyluzuj trochę, ale Marco był innym zwierzęciem. Nie mógł się odprężyć. Zabijała go nuda, dusił się. Chciał się stąd wydostać, poznać kraj, otworzyć zmysły, dowiedzieć się czegoś. Puste twarze mieszkańców Drop City patrzyły na niego, zaskoczone, wiatr szumiał w koronach drzew, ogień płonął, ryż perkotał w garnku, nawet psu nie chciało się podnieść łba z podłogi. Ty naprawdę wychodzisz? W tym?

Sześcioro z nich pisało powieści, a może siedmioro, zależnie od tego, czy pokryte gęsto stronicie rękopisu Alfreda miały się w końcu okazać dziełem beletrystycznym, czy traktatem o rozkoszach „komunalnego” życia. Sam Alfredo nie był jeszcze tego pewien, ale zanosilo się na to, że teraz, kiedy zniknie światło dzienne – a według Sessa Hardera powinno to nastąpić już wkrótce, dwudziestego pierwszego listopada – będzie miał mnóstwo czasu na podjęcie decyzji. Wiele dziewczyn robiło na drutach. Grali w scrabble’a, w warcaby, w szachy. I oczywiście znajdowali czas na zjeżdżanie toboganem z pagórka, organizowanie zawodów łyżwiarskich, choć mieli w Drop City tylko trzy pary łyżew, lepienie cudacznych bałwanów z włosami z wikliny i strojenie ich w stare bandany, jadowicie zielone koszule i kamizelki w prążki do kompletu. Gry i zabawy. Czas upływał im na grach i zabawach.

Pułap chmur był niski. W ciągu ranka temperatura podniosła się nieco, wspinając się po drabince termometru niespiesznie i z niechęcią. Gdyby był tak doświadczony jak Sess Harder, Żelazny Steve czy stary Tim Yule, który zawsze, bez względu na pogodę, siedział na werandzie swego domu w Boynton, wyczułby w powietrzu zbliżającą się śnieżycę. Tymczasem on wyczuwał tylko słabnące przyciąganie Drop City, w miarę jak się oddalał, idąc w dół rzeki. Kilka razy zerknął za siebie, żeby przyjrzeć się buntowi chat przeciwko marnotrawstwu ziemi, popatrzeć na splecione spirale ulatującego w niebo dymu z czterech osobnych pieców i wsłuchać się w coraz cichsze krzyki Che i Sunshine, których drobne figurki biegające po śniegu w uszytych przez Rebę kombinezonach i czerwonych kaloszach zanikały stopniowo.

Dał Ronniemu tydzień, a tydzień to było więcej, niż powinien dać. Joe Bosky i Pan, bożek leśny, mogli bez problemu zdobyć mięso; Sess Harder, jak pewnie wszyscy w Boynton i połowa weekendowych myśliwych z Fairbanks, Anchorage i innych miejscowości położonych bardziej na południe, miał swoje zapasy, ale Drop City nie miało nic. I to było zmartwienie, prawdziwe zmartwienie, bo wkrótce mogło być za późno; w związku z okresem bukowiska łosie mogły się okazać zbyt żyłaste i twarde, a oni, pomimo protestów wegetarian, potrzebowali mięsa, żeby przetrwać do wiosny. I wiedział, że albo je zdobędą, albo będą łapać myszy pod podłogą lub gotować buty jak Charlie Chaplin. Było to bardzo frustrujące. Pod koniec października, tuż przed świętem Halloween, obudził ich, jego i Star, potworny hałas, jakby pięćdziesięciopięciogalonowe blaszane beczki po paliwie toczyły się po zboczach wzgórz, po czym coś łupnęło głucho, aż zatrzęsała się chata, a on sam wypadł z łóżka. Wybiegł w skarpetkach na zewnątrz. Dwa łosie – byki – nacierały na siebie na wysypanym żwirem spłachetku ziemi. Wielkie, dygoczące góry mięsa, zawieszane na groteskowo cienkich tyczkach delikatnych nóg, nie zwracały na nic uwagi, tylko zmagwały się zaciekle, a za nimi, za zasłoną żółtych wierzbowych gałązek widać było niewyraźnie samice. Marco stał z pustymi rękami, niczym jakiś początkujący myśliwy z epoki kamiennej, no bo cóż miał zrobić, rzucić w nie kamieniami? Wskoczyć któremuś na grzbiet i bez litości poderznąć gardło na oczach plemienia, które przyglądałoby się temu, załamując ręce? Ronnie zabrał strzelby, jakby należały wyłącznie do niego, i Ronnie miał je oddać. To nie była kwestia własności czy nawet tego, co słuszne, a co nie. Była to kwestia przetrwania, po prostu.



W chacie Sessa nie dostrzegł oznak życia – z komina ulatywał wprawdzie dym, ale nie było żadnego ruchu na podwórzu – i to nie miało znaczenia, bo nie zamierzał się zatrzymywać teraz, ale dopiero w drodze powrotnej, kiedy odzyska obie strzelby. Sess był jego doradcą, mentorem, tym, który miał go wprowadzić we wszystkie tajniki życia w tej krainie. Marco przeżył już małe upokorzenie, kiedy musiał wyznać, że nie mają żadnej przyzwoitej strzelby, z którą mogliby wyprawić się po mięso – tylko Deuce miał małokalibrową strzelbę dobrą do polowania na króliki i świstała i to było wszystko – i wolałby skonać, niż jeszcze raz skompromitować się przed Sessem, wyminął więc chatę, a choć psy wszczęły alarm, nikt nie otworzył drzwi ani żadna twarz nie ukazała się w oknie.

Śniegu było niewiele – tyle tylko, by pobielić ziemię – i Sess powiedział mu, żeby nie spodziewał się, że Alaska, to jakiś polarny park Świętego Mikołaja czy coś w tym rodzaju, jak to sobie wyobrażali ludzie z Południa. Nie była to bynajmniej pocztówka. Nie były to też góry Cascades ani Sierra Nevada. Środkowy region Alaski należał do najsuchszych i jeśli mieli tu opady w granicach dwunastu, czternastu cali rocznie, to było wszystko. Rzecz w tym, że śnieg się utrzymywał. Zimą nie zdarzały się roztopy, latem zaś deszcz tworzył kałuże na podłożu zmarzliny, co z kolei było rajem dla komarów, różnych meszek i całej reszty uskrzydłych krwiopijców. Marco szedł, przyglądając się uważnie śladom i usiłując czytać w nich tak, jak to robił Sess. Ociepliło się, było teraz najwyżej kilka stopni mrozu, rozpiął więc parkę i puścił luźno końce szala. Po pewnym czasie zaczął pogwizdywać przez zęby melodię *I Am a Child*, zastanawiając się, skąd mu się to przyplątało. Ostatnio brzdąkał trochę na gitarze pożyczonej od Geoffreya; pomyślał, że mógłby poćwiczyć właśnie na tej piosence – nic skomplikowanego, słodka, rozkołysana melodia, płynąca ponad akordami, no ale pozostawał jeszcze śpiew i to mogło być prawdziwym wyzwaniem. Musiałby po prostu obniżyć nieco tonację, to wszystko.

Nastrój zmienił mu się raptownie, gdy skręcił w stronę strumienia Woodchopper. Przestał gwizdać i już nie myślał o gitarze. Nigdy nie był w chacie Bosky'ego i nie wiedział, czego może się tam spodziewać – oprócz oczywiście kłopotów, oporu i całego gównianego steku łągarstw i wykrętów ze strony Pana. Wykonał małą mimiczną parodię Ronniego – ściągnął usta, opuścił podbródek i przybrał żalony wyraz twarzy człowieka skrzywdzonego, który jednak nigdy nie przestaje obserwować reakcji otoczenia, jak gdyby cały czas oceniał swój występ w roli Ronniego złodzieja i podstępnego drania, który potrafi wbić człowiekowi nóż w plecy. Marco sprężył się w sobie. Zaczepnął zimnego powietrza, aż zaczęło go palić w płucach. Od tej chwili już nie szedł, ale maszerował, maszerował jak żołnierz ruszający do ataku. Minął strumień, zmierzając przez podwórze w stronę werandy; był tak podniecony, iż nie zauważył nawet, że nigdzie nie widać wyposażonej w narty cesseny 180 Joego, z kadłubem pomalowanym w pasy i z topornie wymalowanym numerem.

Zapukał i już to samo w sobie było śmieszne, bo nikt tu nigdy nie wstępował, ani mormoni, ani gazeciarze, ani panie z Avonu, ani sąsiadki, żeby pożyczyć szklanę cukru. Nikt nigdy nie pukał do tych drzwi i nie zapukałby, nawet gdyby chata stała jeszcze sto lat. Wiatr zaplątał się w gałęziach, chłodził pot na jego twarzy.

– Ronnie! – zawołał Marco. – Ronnie, jesteś tam?

Cisza. Ale czy ktoś się jednak nie poruszył, czy na pewno nie odezwał się jakiś głos?

– Ronnie, to ja, Marco!

Już miał pchnąć drzwi – nikogo w domu, czy to nie cud? – gdy otworzyły się z impetem same i w progu stanął Pan, bosy, w długich kalesonach, i przez chwilę stał nieruchomo, gapiąc się na niego jak ryba na haczyku. Widać było, że spał, paciorki żółtej ropy zakrzepły mu na rzęsach, włosy miał z jednej strony przyklepione do czaszki. Jego stan dawał Marcowi przewagę.

– O, cześć stary – wymamrotał. – Miło cię widzieć.

Ze środka dobiegł znużony senny głos Sky Doga, Bruce’a.

– Zamknij, kurwa, te drzwi, dobra? Co ty, kurwa, wyprawiasz, Pan? Powłócząc nogami, Ronnie wycofał się do izby.

– Chcesz kawy? – rzucił przez ramię. – Miałem akurat zaparzyć.

Marco schylił się, żeby nie zawadzić głową o futrynę, i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Wewnątrz było ciemno, źrenice miał zwężone, bo poraziła je biel śniegu i lśniącego lodu pokrywającego strumień, więc przez chwilę nie widział dosłownie nic. Czuł jednak zapach, który był przedziwną mieszaniną woni rozgotowanego mięsa, niemytych ciał, dawno niepranych ubrań i mydła – mydła i ługu, którego Joe Bosky używał do garbowania wilczych skór. W powietrzu unosił się także odór futer świeżo zdartych z martwych zwierząt. Ronnie zamajaczył przy piecu jak upiór, potem drzwiczki otworzyły się, zaświeciły rozżarzone węgle i na ich tle ukazał się czarny zarys szczupłej ręki dokładającej do ognia.

– Nie – odparł Marco. – Nie chcę żadnej kawy. Nie chcę od ciebie niczego, tylko strzelb, które ukradłeś.

– Ej, Ronnie, kto tam jest? Ktoś przyszedł czy jak? Joe? Joe, to ty?

– Pieprz się, Sky! – wybuchnął nieoczekiwanie Ronnie.

– Śpij dalej, dobra? Kurwa mać! – zaklął, stawiając z rozmachem dzbanek z kawą na piecu. – Człowiek nie ma tu chwili spokoju!

Marco stał bez ruchu przy progu. Jeśli już miało dojść do najgorszego, to niech dojdzie. Był przygotowany. Był gotów od dawna, od tego dnia, kiedy kopali dół w Kalifornii, od czasu gdy Bruce zniszczył jego rzeczy, a Ronnie zaczął przystawiać się do Star.

– Strzelby – powtórzył.

Obraz Ronniego wyostrzył się teraz: Pan stał z opuszczonymi, obłymi ramionami, wielkogłowy, przybrudzona ciepła bielizna krępowała go jak bandaże spowijające mumię. Za nim, w głębi zagraconej izby, słychać było odgłosy budzącego się życia, kłębił się wściekle kurz, na tle ściany zmaterializowały się nagle dwa łóżka, w jednym z nich zamajaczyła ludzka postać. Sky Dog. Zagadka rozwiązana.

– Jak to ukradłem? – oburzył się Pan. – Ja niczego nie ukradłem. Norm dał mi te strzelby, bo byłem jedynym, który potrafił się z tym obchodzić, i wiesz to tak samo dobrze jak ja, człowieku. – Ostatnie słowo wyrzucił z siebie gniewnie, jakby to było przekleństwo. – Więc nie pieprz mi tu o kradzieży.

Dzbanek zadygotał na piecu. Kurz osiadł. A potem, tak jakby chodziło tylko o drobny spór filologiczny, o kwestię semantyki, a nie treści, i jakby cała procedura została zakończona, Ronnie dodał:

– Naprawdę nie chcesz tej kawy?

W tym momencie Marco dostrzegł obie strzelby, po prostu przebiegł wzrokiem po ścianach izby i oto były, wisiały na gwoździach nad niezajętym łóżkiem. Nie zauważył jednak, że Ronnie sięga do kieszeni parki wiszącej na sznurze nad piecem. Dość tego, pomyślał; był tak wściekły, że aż się w nim wszystko gotowało. Przeszedł przez izbę, a właściwie dopadł strzelby w trzech susach, zerwał ją z haka i sięgał po drugą, gdy Sky Dog usiadł na łóżku i burknął:

– Ej, człowieku, co ty wyprawiasz?

Jednocześnie Ronnie wyciągnął z kieszeni parki długolufy pistolet wuja Norma i powiedział:

– Zostaw to, człowieku. Odłóż to i spierdalaj stąd, zanim cię spotka coś złego. Mówię ci, Marco, nie wnerwiał mnie, radzę ci, nie wnerwiał mnie, człowieku.

Ale groźby nie robiły na nim wrażenia, nie robiło na nim wrażenia to, że Ronnie i Bruce trzymali go przez krótką chwilę w szachu, decydując o jego życiu. Przewiesił jedną strzelbę przez ramię tak spokojnie, jakby ubierał się w zaciszu swojej sypialni, a potem zdjął winchestera i zarzucił go na drugie ramię. Zmierzył przeciągłym spojrzeniem Ronniego; Pan stał przy piecu w kalesonach, pistolet, który nosił przez całe lato u biodra, drżał teraz w jego roztrzęsionej dłoni, palce z połyskującymi pierścionkami zaciskały się na kolbie.

– Nie wnerwiał mnie – powtórzył, po czym bezwiednie opuścił drugą rękę i zaczął się drapać w okolicach krocza, z pasją, zawzięcie, jakby działał nieświadomie, pod wpływem jakiegoś nieodpartego imperatywu.

I nagle cała sytuacja stała się groteskowa, obróciła się w żart, w kompletną klaunadę. Czy można było sobie wyobrazić ciekawsze przedstawienie? Ronnie trzymał pistolet i jednocześnie drapał się w kroku. Stał w bieliźnie, z zaropiałymi oczami i z włosami przygniecionymi z jednej strony, warcząc: „Nie wnerwiał mnie”, i drapał się w kroku. Marco przeszedł przez izbę, poprawiając ruchem ramion strzelby, otworzył drzwi na światło dnia i zatrzymał się na krótką chwilę.

– Uważaj na siebie, Pan – powiedział i było to wszystko, co mógł zrobić, żeby się głośno nie roześmiać. – I ty też, Bruce – dodał. – Do widzenia. I dzięki za wszystko.

Na zewnątrz światło przygasalo. Sklebione, blade chmury wisialy nad wierzchołkami drzew. Mroźny oddech ulatywał z ust obłoczkami, które pozostawiał za sobą, maszerując żwawym krokiem naprzód. Uszedł z pół mili, zanim przyszło mu do głowy, żeby się zatrzymać i sprawdzić, czy strzelby są załadowane, bo cóż by z nich był za pożytek, gdyby się okazało, że nie są? W springfieldzie były dwa naboje, w winchesterze jeden. Poczul się głupio, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby zawrócić, zapukać znów do drzwi i wydusić z Ronniego jakąś amunicję, którą równie dobrze mógł kupić sam w domu towarowym w Boynton i która była absolutnie dostępna i dla niego, Marca, i dla każdego, kto miałby ochotę na dwudziestoczeromilowy spacer do miasta i z powrotem. Dwie strzelby, trzy naboje. Tej nocy, kiedy pojechał z Normem odwiedzić jego wuja w Seattle (wszystko było tak, jak sobie wyobrażał, déjà vu, stary człowiek w łóżku, rakiety śnieżne na ścianie i choć on, Marco, nie wierzył w karmę ani w żadne mistycyzmy czy przeznaczenie, nawet samo wspomnienie tego widoku przejmowało go dreszczem), wuj nawijał coś o tym, że zawsze potrzebował tylko dwóch nabojów rocznie, jednego dla łosia i jednego dla niedźwiedzia. No dobra. Po raz pierwszy od początku jesieni Marco miał możliwość zaopatrzenia Drop City w mięso. I kiedy wstał z kucek i zarzucił z powrotem strzelby na ramiona, zaczął wsłuchiwać się w szum wiatru i wpatrywać w śnieg uszami i oczami myśliwego.

W pewnej chwili – nie umiał potem powiedzieć dokładnie kiedy, czy pół godziny od wyjścia z chaty Joego, czy wcześniej – zobaczył na południowym brzegu rzeki ślady łośia, wyraźne, biegnące równoległe wgłębienia od kopyt, obskubane gałązki wierzb, ciemny szlak rozsypanych bobków w czystej stronicy śniegu. Skręcił z lodowego szlaku, by podążać tropami zwierzęcia. Oddalając się od rzeki, dostrzegł więcej śladów, dwóch albo trzech łośi, zależnie od tego, jak się je odczytywało. Nie był w tym biegły i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Choć jako chłopiec polował na jelenie w Connecticut, a łoś był po prostu takim trochę innym jeleniem, może sześciokrotnie większym i bardziej niebezpiecznym, zdolnym do zaatakowania przeciwnika, zmasakrowania go i pogruchotania mu kości, ale przy tym wszystkim jeleniem. Zdjął z ramienia strzelbę z dwoma nabojami i zaczął się przedzierać przez niestępliwą wiklinę tak cicho, jak tylko potrafił. Wciąż widział ślady, odchody, a wyżej, przed sobą, wyrwę w kształcie litery V w zaroślach, którą dostrzegłby każdy głupiec. Ogarnięty żądzą łowów posuwał się dalej i nawet nie zauważył, kiedy zaczął padać śnieg.

Gdyby zastanowił się nad tym, co robi, zaniepokoiłby się pewnie. Był na nieznanym sobie terenie, światło spelzało z nieba i śnieg sypał coraz gęściej. Co gorsza, nie miał schronienia, żywności, nawet podstawowego ekwipunku – papieru, zapalek, karimaty – wyszedł na półtoragodzinną przechadzkę po zamrożonej rzece, przy ładnej pogodzie, i nie czuł potrzeby zabierania czegokolwiek. Nie powinien był w ogóle zaczynać polowania, nie w tym ubraniu, jakie miał na sobie, bez najbardziej elementarnego wyposażenia. Miał jednak strzelby, zobaczył ślady i po prostu nie myślał. Właściwie im głębiej się zapuszczał między drzewa, tym więcej myślał o tym drapaniu się Pana, o tym, jakie to było śmieszne, jak wymowne i żalodne.



Lydia wróciła z mendami – z wszami łonowymi, małymi, twardymi stworzeniami, które oblażyły człowieka jak kleszcze i których łatwo było się pozbyć: wystarczyło pójść do drogerii, kupić odpowiednią maść i spalić bieliznę na stosie pogrzebowym intymnych stosunków. Ale Drop City nie posiadało drogerii, a do Boynton było daleko, ścisnął mróz i nie miało się żadnej gwarancji, że dostanie się tam co trzeba. Mendy rozprzestrzeniały się jak farba w wodzie. Potworzyły się obozy, zaczęły się oskarżenia, i wszy – natrętne, uporczywe, żądne krwi i uwielbiające intymne zakątki – stały się wyznacznikami w wojnie pomiędzy Wolną Miłością a uczuciowym zaangażowaniem. Star ich nie miała, Marco też nie. Ale Jiminy obdarował nimi Merry i nie chciał powiedzieć, od kogo je ma, Reba „zaraziła” Alfreda, nie oszukując nikogo, gdyż zrobiła to z Deuce’em, a Deuce – tu mała spekulacja – wlaź na Lydię, jak połowa chłopaków, bo Lydia wróciła, była dostępna i znów jakby całkiem nowa. I w ten sposób Lydia stała się pariasem, choć nie była świadoma, co robi, bo wszy potrzebowały mniej więcej tygodnia, żeby się spiknąć i złożyć jajeczka, z których wykluwały się młode, i natychmiast przystępowały do ssania i wydalania, a wtedy na skórze wyskakiwały bąble i zaczynało się swędzenie.

Marco uważał to za śmieszne: oto *La Ronde* zainscenizowane na zadupiu. Odżyły stare długo chowane urazy. Hipokryci atakowali hipokrytów. Ludzie nie odzywali się do siebie. Przechodzili przez podwórze, nie podnosząc wzroku, dziobali widelcami we wspólnym garnku, przekopując się przez pilaw i sos marinara bez kawałka mięsa, a ktoś, kto stał obok, mógłby równie dobrze być martwy. W rezultacie mieszkańcy trzech chat i świetlicy ciągle migrowali, Deuce spał u kogoś w nogach jednej nocy, Angela, Erika lub Geoffrey następnej. Reba, konsultant medyczny, podczas pewnego bardzo burzliwego zebrania oznajmiła, przekrzykując ogólny gwar, że wszyscy, bez względu na to, czy mają wszy, czy nie, powinni ogolić włosy łonowe i nasączyć bieliznę chloroxem, żeby uśmiercić prawie niewidoczne jajeczka tych stworzeń, a Mendocino Bill, który sam się drapał, oświadczył ludziom, żeby przestali wreszcie przychodzić do niego po specyfik doktora Scholla, bo jest on w tym przypadku mniej więcej tak skuteczny jak krochmal. Norm odczuwał świąd. Premstar odczuwała świąd. „Wiem, że to będzie piekło – grzmiał Norm, przekrzykując narastającą wrzawę doprowadzonych do ostateczności członków komuny – ale moim zdaniem wystarczy wziąć trochę nafty i wcierać na noc, przez tydzień”.

Mendy. Mendoweszki. Były jedną z form życia na tej planecie, ewoluowały, by wypełnić pewną niszę, jak by powiedzieli zwolennicy teorii ewolucji. A co było idealną formą życia, taką, która egzystowała niezależnie, nie żerując na niczym, mając swoje własne źródło pokarmu i odżywiając się drogą fotosyntezy? Roślina, drzewo. Ale tworząc tę formę życia, tworząc drzewo i liść, ewolucja zaprogramowała jednocześnie owady tak, by na nich żerowały, grzyby, żeby je niszczyły, a także stworzyła ptaki, które żywiły się tymi owadami, i koty, które polowały na ptaki. On zaś stał tu ze strzelbą w ręku, smagany ostrymi igiełkami śniegu, i pragnął z całej duszy unicestwić inną, wspanialszą formę życia. A właściwie czemu miałyby tego nie zrobić? Jeśli mendy mogły się wgryzać w krocza jego braci i siostr, to dlaczego on, dlaczego oni nie mieliby się wgryźć w udziec łosia?

Zrobiło się prawie całkiem ciemno. Drzewa były już tylko cieniami, zacierają się ślady. Marco uklęknął, żeby się im przyjrzeć, wystrzył wszystkie zmysły, nasłuchiwał, patrzył, nie śmiał nawet oddychać, w końcu podniósł głowę i oto zobaczył go przed sobą, łosia, a raczej sam jego łeb, wystający z gęstego cienia za najbliższym świerkiem. Był sprytny, chrapy rozszerzały się w wysiłku, by zwietrzyć zapach człowieka, potężne ciało schowane było za drzewami – nie śpieszyło mu się do śmierci. Wstrzymując oddech, Marco odczekał, aż zwierzę wyjdzie na otwartą przestrzeń. Próbował ocenić, w którym miejscu mogą pokazać się barki, żeby mógł wycelować w punkt zaraz za łopatkami i oddać śmiertelny strzał. Łoś jednak ledwie się poruszał, tylko wzdrygał się od czasu do czasu, jakby na potwierdzenie, że jest żywą istotą, aż w końcu Marco, bojąc się, że straci szansę, i czując, że krew wrze mu w żyłach, wymierzył – nie możesz chybić, nie wolno ci – i nacisnął spust. Huk i ogień rozdarły noc, a jednak, nie do wiary, łoś stał jak przykuty do miejsca. Dopiero po drugim strzale ciemny masyw runął bezwładnie na ziemię i Marco ruszył w tamtą stronę z roztrzęsionymi rękami, na uginających się nogach.

Śnieg przesiewał się przez igły z ostrzegawczym sykiem. Marco szedł, potykając się, został mu jeden strzał, jedna kula w winchesterze, modlił się, żeby zwierzę było martwe, żeby nie musiał go zabijać od nowa, bo to by było za wiele jak na jeden dzień, stanowczo za wiele. Dotarł do drzewa, z jego czarnym trenem z gęsto utkanych igieł i z korą, która pachniała smołą, odświeżaczem powietrza i płynem do czyszczenia Pine-Sol, i stwierdził, że nie ma tam łosia, ani rannego, ani w ogóle żadnego, że na śniegu nie leży żadna góra mięsa. I nagle usłyszał ostry, rozdzierający krzyk, krzyk dziecka nadziewanego na bagnet. Spojrzał pod nogi. Majaczył tam jakiś czarny, podrygujący niemrawo żywy kształt, stworzenie, które zastrzelił w chwili, gdy wspięło się na pień i przywarło do niego osiem stóp nad ziemią, imitując bezwiednie łeb łosia. I cóż to było? Bezsilny i zjeżony – z życiem uciekającym przez otwór, który on, Marco, zrobił w jego ciele – leżał na ziemi urson. Oto co zabił – zgarbionego, utykającego staruszka miejscowych lasów, którego mięsem można było co najwyżej nakarmić psy.

Stał dłuższą chwilę, przyglądając się, jak urson młóci swoją kolczastą głową – a może to był ogon – o ziemię, raz za razem, jak metronom, w rytmie zgodnym z jego agonią i niedowierzaniem. Zgodnym także z pulsowaniem jego, Marca, krwi. Było mu głupio, czuł się zagubiony, beznadziejny i nieudolny, zawstydzony, winny. A potem, gdy mrok nocy gęstniał i śnieg zacinał w jego nieosłoniętą twarz, zaczął miażdżyć obcasami ciemny kształt, aż zwierzę znieruchomiało; wtedy oddalił się pospiesznie, by szukać drogi, którą tu przybył.

Zawsze była nocnym markiem, czyli sową, tak przynajmniej lubiła myśleć o sobie. Włączyła się po klubach, spała do późna, chłonęła cały blichtr kurczących się godzin nocy, kiedy „normalny” świat spał i śnił o spłaceniu swych długów hipotecznych. Nikt nie chciał być rannym ptaszkiem, a przynajmniej nikt nie chciał się za takiego uznać. Ranne ptaszki, czyli skowronki, uśmiechały się, robiły miny, pozdrowiały wszystkich dziarsko o wpół do ósmej rano, kiedy człowiek nie wie nawet dobrze, jak się nazywa, stwierdza, że włożył bluzkę z kołnierzem à la Piotruś Pan na lewą stronę, a dzieciaki, uczniowie – też wszystko ranne ptaszki – zapewniają właśnie klasę i ich buzujące hormony szykują się do wojny z zaburzeniami przemiany materii. Jej matka była skowronkiem. Reba – Reba była skowronkiem.

Star siedziała przy stole w świetlicy i przygotowywała kolejny wspólny posiłek – suszonego łosiosa gotowanego z ryżem dla wypełnienia oraz z pomidorami i groszkiem z puszki dla koloru. Uśmiechała się do siebie, patrząc, jak Merry sieka cebulę, a Maya wali trzonkiem noża w sztywne filety. Sowa. Skowronek. To rozróżnienie nie miało tu większego znaczenia, bo teraz przez cały czas była noc, ten rodzaj nocy, jaką aranżują kasyna w Las Vegas, żeby człowiek nie przestawał przepuszczać pieniędzy, noc jeńców wojennych z czarnymi workami naciągniętymi na głowy, noc bez kresu. Według jedyne go czasomierza w Drop City, nigdy niezdejmowanego z przegubu timexa Alfreda, z szerokim na dwa cale skórzanym paskiem, była trzecia po południu. Było ciemno, i to od dłuższego czasu. Ktoś powiedział, że pada śnieg. Ktoś inny dodał, że pada już od godziny. Pies podniósł łeb i położył go z powrotem, jakby był za ciężki, żeby go dźwigać.

Ludzie siedzieli rozproszeni po całej izbie, w zaduchu niepranych ubrań i niemytych włosów, przygnębieni, wymięci, ich energia spadła do zera – robili wrażenie, jakby nie mieli siły podnieść widelca do ust, gdyby przyszło do jedzenia, i Star wyobraziła sobie przez chwilę, że karmi wszystkich łyżeczką, a potem przewija ich i kładzie do łóžeczek jedno po drugim. Było to przygnębiające. Kiedy się odzywali, mówili szeptem, jakby nikt nie chciał wypowiadać swoich myśli głośno; zagracona przestrzeń świetlicy brzęczała owadziim brzęczeniem bezdźwięcznych głosów, wrzynającym się niczym piła w materię popołudnia. Twarze mieli puste, oczy zmęczone. To był idealny dzień, żeby się zaćpać, i Drop City pilnie ten fakt wykorzystało. Sama Star czuła, że płynie jak strzęp topolowego puchu po rzece, w porze gdy jeszcze była rzeka – i topole. Wstała, żeby dołożyć do ognia i rozgrzać w rondlu trochę oliwy. Od stołu do pieca były trzy kroki, ale zdążyła po drodze zauważyć blade ukośne krechy śniegu na szybach, jak zakłócenia obrazu w czarno-białym telewizorze. Gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, był Marco i o tym teraz myślała. Powinien już wrócić do tej pory.

– Nie odezwę się do Jiminy’ego, przysięgam – rzekła Merry – dopóki mi nie powie, kto to był, a ja i tak to wiem, bo chyba musiałabym być ślepa, żeby nie...

– Dunphy – stwierdziła Maya, nie przerywając siekania.

– Chcę to po prostu usłyszeć od niego, chcę prawdy, choć raz. Choć raz chcę usłyszeć prawdę z jego ust.

Obie spojrzały w drugi koniec izby, gdzie siedziała okutana w swoje futro Lydia i oparta o ścianę kartkowała jeden z kolorowych magazynów, które przywiozła jako gościniec dla wszystkich – „Mademoiselle”, „Cosmopolitan”, „Esquire”, „Playboy”, „Rolling Stone” – razem z kilogramami czekolady, francuskim mydłem w płynie i kanadyjską whisky. I z mendami. Także z mendami.

Star wrzuciła garść posiekanego czosnku na gorącą oliwę, co wywołało wyraźne poruszenie, tak nieodparty był jego zapach, po czym podeszła do Merry, żeby wziąć od niej cebulę. Myślała teraz o tym, że ludzie zamierzali tu na śmierć, zaraz, zaraz, co to była za historia, którą czytała w liceum, ta słynna, o *cziczako*, który nie mógł rozpalić ogniska i postanowił zabić psa, żeby ogrzać ręce? Pies był za sprytny, tyle zapamiętała. Ale facet był *cziczako*, na tym polegała rzecz, zupełnie zielonym nowicjuszem, który nie miał pojęcia, jaka surowa jest ta kraina ani jak okrutna może być noc. Jednym słowem żółtodziobem. Jak Marco. W lasach były zwierzęta, wilki, niedźwiedzie i te zwinne, ciemne, zgrzytające jak piła stworzenia, które skakały niby poparzone – żarłoczne, przerażające rosomaki – jeśli taki potrafił w dziesięć sekund wypatroszyć kozę, to co mógł zrobić z człowiekiem? Ludzie strzelali też tutaj do siebie ze strzelb, walcząc o strzelby, ale też chyba Ronnie nigdy by nie...

– Nieźle pachnie – odezwała się Lydia, patrząc przez ramię.

– Co dziś będzie, łososiowa niespodzianka?

Star uśmiechnęła się, odgarnęła wierzchem dłoni włosy z twarzy.

– A cóż by innego? – powiedziała, mieszając czosnek i cebulę w pryskającej oliwie. – To nasza specjalność.



Spojrzała na drzwi, zza których dobiegł odgłos uderzenia o futrynę, jakby ktoś padł martwy na progu. Marco, pomyślała, Marco – i wtedy drzwi otworzyły się nagle z impetem, po czym zatrzasnęły się z powrotem, a przed nimi stanął, przytupując i dysząc ciężko, Jiminy w pelerynie Armii Zbawienia. Na głowie miał naciągnięty na uszy pleciony kapelusz, który przylegał mu ciasno do czaszki, głowę zaś, razem z twarzą, owinął szalem niczym czadorem. Kryształki śniegu osiadły mu na brwiach, śnieżna skorupa pokryła kapelusz i wywatowane ramiona płaszcza.

– Chryste – wymamrotał. – Jest taki mróz, że szczyzny zamarzają w powietrzu.

Star zauważyła, że wymienili spojrzenia z Merry.

– Hej, Mer – powiedział, ale ona tylko przewierciła go wzrokiem na wskroś i nie odezwała się. Teraz on z kolei stwierdził, że nieźle pachnie. Podszedł do pieca, zacierając ręce, i zajrzał do garnka, jakby zamierzał skulić się i wleźć do środka.

– Mocno pada? – Star przechyliła nad garnkiem butelkę sosu chili i jednocześnie drugą ręką sypała biały pieprz z puszki z zardzewiałym wiekiem. Przypraw starczyłoby dla całej wielkiej armii, ale im nigdy nie było dosyć.

– Śnieżyca i wicher – powiedział i wszyscy nadstawili uszu.

– Jeździłem na łyżwach. Na rzece, tam, gdzie zrobiliśmy sobie gładkie lodowisko. Ale potem zaczęło sypać i cała nasza robota na nic.

– A nie widziałeś Marca? Bo zniknął na cały dzień.

– Poszedł zapolować?

– Nie – odparła, sięgając po długą drewnianą łyżkę. Zamieszała energicznie w garnku. – Poszedł do Woodchopper, żeby odebrać strzelby, które Pan sobie przywłaszczył.

– Przykro mi, ale ten cały Pan to palant nad palantami – wtrącił Bill. Pochylali się z Harmonym nad szachownicą, wielkie stopy Billa w skarpetkach w prążki dyndały w powietrzu, zwieszane z antresoli. – Co gorsza, to prawdziwy mistrz przekrętów, jak ci uliczni hipisi, którzy przyszli niewiadomo skąd i doprowadzili do upadku Haight. I dba tylko o własny interes. Kropka.

– Jest mi winien dziesięć dolców – rzekł Harmony.

Tom Kriszna leżał opatulony w koc na jednym z piętrowych łóżek przy ścianie. Spojrzał znad książki, którą czytał – były to nauki jakiegoś guru, którego nazwiska Star nie potrafiła wymówić; pamiętała tylko, że żył samym powietrzem i osiągnął stan mokszy po śmierci na raka mózgu w tybetańskim klasztorze.

– Dałem mu ostatnio szesnaście dolarów na różne drobiazgi osobistego użytku. I co mi kupił? Nic. Nawet nie spróbowałem tej trawki, którą, jak mówił, zakupił dla wszystkich.

– Śmiechu warte – powiedział Bill.

Rozmowa na temat Pana toczyła się jeszcze jakiś czas i jeśli przed chwilą Star była tylko przygnębiona, to teraz ogarnęła ją czarna rozpacz, zupełnie jakby Pan odczołgał się gdzieś i umarł, bo nikt się za nim nie ujął, nawet Lydia. Jiminy odwrócił się swoim chudym tyłkiem do pieca i zapytał Toma, czy nowy zapas piwa już jest gotowy, Tom odpowiedział, że owszem, śnieg padał, pies spał, a ona uświadomiła sobie, że nigdy nie uzyska odpowiedzi na swoje pytanie. Maya zapaliła ponownie dżojnta, który był już wcześniej w obiegu, i podała go Merry, a ta z kolei oddała go Star. Star zaciągnęła się i podała go dalej. Na tym polegało życie w komunie: na przekazywaniu. Ale co z Markiem? Co z poczuciem odpowiedzialności za niego, co z prawdziwą troską, dlaczego nikt nie zorganizuje ekipy poszukiwawczej? Czy i to zamierzali „podać dalej”?

– Alfredo – zapytała nagle, trochę zbyt głośno – która jest godzina?

Alfredo siedział na antresoli z Billem i z Harmonym, szykował się do partii szachów ze zwycięzcą. Rozgrywali turniej, dwunastu graczy, dwanaście partii dziennie, przez dwanaście dni. Kiedy kończyła się jedna runda i wyłoniono zwycięzcę, wszystko zaczynało się od nowa.

– Trzecia czterdzieści pięć – odpowiedział dobitnie i rzeczowo, głosem, który mógł należeć do jakiegoś komentatora z telewizji, do Waltera Cronkite’a albo do Huntleya i Brinkleya.

Trzecia czterdzieści pięć. Ingerencja realnego, mechanicznego świata.

– Bo... naprawdę nie wiem, Marco wyszedł koło południa, czy nie powinniśmy... to znaczy, czy ktoś nie poszedłby go poszukać?

Musiało to być jakieś dwie, trzy godziny później, kiedy wszyscy siedli do kolacji – czy też kiedy kolację zaczęto wydawać, bo w Drop City nie jedli już posiłków razem. Po pierwsze nie było na to miejsca. Kiedy odsunęli stół od ściany, mogło przy nim usiąść wygodnie tylko osiem osób, o ile można było nazwać wygodą balansowanie na rozchybotanych, wysokich na dwie stopy świerkowych pieńkach. Reszta brała po prostu talerze, nakładała sobie górę ryżu, fasoli albo makaronu i przysiadła na podłodze czy na krawędzi najbliższego łóżka lub wspinała się po drabinie na antresolę, i w izbie o powierzchni trzystu sześćdziesięciu stóp panował straszny tłok. Innym czynnikiem ograniczającym były międzyludzkie konflikty, które zawsze biorą się z niczego, ale o które znacznie łatwiej tam, gdzie ludzie stłoczeni są w czterech chatach, gdzie brakuje łagodzącego zadrażnienia kalifornijskiego słońca i gdzie wszyscy mieszają się i tasują, jak w niekończącej się grze w trzy karty, tak dezorientującej, że nawet Star i Merry gubiły się w tym, kto jest aktualnie z kim skłócony. Przeważnie ludzie wchodzili, nabierali sobie czegoś z garnka i pędzili z tym do jednej z chat. I dlatego wprowadzono w Drop City nową zasadę: każdy był odpowiedzialny za swoją miskę. Ludzie wydrapywali swoje inicjały na emaliowanych talerzach i miskach, ci zaś, którzy – jak Niesamowity George – wyczerpali swój przydział naczyń, musieli jeść ze starych puszek po brzoskwiinach i morelach.

Norm wpadł jak burza po swoją porcję, ciągnąc za sobą Premstar, Rebę i dzieci. Najwyraźniej nie był dziś sobą. Nie tupał, nie ryczał, nie pozdrawiał gromko swojej trzódki. Ze schyloną głową, skulony w swej parce, stanął w kolejce do pieca. Na półce obok leżał świeży pełnoziarnisty chleb i stało masło w jednofuntowej puszcze. Do tego był łośóś z ryżem podlany obficie sojowym sosem, Kool-Aid i Tang do popicia, trzy wielkie dzbany zalatującego drożdżami domowego piwa produkcji Toma i dwie patelnie ciasteczek. Proste jadło, ale było tego dużo i wegetarianie powinni byli się cieszyć, że Marco nie ma strzelby, bo gdyby miał, trzeba by było przygotowywać co wieczór dwa dania, jedno z mięsem łośia lub innego zwierza, drugie bez.

Śnieg wciąż sypał. Star niełatwo ulegała irracjonalnym lękom czy atakom paranoi, jaką mogą wywołać pewne odmiany trawy, ale zanim jedzenie pojawiło się na stole, była już ludzkim wrakiem. Marco nie wracał. Do strumienia Woodchopper szło się półtorej godziny, dziesięć minut mogło zająć załatwienie sprawy strzelb, do tego dochodziło półtorej godziny na powrót. Razem trzy godziny i dziesięć minut, a jego nie było od sześciu, co najmniej od sześciu godzin. Wcześniej, kiedy losoś smażył się jeszcze w rondlu, namówiła Merry i Mayę, żeby wyszły z nią na śnieżycę i próbowały go nawoływać wśród wichru. Wzięły ze sobą Freaka w nadziei, że może coś zwietrzy, i zaszły aż do chaty Sessa i Pameli. Ale Marca tam nie było i gospodarze w ogóle go dziś nie widzieli. Pamela uspokajała, że to nic, że pewnie został w Woodchopper, kiedy rozszalała się zamieć, albo znalazł jakieś zaciszne miejsce i rozpałił ognisko – Sess naprawdę obozował setki razy w dużo gorszych warunkach, prawda? Oczywiście, potwierdził Sess. Ale Pamela mówiła tylko to, co Star chciała usłyszeć, próbując uśmierzyć jej niepokoje, i choć dziewczyna była na haju i płynęła w powietrzu jak obłok, nie umknęły jej spojrzenia, jakie wymienili z Sessem. Wypili wszyscy po kubku herbaty, potem wyszły i znów nawoływały Marca po imieniu, aż zdarły sobie gardła i zaczęło je palić w płucach. Kiedy wróciły do obozu, Star obeszała po kolei wszystkie chaty w nadziei, że Marco mógł się z nimi minąć wśród śnieżycy, ale nikt go nie widział, i kiedy w końcu wróciła do świetlicy, gdzie wciąż unosił się zapach jedzenia i gdzie Bill poczęstował ją szklaneczką whisky, żeby ukoić jej nerwy, także i tam go nie było.

Lęk, który narastał z każdym uderzeniem serca, sprawiał, że zamieć wydawała jej się prawdziwym przekleństwem, a jedzenie miało smak rozgotowanej tektury, tak że po przełknięciu dwóch kęsów podsunęła ukradkiem talerz psu. I było coraz gorzej. Od kolacji upłynęła godzina. Naczynia moczyły się w wielkiej miednicy na piecu. Ludzie palili papierosy, krążył nieodzowny dżojnt. Alfredo próbował zainicjować śpiewy, ale nikt nie miał do tego serca – i to nie niepokój o Marca ich tak dołował, ale nuda, monotonia jadłospisu, tych samych twarzy, długiej nocy. Nic się nie działo. Nic się nie miało zdarzyć. Takie wybrali życie. I to dobrowolnie.

Norm usadowił się z Premstar na jednym z dolnych łóżek. Siedzieli oparci plecami o ścianę, ze stopami na podłodze, Norm wyglądał staro, był blady, jego skóra na twarzy przypominała skórę zdartą z podbrzusza ryby, a umyte w wiadrze włosy zwisały w smętnych kosmykach koło uszu. Zobaczyła teraz, że z tych uszu wyrastają włosy, sterczały mu także z nosa i z za kołnierzyka koszuli. Wciąż nienaprawione porządnie okulary wyglądały tak, jakby ktoś wcisnął mu je siłą na twarz, brudny, szarawy plaster Reby spajał oprawkę, próbując współgrać z siłami grawitacji. Norm pociągał nosem, osłabiony przeziębieniem, które gnębiło większość braci i siostr, oczy miał zaczerwienione, spojrzenie śmiertelnie zmęczone. Dokuczał mu też, podobnie jak wszystkim, nieznośny świąd. Pasza Norm. Norm guru. Norm, światło przewodnie Drop City.

Podciągnął się na łóżku z gniewnym pomrukiem, zupełnie jak jej ojciec, kiedy wstawał z wysiłkiem z fotela po przegranej drużyny, której kibicował: ramiona opuszczone, wzrok pusty, jedna ręka obmacuje dół krzyża, gdzie wszedł jakiś ostry ból i nie chciał puścić. Podszedł do stołu i nalał sobie z dzbana piwa. Nie wiedziała, dlaczego właściwie mu się przygląda. Grała w roztargnieniu w karty z Merry, Mayą i Lydią i jej błędzący wzrok zatrzymał się nie wiadomo czemu na Normie, jak gdyby przeczuwała, że coś się zbliża, i jakby to coś dotyczyło nie tylko Marca, Ronniego i długiej, ześlizgującej się w dół nocy, ale losu samego Drop City.

Norm przechylił do tyłu głowę, włosy opadły mu na ramiona, pociągnął hałaśliwie z kubka.

– To jest piwo – powiedział z uznaniem, powstrzymując się od beknięcia. – Najlepsza rzecz, jaką tu mamy, nasze największe osiągnięcie, piwo Toma Kriszny. Powinniśmy je rozlewać do butelek i sprzedawać. Można by je nazwać „Stary Bekas”. Jak się wam podoba?

Nikt się nie roześmiał. Ale Norm osiągnął swój cel: przyciągnął uwagę obecnych, ludzie podnieśli głowy znad książek, gier, przzerwali rozmowy. Wszyscy wyczuwali, że do czegoś zmierza.

– Słuchajcie, kochani – zaczął, przemawiając teraz do ogółu. – Zebraliśmy się tu wszyscy, albo prawie wszyscy, jeśli odliczyć tych, którzy stroją fochy albo się boczą, i myślę, że jest to połowa z nas, a więc można powiedzieć, że połowie świrów z Drop City odbiło. Jak się wam podoba to świadectwo potęgi braterskich i siostrzanych uczuć? – I znów nikt się nie roześmiał. – No a skoro mamy tu wszystkich, chcę wam przedstawić pewien problem, znaczy w imieniu własnym i Premstar.



Wszyscy spojrzeli na Premstar, która siedziała nieruchoma jak ikona, z ustami rozchyłonymi wyczekująco i z błyszczącymi, „nagimi” powiekami, bo skończył się jej klej do sztucznych rzęs i pastelowe, niebieskie cienie do oczu. Oni patrzyli na nią, ona na nich. Ta Premstar jest tu zupełnie nie na miejscu, pomyślała Star. To primadonna w społeczności równych i nie ma dla tego żadnego uzasadnienia, absolutnie żadnego. Mogła sobie wydymać usta przez całą noc, na nikim nie robiło to wrażenia.

– Niech zgadnę – powiedział Bill. – Nasze lotnictwo dokona zrzutu osiemdziesięciu siedmiu tubek maści na mendy prosto na rzekę...

– I sześciu kolorowych telewizorów z króliczymi uszami rozmiarów Empire State Building – zawołał Niesamowity George, wznosząc swój kubek z piwem, jakby chciał spełnić toast. – A do tego wszystkich starych numerów „Playboya”, które się zachowały.

Rozległy się pojedyncze śmiechy i nerwowe chichoty. Piec stęknął ciężko. Śnieg bębnił o szyby. Merry podniosła wzrok znad kart i popatrzyła w oczy Star, jakby chciała zapytać: „I co dalej?”.

Norm umiał grać dla galerii. Był jak aktor – on był aktorem – wykonał raptowny zwrot na piętach w stronę widowni i wyrzucił ramiona w górę, jakby chciał objąć wszystkich wychylających się zza nieheblowanej, niezabezpieczonej barierką krawędzi antresoli, tego balkonu z najtańszymi miejscami.

– Dobrze by było – powiedział.

– Potrzebujemy skutera śnieżnego, ot co – odezwała się nagle Reba, która siedziała w kącie zapatrzona w przestrzeń, podczas gdy Che i Sunshine wybierali z nietkniętych talerzy rozmokłe kawałki ryby i obrzucali się nimi wzajemnie, tocząc w milczeniu wojnę na wyczerpanie. – Tak, żeby móc pojechać do miasta i przywieźć tę cholerną maść, bo to już się robi śmieszne, no i pocztę i... i...

– I zobaczyć dla odmiany parę ludziach twarzy – dokończył myśl Bill.

Niesamowity George oświadczył, że chętnie walnąłby parę głębszych w Three Pup.

– I kupić pastę do zębów – powiedziała Maya. – Szampon. I pomarańczowy lakier do paznokci, dla mnie.

Jiminy był zdania, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wybrali się pieszo.

– Taki marsz jest dobry, to najlepsza gimnastyka na świecie.

Nikt nie podchwycił tej idei. Była po prostu śmieszna. Jasne, mogli przejść pieszo te dwanaście mil i kilkoro już to nawet zrobiło od chwili, gdy rzeka zamarzła, ale zostawało jeszcze dwanaście mil drogi powrotnej – w Boynton nie było się gdzie zatrzymać, bo autobus nie miał ogrzewania, a Sess Harder nie pozwolił im korzystać ze swojej szopy i nocować w niej. Wszyscy byli teraz tutaj, skończyły się balowania w mieście – i mieli tu pozostać aż do maja, do czasu kiedy stopnieje lód na rzece. Gdyby policzyć dokładnie, pozostały jeszcze dwa tygodnie listopada, potem grudzień, styczeń, luty, marzec i kwiecień. To było dożywanie. Ciężki wyrok. Już teraz byli rozdrażnieni, wszyscy, a co czekało ich za trzy, cztery miesiące?

Roztrząsali kwestię przez minutę, bo każdy temat stawał się teraz pretekstem do wymiany złośliwości albo do sporu, potem zapadło milczenie, nastąpiła przerwa: wszyscy rozmyślali o przyszłości, zarówno wspólnej, jak indywidualnej. W końcu Bill odkasznął, spojrzął na Norma i zapytał, co go właściwie trapi.

Tymczasem Norm nałożył maskę. Jego twarz miałaby neutralny wyraz, gdyby nie oczy, zaczerwienione oczy, których spojrzenie wyostrzyło się nagle, wydobywając się jakby z głębi dwóch otworów wywierconych w twarzy.

– To nic takiego, naprawdę, żadna sprawa, nie ma się co denerwować, kochani. – Zrobił pauzę i choć każdy był niby czymś zajęty, wszyscy nasłuchiwali pilnie, co powie. – No więc chodzi o Premstar – rzekł. – Prem nie czuje się zbyt dobrze...

I znów wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Patrzyła na nich jakby z głębi jaskini, tak, zjeżona i wroga, ale wyglądała równie zdrowo jak wszyscy. I bardzo ładnie. Jak królowa piękności. Co już samo w sobie było niewybaczalne.

– Dotarły też do mnie pewne wiadomości na temat rancza, czekałem tylko na właściwy moment, żeby wam je przekazać, dobre wiadomości, ale także i złe. Dobra wiadomość to ta, że mój adwokat wciąż o nie walczy, kwestionuje prawo miejscowych władz do jego zajęcia – to znaczy, że jeszcze moglibyśmy je sprzedać, zapłacić zaległe podatki i w ten sposób zdobyć szmal, znaczy potrzebne środki, żeby coś tu naprawdę zrobić. Znacząco zbudować nowe chaty, saunę, kupić skuter śnieżny, coś dla każdego – moglibyśmy naprawdę zagospodarować to miejsce, przystosować je do życia, nawet całkiem wygodnego życia. I osiągnąć samowystarczalność, prawdziwą samowystarczalność. Taki mam cel, o tym cały czas myślę...

A ta zła wiadomość? – miała zapytać Star i serce zabiło jej mocniej. Nie chciała złych wiadomości, nie teraz, kiedy Marco błędził gdzieś w ciemnościach, być może ranny. Ale wyręczył ją Bill.

– A jakie są złe wiadomości? – zapytał.

Norm nie mógł się już czaić, nie było odwrotu; zadarł głowę do góry, spojrzał na nich wyzywająco.

– Muszę się stąd zrywać – powiedział. – Ja i Prem. Ale tylko na momencik, na króciutko, bo mam się stawić w sądzie i... no więc umówiłem się z Joem Boskym. Podrzuci nas na lotnisko w Fairbanks. To znaczy, kiedy pogoda na to pozwoli. – Spojrzał każdemu po kolei w twarz, jakby ich odliczał. – Mnie i Prem – dodał. – Prem jest chora.

Prawda docierała do nich powoli. To był szok, prawdziwy szok. Byli oszołomieni. Ogłuszeni. Nikt się tego nie spodziewał. Nie przewidzieli tego w najbardziej ponurych wizjach... Star widziała, że ich twarze płoną, a oczy przybierają barwę popiołu. Zamurowało ich. Nikt nie mógł wykrztusić słowa. Norm po prostu przytknął płonąca głownię do dachu świetlicy, zaatakował napalmem wioskę i rozpedził tych, którzy ocalili. Kiedy wstawała z miejsca, poczuła się tak, jakby przeniosła się w inny wymiar; czy nie to właśnie odczuwał człowiek po śmierci, kiedy wychodził poza swą powłokę cielesną i rozpływał się w przestrzeni, zachowując tylko zdolność percepcji zmysłowej? Unosiła się przez chwilę wysoko, wśród chmur, a potem przebiła się przez nie ku czystemu, nocnemu niebu z gwiazdami i planetami jaśniejącymi lodowato zimnym blaskiem. A potem rozległ się gwar gniewnych i przestraszonych głosów, eksplodujących wokół niej jak pociski, jakby chcieli ją zestrzelić.

– Ale Marco – wyjąkała, wyciążając głos, by ją usłyszeli.

– Wy nic nie rozumiecie, przecież nie możecie wyjechać, nikt nie może – Marco zaginął!

Wyszła w mrok nocy, nawołując go, ale głos wiązał jej w gardle – a on nie wracał, nikt nie wracał, Marco był martwy, Drop City było martwe i ona też mogła umrzeć. Wiatr pluł jej w twarz śniegiem, szarpał ją za ramiona, wsuwał jej swój suchy jęzor za kołnierz i głębiej, aż pod dżinsy. Skulona w swej parce zatoczyła wielki krąg, idąc do zagrody dla kóz, a stamtąd dalej, do rzeki, i z powrotem. Śnieg zasypywał ślady natychmiast, ledwie podniosła stopę, chmury wisiały nad nią, wzgórza trwały nieruchome i milczące, przygwożdżone włóczniami drzew. Brnęła w śniegu niemal po kolana, zasy py piętrzyły się i twardniały. Straciła czucie w palcach nóg. Jej stopy zamieniły się w kamienne bloki, palce rąk zdrętwiały. Skostniała z zimna. Była bezradna. Nie mogła nic zrobić. Zatoczyła jeszcze jeden krąg, z wielkim wysiłkiem, nawołując ciągle: „Marco! Marco!”. Zrobiła pauzę, nasłuchiwała, znów zaczęła wołać. Odpowiedzi nie było.

W końcu znalazła się w swojej chacie. Dołożyła do pieca. Miała całą chatę dla siebie, przynajmniej na razie, bo reszta była w świetlicy, gdzie wszyscy dyskutowali zawzięcie i wrzeszczeli, przepełnieni złymi, negatywnymi wibracjami. Przyszli też ci, których nie było na kolacji – wracając do chaty, widziała przemykające pośpiesznie skulone ciemne sylwetki na tle śniegu, ogarnięte paniką, prawdziwą paniką. Próbowwała się uspokoić. Próbowwała powstrzymać się od skoku z występu skalnego, na który nieopatrznie weszła. Teraz najbardziej potrzebowała spokoju, żeby móc przemyśleć wszystko gruntownie, powoli i metodycznie. Marco zaginął. Norm czmychał. Wszystko się rozpadało, nie można było temu zapobiec. Widziała siebie jako „komunalną” wdowę, przystawiającą się do Geoffreya lub Niesamowitego George’a, obierającą ziemniaki, dźwigającą wiadra z odchodami do dołów kloacznych. Będzie się dzień za dniem przyglądać powolnemu rozpadowi wszystkiego, co miało dla niej znaczenie, wszystkiego, co budowała i o co walczyła. I być może usypie kamienny kopiec ku pamięci Marca, jak to robili Indianie, i zapłacze nad tymi kamieniami, nad swoimi zniszczonymi rękami i nad całym tym niemożliwym, naiwnym i idealistycznym hipisowskim odlotem, który trwał od czasu, gdy opuściła dom. Jaka byłam głupia, pomyślała. Jaka głupia.

Potem przypomniała sobie o pieniądzach. Trzy blade, sztywne, srebrzystozielone banknoty zawinięte w skarpetkę w wewnętrznej kieszeni plecaka, jej polisa na życie, bilet lotniczy, bilet autobusowy, opłata za taksówkę, coś, co umożliwiło wydostanie się stąd. Odszedł stąd Ronnie, Sky Dog i Dale Murray, Rain, Lester i Franklin – a Norm już się szykował do odejścia. Verbie mieszkała z Żelaznym Steve'em w mieście, w czynszówce z elektrycznością i bieżącą wodą. Lydia wpadła tylko na krótko, wszyscy o tym wiedzieli. A więc dlaczego ona, Star, miałyby cierpieć? Dlaczego miałyby skazać sama siebie na niewdzięczną rolę c i p k i i pomywaczki? Wstała z łóżka i podeszła do plecaka.

Przekopała się przez swoje letnie podkoszulki, dżinsowe szorty, sandały, paczuszkę listów, które zamierzała wysłać, utensylia kempingowe, książki, olejki do opalania, trzy, cztery, pięć par czystych skarpetek, ponczo, ale kiedy dotarła do wewnętrznej kieszeni na samym dnie, nie znalazła tam niczego. To musiała być jakaś pomyłka. Odwróciła plecak nad łóżkiem do góry dnem, przeszukała każdą kieszonkę, każdą fałdkę, porozkładała wszystko, myśląc jednocześnie o tym, że będzie musiała przejść samotnie dwanaście mil do miasta, rzeką jak autostradą, wejść do baru Three Pup i poprosić kogoś z pilotów, żeby poleciał z nią do Fairbanks, może Howarda, on na pewno się zgodzi bez problemu. Zaproponuje mu pięćdziesiąt dolarów i zatrzyma resztę na bilet w jedną stronę, do domu – nie na Florydę, nie na Hawaje, ale domu.

Zobaczyła siebie, jak siedzi w fotelu z odchylanym oparciem i je gorący posiłek z tacy, paczkowany, „cywilizowany” obiad. Widziała matkę stojącą przy bramce na lotnisku Kennedyego z Samem, psem – i z ojcem, jeśli będzie mógł urwać się z pracy. Potem zaczęła płakać. Nie mogła się powstrzymać. Dłuższy czas siedziała, wpatrując się w mozaikę swoich rzeczy rozłożonych na łóżku. Potem przetrząsnęła wszystko jeszcze raz, tłumiąc łkanie i wycierając nos i oczy rękawem. W końcu wstała i przeszukała całą izbę, zaglądając na półki i wertując książki, choć była pewna, że nie ruszała tych pieniędzy – chyba że traciła pamięć, że lunatykowała albo przenosiła się w marzeniach w inny wymiar. Jeszcze raz powtórzyła wszystko, krok po kroku. Znów przeszukała pusty plecak i w końcu odpruła podszewkę w kieszeni, ale został jej w palcach tylko nylon, granatowy nylon, wyprodukowany w Tajwanie.

Pieniądze nie mogły rozpląnąć się w powietrzu. Nie dostały nóg i nie uciekły. Ktoś je ukradł, to była jedyna możliwość, jakiś złodziej, ktoś bezczelny, kto miał czas cichaczem przeszukać jej rzeczy – Merry, Maya, Jiminy, Marco. Nie. Nie mogła uwierzyć, że zrobiło to którekolwiek z nich, a poza tym żadne nie wiedziało, że miała te pieniądze – to była jej tajemnica, jej sekretna rezerwa. Ogarnęła ją rozpacz. To był koniec braterskich i siostrzanych więzi, finał wszystkiego. Zdrada. Akt egoizmu. Podłość. Kradzież. Jak do tego mogło dojść? Pomyślała, że każdy musiał mieć taką ukrytą rezerwę, coś, co chowa z jakichś własnych, egoistycznych i niskich powodów, nawet Marco, nawet Merry, a więc było całkiem logiczne, że musieli się wzajemnie podejrzewać i robić sobie wzajemnie kipsisz (tak się to chyba nazywało) w osobistych rzeczach.



Jeszcze raz przejrzała wszystko, zdesperowana, rzucając przez ramię wyrzucanymi na lewą stronę skarpetkami, swetrami i książkami z porozrywanymi grzbietami. Jednocześnie oglądała się na drzwi i nasłuchiwała odgłosu kroków, tak jakby rzeczywiście mogła je usłyszeć przez grubą kurtynę śnieżycy. Była już bliska przeszukania rzeczy Jiminy'ego, Merry, Marca, gdy nagle przyszedł jej do głowy Ronnie. To on został tu sam z Lydią i jeśli ktoś znał jej tajemnice, to właśnie Ronnie, jeśli ktokolwiek mógł grzebać w jej rzeczach czy w ogóle pomyślał o tym, żeby ją okraść, okłamać, oszukać, zdradzić, podsuwać ją chłopakom z tipi jak prostytutkę i cały czas zgrywać się na zagubioną ofiarę losu, to był to Ronnie. Ronnie ukradł jej pieniądze. Ronnie.

Podniosła wzrok i omiotła spojrzeniem izbę. Było tu jak w jakiejś zwierzęcej jamie albo klatce. Zadymionej, cuchnącej, niechlujnej klatce, bez szans ucieczki. Poszczególne segmenty rury od pieca nie pasowały do siebie, wiatr wciskał się przez setki szczelin, drzwi były jak tunel aerodynamiczny, bez względu na to ile szmat i papieru poupychali dookoła ościeżnicy. To było beznadziejne, wszystko było beznadziejne i wydawało jej się, że nigdy nie przestanie płakać. Czas mijał – nie wiedziała nawet, czy upłynęły minuty, czy godziny. Polana w piecu spaliły się na węgiel, a potem spopieliliły. Drżała na całym ciele, ale nie mogła się zmobilizować, żeby dołożyć do pieca czy choćby owinąć się kocem. I nagle drzwi zagrzechotały na zawiasach. Podniosła wzrok i zobaczyła Marca.

Marco. Był blady jak płótno, cały biały, wręcz pokryty grubą warstwą bieli, miał oblodzone wąsy, zbielełe wargi, policzki koloru i faktury wosku. Nie odwinął szala, nie zdjął kapelusza ani strzelb przewieszonych przez ramię – zrobił tylko na sztywnych nogach parę kroków w głąb izby i zamknął Star w potrzasku swoich ramion.



Pamela siedziała przy oknie w zapadającym zmierzchu, odpalając jednego papierosa od drugiego i patrząc na skąpane w świetle księżycyca podwórze. Była to jej ulubiona forma wypoczynku, kiedy już skończyła z gotowaniem i pozmywała naczynia, i kiedy znużyło ją śmiertelnie wyprawianie futer i łatanie odzieży Sessa, tak gruntowne, że rozwieszone w całej izbie, sztywne od lat koszule wyglądały jak parada pikowanych kolderek. Kiedy więc już się z tym uporała, gdy przyniosła zapas drzewa na opał, dołożyła do ognia i ciasto na jutrzejszy chleb rosło w dzieży, siadała i patrzyła w okno. Przez cały ostatni tydzień było zimno i bezchmurnie, księżyc stał się jej słońcem, wszechobecnym, niepowstrzymanym słońcem, które oświetlało ośnieżone wzgórza jak teatralną dekorację. Wstała wcześniej (o piątej, według zegara, który stał się obsesją Sessa; jego tykanie, jak twierdził, rozpraszało go wciąż zastanawiał się głośno, po co jej świadomość, która jest godzina), żeby podziwiać pulsowanie i wibracje zorzy polarnej, jarzącej się zielonkawym i żółtym wewnętrznym blaskiem, który przechodził w fiolet, a potem w czerwień. Napawała się tym widokiem tak długo, aż przemarzła, i wtedy wróciła do domu. Siedzenie tu, przy oknie, było lepsze od czytania powieści, stawiania pasjansa czy rozwiązywania krzyżówek. To był jej czas wytchnienia, pora rozmyślań; patrzyła na krajobraz tak, jak inni patrzą na film lub w ekran telewizora. Lis w zimowym futrze przechodził dwa razy dziennie przez podwórze. Sowy obsiadały gałęzie drzew. W powietrzu uwijały się kruki, niczym czarne szmaty, wyrzucane z mroku nocy. Dwukrotnie wyczuła jakieś poruszenie i zakłócenia w naturalnym biegu rzeczy i kiedy podniosła wzrok, zobaczyła watahę wilków, biegnącą truchtem po zamarznętym śniegu na proscenium brzegu rzeki.

Jeśli chodziło o zegar, uparła się, żeby go kupić. Owszem, była oddaną żoną, i owszem, polegała na jego osądach, ceniła je, szukała u niego oparcia, opieki i tak dalej. I rozumiała jego punkt widzenia. Życie tutaj, w leśnych ostępach, oznaczało życie według prymitywnego czasu, czasu „bezmiernego”, a posiadanie zegarów odmierzających sztuczne minuty stworzonych przez człowieka godzin uniemożliwiało to, podważało cały etos naturalnego świata. Trzeba jednak było iść na pewne ustępstwa, tak ona to widziała, albo przenieść się do jaskini i pocierać drewnka dla rozniecenia ognia. No a co z piłą łańcuchową, wiertarką, wędką z włókien szklanych, silnikiem do łodzi, który zamierzał kupić na wiosnę? To było konieczne, upierał się, pomagało poprawić jakość życia, a chyba nie musiał mówić akurat jej, jak cienki był włoszek, na którym wisało to ich wspólne życie tu, pod tym nieubłaganym niebem, gdzie katastrofy można było się spodziewać w każdej minucie każdego dnia.

No dobrze. Dla niego była to piła i silnik, ale dla niej zegar, kalendarz, termometr. Gdyby nie zegar, straciłaby w ogóle rachubę czasu, i ludzie mogli sobie utrzymywać, że im to nie robi różnicy, bo ranki i wieczory są tak samo sztucznym tworem jak dni tygodnia czy liczenie lat od narodzenia Chrystusa, jakby to miało jakieś znaczenie, było czymś realnym, jakby Bóg istniał i Argument Celowości był faktem. Jej takie wywody nie obchodziły. Ona lubiła liczby, lubiła cyfry, chciała wiedzieć, że jest dwadzieścia pięć po szóstej osiemnastego grudnia, Anno Domini 1970 i że termometr wskazywał trzydzieści dwa stopnie poniżej zera, kiedy patrzyła ostatnio, i w każdej chwili mogła sobie po prostu wyjść i sprawdzić, czy od tego czasu temperatura spadła. Mogła. I mogła też prowadzić dziennik, zapisywać różne drobiazgi, po prostu fakty – datę, godzinę, temperaturę, co jedli, jak wyglądało niebo, drzewa, ziemia. To była jej sprawa, jej r z e c z, jak by powiedziała Star, i kto mógł jej tego zabronić? Nie Sess. Na pewno nie Sess. Niech go więc budzi tykanie zegara w nocy. Nie umrze od tego.

Już miała wstać i zrobić to – sprawdzić temperaturę – kiedy zobaczyła jakiś pionowy cień, który oderwał się od drzew i zaczął piąć się pod górę, poruszając się powoli i niezbornie jak zjawą ze snu. Pamela wetknęła wypalonego aż do filtra papierosa do ust i patrzyła. Postać zbliżała się, skulona, brnąc przez śnieg, nogi rozdzielały się i łączyły, i znów rozdzielały, i nagle Pameli aż podskoczyło serce: to była Star, przyszła w samą porę, żeby uwolnić ją od ciężaru samotnych rozmyślań. Jak to mówiła właśnie Star? Żeby odlecieć. Nadszedł czas radości i zabawy.

Była przy drzwiach, zanim Star zdążyła zapukać; widząc nieoświetlone okna, dziewczyna mogła pomyśleć, że nikogo nie ma w domu, i zawrócić do obozu hipisów.

– Witaj, witaj – powiedziała, wciągając ją do izby. – Cóż za niespodzianka, jaka miła niespodzianka! I wesołych świąt, czy składałam ci już życzenia?

Zaproponowała jej herbatę, drogą mieszankę Darjeeling, którą trzymała w szczelnej puszcze, specjalnie dla gości, i zaczęła podniecona biegać po izbie, dokładać do pieca, zapalać lampy. Postawiła na stole talerz z krakersami i serem, podała chleb, masło, dwa dzemy jagodowe, położyła łyżki i nóż – ach, gdzie ten nóż? – cały czas paplając, tokując bez przerwy, jakby przez całe lata była jeńcem jakiegoś plemienia głuchoniemych. Rozgadała się okropnie; chyba dopiero po kwadransie zorientowała się, że Star jest jakby nieobecna duchem i prawie w ogóle jej nie słucha. Star niewiele się też odzywała, odpowiadała tylko „tak” lub „nie” na grad pytań, jakimi zasypywała ją Pamela, potakiwała, pomrukiwała, wtrącała od czasu krótkie „aha” lub „rozumiem” na zasadzie antyfony. W końcu Pamela się opamiętała. Ugryzła się w język. Zmusiła się, żeby wypić duży łyk herbaty, która zaczynała już stygnąć.

– No tak. Tak jest – stwierdziła, zupełnie jakby właśnie w tej chwili rozwiązała równanie, nad którym cała armia matematyków biedziła się od wielu tygodni. – A co u ciebie?

Zapaliła kolejnego papierosa. Star poszła za jej przykładem. Delektowały się przez chwilę aromatem tytoniu, patrząc sobie w oczy, potem wypuściły jednocześnie dym.

– Chodzi o Marca, tak? – zapytała Pamela. – Martwisz się o niego?

Star wzruszyła ramionami. Była bardzo drobna – *petite*, rozmiar czwórka – i jeszcze nigdy nie wyglądała bardziej bezradnie i dziecinnie. Włosy miała gładko ściągnięte do tyłu, za uszy, jakby uczesała ją matka, drobne ramiona opuszczone, oczy zgaszone i jakoś tak dziecięco smutne. Marco wybrał się z Sessem na obchód traperskiego szlaku – chciał nabrać praktycznych umiejętności i Sess wziął go pod swoje skrzydła. Obozowali pod gołym niebem, przy temperaturze, która spadła w ciągu jednej nocy do minus czterdziestu stopni albo nawet niżej. Choć ściślej mówiąc, nie całkiem pod gołym niebem – Roy Sender zbudował w strategicznych punktach ponadczterdziestomilowego szlaku dwie prymitywne chaty z desek i darni i choć były tam klepiska zamiast podłóg, brakowało okien i komfortu całorocznych chat, to miały one żeliwne piecyki, które Sess utrzymywał w dobrym stanie, nie zapominając o rozpałce i zapasie gotowych do użytku polan. Poza tym kupił dwa dodatkowe psy, o których myślał od dawna – kupił je od Howarda Walpole’a, były to bestie wredne, ale dobre w zaprzęgu. (Howard nie potrzebował już psów roboczych, bo teraz interesowała go szybkość, chciał spróbować swoich sił w wyścigach, ot tak, dla rozrywki – czy słyszała, że wznowili wyścig Iditarod i mają prawdziwe pieniądze na nagrody? – ale wszyscy wiedzieli, że i tak nie zsiada nigdy ze swojego skutera śnieżnego na tak długo, by opłacało mu się uruchamiać psi zaprzęg). I dzięki temu Sess mógł teraz pokonywać przestrzeń znacznie szybciej i z lepszymi rezultatami niż przed rokiem.

– Bo jeśli martwisz się o tę ich wyprawę, kochanie, to niepotrzebnie, Sess wie, co robi. Jest najbardziej doświadczonym traperem w okolicy, zapytaj, kogo chcesz. – Zaśmiała się i wykonała małą parodię Sessa w połatanej parce, którą obszyła mu futrem rosomaka, najlepszym futrem na świecie, by nie zamarzała na nim para z ust. W jej wykonaniu Sess stał wyprostowany na płozach, ze zmrużonymi przed wiatrem oczami i z napiętymi bicepsami. – To dlatego wybrałam właśnie jego, przecież wiesz. I posłuchaj, trzydzieści pięć, czterdzieści stopni to nie jest temperatura krytyczna, naprawdę. Martwiłabym się, gdyby było pięćdziesiąt. – Znów się roześmiała. – Ale tylko troszkę. Sess jest sprytny. Przetrwa wszystko. No a co z Markiem? Z jego odmrożeniami? Już w porządku? A tak nawiasem mówiąc, ile to już czasu upłynęło, chyba z miesiąc?

W izbie było zimno. Zdawało się, że wiatr znajduje najdrobniejsze szczeliny, jak gdyby wytykanie budowniczym nawet najmniejszych niedoróbek było jego jedynym celem i funkcją. Pomyślała, że trzeba dołożyć do ognia, ale coś przykuwało ją do krzesła, nie pozwalając się ruszyć; była to ciekawość tego, co właśnie zaczynało się odwijać jak nitka z kłębka, czegoś przyjemnego i nowego, nowinek dotyczących innych ludzi i ich trosk.

Star znów wzruszyła ramionami, jakby to był jedyny znany jej gest.

– Chyba tak – powiedziała. – Tak, wszystko już jest dobrze. Ma te dwie białe krechy na policzkach, wyglądają jak blizny albo coś takiego, zresztą sama widziałaś, prawda? I palce też są okej, te dwa, co szerniały, ten mały i następny, u prawej stopy.



Zapatrzyła się ze zmarszczonymi brwiami w kąt pokoju i skubiąc pasemka włosów swymi cienkimi, białymi palcami, przywołała w pamięci obraz jego odmrożonej stopy. Panowała cisza, słychać było tylko trzask i buzowanie ognia.

– Reba powiedziała, że mu te palce odpadną, tak samo Norm, że zgniją i odpadną, a Reba jeszcze dodała: „Nie myśl, że mówię o paznokciach, ja mówię o palcach”. Ale zagoiły się. Cudem. Nie wyglądają zbyt pięknie, stracił oba paznokcie, ale nie wdało się zakażenie, a ja byłam wtedy przerażona, bo Marco chciał, żebym mu je odrąbała siekierą, wyobrażasz sobie? Ja? Siekierą?

Roześmiały się nerwowo ze zgrozy. Siedziały jeszcze przez chwilę przy stole, zaciągając się papierosami, potem Pamela dołożyła do ognia i usiadły z podkulonymi nogami na łóżku, połączone współczuciem.

– To nie to mnie tak przygnębia – powiedziała po chwili Star. – Wiem, że z Sessem nic mu się nie stanie.

– Chyba że zamarzną obaj.

Star uśmiechnęła się blado.

– Chodzi o Drop City. Wygląda na to, że wszystko się rozsypie. Słyszałaś pewnie, że Niesamowity George, Erika i Geoffrey odeszli, poszli sobie po prostu, tak jak stali?

Pamela nie słyszała. Wiedziała, że wyjechał bratanek i ta mała z płaską twarzą i sztucznymi rzęsami. Kilkoro z nich nachodziło Sessa – gotowi byli płacić mu, ile zażąda, za to, żeby zaprzągnął psy i zawiózł ich razem z ich gitarami i nie wiadomo jeszcze czym do Boynton. Robił to chętnie, czemu nie, forsa to forsa, ale objazd traperskiego szlaku był na pierwszym miejscu, bo kiedy już się zastawiło sidła, człowiek był zobowiązany najwyższym prawem moralnym we wszechświecie do tego, żeby ich doglądać, choćby tylko po to, by skrócić męki istot, z których przecież sam żył. I nie można było niczego marnować, nigdy. Marnotrawstwo było gorsze niż grzech – oznaczało śmierć.

– To straszne – powiedziała i rzeczywiście ta wiadomość ją przeraziła.

Przywykła do swojego sąsiedztwa, do Star, Merry, Mai, Reby, ludzi, z którymi mogła porozmawiać, przede wszystkim kobiet, innych kobiet. Ostatnią zimę spędziła w normalnym mieszkaniu, w mieście, pracowała w biurze pełnym ludzi. W mieście były kina, sklepy, bary, restauracje. Teraz miała futra, miała Sessa. Była szczęśliwa, naprawdę, czuła to – szczęśliwsza niż kiedykolwiek, ale zaczynała jej dopiekać ta niekończąca się, obłądna, zatruta obsesją uwięzienia noc, kiedy nie wystarczała obecność Sessa, kiedy nie wystarczało właściwie nic. I było coś jeszcze, coś ważniejszego niż to wszystko, jej nowina, jej sekret – gdyby nie mogła się tym teraz podzielić ze Star, chybaby oszalała.

Twarz Star unosiła się jakby w powietrzu w łagodnym świetle lampy, słodka i śliczna, bez skazy, nie bardziej hipisowska niż jej własna.

– Ludzie jedzą teraz osobno – powiedziała Star. – I jedzenie... walczą o jedzenie.

– A mnie się zdawało, że macie duże zapasy, więcej niż wam potrzeba, przecież mówiłaś, że Norm zgromadził podstawową żywność na pół roku? Że wydał na to setki dolarów? Zapasy nam się kończą. Po prostu wszyscy gromadzą żywność dla siebie. Plądrują spiżarnię, biorą, co chcą, migdały, rodzyunki, zniknęły wszystkie suszone owoce. Można zapomnieć o mleku w proszku. I o czekoladzie. – Skrzywiła się, podniosła rękę w górę i opuściła je bezradnie. – W mące jest pełno takich czarnych... myślałam najpierw, że to pieprz, że może komuś wpadła do mąki pieprzniczka, kiedy panierowali ryby, ale to były mysie odchody, dosłownie miliony bobków. I Reba: wydaje się jej, że od czasu jak Norm wyjechał, to ona jest szefową, więc wciąż zwołują z Alfredem zebrania, żeby, jak to określają, „omówić sytuację żywnościową”, ale i tak nikt nie przychodzi.

– Nie ma jeszcze nawet świąt – zauważyła Pamela.

Nie wiedziała właściwie, dlaczego to powiedziała; nie chciała być niemą, ale ci ludzie, ci hipisi, musieli sobie uświadomić, w co się pakowali. To było zupełnie jak w tej bajce, chyba Ezopa, którą matka czytała jej i Pris, kiedy były małe, o mrówce i koniku polnym.

– Wiem – szepnęła Star. – Wiem.

Nieco później, kiedy wypłyły jeszcze po kubku herbaty i zjadły przygotowane przez Pamelę kanapki z mięsem łośia, pokrojoną w plasterki cebulą i sosem chrzanowym, Star zapytała, czy mogłaby u niej przenocować. Myśl o podróży z powrotem i sytuacji w obozie wydawała się jej nieznośna, po prostu nie wytrzymałaby tej konfrontacji, nie dziś. Czy zatem mogłaby? Nie sprawi za dużo kłopotu? Oczywiście, że nie, odpowiedziała Pamela, to żaden kłopot – prześpi się w starym łóżku Sessa, a przy okazji: czy uwierzy, że Sess spał na tej wąskiej pryczy sam przez całą zeszłą zimę?

Dała Star jedną ze swych flanelowych koszul nocnych i opatulila ją śpiworem Sessa i futrami – miała ich cały skład, do wyboru – ach, czego by nie dały te wszystkie damulki z Nowego Jorku i z Chicago, żeby chociaż zerknąć na to wszystko – i to było bardzo miłe, przenosiło ją w przeszłość. Czuła się tak, jakby znów była dzieckiem, jakby obok niej była Pris, a nad głową kopuła namiotu, i jakby słyszała kojące, ciche pochrapywanie matki z pryczy w rogu namiotu. Albo jakby nocowała w ich domu jedna z koleżanek z sąsiedztwa, kiedy to człowiek w ogóle nie śpi, do samego świtu. Było po północy, kiedy zgasila lampę i poszła się położyć w dobudowanej izbie, odprężona, spokojna i zmęczona, przyjemnie zmęczona. Myślała o zgrabnej symetrii sytuacji – dziewczęta tutaj, w łóżkach, pod jednym dachem, a mężczyźni gdzieś daleko, skuleni obok siebie w zimnym uścisku nocy.

Rano długo siedziały przy kawie, zajadając świeżo upieczony chleb, jajecznicę z jajek w proszku z szynką, papryką i pomidorami, i patrzyły, jak światło wstaje powoli, przesuając stopniowo cienie, aż ustabilizowało się w postaci bladej szarości, która była tu o tej porze roku kolorem świtu, zmierzchu i południa. Słuchały radia – audycji „Tundra” ze stacji KFAR i „Rozmowy traperów” na KJNP – i dowiedziały się, że Olive Swisstack pozdrawia serdecznie Tommy’ego z Barrow, że była teściowa Ivora Johnsona domaga się, żeby pilnie do niej zadzwonił, wysłuchały także Jima Drudge’a, który donosił drogą radiową z Fort Yukon, że oddycha tak samo jak każda inna istota na tej planecie i jest bardzo z tego zadowolony. Potem zapaliły pierwszego papierosa tego dnia i rozegrały leniwie partię szachów.

– Wiesz, Star – odezwała się Pamela, kiedy osaczyła króla i obwieściła szach cichym, beznamietnym głosem – jest pewna rzecz, którą chciałam ci powiedzieć wczoraj wieczorem, ale... jakoś w końcu nie powiedziałam.

Star spojrzała znad szachownicy, przesuając bez przekonania gońca, z którego nie było teraz wiele pożytku. Prawie pusty kubek stał przy łokciu Pameli. Papieros – jej czy Star? – tlił się w popielniczce.

Czuła się dobrze, bardzo dobrze z tym światłem sączącym się przez okno, z posapywaniem pieca, z panującą wokół ciszą. Zstąpił na nią spokój. Mogła jeszcze spać lub wyobrażać sobie, że leży na ręczniku w jakimś kurorcie w tropikach i czyta powieść w błyszczącej okładce, potakując z aprobatą przy lekturze.

– Jestem w ciąży – powiedziała. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie mówiłam jeszcze Sessowi.

Spojrzała ponad głowę Star w okno, na wzgórze, a potem popatrzyła swojej przyjaciółce prosto w oczy.

– Więc chyba jesteś pierwsza, która się tego dowiaduje.

## 31

To, co uchodziło w tych dniach za światło, było zaledwie zanikającą poświatą na horyzoncie, światłem tylko z nazwy, żalostną, bladą i przygaszoną luną na niebie, która trwała tam tylko po to, by przypominać człowiekowi, czego mu brakuje. W Miami Beach świeciło słońce, w San Diego jego blask oślepiał, w Patagonii czy McMurdo Sound nie można by go przyćmić, nawet gdyby się chciało – było tak, jakby cały glob został odwrócony do góry nogami i jakby dało się z niego wytrząsnąć tylko trochę cieni, które pochłaniała niechętnie noc kosmosu. O tym właśnie myślał Pan, gdy silnik, parszcząc, wysyłał w przestrzeń swój jednostajny, powtarzający się komunikat – okej, okej, okej – końce skrzydeł odbijały jakiś matowy blask, a światła pozycyjne pulsowały asynchronicznie, aż wprawiły go w trans podobny do tego, w jaki wpada się na dyskotece, gdzie kręci się stroboskop i muzyka jest tak głośna, że człowiek zapomina, jak się nazywa.

Przemarzał. Właściwie zamarzał prawie na śmierć. Na zewnątrz, na ziemi, temperatura spadła prawie do czterdziestu stopni poniżej zera, a oni lecieli na wysokości sześciu tysięcy stóp, gdzie powietrze było rozrzedzone – i jeszcze zimniejsze. Joe rozkręcił wprawdzie ogrzewanie na pełny regulator, ale ledwie dało się to odczuć, bo wiatr wdzierał się z wyciem przez szpary w drzwiach i wokół okienka. Dlaczego te samoloty nie są hermetyczne? Dlaczego nie stosują w nich izolacji ani nie zainstalują porządnego nadmuchu, który by rzeczywiście coś dawał? Pan nie czuł palców nóg. Paciorki pod koszulą ziębiły jak kuleczki lodu. Zimny, przezroczysty płyn skapywał mu z nosa i wsiąkał w rękawice. Zdesperowany objął się ramionami, dygocząc tak, że miał wrażenie, jakby lada chwila miał wytrząsnąć z siebie wnętrzności.

Siedzący obok niego Joe był jak skała. Jego potężne bary niemal wypełniały kokpit, masywną sylwetkę powiększało jeszcze bardziej puchowe podbicie kurtki. Trzymał obciążony rękawiczką palec na wolancie, patrzył przez szybę przed siebie lub rzucał spojrzeniem na boki, nie przejmując się podmuchał wiejącego mu z wyciem w twarz arktycznego wichru bardziej niż niedźwiedź polarny, zwinięty w kłębek na lodowej krze. Nie wypowiedział – ani nie wykrzyczał – jednego słowa od piętnastu minut, ale też Pan nie oczekiwał rozmowy, bo i tak nie można było niczego usłyszeć przez warkot silnika. Cierpiał więc w milczeniu, myśląc tylko o chacie, o cichym szeleście nart na pokrytym śniegiem lodzie – o wylądowaniu i wydostaniu się z tego pudła tortur – i o ogniu, który rozpali w piecu. Wzdrygnął się, sięgnął po swój plecak leżący na tylnym siedzeniu i wyciągnął z niego srebrną piersiówkę.

Flaszka była pełna rumu Hudson Bay, takiego samego szajsu jak Bacardi 151, którego używali do płonących sandwiczów Surf ,N' Turf – smak był okropny, przypominał naftę, ale sam trunek robił swoje. Rozgrzewał. Palił w całym przewodzie pokarmowym, od podniebienia aż do odbytu; Pan pamiętał jeszcze, jak pan Boscovich rysował na tablicy układ trawienny człowieka – „Długi na dziewięć metrów – wykrzykiwał melodyjnie, jakby śpiewał – i czy ktoś potrafi mi powiedzieć, ile to jest stóp?”. Pan parsknął śmiechem na to wspomnienie i odkręcił zakrętkę. Przytknął flaszkę do ust, samolot zatrząsał gwałtownie, odrobina rumu ułała się i wsiąkła mu w brodę, a reszta osiadła w postaci ciemnych paciorków na dżinsach, ale ogólnie alkohol podziałał – zapiekło go w przelyku tak, że aż uderzył się pięścią w mostek, żeby mu się nie cofnęło. Poklepał w ramię Joego i podsunął mu piersiówkę.

– Chcesz łyka? – zawołał.

Joe obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, jakby usiłował go zidentyfikować, jakby nie mieszkali w jednej chacie przez ostatnie trzy i pół miesiąca i nie lecieli razem przez prawie cały dzień, po czym potrząsnął z wolna głową i w gąszczu jego brody pojawiła się szczelina smętnego uśmiechu.

– Nie kiedy siedzę za sterem – odkrzyknął.

– Ani odrobinki?

– Nie kuś mnie.



Wracali z Ambler nad rzeką Kobuk, gdzie pojechali taksówką na wyspę na zachód od miasta, by wylądować tam osiem skrzynek burbona i wódki zakupionych trzy dni wcześniej w Fairbanks. Krzywa szopa, przed którą zajechali, wyglądała smutno i robiła wrażenie pustej, ale w środku, ku zaskoczeniu Pana, pił i balował tłum ludzi. Patrzyli na niego nieprzytomnym, jakby nieobecnym wzrokiem – i wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli takie same twarze; taką twarz musiał mieć Dżyngis-chan po tym, jak złupił kolejne sioło, zgwałcił wszystkie kobiety, zjadł psy i wypił do ostatniej kropli całą ryżową wódkę, jaka była w okolicy. Ale byli w porządku, bo mieli długie włosy i spędzali czas na ćpaniu i zaprawianiu się, czym się dało, nigdy nawet nie słyszeli o pracy od ósmej do szesnastej, krawatach, Wall Street i panu Jonesie. Wciąż polowali na karibu, kiedy przekraczały rzekę jesienią, choć polowania ograniczały się teraz do podpływania płaskodennymi łodziami do bezbronnych w wodzie zwierząt i zabijania ich z bliska wystrzałem z pistoletu. Poza tym ludzie ci mieli śnieżne skutery, silniki w łodziach i kupowali ubrania z katalogów firm wysyłkowych. Ale jedli ozory karibu i lody eskimoskie (lój karibu utarty z toną cukru i posypyany kwaśnymi jagodami; Pan spróbował kiedyś tego specjału – „To lody, bracie, prawdziwe lody”, zachęcał go Joe Bosky, ale Ronnie wypluł to natychmiast na rękę i cała szopa aż się zatrzęsała, po prostu pękali ze śmiechu, ależ te białasy są komiczne, najśmieszniejsze na świecie!). Jedli też chrupki Cheerios i chipsy Fritos, ciastka Ho-Ho i sandwicze z pieczywa Wonder Bread z majonezem Hellmann’s, a wszystko to przywozili do eskimoskiego sklepu piloci, którzy uosabiali wielki świat.

Joe powiedział mu, że Eskimosi z wybrzeża – mieszkańcy igloo, tacy jak Nanuk – sikali do koryta i potem myli się w tym, żeby usunąć tłuszcz i być może dla odstraszenia wszy, ale ci tutaj ludzie, te wypierdki, skróceni Dżyngis-chanowie ze swoimi startymi, krótkimi ząbkami i nieobecnymi spojrzeniami skośnych oczu, nie posuwali się aż tak daleko, a w każdym razie Pan niczego takiego nie widział. Tyle że śmierdzieli, Chryste, jak oni śmierdzieli, ich ciała, oddechy, włosy! A ich psy były najnędrniejszymi stworzeniami, jakie widział w życiu, tłoczyły się, po dziesięć, dwanaście sztuk na każdym podwórku, nie miały bud, niczego. Chude i długonogie, paskudne, skowyczące kreatury, ogryzające łby karibu i racice łosi, pożerające rybie odpadki, takie jakie wyciągał z samego dna pojemników na śmieci kot Sylwester z kreskówek. Jednym słowem były żałosne.

Zostali w szopie może godzinę. Pan sprzedał pół uncji trawy Eskimosowi, którego mgliście pamiętał z poprzedniego kursu z whisky, wypił parę szklanek coli z rumem, nawdychał się zaduchu salki i narechotał razem ze wszystkimi, a potem znaleźli się z powrotem w samolocie. Teraz patrzył, jak obok porusza się wolant i pedały steru, i czuł się, jakby jakaś niewidzialna istota siedziała mu na kolanach. Wystrzelili w górę, startując z powierzchni zaśnieżonej rzeki, szopa, wieś, nagie wierzby i kosmate jodły, wszystko to uciekło w dół, a potem ukazał się horyzont i zajaśniała obietnica światła na południu.

Pan odbył już dostatecznie dużo lotów z Joem, żeby rozpoznawać charakterystyczne szczegóły na szlaku do domu. Szukał wzrokiem białej, zasysającej jamy jeziora Norutak, góry Indian, sterczącej na wysokość około czterech tysięcy stóp spośród wzgórz, jak odwrócony rozek do lodów, rzeki Koyukuk, tego wściekłego zygzaka na obliczu zapadającej nocy, wreszcie świateł Stevens Village i szerokiego rozlewiska Jukonu. Rzeka płynęła tu od samej kanadyjskiej granicy w kierunku północnym, ale po opłynięciu Fort Yukon skręcała na zachód, a więc lot wzdłuż niej oznaczałby stratę czasu. Joe przeleciał nad nią w poprzek na wysokości Stevens Village i potem skierował się w głąb łądu, żeby odnaleźć ją znów w okolicach Boynton. Pana nie zaniepokoiło to, że zostawili rzekę za sobą i znów pojawiły się ciemne wzgórza – to była prosta trasa, najlepszy bilet do gorącego pieca, śpiwora i kotleta z łosia na rozmrożonej bule, z dodatkiem smażonych ziemniaków i surówki z białej kapusty. Za dwa dni miał lecieć z Joem do Boynton, na pożegnalną imprezę w Nugacie, a potem do domu, do Peterskill, tak żeby zdążyć na święta. To dopiero będzie sensacja, a ileż do opowiadania! Tamtejsza pogoda to dla niego fraszka, polecą w podkoszulku, bezrękawniku i w szortach („I wy mówicie, że tu jest zimno, kochani?”). No i koncerty: Fillmore, ta nowa hala w Portchester, John Mayall, B.B. King, Taj Mahal. Pieprzyć Star. Pieprzyć Drop City. Pieprzyć ich wszystkich. Był zmęczony, drżał, przysypiał. Pociągnął jeszcze jeden łyk z flaszki – ot tak, dla czystej przyjemności.

Ale po chwili, stopniowo, zorientował się, że nie zmierzają prosto do domu – przelecieli nad Woodchopper albo nad tym, co według niego było Woodchopper, i zeszli niżej, nad mokradła, strumyki i poroszczepiane wzgórza nad Thirtymile. Tymczasem księżyc wypłynął na niebo, pyzaty, zimny, pełny, śnieg odbijał jego światło tak intensywnie, że biel zasp była jaśniejsza niż w ciągu dnia. Można było na jej tle zobaczyć wszystko, przecinki, trzęsawiska, nawet sznureczek zwierzęcych tropów. Joe położył samolot na skrzydło i zszedł jeszcze niżej; byli teraz nie więcej niż trzysta stóp nad ziemią, jego oczy pilota, wyćwiczone w rozróżnianiu kształtów i cieni, penetrowały teren, jakby czegoś szukał.

– Hej, Joe – zawołał Ronnie. – Co jest grane, człowieku? Nie lecimy do domu?

Joe obrócił ciężką kulę swej głowy w jego stronę, spojrział na niego i znów odwrócił się ku oknu.

– Podaj mi strzelbę, dobra? – powiedział.

Ku własnemu zaskoczeniu, wbrew sobie, pomimo zimna, wyczerpania i pragnienia, by jak najszybciej zaspokoić podstawowe potrzeby, Pan uśmiechnął się.

– Chcesz ustrzelić parę wilków?

Samolot niósł ich przez noc, nad pędzącymi ku nim drzewami, wyskakującymi z mroku wzgórzami i uciekającymi uskokami.

– Sprawdź, czy załadowana – zawołał Joe.

W porządku, pomyślał Ronnie. Czemu nie? – pomyślał. Pod nimi były wilki, żywa forsa, „zielone” jako dar natury, jak mawiał Joe. Byli tu już trzy dni temu, kiedy wracali z Fairbanks z gorzałką – mieli lecieć prosto do Ambler, ale Joe dostrzegł wilcze ślady i nie mógł myśleć o niczym innym. Na śniegu, w wielkiej, przypominającej test Rorschacha plamie z krwawych pętli i spiralnych śladów, leżał martwy łoś. Otaczały go wilki, było ich sześć lub siedem, ich szarość zamieniła się w intensywną czerń, ślepia już pożerały ofiarę, łby wykręcały się lękliwie w stronę warczącego zagrożenia z nieba. Nagle rozpierzchnęły się, Joe przeleciał nad nimi, dodając gazu, po czym zawrócił i natarł na nie znów. Wyrównał lot i pikując za wyciągniętymi w biegu jak struny ciemnymi kształtami, zawołał:

– Przejmij ster!

Pan wykonał polecenie, a Joe wychylił się z samolotu i obrał cel.

Pióropusze śniegu wzbijały się tam, gdzie chybił, białe wykwyty w kałużach cieni; Pan widział to dokładnie, choć koncentrował się na utrzymaniu samolotu w horyzontalnym położeniu. Trach! Trach! Trach! Stado płynęło w dół jak woda. Gdy wilki zostały daleko za nimi, Joe przejął stery, zawrócił, zataczając krąg, po czym znów oddał wolant Ronniemu. Tym razem użył lunetki; padł strzał i jedna z ciemnych smug uległa jakby nagłej kondensacji, jak przygwożdżona żelaznym obcasem, i nie była już smugą, tylko wijącym się na śniegu wilkiem. Wciąż ścigając stado, upolowali o milę dalej następnego, po czym zawrócili i znaleźli miejsce do lądowania. Śnieg był po kolana. Pierwszy wilk miał przetrącony grzbiet. Leżał w śniegu, patrząc na nich nic nierozumiejącymi ślepiami. Urodzony i wychowany w ukryciu, wykarmiony mięsem łosia, królika, nornicy i karibu, wpatrywał się w nich bezradnie. „Załatw go – powiedział Joe. – Ale nie dziuraw futra. Celuj w oko”.

I teraz znów Pan starał się zobaczyć, co też Joe wypatrzył na dole. Jednocześnie sięgnął za siebie po strzelbę, Holland & Holland z lunetką Weavera, zakupioną na targach sprzętu sportowego w Fairbanks za eskimoskie dolary. Odciągnął zamek i podał strzelbę Joemu. Pod nimi widać było ślady na śniegu, teraz sam już to zobaczył, prawdziwy bity trakt, musiała tędy przebiec cała wataha wilków. Ślady okrężały kępy drzew, chwilami znikwały na krótko, a potem znów się pojawiały, biegnąc na południe, wzdłuż brzegu rzeki. Księżyc świecił jasno jak nigdy za pamięci Pana, a przecież widział go na niebie niezliczone mnóstwo razy, w uliczkach za klubami, przez szybę swego samochodu, wielki, błyszczący, wyjaskrawiony działaniem całej gamy prochów, wzmacniany przez nadmiernie wyczulone oczy. Dziś jednak atakował ich z wyjątkową siłą, srebrzył parkę Joego, jego twarz, ręce spoczywające na wolancie. Ale gdzie były wilki?

I wtedy nagle wychynęły spod drzew, cała wataha biegnąca w zwartym szyku.

– Bierz stery, prędzej! – ryknął Joe. Powietrze w kokpicie, już wcześniej lodowate, zamieniło się w zabójcze, gdy Joe odsunął szybę i do środka wdarł się mroźny powiew. Pan trzymał stery, samolot kładł się na lewe skrzydło, Joe wycelował... ale chwileczkę... to chyba nie były wilki? Nie, to nie było wilcze stado, to były psy i sanie i dwie postacie odcinające się wyraźnie od białej, zapisanej śladami płaszczyzny. To byli ludzie, jacyś mężczyźni; cóż ten Joe, oślepl czy co?

– Joe! – zawołał Ronnie. – Joe, to nie wilki!

Bez skutku. Bo gdy Ronnie utrzymywał samolot w głębokim przechyle, Joe strzelał, raz, dwa, trzy razy, samolot kładł się coraz bardziej na skrzydło, Joe przeklinał – „Kurwa, niech to szlag!” – i żaden z nich nie spostrzegł, że skrzydła stoją już prawie pionowo, dopóki Joe nie rzucił strzelby i nie wyprowadził go z tej pozycji, wyminąwszy o włos wierzchołki drzew. Silnik zawył, samolot podskoczył, dało się słyszeć nienaturalnie głośne, mokre plaśnięcie, po czym czubek prawego skrzydła pękł nagle z trzaskiem i samolot zadygotał, jakby miał się za chwilę rozlecieć.

Joe walczył ze sterami. Joe znał się na rzeczy. Nie miał zamiaru rozbić samolotu, który kosztował go dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, tylko dlatego, że czubek aluminiowego skrzydła złożył się nagle jak zgnieciona puszką po piwie. Nie on, nie Joe. Ulecieli chyba ze dwie lub trzy mile, usiłując zawrócić w stronę rzeki – ale dlaczego nie nabierali wysokości, dlaczego Joe nie ściągnął sterów, żeby wznieść się ponad wierzchołki drzew? – nim Ronnie zrozumiał, że spadają. Coś majaczyło przed nimi, nie była to jednak rzeka, tylko torfowisko wśród drzew, z kępami martwej, oszronionej trawy, sterczącymi jak niezliczone pięści. W chwilę później wyrznęli o ziemię, podwozie wygięło się, a kadłubem rzuciło nieubłaganie w lewo, w stronę przyczajonych w mroku, twardych goleni drzew.



Nikt nie lubił Joego Bosky'ego – budził on respekt, być może strach, ale nie należał do tych, których ludzie ceniliby za delikatność, łagodność i dobre maniery. Ale Ronnie go lubił. Ronniego łączyły z nim relacje, jakie łączą młodszego brata ze starszym. Joemu trzeba było przyznać jedno: że był facetem konsekwentnym i zorganizowanym i jeśli człowiek przyglądał mu się pilnie i słuchał go uważnie, mógł się dowiedzieć dosłownie wszystkiego o Alasce. O broni. O lataniu. Udzielił już Panowi kilku lekcji i pozwalał czasami przejść stery, kiedy lecieli z punktu A do punktu B, a za coś takiego można być naprawdę wdzięcznym. Pan planował, że może wróci kiedyś tutaj – któregoś lata, może nawet najbliższego – i zostanie pilotem, przewodnikiem dla rybaków i myśliwych, zmagającym się z pogodą, mknącym na skrzydłach wiatru, wyruszającym bez względu na warunki. Jeszcze jedną cenną cechą Joego było to, że choć był on kiedyś częścią maszyny wojennej, i to żołnierzem piechoty morskiej, podchodził na luzie do różnych spraw – nie wymachiwał flagą ani nie faszyzował i nie rozprawiał o minach Claymore'a, żółtkach i całej reszcie. Jaki miał cel w życiu? O to właśnie zapytał go kiedyś Pan, gdy siedzieli przy stole ze Sky Dogiem i Dale'em, ogryzając kostki parady. Dobrze się bawić. Urznąć się, podymać, narozrabiać i nie liczyć się z nikim. „A więc jesteś hedonistą?” – zapytał Dale. „A jak, kurde!”, brzmiała odpowiedź.

I teraz Joe też dobrze wiedział, co robić w tej trudnej sytuacji, tyle że o tym nie gadał. Powiedział tylko jedno, gdy Pan przeciął pasy swoim nożem myśliwskim i wyciągnął go ze zgniecionego kokpitu: „Rozpal ognisko”. Choć ten problem rozwiązał się sam, bo kiedy wpadli na drzewa, lewe skrzydło wbiło się w kadłub i oderwał się zbiornik z paliwem; mieli szczęście, że udało im się wydostać, zanim wszystko wyleciało w powietrze. Bo wyleciało. Zaledwie Pan wyciągnął Joego na śnieg, błysnęło, huknęło i ich lot do domu zamienił się w jedno wielkie ognisko. Teraz pozostał tylko unoszący się w powietrzu śwąd, wracało z wolna zimno i Joe nie mógł już nic poradzić.

Ronnie czuł, jak serce w jego piersi zmienia biegi. Byli w tarapatkach, bez wątplenia, ale Pan nie rozumował zbyt trzeźwo, bo podczas upadku uderzył kilka razy głową w tablicę przyrządów – miał wrażenie, że tablica go prześladowa, jakby nagle ożyła i jakby jej jedynym celem było roztrzaskanie mu czaszki. A ta skorupa zamarzającej cieczy odpryskująca za każdym razem, kiedy mimo woli krzywił się z bólu, który ulokował mu się w lewym barku i eksplodując czerwienią, sprawiał, że Ronnie miał wrażenie, jakby ramię próbowało się oderwać i nie chciało już dłużej należeć do niego, a więc ta skorupa to była krew. Joe był nieprzytomny. Nie martwy – wciąż jeszcze oddychał, ale Ronnie nie był lekarzem, a nawet gdyby był, niewiele by mu pomógł bez lekarstw, instrumentów i narzędzi, z których miał tylko swój nóż i ciężki pistolet przytroczony do uda. Jedyne, co mógł zrobić, to naciąć świerkowych gałęzi i zrzucić je na stertę, żeby Joe, leżąc na gołej ziemi, nie tracił życiodajnego ciepła. Potem przystąpił do rozpalania ogniska. Nazbierał suchych gałęzi i połamał je na kolanie, żeby ułożyć całą chwiejną piramidę, wyciągnął też ze śniegu parę grubszych kawałków drewna. Miał zapalki i nawet trochę papieru na dnie plecaka, jedynej praktycznej, mogącej pomóc w przetrwaniu rzeczy, jaką zdołał wyciągnąć z samolotu, zanim nastąpiła eksplozja.

Księżyc zdawał się napierać na niego swym nieznośnym ciężarem, gdy przykucnął pod nim, zdjęwszy tylko na chwilę rękawice ze skostniałych rąk, aby potrzeć zapalkę o uginającą się tekturkę z draską – nieznośny ten księżyc, dosłownie miażdży człowieka – ale choć jego dłonie wyglądały jak rękawice bejsbolisty, miał przeżyć nie tylko to, lecz wszystko, co złe moce mogły jeszcze na niego sprowadzić, bo zapalka zapłonęła, wiatr wstrzymał oddech, kiście żywicznych igieł zajęły się z trzaskiem i płomień zaczął pochłaniać je coraz bardziej żarłocznie. Pan naciągnął z powrotem rękawice. Dorzucił gałęzi, ogień rozpalił się na dobre i nie wymagał już dozoru.

– Joe – powiedział Ronnie – Joe, mamy ognisko.

Ale Joe nie reagował, Joe był zimny, Joe wypadł z gry.

Pan przykucnął przy ogniu, zacierając ręce. Nikt nie pospieszy im tu na ratunek. Ci, którzy jechali psim zaprzęgiem, nie mogli być daleko, ale dlaczego mieliby sobie nimi zawracać głowę? Był to Sess Harder i jego żona, musieli to być oni; Joemu całkiem odbiło na punkcie Sessa, ten zaś kupiłby najdroższy bilet do teatru, miejsce w pierwszym rzędzie, gdyby pokazywali tam martwego Bosky’ego. A więc wszystko było w jego rękach, w rękach Pana. Wiedział, że powinien odczekać do rana, do pojawienia się półświatła i zaróżowienia nieba nad wzgórzami od południowej strony – wtedy zorientuje się w kierunkach, będzie mógł ruszyć na północ, w stronę rzeki, a potem dotrzeć do Drop City. Da radę to zrobić. Był twardy. Był młody. Znał te wzgórza, znał rzekę. Musi rozpalic większe ognisko dla Joego, ognisko nad ogniskami, i zostawic mu tu górę gałęzi, tak żeby Joe, kiedy z tego wyjdzie, o ile wyjdzie w ogóle, mógł przetrwać do chwili, gdy dotrą do niego Alfredo, Bill i cała reszta – a przede wszystkim Reba.

Taki był plan. Plan do samotnego wykonania, trudny plan, ale wszystko powinno się udać. Ogień odpędzał noc. Mróz zaczął się chyłkiem wycofywać w mrok i choć Ronnie stracił czucie w nogach, poczuł mrowienie w palcach rąk, a to był dobry znak. Kiedy tak zwana głęboka temperatura ciała spada, krew odżywia wewnętrzne organy, podtrzymując ich funkcje, a kończyny są poświęcane; był to swoisty mechanizm przystosowania, żeby przeżyć. Gdzie był teraz ten niedźwiedź, któremu on, Pan, odstrzelił ucho? Zapadł pewnie w sen zimowy, podobnie jak wszystkie krety i gryzonie, i to był jeszcze inny sposób na przetrwanie. Ale on czuł swoje palce, a to oznaczało, że jeszcze nie stało się najgorsze – wolałby umrzeć, niż mieć tak jak Billy Barto z liceum dwa skauteryzowane kikuty u jednej ręki i tylko trzy palce u drugiej – co było efektem prób skonstruowania bomby rurowej w piwnicy – i nosić do końca życia szare rękawiczki, jak jakiś kamerdyner z angielskiej powieści. Nie, z nim było wszystko w porządku. Wszystko było okej.

Wtedy właśnie pomyślał o flaszcze. Zostawił plecak pod drzewem, daleko od ognia – nie chciał zobaczyć, jak i to płonie – i teraz wstał od ogniska i poszedł po niego. Jeden, dwa zdrowe łyki, tego mu było trzeba. Na rozgrzewkę. Na uspokojenie nerwów. Nie ruszy się stąd nigdzie, przynajmniej do jutra rana, a skoro zanosi się na długą, zimną i trudną do zniesienia noc, trzeba się napić. Przeniósł plecak bliżej ogniska. Przez chwilę pomyślał o Joem – może powinien spróbować na siłę wlać mu trochę wódki do gardła, jak to robią w filmach, przekonać się, czy to go nie ocuci. Najpierw jednak należało zadbać o siebie. Musiał sobie naprawdę zrobić coś z tym lewym ramieniem, zerwał mięsień albo coś podobnego, bo kiedy próbował przycisnąć flaszkę do piersi, żeby odkręcić zakrętkę, ostry ból przeszył go aż do stawu barkowego. Szło mu niezdarnie, tym bardziej że nie zdjął rękawic, ale w końcu mu się udało – musiało się udać, musiał zachować jasny umysł. Przyłożył lodowatą posrebrzaną szyjkę do warg i pociągnął porządny, długi łyk.

Popełnił błąd. Uświadomił sobie to natychmiast. Gardło zablokowało się, a on sam zgiął się wpół pod wpływem doznanego szoku. Ściął go lodem od środka, wódka schłodzona do granic możliwości zamieniła się w śmiertcionośny płyn, i teraz pragnął tylko wyrzucić go z siebie. Ale było to niemożliwe. Opadł na ręce, dusząc się, krztusząc i usiłując zwymiotować. Ogień śmiał mu się w twarz, milczący Joe Bosky spoczywał bezwładnie na tronie ze świerkowych gałęzi, a on dusił się, aż cała materia stanowiąca wyściółkę gardła i przelyku oderwała się i wypłynęła na zewnątrz, a napięte mięśnie nóg nie mogły go już dłużej utrzymać.

Pierwszej nocy na szlaku nocowali w chacie, która robiła wrażenie wyrosłej z ziemi, bo nie różniła się prawie od sterty gałęzi czy kępy drzew. Miała jednospadowy stromy dach, a z płatów starej darni, z których był zrobiony, wyrastały brzoźki, osiki oraz sterczały splątane trzciny i bezlistne gałęzie. W głębi stała skrzynia na palach, z której zwisała na drucie owinięta w worek zamarznęta ćwierćtusza łosia, choć w świetle księżyca zdawało się, że może to być coś innego, coś bardziej ponurego, mroczniejszego, i Marco musiał spojrzeć dwa razy, zanim się przekonał, że to tylko łoś. Psy jednak nie miały wątpliwości – puściły się pędem w stronę chaty i usiadły przed nią, dysząc niecierpliwie, a księżyc oświetlał malownicze obłoczki pary unoszące się nad ich czarnymi, skulonymi sylwetkami.

Teraz dopiero Marco dostrzegł psie budy, ciągnące się szeregiem pod drzewami, sklecone byle jak z kłód skrzynie, z dachami z symetrycznie ułożonych, pokrytych teraz śniegiem wiązek słomy. Za chatą było wzgórze, oświetlone miękkim, odbitym światłem, a przed nim płynął strumień. Wokół panowała cisza. Jeśli człowiek nie wiedział, że jest tam chata, mógł przejść obok niej w odległości stu stóp i w ogóle nie zobaczyć niczego, oprócz może błysku słońca odbitego w szybach jedyne okna – a i to można było dostrzec tylko o określonej porze roku i dnia.

Przemierzając szlak, zmieniali się: gdy jeden stał na płozach, drugi biegł za saniami. Marco przebiegł ostatnią milę i spociał się pod parką, co było niedobre, wręcz niebezpieczne, bo pot mógł spowodować śmiertelne wychłodzenie organizmu, jeśli nie było możliwości, by jak najszybciej rozpalić ogień.

– Jak myślisz, ile jest stopni? – zapytał Sessa przed godziną, kiedy wrzucili do sań ostatnią z pięciu zamrożniętych na kość kun i założyli nową przynętę do wnyków.

Sess uśmiechnął się i strzepnął lód z wąsów dłonią w rękawicy.

– Pewnie jakieś czterdzieści – odpowiedział.

Nad futryną wisiał przybity gwoździem termometr i kiedy już Marco pomógł Sessowi przywiązać psy i rzucić im po płacie suszonego łososia, sprawdził temperaturę w bladym świetle księżyca. Rtęć utknęła pomiędzy kreskami oznaczającymi minus czterdzieści i czterdzieści jeden stopni.

– Trafieś w dziesiątkę – rzekł, kiedy wchodzili w ciemną czeluść chaty, zanurzali się w jej zapachach: zjełczałych przynęt, nafty do lamp, świerka, ryb, wnętrzości rysia, kuny, lisa, przytłumionych ręką zimna, którego nie przeganiał żaden lokator.

– Cholera – powiedział Sess. – Zimniej o jeden stopień. Co ty na to, żebyśmy rozpalili w piecu i rozgościli się tu?

– Dobry pomysł. W czym ci mogę pomóc?

Stali w ciemnościach, w zimnej izbie, Sess zapalił lampę i zagracone pomieszczenie nabrało konkretnego kształtu.

– W niczym. Usiądź i odpoczywaj.

Marco usiadł, drżąc na całym ciele, i patrzył, jak chrust w żeliwnym piecyku zajmuje się ogniem. Na piecu stanął oszroniony imbryk, Sess schylił się, by wziąć poczerwiałą gar z glinianej podłogi, i podniósł go bez wysiłku jednym energicznym ruchem, którego kulminacją był ostry szczęk żelaza o blaszaną płytę.

– Najlepsza jest prostota – powiedział Sess. – To moja dewiza.



Przysunęli się obaj do pieca, w którym buzował już na dobre ogień; izba nabierała z wolna życia, słychać było ciche trzaski i syki. Powróciły z całą intensywnością zapachy. Imbryk podskakiwał i grzechotał, jakby gwałtownie szukał równowagi.

– Co jest w tym garnku? – zapytał Marco.

Jeszcze nigdy w życiu nie był tak głodny, złakniony cukru, tłuszczu, smalcu, masła, tych podstawowych smarów dla mechanizmu życia. Nic dziwnego, że Eskimosi odżywiali się foczym tranem – tu potrzebna była naprawdę inna regulacja silnika.

– Gulasz z łosia. – Sess szperał gorączkowo za piecem w poszukiwaniu misek, łyżek, kubków. – Przygotowałem go, kiedy tu byłem ostatni raz. Trzeba tylko odrąbać solidny kawał mięsa z tego łosia, który wisi na zewnątrz, obsmażyć go w niedźwiedzim tłuszczu z odrobiną mąki i z cebulą, posolić, popieprzyć, dodać trochę tabasco, jarzyny, jakie masz pod ręką – w tym wypadku jest to groch i soczewica – potem zalać wodą, zagotować i wrzucić ryż. I *voilà*, mamy gulasz z łosia à la Harder. A najpiękniejsze jest to, że po prostu stawiasz garnek na podłodze, kiedy zamykasz chałupę, i w ciągu godziny wszystko zamarza na kamień. – Zatarł ręce i wyciągnął je, żeby ogrzać nad piecem. – To Roy mnie tego nauczył.

– A teraz ty uczysz mnie.

– Zgadza się. Teraz ja uczę ciebie.

Jeśli Marco miał jeszcze jakieś wątpliwości co do obozowania z dala od domu przy minus czterdziestu stopniach, to gulasz rozwiął je, i to całkowicie. Marco zaczął sobie wyobrażać siebie na miejscu Sessa, myśleć o sobie jako człowieku przystosowanym do każdych warunków, korzystającym z tego, co rodzi ziemia, żyjącego skromnie, o milion lat świetlnych od cywilizowanych przedmieść, przymusowo strzyżonych żywopłotów, trawników i ozdobnych drzew. Bo bez względu na to, kto zaprojektował pejzaż za oknem, wykonał bez dwóch zdań fantastyczną i ogromną robotę. Gulasz był pyszny. Zjadł trzy porcje i wytarł miskę do czysta chlebem, który Sess trzymał hermetycznie zamknięty w słoju na półce. Była też kawa z cukrem i z mlekiem w proszku, na wpół rozmrożone jagody w gęstym soku na deser i po trzy kieliszki brandy na głowę. Siedzieli ściśnięci przy stoliku pod oknem, grzali palce, obejmując kubki, i patrzyli, jak księżyc kluczy, wykonując swoją rundę wśród drzew. Rozmawiali o traperce, o sidłach i przynętach, o Drop City i o kobietach.

– Prawdę mówiąc, wcale mnie nie zaskoczyło to, że bratanek zwinął żagle – rzekł Sess. – Wystarczyło spojrzeć na tę jego przyjaciółkę: to miejskie stworzenie, o ile się na tym znam.

– On wróci – rzekł Marco i zaledwie to wypowiedział w tym miejscu, gdzie tylko prymitywny piec i na pół spróchniała ściana ze świerkowych bali chroniły go przed zostaniem jeszcze jedną ofiarą tej krainy, śmiertelnym przecinkiem w kolejnej opowieści ku przestrodze, zaledwie więc to powiedział, zwątpił we własne słowa. Kiedy Norm ich opuścił, w Drop City powstała panika, a po panice zapanowała żałoba. Norm był ich opoką, ich ojcem założycielem, ich guru – to on przywiódł ich tutaj, do tej dziczy, z niezachwianą wiarą w swoją wizję, pieniądze, energię – i oto teraz opuścił ich. Star szlochała tak, że omal jej żebra nie popękały. Reba połykała garściami seconal. Jiminy chciał odstrzelić narty samolotu Bosky’ego i gdyby okazało się to konieczne, zakuć Norma w kajdany, zrobić cokolwiek, porwać Premstar. Bill ryczał Normowi prosto w twarz przez półtora dnia, słyhać było, jak co chwilę zaczyna wrzeszczeć głosem podobnym do zgrzytu piły łańcuchowej i cichnie po chwili, aż przerodziło się to w stały motyw dźwiękowy Drop City, słyszalny w najdalszej chacie. A potem przyleciał samolot i Norm odleciał z Premstar, pokój z wami, bracia i siostry, pieprzcie się wszyscy...

– Tak – powiedział Sess. – Jestem pewien, że wróci. Jeśli spotka inną dziewczynę.

Marco wzruszył ramionami. Zgasili lampę, żeby oszczędzać naftę i lepiej widzieć to, co się dzieje za oknem.

– Nie wiem – odparł. – Może go nie potrzebujemy. Może to część jakiegoś większego planu?

– Większego planu? Nie wciskaj mi tego mistycznego kitu, dobrze? Masz, napij się brandy. To ci dobrze zrobi.

– Chodzi mi o to, że niektórzy traktują to poważnie, a inni nie. Alaska, jedźmy na Alaskę, kochani, będziemy tańczyć przy świetle księżycy. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć? Zobaczymy, jak to wszystko się potoczy teraz, kiedy jesteśmy zdani na własne siły.

– Lydia – powiedział Sess. – Właśnie ona, nie inna. Gdybym miał wybierać, wybrałbym ją. Tylko nie mów Pameli. – Spojrzał na swój kubek. – A tak przy okazji, z ciekawości, czy ty kiedyś...

Marco potrząsnął głową.

– Nie jest w moim typie. Ale chyba słyszałeś, że przywiozła nam z Fairbanks mały prezent?

– Prezent?

– Tak – powiedział Marco, patrząc mu w oczy. – Mendy.

Sess pochylił się nad stołem i wyszczerzył zęby.

– Chyba się przesłyszałem.

– Ja ich nie mam – rzekł Marco. – Star też nie. To chyba o czymś świadczy.

– Och, bracie, wpadłeś, naprawdę wpadłeś. Skończyła się twoja włóczęga. Finito. – Podniósł kubek do ust, potem go odstawił. – Ale mówiąc serio: potrzebujesz kobiety. To znaczy jeśli myślisz poważnie o pozostaniu tutaj. Gdyby nie Pamela, odbiłoby mi chyba, wszczynałbym bójki w Three Pup, spałbym nieprzytomny na podłodze, zbyt pijany, żeby móc sprawdzić swoje siła i skrócić męki tego rysia, którego znaleźliśmy dzisiaj w potrzasku. I którego, nawiasem mówiąc, powinienem tu przynieść i oprawić. – Zapadło milczenie. – Przystosuj się – rzekł Sess po dłuższej przerwie. – To moja rada. No ale mamy jutro ciężki dzień, musimy dotrzeć do strumienia Bez Nazwy, a ja jestem wykończony. A ty?

Wstali, kiedy tylko lekko się rozjaśniło, zaraz po dziewiątej, gdy zaczęło stopniowo przybywać kształtów i cieni za oknem. Na śniadanie zjedli gulasz z łosia. Psy dostały suszoną rybę; pochłonęły ją żarłocznie, z furią, łypiąc dziko ślepiami, warcząc i przepychając się w walce o lepszą pozycję. Ciężkie, łożowane chmury wisiały nisko nad ziemią. Było trzydzieści osiem stopni poniżej zera i temperatura rosła.

Marco pomógł posprzątać w chacie – gar z gulaszem na podłogę, woda do czajnika, rozpałka i odpowiednio przycięte kawałki brzozy i topoli do skrzyni w kącie izby – po czym zaprzęgli psy. Zdaniem Marca nie były one nadzwyczajne – dzikie i gwałtowne, nieokreślonej maści, z nieładną sierścią, długimi, kościstymi, patykowatymi nogami, głębokim wcięciem i potężnymi karkami. W jego stronach rodzinnych, w Connecticut, marniałyby w schronisku dla psów przez wymagane dwa tygodnie, niekochane, mało szlachetne, niechciane, a potem by je likwidowano jednego po drugim: ręka głaszczce delikatnie uszy, szybkie i pewne wklucie igły i po wszystkim. Dwa biegnące najbliżej sań wabiły się Lester i Franklin, co było nawiązaniem (i hołdem, tak przynajmniej utrzymywał Sess) do wyrzutków z Drop City, których napotkał pewnego pięknego letniego dnia, gdy usiłowali znaleźć złoto w bynajmniej nie złotonośnym strumieniu, ten zaś, który biegł w zaprzęgu za Luciušem, czyli lider, nosił imię Sky, co było rozwinięciem żartu. „Pies z nimi” – powiedział Sessowi Marco, gdy ten przedstawiał mu psy przed chatą nad Thirtymile, i właścicielowi zaprzęgu ta jego odzywka bardzo się spodobała. „Powinienem chyba nazwać któregoś Norm” – stwierdził.

Ale teraz było prawie czterdzieści stopni poniżej zera i żaden z nich nie miał ochoty żartować. Psy rwały się do biegu – przez pierwszą godzinę trudno było je opanować i Marco, próbując zaprząć Skya, został dwukrotnie pogryziony, w tym raz przez rękawicę, do żywego mięsa; jeśli to nie była zła karma, to on, Marco, nie wiedział, co nią jest.

– Jezu – powiedział, podnosząc głos, żeby przebić się przez jazgot psów. – Czy one zawsze się tak zachowują?

Sess wkroczył po prostu w sam środek, między trzy walczące psy, odpychając je nogą obutą w mokasyn i waląc po wielkich kudłatych łbach zwiniętą w kulak pięścią.

– Psy muszą mieć temperament – odparł i zaprzęg ruszył.

Psy gnały rozradowane, powietrze było tak zimne, że aż paliło w płucach, ręce Marca pracowały jak u maratończyka, to wskakiwał na płozy, to znów biegł za saniami, czując przepływ tej nieokiełznanej siły, która przebiegała jak elektryczne wyładowanie wzdłuż grzbietów i pracujących miarowo łap tych półwilków i przenikała człowieka na wskroś. Pędzili tak wzdłuż szlaku, zbyt naładowani energią, by odczuwać zimno, aż dotarli do pierwszych sideł, psy je wyczuły, zwietrzyły i stanęły, osadzone w miejscu.

Przynęta zniknęła, stalowe szczęki były zatrzaśnięte, na śniegu widniały ślady rysia, prawdziwa interpunkcja śmierci. Marco patrzył, jak Sess ponownie nastawia potrzask, przysypuje go kilkoma garściami śniegu, a potem przybija do pnia pobliskiego drzewa nadgniłe gęsie skrzydło posmarowane sadłem bobra. Co było najlepszą przynętą? To, co najbardziej cuchnęło. Na kuny stosował Sess wnętrzności i mlecze łososi, których nałapał latem – musiały tylko odpowiednio sfermentować w słoju wystawionym na parę tygodni na słońce.

– Nic specjalnego – powiedział. – Zwykle sztuczki. Każdy może się tego nauczyć.

Stali, patrząc na sidła, psy z podwiniętymi ogonami obwąchiwały własne ślady, lekki wietrzyk poruszał gałązkami drzew.

– Nawet Joe Bosky? – zapytał Marco. – Nawet Pan?

Sess nie raczył odpowiedzieć – pytanie zbyt go zdenerwowało; Marco zauważył to od razu i żałował, że nie może go cofnąć. Do tej chwili on i Sess wykazywali się prawdziwym heroizmem i jednomyślnością i kiedy Sess przekonał się, że Marco potrafi dotrzymać mu kroku, że jest twardzielem, a nie żadnym turystą, obarczył go większą odpowiedzialnością i obowiązkami, do których należało zaprzęgnięcie psów, ich karmienie, powożenie zaprzęgiem i rozpalanie w środku dnia ogniska, żeby móc zagotować wody na kawę.

Sess patrzył na plątaninę śladów, podparłszy się pod boki; jego parka była tak połatana, że nie dało się odgadnąć jej pierwotnego koloru, twarz miał zaciętą, tłumione emocje upodabniały go do drewnianej rzeźby przedstawiającej wodza Indian Josepha Nez Perce. Wiatr dmuchał w futro rosomaka, którym obszyty był kaptur, Marco patrzył, jak długie, czarne włosy poruszają się i falują, i nagle pomyślał o kozach i bezsilności, jaką czuł w obliczu tego bezlitosnego stworzenia, które wychyńło z gęstwiny leśnej. Co zrobią, jeśli któregoś dnia napotkają coś takiego? Albo niedźwiedzia? Mieli tylko remingtona kaliber 0.22, bo Sess nie pozwolił mu wziąć większej strzelby – była zbyt późna pora jak na łosie i coś większego tylko by ich niepotrzebnie obciążało. Ale niedźwiedzie spały o tej porze. Chociaż wilki nie. A co, jeśli napotkają legendarny koszmar północy, zimowego niedźwiedzia grizzly, który poszedł spać zbyt wcześnie i obudzi się złakniony mięsa i tłuszczu niezbędnego dla przetrwania? I co mógłby mu zrobić taki remington?

Zapadał zmrok, gdy dotarli do końca szlaku, gdzie należało zawrócić; psy wyraźnie zwolniły i zaczęły oglądać się nerwowo za siebie. Przed nimi był potrzask, ale wyczuwały, że coś jest nie tak. W sidła wpadło jakieś zwierzę, coś zbyt dużego, żeby mogła to być kuna czy kuna wodna, poza tym stworzenie nie było martwe i nieruchome jak rękaw futra zwisającego bezwładnie z haka w chłodni, lecz żywe, miało żółte ślepia i szarpało się spazmatycznie na napiętej ciemnobrązowej smyczy własnej tylnej łapy. Wilk, pomyślał w pierwszej chwili Marco, ale Sess zaklął z cicha – nie był to wilk, lecz kojot, kompletnie bezwartościowy, jeśli chodziło o futro, bo żadna wyelegantowana i wybredna matrona z Park Avenue czy z Lake Shore Drive nie chciałaby wparadować do restauracji w czymś podobnym.

Psy oszalały. Zwietryły potencjalną zdobycz i wybuchnęły wściekłym, pełnym frustracji, wysokim jazgotem, szarpiąc uprząż, kłapiąc zębami i miotając się na wszystkie strony. Sess przywiązał sanie do odległego o kilkadziesiąt kroków drzewa i podszedł z Markiem do zwierzęcia, które rzucało się na nich i szczyrzyło zęby, zataczając półkola ograniczone promieniem uwięzionej tylnej łapy. Na śniegu czerwieniała krew. Kojot próbował wgryźć się przez własną skórę i chrząstkę w kość i uwolnić się, ale było już na to za późno, bo pojawiły się psy i ludzie i jeden z nich miał strzelbę, a drugi kij.

– Cholera jasna, gdybym mógł, podkradłbym się do niego, ogłuszyłbym go i uwolnił – powiedział Sess. – Ale ma jeszcze zbyt dużo sił, nie chcę ryzykować.



Zwierzę było przygwożdżone, okaleczone, w jego ślepiach było już tylko pełne rezygnacji przerażenie, choć jeszcze szarpało się, warczało i groziło. I gdzie tu był pokój i miłość, jak się miały do tego pacyfistyczne i wegetariańskie ideały? Kojot przypominał maścią niemieckiego owczarka, był może mniejszy, ale jego zjeżona ciemnobrunatna sierść z czarnymi końcówkami miała ten sam kolor. Marco poczuł ucisk w żołądku. Czy można żyć w tej krainie bez tego? Czy można przeżyć, żywiąc się wyłącznie rybami? Żyć z tego, co zarobiło się latem, gasząc na ochotnika pożary? Z zasiłku dla bezrobotnych, odżywiając się potrawką z tuńczyka, makaronem i serem? Para ulatywała z ust. Sess podał mu strzelbę.

– No jazda – powiedział. – Skróć jego męki.

Zrobiło się nagle ciemno, a może tylko tak się zdawało. Kojot przestał walczyć. Stał na ugiętych nogach, dysząc, ze zwieszonym łbem, cały ogień zniknął z jego ślepiów. Marco nawet nie podniósł strzelby.

– Nie mogę – odparł i oddał ją Sessowi.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, co z psami, i w sekundę później panującą wokół ciszę rozdarł huk pojedynczego wystrzału.

Potem, kiedy wiatr rozwiął chmury i księżyc ukazał się nad horyzontem, znaleźli się na otwartej przestrzeni przy rzece, o jakieś piętnaście minut drogi od chaty nad strumieniem Bez Nazwy, w której mieli nocować. Kojot, zamarznęty na kość, ze sztywnymi łapami, został przytroczony do sań, razem z całym dodatkowym bagażem („Zdejmiesz skórę i zawieszysz swojej dziewczynie – powiedział Sess. – Przybijesz na ścianie albo położysz przed łóżkiem. Możesz to uznać za swoją pierwszą myśliwską zdobycz”). Psy zwalniały teraz wyraźnie, zwłaszcza dwa, które biegly przed Lesterem i Franklinem. Przyspieszały raptownie, a potem hamowały, kręcąc zadami i wypadając z rytmu. Marco stał na płozach, Sess biegł obok niego. I wtedy właśnie usłyszeli warkot samolotu, nikły, mechaniczny terkot, rozchodzący się w powietrzu zbyt zimnym, by dźwięk niósł się w nim daleko.

Nie zatrzymywali się. Czekala na nich chata, ogień, garnek z gulaszem – a może zupa na mięsie łosia lub łos smażony na smalcu z dodatkiem ziemniaków, cebuli i być może marchewki – więc samolot był nieważny. Prawdopodobnie ktoś z Eagle leciał do Boynton, a może do Fairbanks czy Deltę. Marco przestał zwracać uwagę na warkot. Czuł się tak, jakby był pogrążony w pólśnie, wszystkie zmysły miał wyostrzone jak po kwasie, dostrzegał każdy szczegół ścieżki przed sobą, czuł smak i zapach zgęszczonego powietrza, słyszał podobny do szeptu odgłos psich łap na śniegu, słyszał pracę wspaniałego, cudownego mechanizmu oddychania i uparte bicie niez mordowanego serca. To była dla niego ważna chwila, moment zintegrowania się z naturą, i odczuwał to każdą cząsteczką swego ciała. Nie było mu nawet zimno. Ani trochę.

Ale nikłe, nienatrętne buczenie, które przypominało bzyczenie komara nad uchem, gdy człowiek śpi w letnią noc, narastało i, coraz głośniejsze, przeobrażało się w niepokojący warkot, tak donośny, że nie mógł go już dłużej ignorować.

Spojrzał na wyciągnięte w biegu grzbiety psów, na czarną linię drzew w oddali, a potem na Sessa, akurat w chwili gdy samolot wystrzelił znad wierzchołków drzew za nimi i przeleciał nie wyżej niż dwieście stóp nad ziemią, z ogłuszającym warkotem. Sess nie zatrzymał się. Krzyknął na psy, przynaglając je do biegu. A potem, gdy wszystko mknęło w jednym płynnym strumieniu nocy, śniegu i wiatru wywołanego ich pędem, lotem, ucieczką – bo to była ucieczka – wyrzucił z siebie jedno słowo: „Bosky!”.

Patrzyli obaj, jak samolot zawraca, żeby natrzeć na nich znów, i nie mogli na to nic poradzić, nie było czasu na zdziwienie nienawiścią i zaciekłością, która aż do tego doprowadziła, nie było czasu na roztrząsania, a nawet na wymianę zdań. Gnali przed siebie. A Bosky atakował. Rozległy się strzały – tego Marco był pewien, śnieg tryskał za nimi, jeden z psów zaskowyczał i zaczął się potykać, ale inne pociągnęły go przymuszone ponurą koniecznością. A potem rozległ się donośny huk, odgłos zderzenia ruchomego obiektu ze stałą opoką, pojedynczy głuchy trzask, zaprzęg wpadł między drzewa, a samolot zniknął.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Sess, było zatrzymanie psów pod osłoną drzew i przywiązanie sań. Potem wyciągnął remingtona ze specjalnego pokrowca umocowanego tuż pod kierownicą i wystrzelił dwukrotnie w ciemność.

– Pieprzony sukinsyn! – zawołał. – Pieprzony obłąkaniec! Zabiję cię, ty szumowino!

Nagle zrobiło się zimno. Przerażliwie zimno. Był to ten rodzaj chłodu, który przenika człowieka na wskroś, bez względu na to, jak grubo jest ubrany. Marco był odrętwiały na całym ciele. Nie bardzo wiedział, co się stało; wyrwany z jednego snu natychmiast zanurzył się w innym, ale był na tyle przytomny, że przypomniał sobie psa. Pies został postrzelony. Marco słyszał jego skowyt, cichy, przejmujący dźwięk, przypominający pisk skrzypiec w najwyższych rejestrach.

– Sess – powiedział i jego słowa przeniknęły przez sztywniejący całun ciszy. – Chyba jeden pies jest ranny.

Pies dostał postrzał w łapę – wśród gry cieni i światła księżyca trudno się było zorientować, jak poważna jest rana. Marco stał bezradny, gdy Sess pochylił się nad psem, wyprzągł go, wziął na ręce i zaniósł na sanie, gdzie ułożył go obok zeszywniałego kojota. Patrzył, jak Sess zmienia szyk w zaprzęgu, jak para jego oddechu miesza się z parą z psich pysków i gęstniejąc, zawisa w powietrzu. Podczas tego porządkowania sytuacji dał się słyszeć daleki odgłos wybuchu – Marco nie umiałby powiedzieć, czy nastąpiło to po upływie sekund czy minut – i w odległości jakichś trzech mil rozbłysło światło.

– Dobrze mu tak – mruknął Sess, a pauzy i pojedyncze sylaby brzmiały jak sapanie parowozu w mroku nocy. – Dobrze tak skurwysynowi. Dobrze. Mam nadzieję, że spłonie doszczętnie.

W ciągu paru minut dotarli do chaty i po chwili rozpoczęli ten sam rytuał co wczoraj – wyprężanie, wiązanie, rozpalanie w piecu, nastawianie imbryka i wielkiego poczeriałego garnka na ogień – ale prawie się do siebie przy tym nie odzywali. Działali jak ratownicy, metodyczni, chłodni, kierujący się logiką i potrzebą chwili. Sess przyniósł rannego psa – był to Sky, ten z jednym niebieskim okiem i drugim piwnym – i położył go na podłodze w kręgu światła lampy. Pies skowyczał cicho; dopiero teraz Marco mógł zobaczyć, że ma odstrzeloną prawą przednią łapę, a w każdym razie poduszki i pazury. Sess przeszukał izbę, znalazł spraną flanelową koszulę i podarł ją na paski.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytał Marco. W odpowiedzi usłyszał, że najlepiej pomoże, jeśli pójdzie i nakarmi pozostałe psy.

Dopiero kiedy zjedli, szok związany z tym, co się stało, minął na tyle, żeby mogli zacząć o tym mówić. Wokół panował spokój. Pies został wyniesiony z powrotem, z nogą grubo owiniętą prowizorycznym bandażem, który bez wątpienia natychmiast ściągnął; w chacie – starszej i bardziej prymitywnej niż ta, w której nocowali wczoraj, zbudowanej przez samego Roya Sendera w czasach, kiedy jeszcze samoloty tu nie rządziły – zaczęło się w końcu robić ciepłej, imbryk parował, oni zaś siedzieli i wpatrywali się w fusy po kawie na dnie kubków. Marco wstał, żeby ogrzać ręce nad piecem.

– Myślisz, że spadli? – zapytał.

Sess spojrział na niego.

– Aha – odpowiedział krótko.

– I że się zabili?

– Mam nadzieję. Módlę się, żeby tak było. Bo jeśliby się nie zabili sami, to ja musiałbym ich zabić.

– Mówię „oni” – Marco musiał włożyć rękawice, żeby zdjąć imbryk z pieca i nalać sobie gorącej kawy – ale to mógł być sam Bosky, prawda?

Sess wyciągnął kubek, żeby Marco nalał kawy i jemu.

– Nie można pilotować samolotu i strzelać jednocześnie.

– A więc był tam Ronnie? Myślisz, że był z nim Ronnie?

– Sukinsyn – powiedział Sess. – Skurwysyński hipis. On też powinien zdechnąć.

W końcu, właściwie bez uzgadniania i bez większego namysłu, zaczęli się obaj ubierać z powrotem: po dwie koszule, swetry, parki, szal zrobiony nas drutach przez Star, Marco zasznurował buty, a Sess wciągnął na nogi swoje eskimoskie mukłoki, i po chwili znów zanurzyli się w mroku nocy. Było czterdzieści stopni i temperatura wciąż spadała. Wśród psów zapanowało poruszenie, jeden czy dwa szczeknęły pytająco, potem się uspokoiły. Sess miał remingtona w dłoni. Śnieg skrzypiał im pod nogami.

Wrócili po swoich śladach na otwartą przestrzeń i skierowali się w stronę, gdzie spadł samolot. Szli szybkim krokiem. Padające ukośnie promienie księżyca oświetlały im drogę. Dalej, poza szlakiem, drzewa rosły gęsto, ale oni parli niecierpliwie naprzód, jakby zdążali długim hotelowym korytarzem z mnóstwem dwuskrzydłowych drzwi. Myśli Marca błądziły wokół Star, bliskich świąt Bożego Narodzenia i prezentu, jaki mógłby jej dać, dysponując bardzo skromnymi środkami. Pomyślał, że może sam coś zrobić. Wyrzeźbi z drewna albo z kości zapinkę do włosów lub kościane kolczyki, coś w tym rodzaju. Potem pomyślał o Ronniem. O Panie. Jeśli Pan był w tym samolocie, a musiał w nim być, to już nie żył, był pierwszą ofiarą w Drop City. Norm mógł wrócić. Może nawet wróci Niesamowity George, Verbie i kilkoro innych. Ale Pan już nie wróci. Ta myśl go zmroziła. Albo już wcześniej był zmrożony – a śmierć Ronniego dodatkowo go przygnębiła, uświadomiła mu, jak dziwne, jak obce jest to wszystko, to chodzenie po najdalszych wzgórzach, jakie można było znaleźć na tej ziemi, u boku mężczyzny ze strzelbą, w najgłębszych ciemnościach, jakie przyszło mu poznać w życiu. Gdzie mógł być teraz jego ojciec? Gdzie była komisja poborowa i generał Hershey?

– Tam – powiedział Sess i zabrzmiało to tak, jakby jego głos oderwał się od ciała, jakby to przemawiała sama noc w akcie bruchomówstwa. – Widzisz tam? Widzisz tę lunę?

Wspięli się na wzgórze i zobaczyli ogień, który wydawał się tu, na tej uświęconej ziemi, czymś zupełnie nie na miejscu. Przez chwilę wpatrywali się w trzaskające dziarsko ognisko, w obrys płomieni, jasną plamę koloru w pozbawionym barwy otoczeniu. Obok ogniska leżały dwie postacie, jedna na śniegu, druga, oparta o drzewo, na posłaniu ze świerkowych gałęzi, a dalej ciemniała sylweta spalonego samolotu. Nie poruszało się nic oprócz tego kręgu ognia, który strzelał w górę, zamierał, sypał w niebo iskrami, przygasał i rozbłyskiwał na zmianę.

Marco puścił się w dół po zboczu, grzęznąc w zaspach, przedzierając się wśród gałęzi i chwytliwych macek karłowatych wierzb, olch, brzoź, krzaków jeżyn. Biegł bez zastanowienia, kierowany impulsem, którego nie potrafił nazwać. Sess schodził za nim, ze strzelbą w dłoni. Marco podszedł najpierw do Ronniego, do Pana, i usiłował przewrócić go na plecy, ale ciało przywarło do śniegu w kałuży zamarznętej krwi i śluzu i było sztywne, martwe, martwe jak głaz, tak samo sztywne, martwe i zmrożone jak przytroczony do sań kojot.

Marco nie lubił Pana. Nigdy nie czuł do niego sympatii. Ale nie życzył mu takiego końca.

Cichy skrzyp śniegu pod muklokami z łosiej skóry kazał mu podnieść wzrok. Sess stał nad Joem Boskym, który miał otwarte oczy i usiłował coś powiedzieć. Nie było nigdzie widać krwi, nawet najmniejszej plamki, biała parka Joego była tak czysta i niepokalana, jak śnieg pokrywający ziemię. Jego oczy błyszczwały w świetle ognia; widać było, że chce się poruszyć, wstać, podjąć wyzwanie, ale nie może. Marcowi przyszło do głowy określenie, które znał z gazet, z komunikatów o śmiertelnych ofiarach: obrażenia wewnętrzne.



Już zewnętrzne obrażenia były wystarczająco poważne, ale wewnętrzne, to, czego nie było widać, nie dawały większej nadziei. Powinni iść po sanie, załadować go i zawieźć, mijając po drodze Drop City, chatę Sessa i Woodchopper, do Boynton, skąd ktoś musiałby go przetransportować samolotem do szpitala w Fairbanks – i całą tę podróż miał odbyć człowiek, który odniósł poważne obrażenia, człowiek z uszkodzonymi narządami wewnętrznymi i rdzeniem kręgowym, z wewnętrznym krwotokiem. Ale Sess przyłożył mu lufę do twarzy, jej wylot oparł się na nasadzie nosa, składał chłodny pocałunek w miejscu, gdzie schodziły się czarne krzaczaste brwi. Joe Bosky czynił wysiłki, by coś powiedzieć, wykrztusić ostatnie słowa, i kiedy je w końcu wypowiedział, w chwili gdy Sess przyłożył kolbę do pobielonego księżycową poświatą ramienia, brzmiały one: „Pieprz się”.

### 33

W pierwszej chwili nie wiedziała, co mówić – myślała o Che i Sunshine, o ich umorusanych twarzach, o niezmordowanym tupocie ich nóg, o brudzie, bo byli stale brudni, wręcz od urodzenia – więc odwróciła wzrok i usiłowała jakoś zebrać myśli. Powiodła palcem wzdłuż brzegu kubka z kawą i włączyła swój uśmiech o mocy miliona kilowatów. Choć kusilo ją, żeby powiedzieć: „Nie, och, nie”, tak jakby zareagowała na każdą wiadomość o raku, ataku serca czy jakimkolwiek innym nieszczęściu lub chorobie, udało jej się w końcu wymamrotać coś bardziej stosownego lub przynajmniej możliwego do przyjęcia. A potem, już bez zastanowienia, dodała:

– A więc ty... to znaczy, że ty...?

Pamela spojrzała na nią i wybuchnęła śmiechem – śmiała się tak serdecznie, że musiała odstawić kubek, jej oczy zamieniły się w szparki, dłonie przycisnęła do skroni, jakby chciała podtrzymywać głowę, żeby nie spadła jej z karku.

– Masz taką minę, jakbym ci powiedziała, że dach się pali albo coś podobnego. Naprawdę, Star, powinnaś się teraz zobaczyć w lustrze. – Zaśmiała się znów i plasnęła otwartą dłonią w blat stołu. – Boże, ależ ty jesteś zabawna!

Star roześmiała się także, z pewną ulgą – jasne, okej, dała się wypuścić – ale mimo że się śmiała, że obie zanosily się śmiechem, myślała cały czas o sobie, o tym, co by zrobiła, gdyby jej się przydarzyło coś podobnego. Stosowała pigułki antykoncepcyjne – wszystkie to robiły, to był pomysł Reby, jej prawdziwa obsesja – ale skończyły się jej już kilka tygodni temu. Kiedy kochali się z Markiem, robili to ostrożnie, powściągliwie, pod presją wiszącego nad nimi zagrożenia. Zawsze w kulminacyjnym momencie Marco się wycofywał – *coitus interruptus* – jakby to mogło zapobiec nieuniknionemu, a przecież ile jej dawnych koleżanek z katolickiej szkoły zaszło już po raz drugi albo trzeci w ciąży? Na ich miejscu chybaby się zabiła. Usunęłaby płód. Ale gdzie? Jak? Ktoś jej powiedział, że Indianki mają sposoby, wywar z jakiegoś korzenia, a może robią z tego kompres, który wyciąga embrion jak ropę z czyraka...

– No wiesz, powinnaś mi pogratulować. Powinnaś piszczeć i skakać z radości; obie powinnyśmy piszczeć i skakać. Będę miała dziecko. Jesteś pierwszą osobą, której to powiedziałam, a wyglądasz, jakbyś mnie zobaczyła w worku w rzece.

Star zachciało się palić. Wypaliła już tego dnia jednego, a próbowała się ograniczać, nie tylko przez oszczędność i dlatego, że bracia i siostry nieustannie ją opalali, ale także dlatego, że było to uzależnienie, a ona nie chciała mieć żadnych nałogów oprócz nałogu miłości i dobroci. Paczka marlboro Pameli leżała na stole między nimi. Star wyjęła papierosa, zapaliła go, wypuściła dym.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić... to znaczy siebie w takiej sytuacji. Uważam, że jeszcze tyle mam do przeżycia... – Ale zabrzmiało to fatalnie i było fatalne. Próbowала się poprawić, bo zauważyła, że Pamela, jej przyjaciółka, jej siostra, już się nie śmieje. – Wolałabyś chłopca czy dziewczynkę? – zapytała w końcu.

Tu Pamela eksplodowała. Była wniebowzięta, zadowolona z siebie, aż promieniała. Wolałaby dziewczynkę, nie mogła sobie wyobrazić, żeby było inaczej, ale gdy rozważali to kiedyś z Sessem, oczywiście teoretycznie, on skłaniał się raczej ku chłopcu, co było absolutnie naturalne. Nie rozprawiał o tym za wiele, ale, co rozumiałe, chciał dać początek nowemu pokoleniu w tej krainie i mając syna, mógłby go nauczyć wszystkiego o życiu na łonie natury, a także szacunku dla jej praw.

– On chciałby chłopca – powiedziała i też sięgnęła po papierosa. – Tak samo jak mój ojciec.

– A miał dwie dziewczynki.

– Właśnie.

I znów wybuchnęły śmiechem.

Paliły w milczeniu, zatopione we własnych myślach, piły kawę, rozegrały jeszcze jedną partyjkę szachów – tym razem wygrała Star – a potem przerzuciły się na karty i tu triumfowała Pamela. Przygotowały razem lunch, esencjonalny rosół z makaronem i włoszczyzną ze spiżarni Harderów, po lunchu usiadły przy piecu, żeby poczytać. Choć nie rozmawiały na ten temat, telepatycznie i bez słów uzgodniły poprzedniego wieczoru, że Star pozostanie w chacie, dopóki ich mężczyźni nie wrócą ze szlaku. Star umyła i wytarła talerze – uparła się, że to zrobi – i gdy Pamela siedziała sobie w oknie, poustawiała wszystko porządnie na półkach. Była z tego dumna – znała ten dom równie dobrze, jak własną izbę w Drop City. A naczynia aż lśniły po jej zmywaniu.

Po pewnym czasie przeniosła się z krzesła na łóżko i przykryła nogi futrem. Czuła, jak nikotyna i kofeina buszują jej w żyłach, ale nie była zdenerwowana ani zbyt pobudzona, raczej spokojna, choć jednocześnie rześka. Przyniosła ze sobą książkę Richarda Fariny *Tak długo byłem w dołku, że wydał mi się szczytem*, niezwykle popularną, najbardziej *hip* powieść, jaka istniała. Książka miała ośle uszy i była tak zaczytana, że trudno by chyba znaleźć bardziej uszargany tom w bibliotece Drop City. Podobała jej się, była śmieszna, szalona. Ale środowisko i sprawy, jakie opisywała – college, prochy, kpiny ze świata „normalsów” – wydały jej się teraz po prostu obce. Lub bardzo odległe – tak, to było lepsze słowo – toteż szybko zasnęła.

Obudził ją zapach pieczonego ciasta. Pamela stała przy piecu, w jej upiętych włosach odbijało się migotliwe światło lampy. Za oknami było ciemno. Jakiś odległy głos, słaby i osamotniony, dobiegł od strony wzgórz, po chwili odpowiedziały mu inne.

– Która to godzina? – zapytała Star, unosząc głowę znad poduszki. Czuli się tak, jakby przespała całą wieczność.

– Jeszcze wcześniej. Piętnaście po czwartej.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Pamela wyciągała coś z pieca – ciasto w okrągłym rondlu – ale znieruchomiała na chwilę z gorącym naczyniem przed sobą, słodki zapach wypełnił całą izbę aż do najdalszych zakamarków. Spojrzała na Star przez ramię.

– Przyzwyczaisz się – powiedziała. – Wierz mi.

Jadły gorące jeszcze ciasto z czekoladową polewą, prawdziwy pokarm aniołów – gdy nagle obie uświadomiły sobie, że w melodii nocy zaszła jakaś subtelna zmiana, brzęknęła ledwie dosłyszalnie sprzączka psiej upręży i dotarł do nich dziwny odgłos, jakby oddychającej ziemi. Zerwały się z miejsc i stając w otwartych drzwiach sieni, wyjrzały na oświetlone księżycem podwórko. Mężczyźni – Marco i Sess – wrócili do domu, psy siedziały w szeregu, czekając cierpliwie, aż je wyprzęgną, przywiążą i nakarmią. Pamela wróciła do izby, żeby nastawić czajnik z wodą, Star poszła za nią, żeby wziąć swoją parkę. Choć były tylko krótko na otwartej przestrzeni, czuły, że lodowate powietrze ścięło im nikotyne w płucach.

Krótki uścisk na powitanie i po chwili Pamela przykucnęła wśród psów, żeby wyprząc je po jednym i zaprowadzić do osobnych bud i kołków. Star stała na mrozie, przestępując z nogi na nogę; chciałaby pomóc, ale nie знаła tych psów ani nie wiedziała, co z nimi robić, powstrzymała się więc i czekała. Jeden z psów, tyle zauważyła, był ranny i przyjechał na saniach, które wyglądały na przeładowane ponad wszelką miarę. A gdzie były futra? Wypatrywała tych futer tak, jak musiała wypatrywać żona poszukiwacza złota słoika z drobinami cennego kruszcu, wydobytych dla niej z ukrytych w górach żył – nie myślała o zabijaniu zwierząt i o ich cierpieniu, bo nie chciała o tym myśleć, nie chciała niczego wiedzieć ani nawet sobie wyobrażać. Futra, interesowały ją wyłącznie futra. Ich piękno i bujność, te wszystkie norki, wydry, lisy, przywożone nie wiadomo skąd, pojawiające się jakby za sprawą magii, tak samo jak łososie, które zapełniały strumienie, i kaczkki, od których roilo się wprost na niebie. Ale gdzie są te futra? I co tam sterczy z sań – buty? Zapasowa para butów?

Już miała o to zapytać, gdy z błękitnawej poświaty wynurzył się Marco, wziął ją za rękę i poprowadził przez sień do wnętrza chaty. Jego brodę pokrywała skorupa lodu. Wzrok miał błędny i zmęczony. Czubek nosa zbielały.

– Stało się coś strasznego – powiedział.

Z zewnątrz dobiegały głosy Sessa i Pameli, szczekanie psów domagających się nakarmienia. Chciała zapytać, co się stało, wpatrywała się w jego twarz, usiłując coś z niej wyczytać, ale on odwrócił się i podszedł do pieca, żeby ogrzać ręce. Poczula nagle mdłości. Jakiś cień przemknął nad tą chatą i nad Drop City.

– Co takiego? Co się stało?

– Ronnie – odpowiedział.

– Ronnie? – Nie rozumiała go. Co mógł mieć wspólnego Ronnie z okaleczonym psem i ich trzydniową wędrówką po wzgórzach i jarach przy czterdziestu stopniach zimna? Ronnie złodziej. Powszechnie lekceważony Ronnie. Kto by się nim przejmował? Kto tak naprawdę się nim przejmował? Chodził z nią do liceum. Był jej kochankiem. Ukradł jej pieniądze.

Marco nie patrzył jej w oczy i to ją przeraziło.

– Co takiego? – zapytała ponownie. – Co się stało?

– Próbował... próbowali, on i Bosky, w samolocie... Umarł. Nie żyje.

Wciąż nie rozumiała.

– Kto...? Joe Bosky?

– Obaj. Samolot się rozbił.

Musiała usiąść. W izbie była teraz Pamela, w chwilę później wszedł Sess, trzasnęły drzwi, ostatnie tchnienie zimna zostało uwięzione i rozproszyło się w gorącej jak palenisko izbie, w której zrobiło się nagle tłoczno – barki, twarze, ręce, nogi, troje ludzi w parkach kręciło się na wszystkie strony, wymijając się wzajemnie, jakby chodzili po dworcu Grand Central w porze największego ruchu. Ronnie? Nie żyje?

W końcu – mniej więcej po godzinie – wyszła na podwórko, trzymając Marca za rękę, żeby popatrzeć na leżącego na saniach Ronniego, bo wciąż w to nie wierzyła, po prostu nie wierzyła, że ktokolwiek może umrzeć – no, może ktoś stary, tak – ale nikt z jej znajomych, nikt taki jak Ronnie. Jak Pan. Przejechali razem przez cały kraj. Rozśmieszał ją. Przytulał się do niej w zaciszu jej pokoju, na siedzeniu samochodu, na wykrochmalonych, sterylnych i napiętych prześcieradłach w motelach anonimowych miast, czytał jej na głos, śpiewał dla niej, wysławiał ją i kochał. A teraz leżał zamrożony na saniach, widmo, martwa kłoda, nic, przyciśnięty do martwego ciała Joego Bosky’ego. I to właśnie jego, Bosky’ego buty, tkwiące na martwych, zamrożonych nogach, sterczały z sań. Stała dłuższą chwilę, patrząc na ciemną sylwetkę sań. Sess i Pamela byli w izbie, Marco stał obok niej. Próbowwała zapłakać, ale nie mogła.

– Chcę go zobaczyć – powiedziała i jej głos ją zdradził.

Obłoczek pary uleciał z ust Marca, srebrzysty i żywy.

– Nie chcesz go zobaczyć. Naprawdę nie. Chodź, wejdźmy do środka. Przenocujemy i rano postanowimy, co dalej robić. Dobrze?

Nie było dobrze. Zrobiła krok do przodu, psy podzwaniały łańcuchami, gwiazdy odpłynęły gdzieś wysoko i daleko, cała noc zdawała się modlić, a potem Star odkryła koc i księżyc pokazał jej, co było w saniach.

– To nie Pan – powiedziała.

I rzeczywiście to nie był Pan. Było to coś nieprawdopodobnie poskręcane, nienaturalne, nierozpoznawalne, nie miało nawet twarzy, bo była odwrócona i zakryta zamrożonym kapturem, widać było tylko jej skrawek i mógł to być ktokolwiek.

– Chodź, Star – szepnął Marco.



Wtedy zobaczyła włosy, jedno pasemko, które wysunęło się z boku – wreszcie osiągnęły właściwą długość, były *hip*, bardzo *hip*, *tak hip*, jak tylko można sobie było wyobrazić czy wymarzyć. Zdjęła na chwilę rękawicę, żeby poczuć, jak ustępują pod naciskiem jej pięciu obnażonych palców.

W Wigilię, zaraz po tym, jak światło spełzło z nieba, zaczął padać śnieg. Marco i Jiminy ścięli choinkę i ustawili ją w rogu świetlicy. Wszyscy zebrali się wokół niej i popijając egnog (z rumu, z zagęszczonym mlekiem, gałką muszkatołową, cukrem i jajkami w proszku), ozdabiali ją wisiorkami z włóczki, pasemkami cynfolii, sznurami szklanych paciorków i łańcuchami z kolorowego papieru. Ustawiona na antresoli aparatura została podłączona do dwunastowoltowego akumulatora, świeżo podładowanego w Boynton i przywiezionego na tylnym siedelku skutera śnieżnego Żelaznego Steve’a, a więc była i muzyka, wszyscy przebierali w płytach, żeby znaleźć swoje ulubione utwory, nic religijnego, naprawdę, żadnych nabożnych pieśni ani kolęd, ale kawałki mistyczne: Ravi Shankar, Mahavishnu John McLaughlin, Coltrane, Rollins, Dylan.

W Drop City były cztery piece – po jednym w każdej z trzech ukończonych chat oraz antyczny piec kuchenny Great Majestic, który przytransportowali łodzią i ustawili w świetlicy – i wszystkie pracowały „na cztery fajery”. Piekły się dwa indyki i gęś z domu towarowego w Boynton, dostarczone przez Sessa Hardera, oraz para głuszców ustrzelonych przez Marca, gotowały się ziemniaki, farsz i sos, a dla vegetarian szykowano brokuły, zapiekanekę serową, bezmięsną lazanię i puree z rzepy.

I ciasteczka. Tysiąc ciasteczek.

Star znalazła się w samym oku cyklonu, zonglowała garnkami na piecu, kroić, siekała, szatkowała i ubijała. Cały czas wypełniała ją muzyka, rosła w niej, aż wytworzyła cały nowy krwiobieg współgrający z tym naturalnym, z którym się urodziła. Kiedy ktoś podał jej dżojnta, przyłożyła go tylko do warg i zaraz przekazała dalej. Podśpiewywała sobie, nuciła, dorabiała słowa do melodii, które słów nie miały. Sos gęstniał, śnieg sypał coraz słabiej. Lydia tańczyła z Tomem Kriszną i Deuce'em, Jiminy płaśał sam, Harmony i Alice rozdawali ceramiczne kubki wszystkim osiemnastu mieszkańcom Drop City, jacy pozostali – każdy kubek zdołała dość wierna podobizna obdarowanego – a Marco zaskoczył ją, wręczając jej parę kolczyków, symboli pokoju, które wyrzeźbił z rogów karibu. I dokładnie w momencie, gdy pomyślała, że już nie może być przyjemniej, w drzwiach stanęła Pamela z dwiema blachami placka z owocami i butelką brandy pod pachą.

Zapanował ogólny gwar, nastąpiła hałaśliwa wymiana pozdrowień, jedzenie wjechało na blat ze sklejki, który dostawili do stołu, żeby go przedłużyć, wszystko parowało, pies, Freak, patrzył w górę z nadzieją. Star odebrała od Pameli płaszcz i rzuciła go na antresolę Mendocino Billowi, bo z braku miejsca tam właśnie urządzono szatnię. Pamela stała przez chwilę, emanując pozytywną energią, a potem zaczęła się ścisnąć ze wszystkimi po kolei. Wyglądała znakomicie – zdrowo, ślicznie – twarz miała zarumienioną od wiatru, jasne włosy z przedziałkiem na środku opadały swobodnie, tak długie, że przypięty do swetra, tańczący na jej piersi renifer ginął za ich gęstą zasłoną. Na głowie miała naszywaną paciorkami przepaskę, podarunek od Star.

– Wiesz, jak wyglądasz? – zapytała Star, podając jej dżojnta, który znalazł się w jakiś magiczny sposób w jej ręce.

- Nie. Jak?
- Jak hipiska.
- Czyli jak hipisowska cipka? – Pamelę lekko zatkało.
- Nabijasz się ze mnie?
- Kto, ja? Broń Boże.

Chwilę patrzyła, jak Pamela udaje, że się zaciąga, po czym wzięła od niej skręta.

- A gdzie Sess? – zapytała.

Wzruszenie ramionami.

– Na szlaku. Ale zjawi się tu. Spróbowałyby nie. – Potrząsnęła włosami. – To nasze pierwsze święta razem. Zabiłabym go, gdyby nie wrócił.

Ta ostatnia uwaga wydała się Star śmieszna; niby dlaczego miałyby nie wrócić? Czy ten cały szlak aż tak bardzo ciągnął? Sądząc po tym, co mogła zobaczyć za oknami, nie było tam nic, tylko noc, mróz i wzgórze, które przechodziły w kolejne pasmo wzgórz, i tak bez końca. A życie było tu, jedyne jego przejawy na przestrzeni wielu mil. Tu było jedzenie, muzyka, piwo, wino. Tu był eggnog, tu były ciasteczka. Śmiech i biesiadny nastrój. I byli ludzie. Bracia i siostry.

- Och, przyjedzie – powiedziała. – Przyjedzie na pewno.

Później, kiedy już zasiedli do stołu, zjawiła się Verbie z Żelaznym Steve'em, powiększając towarzystwo o reprezentację Boynton, i zaczęły się ogólne tańce. Tańczyło całe Drop City, nawet Che i Sunshine, i nie było w tym nic wymuszonego i sztucznego, nikt się nie dąsał, nie kłamał, nie szarżował, nie oszukiwał ani nie kradł i nikt, naprawdę nikt nie narzekał, że się źle bawi. O północy zszedł z antresoli Bill przebrany za Świętego Mikołaja, z brodą z waty i potężnym cielskiem owiniętym we wszelkie czerwone szmatki, jakie udało się znaleźć w Drop City, i ogłosił, że ma prezent dla wszystkich, na zewnątrz. Zapanowało poruszenie, ludzie wymieniali zdziwione spojrzenia. Na zewnątrz? Rozległy się pomruki i miauki.

– Nie bujasz? – zapytała Merry.

– Ale gdzieżby – uśmiechnął się Bill. – I na pewno ci się spodoba.

Star, usadowiona między Markiem i Pamelą na łóżku najbliższym pieca, oddała się marzeniom, rozkoszując się ciepłem i pozwalając, by muzyka przenikała ją na wskroś. Nie powiedziała od godziny ani słowa. Było jej przykro niejako w imieniu Pameli, bo Sess wciąż się nie pojawiał, i to jedno kładło się cieniem na całym wieczorze. Pamela się martwiła, było to po niej widać, i w miarę upływu godzin Star zdążyła jej powiedzieć wszystkie konwencjonalne słowa pociechy, a kiedy w końcu zabrakło tych słów, poszedł w obieg skręt i dzban z winem. Oparła się na ramieniu Marca i całkiem odpłynęła. Ale teraz, teraz Bill stał na środku świetlicy i ludzie znów się ożywili – było przecież Boże Narodzenie, była niespodzianka, był prezent. Dla wszystkich, jak powiedział Bill.

Zrobiło się zamieszanie, wkładanie kurtek i butów, szukanie rękawiczek i szalików w kłębowisku ubrań na antresoli, ale w końcu zaczęli wysypywać się na mróz. Idący na czele Bill, Mikołaj ze sztuczną miotłą włosów i brodą z waty, przystanął przed świetlicą i rozłożył szeroko ramiona. Przestało padać, zrobiło się tak zimno, że nawet gwiazdy na niebie zdawały się zamarzać.

– Oto prezent! – zawołał Bill.

Wszyscy spojrzeli w górę i zobaczyli na niebie pulsujące światło, kosmiczne, żółtozielone i błękitne z misternym maswerkim czerwieni, światło, które było niestrudzenie z czarnej muszli horyzontu, eksplodowało, rozsypywało się w proch odnawiało w nieskończoność.

Gnał na złamanie karku, śnieżycy ustała i księżyc przedzierał się przez łachmany chmur, by oświetlić przed nim drogę. Wiatr wiał mu w twarz, zimno siadło na ramionach niczym pasażer na gapę. Nie słysząc było nic prócz szelestu płóz na świeżym śniegu i nikłego, porywanego wiatrem pobrzękiwania stalowych sprzączek uprzęży. Był spóźniony, i to bardzo, o dziesięć lub dwanaście mil od celu, myślał o Pameli, która czekała na niego w obozie hipisów, o Bożym Narodzeniu i o prezencie, który do tej pory trzymał w psiej budzie w głębi podwórza od czasu, kiedy nie była jeszcze jego żoną, ale tylko światełkiem nadziei migoczącym na horyzoncie. Teraz paczka, owinięta w błyszczący kolorowy papier z nadrukowanymi świeczkami, dzwoneczkami i gałązkami ostrokrzewu, jechała na saniach – wsunął ją tam przed trzema dniami, wcześniej rano, zanim pojaśniało niebo, gdy Pamela była jeszcze w kapciach. Potem zaprzągnął psy, pocałował ją w progu i ruszył przez podwórze w stronę lasu, obiecawszy wcześniej: za trzy dni, w Wigilię, w obozie hipisów.

Psy wiedziały, że zdążają do domu. Było ich sześć, bo Sky nie mógł już biegać. Ale pozostała szóstka sprawdzała się jako zespół, biegła bez zakłóceń i zgodnie jak sprzężone koła lokomotywy – wręcz płynęła przez mrok, niemal nieświadoma jego obecności. Pędziły, jak oceniał, z szybkością dziesięciu mil na godzinę, a więc już niedługo – w każdym razie przed północą, sądząc z położenia gwiazd – powinien dotrzeć na miejsce. Prezentu nie zrobił sam ani go nie kupił, nie było to nic, co można by zamówić przez pocztę czy znaleźć w sklepie. Był to dar natury, tak jak futra, ryby, łosie, złoto. Znalazł go na brzegu rzeki, w miejscu, gdzie osunęła się ziemia, odsłaniając żółtawą kość sterczącą z płaskiego tła szarego żwiru. Od razu poznał, co to takiego – Charlie Jimmy z indiańskiej wioski w Eagle pokazał mu kiedyś coś podobnego – zakrzywiony, spoisty kieł mastodonta, nienaruszony przez czas, może trochę przybrudzony, ale magiczny, znak błogosławieństwa, totem, który odpędzał lęki i hartował, aż człowiek stawał się jednością z mrozem, roztopami, z cyklem zamierającego i budzącego się od nowa życia.

Zmrużył oczy przed wiatrem i wyobraził sobie samo zwierzę, kolumny jego nóg, rudą sierść pokrywającą ogromne połacie skóry, ospałe zimowe bytowanie widmowych stad wynurzających się jak duchy z za grzbietów wzgórz i z wymiatanych wiatrem równin, a potem znikających bez śladu. Ale czy podarunek się jej spodoba? Nie miał pojęcia. Pewnie, można go było pokryć ornamentem, przerobić na ozdobny wisior, na dekoracyjny bibelot, na figury szachowe, ale w jego odczuciu byłyby to profanacja. Mogła to zabierać do łóżka, traktować jako amulet sprzyjający płodności, choć ona nie potrzebowała żadnych amuletów, nie Pamela. Uśmiechnął się do tej myśli, aż pękła mu skorupka lodu w kącikach ust.

Był spóźniony, bo miał wypadek, spotkała go jedna z tych przygód, jakie zdarzają się zwykle kilka razy zimą, bez względu na to, jak człowiek jest ostrożny. Wyjeżdżał z chaty nad strumieniem Bez Nazwy saniami obciążonymi nowymi skórami i tymi, które musiał zostawić przed tygodniem, żeby móc zabrać ciała Bosky'ego i Pana, i nie przewidział, że lód na strumieniu nie wytrzyma. Przez kilka dni było cieplej, potem temperatura spadła z powrotem do zera, woda bulgotała i zamarzała warstwami. W pewnej chwili lód się załamał i Sess wpadł do wody po łydki, zanim zdążył wygramolić się z powrotem na płozy sań. Woda nie przeniknęła przez trzy pary skarpet i podwójne filcowe wkładki, ale nie było rady, musiał się zatrzymać, przywiązać sanie, rozpałcić ognisko pod osłoną skalnego występu i wszystko wysuszyć.

Nie była to poważna katastrofa. Po prostu jedna z tych przygód, jakie zawsze mogą się przydarzyć. Wykorzystał czas oczekiwania, żeby obejrzeć łapy psów poranione odłamkami lodu i posmarować wszelkie zadrapania i otwarte rany maścią. Potem położył się na chwilę pod brezentową płachtą i wpatrywał się w płomienie, śnieg osypywał się z gałęzi, zamazując widok nieba. Miał teraz trochę czasu, żeby pomyśleć, bo ostatni tydzień był chaotyczny i nerwowy, przesłuchiwał go szeryf i jego zastępca, potem pili w Three Pup dla uczczenia pamięci zmarłych, znów przesłuchania, wypełnianie papierów, wyjazdy do miasta, pogrzeb. Bosky zamarzył na śmierć, podobnie jak Pan – który zrobił coś tak bezmyślnego i bezsensownego, że nawet kompletni straceńcy nie mogli w to uwierzyć. Choć właściwie nie wiadomo. Przed trzema lub czterema laty coś podobnego przydarzyło się pewnemu żołnierzowi na manewrach pod fortem Wainwright: stojąc na warcie w mroźną noc postanowił sobie dogodzić wbrew regulaminowi. Szkoda ludzi. Żal. Ale samoloty się rozbijały i ludzie zamarzali. Taka już była rzeczywistość.



Jednego nie wiedział nikt oprócz niego i Marca: że podczas gdy hipis, Pan, nie żył, kiedy tam dotarli, Boski żył, oddychał i był na tyle przytomny, żeby złożyć do kupy dwa ostatnie słowa. Była to trudna chwila. Chwila, na którą Sess czekał przez ponad dwa lata. Stał nad Joem z remingtonem i zamierzał nacisnąć spust, jasne, z wściekłości, jasne, była w tym nienawiść i wściekłość, ale kierowało nim jeszcze coś innego, nazwijmy to litością albo rutyną. Podniósł lufę strzelby, aby dobić Bosky'ego tak, jak dobijał każde stworzenie, które złapało się w sidła przeznaczone dla większego niż ono zwierzęcia, aby skrócić jego męki. To było ludzkie miłosierdzie tam, gdzie nic innego nie było już możliwe. Ale nie nacisnął spustu. Otwór od pocisku wymagałby wyjaśnień, a wyjaśnienia prowadziłyby do całego łańcuszka kłamstw i zafałszowań, w które nie chciał brnąć. I jeszcze jedno: Bosky nie zasługiwał na kulę – lepiej było ją zachować dla wściekłego skunksa, ursona, szczura. A więc Sess zrobił co innego: wysłuchawszy jak należało ostatnich słów umierającego, odwrócił się i odszedł, nie wdając się w dyskusję z Markiem – nie był w nastroju do dyskusji. W każdym razie nie w duchu demokratycznym. Odeszli obaj od ogniska, wraku samolotu, trupa jednego mężczyzny i z wolna zamarzającego na kamień ciała drugiego, a potem, rano, wrócili, załadowali to ludzkie brzemię na sanie i zawieźli do domu.

– Nie ma sensu za dużo mówić policji – powiedział Sess do Marca. – Samolot spadł, to wszystko, i przywieźliśmy ich.

Taki był zatem koniec sprawy. I choć Sess nigdy nie rozwodził się nad śmiercią żadnego człowieka ani w ogóle żadnego stworzenia, musiał to teraz przemyśleć przynajmniej na własny użytek; świąteczne refleksje przyszły w tym roku wcześniej. Ktoś, jacyś przygarbieni i zapłakani rodzice, jakaś ciotka albo czarnookie dziecko, przyjedzie wiosną do chaty nad strumieniem Woodchopper, żeby zabrać z niej drobiazgi o wartości sentymentalnej, a potem dom pozostanie otwarty dla każdego, kto by chciał w nim zamieszkać, tyle że nikt nie zechce.

Z upływem lat przegnią podpory podtrzymujące dach, darń się zapadnie pod własnym ciężarem, wypaczą się ściany, zbutwieje podłoga. Ptaki zagnieżdżą się w mrze od pieca, myszy w szufladach biurka. Którejś nocy wilk przemknie przez podwórze, wyczuje ostatni, nikły ślad zapachu Bosky'ego, Pana, Sky Doga i podniesie nogę, żeby tę woń unicestwić.

Sess to szanował, ten naturalny porządek rzeczy – coś się zamieszało, niech osiądzie z powrotem. Wiatr wiał mu w twarz. Zorza polarna znikła za chmurami. Śnieg szeptał pod nogami, przemawiał do niego, śpiewał w rytmie zgodnym z rytmem nocy. Stojąc na płozach i oddychając pełną piersią, Sess zmierzał do domu – mężczyzna okutany w futro mknął psim zaprzęgiem przez krainę surową i dziką, wracał do domu do swej żony.

## Podziękowania

Autor pragnie podziękować Chuckowi Fadelowi, Jormie Kaukonenowi, Russellowi Timothy'emu Millerowi, Alanowi Arkawy'emu i Jimowi Perry'emu za pomoc i cenne rady.